

CZARNA SERIA

KRYMINAŁ

Powieść, którą czyta się jednym tchem. Dahl pisze paskudnie skutecznie.

GÖTEBORGS-POSTEN

GŁUCHY
TELEFON

arne
dahl

GŁUCHY
TELEFON

**arne
dahl**

Przekład
Robert Kędzierski

Wydawnictwo Czarna Owca
Warszawa 2015

JEDNOSTKA OPCOP, EUROPOL

Centrala – Haga, Holandia

PAUL HJELM: doświadczony szwedzki detektyw, szef operacyjny nowo utworzonej jednostki o nazwie Opcop.

JUTTA BEYER: detektyw z Berlina; ma silną potrzebę kontroli, wychowywała się w byłej NRD.

MAREK KOWALEWSKI: warszawski gliniarz od papierkowej roboty, który zwalczał przestępczość gospodarczą w Europie Wschodniej.

LAVINIA POTORAC: rumuńska była elitarna gimnastyczka bezwzględnie zwalczająca mafię.

MIRIAM HERSHEY: brytyjska policjantka, dawniej tajna agentka MI-5.

LAIMA BALODIS: litewska policjantka nowej generacji, infiltrowała mafię.

ANGELOS SIFAKIS: spokojny zastępca szefa jednostki, który zwalczał korupcję w Atenach.

CORINE BOUHADDI: policjantka o marokańskich korzeniach, pracowała w jednostce antynarkotykowej w Marsylii, jednym z najbrutalniejszych miast Europy.

FELIPE NAVARRO: elegancki statystyk kryminalistyczny i policjant z wydziału przestępczości kryminalnej w Madrycie.

FABIO TEBALDI: twardziel z policji w San Luca w Kalabrii na południowym krańcu Włoch; zwalcza mafię, a ta grozi mu śmiercią.

ARTO SÖDERSTEDT: jasnoskóry pół Fin pół Szwed z policji kryminalnej; ma dość barwną przeszłość.

Biuro lokalne – Sztokholm, Szwecja

KERSTIN HOLM: była komendant policji; szefowa lokalnego biura jednostki Opcop w Sztokholmie.

JORGE CHAVEZ: doświadczony i energiczny śledczy ze znaczną wiedzą informatyczną.

SARA SVENHAGEN: ekspertka od przesłuchań, dawniej prowadziła śledztwa związane z wykorzystywaniem seksualnym dzieci.

Operacja Glencoe

Londyn, 2 kwietnia

ZIMNIEJ JUŻ BYĆ NIE MOŻE, pomyślał obserwator, ciasniej opatulając się płaszczem. Nigdzie nie może być zimniej niż w Londynie w pierwszych dniach kwietnia.

Ta szarość, pomyślał, spoglądając w dół na betonową bryłę nad Tamizą. Ta niekończąca się wilgotna szarość. A do tego jeszcze to czekanie.

Jednak zrobiło się zimniej. Wyraźnie czuł, jak coś wdziera się pod hermetycznie zapięty płaszcz. To był zupełnie inny chłód. Wiatr. Wiatr, wydawało się, pochodzący nie z zewnątrz, lecz z wnętrza. Z głębi niego samego, z mroków historii, z samego jądra ludzkości.

Po prostu z tego słowa, które tak długo rozpamiętywał.

Glencoe.

Mroźny lutowy wiatr wieje w odludnej dolinie. Jest wczesny ranek, słońce nie zdołało się jeszcze wznieść nad grzbiety gór, a już mroźne światło świtu mówi, że jest sam środek zimy. To oczywiste, że wiatr, który wdziera się teraz w dolinę od strony Rannoch Moor, to nie jest zwyczajny, zimowy wiatr. Gdy mija falisty grzbiet Buachaille Etive Mòr u wejścia do doliny, niesie wyraźny powiew śmierci.

Złej, nagłej śmierci.

Szkockie wyżyny w ostatnich burzliwych latach XVII wieku. Wiatr wpadł w dolinę, jest już niemal tam, gdzie zwięza się ona i tworzy wąwóz, a masywy górskie piętrzą się dziwnie stromo po obu stronach przełęczy. To właśnie tutaj, w chwili gdy wiatr, wyjąc rozdzierająco, wdziera się w coraz węższe szczeliny, Glencoe ukazuje swoje prawdziwe oblicze. Surowe, nieprzyjazne i nieziemsko piękne. Równocześnie.

W dolinie mieszkał ród, którego przywódcą był Alastair Maclain. Już nie mieszka. To dlatego wiatr jest tak lodowaty. To dlatego wyje tak rozdzierająco, przeciskając się przez najwęższe szczeliny i sięgając dna Glencoe.

Maclain stał po stronie króla Jakuba w walce z intruzem Wilhelmem Orańskim. Jakub był katolikiem, Wilhelm – protestantem. Wkrótce zwycięski Wilhelm stworzy Wielką Brytanię z Anglii i jej krnąbrnych sąsiadów, zostanie pierwszym królem nowego narodu. W kraju potrzeba jednomyślności. Wilhelm ogłasza, że klany ze szkockich wyżyn, które walczyły po stronie Jakuba, zostaną ułaskawione, jeśli złożą przysięgę wierności nowemu królowi.

Alastair Maclain, choć niechętnie, składa przysięgę. Niestety, czyni to za późno, więc uznano go za zdrajcę. Król Wilhelm uważa, że powinien przykładowie ukarać poddanego.

Pod koniec stycznia tysiąc sześćset dziewięćdziesiątego drugiego roku stu dwudziestu ludzi z The Earl of Argyll's Regiment of Foot udaje się do Glencoe. Oficjalne dokumenty zaświadczają, że pułk przybywa tam w celu pobrania podatków. Zgodnie ze zwyczajową gościnnością żołnierze kwaterują u Alastaira

Maclaina. Tak mijają dwa tygodnie.

Dwunastego lutego przychodzi rozkaz. W Glencoe ludzie jak zwykle kładą się na spoczynek.

Następnego ranka Alastair Maclain zostaje zabity we własnym łóżku. W jego domu zamordowano jeszcze trzydziestu siedmiu mężczyzn. Wszystkie budynki spalono, a czterdzieścioro kobiet i dzieci zamarzło w skutej zimą dolinie. Byłoby ich o wiele więcej, gdyby kilku żołnierzy nie odmówiło wykonania rozkazu i nie ostrzegło swoich gospodarzy.

Gdy mroźny wiatr wypada po drugiej stronie doliny i cichnie nad pokrytą lodem taflą Loch Levens, staje się zupełnie bezgłośny. Nawet rozdzierające wycie to za mało. Wystarczająco wymowna jest jedynie cisza.

Dolina leży później całkowicie cicha w swoim oślepiającym pięknie, szczyt za szczytem lśni zimową bielą. Od Meall Mòr aż po Buachaille Etive Mòr imię tego przepelnionego bólem piękna brzmi Glencoe.

Wtedy śnieg na szczytach topnieje, skała wydaje z siebie głuchy pomruk, góry z łoskotem pękają. Coraz większe bloki skalne spadają, toczą się szybciej i szybciej z coraz niższych szczytów... Na koniec widać coś zupełnie innego. Miasto. Nowoczesne, wielkie, jednolicie szare miasto. Najbardziej szara jest w nim betonowa bryła tam w dole, nad samą Tamizą. Nazywa się ExCeL Exhibition Centre. Właśnie ma się w niej rozpocząć London Summit – przywódcy dwudziestu najbogatszych krajów świata będą dyskutować o rujnującym gospodarce kryzysie finansowym. To spotkanie na szczycie krajów G-20.

Obserwator z Europolu, europejskiej agencji policyjnej, czuje, jak lodowaty zimowy wiatr przenika go do szpiku kości. Nic przed nim nie chroni; to wiatr złowieszczy, wiatr zdrady, wiatr podstępny. Obserwator nigdy nie czuł czegoś podobnego. Zimny podmuch liże jego ciało i wreszcie znika. Gdy mężczyzna znów skupia się na swojej pracy, przed jego oczyma nie ma niczego prócz nieskończonego wielkiego kompleksu biurowego London Docklands. Po szkockiej lawinie nie pozostał żaden ślad. Tylko nazwa.

Glencoe.

Kryptonim Scotland Yardu, pod którym kryje się rekordowo wielka operacja policyjna przeprowadzana w Londynie w pierwszych dniach kwietnia, to Operacja Glencoe.

Obserwator z Europolu nie jest w tych dniach funkcjonariuszem operacyjnym. Niemniej pozostaje w kontakcie z wieloma takimi funkcjonariuszami. Żaden z nich nie potrafił w sensowny sposób wyjaśnić wyboru kryptonimu. Dlaczego, u licha, ochronę spotkania na szczycie, które ma być próbą uratowania zranionej gospodarki kapitalistycznej, nazywa się od zdradzieckiej rzezi dokonanej na szkockich wyżynach trzysta lat temu?

Pewnie tylko dlatego, żeby poniosła mnie wyobraźnia i żeby nie mógł uważnie obserwować teraźniejszości, myśli obserwator.

Mimo to dość bacznie obserwowałem teraźniejszość, myśli dalej, opatulając się płaszczem jeszcze ciaśniej, jakby się spodziewał, że dzięki temu będzie mu cieplej.

Przede wszystkim obserwował teraźniejszość w sieci. Może w dzisiejszych czasach sieć jest

teraźniejszością? Z braku innych zadań surfował po protestach przeciw spotkaniu, przyłączającej liczbie nawoływań do demonstracji pochodzących od ekologów oraz mniej i bardziej wojowniczych ugrupowań antykapitalistycznych. Interesującą nowością był fakt, że koordynowanie akcji miało się odbywać za pośrednictwem Twittera. Oznaczało to na przykład, że usiłowano przeprowadzić marsze protestacyjne z precyzyjną choreografią, tak jak organizacja socjalistyczna G-20 Meltdown w Financial Fools Day. Pierwszego kwietnia.

To było wczoraj. Stał tam, naprzeciw potężnego pałacu Bank of England przy Threadneedle Street. Nadeszli z czterech stron, cztery pełzające przez miasto różnobarwne robaki prowadzone przez cztery drewniane kukły – czterech jeźdźców Apokalipsy z Księgi Objawienia. Jeźdźcy zbliżali się wraz ze swoimi orszakami: na czerwonym koniu jeździec wojny od strony Moorgate, na zielonym – jeździec chaosu klimatycznego od stacji przy Liverpool Street, na srebrnym – jeździec przestępstw finansowych od London Brigde i na czarnym – jeździec zamkniętych granic Unii Europejskiej od Cannon Street. Obserwator nie potrafił pomyśleć o chwili, gdy złożony w ofierze Baranek z Księgi Objawienia łamie pieczęć po pieczęci na świętym zwoju. Złamanie pierwszych czterech pieczęci wysyła w świat czterech jeźdźców Apokalipsy. Złamanie piątej ujawnia istnienie dusz ludzi, którzy umarli za wiarę. Złamanie szóstej wyzwala potężne trzęsienie ziemi „i słońce stało się czarne jak włosienny wór, a cały księżyc stał się jak krew”. Gdy Baranek i obserwator dotarli do siódmej pieczęci, której złamanie rozpoczynało końcową fazę Apokalipsy, jeźdźcy stanęli przed Bank of England.

Zjawili się tutaj wszyscy, bo zdawało się, że ludzie odpowiedzialni za rynki finansowe właśnie złamali siódmą pieczęć. Z czystej i niepohamowanej chciwości.

Obserwator jest stosunkowo doświadczonym policjantem. Uważa, że zna przestępców, wie, jak myślą, jak rozumują. I uważa, że to, co wydarzyło się w ostatnich latach, doprowadzenie do powstania bańki spekulacyjnej, która eksplodowała, bardzo przypomina sposób działania przestępcy. Maksymalizacja zysków bez żadnych myśli o konsekwencjach. Lecz kto właściwie jest przestępcą? Jak wygląda przestępstwo? Cóż to za wielkie i dziwne przestępstwo, w którym przeżywamy swoje życie?

W jego ciele świszczy wiatr zdrady, wiatr podstępu, wciąż lodowato zimny. Jakby nie chciał się uciszyć.

Cztery pochody się spotkały. Ich uczestnicy wyskandowali „Build a bonfire, put the bankers on top”, wołali do przerażonych bankierów w oknach, by skoczyli na bruk: „Shame on you”. Godzinę później znaleźli się w kotle (*kettle*, tak angielska policja nazywa manewr okrążający). Wymknięcie się spod przykrywki tego kotła zajęło im potem siedem godzin.

Obserwator musiał prawie przez kwadrans tłumaczyć nabuzowanemu adrenaliną policjantowi, co znaczy słowo „Europol”, nim odzyskał wolność. A potem miał już dość Londynu, wrócił do mikroskopijnego pokoju hotelowego i dalej surfował w sieci – albo, jak wolał to nazywać, obserwował teraźniejszość.

Okazało się, że w Financial Fool's Day odbyło się też wiele innych demonstracji. Trzy tysiące ludzi

wybierało się do Climat Camp in the City przy Bishopsgate, a setki działaczy ze Stop the War Coalition przemaszerowały spod amerykańskiej ambasady na Trafalgar Square, gdzie połączyły się z kilkoma innymi marszami protestacyjnymi. W sumie do kotła trafiło wiele tysięcy aktywistów.

Pod wieczór, gdy zaczęło mu naprawdę poważnie burczeć w brzuchu, pojawiła się wiadomość o ofierze zająć. Policjant pobił jakiegoś niewinnego przechodnia, który wkrótce potem zmarł.

Im więcej tego wszystkiego widział, tym bardziej się cieszył, że był tylko obserwatorem. Niemal wypychany z pokoju przez protesty żołądka kątem oka zauważył tę plotkę. W każdym razie twierdzono, że to plotka, w wiadomości na Twitterze luźno związanej z organizacją Stop the War Coalition. Ktoś napisał, że zna miejsce, w którym niejaki B.O. ma wysiąść z limuzyny i spotkać się ze zwykłymi ludźmi. Informacja pochodziła rzekomo z kręgu wtajemniczonych.

Gorączkowo szukał dalej, by znaleźć potwierdzenie albo przynajmniej sprawdzić, czy ta informacja gdzieś się nie powtarza. Nie udało mu się. Była tylko tam. Opublikowana na Twitterze jeden jedyny raz.

A jednak dzień później, właśnie teraz, stoi w podanym miejscu – niedaleko ogrodzenia chroniącego brzydką betonową bryłę nad brzegiem Tamizy. Są tu demonstranci, otaczają go ze wszystkich stron. Stoi przy drodze oddzielonej okazałymi blokadami, wiodącej prosto do ExCeL Exhibition Centre. Przejechało już tędy kilka limuzyn z przywódcami dwudziestu najbogatszych krajów świata. Przejedzie jeszcze kilka, w sumie dwadzieścia limuzyn wiozących gości. Wzrok obserwatora wędruje to w stronę ulicy, to na tłum. Obserwuje.

Zbierają się tam, w tym brzydkim betonowym kolosie. Ci, którzy mają władzę nad światem. Systemowi, który znów strzelił sobie w stopę, próbują założyć opatrunek jak nieuważnemu psychopatycznemu dziecku. Systemowi, który ponoć jest absolutnie niezbędny, by cywilizacja przetrwała. Ale tym razem to nie tylko strzał w stopę. Nie wystarczy zwyczajna, państwowa i międzynarodowa opaska uciskowa. Tym razem strzał trafił wyżej w nogę i wciąż nie wiadomo, czy wielka tętnica udowa jest nieuszkodzona.

Tam w środku powinni dyskutować o być albo nie być ustroju gospodarczego. Ale teraz dyskutują tylko o tym, ile bilionów trzeba wycofać z funduszy pomocowych, z oświaty, opieki zdrowotnej, kultury i ochrony środowiska i dać bankom, które dostaną nagrodę za swoje rażące zaniedbania. Nawet bonusy dla ich szefów nie zostaną zamrożone. Obserwator czuje, że na krótką chwilę traci jasny, neutralny ogląd sytuacji.

Doprawdy, żyjemy w dziwnych czasach, myśli teraz obserwator. Dokładnie w chwili, kiedy gospodarka światowa przeżywa zapaść, w kraju o najsilniejszej ekonomii dochodzi do władzy przywódca, któremu wcale się nie podoba to, co widzi. Wydaje się naprawdę pragnąć zmian. Wydaje się, że jest w stanie połączyć jakiś ideał z piekłem realnej polityki. Daje reszcie świata paradoksalną nadzieję.

Ale czy on jeden powstrzyma apokalipsę? Czy nie jest jedynie galionem na dziobie statku? Ostatnim, lecz bezsilnym symbolem, którym się posługujemy, by podsumować to, czym kiedyś powinniśmy być?

Czy nie wydaje się dziwnie bezsilny, skoro uchodzi za najpotężniejszego człowieka świata?

Ale co mogłoby być potężniejsze od niego?

Obserwator stoi po mniej zatłoczonej stronie ulicy, dość blisko samej jezdni. Różne jednostki Operacji Glencoe, krótko mówiąc, gliniarze, obstawiają obie strony drogi. Przejeżdża kolejna limuzyna. W kwietniowym wietrze powiewa flaga Turcji. Premier Recep Tayyip Erdogan. W tym momencie obserwator patrzy na tłum. Widzi, jak kolektywna wściekłość na chwilę się nasila. W górę wystrzeliwiają zaciśnięte pięści, krzyki nabierają innego, bardziej desperackiego brzmienia. Erdogan się nie zatrzymuje. Nikt do tej pory się nie zatrzymał.

O wiele niżej, za blokadami, wzdłuż północnego nabrzeża Royal Victoria Dock obserwator widzi limuzyny zajeżdżające pod ExCeL Exhibition Centre. Widzi jakąś postać podchodzącą do otwartych drzwi samochodów. Wszystko wskazuje na to, że jest to premier Gordon Brown, gospodarz spotkania G-20. Wczoraj odbyła się kolacja przy Downing Street 10. Brown nienagannie pełni obowiązki gospodarza. I może nawet jest człowiekiem, który traktuje poważnie to spotkanie.

Przejeżdża kolejna limuzyna. Tym razem na wietrze powiewa flaga francuska. Prezydent Nicolas Sarkozy również się nie zatrzymuje, by pozdrowić ludzi znów ogarniętych agresją. Ich twarze wydają się przy tym takie zropane.

Czy *on* naprawdę to zrobi? Czy B.O. naprawdę będzie aż tak głupi?

Czy to naprawdę byłoby w stylu Baracka Obamy?

*

Spocony mężczyzna stoi nad brzegiem Tamizy. Spogląda w brunatną wodę i czuje, że jest jedynym człowiekiem w całym Londynie, który miałby ochotę się w niej wykąpać. Ma przed oczyma zupełnie inną rzekę, cudownie zimną, świeżą, życiodajną. Kiedyś taka była. Oczyma wyobraźni widzi też swoją dziewczynę. Razem zanurzają się w nurcie, nadzy. To było w innych czasach.

Wyjmuje z kieszeni telefon. Wpatruje się w ekran. Ostatnia oznaka życia. Potem pozwala, by telefon wysunął mu się z ręki. Brunatna woda natychmiast go połyka.

Ostatnia chwila spokoju, myśli mężczyzna i rusza.

Przeciska się przez tłum. Wie, że to ostatnia i jedyna szansa. Tylko tutaj będzie w stanie do niego dotrzeć. Tylko tutaj.

Wciąż stoi daleko od jezdni, głęboko w tłumie. Ludzka masa faluje, wrze pragnieniem przemian. Pragnieniem, by jasno widzieć świat. Rozumieć, co się dzieje.

Może się wydawać, że w tłoku nie jest tak zimno jak na otwartej przestrzeni. Ale to złudzenie. Na początku kwietnia w Londynie nie da się ogrzać ciepłem ciał innych ludzi. Wokół wilgoć i chłód. Wszyscy są grubo ubrani, mimo to nikt się nie poci. Nikt, tylko on.

Spocony mężczyzna nie jest wysoki, ledwie widzi, co się dzieje na jezdni. Musi się dostać bliżej.

Przedziera się w stronę pierwszego rzędu, tłum wydaje się na niego napierać, ścisnąć go. Czuje szturchnięcia twardych łokci, kopniaki, słyszy obelgi, których nie rozumie. Ale musi przeć naprzód. Musi.

W końcu jest tak blisko, że widzi przejeżdżającą kolejną limuzynę – wcześniej tylko je słyszał. Samochód się nie zatrzymuje. Nikomu nawet nie przychodzi do głowy, by się zatrzymać. Mężczyzna rozpoznaje flagę. To jakiś groteskowy paradoks. Czerwono-żółta flaga. W samochodzie siedzi Hu Jintao, prezydent. Chwila i już go tutaj nie ma. Minął blokadę i podjeżdża pod ExCeL.

Spocony mężczyzna drży. Wciąż się przepycha. Musi się dostać do pierwszego rzędu. Zderza się z jakąś kobietą, która przepycha się w stronę jezdni równie energicznie jak on. Na chwilę ich spojrzenia się spotykają. Gdyby miał czas, zatrzymałby się. W spojrzeniu tej kobiety jest coś znajomego. Coś absolutnego. Ostatecznego. Tak patrzy człowiek w chwili, gdy życie opuszcza jego ciało. Maksymalnie burzliwe życie, po którym następuje wieczność śmierci – utrwalone w tym jednym spojrzeniu.

Mężczyzna, podobnie jak ta kobieta, nie ma czasu. Ona wciąż przepycha się przez tłum, on również, każde w swoją stronę. Pot nie piecze go już w oczy. Nie oślepia. Mężczyzna znalazł się niemal przy jezdni. Pozostały do pokonania tylko trzy rzędy, ale te najtrudniejsze, z najbardziej nieustępliwymi, oddanymi sprawie aktywistami. Takimi, którzy nie przepuszczą żadnego sukinsyna.

W oddali widzi zbliżającą się limuzynę. Z nagłą ostrością, jakby ktoś przyłożył do jego zalanych potem oczu lornetkę, widzi amerykańską flagę powiewającą nad maską.

*

Kobieta nie czuje niepokoju. Zapewne nigdy go nie czuła. Fala doznań, które przetoczyły się przez jej ciało, gdy wsuwała rurkę, była bardziej fizycznym wspomnieniem życia niż prawdziwym niepokojem.

Najważniejsze było to, by móc się swobodnie poruszać. Udawało jej się to przez całą drogę przebytą w tłumie aż do chwili, gdy wpadła na tego Chińczyka.

Chińczyk? – myśli z ponurym uśmiechem. Uprzedzenia. Aż do samego końca.

Myśli o jego spojrzeniu. Tak patrzy człowiek w chwili, gdy życie opuszcza jego ciało. Przez bardzo, ale to bardzo krótką chwilę kobieta zastanawia się, co Chińczyk tutaj robi. Potem znów staje się czystym skupieniem. Niesamowicie wyostrzoną uwagą. Tak jak od dawna. Wszystko inne po prostu odeszło. Wszystko, co było jej życiem.

Jest niemal przy jezdni. Najpierw to słyszy, dopiero potem widzi. W jakiś trudny do sprecyzowania sposób nawet dźwięk silnika wydaje się inny. Na długo przed tym, zanim dostrzeże amerykańską flagę powiewającą nad maską limuzyny, wie, że to on.

Jej jedyna szansa.

Kobieta przedziera się w stronę blokady. Skandujący aktywiści nie chcą jej przepuścić, płonie w nich coś, czego ona nigdy nie czuła. Jak właściwie tu trafiła? Nie jest jedną z nich. Nigdy nie płonął w niej taki ogień, nawet teraz nie płonie. Ale to, co ją napędza, jest silniejsze niż to, co napędza ich. Pozwalają

się wyminąć. Zupełnie jakby czuli, że ona jest inna. Że w jej przypadku chodzi o coś o wiele ważniejszego.

Zawisa na barierce dokładnie w chwili, gdy limuzyna pojawia się jakieś pięćdziesiąt metrów od niej. Machanie ręką wydaje jej się takie żałosne. Może jedynie mieć nadzieję, że widać, jak bardzo jest inne.

Mieć nadzieję.

Jakby nadzieja miała z tym wszystkim cokolwiek wspólnego.

Limuzyna zbliża się metr po metrze. Przesuwa się szybko niczym ostatnie ziarenka piasku przesypane się w klepsydrze, choć wrażenie jest zupełnie inne. Wszystko dzieje się niezwykle powoli. Przypomina film puszczony w zwolnionym tempie.

Kobieta widzi swoją rękę, którą desperacko macha, jakby poruszała się w całkowicie przezroczystym żelu, jakby powietrze nabrało konsystencji galarety. Albo jakby znajdowała się na księżycu. Eteryczna, taneczna powolność. Walc w kosmosie.

Limuzyna zbliża się w nierównym tempie. Przypomina to filmy na YouTube, które się haczą. Powoli, jakby długimi krokami.

I przejeżdża.

Limuzyna mija jej więznącą w żelu rękę.

Czyżby była jednak w niewłaściwym miejscu?

Jest aż tak cholernie źle?

Wtedy odnosi wrażenie, że limuzyna jednak się zatrzymuje kilka metrów dalej. Kobietę nagle ogarnia nadzieja.

Nadzieja.

Zupełnie wyraźnie słyszy odgłosy hamowania.

Tylko że dźwięk dobiega z niewłaściwej strony.

Wtedy to do niej dociera.

Opuszcza rękę, a świat staje się nieruchomą klatką.

*

Dwa rzędy ludzi dzielą spoconego mężczyznę od jezdni, gdy przejeżdża limuzyna. Naprawdę przejeżdża. Nie zatrzymuje się. Mężczyzna wpycha się między wrzeszczących aktywistów i spogląda w prawo. Limuzyna musi się teraz zatrzymać.

Musi.

W chwili gdy przejeżdżała, zrozumiał. Zrozumiał, że się nie zatrzyma. Teraz minęła blokadę i toczy się w dół, w stronę ExCeL Exhibition Centre.

Mężczyzna spogląda za nią i zalewa go pot.

Porzuca wszelką nadzieję.

Nagle czuje, że nie chce się poddać. Związał wszystkie swoje nadzieje z czymś, co właśnie legło w gruzach, mimo to nie chce rezygnować. Coś w nim przełącza się na plan B. Wprawdzie nie ma żadnego planu B, lecz on tworzy go sobie. Tworzy go właśnie teraz.

Rozgląda się. Stoją wszędzie – w mundurach, gotowi do walki – ale zwrócenie się do nich byłoby głupotą. To nie są ludzie, z którymi można rozmawiać. Mężczyzna przeczesuje wzrokiem drugą stronę jezdni, gdzie tłum nie jest tak zwarty. Coś sprawia, że jego spojrzenie zatrzymuje się na jednym człowieku. Nie ma pojęcia, skąd to wie, ale musi porozmawiać właśnie z nim. To jemu powinien powiedzieć o wszystkim. I ten człowiek zrozumie.

Jest trochę wyższy od pozostałych, ma śnieżnobiałe włosy i skórę tak jasną, że niemal przezroczystą. Pochyliła się w stronę policjanta z oddziału prewencji oglądającego jego papiery, coś mówi. Spocony mężczyzna pojmuję, że to policjant, ale innego rodzaju. Policjant, któremu mundurowy nie do końca ufa. A on z tym policjantem musi porozmawiać.

Bo teraz to musi wyjść na światło dzienne. Mimo wszystko. Teraz świat musi się dowiedzieć.

Mężczyzna koncentruje się na wysokim policjancie, schyla się, przeciska pod barierką i rzuca pędem przez jezdnię.

Białowłosy podnosi wzrok. Ich spojrzenia się spotykają.

*

– *Mister Sadestatt?* – pyta sceptycznie nadgorliwy funkcjonariusz z Operacji Glencoe i przez szybką kasku ochronnego ogląda legitymację. Grube rękawice sprawiają, że ledwie jest w stanie utrzymać dokument.

– *Actually* – mówi obserwator najłagodniej, jak potrafi – *it's Chief Inspector Arto Söderstedt. From Europol in den Haag. I'm here as an observer.*

Policjant z oddziału prewencji kręci głową i ogląda dziwną legitymację, bo to najwyraźniej ważniejsze niż pilnowanie demonstrantów i prezydenta Stanów Zjednoczonych. Ku swej wielkiej irytacji Arto Söderstedt widzi limuzynę Baracka Obamy mijającą blokady i toczącą się w stronę groteskowego centrum konferencyjnego. Z pewnym rozczarowaniem jest zmuszony stwierdzić, że wiadomość na Twitterze była kompletną bzdurą. Plotka okazała się nieprawdziwa. Może to nawet nie była żadna plotka, tylko kiepski dowcip. Czuje rozczarowanie i ulgę. Ulgę, że amerykański prezydent nie jest aż taki głupi. Ten pomysł z zatrzymaniem się od początku wydawał się Arto niezbyt sensowny.

Jego spojrzenie obserwatora natrafia na coś innego. Kogoś innego. Arto widzi drobnego mężczyznę, z wyglądu Azjatę, który nurkuje pod barierką po drugiej stronie jezdni i biegnie.

W jego stronę.

Azjata, pewnie Chińczyk, utkwił spojrzenie w oczach Arto Söderstedta. Nie ma najmniejszych wątpliwości, dokąd zmierza. Dzieli ich zaledwie kilka metrów, gdy obserwator nagle pojmuję, że nie jest

już obserwatorem. Nagle ogarnia go przerażający lęk. Uczucie trwa zaledwie kilka sekund, lecz później będzie je analizował i interpretował. Lęk przed nieznanym, przed zamachowcami samobójcami, przed Azjatami, lęk, który jest poniżej jego godności.

To trwa naprawdę bardzo krótko.

Najpierw powraca słuch. Odgłos pracy silnika, za którym nie nadąza reszta dźwięków. Gdy grafitowoszary samochód podcina Chińczykowi nogi, dzieje się to zupełnie bezgłośnie. Podobnie bezgłośnie jest jego dziwny pionowy lot w górę. Nawet gdy ciało uderza o asfalt – twardo, potwornie twardo – Arto Söderstedt nie słyszy żadnego dźwięku.

Potem wszystkie dźwięki napływają równocześnie. Jakby najpierw zostały skompresowane, a potem w jednej sekundzie rozpakowane. Wszystkie odgłosy, wszystkie hałasy naraz. Pisk hamulców, odgłos zderzenia i ciała padającego na asfalt, narastające okrzyki przerażenia wśród aktywistów, nawet rozpaczliwe, nie do końca wyartykułowane *fuck, shit, hell!* kierowcy grafitowoszarego samochodu. Söderstedt poznaje, że to cywilny wóz policyjny i w tej samej chwili uwalnia się od policjanta z jednostki prewencji. Zaskakująco zręcznie przeskakuje przez barierkę, przykłęka przy krwawiącym ciele, nie śmie go jednak dotknąć. Mężczyzna żyje. Wciąż patrzy prosto w oczy Söderstedta, jakby ten był jakimś wybraniec.

Söderstedt unosi głowę i ogarnia spojrzeniem to, co dzieje się wokół. Z lewej strony dwóch mężczyzn w drogich garniturach wyskakuje z grafitowoszarego wozu. Nieco dalej z prawej, po drugiej stronie ulicy, zatrzymał się inny samochód, obok niego miota się kilka osób. Najbardziej widoczna jest duża grupa pacyfistów ze Stop the War Coalition, przerażenie w ich oczach. Jak bardzo jesteśmy podobni, jak podobnie reagujemy – myśli Söderstedt. Policjanci z Operacji Glencoe zachowują się jak reszta tłumu. Przerażony wzrok. Otwarte, nieme usta zasłonięte rękoma. Nie ma pojęcia, dlaczego o tym myśli.

Pochyla się nad rannym, który umiera – widać to w jego oczach. Więc, drżąc, spogląda w oczy człowieka w chwili, gdy życie opuszcza jego ciało. Chińczyk trzyma się życia tylko strzępkiem woli. I ta wola nagle wydaje się taka skupiona.

Arto Söderstedt patrzy na niego. Wygląda to tak, jakby całe ciało zostało zniszczone, otwarte jak zmiażdżona pomarańcza. Rzeżący oddech posyła w górę gejzer gorącej krwi. Krew trafia w ucho Söderstedta, on jednak nie cofa się ani o milimetr. Wie, że umierający czegoś chce. Wciąż czegoś chce.

Zatem Söderstedt drży i słucha. Trzęsie się coraz mocniej. Słyszy ciąg dziwnych sylab, jakby łączących się z tryskającą krwią. Tak wyraźnie czuje, że Chińczyk naprawdę coś mówi, że w tych sylabach kryje się jakiś sens. Mężczyzna umiera w przekonaniu, że wybraniec usłyszał jego słowa, to nie budzi wątpliwości.

Arto Söderstedt opuszcza głowę. Czuje krew nieznanego powoli kapiącą z ucha. Gdy przymyka oczy, czuje też potworne zimno. Nagle aż do szpiku kości przeszywa go dreszcz. Wcale nie dlatego, że kwiecień jest w Anglii najzimniejszym miesiącem.

Czuje lodowaty zimowy wiatr, wiatr zdrady wiejący z opuszczonej doliny.

Sztokholm, Nacka, 2 kwietnia

SPRZĄTACZKA WIEDZIAŁA, że musi wyjść z domu najpóźniej o godzinie siódmej, choć właściwie nie rozumiała dlaczego. To miało coś wspólnego z alarmem. Alarmem w willi. Mówili jej, że nie musi myśleć o niczym poza tą jedną rzeczą: żeby zamknąć drzwi od zewnątrz najpóźniej o dziewiętnastej zero zero. Oczywiście do tego czasu ma wszystko posprzątać. Tak zeznała kilka godzin po zdarzeniu.

Pierwszemu prowadzącemu przesłuchanie powiedziała, że sprząta tę willę raz w tygodniu. I że sam budynek niczym się nie wyróżnia. Jeden z wielu stojących w długim szeregu. Przychodziła zawsze w czwartki. Nie spotykała nikogo z rodziny. Tylko za pierwszym razem pani domu dokładnie jej wyjaśniła, co trzeba zrobić. Potem w czwartki nigdy ich nie było. Dziś wiedziała, że ma ich nie być dłużej niż zwykle: państwo wyjechali na długi weekend do Paryża, syn zamierzał nocować u kolegi.

Być może ta wiedza odegrała pewną rolę w rozwoju wydarzeń. Sprzątając, czuła się bardziej zrelaksowana. Nuciła sobie starą piosenkę z rodzinnej wsi w Bengbu. Próbowwała nie przywoływać żadnych wspomnień.

Co sprawiło, że później nie tylko położyła się na sofie w dużym pokoju, ale na dodatek przysnęła, pozostawiając zagadką. Nigdy wcześniej nic podobnego jej się nie zdarzyło. Zawsze nienagannie wykonywała swoją pracę. Po prostu za bardzo się bała, że zrobi coś nie tak. Była zbyt zahukana.

Jak one wszystkie.

A potem stało się to.

Skończyła sprzątanie, wciąż słysząc w uszach starą piosenkę. Poczwała się zadowolona z wykonanej pracy – i tak wolna, jak nie czuła się od dzieciństwa. Usiadła na sofie. Niemal nieświadomie zmieniła pozycję na półleżącą i zapadała się coraz głębiej i głębiej w najśliczniejsze obicie, na jakim kiedykolwiek leżała. Sofa jakby ukołysała ją do snu.

Dziwne było to, że obudziła się za dwie siódma. Zapadał kwietniowy zmierzch i upłynęła długa chwila, nim pojęła, gdzie się znajduje. Zegar na luksusowym odtwarzaczu DVD pokazał osiemnastą pięćdziesiąt dziewięć. Dopiero wtedy to do niej dotarło.

Zeskoczyła z sofy, pozbierała swoje rzeczy i popędziła do drzwi. Ujrzała je daleko w holu tak długim, jakby nie miał końca. Zobaczyła też skrzynkę na ścianie przy drzwiach, tę, której – pouczono ją ze sto razy – ma pod żadnym pozorem nie dotykać.

Nie biegała od bardzo dawna. Nie była typem biegaczki. Zajęło jej to o wiele za dużo czasu.

Była dwa metry od drzwi wejściowych, kiedy usłyszała kliknięcie. Skrzynka głucho zaszumiała, na dole zapaliła się niebieska lampka i zaczęła mrugać. Sprzątaczką rzuciła się do drzwi, ale zamarła z ręką uniesioną zaledwie dziesięć centymetrów nad klamką. Wpatrywała się jak urzeczona w skrzynkę z migającą lampką. Był tam też mały zegar. Wskazywał zero sześć trzydzieści.

To musi być alarm, pomyślała, choć trudno jej było myśleć. Na pewno alarm się uruchomił. Jeśli teraz naciśnie klamkę, myślała dalej, powoli cofając rękę, alarm się włączy. Zacznie wyc i hałasować, przybiegną sąsiedzi, zjawią się mniej czy bardziej uzbrojeni ochroniarze. Ona straci pracę, nawet trafi do więzienia, przesłucha ją policja, całe jej życie się zawali.

Wypuściła powietrze. Cofnęła rękę. Zmusiła się, by dalej myśleć. Zapewne zero sześć trzydzieści na skrzynce oznaczało, że alarm wyłącza się o wpół do siódmej rano.

Pozostawały jej dwie możliwości. Mogła zadzwonić do pracodawców do Paryża, zakłócić im romantyczny weekend i pogodzić się z tym, że po solidnej porcji wymówek ją wyrzucą. Wtedy mimo wszystko się stąd wydostanie. Mogła też zrobić coś innego.

Państwo byli za granicą, więc nie zobaczą jej tutaj. Ich syn był bardziej nieprzewidywalny, ale, sądząc po tym, jak wyglądał jego pokój – tam zawsze było najwięcej sprzątanina i zajmowało ono ponad połowę czasu – wydawało się mało prawdopodobne, by zjawił się w domu o wpół do siódmej rano. Istniało ryzyko, że wróci wieczorem, bo zapomniał czegoś, co miał zabrać do kolegi. A może będzie chciał skorzystać z wolnej chaty i urządzić imprezę? Jednak nie. Gdyby miał zrobić coś takiego, to najwcześniej jutro, w piątek. Wtedy już jej tu nie będzie.

Poza tym wygląd jego pokoju świadczył, że chłopak nie jest typem imprezowym.

Największe zagrożenie stanowili sąsiedzi. Mogli zobaczyć ją jutro rano i zadzwonić na policję. Tyle tylko, że ich znała, przynajmniej niektórych. U nich też sprzątała. I potrafiła nie rzucić się w oczy.

Stała jakiś czas przy paskudnie mrugającej skrzynce. Dawno nie myślała tak racjonalnie. Wiele zależało od tego, co wymyśli. Właściwie w tym kraju nie przebywała legalnie...

Powoli dojrzewiała w niej decyzja, by zostać. Po prostu przenocować. Nikt się o niczym nie dowie. Nie straci pracy. Nie ma nikogo, kto czekałby na nią w domu. I ona nie tęskniła bardzo za domem. Właściwie trudno to nazwać domem. Obskurna kawalerka z wnęką kuchenną na szóstym piętrze w Vällingby, którą dzieliła z trzema innymi kobietami również sprzątającymi na czarno. Żadna z nich nie miała ochoty chwycić za ścierkę, gdy wracały po czternastu godzinach pracy.

Tak, pomyślała trochę podniesiona na duchu. Tak, czemu nie miałabym tu zostać i spędzić jednej nocy w tym luksusie? Czemu nie wykorzystać tej sytuacji najlepiej, jak się da? Oczywiście musiała unikać zapalania lamp. Albo przynajmniej spróbować przez cały czas siedzieć w pomieszczeniach, które nie miały okien. Albo w pokojach z tymi grubymi roletami, których tak nie cierpiała odkurzać.

Willa faktycznie była tak duża, że na dole znajdował się pokój bez okien: łatwy do posprzątania gabinet pana domu. Najwyraźniej pan należał do osób ceniących porządek.

Nie tam jednak zamierzała pójść. Wbrew wszystkiemu poczuła przypływ odwagi. Pójdzie na górę do sypialni państwa. Są w niej grube rolety, wielki płaski telewizor na ścianie i setki filmów na DVD. Wiedziała, że w lodówce i w szafkach znajdzie mnóstwo dobrych rzeczy, które pewnie i tak się popsują, jeśli nikt się nad nimi nie zlituje.

Wymknęła się do kuchni. Wciąż było dość jasno, by korzystać z naturalnego światła. Żarówek

w lodówce nie musiała się obawiać. Mogła przytrzymać ten mały przycisk, żeby się nie zapaliły. Wiedziała, gdzie był. Znała lodówkę jak własną kieszeń, sprzątanie w niej należało do jej najważniejszych zadań. Pani domu nie była zbyt dobrą gospodynią. Lubiła perfekcyjnie zadbać o pozory, wystarczało jednak, by dobra sprzątaczką zajrzała trochę głębiej. Widziała wówczas kogoś zupełnie innego. Skończonego flejtucha.

Co czwartek gruntownie sprzątała lodówkę, ale w każdy kolejny czwartek miała wrażenie, że między półki wpadł meteor.

Pierwsza osoba prowadząca przesłuchanie ze zdumieniem powtórzyła to słowo. Przyczepiła się do niego. Ale było dokładnie tak. Meteor.

Wybór smakołyków wydawał się interesujący. Gotowce. Co prawda, nigdy się całkowicie nie przyzwyczaiła do dziwnego szwedzkiego jedzenia, choć nie potrafiła wyjaśnić, co jej nie pasowało. Na szczęście nie brakowało dobrych serów, pysznego pieczywa, trafiło się nawet trochę wymyślnych azjatyckich przysmaków – i wino. Tak daleko nie mogła się posunąć. Wina nie ruszyła.

Przygotowała sobie małą tacę z apetycznymi przegryzkami i skorzystała z ostatnich promieni kwietniowego słońca, by wejść po schodach. W sypialni ostrożnie wyjrzała przez okno. Wszędzie spokój, żadnych sąsiadów, którzy patrzyliby w tę stronę. Ostrożnie opuściła roletę i upewniła się, że dokładnie zasłoniła całe okno. Nie zostawiła nawet najmniejszej szczeliny, przez którą przedostałby się promyk światła.

Odstawiła tacę na stolik przy łóżku, podeszła do telewizora, wzięła pilota i zaczęła przerzucać kanały. Szybko się znudziła. Potrzebowała prawdziwego filmu.

Natychmiast taki znalazła. Ang Lee. Cudownie. Reżyser, który czytał jej w myślach. Wuxia. Sen i rzeczywistość splatające się w jedno. *Wo hu cang long*. Albo *Przyczajony tygrys, ukryty smok*.

Dwie godziny upłynęły jak we śnie. W ogóle straciła poczucie czasu. Zerknęła w bok na tacę i zobaczyła, że jest pusta. Na pewno nastał wieczór. Chciało jej się sikać.

Wyświetlacz na odtwarzaczu DVD wskazywał parę minut po wpół do dziesiątej. Gdyby tak przynieść sobie jeszcze coś do jedzenia? I obejrzeć kolejny film Anga Lee? W tej wielkiej kolekcji było ich więcej.

Wzięła tacę i zaczęła schodzić po schodach. Teraz wymagało to skupienia. Kompletnie ciemno. Szła powoli, ostrożnie. Mijając gabinet pana domu, zobaczyła, że pali się tam światło. Upuściła tacę. Wydawało się jej, że echo nigdy nie umilknie. Serce waliło jak szalone.

Qin wo de pi gu! – pomyślała. Jednak syn wrócił do domu? Siedzi tam i ukradkiem surfuje na komputerze ojca?

Podkraśla się do drzwi. Serce wciąż waliło. Zajrzała do środka. Jakby nie miała nic do stracenia. I tak było za późno.

Wsuwała głowę głębiej i głębiej. Widziała coraz większą część pokoju. W końcu zobaczyła cały.

Pusto. Ale komputer był włączony. Na monitorze wirowały okręgi, tworząc dziwne wzory. Podeszła do biurka, wzięła myszkę i poruszyła ją lekko.

Pojawił się zupełnie inny obraz. Jakaś strona startowa. Nie było w tym nic dziwnego. Dziwne było najwyżej to, że pan domu zapomniał wyłączyć komputer przed wyjazdem do Paryża.

Usiadła. Zaczęła powoli przeglądać zawartość komputera, sprawdzać, jakie krył tajemnice. Lęk ustąpił, choć serce wciąż szalało. Robiła coś, czego nie było jej wolno. Skrzynka mailowa nie została zamknięta. Czy naprawdę powinna do niej zaglądać?

Złamała tak wiele zakazów, że właściwie pozbyła się zahamowań. Rzuciła okiem na historię przeglądarki, potem zaczęła surfować.

Po jakimś czasie natrafiła na długie szwedzkie słowo z trudną pisownią – minęło dużo, dużo czasu, nim pojawiły się wyniki. Wtedy wpisała to samo słowo w wyszukiwarkę plików na komputerze. Żadnych trafień.

Z bijącym sercem zaczęła przeglądać program mailowy. To było jak grzebanie w mózgu obcego człowieka. Czas mijał. Mnóstwo czasu.

Przeczytała dużo.

Zobaczyła jeszcze więcej.

Widziała rzeczy, których nie chciała oglądać.

Bez żadnego ostrzeżenia w gabinecie nagle stanęli dwaj uzbrojeni mężczyźni. Z otwartymi ustami wpatrywała się w lufy dwóch pistoletów.

Najgorsze koszmary się urzeczywistniły. Tyle że w dwójnasób. Albo trójnasób. Gapiła się na te pistolety i pojęła, że to koniec.

Zupełnie klarowny, całkowicie racjonalny wniosek nasunął się sam.

Do pokoju wszedł trzeci mężczyzna. Podeszedł do niej i ostrożnie, ale stanowczo odsunął jej dłonie od klawiatury. Dopiero gdy podniosła ku niemu wzrok, zobaczyła, jaki był niesamowicie wysoki.

Odchrząknął i pokazał jej legitymację policyjną.

– Inspektor policji kryminalnej Jon Anderson z jednostki informatycznej Rikskrimu – powiedział. – Mam podstawy sądzić, że oglądała pani w sieci pornografię dziecięcą.

Jasno i wyraźnie

Haga, 6 kwietnia

JUTTA BEYER Z BERLINA nie była do końca pewna, co właściwie robi w Hadze. Nie była też pewna, czy ktokolwiek to wie. Lubiła jasne struktury, takie jak w Abteilung 4 des Landeskriminalamtes Berlin. Jutta była Kriminalobermeister w LKA 4, wydziale zajmującym się przestępczością zorganizowaną i działalnością gangów, które w tej chwili zalewały Niemcy. Jakby było za mało grup rosyjskich i wschodnioeuropejskich, zaczęła się także pojawiać mafia włoska, przede wszystkim tajemnicza 'Ndrangheta z Kalabrii w południowych Włoszech, nowi królowie europejskiego handlu kokainą. Najgorzej było na zachodzie – Nadrenia Północna-Westfalia pogrążyła się w chaosie porachunków mafijnych – ale i w Berlinie obciążenie pracą stało się tak absurdalne, że nawet Jutta Bayer gotowa była zrezygnować z bezpiecznych struktur i wypłynąć na nieznane wody.

Nastąpiło to, gdy przyszła propozycja z Europolu.

Pierwszego lipca mijało trzydziestolecie istnienia europejskiej agencji policyjnej Europol. Wraz z końcem roku jej charakter miał ulec zmianie; przeprowadzała się z porośniętego bluszczem przytulnego starego budynku szkoły w najładniejszej dzielnicy Hagi do pełnego biurokratów prawdziwego drapacza chmur i stawała formalnym urzędem Unii Europejskiej. Pozostawała biurem nieoperacyjnym, nieposiadającym prawa do zatrzymywania lub przesłuchiwanie ludzi ani do prowadzenia śledztwa w przypadku podejrzenia popełnienia przestępstwa, poszerzono jednak jej uprawnienia tak, by obejmowały wszystkie poważne przestępstwa o zasięgu wykraczającym poza granice jednego państwa. Miał zniknąć wymóg powiązany z przestępczością zorganizowaną. Większość wtajemniczonych była zgodna, nawet jeśli nie mówiła tego wprost, że jest to krok w stronę utworzenia operacyjnej ponadpaństwowej policji europejskiej – nieoficjalne podwaliny europejskiego FBI.

Entuzjazm Jutty Beyer z tego powodu, że mogła uczestniczyć w tym historycznym wydarzeniu, nie miał granic. Uwielbiała wydarzenia historyczne, odkąd jako dwunastolatkę posadzono ją na murze berlińskim, podczas gdy ludzie ze Wschodu i z Zachodu z obu stron burzyli go młotami i kilofami. Siedziała na tym murze w jasnoniebieskiej sukience i z misiem Traugottem w ręce, spoglądając na zachód. Zdjęcia z nią pojawiły się w gazetach na całym świecie. Historyczne zdjęcia.

A teraz mogło nastąpić kolejne wydarzenie historyczne.

W Berlinie niczego nie zostawiła, nie miała rodziny ani żadnych bliskich przyjaciół. Poza tym to było cudowne uczucie: porzucić wojny podjazdowe ze skrajnie prawicowymi gangami, z brutalną, prymitywną rosyjską mafią, włoskimi pośrednikami oraz całym tłumem handlarzy narkotyków i zająć się poważną przestępczością zorganizowaną.

Jej entuzjazm szybko jednak przygasł. Trafiała do międzynarodowej grupy, której uprawnienia, a nawet zakres działań pozostawały dla niej absurdalnie niejasne. Przy kilku okazjach próbowała skłonić szefa

operacyjnego grupy – to była tylko nazwa w grupie nieoperacyjnej – by jej wyjaśnić, o co w tym wszystkim właściwie chodzi. Był rzetelny i sympatyczny, bez wątplenia był też świetnym fachowcem, ale miała wrażenie, że coś przed nią zataja. No cóż, zatajał w sumie przed całą grupą. Której granice pozostawały absurdalnie niejasne.

W każdym razie szef powiedział jej tyle: struktura grupy celowo jest elastyczna. O to właśnie chodzi. Ci, którzy przeprowadzili się do Hagi, stanowią jej rdzeń, jednak ci, którzy zostali w ojczystych krajach i przyłączają się do pracy zmianowo, są równie ważni. Jednak czym właściwie Opcop różnił się od dawnych struktur Europolu – z Europol Liaison Officers, tymi cholernymi ELO's, którzy wszędzie wtykali nos – pozostawało niejasne.

Przez miesiąc pracy, czyli od pierwszego marca, zajmowała się głównie przenoszeniem papierów i uczeniem się obsługi systemu komputerowego. Ale najwięcej czasu spędzała na złoszczeniu się. Bo nie wiedziała, co robi, a przede wszystkim – co powinna robić. Miała wrażenie, że cała działalność Europolu została sparaliżowana.

Jest policjantką, która chce działać, ale potrzebuje wyraźnych wytycznych i jeszcze wyraźniejszego określenia, co należy do jej obowiązków. Wtedy staje się gotowa do akcji.

Działania Opcopu to były przede wszystkim spotkania. Spotkania, które najczęściej dotyczyły lokalnych kwestii administracyjnych. Właśnie na takie spotkanie się wybierała w ten wczesny poniedziałkowy ranek na początku kwietnia.

Wiosna zawitała do Hagi, tego dziwnego małego miasta, które wyglądało jak zbudowane z domków dla lalek. Jutta jechała na rowerze i cieszyła się cudownym dniem. Była berlińską rowerzystką i jako taka sporo już widziała, lecz holenderscy rowerzyści sprawiali wrażenie należących do zupełnie innego gatunku. Haga to nie igraszki, natomiast Amsterdam, dokąd kilka razy w weekend wybrała się na rowerze, to rowerowe piekło na ziemi. Wszyscy jeździli tam, jak popadnie, często z trójką czy czwórką dzieci na kierownicy, z kaczką albo gilotyną na bagażniku. O jakichkolwiek zasadach ruchu nie było mowy. Jutta Beyer lubiła zasady.

Po wjeździe w Raamweg zobaczyła kojący widok: dzika zieleń porastająca budynek Europolu piętrzyła się niczym w oazie napotkanej po długiej wędrówce przez pustynię. Niczym ogromny dom z liści przybrany rzędami czerwonych prostokątów. Jutta jeszcze się nie nauczyła, w jaki sposób rozkłada się te czerwone markizy. Tak jakby nie było instrukcji.

Gdy skręcała na parking, w jej głowie pojawił się dziwny obraz. Budynek Europolu skojarzył jej się z choinką potraktowaną zgniatarką złomu. Obraz natychmiast się rozwiął, kiedy z powodu zamyślenia niemal wpadła na Marka Kowalewskiego, polskiego kolegę z odrobinę zbyt szerokim uśmiechem. Zaparkowali rowery obok siebie.

– Zepniemy je razem? – zapytał Marek i zagrzechotał łańcuchem jak jakiś kiepski duch.

– Nie sądzę – odparła Jutta i przypięła rower swoim łańcuchem.

Ruszyli w drogę przez korytarze, tego nie była w stanie uniknąć. Podobnie jak towarzystwa Lavinii

Potorac, okropnie opryskliwej Rumunki, byłej gimnastyczki o nieznośnym charakterze oraz idealnie wytrenowanym ciele ukrytym w workowatych ciuchach, która wyłoniła się z damskiej toalety i surowo skinęła im głową. Pod drzwiami sali spotkań stał kastylijski elegant Felipe Navarro i poprawiał krawat, wysunąwszy koniuszek języka. Lavinia Potorac ponuro pokręciła głową, przesunęła wejściówkę przez czytnik, wstukała kod i szarpnęła drzwi. Navarro przytrzymał je pełnym galanterii gestem. Nikt się nim nie przejął.

Reszta tego barwnego towarzystwa była na miejscu. Miriam Hershey z Londynu i Laima Balodis z Wilna, które zdążyły zostać najlepszymi przyjaciółkami; nieco nieobecny duchem ateńczyk Angelos Sifakis; zawsze bojowo nastawiona Francuzka Corine Bouhaddi; Fabio Tebaldi z San Luca, położonego w palcach włoskiego buta – młody policjant zwalczający mafię, któremu grożono śmiercią. Nie brakowało starszego od nich wszystkich nieco dziwnego białoskórego Szweda Arto Söderstedta. Szweda albo Fina – Jutta Beyer nie była tego do końca pewna.

Zauważyła również kilku współpracowników z krajowych biur. Nie rozpoznawała żadnego z nich. To typowe dla tej grupy. Wszystko zamazane, niejasne.

I do tego jeszcze język, w którym musieli mówić wtedy, kiedy żadne z nich nie mogło się posługiwać językiem ojczystym. Wszyscy zmagali się wówczas z *the EUnghlish language*, dziwnie bezdźwięczną materią językową używaną w Unii Europejskiej. Co prawda, członków Opcopu wybrano częściowo ze względu na ich kompetencje językowe, poza tym przeszli intensywny kurs podstawowy, ale i tak było to męczące.

Jutta Beyer osiągnęła niemal temperaturę wrzenia, gdy usiadła na swoim zwykłym miejscu w przestronnej sali o ścianach i suficie wyłożonych drewnem. Zdobily je symetryczne kasetony, jakby architekt próbował naśladować wnętrze jakiejś katedry.

Coś było inaczej, coś się zmieniło, lecz dokładnie w chwili gdy zaczęła się nad tym zastanawiać, Kowalewski usiadł trochę za blisko niej. I oczywiście się uśmiechnął. Jeszcze szerzej. Pewnie chciał pogadać o weekendzie. Zaczęła bardzo wolno wyjmować papiery z poprzedniego tygodnia i miała nadzieję, że zanim skończy, zjawi się szef.

Czas mijał i żaden szef jakoś się nie zjawiał. Minęła ósma. Możliwości przekładania papierów, długopisów i notesu zaczynały się wyczerpywać. Jutta zaraz będzie musiała spojrzeć Markowi w oczy. Czowała, że nie da rady. Bała się, że uzna ją za nieuprzejmą. Wiedziała, że czasem się to zdarza, gdy jest zirytowana, a ludzie za bardzo próbują się do niej zbliżyć.

Na szczęście Kowalewski już się odwrócił i rzucił głośno:

– *Let's play Chinese whispers, children!*

Reszta grupy spojrzała na niego. Zdążyli się przyzwyczaić, że inaczej nie umie i że zachowuje się jak klaun. W każdej grupie zawsze był ktoś taki. Tym razem spojrzenia wyrażały zdziwienie. A może były nawet trochę oskarżycielskie.

– *Shit* – mruknął Kowalewski, kładąc uszy po sobie. – Nie tak to się nazywa po angielsku? Ta zabawa,

kiedy jedna osoba szepcze jakieś słowo, a następna ma je szeptem przekazać dalej? To by mogła być fajna zabawa, bo każdy z nas mówi innym językiem i...

– Nie słyszałeś? – spytała ciemnowłosa Miriam Hershey, przenosząc spojrzenie z Marka Kowalewskiego na Arta Söderstedta.

– Czego nie słyszałem? – zdziwił się Kowalewski.

Jasnoskóry Söderstedt przeciągnął się tak, że aż zatrzeszczały kości, i powiedział:

– *Let's just say I've had my fair share of Chinese whispers.*

Jutta Beyer była wdzięczna losowi, bo w tej właśnie chwili do sali wszedł szef i samą swoją obecnością sprawił, że atmosfera się zmieniła. Skinął głową zebrany i usiadł za swoim pulpitem. Był dość przystojnym mężczyzną w średnim wieku, o siwiejących ciemnoblonde włosach. Jego raczej szczupłe ciało było zaokrąglone w pasie. Na policzku miał czerwoną plamkę. Pochodził ze Szwecji i nazywał się Hjelm.

Paul Hjelm.

– W ubiegły czwartek Europol zbliżył się do działalności operacyjnej tak bardzo jak nigdy dotąd – odezwał się swoim dość poprawnym angielskim. – Nasz szanowny kolega Arto Söderstedt został zamieszany w pewien incydent w Londynie. Był to wypadek, lecz dowództwo poświęciło cały weekend na omawianie związanych z tym zasad. Wiem, że macie serdecznie dość zasad, przyjaciele. Możecie mi wierzyć, kiedy mówię, że i ja mam ich dość.

Popatrzył po ludziach. Kilka osób pokiwało głowami. Hjelm westchnął i kontynuował:

– Przede wszystkim strasznie zmęczyło mnie ściemnianie. Spędziliście ponad miesiąc w swojej nowej pracy i nadeszła pora, by powiedzieć coś jasno i wyraźnie. Jesteście na to gotowi?

– Bardziej niż gotowi – zapewnił Felipe Navarro, znów poprawiając krawat. – Wpakowaliśmy się w to wszystko, nie będąc do końca pewni, o co chodzi, więc trochę sami jesteśmy sobie winni. Ale że to będzie aż tak niejasne, było małym zaskoczeniem. Chodziło chyba o to, że miała to być jakaś nowa międzynarodowa jednostka policji.

– Jej nowość polega na tym, że nie ma w niej nic do roboty, z tego nie zdawaliśmy sobie sprawy – rzuciła cierpko Corine Bouhaddi.

Paul Hjelm uśmiechnął się i mówił dalej:

– Wiecie, że skrót Opcop oznacza „Over Police Cooperation”, jawną policyjną współpracę w ramach Europolu. Tak brzmi oficjalna nazwa. W gruncie rzeczy oznacza po prostu „Operating Cops”, wymyślił to jeden z naszych zastępców dyrektorów. Osobiście wolałbym coś subtelniejszego, ale to oddaje istotę rzeczy. Jesteśmy jednostką, która ma sprawdzić operacyjne możliwości międzynarodowego oddziału policji przed przekształceniem Europolu w formalny urząd Unii Europejskiej i podczas tego przekształcania.

– Sprawdzić? – wybuchnął Fabio Tebaldi. – Co, u diabła, znaczy sprawdzić?

– Chciałbym jak najdobitniej podkreślić, że to, o czym mówimy w tym pokoju, jest opatrzone

najwyższą klauzulą tajności Unii Europejskiej, czymś, co w większości krajów UE określa się mianem *absolute secrecy*. Za niedotrzymanie tajemnicy grozi kara około dziesięciu lat więzienia. I skoro już to omówiliśmy, „sprawdzić” oznacza, że będziemy się zajmować własnymi śledztwami.

Dla laika taka informacja nie zabrzmiałaby zapewne szczególnie bulwersująco, lecz głosy, które wypełniły pomieszczenie, nie należały do laików. To były głosy policjantów. Policjantów, którzy chcieli działać, nie asystować, chcieli prowadzić, nie być prowadzeni. Dyrektywa określała to jasno: zadanie Europolu polega na wspomaganiu policji krajowych w koordynowaniu działań i gromadzeniu informacji, nie zaś na samodzielnym działaniu.

– Właściwie to bardzo proste – ciągnął Paul Hjelm. – Międzynarodowa przestępczość ma nad nami coraz większą przewagę. By zyskać choćby najmniejszą szansę uporania się z przestępczością zorganizowaną, która właściwie nigdy nie pozostaje w granicach państw, policja również musi się stać międzynarodowa. Na razie nie ma takich uprawnień, nie możemy o tym zapominać. Jesteśmy po prostu szpicą, awangardą, tajnymi prekursorami. Mamy sprawdzić, czy to w ogóle możliwe, by prowadzić policyjne śledztwa na płaszczyźnie ponadpaństwowej, europejskiej.

Umilkł na chwilę i spojrzenie jego błękitnych oczu przesunęło się po twarzach słuchaczy. Doświadczeni detektywi ze wszystkich zakątków Europy wymieniali spojrzenia, które należałoby uznać za sceptyczne. I trudno było spodziewać się czegokolwiek innego. Miał jedynie nadzieję, że tego sceptycyzmu nie widać w jego własnym spojrzeniu.

Oczywiście Corine Bouhaddi była tą, która wygłosiła podsumowanie:

– Jak, do licha, mamy tajnie prowadzić policyjne śledztwa?

– Doskonałe pytanie – stwierdził Paul Hjelm. – Mamy się jedynie nie afiszować z tym, że Opcop istnieje. Gdyby przyciśnięto nas do muru, musimy być w stanie powołać się na poszczególne policje krajowe. Dokładniejsze wytyczne przesłano wam dziś rano intranetem.

– Możemy nosić broń? – spytała Lavinia Potorac, która uwielbiała broń.

– Jeśli mamy prowadzić śledztwa na pełną skalę, musimy nosić broń, więc odpowiedź brzmi: tak. Wiedzmy jednak, że jeśli wywiąże się strzelanina, konsekwencje mogą być znacznie poważniejsze niż zwykle. Moje zadanie polega na zacieraniu wszelkich śladów prowadzących do naszej jednostki, ale wiem, że nie zawsze będzie to możliwe.

Jutta Beyer podniosła rękę. Pozostali uczestnicy spotkania przyglądali jej się z niedowierzaniem. Nawet Hjelm wydawał się zdumiony, gdy ledwie zauważalnym gestem udzielił jej głosu.

– A co się stanie – spytała – jeśli śledztwo zaprowadzi nas do kraju członkowskiego Unii Europejskiej, który nie należy do Opcopu? Powiedzmy na Węgry albo do Holandii?

Paul Hjelm powoli pokiwał głową.

– Chyba równie dobrze możemy zacząć od początku – powiedział z trudnym do zinterpretowania lekkim grymasem. – Unia Europejska obejmuje obecnie dwadzieścia siedem krajów członkowskich. Grupa złożona z dwudziestu siedmiu policjantów mających takie zadanie jak nasze byłaby nie tylko tak

droga, że unijne liczykrupy zaczęłyby kręcić nosem; byłaby też niewygodna z operacyjnego punktu widzenia. Dlatego na wczesnym etapie planowania podjęliśmy decyzję, by ograniczyć liczbę jej członków. Wiele mniejszych państw musiało pogodzić się z faktem, że na początku będą reprezentowane przez któryś z sąsiednich krajów. O ile wszystko wypali, później zastosujemy rotację. Cały pomysł byłby jednak dość bezsensowny bez „wielkiej czwórki”. Tak więc w grupie są i zawsze będą reprezentowane Niemcy, Francja, Wielka Brytania i Włochy. Jak dokładnie będzie z „dość dużą dwójką”, na razie nie wiadomo, ale teraz Hiszpania i Polska mają swoich przedstawicieli. Postanowiliśmy na początku nie uwzględniać najmniejszych krajów: Malty, Cypru, Luksemburga, Estonii, Słowenii. Większość „średnich” krajów musiała pogodzić się z faktem, że będzie je reprezentować sąsiad. W tej chwili Szwecja reprezentuje Skandynawię, Polska i Rumunia reprezentują były blok wschodni, Litwa – kraje bałtyckie. Hiszpania reprezentuje południowo-zachodnią Europę, Grecja – południowo-wschodnią, Niemcy – kraje niemieckojęzyczne i państwa Beneluxu, Wielka Brytania – wszystkich wyspiarzy. Tak mniej więcej. Nie do końca to sprawiedliwe i mieliśmy już trochę protestów z Holandii, która na razie musi pocieszyć się tym, że na jej terytorium mamy swoją siedzibę.

Paul Hjelm zrobił przerwę, potarł kark i podjął:

– Niemniej w skład grupy wchodzi wszystkie kraje Unii Europejskiej za pośrednictwem swoich krajowych reprezentantów. Jak wiecie, niektórzy z nich są dzisiaj z nami, i jak widzicie, w naszej sali konferencyjnej zaszło podczas weekendu parę zmian.

Zebrani zaczęli się rozglądać. Po dokładniejszym przyjrzeniu się zauważyli, że w poziomym rzędzie kwadratów, które całkowicie symetrycznym wzorem pokrywały ściany i sufit, teraz znajdują się monitory. Tuż powyżej linii wzroku w kwadraty wpasowano szereg ekranów. I gdy się je policzyło, co wydawała się teraz robić co najmniej połowa członków Opcopu, otrzymywało się liczbę dwadzieścia siedem.

– Elegancka stolarka, prawda? – spytał Hjelm z krzywym uśmiechem.

– A niech mnie, *Eurovision Song Contest* – wybuchnął Marek Kowalewski. – *Royaume-Uni, douze points.*

– Tyle że tylko dla wtajemniczonych – zauważyła Corine Bouhaddi, próbując ukryć uśmiech.

– Dla wszystkich dwudziestu siedmiu wtajemniczonych – pokiwał głową Paul Hjelm. – Miejmy nadzieję, że nie będzie trzeba zbyt często ich używać, ale są przewidziane konferencje z grupami Opcopu we wszystkich krajach. Tak, żeby nikt nie czuł się wykluczony.

– Chyba wszyscy z nas zadawali sobie pytanie, z czego wynika dominacja Szwedów w grupie – odezwał się Felipe Navarro, ogromnym wysiłkiem woli powstrzymując palce, by znów nie powędrowały do krawata. – Unia Europejska ma dokładnie pół miliarda mieszkańców. Szwedów jest zaledwie dziewięć milionów. To mniej niż dwa procent.

– Ale mamy dokładnie dziesięć procent powierzchni – ripostował nagle śniady, dość niski mężczyzna siedzący na ławie przy Arto Söderstedcie, najwyraźniej ktoś z krajowego biura.

Pewnie akurat przypadała jego zmiana w Hadze. Większość zebranych zakładała, że musi być

Hiszpanem, lecz gdy Navarro próbował w piątek zamienić z nim kilka słów w szlachetnej hiszpańszczyźnie, okazało się, że hiszpańszczyzna śniadego mężczyzny jest dość nędzna i że mówi on z irytującym latynoskim akcentem.

– To ty też jesteś Szwedem? – wybuchnął teraz Navarro, ku swemu rozdrażnieniu po hiszpańsku.

– Przykro mi – odparł mężczyzna, nadal kalecząc hiszpański, po czym kontynuował w łamanym EUnghlish. – Nazywam się Jorge Chavez. I wciąż się jeszcze nie zdecydowałem, czy dobrze jest być Szwedem.

Wtedy Paul Hjelm odchrząknął głośno i oświadczył:

– W jednostce jest tylko jeden Szwed, Arto Söderstedt. To, że szefem został Szwed, to czysty przypadek. Dyrektor jest, jak wiecie, Brytyjczykiem, a zastępcy dyrektora są z Francji, Włoch i Hiszpanii. Największe kraje nie mają żadnych powodów do narzekań.

– Zadaję sobie natomiast pytanie – wtrącił Fabio Tebaldi – czy szwedzka policja jest zdolna radzić sobie z naprawdę poważną przestępczością. Wy tam na północy macie raczej święty spokój.

– To mit – odparł Jorge Chavez. – Mit o spokojnym skandynawskim raj. Przykro mi, że muszę pozbawić cię złudzeń, *but it's bullshit*.

– W każdym razie dobrze potraficie zachowywać neutralność – rzuciła wojowniczo Corine Bouhaddi.

– Dajcie już spokój – odezwał się Paul Hjelm. – Naprawdę się staraliśmy, żeby nasza grupa była jak najbardziej reprezentatywna. Mamy równość, jeśli chodzi o płeć i wiek, więc chciałbym wierzyć, że również jeśli chodzi o geografie.

– Zgodzę się, że nie to jest najważniejsze – odezwała się Miriam Hershey. – Jestem brytyjską Żydówką i czuję się dobrze reprezentowana. Przejdźmy do sedna.

– Czyli dowiedzmy się, czy są dla nas jakieś zadania – dodała Laima Balodis, jakby mówiła za nie obie i nie było w tym absolutnie nic dziwnego.

Paul Hjelm przez krótką chwilę wpatrywał się w ten niezwykły duet, po czym odparł:

– Nie.

– Nie? – zaprotestowała bliżej nieokreślona masa.

– Jeszcze nie. Ale jesteśmy gotowi. *Are we ready?*

Jak w piłkarskiej szatni, pomyślała z niesmakiem Jutta Beyer.

Odpowiedzią był zbiorowy szmer, z którego w końcu wybił się jeden głos. Dotychczas niesłyszany głos. Minęła chwila, nim grupie udało się skojarzyć, że należy do Angelosa Sifakisa. Zapytał cicho:

– Co tak właściwie stało się w Londynie?

– W Londynie?

– I było tak ważne, że dowództwo grupy poczuło się zmuszone, by poświęcić weekend na dyskusję o zasadach? I co doprowadziło do tych wszystkich wyjaśnień?

– Ach – mruknął Paul Hjelm, czując, że się trochę zagalopował. – To.

– Tak, to – powiedział Arto Söderstedt. – To było na spotkaniu G-20 w Londynie. Na moich rękach

umarł człowiek. Azjata.

– Arto nie natrafił na żadne przestępstwo – wyjaśnił Hjelm. – Ale równie dobrze mógł natrafić. A wtedy po prostu stałby bezradnie. Każdy pamięta takie sytuacje, kiedy działał jako obserwator. Doszliśmy do wniosku, że już nigdy nie możecie się czuć tak bezsilni, jak czuł się wtedy Söderstedt.

– Przestępcą mógł być ruch lewostronny – stwierdził Arto. – Co skłania mnie ku opinii, że to jednak był Chińczyk. Japonia ma ruch lewostronny, Chiny prawostronny. Ten człowiek nie zauważył wozu policyjnego, który nadjechał lewym pasem.

– Czyli po prostu wypadek? – spytał Sifakis i w jego głosie zabrzmiała chyba nutka zawodu.

– Po prostu wypadek – potwierdził Paul Hjelm. – Tylko że w bardzo dziwnej sytuacji.

– Ale on czegoś ode mnie chciał – odezwał się Söderstedt. – Wyszepiał coś do mnie. Tuż przed śmiercią. Miałem w uchu pełno jego krwi.

– Rozmawialiśmy już o tym – wtrącił Hjelm z ledwie słyszalnym zmęczeniem w głosie. – Musisz sobie dać z tym spokój. Wiesz dobrze. Nawet jeśli istniałyby przesłanki pozwalające podejrzewać popełnienie przestępstwa, nie mamy absolutnie żadnego punktu zaczepienia. Zmarły nie został nawet zidentyfikowany. Jego wkład w sprawę polega na tym, że udało mu się uaktywnić grupę Opcop. Która teraz powróci do swojego pięknego biurowca, pilnie przeczyta wewnętrzny mail i poczeka, aż uda mi się namierzyć jakieś odpowiednie dla niej zadania. Skończyliśmy.

Zebrani bez wątpienia wydawali się odrobinę zawiedzeni. Epokowe spotkanie jakby przeciekło im przez palce. I oni sami wyciekli z sali jak niemal wyschnięty strumień. Tylko Paul Hjelm, Arto Söderstedt i Jorge Chavez pozostali na swoich miejscach. Z ulgą przeszli na język ojczysty.

– Właśnie mi przyszło do głowy, że nigdy dotąd nie byłem szefem – stwierdził Hjelm. – Wysokim rangą funkcjonariuszem policji owszem, ale nigdy szefem. *Are we ready?* Uff... ale żenada.

– Teraz wiesz, co to polityka – stwierdził Chavez.

– Daj spokój – zaprotestował Söderstedt. – Od miesiąca jesteś szefem tej bandy. Dobrze ci idzie.

– Wiem, że będziesz się dalej zajmował tym Chińczykiem – powiedział Hjelm, podnosząc wzrok. – Teraz wszyscy o tym wiedzą. Naprawdę musiałeś to wyciągać?

– Mówiłem przecież, że wiesz, co to polityka – wtrącił Chavez. – Arto tego nie wie. Z drugiej strony, on nie jest szefem.

– Tylko wysokim rangą funkcjonariuszem policji – odciął się Söderstedt. – Poza tym chciałem, żeby trafiło to do porządku dziennego.

– No proszę, a więc ty też się nauczyłeś polityki – zauważył Chavez. – Nasz niekoronowany król *faux pas*, kto by o pomyślał.

Paul Hjelm oparł płasko dłonie na pulpicie i przyglądał im się przez chwilę. Potem spytał:

– I co właściwie o tym myślicie? Poroniony pomysł?

– Trudna sprawa, ale takie jest chyba jedyne sensowne rozwiązanie – odparł Söderstedt. – W każdym razie jeśli mamy łapać prawdziwych drani. Tworzymy społeczeństwo, w którym po prostu chodzi się na

wolności, jeśli przestępstwo wykracza poza granice jednego kraju.

– W takim razie będziemy mieli ponadpaństwowość i inwigilowane społeczeństwo – zauważył Hjelm.

– Tylko taki mamy wybór?

– O takich rzeczach powinniśmy pogadać przy Leffe Brune dziś wieczorem – podsunął Chavez. – Na razie świetnie jest być słomianym wdowcem, chłopaki.

– Jestem nim od początku roku – zauważył Hjelm. – Ty przyjechałeś dopiero w piątek. To chyba różnica.

– Miałeś tu przez parę tygodni moją żonę, ty draniu – odciął się Chavez.

– Takie są wady pracy na zmiany – wtrącił Söderstedt. – Od jutra nie będę słomianym wdowcem. Rodzina się do mnie sprowadza.

– O cholera! – rzucił Hjelm. – Nic nie mówiłeś!

– Nie śmiałem mieć nadziei, że wszystko się jakoś ułoży. I proszę. Anja załatwiła sobie pracę zdalną, a niewiele dzieci mieszka jeszcze z nami.

– Mniej niż czternaścioro? – chciał wiedzieć Chavez.

W tej chwili ze stojącego na pulpicie komputera Hjelma dobiegł jakiś dziwny szum, więc Hjelm sprawnym ruchem poruszył myszką.

– Pora sprawdzić, jaką akustykę ma ta katedra – powiedział.

Wydawało się, że w salę spotkań uderzyła niebieskawa błyskawica. Upłynęła chwila, nim udało im się zlokalizować jej źródło w ścianie: niebieskawo migoczący kwadrat w szeregu ciemnej szarości. Wreszcie pojawił się obraz, czyjaś głowa. Najpierw ukazała się ciemna rama włosów. W tej ramie nieśmiało zarysowała się twarz. Choć twarz bynajmniej nie była nieśmiała. Raczej podekscytowana. Na policzkach miała delikatny rumieniec.

– *Aber merde!* – wybuchnął Arto Söderstedt. – Szybko, zablokujcie drzwi. Jeśli ktoś z Opcopu to zobaczy, zaczną urządzać pogromy Szwedów.

– Wy też witajcie – odezwała się ciemnowłosa kobieta na ekranie. – I co, działa?

– Właśnie zainaugurowałaś nowo zainstalowany system telekonferencyjny Europolu – oświadczył Paul Hjelm. – Cześć, kochanie.

– Kochanie? – zdziwiła się kobieca głowa. – Czy to nie oficjalny kanał Europolu?

– Może taki być – odparł Hjelm – jeśli ja tak powiem.

– Władza uderzyła mu do głowy – rzucił Jorge Chavez. – Jestem całkowicie po pani stronie, pani komisarz Kerstin Holm. To oficjalny kanał i nie wolno go zaśmiecać życiem prywatnym.

Na ekranie pojawiła się inna twarz. Włosy były jaśniejsze, krócej ostrzyżone, ale równie niewątpliwie kobiece. Na widok tej twarzy Chavez dodał:

– O, cześć kochanie! Ty też tam jesteś?

– Co to za dziwny Hiszpan? – powiedziała Sara Svenhagen ze Sztokholmu i zrobiła miejsce szefowej.

– A więc niniejszym to oficjalny kontakt Opcopu z jednostką krajową w Sztokholmie, w Szwecji –

oświadczyła Kerstin Holm.

– Bardziej mi to przypomina kłębowisko żmij – zauważył Arto Söderstedt.

– Uciszcie tego fińskiego pajaca – rzuciła Kerstin. – I słuchajcie pilnie, co mam wam do powiedzenia.

– Słuchamy – zapewnił dobitnie Paul Hjelm.

Kerstin Holm odchrząknęła i powiedziała:

– Myślę, że znalazłam pierwszą sprawę dla Opcopu.

Od: Ariadna <ariadne@midasmail.com>

Temat: Dziękuję za ostatni raz!

Data: 15 marca 10.31.38 EST

Do: Fedra <fedra873456@hotmail.com>

Tak strasznie ci dziękuję za ostatni raz, Kochana, fantastycznie było poznać Twoją rodzinę. Dzieci naprawdę niesamowicie urosły. Riverdale najwyraźniej im służy.

Wciąż nie potrafię do końca przetrwać naszego spotkania po tych wszystkich latach. Wybacz, że marudzę. Plac zabaw w Central Parku – że też tak niespodziewanie wpadłyśmy na siebie. Wciąż nie wiem, ile lat mają Twoje dzieci. Za to też cię przepraszam. Trzy i pięć? Dwa i cztery? Nigdy nie udało mi się połączyć, jak to z nimi jest. A Scottowi udało się ta sztuka, by pozostać ciachem, mimo twardego życia na Wall Street. Co robisz, że tak go konserwujesz? Nie, lepiej nie odpowiadaj... ;-)

Jak pewnie zauważyłaś, mam nowy adres mailowy. Nie tylko dlatego, że znów będziemy siostrami, Ariadną i Fedrą z dziury zabitej dechami, które pomogły sobie przekroczyć wysoki próg i wkroczyć w wielki świat, lecz również dlatego, że zmusiły mnie do tego pewne okoliczności zewnętrzne. Ale o tym trochę później. W tej chwili chcę się tylko cieszyć, że masz takie wspaniałe życie, moja duchowa Siostrze. Zazdrość, której dałaś wyraz w kuchni, tłumaczę sobie tak, że musiało podziałać na ciebie wino. Z pozoru może się wydawać, że jest mi czego zazdrościć w tym moim samotnym życiu w stylu *Seksu w wielkim mieście*, ale jeśli ktoś tu może mieć powody do zazdrości, to właśnie ja.

Zwłaszcza teraz.

Ale, ale... Zaczynam gubić wątek, Kochanie. Chciałam Ci tylko powiedzieć „dziękuję za ostatni raz”, nic poza tym. Tak niesamowicie się cieszę, że naprawdę zostawiłaś za sobą całe rozczarowanie z tamtych czasów. Ja też to czułam, choć nie bezpośrednio. Wszystkie te trudne lata na Harvardzie, cała nasza harówka, brawurowy skok w biznes, ten potworny świat macho, kariery bankowe, wznoszenie się coraz wyżej w tym dziwnym drapaczu chmur i akurat wtedy – ciąża.

Nic dziwnego, że wspomnienia są takie wyraziste. Poczekalnia w klinice aborcyjnej. To, jak zapłakana wstałaś i uciekłaś. To, jak cię dogoniłam w ten przeklęty ranek w Battery Park, a Ty kompletnie zalana

łzami wyłkałaś, że nie możesz tak zawieść Scotta.

Wtedy zobaczyliśmy pierwszy samolot.

Od tamtej pory prawie o tym nie rozmawialiśmy. Może i tak jest najlepiej. Obie wiemy, że Twoje nienarodzone dziecko uratowało nam życie. To musi wystarczyć.

Albo nie. Może jednak musimy o tym porozmawiać.

Gdy tak siedziałyśmy na ławkach przy promie na Liberty Island, pojęłyśmy, właściwie bez słów, że samolot uderzył dokładnie w nasze piętro Północnej Wieży.

Nigdy nie zapomnę tego kwadransa. Był groteskowy. Nie jestem pewna, czy oddychałyśmy. Nie wiem, czy obok przechodzili ludzie, czy też panował kompletny bezruch. Jedynym, co z pewnością się poruszało z nieubłaganą obojętnością, były wskazówki zegara. Wskazały dziewiątą zero trzy.

I nadleciał drugi samolot.

Ty potem nie pracowałaś, kochana. Nie było żadnego potem. Do porodu byłaś na zwolnieniu, później zajęłaś się domem. Ja wróciłam do firmy, gdy tylko stanęła na nogi. Byłam strasznie rozdarta, czy robić karierę kosztem tych, którzy zginęli. Od razu awansowałam z *junior* na *senior*, siedmiomilowy krok po drabinie z martwych ciał. Uch, okropnie to wyraziłam, ale naprawdę tak to postrzegałam. Ale Ty nic o tym nie wiesz, bo to wtedy oddaliśmy się od siebie.

Oddaliłam się też od swojego ja. Nie widziałam większego sensu w codziennej pracy. Z drugiej strony, nie miałam też powodów, żeby z niej odejść. Dobrze zarabiałam, miałam stosunkowo bezpieczną posadę. Moja kariera się ustabilizowała i bardziej interesowały mnie imprezy niż praca.

W sumie do tego też się jakoś szczególnie nie paliłam.

Nigdy nie płonął we mnie żaden żar. Nie tak naprawdę. Nie tak, żeby aż piekła skóra.

Kim jestem, żeby narzekać? Nawet w samym środku kryzysu finansowego, który nas zalał – tak spodziewanie, a równocześnie tak niespodziewanie – moja praca nie była zagrożona. Nawet gdy pękła bańka spekulacyjna, a sekurytyzacja wybuchła w twarz całemu sektorowi bankowości równoległej, nie widziałam żadnego powodu do niepokoju. Choć sama nie miałam pojęcia, jak to się stało, zostałam uznana za starą wyjadaczkę, jeden z filarów podtrzymujących wszystko, gdy szalał orkan kredytów hipotecznych wysokiego ryzyka i groził, że za chwilę zburzy ściany cienkie jak papiery wartościowe. Dopiero gdy nadszedł ostry kryzys płynności i bank centralny zaczął pompować w nas państwowe pieniądze, zrozumiałam, jaka jest skala zjawiska. A gdy państwo nagle odmówiło pożyczki Lehman Brothers i pozwoliło, by ten stary bank upadł, pojęłam, jak było blisko. Również dla nas. Było z nami naprawdę kiepsko. Nie mieliśmy pieniędzy, kompletnie żadnej płynności, wszystko to były pożyczone pieniądze, groteskowo napompowane, pęknięta bańka marzeń jako substytut realnych środków. Bez ogromnej kryzysowej pożyczki od państwa my również poszlibyśmy na dno.

To w tych miesiącach kryzysu, gdy po raz drugi o własnych siłach podnieśliśmy się z ruin, coś zobaczyłam; coś, co nie było przeznaczone dla moich oczu. Może i jestem *senior* w firmie, ale daleko mi do *senior partner*. Nie należę do organów decyzyjnych banku. Nie miałam tego widzieć. I Bóg mi

świadkiem, żałuję, że zobaczyłam.

Widziałam to tylko przez chwilę – przelotne spojrzenie, które przemknęło po ekranie komputera. Wystarczyło.

Wystarczyło aż nadto.

Przypuszczam, że to po prostu kryzys i jakże powszechne przecucie zbliżającej się ruiny sprawiły, iż niektórzy szefowie stali się mniej staranni niż zazwyczaj. Teraz, gdy wszystko się zmieniło, a bańkę nadmuchano z nową siłą, zupełnie jakby poprzednia nigdy nie pękła, drogi ewakuacji i system zabezpieczeń oczywiście znów są na miejscu. Jednak podczas tej krótkiej chwili nieuwagi otworzyła się szczelina. W tej szczelinie zobaczyłam upiory.

Tak, upiory. Albo może potwora.

Minotaura.

Oprócz Ciebie nie mam nikogo, do kogo mogłabym się zwrócić. Takie są skutki życia bez żadnych stałych punktów odniesienia. Czuję jednak, że nie powinnam wciągać Cię w to głębiej, przynajmniej dopóki nie dostanę stuprocentowego potwierdzenia, że się na to zgadzasz.

Kiedyś dzieliłyśmy się wszystkim, ale nie mam żadnego prawa myśleć, że dzisiaj będzie tak samo. Teraz nasze życie się zmieniło. Ty dźwigasz ogromną odpowiedzialność za rodzinę. Ja nigdy nie zbliżyłam się do takiej odpowiedzialności bardziej niż wtedy, gdy widziałyśmy się ostatnio. Nigdy w życiu. Nawet jeśli z całych sił wyteżę wyobraźnię, nie jestem w stanie pojąć, jak wielkim ciężarem jest taka odpowiedzialność. Mimo wszystko to coś zupełnie innego niż odpowiadać za miliony dolarów, zwłaszcza jeśli są one fikcyjne i absurdalnie napompowane. Dlatego ten list nie jest żadnym żądaniem – ważne, byś to rozumiała.

Nie mam żadnego Tezeusza, którego mogłabym posłać do labiryntu, zawsze radziłam sobie bez niego. Ale nigdy dotąd tak bardzo nie pragnęłam, by był u mego boku jakiś mężczyzna, ktoś, kto odważyłby się zapuścić w głąb labiryntu i spotkać Minotaura. Ariadna sama musi pograć się w ciemnościach i tobie Fedro, moja Siostrze duchowa, podaje kłębek nici. Jeśli go przyjmiesz, musisz być świadoma, że tym, który powróci jej śladem, równie dobrze może być sam potwór.

Nie, nie wyślę tego maila. To by było wobec ciebie nie fair. Nie chcę wysyłać Ci czegoś, co przypomina ultimatum.

Ale nie, jednak go wyślę. Naprawdę nie mam nikogo, do kogo mogłabym się zwrócić. Nigdzie na całym świecie. Mam nadzieję, że jesteś dość dojrzała, by sobie z tym poradzić.

Zanim opowiem ci cokolwiek więcej, czekam na Twoją odpowiedź. Kłębek nici leży przy wejściu do labiryntu. Weź go, jeśli czujesz się gotowa. To będzie oznaczać tylko tyle, że przeczytasz moje kolejne listy, nic więcej. Jednak jeśli poczujesz, że cena może się okazać zbyt wysoka, całkowicie zrozumieć Twoją decyzję.

Kocham Cię bez względu na wszystko, przed tym nigdy nie uciekniesz.

Sama weszłam już do środka. Nigdy nie miałam żadnego wyboru. Pewnie zabłądzę w labiryncie, zanim

dotrę do celu. Słyszę wrzaski potwora w ciemności i w jakiś dziwny sposób one mnie wabiają.

Czekam na Twoją odpowiedź, najdroższa Przyjaciółko.

Ściskam Cię mocno

Twoja Ariadna

Preludium

Sztokholm, 6 kwietnia

Z NOWEJ PERSPEKTYWY wiosna wyglądała inaczej. Kwiecień zaczął się jak zwykle – gwałtowne zmiany pogody: to zima, to znów lato, więc właściwie nic się nie zmieniło. Nawet pierwsze odważne pączki na wewnętrznym podwórzu posterunku wydawały jej się znajome. Ale to tylko pozory.

Fakt, że siedziała w innym pokoju i w innej części posterunku na Kunghsholmen nie powinien wywoływać odczuć tak drastycznie innych od tych, które знаła. A jednak wywoływał.

Siła nawyku, pomyślała. Jakaż ona jest potężna. Nasze ciało chce tego, co regularne, znajome, rozpoznawalne. Tymczasem nasza dusza, dopóki żyje, dąży do czegoś całkowicie przeciwnego.

Jesteśmy na wieczność skazani na to rozdwojenie, pomyślała. A potem dotarło do niej, o czym myśli, i zaczęła się głośno śmiać. Słyszając własny śmiech, umilkła nagle i instynktownie spojrzała w sufit. Potem zobaczyła swoje odbicie w lustrze i nie wiedziała już, czy ma się śmiać czy płakać.

Ogólnie rzecz ujmując, komisarz policji kryminalnej Kerstin Holm zachowywała się jak ktoś, kto jest obserwowany.

Ta sprawa, która nie była jeszcze nawet sprawą, wwiercała się w nią aż do szpiku kości. Było w tym wszystkim coś, co sprawiało, że fizycznie źle się czuła. Dziwiło ją to. Przez wszystkie te lata w policji widywała znacznie gorsze rzeczy. Ale to tutaj, czymkolwiek było, było inne. W bliżej nieokreślony sposób wydawało się jakieś lepkie. Otwierało przed policją zupełnie nowe drzwi, a ona nie była do końca pewna, czy te drzwi na pewno należy otwierać.

Program sztokholmski, pomyślała. Ogromny program Unii Europejskiej do wspólnej inwigilacji i wspólnego zwalczania terroryzmu. Nazwa na jej gust zbyt podobna do nazwy „syndrom sztokholmski”. Program zapewniał współpracę państw europejskich w zwalczaniu przestępczości o zasięgu międzynarodowym. Oznaczało to jednak również zwiększoną współpracę między Unią Europejską a Stanami Zjednoczonymi *in the field of freedom, security and justice*. Poza tym krajowe ośrodki antyterrorystyczne we wszystkich krajach członkowskich Unii Europejskiej, usprawnioną inwigilację poprzez aktywne gromadzenie śladów elektronicznych poszczególnych obywateli, harmonizację na szczeblu europejskim w celu usunięcia przeszkód prawnych dla inwigilacji i podsłuchów oraz rozrost europejskiej biurokracji zajmującej się nadzorem, podsłuchami i analizą i zwanej SitCen. Wszystko to miało zostać przypieczętowane w grudniu podczas unijnego spotkania na szczycie w Sztokholmie.

Zmiany, pomyślała. Ciało się przed nimi broni, ale dusza? Czy naprawdę pragnęła zrobić ten krok? Czy rzeczywiście był to jedyny sposób na coraz inteligentniejszą, coraz bezwzględniejszą, coraz bardziej międzynarodową przestępczość?

W sumie program sztokholmski sprawił, że ustawa FRA zadziałała tak, jakby podczas ucieczki personelu z elektrowni jądrowej, w której topi się rdzeń reaktora, dodatkowo zrzucano bombę.

Ustawa FRA to potoczne określenie pakietu zmian w ustawodawstwie szwedzkim, które weszły w życie z końcem roku, przy czym nowa ustawa nosiła oficjalną nazwę Ustawy o śledzeniu sygnałów w ramach działalności kontrwywiadowczej (2008:717) i stanowiła między innymi, że Instytut Obrony Radiołączności (FRA) uzyskuje prawo śledzenia komunikacji radiowej i kablowej, to znaczy internetu oraz łączy telefonicznych, poprzez wyszukiwanie na przykład nazw organizacji lub słów kodowych, na przykład „pornografia dziecięca”.

Ponieważ FRA miało uzyskać dostęp do łączy od firm telekomunikacyjnych dopiero od pierwszego października, to, co wydarzyło się w pierwszych dniach kwietnia, było nieco niespodziewane.

Stało się to w piątkowy ranek. Kerstin Holm przemoczona do suchej nitki i z włosami ociekającymi wodą dotarła właśnie do biura i kontemplowała fenomen kwietniowej pogody. Te rozmyślenia łączyły się w skomplikowany sposób z coraz silniejszymi refleksjami nad tym, czy naprawdę znalazła właściwe miejsce w życiu. Nie chodziło tylko o to, że miała nadzieję na znacznie lepszą i lepiej płatną posadę jako wysoka rangą urzędniczka tak zwanej rady operacyjnej Rikskrimu. Rada operacyjna miała niezłe wyniki, tu skupiały się wysiłki policji szwedzkiej mające na celu zwalczanie poważnej przestępczości zorganizowanej.

Kerstin Holm odpowiadała między innymi za tworzenie tak zwanych grup działania. Krajowa grupa działania była powoływana na pewien czas jednostką ukierunkowaną na zwalczanie określonego typu przestępczości. Za czasów Kerstin Holm stworzono takie grupy między innymi do zwalczania handlu marihuaną i napadów na wartościowe transporty oraz do rozpracowania setki najgroźniejszych przestępców w kraju, zwanej Listą 100.

Gdy tworzyła grupy działania, posługiwała się niezwykle wzorcem. Kiedyś mianowicie policję stać było na utrzymywanie jednostki zwanej jednostką specjalną Rikskrimu do zwalczania przestępczości o charakterze międzynarodowym. Znacznie wyprzedzała ona swoje czasy i była znakomitym prototypem dla powoływanych na bieżąco grup o ograniczonym czasie działania, które z reguły zawsze rozwiązywano, gdy tylko ich praca zaczynała przynosić rezultaty. Było to satysfakcjonujące i frustrujące równocześnie.

Jak tyle innych rzeczy w policji.

Przede wszystkim frustrujące było to, że nie mogła w tym brać udziału. Nie uczestniczyła aktywnie w śledztwach, była daleko od pracy detektywów, nie miała bezpośredniego kontaktu z przestępcami. Nie mogła doświadczać tego jedyne w swoim rodzaju uczucia, które się pojawia, gdy prawda powoli, ale nieubłagane wychodzi na jaw.

I wtedy spotkała się z dawnymi współpracownikami ze zlikwidowanej jednostki specjalnej Rikskrimu do zwalczania przestępczości o charakterze międzynarodowym. Tej, którą czasem nazywano Drużyną A. Okoliczności spotkania pozostawały trochę niejasne, w każdym razie spowodowało ono, że stanęli przed szefem Rikskrimu, który, pykając fajkę, zaproponował im nową robotę.

Niestety, nowa robota była tak odmienna od tego, czym zajmowała się kiedyś, i tak dobrze

zabezpieczona przed jakimikolwiek próbami wglądu z zewnątrz, że w praktyce Kerstin Holm znalazła się jeszcze dalej od rzeczywistości operacyjnej. Mijały tygodnie. Powoli krystalizowała się struktura. Choć wszyscy dalej mozolnie wykonywali swoją zwykłą pracę, równocześnie tworzono nową, międzynarodową grupę. Było ich niewielu do tej roboty. Jan-Olov Hultin i Viggo Norlander przeszli na emeryturę, Gunnar Nyberg przeprowadził się na grecką wysepkę i został pisarzem. Pewnie niedługo ukaże się jego powieść. Na placu boju pozostali ona i jej towarzysz życia Paul Hjelm. Nigdy nie przyszłoby im do głowy, że to zadanie na pewien czas ich rozdzieli. Zaskakujący okazał się fakt, że ta separacja miała pozytywny wpływ na ich związek. Kiedy się spotykali, naprawdę aż iskrzyło. Teraz pozostawało jedynie pytanie, czy znów będą mogli pracować razem. Mimo wszystko minęło sporo czasu, odkąd to robili. To było na długo przed tym, nim zostali parą, a na razie jednostka centralna Opcopu w Hadze właściwie nie nawiązała kontaktu ze swoimi biurami krajowymi. Wtedy, we wczesny piątkowy ranek, nie rozumiała, jak by to miało wyglądać. Arto Söderstedt i Paul Hjelm siedzieli w Hadze, ona, Sara Svenhagen i Jorge Chavez byli w Sztokholmie. Pozostawało niejasne, jak właściwie miałyby wyglądać ten kontakt między nimi.

Zresztą Drużyna A miała jeszcze dwoje innych członków. Lena Lindberg wyszła za mąż za pastora, urodziła córkę i na czas nieokreślony odeszła z pogotowia policyjnego na urlop macierzyński. I był jeszcze... – zdążyła pomyśleć, coraz bardziej gorączkowo szukając czegoś, czym mogłaby wytrzeć mokre włosy.

Wtedy rozległo się pukanie do drzwi. W jakiś sposób również gorączkowe.

– Proszę – powiedziała.

Do pokoju wszedł komisarz policji kryminalnej Jon Anderson z jednostki informatycznej Rikskrimu. Na czole miał głęboką zmarszczkę.

– I był jeszcze Jon! – zawołała spontanicznie Kerstin, podchodząc do drzwi.

Objęła dziesiątego i ostatniego byłego członka Drużyny A, swojego byłego podwładnego. Dopiero gdy oparła moką głowę o jego tweedowy garnitur dżentelmena, uderzyło ją, jak niesamowicie jest wysoki. Wciąż go obejmując, cofnęła się nieco i zobaczyła, że wielka mokra plama znajduje się poniżej jego piersi. Niezręcznie potarła ją dłonią, jakby ten gest mógł w jakiś magiczny sposób sprawić, by zniknęła. Wiedziała, jak bardzo Jon dba o swój wygląd.

Tym razem nie poświęcił plamie mu nawet jednego spojrzenia, postawił na podłodze sportową torbę, wyłowił z niej ręcznik i podał jej z uśmiechem. Zmarszczka na jego czole nie zniknęła.

– Poranny squash – wyjaśnił tylko. – I nie martw się, ręcznik nieużywany. Dziś jestem umówiony na później.

– Najwyraźniej czułeś, że najpierw za wszelką cenę musisz się spotkać ze mną – odparła Kerstin Holm.

Z wdzięcznością przyjęła ręcznik i zaczęła wycierać włosy.

– Chyba jesteś jakimś detektywem – stwierdził Anderson, z tym samym krzywym uśmiechem.

– Ten sam detektyw zauważył też, że jesteś suchy jak pieprz – odparła spod ręcznika. – Albo przynajmniej byłeś, póki jakaś starsza pani cię nie zmoczyła. Oznacza to, że albo przyszedłeś strasznie wcześnie, albo tutaj nocowałeś. Poza tym zanim tu przyszedłeś, dzwoniłeś do swojego partnera od squasha i do ośrodka sportowego. Kiedy zaczyna się mecz?

– O dziewiątej – roześmiał się Anderson i zmarszczka na jego czole prawie całkiem zniknęła.

– Czyli za czterdzieści pięć minut – stwierdziła Kerstin Holm, zerkając na zegar. – Na pewno się wyrobisz?

– Na styk – odparł.

Też się roześmiała, kiwnęła głową i oddała mu ręcznik. Wracając na miejsce za biurkiem, wskazała krzesło stojące po drugiej stronie. Starannie złożył ręcznik, wsadził go do torby, po czym usiadł.

– Czyli zdarzyło się coś ważnego – pokiwała głową Kerstin Holm. – I w dodatku ma to związek z Europolem.

– Nie zamierzam tracić czasu na chwalenie twoich zdolności dedukcji – odparł Jon Anderson i zmarszczka na jego czole w oka mgnieniu znów się pojawiła. – Ale rzeczywiście, stąpamy po cienkim lodzie.

– Innymi słowy, nie nocowałeś tutaj – zauważyła Kerstin Holm. – Myliłam się. Byłeś tu i w ogóle nie spałeś.

– Można to tak ująć.

Przez krótką chwilę oboje milczeli, oceniając sytuację. Holm zastanawiała się, czy widać, że ona też stąpa po cienkim lodzie. Absolutnie tajna międzynarodowa jednostka policji... Musiała ugryźć się w język, żeby nie powiedzieć zbyt wiele.

– Zdolność dedukcji nigdy nie śpi – odezwała się w końcu. – Ponieważ Jorge przeszedł do Europolu, mogłeś zachować tę miłą posadę szefa odpowiedzialnego za nową jednostkę Rikskrimu, zajmującą się najbardziej skomplikowanymi przestępstwami informatycznymi i internetowymi. Tu też jest sporo cienkiego lodu, ale żaden nie jest tak cienki jak ten związany ze sprawami FRA.

Teraz na jego czole były już dwie zmarszczki. Pierwszy raz widziała coś takiego. Jon wyprostował lekko szyję i odparł:

– Zostało pół roku do chwili, gdy FRA formalnie dostanie od firm telekomunikacyjnych dostęp do łączy.

– A ty po cichu przetestowałeś sobie system?

– Moja odpowiedź zależy od tego, Kerstin, jak bardzo oficjalnie chcesz ze mną rozmawiać.

– Co powiesz na ani trochę?

– Świetnie mi to pasuje – odparł Anderson i jedna ze zmarszczek zniknęła.

Znów przez chwilę milczeli. Widziała, że Jon szuka odpowiednich słów. W końcu wybrał okreśną drogę.

– Szczerze mówiąc, nie rozumiem do końca, na czym ma polegać poszerzenie jednostki Europolu. Tyłu

hiperkompetentnych policjantów, a wygląda na to, że nic się nie dzieje. Pozwolisz, że też pouprawiam trochę dedukcji?

– *Be my guest* – odrzekła Kerstin Holm, poprawiając rozczochrane włosy, by zasłoniły jej szeroki uśmiech.

– Wszyscy przecież wiemy, że z końcem roku Europol wkroczy w nową fazę. Wtedy też zostaną podjęte wszystkie decyzje związane z programem sztokholmskim. Liczne znaki na niebie i ziemi wskazują, że Europol ma się stać instytucją bardziej operacyjną.

– Jesteś pewien, że masz na to wszystko czas? – spytała, zerknąwszy na zegarek. – Nieubłaganie zbliża się pora twojego squasha.

– Tym się zajmujecie? – zapytał z szeroko otwartymi oczami i bez choćby jednej zmarszczki na czole. – Tworzycie europejskie FBI?

– To zależy od tego, jak oficjalnie chcesz ze mną rozmawiać, Jon.

– Co powiesz na ani trochę?

– Świetnie mi to pasuje – uśmiechnęła się. – Więc czego chcesz?

Jon Anderson odchrząknął, zebrał się w sobie i powiedział:

– Stworzyliśmy już listę notorycznych internetowych przestępców, których będziemy chcieli powoli wprowadzić do systemu monitorującego FRA. To będzie wymagało wielu rzeczy, decyzji sądu, akceptacji rządu, zgody państwowej komisji do spraw kontrwywiadu i diabli wiedzą czego jeszcze. Więc jeśli przepchniemy ten monitoring, musimy wiedzieć, że wszystko sprawnie działa. Czyli musimy przeprowadzać testy. Testujemy system od paru dni. Mamy wszystko, od hardcorowych pedofilów, którzy zawsze nam się wymykali, i wszelkiego rodzaju poważnych oszustów internetowych aż po drobnych, ale strasznie irytujących przestępców w stylu internetowych dręczycieli, notorycznych oszczerców i szantażystów grożących ludziom morderstwem. Chyba ci świta, jakie są kategorie.

– Jak najbardziej. Zanim wprowadzono filtry, też miałam sporo takich. Na przykład mężczyźni, którzy grożą kobietom.

– I nienawidzą ich. Wyjątkowo duża grupa. Użyliśmy paru takich do testu. W najlepszym wypadku możemy ich postraszyć, żeby przestali prześladować swoje ofiary. Takie typy często są strasznymi tchórzami. Można to zestawić w szeregu z poważnymi słowami kodowymi, takimi jak „zamordować”, „zgwalczyć”, „pornografia dziecięca”. To, co się stało wczoraj wieczorem, sprawiło, że poczułem się zmuszony wkroczyć. Nagle kategorie się nałożyły. Jeden z internetowych prześladowców zaczął wyszukiwać pornografię dziecięcą.

– Mimo wszystko nie brzmi to jak coś dla Europolu.

– Wszystko razem było dość dziwne. Postanowiłem wkroczyć do akcji. Mogłem równie dobrze przetrzucić tę interwencję na inny wydział, zawsze da się coś wykombinować. I co powiesz? Weszliśmy do willi... Przy komputerze nie siedział internetowy prześladowca. Zobaczyliśmy chińską sprzątaczkę Wang Yunli.

– Oglądała pornografię dziecięcą?

– Zagadkowe, prawda? Tu możesz przeczytać zapis z jej przesłuchania, które przeprowadziłem.

Przecież szybko czytasz.

Anderson podał jej nad biurkiem kilka zszytych kartek. Holm odebrała je i szybko przebiegła po nich wzrokiem.

– I co, nic w tym dziwnego? – spytała po paru minutach. – Była taka niewinna, jak się wydaje?

Zamknięta, wystraszona włączonym alarmem i perspektywą utraty pracy postanowiła zostać na noc, póki alarm się nie wyłączy, i zajrzała do komputera, który nie został wyłączony?

– Nic nie przemawia za tym, że było inaczej – odparł Jon Anderson. – Mówi łamanym szwedzkim, mimo to wprowadziła do wyszukiwarki bezsprzecznie skomplikowany szwedzki termin „pornografia dziecięca”. Prawidłowo napisany i w ogóle.

– Wyjaśniła ten fakt, cytując: „to musiało samo wyskoczyć”. Mogło tak być?

– Faktycznie mogło. Wyszukiwarka, której używa Carl-Henric Stiernmarck, nasz internetowy prześladowca, automatycznie uzupełnia wcześniej wyszukiwane słowa, gdy wpisuje się je ponownie. Na razie nie udało mi się ustalić, kiedy ten termin został wprowadzony po raz pierwszy.

– Stiernmarck, Hästhagen, Järla Sjö, sprzątaczką zatrudniona na czarno, willa, długi weekend w Paryżu... Czy to by były uprzedzenia, gdybym powiedziała, że sprawa dotyczy wyższych sfer?

– Oczywiście – potwierdził. – I miałybyś przy tym całkowitą rację. Carl-Henric Stiernmarck jest dyrektorem i właścicielem fabryki ekskluzywnych mebli. Kryzys finansowy mocno uderzył go po kieszeni. Najwyraźniej dawał ujście swojej frustracji, wysyłając paskudne maile do kobiet na wysokich stanowiskach w polityce. Jedna z nich miała w końcu tego dość, zgłosiła sprawę na policję i zasugerowała, że nie miałyby nic przeciw temu, gdybyśmy użyli FRA, żeby go uciszyć.

– Teraz koniunktura się zmieniła...

– ...a paskudne maile przestały przychodzić. Znów prawidłowa dedukcja, moja była szefowo.

– Jak długo testowaliście system na Stiernmarcku?

– Dopiero dwa dni. I nie zamierzam go z tego powodu ściągać z Paryża. Nic nie zyskamy na rozdmuchaniu sprawy ani na gigantycznym procesie.

– Czyli jednak wszystko to tylko jakieś duperele...

– No cóż, instynkt mi podpowiada, że pornografia dziecięca to nigdy nie są duperele. A do tego... hm... znalazłem trochę innych rzeczy. Dobrze, że akurat wyjechał; dzięki temu miałem czas przejrzeć jego komputer.

– Czyli go zarekwirowałaś?

– Tak... no cóż... jak by to ująć...

– Tu nie ma pośrednich rozwiązań – ucięła. – Ale wciąż czekam na puentę. Związek z Europolem. Jakie „inne rzeczy” znalazłeś?

Jon Anderson poruszył się niespokojnie. Zaprezentował typowy układ ruchów człowieka, który czuje

się nieswojo. I być może jest zażenowany.

– Tak... no więc... – bąknął. – Niech mnie diabli, ale tak to wygląda, jakby Carl-Henric Stiernmarck miał kontakty z mafią.

– Jak to? Rosjanie?

– Nie, włoska mafia. Kamora, 'Ndrangheta albo coś podobnego.

Kerstin Holm pochyliła się nad biurkiem, wbiła w niego wzrok i rzuciła ostro:

– Na czym opierasz tę opinię?

– Natrafiłem na adres MAC w południowych Włoszech, który dwukrotnie był używany w powiązaniu z mafią. Nic wielkiego, ale to pewne.

– Jedno trafienie? W której bazie?

Jon Anderson zaczął się wic jak robak. Jego długie ciało na małym krześle dla gości wyglądało naprawdę dziwnie.

– W bazie Europolu – wydusił z siebie w końcu.

– Który związany z Europolem szwedzki oficer łącznikowy był twoim pośrednikiem? Tak jak wymagają tego przepisy?

– Jestem hakerem, do cholery – prychnął Anderson. – Nie wygłupiaj się, Kerstin. Nie chciałem z tego robić oficjalnej sprawy. Jeszcze nie teraz.

Stłumiła uśmiech. Dotknęła włosów i stwierdziła, że wysychając, ułożyły się w jakąś nieokreśloną fryzurę. Po chwili milczenia powiedziała:

– Jaką masz pewność?

– Złe źródła, margines błędu... Powiedzmy, osiemdziesiąt procent.

– I jeśli zwalisz to na Europol, czyli na mnie, unikniesz odpowiedzialności i będziesz mógł nad tym dalej pracować?

– Przez weekend? Jestem pewien, że będę mógł zwiększyć prawdopodobieństwo do dziewięćdziesięciu pięciu procent. Są rzeczy, które wskazują...

– Stiernmarck wraca do domu dopiero w poniedziałek?

– W poniedziałek w porze lunchu. Lot z Paryża Air France AF2062, lądowanie dziesięć po dwunastej. Jeśli chcesz, mogę całkowicie sklonować jego komputer i odstawić go na miejsce.

– Przyjechaliście do Hästhagen na syrenach i światłach? Wyważyliście drzwi?

– Co sugerujesz?

Po twarzy Andersona przemknął uśmiech.

– Ustalam tylko, jaką mamy przestrzeń do działania – stwierdziła Holm ze śmiertelną powagą.

– Przyjechaliśmy cywilnym wozem, zaparkowaliśmy kawałek od domu, odłączyliśmy alarm zgodnie z instrukcjami firmy od zabezpieczeń i otworzyliśmy drzwi wytrychem. Możliwe natomiast, że Wang Yunli pozostawiła po sobie jakieś ślady. Oglądała filmy w sypialni gospodarzy i podjadała im żarcie. Nic nie świadczy o tym, że sąsiedzi coś widzieli.

Pokiwała głową, znów zerknęła na zegarek i stwierdziła:

– Zostało ci dziesięć minut do squasha. Załatwisz zgodę, żebyśmy mogli przesłuchać Wang Yunli?

– Żebyśmy mogli? – zdziwił się, wstając.

– Jorge właśnie wyjechał do Hagi. Zamierzam wtajemniczyć Sarę.

– Czytasz w moich myślach. Daj mi jeszcze trochę czasu, żebym mógł lepiej przeszukać ten komputer.

Zanim zaczniecie ją przesłuchiwać, chcę, żebyście miały gruby plik materiałów. Wszystko, co tego wieczoru robiła na komputerze.

– Wyrobisz się z tym na trzecią?

– Jeśli nie będę musiał znów przesuwac squasha – odparł, sięgnął po torbę i położył rękę na klamce.

– Tutaj o siódmej w poniedziałek rano – zdecydowała. – Chcę mieć co najmniej dziewięćdziesiąt pięć

procent.

Kiwnął głową i zniknął za drzwiami. Po paru sekundach znów się pojawił.

– A tak w ogóle, Yunli to imię – powiedział. – Popełniłem błąd, nazywając ją Wang. Ona nigdy więcej mi nie zaufa.

– Nie zapomnij się porozciągać – rzuciła.

Kwadrans później na krześle dla gości siedziała Sara Svenhagen, która wydawała się znacznie lepiej pasować do niego wzrostem. Jednak dziwnym trafem na jej czole nad błękitnymi oczami widniały takie same dwie zmarszczki.

– No nie wiem... – powiedziała, masując kark.

– Wiem, co myślisz – zapewniła Kerstin Holm. – Myślę tak samo.

– Sporo łamania przepisów, co?

– Ale też sporo dziwnych rzeczy. Naprawdę mam serdecznie dość tych agresywnych internetowych tchórzy. Ale to nie jest tu najważniejsze i ty też o tym wiesz.

– Jeśli chodzi o bezpośrednie połączenie z ‘Ndrangheta, sprawa jest poważna, masz rację. Jak mawia ten... jak mu tam... Teraldi, Temaldi, Tevaldi...

– Fabio Tebaldi z Opcopu mawia, że oddałby prawy pośladek za jakiś kontakt z ‘Ndrangheta.

– I ogólnie mówiąc, zanoszą się na to, że odda. Grozili mu przecież, że go zabiją.

– Zostawmy to w spokoju. Jon wciąż jest zajęty squashem. Wszystko można jeszcze cofnąć. Nawet z komputerem. Możemy sprawić, żeby cała sprawa znikła i nawet uratować Wang Yunli przed wyrzuceniem z pracy. Nie musimy jej nawet zgłaszać jako nielegalnej imigrantki. I nie musimy też tykać tego śmierdzącego Carla-Henrika Stiernmarcka. Wtedy postąpimy całkowicie zgodnie z regulaminem i będziemy kryci. Nie zmieni się nawet najmniejszy fragment rzeczywistości.

– O do diabła! – rzuciła Sara Svenhagen i zerwała się z miejsca.

Krzesło przeleciało ze dwa metry i zrobiło wgłębienie w drzwiach.

To było w piątek rano. W poniedziałkowy ranek Kerstin Holm przyglądała się wgłębieniu w drzwiach z idiotycznym przecuciem, że to ważne. Była godzina ósma. Czekwała. Przez krótką chwilę myślała

o minionym weekendzie. Przepiękna wiosenna pogoda, spacer z synem Andersem i przybraną córką Tovą na Långholmen i dalej przez Reimersholme, brzegiem Årstaviken aż do Eriksdalsbadet. Lunch na tej dziwnej tajskiej łodzi, którą dopiero niedawno otwarto na sezon letni. Rozmowa z Paulem w Hadze. Cudownie relaksujący nastrój.

Cisza przed burzą.

Naprawdę może tak być, pomyślała w chwili, gdy nadciągnęła burza pod postacią opatulonej w zimowe ubrania Sary Svenhagen.

– Niech to diabli, dziś jest przecież lato! – rzuciła Sara.

Zamknęła za sobą drzwi i zaczęła składać czterometrowy różowy szalik. Potem wyplątała się z płaszcza. Spocona i zaróżowiona na twarzy opadła ciężko na krzesło naprzeciw Kerstin, przeczesła ręką krótkie blond włosy, energicznie pochyliła się nad biurkiem i spytała:

– Był Jon?

Kerstin pokiwała głową.

– No i? – nalegała Sara, wykonując kolejny energiczny gest.

– Co najmniej dziewięćdziesiąt pięć procent – odparła Holm, rozsiadając się wygodnie. – Trzy nie do końca skasowane maile, które wskazują na powiązania z włoską mafią. I do tego jakieś związki z bałtycką.

– Bałtycką?

– Łotwa. Wyciągnę to, kiedy nawiążemy kontakt. Przejrzymy najpierw przesłuchanie? Przystudiujemy je trochę dokładniej?

Burza energetyczna wokół Sary Svenhagen cichła. Sara otarła pot z czoła, poluzowała trochę sweterek pod pachami. Wydawało się, że odnalazła w sobie spokój. W końcu kiwnęła głową.

Kerstin Holm uruchomiła na komputerze film z przesłuchania.

Drobna Chinka, około czterdziestoletnia, siedziała sama przy stole. Była filmowana z góry, na ukos, jakby spod sufitu. Oparła podbródek na rękach i wydawała się kompletnie zrezygnowana. Zupełnie jakby świat się zawalił, a ona została całkiem sama. Trwało to tak długo, że film wyglądał jak jedna nieruchoma klatka.

Nagle zmieniło się właściwie wszystko. Drzwi się otworzyły i do pokoju weszły trzy inne kobiety w policyjnych mundurach. Pierwsza jasnowłosa, wyraźnie wyższa od ciemnowłosej, która szła za nią. Ta z kolei była wyraźnie wyższa od ostatniej, bez wątplenia Chinki. Od razu zajęły miejsca pod drugiej stronie stołu. Głośnik komputera zatrzeszczał koszmarnie, gdy krzesła zaszurały po betonowej podłodze. Wang Yunli wciąż siedziała dokładnie w tej samej pozycji, z podbródkiem ciężko opartym na rękach, jakby świat zewnętrzny już jej nie dotyczył.

Ciemnowłosa kobieta powiedziała:

– Jestem komisarz policji kryminalnej Kerstin Holm, to jest inspektor policji kryminalnej Sara Svenhagen, a to sierżant policji Lin Gaoping, która będzie tłumaczyć z mandaryńskiego. Czytałyśmy twoje

zeznania, Yunli, ale złożyłaś je po szwedzku i po angielsku. Chcemy się upewnić, że nie zaszło żadne nieporozumienie i jeszcze raz zapytać o parę rzeczy w twoim ojczystym języku.

Lin Gaoping przetłumaczyła jej słowa. Wang Yunli wciąż siedziała w tej samej pozycji, ale po raz pierwszy podniosła wzrok i spojrzała na tłumaczkę. Gdy Lin Gaoping skończyła, Wang Yunli krótko kiwnęła głową.

Holm ciągnęła:

– Dlaczego wyszukiwałaś pornografię dziecięcą w internecie?

Dokładnie w tym miejscu Kerstin zatrzymała film. Zwróciła się do Sary Svenhagen:

– Tu to mamy – powiedziała. – Jej pierwszą reakcję.

– Obie to widziałyśmy – stwierdziła Svenhagen. – Znała te słowa. Nie wyskoczyły jej same z siebie.

– Opanowała szwedzki na podstawowym poziomie. Nie powinna znać takich terminów jak „pornografia dziecięca”.

– Jedź dalej.

Film znów ruszył. Tłumaczka przełożyła pytanie i padła odpowiedź.

– To samo wyskoczyło – powiedziała Lin Gaoping.

– Dlaczego dalej surfowałaś i przejrzałaś osiem stron z pornografią dziecięcą? Dlaczego szukałaś potem pornografii dziecięcej w programie mailowym i w całej zawartości komputera?

Znów nastąpiła przerwa na tłumaczenie. Kerstin i Sara wpatrywały się w swoje zmarszczone czoła.

– Jak ona myśli? – zapytała Sara, właściwie nie kierując tych słów do Kerstin. – Teraz ona wie, że my wiemy. Jak wygląda jej reakcja?

– Jakby miała przygotowaną odpowiedź – stwierdziła Kerstin.

– O, teraz.

I faktycznie tak było.

Tłumaczka powiedziała:

– To było takie wstrętne. Pomyślałam, że on jest zły. Chciałam sprawdzić, czy ma w komputerze więcej takich rzeczy. Skopiowałam te słowa.

Kerstin Holm znów zatrzymała film.

– I to się zgadza – stwierdziła. – Fraza „pornografia dziecięca” faktycznie była w pamięci. Co nam właściwie nic nie mówi na temat jej motywów.

Przesłuchanie znów ruszyło. Kerstin Holm na monitorze powiedziała:

– To dość dziwny rozdźwięk. Najpierw się boisz, kiedy zostajesz zamknięta, potem stajesz się odważna i zaczynasz przeszukiwać komputer swojego pracodawcy. Co prawda twierdziłaś, że wcześniej obejrzałaś *Przyczajonego tygrysa, ukrytego smoka*, a to nawet najgorszemu strachajle może dodać odwagi, ale aż tak odważna być nie powinnaś.

Tłumaczka znów zaczęła swoją tyradę. Kerstin skorzystała z okazji, by spytać:

– Powiedziałam tu za dużo?

– Niepotrzebne nawiązanie do filmu – stwierdziła Sara. – Ale w sumie nie za dużo.

– To by mogło wyjaśniać sprawę z czysto psychologicznego punktu widzenia.

– I może właśnie dlatego nie powinno się o tym wspominać.

Odpowiedź tłumaczki padła, nim Kerstin Holm zdążyła zareagować na krytykę Sary, o ile to w ogóle była krytyka.

– Wang Yunli mówi, że była w szoku po upuszczeniu tacy z resztkami jedzenia. Myślała, że w gabinecie ktoś jest. Zakradła się tam i zobaczyła, że nikogo nie ma. Wtedy bez namysłu usiadła przy komputerze. W przypływie ulgi otworzyła przeglądarkę i wpisała literę czy dwie. Wtedy wyskoczył termin „pornografia dziecięca”. Gdy zobaczyła wszystkie te straszne rzeczy, przewyciężyła strach i nabrała odwagi. Tak jak Yu Shu Lien.

– Główna bohaterka *Przyczajonego tygrysa, ukrytego smoka*?

– Ten film nazywa się *Wo hu cang long* – odezwała się po szwedzku Wang Yunli. – Nie rozumiem, dlaczego po szwedzku ma angielską nazwę.

Kerstin Holm znów zatrzymała film i stwierdziła:

– Można powiedzieć, że Zachód zaleli obcokrajowcy pracujący poniżej swoich kwalifikacji: kobiety jako sprzątaczkami i mężczyźni jako bramkarze, ale ta kobieta jest zdecydowanie za bystra na to, co robi.

– Wczoraj moi rodzice zajęli się Isabel i Miguelem – wyjaśniła Sara. – Dzięki temu miałam spokojną niedzielę i mogłam się nad tym wszystkim zastanowić. Całkowicie się z tobą zgadzam. Ta historyjka, którą Chinka zaserwowała Jonowi, po prostu tu nie pasuje.

– Łatwo jest posunąć się za daleko w hipotezach, obie o tym wiemy. Ale jeśli mamy rację, ma to daleko idące konsekwencje.

– Jedź dalej.

Kerstin Holm na filmie zapytała:

– Czyli mieszkasz w Vällingby z czterema innymi sprzątaczkami, które pracują na czarno?

Kolejna długa tyrada tłumaczki. W końcu padła odpowiedź:

– Tak. Podałam wam adres. Szóste piętro.

– Owszem, podałaś. Sprzątasz też w kilku innych domach w Nacka? Podczas pierwszego przesłuchania mówiłaś, że sprzątasz nawet u sąsiadów z Hästhagen.

Odpowiedź znów padła z opóźnieniem.

– U pięciu sąsiadów w okolicy, tak. I w paru innych domach w Nacka.

Kerstin Holm znów zatrzymała film i się skrzywiła.

– Nie do końca wiem, do czego zmierzamy, ale widzę, że coś się zaczyna rysować. Nie ma szans, żeby pięciu sąsiadów z luksusowego osiedla Hästhagen przy Järle Sjö i jeszcze parę osób z willami w Nacka było zamieszanych w pedofilię. Jakie nam zostają możliwości?

– Że ona kłamie – stwierdziła Sara Svenhagen. – Że nie mieszka na czarno w Vällingby z czterema siostrami w nieszczęściu. Że nie sprząta w żadnych innych willach.

– Albo że czegoś szuka. Przeczesuje willę po willi w poszukiwaniu czegoś, co ma związek z pornografią dziecięcą.

– Że prowadzi jakąś krucjatę?

– Albo co tam mogą prowadzić buddyści...

– Jeżeli spojrzymy z innego punktu widzenia... Na czym polega jej przestępstwo? Naprawdę sprząta w tej willi, naprawdę zostaje zamknięta w środku. Alarm był faktycznie uruchomiony, nim Jon i jego ludzie go wyłączyli. Zajrzała do komputera i zaczęła wyszukiwać termin „pornografia dziecięca”. W Szwecji to przecież nie jest zabronione, robił to właściwie każdy policjant, dziennikarz, autor kryminałów i socjolog. To, że przeglądała komputer Carla-Henrika Stiernmarcka, jest swego rodzaju naruszeniem prywatności, ale pozostaje pytanie, czy możemy ją dłużej trzymać.

– Formalnie rzecz biorąc, już siedzi za długo – stwierdziła Kerstin Holm. – Jestem przekonana, że się ulotni, gdy tylko ją wypuścimy. Wtedy nigdy nie poznamy odpowiedzi. Na tym polega problem.

– Chyba że paradoksalnie jednak ją poznałyśmy. O, tutaj.

Sara Svenhagen wzdrygnęła się lekko, gdy znów uruchamiała film. Na krótką chwilę po raz kolejny dogoniła ją odległa przeszłość. Usłyszała własne pytanie:

– Co czułaś, gdy oglądałaś pornografię dziecięcą?

Sierżant policji Lin Gaoping właśnie miała zacząć tłumaczenie, wtem Wang Yunli położyła jej rękę na ramieniu. Spojrzała prosto w oczy Sarze Svenhagen i odparła po szwedzku:

– To była najobrzydliwsza rzecz, jaką w życiu widziałam. To był sam diabeł.

– To spojrzenie – powiedziała Svenhagen, zatrzymując film. – To spojrzenie płonęło. Sama takie miałam. Może wciąż je mam.

Kerstin Holm pokiwała głową.

– W jakiś mroczny sposób wydaje się znajome – stwierdziła. – Chińskie dzieci...

– W tym wszystkim wcale nie o to chodzi – westchnęła Sara Svenhagen. – To naprawdę wciągająca zagadka, ale musimy dać sobie z tym spokój. Bo chodzi o zupełnie inne treści w komputerze Carla-Henrika Stiernmarcka. Musimy ją wypuścić. Tym, czego potrzebujemy od Wang Yunli, jest jej milczenie.

Kerstin Holm roześmiała się i westchnęła równocześnie. Wyszedł z tego dziwny dźwięk.

– Skoro mowa o paradoksach, tak, masz rację. W jej rzeczach był chyba telefon komórkowy? Na wypadek gdyby ten adres w Vällingby okazał się fałszywy.

– Tak – potwierdziła Svenhagen. – Dobrze, weźmy numer. Istnieje ryzyko, że gdy tylko wyjdzie z posterunku, wyrzuci tę komórkę, wiesz o tym.

– Nie miałam na myśli numeru – mruknęła Holm. I dodała wyraźniej: – Powinniśmy trochę mocniej ją przycisnąć?

– To może przynieść skutek odwrotny do zamierzonego. Jeśli za mocno przyciśniemy ją do muru, zacznie myśleć, w jaki sposób ją właściwie nakryliśmy. Jeśli Wang Yunli będzie wzburzona do tego stopnia, że na przykład zwróci się do prasy, Jon będzie miał przechłapanę, prawda? No i ewentualny trop

związany z mafią zostanie spalony. Nie myślałam, że kiedyś to powiem, ale mówię to teraz: to dobrze, że ona się boi.

– O do diabła – powiedziała Kerstin Holm i poczuła, że obrzydzenie do samej siebie wraca ze zdwojoną siłą.

– Ona chce tylko po cichu się ulotnić – ciągnęła Svenhagen. – My też tego chcemy. Żeby móc spokojnie dotrzeć do kontaktów z mafią. Chcemy przywrócić wszystko w tej willi w Hästhagen do pierwotnego stanu, żeby móc udowodnić Stiernmarckowi kłamstwa. Nie chcemy, żeby Yunli kręciła się w pobliżu. W tej chwili mam naprawdę ochotę odejść z policji ze skutkiem natychmiastowym.

Kerstin Holm westchnęła i pomyślała o priorytetach. Potem spytała:

– Dość już widziałyśmy, co?

– Tak myślę – odparła Sara Svenhagen.

– No to popraw włosy – rzuciła Kerstin. – Pora przetestować nasz nowo zainstalowany system telekonferencyjny Europolu.

Klikała myszką dopóty, dopóki na monitorze nie pojawiło się okno, w którym zobaczyła siebie i Sarę. Sara cofnęła się odrobinę, Kerstin poprawiła kamerę nad monitorem i kliknęła myszką. Teraz w miejscu Kerstin w oknie pojawiło się coś zupełnie innego. To była śnieżnobiała głowa, która powiedziała:

– Aber merde! Szybko, zablokujcie drzwi. Jeśli ktoś z Opcopu to zobaczy, zaczną urządzać pogromy Szwedów.

Twarz Arto Söderstedta szybko ustąpiła miejsca twarzy Paula Hjelma, przed którą na krótko mignęła twarz Jorge Chaveza. Po chwili bezsensownej rozmowy Kerstin Holm wciągnęła głęboko powietrze, odchrząknęła i powiedziała:

– Myślę, że znalazłam pierwszą sprawę dla Opcopu.

Mimo nie najlepszej jakości obrazu zobaczyły, że Paul Hjelm uważniej spojrział w ekran.

– No to posłuchajmy – powiedział.

– Szwedzki biznesmen z branży meblarskiej z dziewięćdziesięciopięcioprocentowym prawdopodobieństwem nawiązał bezpośredni kontakt z włoską mafią. Wszystko wskazuje na 'Ndranghetę. Udało nam się wydobyć trzy maile wysłane na różne włoskie adresy. Poza tym wygląda na to, że ma to coś wspólnego z krajami bałtyckimi, dokładniej z Łotwą.

W Hadze Paul Hjelm zmarszczył brwi tak mocno, że natychmiast dało się to zauważyć w Sztokholmie.

– Bardzo interesujące – stwierdził. – Wiemy, o co chodziło?

– Ani trochę. Wygląda na to, że maile były zaszyfrowane. Tylko że Jonowi wyskoczyło trafienie adresu MAC, którym posługiwała się mafia.

– Jonowi? – zawołał Hjelm. – Jonowi Andersonowi?

– Formalnie rzecz biorąc Jon Anderson zwrócił się do Europolu, by uzyskać zwykłą pomoc w międzynarodowej sprawie. Nieformalnie przekazał sprawę Opcopowi, o którego istnieniu nic nie wie.

Na ekranie pojawiła się twarz Jorge Chaveza.

– Przez pięć lat byłem partnerem Jona Andersona – powiedział. – Jeśli dogrzebał się do tego na swojej nowej posiadzie, to na pewno użył FRA.

– Nie wiem, jak było – odparła Kerstin Holm – ale nagle praca w policji zrobiła się strasznie tajna.

– Żyjemy w nowej epoce – oświadczył Paul Hjelm, dosłownie wypychając z ekranu twarz Chaveza. – Trzeba się pogodzić z tym, że czasy się zmieniają, albo odejść.

– Ostatnio ludzie dużo gadają o odejściu z policji.

– I pewnie mają ku temu dobre powody. Policja jako całość zmierza ku gigantycznym przemianom.

Nim się spostrzegliśmy, ponad połowa całego wymiaru sprawiedliwości w Europie znalazła się w prywatnych rękach.

– Outsourcing – stwierdził Arto Söderstedt, ledwie widoczny zza Hjelma. – Tak jak amerykańska armia w Iraku. Military outsourcing. Pamięta ktoś Abu Ghraib? Poniżanie irackich jeńców w więzieniu w Bagdadzie? Robili to nie regularni żołnierze, tylko *private contractors*. W amerykańską inwazję zamieszanych jest co najmniej sześćdziesiąt prywatnych firm. Pentagon nie ma kompletnie żadnego oglądu sytuacji.

– Tyle że to oczywiście nie ma z nami zupełnie nic wspólnego – zauważył Paul Hjelm, wypierając Arto Söderstedta z ekranu.

Zwrócił się do Kerstin Holm:

– Przyślij mi wszystko, co masz. Co mówi sam biznesmen?

– Jeszcze nic. Carl-Henric Stiernmarck będzie w Paryżu jeszcze przez jakąś jakąś, powiedzmy... godzinę. Razem z żoną Wictorią są pewnie na lotnisku Charlesa de Gaulle'a. Za trzy i pół godziny będą na Arlanda, w domu w Nacka najwcześniej o czwartej. Do tego czasu wszystko wróci na swoje miejsce. Stiernmarck nie ma pojęcia, że sklonowaliśmy jego komputer. Będziemy mieli sporo asów w rękawie przy pierwszym przesłuchaniu.

– Ponieważ raczej nie ma to nic wspólnego ze sprawą, nie zamierzam pytać, jak go namierzyliście. Wyślijcie tu wszystko, co macie, i doślijcie materiał z przesłuchania, kiedy będzie gotowy. Wtedy będę mógł ocenić, czy to faktycznie sprawa dla Opcopu.

– Cokolwiek innego byłoby oczywiście wykluczone – zapewniła Kerstin Holm swojego wielce szanownego życiowego partnera.

Tym samym telekonferencję z Europolem miały z głowy. Kerstin i Sara popatrzyły po sobie.

– No to wskoczyłyśmy prosto w kłębowisko zmił – odezwała się w końcu Sara.

Kerstin westchnęła, pokręciła głową i wybrała numer na komórce.

– Jon? Decyzja podjęta. Odwieź komputer do willi. I zadbaj, żeby wszystko inne było na swoim miejscu, wszędzie. Sprzątanie, alarm, wszystko. Nikt nie może was zobaczyć.

Umilkła na chwilę. Słuchała. Na koniec dodała:

– No jasne. I sprawdź, czy przy wejściu do gabinetu leży na podłodze upuszczona taca z resztkami jedzenia.

Obcy ptak

Londyn, 5 kwietnia

ŻYCIE ORNITOLOGA w Londynie to nieustający egzamin. Oczywiście to wielkie, gęsto zabudowane miasto nie obfitowało w różnorodne ptactwo. Tym większe wyzwanie, powtarzał zawsze jej mentor Cuthbert z London Natural History Society's Ornithology Section. Według niej wynikało to głównie z faktu, że w miarę, jak rósł mu brzuch, miał coraz mniejszą ochotę opuszczać swoje mieszkanie przy Charing Cross. Z wysiedzianej sofy stojącej przy francuskim balkonie na czwartym piętrze Cuthbert zgłosił sporo zdumiewających obserwacji. Nie była do końca pewna, czy widział te wszystkie dzierzby i trzciniaki, te krzyżodzioby, perkozy i błotniaki w rzeczywistości, czy tylko w swojej wyobraźni. Ale nie chciała mu tego mówić.

W każdym razie to właśnie Cuthbert dwadzieścia lat temu wziął za rękę młodą i przejętą początkującą ornitolog, której życie zdecydowanie za bardzo skupiało się na ptakach, i w wagonie metra linii północnej posadził obok swojego wielkiego, dającego poczucie bezpieczeństwa cielska. Siedzieli tak aż do Golders Green. Na tej stacji po prostu wypchnął ją z przedziału ze słowami:

– No dalej, mała Audrey, zobaczysz, że zaplanowałem dla ciebie piękną wycieczkę.

Dwadzieścia lat później, gdy rankiem na zupełnie pustej stacji otworzyły się przed nią drzwi kolejki, słyszała w głowie słowa Cuthberta, jakby nic się od tamtego czasu nie wydarzyło. I jeśli się dokładnie przyjrzeć, właśnie tak było. Dwadzieścia lat jej życia upłynęło bez żadnego naprawdę wielkiego wydarzenia. Audrey wciąż o wiele za dużą część swojego życia poświęcała ptakom. Dla niej pozostawały skrzydlatymi posłańcami z jakiegoś świata lepszego niż ten, w którym sama egzystowała. Reszta jej życia jakby się zatrzymała w czasach tamtej pierwszej wędrowki z Cuthbertem przez Hampstead Heath w chwili, gdy pojęła – do końca tego nie rozumiejąc – że był homoseksualistą.

Wciąż była to piękna trasa. Właściwie jej ulubiona. Audrey mijała ponure dzielnice na północny zachód od parku i po chwili znajdowała się na łonie natury.

Kwietniowe słońce ledwie zdążyło wspiąć się nad horyzont, wszystko przenikał chłód. Audrey jak zwykle ciepło się ubrała – dla doświadczonego ornitologa pogoda nigdy nie stanowiła przeszkody. Wchodząc przez furtkę do niewielkiego ogrodu zoologicznego w Golders Hill Park na północnym zachodzie, odniosła wrażenie, że jest tam całkowicie sama.

Ruszyła swoją zwykłą trasą – albo raczej trasą Cuthberta, która w ciągu tych dwóch dziesięcioleci stała się jej trasą. Zagłębiła się w park, ruszyła w górę do Hill Garden i przez trochę bardziej zalesione West Heath, które zawsze przyprawiało ją o dreszcz. Nie potrafiła się pogodzić z tymi dziwnymi naroślami na drzewach i w mchu, zwłaszcza odkąd dowiedziała się, czym były. Nie miała też najmniejszej ochoty ich dotykać. Nigdy nie podniosła czegoś tak obrzydliwego i teraz nie zamierzała tego zmieniać. Na szczęście jej uwagę przyciągnął kos, ten niedoceniany mistrz śpiewu o lśniącym czarnym

upierzeniu. Ucieszona tym widokiem przeszła na drugą stronę ponurej jezdnii i dotarła nad brzeg Vale of Health Pond. Tam przez lornetkę udało jej się wyraźnie dojrzeć pstrokato upierzoną parę zimorodków, które niczym zapomniane choinkowe ozdoby kołysały się w zaroślach nad wodą na nieistniejącym wiosennym wietrze.

Potem zanurzyła się w najbardziej zadrzewioną część Hampstead Heath. Weszła między drzewa w East Heath i sokolim wzrokiem wypatrzyła gniazdo rudzików między korzeniami drzewa. Tutaj wrażenie, że jest się w lesie, było najsilniejsze. Przykucnęła i całkowicie znieruchomiła. Właśnie zaczynał się okres lęgowy rudzików i przy odrobinie szczęścia może uda jej się dojrzeć kilka jaj w gnieździe, które przypominało pięknie ukształtowaną miseczkę z mchu, liści i trawy. Faktycznie, gdy powoli przesunęła lornetkę w dół, dojrzała cztery śliczne żółto-brązowe jajka w czerwono-brunatne plamki, spoczywające na delikatnej wyściółce miseczki. Samiczka rudzika sfrunęła z gałązki i usadowiła się na swoich przyszłych latoroślach, a jej cudowne ceglano-czerwone upierzenie na głowie i piersi zaśniło w lornetce Audrey. Opuściła lornetkę, poszperała w kieszeni, wyjęła komórkę, zrobiła zdjęcie i wysłała je SMS-em Cuthbertowi.

Kucała tak jeszcze przez chwilę i obserwowała pierzastego posłańca. Znów poczuła znajomy wszechogarniający spokój. Z wdzięcznością odebrała przesłanie od swoich krewnych z jakiegoś wcześniejszego wcielenia.

Znów ruszyła w drogę. Dotarła do małego strumyka przepływającego przez East Heath, przeszła na drugą stronę, starannie ominęła tereny sportowe na skraju Parliament Hill Fields i rozpoczęła wspinaczkę na kurhan. Drzewa ustąpiły miejsca trawie, pole widzenia gwałtownie się poszerzyło. Wciąż nie widziała żadnych ludzi. Przysiadła na kurhanie, w którym według legendy spoczywały szczątki królowej Boudiki, przywódczyni powstania przeciw Cezarowi. Była w tym wielkim parku zupełnie sama.

A jednak nie. Dwadzieścia lat temu dokładnie tutaj, na kurhanie, jej tak długo tłumione uczucia wreszcie wybuchły. Rzuciła się na tego wysokiego, dającego jej poczucie bezpieczeństwa mężczyznę, który w poprzednim życiu z pewnością musiał być orłem. Pragnęła go. Odsunął ją jednak od siebie spokojnie, ale stanowczo i powiedział:

– Zwykle nie przychodzę tutaj jako ornitolog, Audrey. Przychodzę tutaj, by spotykać mężczyzn na West Heath, rozumiesz?

Właściwie nie rozumiała. Dotarło do niej tylko, że została odrzucona, odrącona. Dopiero kilka lat później pojęła, że te obrzydliwe narośla w West Heath pojawiające się po każdej nocy to były prezerwatywy. Dobrze wykorzystane prezerwatywy.

Znajdowała się na szczycie Hampstead Heath i spoglądała na miasto w oddali. Natrafiła na spojrzenie London Eye, widziała wieżyczki katedry św. Pawła, spiczastą BT Tower. Widziała szereg stawów ciągnący się na granicy parku: Kenwood Ladies' Bathing, Model Boating, Highgate Men's Bathing, Highgate No 1 – i oczywiście Bird Sanctuary. To właśnie tam skierowała teraz lornetkę. Tak bardzo liczyła na to, że gągoł powrócił; *bucephala clangula*, mały, zwarty, czarno-biały ptak wodny

o złocistożółtych oczach. Po prostu wiedziała, że była nim w poprzednim życiu. *Goldeneye*. Drobne, lekkie smużki mgły tańczyły nad gładką taflą stawu, tylko chwilami odsłaniając odbicie bladych wiosennych promieni porannego słońca. Przez mgłę udało jej się wypatrzyć sylwetki leniwie pływającego ptactwa, ale nie była w stanie rozróżnić gatunków.

Podregulowała precyzyjną lornetkę i uchwyciła złociste spojrzenie, które przebiło się przez mgłę. To naprawdę było to. Pisnęła cicho ze szczęścia – dźwięk ten bardzo przypominał wabiące nawoływanie gągoła. Dokładnie wtedy mgła się uniosła i odsłoniła coś za parą pływających ptaków. Białe fragmenty tkaniny wystający zza drzewa w zagajniku po drugiej stronie wody.

W tym momencie powierzchnia Bird Sanctuary Pond zmarszczyła się w podmuchu wiatru, który rozwiął mgłę i uniosł tkaninę. Za powiewającą bielą Audrey zobaczyła coś innego. Nie potrafiła określić, co to takiego, ale wstała i ruszyła w tamtą stronę.

Nie natrafiwszy na żadnego człowieka, zeszła w dół do drogi dzielącej Model Boating Pond od Bird Sanctuary Pond. Ostrożnie, by nie spłoszyć pary gągołów, weszła między drzewa. Jej oczom ukazał się najgorszy obraz, jaki w życiu widziała.

To było jak dzieło sztuki. Zniszczone dzieło sztuki. Kobieta na wpół leżała w pozornie całkowicie rozluźnionej pozycji, leniwie oparta o drzewo. Drugi, trochę cieńszy pień wyginał się nad nią w łuk, tworząc coś w rodzaju ramy po prawej stronie ciała. Była naga, ale biała tkanina przypominająca prześcieradło zasłaniała jej podbrzusze i ugięte kolana. Róg tkaniny wsunięty był pod prawą rękę opartą o drzewo nad jej głową. Zgięta lewa ręka opierała się o kamień na ziemi, a lewa dłoń podtrzymywała głowę. I to właśnie głowa niszczyła wrażenie spokoju, niemal pietyzmu. Z twarzy kobiety nie pozostało zbyt wiele. Całe ciało było białe, twarz również, ale nie miała żadnych rysów, wszystko było w niej nabrzmiałe, tak że stała się niemal całkowicie gładka. Ledwie można się było domyślić, gdzie są oczy, nos, usta.

Audrey przypatrywała się temu obrazowi. To było tak, jakby czas się zatrzymał. Wiedziała, że powinna panicznie krzyczeć. Ale nie teraz. Zareagował w niej ornitolog, który zawsze miał pod ręką aparat fotograficzny. Wyjęła komórkę z kieszeni kurtki, wykadrowała ujęcie ze stawem w tle, zrobiła zdjęcie. Zupełnie na spokojnie wysłała je SMS-em Cuthbertowi, tak jak to miała w zwyczaju, i wsunęła telefon z powrotem do kieszeni.

Potem czas znów ruszył z miejsca. A wtedy rozległ się jej krzyk, który niczym nie przypominał wabiącego nawoływania gągoła. Ostatnią rzeczą, jaką ujrzała przed upadkiem, była para gągołów odrywająca się od powierzchni stawu. Ich złote oczy patrzyły na nią jak na obcą.

*

Pierwszą rzeczą, na jaką zwrócił uwagę Chief Inspector Ralph Dryden z The Metropolitan Police Service, lepiej znanej jako Scotland Yard, gdy wędrował irytująco długim korytarzem, były ptaki. Dwa

dziwne czarno-białe ptaszki odrywające się w tle od powierzchni wody. Nie pamiętał, czy widział kiedyś takie. Faktycznie występowały w Londynie?

Oczywiście istniały lepsze zdjęcia, profesjonalne policyjne fotografie, ale to zdjęcie na ekranie komórki miało w sobie coś przyjemnie nowego, jakąś przedziwną świeżość pierwszego spojrzenia. Próbując wymijać wózki stojące po obu stronach wąskiego korytarza, przyglądał się dziwnie ułożonemu ciału. W całej tej aranżacji było coś niesamowicie celowego. Coś niemal... estetycznego?

Uderzył udem o wózek. Wtedy wsunął komórkę do kieszeni i wyjął z koperty zdjęcia policyjne. Szybko przewertował zbliżenia okaleczonej twarzy – tego zaraz naogląda się aż nadto – i skupił uwagę na zdjęciu zrobionym trochę z boku podczas przenoszenia zwłok. Widok włosów, które nie odczepiły się od pnia drzewa i które zostały wyrwane, gdy personel zabierał ciało, pochłonał go tak bardzo, że uderzył się o kolejny wózek w drugie udo. Bardzo dumny z tego, że nie wyrwało mu się ani jedno przekleństwo, dotarł do właściwych drzwi. Z obu ud promieniował ból, jakby zbierając się w kroczu.

Będzie albo Fitzherbert, albo Mallory, pomyślał, otwierając drzwi. Liczył na to, że ten pierwszy. Z Mallory zawsze trochę trudno mu się było porozumieć.

– Ralphie – kiwnęła mu głową doktor Hazel Mallory zza bladych jak ściana zwłok i naciągnęła lateksowe rękawiczki.

Pewnie wynikało to z tego, że uparcie nazywała go „Ralphie”. Nie miał na imię Ralphie i nigdy w życiu nikt go tak nie nazywał. Tym razem jednak nawet go to nie zirytowało. Jego uwagę pochłaniały inne rzeczy.

Zwłoki leżały na plecach z głową z pozoru leniwie opartą o lewą dłoń.

– Co to jest? – wyrwało się Drydenowi. Wskazał ręką. – Stężenie pośmiertne?

– Na pewno – odparła Mallory, ciągnąc lekko rękę martwej kobiety. – Ale przede wszystkim mocny klej.

Gdy pociągnęła dłoń, było widać, jak mocno pierwsze stawy palców są przytwierdzone do napuchniętego policzka.

– Tak jak włosy – pokiwał głową Dryden.

– Tak jak włosy, uda i druga ręka. Prześcieradło było przyklejone do ud i do prawego przedramienia, tył głowy, jak już wiesz, do drzewa. Bardzo mocny klej. Supermocny. Wysłaliśmy go do analizy, tak jak prześcieradło i kosmyki włosów.

Dryden westchnął i wyszukał w komórce przedziwne zdjęcie zrobione przez niejaką Audrey Watt, przysłane policji przez prawdziwego dziwaka Cuthberta Lanninga. Pokręcił głową.

– Nie wydaje mi się – powiedział ponuro. – Oni naprawdę robią się coraz bardziej chorzy.

– Możemy teraz wybrać, czy chcemy stać się cynikami, czy nie – odparła ze słabym uśmiechem Hazel Mallory.

Dryden spojrzał na nią. Zdawało mu się, że po raz pierwszy dojrzał człowieka pod zawodową maską. Wyglądało na to, że niegłupiego człowieka. Hazel Mallory była naprawdę szykowną kobietą koło

czterdziestki. W krótkim przypiływie olśnienia pojął, że to właśnie dlatego trochę trudno było mu się z nią dogadać.

– Miała za wszelką cenę siedzieć w tej pozycji – odezwał się w końcu. – Mówi ci to coś?

Mallory, która znów skupiła uwagę na zwłokach, podniosła wzrok. Ich spojrzenia się spotkały.

– Jestem tylko lekarzem sądowym...

– Ale...?

– Ale jasne, że mamy tu nawiązanie do jakiegoś klasycznego dzieła sztuki.

Dryden pokiwał głową i podsunął jej komórkę. Przez chwilę oglądała zdjęcie i stwierdziła:

– Goldeneyes.

– Co?

– Te ptaki.

Dryden poczuł, że marszczy brwi. Potem pozwolił, by czar prysł. Znów przybrał oficjalny ton.

– No i co możesz mi o niej powiedzieć?

– Z pozoru całkowicie zdrowa, wysportowana kobieta w wieku około trzydziestu pięciu lat, biała, włosy ciemnoblonde, sto siedemdziesiąt dwa centymetry wzrostu. Pięćdziesiąt osiem kilogramów. Brak cech szczególnych.

– Przyczyna śmierci?

– Kiedy przyszedłem, prawie kończyłam oględziny zewnętrzne. Jak widzisz, nie zdążyłam przeprowadzić obdukcji. Nie znam jeszcze ostatecznej przyczyny śmierci. Wiele wskazuje na to, że po prostu ją uderzono. Ma rozległe obrażenia twarzy. Została uderzona jakimś narzędziem bez ostrych krawędzi, nie było żadnego zewnętrznego krwawienia.

– Tylko w twarz? – spytał Dryden, przyglądając się potwornie nabrzmiąłym rysom.

Na krótką chwilę znalazł pociechę w myśli, że pewnie nigdy nie stanie się cynikiem. Martwe okaleczone ciała wciąż przepełniały go smutkiem. Poczul wwiercające się w niego spojrzenie Hazel Mallory.

– Tak, poza tym na ciele nie ma żadnych innych śladów – odparła. – Z wyjątkiem jednego. Ale to zrobiono dopiero po śmierci.

– Widzę – kiwnął głową Dryden. – Teraz, kiedy o tym wspomniałaś.

Mallory uniosła rękę martwej kobiety, tę, która nie była przytwierdzona klejem, i powiedziała:

– Starte linie papilarne na palcach, tak.

– Hm – mruknął Dryden. – I twarz, której nie da się rozpoznać. A więc można przypuszczać, że przez badanie DNA też jej nie zidentyfikujemy. My jej nie rozpoznamy, ale ktoś inny tak. Ona jest wiadomością dla kogoś. Wiadomością przekazaną nad głowami policji w postaci anonimowego i bardzo miejscowo uszkodzonego dzieła sztuki.

Mallory wykonała gest, którego nie potrafił zinterpretować.

– Od jak dawna nie żyje? – spytał Dryden. – Czy była martwa, gdy umieszczono ją na Hampstead

Heath?

– Zacznę od tyłu – powiedziała Mallory, naciągając nową parę lateksowych rękawiczek. – Wszystko wskazuje na to, że była martwa, gdy zostawiono ją w parku. Nie żyje od jakichś dziesięciu godzin. Będę mogła powiedzieć więcej, gdy w spokoju skończę pracę.

Dryden nie potrafił powstrzymać krzywego uśmiechu. Wspaniałomyślnym gestem wskazał zwłoki, lecz gdy zobaczył dłoń Hazel Mallory znikającą między nogami martwej kobiety, odwrócił się na pięcie i wyszedł. Drzwi na korytarz właśnie miały się za nim zamknąć, gdy usłyszał głos lekarki.

– Ralph!

Nie Ralphie? – zdążył pomyśleć, nim tworzył drzwi.

Zobaczył pochyloną Mallory z niemal całą dłonią w odbytnicy denatki. Widok był odrażający.

– O kurwa! – wyrwało mu się.

– Coś tu jest – stwierdziła Mallory.

Dryden pojął, że ten mlaszczący dźwięk, który się rozległ, gdy uwolniła dłoń, będzie go długo prześladował.

Mallory wytarła jakiś przedmiot i uniosła go do światła. Była to niewielka przezroczysta rurka ze szkła albo plastiku, oba jej końce zabezpieczono przezroczystymi korkami. W środku widać było kawałek papieru.

– W tyłku? – spytał Dryden, podchodząc bliżej.

– I to dość głęboko wciśnięte – odparła Mallory, wskazując na karton z lateksowymi rękawiczkami.

Zacisnął zęby i sięgnął po jedną parę. Wziął rurkę i obrócił ją w palcach.

– Jakaś plastikowa łuska – oświadczył i zaczął ostrożnie podważać jeden z korków.

Udało mu się po kilkudziesięciu sekundach. Mallory podała mu pęsetę z obszernej kolekcji instrumentów do obdukcji leżących na stoliku. Dryden uchwycił nią zwiniętą karteczkę i wyjął z rurki. Przyjrzał się stosunkowo gruboziarnistemu niebieskozielonkawemu papierowi, na stoliku rozwinął ostrożnie karteczkę i skierował na nią lampę. Odczytał na głos:

– Do jednostki operacyjnej Europolu.

*

Commander Andrew Crowley przyglądał się dwóm osobom po drugiej stronie biurka i z zaskoczeniem pomyślał, że byłaby z nich całkiem ładna para. Potem przez dłuższą chwilę zastanawiał się, skąd wzięła się ta myśl.

Chief Inspector Ralph Dryden nie należał do jego najlepszych ludzi, lecz był zdolnym, dość młodym funkcjonariuszem z całkiem znośnymi perspektywami kariery. Wolałby, żeby Dryden nie był singlem – policjantów bez rodziny zwykle podejrzewano o homoseksualizm – ale w sumie nie miał mu nic do zarzucenia. Dryden pozostawał anonimowy, choć wspomniane podejrzenia w jego przypadku były

całkowicie bezpodstawne.

Natomiast doktor Hazel Mallory bynajmniej nie była anonimowa. Bez lateksowych rękawiczek i szpecącego białego fartucha olśniewała urodą. Na krótką chwilę Commander Crowley dał swobodę swoim dobrze rozwiniętym fantazjom seksualnym. A Mallory pewnie to zauważyła.

– Właściwie nie rozumiem, co tutaj robię – powiedziała.

Crowley zamrugał jak ktoś przyłapany na gorącym uczynku. Wziął się w garść i rzucił ostro:

– Muszę się upewnić, że będziesz milczeć, Hazel.

– Zupełnie jakby przecieki mogły pochodzić ode mnie! – wybuchnęła urażona. – Nigdy nie pisałam nawet słówka. Nakazu milczenia przestrzegam bardziej rygorystycznie niż wy. To u was cieknie jak przez sito.

– Dopóki brukowce proponują naszym kiepsko zarabiającym policjantom półroczne pensje za trochę plotek, dopóty trudno będzie cokolwiek z tym zrobić. Nie mówię teraz o zwykłym nakazie milczenia, Hazel.

– Zauważyłam, że lubisz wypowiadać moje imię, Andrew – rzuciła cierpko. – O czym w takim razie mówimy?

– O absolutnym milczeniu, Hazel. Nie wolno ci wspominać o tej karteczce nawet kolegom ani innym policjantom. W ogóle nie wolno ci o niej wspominać.

Mallory przyglądała mu się ze zmarszczonym czołem.

– Jeśli to jasne, możesz iść – rzucił Crowley.

Nie przestając kręcić głową, Hazel Mallory opuściła pokój, rzuciwszy tylko pospieszne, trudne do odczytania spojrzenie Drydenowi.

Andrew Crowley odczytał na głos z karteczki leżącej na biurku:

– Do jednostki operacyjnej Europolu.

– W Europolu nie ma jednostki operacyjnej – stwierdził Ralph Dryden, zmieniając pozycję na niewygodnym krześle.

– A po drugiej stronie – ciągnął niewzruszenie Crowley – e98weriN i 79sYsd76, każde w osobnej linii.

– Jakiś szyfr – rozłożył ręce Dryden.

– Nazwa użytkownika, hasło? – podsunął Crowley.

– Niewykluczone – stwierdził Dryden. – Tylko do czego?

Crowley pochylił się nad biurkiem i wbił spojrzenie w podwładnego.

– Twoim zadaniem jest się tego dowiedzieć, Ralph. Bez kontaktów z innymi policjantami z The Met, zupełnie bez twojego zwykłego zespołu.

– Nie do końca rozumiem tę obsesję na punkcie poufności – rzucił Dryden. – Co w tym takiego poufnego?

Andrew Crowley wciągnął głęboko powietrze i obrócił w palcach zapisaną odręcznie karteczkę.

– Europol przysyła dwóch ludzi z Hagi. Będziesz współpracować z nimi, z nikim innym.

– Skąd? – wybuchnął Dryden. – Z „jednostki operacyjnej Europolu”?

– Sam to powiedziałeś – stwierdził Crowley, wpatrując się w Drydena oczami, które wydawały się złociste. – W Europolu nie ma jednostki operacyjnej.

Endymion

Nacka, Sztokholm, 6 kwietnia

DROGA PIĘŁA SIĘ pionowo w górę. Zawsze było równie osobliwie patrzeć, jak białe oznaczenia na jezdni unoszą się w górę niczym zamrożone sygnały dymne.

W Danvikstull podnoszono most.

Zaskoczenie w głosie, gdy do niego zadzwoniły, wciąż odbijało się echem w cichym wnętrzu hybrydowego wozu.

Carl-Henric Stiernmarck postanowił nie robić wielkiego szumu. Od razu przyznał, że po pijanemu wysłał do kilku kobiet polityków z lewicy parę maili i że pożałował tego od razu po kliknięciu ikonki „wyślij”. Kerstin Holm oświadczyła, że muszą o tym porozmawiać, jeśli nie ma nic przeciw temu. Stiernmarck zaprosił je do siebie.

I tak w tej chwili wyglądała sytuacja.

Było jasne, że konsultuje się z całą rzeszą adwokatów.

– Wytyczamy jakieś granice? – spytała Sara Svenhagen, spoglądając na most nad ich głowami, który właśnie zaskrzypiał i zaczął opadać.

– Chyba nam najlepiej idzie, kiedy improwizujemy – odparła Kerstin Holm. – Wczujemy się w sytuację, przekonamy się, gdzie przebiegają granice. Oczywiście nie możemy mu zdradzić zbyt wiele.

– Ile to jest „zbyt wiele”?

– Ale jesteś marudna.

Rozmowa się urwała. Most z niepokojąco głośnym zgrzytem opuszczono do końca. Lampki przestały mrugać, uniosły się szlabany. Bezgłośnie na silniku elektrycznym sunęły Danviksbro, skrzyły z Värmdövågen w zjazd na Sickla, minęły centrum handlowe i z ronda skierowały się na południe, na Järla Sjö. Dopiero wtedy Kerstin Holm przerwała milczenie.

– Zbyt wiele byłoby wtedy, gdyby zaczął bardziej niż przeczuwać, że wiemy.

– Cudownie jasne wytyczne – stwierdziła Sara Svenhagen.

Wybuchnęły śmiechem dopiero na następnym rondzie, a wtedy były już na Nackanäsvågen. Przejechały niewielki most nad fragmentem Järla Sjö i znalazły się na wsi – Sztokholm w gruncie rzeczy był małym miastem. Wjechały w Hästhagsvägen. Po kilku skrętach w coraz węższe uliczki znalazły się u celu, w sercu Hästhagen.

Fasada willi Stiernmarcków była gustownie minimalistyczna. Za domem zapewne znajdował się basen, lecz w wyglądzie posiadłości nie dało się dostrzec nic ostentacyjnie nowobogackiego. Kerstin Holm zadzwoniła do drzwi. Otworzyła jej kobieta o długich blond włosach, która musiała być jej rówieśniczką. Miała na sobie legginsy i dreptała w miejscu, jakby uprawiała jogging.

– Przepraszam – powiedziała zza chmury adrenaliny. Wyciągnęła rękę. – Długi weekend w Paryżu

szybko idzie w biodra. A w Szóstej *Arrondissement* nie mogłam przecież wyjść pobiegać, od razu bym się zgubiła, nie mam za grosz orientacji przestrzennej. Nie mogę się doczekać dobrego GPS-u dla biegaczy, podobno nad tym pracują. Co ja mówię! Jestem Wictoria Stiernmarck, Carl-Henric na panie czeka.

Przedstawiły się krótko, tylko z nazwiska, na wypadek gdyby małżonek postanowił nie informować swojej drugiej połówki o wizycie policji. Patrzyły, jak szczupłe, długonogie ciało pani Stiernmarck oddała się uliczką między eleganckimi willami. Kerstin i Sara wymieniły szybkie, wieloznaczne spojrzenie i weszły do środka.

– Proszę, wejdźcie panie – rozległ się potężny baryton w przestronnym pudle rezonansowym willi. – Jestem w gabinecie.

Znalazły się w wielkim, minimalistycznie urządzonym holu, zerknęły w lewo do dużego i pedantycznie wysprzątanego salonu. Bez względu na to, kim jeszcze była, Wang Yunli bez wątplenia była dobrą sprzątaczką. W długim korytarzu prowadzącym do kuchni naprzeciw siebie było dwoje drzwi. Zamkniętych. Każda podeszła do jednych.

Sara Svenhagen zapukała i nacisnęła klamkę. Z niejakim zakłopotaniem ujrzała nastolatka, który właśnie odwrócił się od okna i gapił na nią z nieskrywanym zdumieniem. Za jego plecami mignął wielki monitor komputera stacjonarnego z otwartą stroną YouTube. Na monitorze stała kamerka internetowa. Chłopak był ubrany w workowate ciuchy w kolorze khaki, na głowie miał ogromne słuchawki, które niemal kryły się w długich kruczoczarnych lokach. Kątem oka Sara zdążyła dostrzec straszny bałagan panujący w pokoju. Blade kwietniowe słońce wpadało przez brudne okna i jego promienie odbijały się w lśniących włosach chłopaka, z których usiłował wyplątać słuchawki. Wydusiła z siebie pospieszne „przepraszam” i zamknęła drzwi. Odwróciła się. Te po przeciwnej stronie były otwarte, ukazując głęboką ciemność. Podeszła i zajrzała do środka.

W niebieskawej poświacie monitora zobaczyła, jak Kerstin Holm wita się z wysokim, jasnowłosym mężczyzną w garniturze. Zwrócił się do Sary i wyciągnął rękę.

– A to inspektor policji kryminalnej Sara Svenhagen – przedstawiła ją Kerstin.
– Miło mi, witam – powiedział mężczyzna swoim głębokim barytonem. – Carl-Henric Stiernmarck. Przejdźmy do innego pokoju. W moim gabinecie jest trochę ciemno.

– Tu będzie dobrze – zapewniła Kerstin Holm. – Proszę tylko zapalić lampy.
– Pomyliłam drzwi – powiedziała Sara Svenhagen, wskazując za siebie.
– I trafiła pani do Johannesesa – pokiwał głową Stiernmarck, uśmiechając się krzywo. – Ma dziś wolne w szkole. Trudno sobie wyobrazić, że dwie godziny temu w jego pokoju naprawdę było posprzątane.
– Macie państwo kogoś do sprzątania? – spytała Kerstin Holm, niewinnie przekrzywiając głowę.
Stiernmarck roześmiał się i odparł:

– Tak, mamy kogoś, kto trochę pomaga, ale naprawdę trudno mi uwierzyć, że to dlatego tu panie są. Proszę siadać! W tych ciemnościach naprawdę kryje się sofa dla gości. Chwileczkę, zapalę światło.

Dość paskudna świetlówka pod sufitem wydobyła wnętrze z mroku.

– Przepraszam za tę lampę – powiedział Stiernmarck, siadając w fotelu naprzeciw nich. –

Wprowadziliśmy się tu trzy lata temu, ale jeszcze nie zdążyliśmy jej wymienić. Nie wiedzieliśmy do końca, co zrobić z tym ciemnym pokojem, gdy kupiliśmy dom. W końcu musiałem się poświęcić. W sumie niewiele pracuję w domu.

– Tylko w głównej siedzibie w Nacka Strand?

– Zasadniczo tak, ale bywam też sporo w dziale produkcyjnym.

– To znaczy w samej fabryce mebli pod Nynäshamn?

– Zgadza się. Endymion Möbelsystem AB, jak na pewno panie wiedzą. Siedzą panie w tej chwili na klasycznej sofie Endymion, model Mesomene. Już go nie produkujemy.

– Niezwykle wygodny – zauważyła szczerze Sara Svenhagen, opierając się swobodnie.

– Stagnelius, prawda? – spytała Kerstin Holm. – „Jedynie w snach Olimp / Zstępuje do śmiertelnych”.

Endymion to ten piękny śpiący pasterz, w którym zakochuje się bogini księżycy Selene.

– Jak wspaniale, wykształcona policjantka! – stwierdził z szerokim uśmiechem Carl-Henric Stiernmarck. – Przede wszystkim Endymion bardzo smacznie śpi i do tego skojarzenia odwołał się mój ojciec, gdy tworzył tę firmę. Na naszych meblach zawsze wspaniale siedzi się lub leży. Człowiekowi grozi, że zaraz zapadnie w sen.

– Bez wątplenia – przyznała Sara Svenhagen.

– O ile mnie pamięć nie myli – powiedziała z namysłem Kerstin Holm – bogini Selene odwiedzała człowieka Endymiona jedynie we śnie.

– W takim razie z Selene było niezłe ziółko. Po mistrzowsku radziła sobie z tym śpiochem – odparł Stiernmarck, nie przestając się uśmiechać. – Mieli pięćdziesięcioro dzieci.

– Pięćdziesięcioro?! – zdumiała się Sara, która zaczynała rozumieć, na czym będzie polegać jej rola podczas tej rozmowy.

– Tak – pokiwał głową Stiernmarck. – Nazywano je Menai. Odpowiadały pięćdziesięciu miesiącom księżycowym olimpiady, która trwała cztery lata i dla starożytnych Greków była podstawową miarą czasu. Nie znamy imion wszystkich pięćdziesięciorga, wiemy jednak, że były wśród nich Nemea, księżyc w nowiu, Mene, księżyc w pełni, i kilka innych faz księżycy, takich jak Pandeia, Meniskos. I Mesomene, sofa, na której panie siedzą. Potem musieliśmy zacząć wymyślać nowe nazwy. Niestety, szybko dobiliśmy do pięćdziesięciu wzorów mebli i...

– Rzadko się zdarza, żeby szwedzki przedsiębiorca tak świetnie znał mitologię klasyczną – zauważyła Svenhagen, która poczuła się pewnie w swojej roli.

Stiernmarck roześmiał się i odparł:

– Muszę przyznać, że moja wiedza w tej dziedzinie jest bardzo wąska.

Kerstin Holm się nie roześmiała. Stwierdziła tylko:

– W każdym razie koncepcja polega na tym, że istota boska, to znaczy nieustannie bogacące się

szwedzkie klasy wyższe, odwiedza Endymiona. Pół roku temu wszystko okazało się snem, prawda?

Stiernmarck bez najmniejszego problemu poradził sobie z tą nagłą zmianą tonu.

– Jak najbardziej – przyznał. – Kryzys mocno uderzył w wiele branż, ale nam już wcześniej było ciężko, zwłaszcza z powodu podróbek.

– Podróbek? – powtórzyła Sara Svenhagen.

– Musiałyście panie o tym słyszeć – rozłożył ręce Stiernmarck. – Szwedzka branża meblowa została niemal wyrzucona z siodła przez podróbki. Szwecja ma o wiele słabsze prawa autorskie niż Niemcy, Francja czy Holandia. Chińczycy kradną nam wzory mebli i robią kopie drastycznie niskiej jakości. Ani policji, ani polityków nic to nie obchodzi.

– A jednak mają państwo chińską sprzątaczkę – rzuciła Kerstin Holm.

Nie można powiedzieć, że Carl-Henric Stiernmarck stracił panowanie nad sobą, ale opuściła go cała elokwencja. Powoli oblizął usta, spojrział niewidzącym wzrokiem w głąb jaskrawo oświetlonego pokoju i odezwał się w końcu:

– O co właściwie chodzi? Dość dobrze znam zasady. Jeśli wszczęto postępowanie przygotowawcze, przesłuchanie powinno odbywać się na posterunku, formalnie i w obecności adwokata. Policjant może również przeprowadzić przesłuchanie na miejscu popełnienia przestępstwa w ramach tak zwanego śledztwa wstępnego, zanim formalnie zostanie wszczęte postępowanie przygotowawcze. Ale to nie jest miejsce popełnienia przestępstwa.

– A może jednak jest? – powiedziała Kerstin Holm.

– Istnieje jeszcze trzecia możliwość – wtrąciła przyjaźnie Sara Svenhagen. – Nazywa się to dochodzeniem wstępnym. Badamy grunt i rozmawiamy nieformalnie. Tak jak teraz.

– Nie jestem pewien, czy chcę rozmawiać nieformalnie, nie wiedząc, o co chodzi.

– A ja nie jestem pewna, czy chce pan to skierować na drogę formalną – odparła Kerstin Holm. – W takim wypadku, prędzej czy później, o wszystkim dowiedzą się media.

– Co znaczy „o wszystkim”? Przyznałem, że po pijanemu zdarzyło mi się wysłać parę nienawistnych maili do kilku kobiet polityków. Przeprosiłem już te kobiety. Śledztwo zostało umorzone. Sprawa jest zamknięta. Co by to miało mieć wspólnego z moją sprzątaczką, której nie widziałem na oczy?

– Wspomniałam o sprzątacze tylko po to, by zaznaczyć, że wiemy o panu trochę więcej, niż się panu wydaje – powiedziała cicho Kerstin Holm. – Wiemy na przykład, że wcale się pan nie zadowolił „paroma nienawistnymi mailami” w jednym konkretnym czasie. W takim razie często był pan pijany, bo udało nam się też wyśledzić pana komentarze w publicznych serwisach internetowych, na stronach takich jak Expressen, Newsmill i Flashback, gdzie nie unika się, że tak to ujmę, niewyszukanego języka.

– Naprawdę aż tak bardzo nienawidzi pan kobiet? – spytała łagodnie Sara, patrząc mu prosto w oczy.

Stiernmarck uciekł przed jej spojrzeniem i poruszył się w fotelu.

– Monitorowaliście mnie? – spytał zupełnie innym głosem. – Co to ma, u diabła, być? FRA? Nie zrobiłem nic niezgodnego z prawem.

– FRA to coś zupełnie innego – wyjaśniła spokojnie Kerstin Holm. – Tu chodzi o zwykłe śledztwo policyjne. I powiedziałabym, że zagrożenie śmiercią jest odrobinę niezgodne z prawem. Przynajmniej na razie.

Sara Svenhagen wyjęła niespodziewanie plik kartek A4 i wertowała je na chybił trafił.

– Może parę próbek – powiedziała z namysłem i zaczerpnęła powietrza.

Carl-Henric Stiernmarck powstrzymał ją ruchem ręki.

– Nie trzeba. Wiem, co napisałem.

– I my też wiemy – zapewniła Kerstin Holm. – To nie był jeden raz po pijanemu. Tu się pojawia pewien wzorzec. Wzorzec mizoginii. Że też ludzie w swojej naiwności myślą, że coś takiego się już nie zdarza...

– Pana żona o tym wie? – spytała Sara, nie odrywając wzroku od papierów.

– Na litość boską! – wybuchnął Stiernmarck.

– Oczywiście ona też należy do ogólnoświatowego feministycznego spisku – ciągnęła Svenhagen. – Do feministek, które kastrują mężczyzn i zmuszają ich, by zadowalali się czymś innym.

– Na przykład dziećmi – dodała Kerstin Holm.

Obserwowały go. Próbowaly dokładnie wyczuć, co się działo w jego głowie. Rumiana twarz wyraźnie pobraźniała. Spojrzenie stało się inne, bardziej zdeterminowane. Wstał i powiedział dźwięcznym, stanowczym barytonem:

– Naprawdę muszę prosić o wyjaśnienie, zanim panie wyjdą.

– Pornografia dziecięca – rzuciła Kerstin Holm, również wstając. – Molestowanie seksualne dzieci. Pedofilia. Takie rzeczy.

– I co, u diabła, ma to mieć wspólnego ze mną?

Kerstin Holm i Carl-Henric Stiernmarck trwali w klinczu spojrzeń. Niespodziewanie Sara Svenhagen usłyszała ciche szuranie za zamkniętymi drzwiami. Tylko tyle. Nie odwróciła się, lecz dalej obserwowała walczących.

– To były przykłady – powiedziała Kerstin Holm, nawet na ułamek sekundy nie uciekając wzrokiem. – Przykłady tego, co wam pozostaje, gdy pozbędziecie się kobiet, które podbijają świat. Brudzą ten czysty, przejrzysty świat, jaki przez tysiąclecia budowali mężczyźni, kalają go swoją miernotą, swoją dziecinną mentalnością, kompletnie nieprzewidywalnymi żądzami i bardzo przewidywalną krwią menstruacyjną.

– Proszę już wyjść – powiedział Stiernmarck, najspokojniej jak tylko mógł.

Jeśli wziąć pod uwagę, z jaką siłą zaciskał pięści, ten zrównoważony ton mógł imponować.

– To wszystko był cytat – stwierdziła Sara Svenhagen, spoglądając w swoją stertę papierów.

– Wynoście się z mojej sofy i z mojego domu.

Sara wstała z sofy nazwanej osobliwie Mesomene, potulnie wsunęła papiery do torby, podeszła do drzwi i je otworzyła.

Karl-Henric Stiernmarck nie zaszczycił jej nawet spojrzeniem, rzucił tylko w stronę Kerstin:

– Parę słów na osobności, pani komisarz.

Kerstin i Sara wymieniły szybkie spojrzenia. Sara ledwie dostrzegalnie pokręciła głową. Kerstin skinęła i uniosła rękę.

– W porządku, Saro. To tylko parę słów.

Sara Svenhagen wyszła na korytarz. Otrząsnęła się z nieprzyjemnego uczucia i zobaczyła zamknięte drzwi naprzeciw. Przez sekundę się zastanawiała, po czym zapukała do nich, równocześnie naciskając klamkę.

Johannes Stiernmarck leżał na łóżku wpatrzony w sufit. Gdy Sara weszła, odwrócił się do ściany. Ułożenie jego ciała niepokojąco przypominało pozycję embrionalną.

– Podśłuchiwałeś, Johannes? – spytała Sara. – Usłyszałam cię.

Milczał. Czarna grzywa włosów ani drgnęła. Sara nie widziała nawet, czy chłopak oddycha. Skórzana kurtka z trupią czaszką na plecach w ogóle się nie poruszała.

Przez chwilę, która zdawała się być poza czasem, widziała swego synka Miguela, jasnowłosego Miguela, zbuntowanego przeciw rodzicom policjantom. Jak się tatuuje, robi sobie piercing, zapuszcza włosy i farbuje je na kruczoczarno. Jak buntuje się przeciw wszystkiemu.

To był syn bogacza, który nie miał ochoty pójść w ślady ojca. Ale istniało bardzo wysokie prawdopodobieństwo, że jednak to zrobi. Kiedy się wyszumi. Pozostawało pytanie, czy kiedykolwiek uda mu się dostosować, czy geny dadzą radę przywrócić ustalony porządek.

– Nie miałeś tego słyszeć – powiedziała.

– Pornografia dziecięca? – rzucił cicho chłopak, wciąż leżąc twarzą do ściany.

– To była tylko rozmowa, nie oskarżenie.

– Nie wiedziałem nawet, że jesteście glinami – odparł, odwracając się.

Sara nie była pewna, czy to, co widzi w kącikach jego oczu, to łzy.

– Tata ci nie mówił?

– Nic mi nie mówi. Gadamy tylko o moich kiepskich stopniach.

– Chodzisz do gimnazjum?

– Do Sam. Pierwsza klasa. Nie pasuję, kurwa, do Sam. A tym bardziej do pierdolonego gimnazjum w Saltsjö-Järla.

– Co chciałbyś robić?

– Grać muzykę. Ale pieprzyć to.

– Nie masz dziś wolnego w szkole, co?

– Carl-Henric jest pedofilem? To chcesz powiedzieć?

Johannes usiadł na krawędzi łóżka i zapatrzył się w swoje dziurawe skarpety.

Sara zrobiła parę kroków w głąb pokoju przesyconego zapachami nastolatka. Przykucnęła obok niego.

– A są powody, żeby tak myśleć? – zapytała ostrożnie, kładąc mu rękę na kolanie.

Wzdrygnął się lekko, ale nie spróbował się cofnąć ani strącić jej dłoni. Po chwili spojrział na nią

błękitnymi oczami i powiedział:

– Nie. Ale nie znam go. Tylko mieszkamy w tym samym domu.

– Jest coś, co chcesz mi powiedzieć? – spytała Sara i położyła obok niego wizytówkę. – Nie śpiesz się. Dobrze to sobie przemyśl. I zadzwoń, jeśli będziesz chciał.

Johannes Stiernmarck wziął wizytówkę i spojrzał na nią.

– Sara? – spytał.

Kiwnęła głową i odparła:

– Tak jak mówiłam, nie oskarżamy o to twojego taty. To było tylko częścią rozmowy.

– Gliniarska gadka, tak – prychnął Johannes i gwałtownie wstał.

Kiwnęła mu głową i uśmiechnęła się. Odpowiedziało jej spojrzenie spod grzywki. Dostrzegła w nim raczej zaciekawienie niż agresję. Wyszła na korytarz i zamknęła za sobą drzwi.

Zaledwie parę sekund później otworzyły się drzwi wejściowe, którymi wpadła Wictoria Stiernmarck. Zatrzymała się, opierając ręce na kolanach, i wbiła spojrzenie w podłogę. Oddychała ciężko, ze świstem. Po kolejnych paru sekundach z gabinetu wyszła Kerstin Holm. Jej czoło było zmarszczone. Spojrzenia trzech kobiet się spotkały. Carl-Henric Stiernmarck się nie pokazał. Wictoria odsunęła się i usiłowała zamaskować brak tchu, choć wiedziała, że na to już za późno. Kiwnęły jej głowami na pożegnanie i bez słowa wyszły do ogrodu.

Dopiero gdy Kerstin Holm wyjeżdżała z osiedla Hästhagen, padły pierwsze słowa. Sara spytała:

– Czego chciał?

– Podkreślić swoją niewinność, wyciągnąć ze mnie informacje i powiedzieć, że komendant główny policji jest jego przyjacielem z dzieciństwa.

Sara Svenhagen nie potrafiła powstrzymać śmiechu. Czowała, że to było trochę nie na miejscu.

– No proszę, nasz przyjaciel Waldemar Mörner – rzuciła. – A reszta?

– Wyciąganie ze mnie informacji kiepsko mu poszło, podkreślanie niewinności chyba trochę lepiej.

– W jaki sposób?

– Twierdził, że chodzi na terapię, żeby poradzić sobie z lękiem przed kobietami, i ponoć doszedł do wniosku, że ten lęk i pożądanie to jedno i to samo. Jego skomplikowane żądze budzą dojrzałe kobiety, nic poza tym.

– O tym musiał z tobą rozmawiać na osobności?

– Lubi czuć się ważny...

– Strzeliłyśmy gafę – stwierdziła Sara Svenhagen, spoglądając przez okno na centrum handlowe Sickla przemykające za szybą samochodu jak gigantyczne klocki.

– Tak myślisz? – zdziwiła się Kerstin, odwracając się w jej stronę tak gwałtownie, że zarzuciło całym wozem. – No proszę, a mnie się wydawało, że wszystko poszło jak z płatka. Byłaś po prostu świetna w roli niewiniątka. Zapędziłyśmy Stiernmarcka dokładnie tam, dokąd chcieliśmy, nie mówiąc mu przy tym zbyt wiele. Następnym razem zgarniemy mu komputer i zobaczymy, co wykasował.

– Syn słyszał – rzuciła Sara, wciąż zapatrzona za okno.

Po twarzy Kerstin Holm przemknął grymas niezadowolenia.

– Uff – jęknęła tylko.

Dopiero na rondzie Hammarby spróbowwały znów podjąć wątek.

– Słyszał, jak oskarżamy jego ojca, że oglądał pornografię dziecięcą – powiedziała Sara.

– Choć wcale tego nie zrobiliśmy.

– To nie ma żadnego znaczenia. Johannes tak usłyszał. Próbowałam złagodzić sprawę. Świetnie wszystko podsumował.

Kerstin skręciła w Värmdövägen i skierowała wóz ku światłom przy zjeździe na Kvarnholm. Tam musiała dać ostro po hamulcach. Korek przed nimi nawet się nie poruszał. Zobaczyły drogę wznoszącą się ponad ich głowy z niepokojąco głośnym zgrzytem. Gdy Danviksbro znalazł się całkowicie w pionie, Kerstin westchnęła głośno i zapytała:

– Jak podsumował?

– Gliniarska gadka – odparła Sara Svenhagen, wpatrując się w podniesiony most.

Haga, 6 kwietnia

PO DRUGIEJ STRONIE SZYBY trwała aktywność, która być może nie była gorączkowa, ale w każdym razie miała określony cel. Przekładanie długopisów z miejsca na miejsce w ostatnich miesiącach zastąpiła skupiona, energiczna praca przy komputerach, jakiej Paul Hjelm od bardzo dawna nie widział. Nie przeszkadzały w niej bariery językowe – wydawało się, że grupa wreszcie poradzi sobie z tym problemem.

Otwarte pomieszczenie biurowe miało swoje dobre strony, zwłaszcza że sam nie musiał w nim siedzieć. W ciągu lat, które przepracował jako śledczy wydziału wewnętrznego i funkcjonariusz służb bezpieczeństwa, wykształciła się w nim potrzeba absolutnej prywatności i spokoju podczas pracy, której w *open space* nigdy nie byłby w stanie zaspokoić. Natomiast w budynku Europolu, w gabinecie umiejscowionym tak dogodnie, miał i spokój, i stały wgląd w to, co robią jego pracownicy. Gdyby jeszcze istniało cokolwiek oprócz kwestii administracyjnych, w co mógłby zainwestować ten spokój.

I nagle coś takiego się pojawiło. Może tak właśnie wyglądała robota policyjna w postmodernistycznym świecie? Taka pełna emocji, lecz budząca poczucie osamotnienia forma kolektywu. Jednostka nowego typu na nową dekadę w służbie policji nowego rodzaju.

Przez bardzo krótką chwilę, gdy dyrektor stojący za jego plecami czekał na odpowiedź, Paulowi zdawało się, że widzi, jak ta myśl obiega jego precyzyjnie dobraną grupę.

Najbliżej drzwi siedziała energiczna, niespełna trzydziestoletnia Francuzka Corine Bouhaddi, tak ciemnoskóra, że jej algierskie korzenie wydawały się raczej berberyjskie niż arabskie. Zaangażowała się w sprawy związane z Łotwą – za zgodą Bałtów. I w różnych potencjalnych powiązaniach między producentem mebli ze Sztokholmu, brutalnym odłamem mafii z południowych Włoch a czymś nieznanym na Łotwie. Widział, jak narasta w niej gniew, ten święty gniew, który sprawił, że ją zatrudnił. Widział, jak zaczynała dostrzegać powiązania: że członkostwo w Unii Europejskiej i tak zwane reformy gospodarcze mogą doprowadzić kraj na skraj bankructwa, że wielkie przestępstwa w logiczny sposób rodzą te drobne, zaś te drobne są odzwierciedleniem wielkich. Dobrze. Dokładnie tego od niej oczekiwał.

Obok Bouhaddi siedział nienaganny elegant, Hiszpan Felipe Navarro z Madrytu. Analizował dane statystyczne na monitorze. Jego oczy poruszały się szybko jak w fazie REM. Jego walka z szerzącym się w Hiszpanii praniem pieniędzy przez kolumbijską mafię narkotykową stanowiła dla grupy nieocenione doświadczenie. Była to walka uparta, precyzyjna i pozbawiona jakichkolwiek uczuć. Jeśli w Felipe Navarro płonął gniew, to był to gniew zupełnie innego rodzaju niż w przypadku Bouhaddi. Navarro, który chętnie podkreślał, że wywodzi się w prostej linii od Gotów, którzy zalali Hiszpanię przed inwazją arabską, był ze swoim połączeniem skandynawskiego chłodu i południowej wybuchowości doskonałym

analitykiem liczb. W tej chwili przeglądał nieliczne znane transakcje finansowe 'Ndranghety i zaczynał wyciągać wnioski. Fabio Tebaldi siedział obok niego i przyglądał mu się krytycznie. Było oczywiste, że uzna te wnioski za pochopne i pozbawione podstaw. Hjelmowi wydawało się, że przejrzał na wylot tego młodego, zadziornego, muskularnego i mocno wytatuowanego Włocha już w chwili, gdy zobaczył go po raz pierwszy. Mający dwadzieścia osiem lat Tebaldi był już legendą w smutnym, lecz heroicznym, wąskim kręgu ludzi walczących z mafią i nie było żadnych wątpliwości, że dawno byłby martwy, gdyby został w San Luca. Tu, w Hadze, żył pod przybraną tożsamością i przez dwadzieścia cztery godziny na dobę towarzyszyło mu dwóch włoskich ochroniarzy jeszcze bardziej napakowanych niż on sam. Tym jednak, co zobaczył Hjelm – pod zadziornością, pod pełną wyższości pozą zmęczonego weterana wojennego – był czysty strach. Strach jako siła napędowa. Hjelm domyślał się osobistych motywów działania Włocha, w które na razie nie chciał się zagłębiać.

Tebaldi nie lubił komputerów i teraz, gdy tak siedział z wydrukami znanych mafijnych ośrodków i z ołówkiem w ręce sprawiał wrażenie nieokrzesanego ulicznego zbira, który wylądował w życiu na niewłaściwym miejscu. Nic bardziej mylnego. Ten człowiek był po prostu wojownikiem. Nikt nie okazał większego entuzjazmu, gdy nowe zadanie zaczęło przybierać realny kształt.

Dalej siedziała Rumunka Lavinia Potorac i przeglądała drastyczne zdjęcia. Na jej pięknej twarzy nie poruszał się ani jeden mięsień. Żadna z przerażająco brutalnych zbrodni 'Ndranghety nie była w stanie zakłócić jej lodowatego spokoju. Dawna elitarna gimnastyczka po prostu się uczyła. Dowiadywała się coraz więcej o świecie, co do którego już w wieku dziesięciu lat, biorąc rozbieg do skoku przez kozioł, nie miała złudzeń. Była prawdziwym dzieckiem nowo narodzonej rumuńskiej demokracji i naprzód popychało ją przeświadczenie, że jeśli nikt nic z tym nie zrobi, za dziesięć lat całym światem rządzą będą ugrupowania przestępcze. Jej samej udało się działać zaskakująco dużo w Bukareszcie, zwłaszcza jeśli chodzi o handel żywym towarem, nową wschodnioeuropejską falę prostytucji. Choć niedawno została matką, nie znała litości. I była dokładnie tym, czego brakowało w grupie: kimś, kto w razie potrzeby był gotów iść po trupach. Tylko w razie potrzeby.

Nie można powiedzieć, że Marek Kowalewski, policjant z Polski, nie naoglądał się brutalnych przestępstw. Mimo to naprawdę się wzdrygnął, gdy zerknął na monitor Potorac. Nie zajmował się przemocą, pracując w warszawskiej policji. Polak żartowniś był jednym z najlepszych ekspertów naszych czasów, jeśli chodziło o nowy typ przestępczości gospodarczej, jaka rozwinęła się w Europie Wschodniej i była połączona z układem prywatyzacji – papiery wartościowe – związek z mafią. Przestępca gospodarczy, którego Kowalewski raz dorwał, nie miał prawa mu się wymknąć, taka była jego własna prosta zasada. Kowalewski pokręcił głową i wrócił do przeglądania statystyk kryminalnych małej Łotwy. Tyle nierozwiązanych przestępstw, tak wielu przestępców gospodarczych, którzy wspólnymi siłami pchnęli to państwo na skraj bankructwa... Tyle ludzi, którymi Marek Kowalewski mógłby się zająć. Odwrócił się do Jutty Beyer i coś szepnął. Beyer pokręciła głową i cofnęła się lekko. Zaczęła dotykać długopisów leżących w idealnym porządku na biurku, po czym bez słowa znów skupiła

się na monitorze, na którym widniały doskonale posegregowane dokumenty na temat szwedzkiego przemysłu meblowego. Zaznaczyła coś w tekście narzędziem przypominającym stare dobre markery. Jednak mimo tych cech pedantycznej uczennicy Paul Hjelm dostrzegł w Jucie Beyer coś ważnego, coś, co w dziwny sposób przypominało mu jego samego, choć nawet najzyczliwszy człowiek na świecie nie byłby w stanie nazwać go pedantem. Bardziej chodziło o jakieś niespełnienie. W przypadku Hjelma chodziło o to, że nie był w stanie zdobyć się na decydujący krok, a raczej nigdy nawet o tym nie myślał. Nigdy nie próbował wyrzucić poza swój ciasny pokoik w Botkyrka, na południe od Sztokholmu, gdzie spędził pierwszą, wyjątkowo mało imponującą połowę swojej kariery. Pułapka, w której tkwiła Beyer, należała do innej kategorii – była nią potrzeba kontroli. Jednak pod tą powierzchownością dostrzegł ogromny niewykorzystany potencjał. Faktem było, że podczas pracy w Berlinie nie podjęła ani jednej błędnej decyzji – ale podjęła ich o wiele za mało. Być może skłonna do idealizowania część jego osoby spodziewała się, że będzie on w stanie zrobić dla Juty Beyer coś, co stary komisarz Jan-Olov Hultin zrobił dla niego ponad dekadę temu.

Obok Juty Beyer siedziała nierozłączna para: Miriam Hershey i Laima Balodis, pogrążone w ożywionej rozmowie. Hjelm miał nadzieję, że rozmawiały o łotewskich powiązaniach, a nie o wiosennych trendach w modzie, którą obie wyraźnie się interesowały. Jednak również one były świetnymi policjantkami. Hershey pracowała dawniej w MI-5 i miała interesujące, choć wciąż niejasne powiązania z Izraelem, Balodis zaś należała do nowej bałtyckiej gwardii jeszcze nieskorumpowanych policjantów. Zapewne odnalazły wspólny język dzięki temu, że w przeszłości obie zajmowały się infiltracją. Dokumenty ich obu zawierały niejasności, które doświadczony policjant natychmiast rozpoznaje. Najwyraźniej kiedyś Hershey, infiltrując komórkę terrorystyczną powiązaną z organizacją Markazi Jamiat Ahle Hadith, miała na sobie pas z ładunkami wybuchowymi i w ostatniej chwili udaremniła zamach samobójczy podczas jarmarku w Manchesterze. Prawdopodobnie uratowała wtedy życie setkom ludzi. Z jej akt z MI-5 biła jakaś niedopowiedziana, ale wyraźnie wyczuwalna bohaterska chwała. Dokonania Balodis były jeszcze bardziej tajemnicze. By dotrzeć do organizacji zajmującej się przemytem uchodźców, przez kilka miesięcy udawała prostytutkę w Kłajpedzie, litewskim porcie. Dzięki temu policji udało się rozbić całą organizację przerzucającą ludzi przez granice. Najdziwniejsze w tym wszystkim było to, że te ponure doświadczenia nie pozostawiły żadnych śladów, przynajmniej tak można było sądzić, patrząc na obie te kobiety.

Angelus Sifakis przyglądał im się z boku. Jego imię świetnie pasowało do jego łagodnego wyglądu. Poza tym pochodził z Aten, najniebezpieczniejszego wielkiego miasta Europy. Hjelm zadawał sobie nawet pytanie, czy grupa w ogóle potrzebowała jakiegoś Greka, czy nie lepszy byłby Holender albo Węgier. Jednak gdy przeglądał CV trzydziestopięcioletniego Ateńczyka, uderzyło go, że Sifakis przez całą swoją karierę zajmował się najaktualniejszym i najtrudniejszym aspektem greckiej przestępczości: korupcją wśród polityków. W sumie Hjelm jeszcze nigdy nie widział tak odważnego policjanta. Aż cztery razy różnymi manewrami odsuwano go od śledztw związanych z wysoko postawionymi politykami i aż

cztery razy za pomocą różnych manewrów wracał do tych śledztw. Stał za odejściem co najmniej dwóch członków rządu i Hjelm nie wahał się, gdy mimo niepozornego wyglądu uczynił z niego swojego zastępcę, wiceszefa Opcopu. W tej chwili Sifakis z anielską cierpliwością przeglądał listę potencjalnych kontaktów polityków związanych z Berlusconiem i ludzi z mafii. Długą listę.

I na koniec upadły anioł. Albo raczej przekwalifikowany. Może i stracił niektóre swoje zdolności, lecz z pewnością nie szósty zmysł. Hjelm spojrział w stronę Arto Söderstedta i dokładnie w tej chwili zmienił się dokument na jego monitorze. Pojawiła się historia Endymion Möbelsystem AB oraz dyrektora firmy Carla-Henrica Stiernmarcka z Nacka. Niestety, zza dokumentu wystawał mały fragment poprzedniego i zanim Söderstedt zdążył dostosować okna, Hjelm dostrzegł kontury wielkiego chińskiego znaku. Söderstedt w jakiś sposób zdał sobie z tego sprawę. Odwrócił się z przepaszającą miną w stronę okna gabinetu szefa. Hjelm w odpowiedzi pokręcił głową i stłumił krzywy uśmiech.

Wszystko wciąż było w fazie przygotowań. Jednak jeśli Paul Hjelm czegoś się nauczył podczas tych dość intensywnych lat, jakie przepracował w policji, a przynajmniej w drugiej połowie swojej kariery, to tym czymś było znaczenie wiedzy. Znaczenie tego, by po prostu wiedzieć i potrafić więcej niż przeciwnicy, kimkolwiek mieli się tym razem okazać. Nic z tego, co robiono w tym otwartym pomieszczeniu biurowym, nie mogło się zmarnować.

Chyba że czas Opcopu dobiegnie końca, zanim na dobre się rozpocznie. Uśmiech na jego twarzy był tak krzywy, że musiał go ukryć, nim się odwrócił.

– No i? – spytał zdumiewająco młody dyrektor Europolu.

Paul Hjelm podszedł do stołu, na którym leżały różne wydruki i seria zdjęć. Wziął najwyraźniejszą fotografię i przyjrzał się kobiecie w półleżącej, z pozoru rozluźnionej pozycji, leniwie opartej o drzewo. Dolną część jej ciała zasłaniała biała tkanina, której róg wsunięto pod jej prawą rękę spoczywającą na pniu. Nie miała rysów twarzy, jej twarz była tak napuchnięta, że stała się całkowicie gładka. Pokręcił głową i odłożył zdjęcie. Miał wrażenie, że widział to już wcześniej, jakieś klasyczne dzieło sztuki, którego teraz nie był w stanie sobie przypomnieć. Odsunął od siebie tę myśl i sięgnął po wydruk notatki. Po jednej stronie napisano długopisem „e98weriN” i „79sYsd76”, po drugiej „Do jednostki operacyjnej Europolu”.

– *So the cat is out of the bag?* – spytał i westchnął ciężko.

– Niekoniecznie – odparł dyrektor elegancką angielszczyzną z walijskim akcentem. – Po pierwsze, The Met udało się ograniczyć wiedzę na temat tego dokumentu. O jego istnieniu wie dowództwo i zaledwie garstka innych ludzi. Po drugie, to mógł być kompletny strzał w ciemno. Osoba lub osoby, które umieściły tę karteczkę w odbytnicy ofiary, mogły założyć, że w każdej policji jest jednostka operacyjna.

Hjelm odłożył wydruk na stół, usiadł w fotelu naprzeciw dyrektora i odparł:

– W takim razie to ogromna różnica, czy napisała to sama, jako rodzaj testamentu, czy zrobili to sprawcy.

Machnął trzymaną w rękę fotografią.

– Wydaje się, że niczego nie pozostawiają przypadkowi – stwierdził dyrektor.

Wziął do rąk zdjęcie i przyjrzał mu się uważnie.

– Z drugiej strony, to była idealna skrytka na coś, co absolutnie nie mogło wpaść w czyjeś ręce – zauważył Hjelm. – Być może deformacje twarzy świadczą o torturach.

– W takim razie musiały to być specyficzne tortury – zauważył dyrektor i wskazał na białe ciało, na którym nie widniały żadne ślady.

– Zakładam, że będziemy mieli powody, by powrócić do tej kwestii – powiedział Hjelm, opierając się wygodnie.

– Będziesz to mógł obgadać z komisarzem Drydenem.

– Zamierzałem wysłać Hershey i kogoś jeszcze. Ale masz rację. Pewnie powinienem jechać sam.

– Stawką jest istnienie Opcopu – wzruszył ramionami dyrektor. – To ty stworzyłeś tę jednostkę, Hjelm. Ale jak najbardziej, weź ze sobą Hershey, jest świetna, choć może trochę upiorna, jak chyba wszyscy z MI-5. I może jeszcze kogoś. Tych dwoje będzie odwalać robotę, a ty będziesz musiał zajmować się polityką. Weź się do tego, zanim rozejdą się plotki, że w Europolu istnieje jednostka operacyjna. Wiele od tego zależy.

– Nie jestem politykiem – zaprotestował Hjelm.

Dyrektor parsknął i pokręcił głową.

– Długo sam to sobie wmawiałem – odparł. – Ale spójrz za szybę. Jeśli to nie jest polityka, powiedz mi, czym to jest. I jeszcze jedno.

Paul Hjelm spojrział za szybę i znów poruszyły go szalejące tam energie. Nie, to się nie miało prawa stać. Nie zostaną teraz zdemaskowani. Sprawę trzeba wyciszyć.

Polityka.

Pokręcił głową

– Jeszcze jedno?

Dyrektor pochylił się nad stołem i powiedział tonem, który Hjelmowi zdał się trochę nazbyt dobitny:

– Jeżeli założymy, że to nie był kompletny strzał w ciemno ze strony kogoś, kto napisał tę karteczkę, to jak ten ktoś dowiedział się o waszym istnieniu?

Hjelm skrzywił się paskudnie, gdy to do niego dotarło.

– Chcesz powiedzieć...

– Nie możemy ignorować ryzyka, że ktoś z nich mógł się wygadać. Możesz mieć przeciek w samym Opcopie.

– Albo u ciebie – rzucił Hjelm, przechodząc do ataku. – Wśród polityków.

– Jak najbardziej – przyznał wspaniałomyślnie dyrektor. – Ja poszukam u siebie, ty u siebie. Uważasz, że to do przyjęcia?

– Ani trochę. Ale to nieuniknione.

– Byłeś przecież śledczym wydziału wewnętrznego – zauważył złośliwie dyrektor, po czym wstał,

położył rękę na ramieniu Hjelm i wyszedł z pokoju.

Gdy po chwili namysłu Paul Hjelm wyszedł do pomieszczenia biurowego, wszystko wyglądało zupełnie inaczej. Zmieniła się grupa, zmieniło się jego spojrzenie. Ktoś tutaj zdradził. Ktoś się wygadał o istnieniu jednostki.

Być może wcale nie było to prawdą, może wcale nie było przecieku albo był zupełnie gdzie indziej, lecz jako doświadczony śledczy wydziału wewnętrznego wiedział, że nie wolno w ten sposób myśleć. Przecieki były tu. Wśród nas. I od tej chwili musiał myśleć właśnie tak. Ważyć każde słowo. Nie mówić zbyt wiele. Nie otwierać się. Cały czas prowadzić podwójną grę.

Polityka.

Opadł ciężko na stojące pośrodku biurko Jutty Beyer i powiedział:

– Możecie tu na chwilę podejść? Mamy nieformalne spotkanie.

Zebrali się. Krzesła w różnych tonacjach zaskrzypiały o podłogę. Po kilku sekundach kakofonia ucichła i powrócił spokój. Spokój pełen wyczekiwania.

– Widzieliście, że z mojego pokoju właśnie wyszedł dyrektor. Postanowiliśmy poszerzyć działalność i zająć się pewnym morderstwem w Londynie, więc zaczynamy na dobre wkraczać w fazę operacyjną.

Przez chwilę słyszał wyrażające powątpiewanie pomruki, które powoli przebrzmiały.

– Czy to ma coś wspólnego z naszą sprawą? – spytał sceptycznie Fabio Tebaldi.

– Zupełnie nic. To dwie osobne sprawy. Jadę tam i zabieram ze sobą dwójkę z was.

– Ach – mruknęła Miriam Hershey. – Czyżby wzywały mnie rodzinne strony?

– Dobrze słyszałaś – przyznał Hjelm. – Pojedziesz ze mną. I jeszcze jedna osoba, później powiem kto. Najpierw chciałbym usłyszeć, czego nowego się dowiedzieliście. Zaczniemy od Szwecji. Od Endymion Möbelsystem AB i dyrektora firmy Carla-Henrika Stiernmarcka.

– Jest czysty – powiedział Arto Söderstedt, poprawiając nowo kupione holenderskie okulary. – Z wyjątkiem sporej liczby mandatów za parkowanie i przekraczanie prędkości oraz serii nienawistnych maili do kobiet polityków. Nasza szwedzka sekcja bada również oskarżenia o pornografię dziecięcą, ale wątpię, by cokolwiek z tego miało wynikać. Firma, czyli Endymion, jest nieco bardziej interesująca. Podczas kryzysu jesienią działy się z nią różne rzeczy. Firma i tak była w złej sytuacji z powodu podróbek, ale ktoś mógłby chyba powiedzieć więcej na ten temat...

Bez zastanowienia Jutta Beyer uniosła rękę. Znow poczuła, że wszyscy się na nią patrzą, jakby była śpiewającym orangutanem w balowej sukni. Powoli opuściła rękę.

– Wrócimy do tego później – powiedział litościwie Arto Söderstedt, po czym kontynuował: – W każdym razie stało się, co następuje. Endymion stał na skraju bankructwa i to wtedy Stiernmarck napisał te słynne nienawistne listy. Wtedy wkroczył na scenę jakiś nieznany finansista i uratował przedsiębiorstwo. Czy to może być aż tak proste? Jaki, u licha, mogłaby mieć interes 'Ndrangheta czy co tam za jedni, by inwestować w dość niepozorną szwedzką firmę meblarską? Chciałbym usłyszeć, co mają na ten temat do powiedzenia nasi znawcy mafii.

– W takim razie chodzi o metodę nogi w drzwiach – odezwała się Lavinia Potorac. – Gdy raz otworzy się drzwi mafii, nie ma odwrotu. Mówiłam to wcześniej i powtórzę: mafia wykupuje świat ze wschodu, z zachodu i z południa. Jest o tym tak cicho tylko dlatego, że nikt nie ma odwagi o tym pisać, bo to by oznaczało otwarcie drzwi. Albo większość została kupiona. Kupionych, w ten czy inny sposób, jest o wiele więcej, niż nam się wydaje. Dziennikarze, politycy, osoby opiniotwórcze...

– Każdy rodzaj przestępczości jest związany z innym rodzajem przestępczości – stwierdziła zagadkowo Miriam Hershey.

– Sporo w tym prawdy – zauważył Angelos Sifakis. – Słabsze państwa, wielonarodowe przedsiębiorstwa, które zaczynają się przeistaczać w rodziny mafijne, i vice versa, drastyczny wzrost liczby polityków kupionych albo takich, którym się grozi, słabnące zainteresowanie podstawami demokracji wśród zwykłych ludzi i dziennikarzy. Droga stoi otworem. Zawsze jesteśmy o krok za nimi, bo zawsze musimy chronić życie ludzi, nasze własne i naszych bliskich. Oni nie muszą niczego chronić. To coś zupełnie innego.

– Fakt, chętnie się wkupują w różne legalne branże – potwierdził Fabio Tebaldi. – Ale te branże muszą przynosić szybkie zyski. Brakuje im cierpliwości, to jest ich słabą stroną. Branża restauratorska, hazard, lombardy, dzieła sztuki, pozbywanie się toksycznych odpadów, owszem. Ale branża ekskluzywnych mebli zupełnie mi nie wygląda na działkę 'Ndranghety.

– Nie masz żadnego pojęcia, skąd się wzięły te pieniądze, które uratowały firmę? – zapytał Paul Hjelm.

Arto Söderstedt równocześnie pokręcił głową i wzruszył ramionami. Wyszło z tego coś dziwnego.

– Wpłynęły z jakiegoś konta na Kajmanach, ale dowiedzieć się, do kogo należy konto i jak ominąć tajemnicę bankową, to chyba zadanie na przyszłość.

– I nie mamy żadnego innego punktu zaczepienia, jeśli chodzi o przemysł meblarski? Jutta?

Jutta Beyer z wdzięcznością spojrzała na szefa i powiedziała:

– To pewnie nie ma nic wspólnego ze sprawą, ale obecnie najważniejszym problemem w tej właśnie branży ekskluzywnych szwedzkich mebli jest piractwo. Około dwudziestu szwedzkich firm ucierpiało z powodu rosnącej liczby chińskich podróbek. To kiepskie kopie, które sprzedaje się jako autentyki. Wspomniane przedsiębiorstwa właśnie połączyły siły, by pozwać szwedzkich sprzedawców tych podróbek, ale szwedzkie prawa autorskie wypadają blado w porównaniu z resztą Europy. No i jeszcze jedno...

Z niejasnym wrażeniem *déjà vu* Paul Hjelm zapytał:

– Jeszcze jedno?

– Może to też nie ma związku ze sprawą...

– ...ale zajmiemy się tym teraz.

– Tak, przepraszam – powiedziała niepewnie Jutta Beyer. – To tylko pewien pomysł. Fabio wspomniał o pozbywaniu się toksycznych odpadów. Kilka z najniebezpieczniejszych nowych toksyn na świecie,

bromowane opóźniacze płomienia i związki perfluorowane występują w meblach tapicerowanych. A Endymion produkuje chyba głównie takie meble.

– Podobno są to meble, na których zawsze siedzi się lub leży tak wspaniale, że człowiekowi grozi natychmiastowe zapadnięcie w sen – pokiwał głową Paul Hjelm. – Sprawdziłaś to dokładnie w odniesieniu do Endymion AB?

– Nie, tak daleko jeszcze nie doszłam – odparła Jutta Beyer.

– Ale to niezwykły pomysł – stwierdził Paul Hjelm. – Söderstedt i Beyer pracują dalej nad Endymionem. Dowiedźcie się, skąd nadeszła inwestycja, która ich uratowała. I sprawdźcie jak firma radzi sobie z toksycznymi substancjami. Skoordynujecie swoje działania ze Sztokholmem.

Hjelm dostrzegł, że Söderstedt uśmiechnął się po ojcowsku na widok błędnego uśmiechu, który przemknął po twarzy Beyer, świetnie kontrolującej swoją mimikę. Tak, ta współpraca powinna się sprawdzić.

Hjelm odchrząknął i ciągnął:

– Oczywiście pozostaje ważne pytanie, jak wygląda związek w układzie Sztokholm – południowe Włochy – Łotwa. Włączyliśmy do sprawy jednostkę informatyczną, której dowódcą jest w tej chwili komisarz Jorge Chavez.

Chavez od jakiegoś czasu powoli i zdumiewająco bezgłośnie podjeżdżał do przodu na krześle biurowym z najdalszego końca pomieszczenia. Hjelm uznał, że ciekawie będzie się przekonać, którzy z obecnych się wzdrygną, gdy jakby znikąd rozlegnie się głos Chaveza.

– Jak wiecie, maile Carla-Henrica Stiernmarcka są krótkie i mocno zaszyfrowane. Trzy zostały wysłane na różne adresy we Włoszech, w tym jeden z ukrytą kopią na adres na Łotwie. Pierwszy wysłano we wrześniu ubiegłego roku, drugi w listopadzie, trzeci, ten z kopią na Łotwę, w lutym tego roku. Mój kolega Jon Anderson ze Sztokholmu zauważył, że te trzy włoskie maile wydobyto z adresu MAC, który dwukrotnie pojawiał się w międzynarodowych śledztwach związanych z mafią i w związku z tym figurował w bazie Europolu. Wciąż jest niejasne, do kogo należy ten komputer. Tyle na razie udało nam się ustalić.

– Powiedz, że zaszłście choć trochę dalej – poprosił Hjelm z nadzieją w głosie.

– Nie za bardzo – odparł Chavez, ale jesteśmy nieco bliżej. Nie chcę was zamęczać szczegółami. Ustaliliśmy dwa różne adresy MAC. To oznacza, że wszystkie trzy zaszyfrowane maile od Stiernmarcka zostały otwarte i zapewne rozszyfrowane. Co prawda, te trzy maile wysłane do Włoch trafiły na różne adresy mailowe i różne adresy IP. Takie rzeczy łatwo można sfalszować, jest na to mnóstwo sposobów, wystarczy wejść na hide-my-ip.com i ma się to z głowy. Lecz unikatowy ślad danego komputera, adres MAC, nie jest tak łatwy do ukrycia. Dotarliśmy do dwóch takich adresów, jednego we Włoszech i jednego na Łotwie. Udało się je powiązać z konkretnymi ludźmi. We Włoszech znajdujemy się nie w Kalabrii, tam gdzie 'Ndrangheta, lecz w Bazylikacie, anonimowym regionie w połowie podeszwy włoskiego buta, oraz między San Luca a Neapolem, czyli, że tak to ujmę, w połowie drogi między

‘Ndranghetą a Kamorą. Mówi ci to coś, Tebaldi?

Fabio Tebaldi się zamyślił.

– Nie za bardzo – odparł. – To dość nudny górzysty rejon...

– Właściciel wspomnianego komputera mieszka podobno w mieście Potenza, niedawno dotkniętym trzęsieniem ziemi, i nazywa się Ottavio Mascaro. Skontaktowaliśmy się z miejscową policją. Jego nazwisko nie figuruje w jej kartotece.

– To mi coś przypomina – powiedział Tebaldi – ale nie potrafię tego sprecyzować... Pozwól mi się tym zająć.

– Dokładnie tego oczekuję – odparł Hjelm i znów zwrócił się do Chavez. – A Łotysz?

– To jest w Rydze, w stolicy – poinformował Chavez. – Wspomniana osoba nazywa się podobno Kaspars Helmanis i łotewskiej policji też to nazwisko nic nie mówi. Zresztą żaden z nich nie figuruje w bazach Europolu. Taki jest punkt wyjścia. Oczywiście nadal będziemy próbować namierzyć te dwie „osoby” i odszyfrować maile. Jeśli uda nam się je odszyfrować, pewnie będziemy mieli rozwiązanie zagadki.

– Ale czy zbliżyliśmy się do ‘Ndranghety? – zapytał Fabio Tebaldi. – Czy to faktycznie ten ślad, który doprowadzi nas do mafii, na który tak liczyliśmy?

– Takie mam mimo wszystko wrażenie – stwierdził Chavez. – Jest w tym wszystkim coś, co nam umyka. I to oczywiste, że musi nam się udać złamać ten szyfr. Wtedy poważnie zbliżymy się do sedna sprawy.

– Jak właściwie wyglądają te zaszyfrowane maile? – spytał Felipe Navarro. – To kod literowy?

– Tak – potwierdził Hjelm. – Wyglądają, jakby ktoś stukał na chybił trafił w klawiaturę. Długie rzędy liter. Roześlę wam oryginalne maile intranetem, możecie się im przyjrzeć w wolnej chwili. Wezmę pod uwagę każdy pomysł.

– Oczywiście, o ile szef nie będzie akurat w Londynie – zauważył Marek Kowalewski.

– Szef standardowo będzie dostępny dwadzieścia cztery godziny na dobę – stwierdził oschle Hjelm. –

A teraz zajmijmy się Łotwą.

– Która znalazła się w poważnym potrzasku, tyle wam powiem – oświadczyła z przejęciem Corine Bouhaddi. – W naszych czasach rzadko można zobaczyć taką imperialistyczną historię i to w związku ze wspaniałą neutralną Szwecją. Łotwa przeżyła prawdziwą inwazję szwedzkich banków, które każdemu kłoszardowi przyznawały milionowe pożyczki. W kraje bałtyckie dosłownie pompowano szwedzkie pieniądze, najwięcej właśnie w małą Łotwę. Kraj padł na kolana, nikt nie jest w stanie spłacić zawrotnie wysokich kredytów, szwedzcy kredytobiorcy muszą płacić za gigantyczne łotewskie bankructwa zarówno firm, jak i osób fizycznych. Wiele wskazuje na to, że Łotwa wkrótce pójdzie w ślady Islandii. Nie dostaną żadnych kredytów z zagranicy, nikt nie chce nawet tknąć ich waluty. Niedługo przyjdzie pora na pożyczki nadzwyczajne, by uniknąć bankructwa państwa. Nastąpi potężna dewaluacja waluty. Kto wtedy będzie stał i nadstawiał mieszek, jeśli nie szwedzki rząd i szwedzcy podatnicy? Ręka rękę myje, moi

drodzy, ręka rękę myje.

– Niezwykle ciekawe – stwierdził chłodno Felipe Navarro. – Mówię to szczerze, ale co to ma wspólnego z naszą sprawą?

– To warunkuje w tej chwili wszystko, co się dzieje na Łotwie – nie dała się zbić z tropu Bouhaddi. – I skoro dokładnie na początku kryzysu widzimy, że coś się dzieje między szwedzkim kapitałem, włoską mafią a czymś nieznanym w Rydze, wydaje mi się, że nie możemy dłużej przymykać oczu na szwedzki imperializm.

– Pomyślałaś sobie, że fajnie by było to powiedzieć, co? – spytał Chavez.

– Było fajnie – odparła z powagą Bouhaddi. – Koniec, kropka.

– Gdy faktycznie nadejdzie potężna dewaluacja, nie będzie tak zabawnie – zauważyła Laima Balodis. – Już w tej chwili jest nie za fajnie, także na Litwie. Nasi rządzący dali się ponieść kapitalistycznej pysze. Zagraniczni kapitaliści oczywiście skorzystali z okazji. Unia Europejska za wszelką cenę.

– Tyle że nie o tym chciałam powiedzieć – przerwała jej Bouhaddi. – Oto co miałam na myśli: w takiej sytuacji uważam, że nie możemy dłużej przymykać oczu na fakt, że to jest związane z kryzysem finansowym. W ten czy inny sposób.

– Czy wasz szwedzki kapitalista pożyczył pieniądze przez Łotwę, żeby uratować swoją firmę? – zapytał Angelos Sifakis.

– Albo od mafii, która z łatwością może dostać pożyczkę z Rygi, to znaczy, w sumie ze Szwecji? – spytała Miriam Hershey. – Właśnie o tym rozmawialiśmy z Laimą.

– Pytanie – dodała Laima Balodis – czy między rosyjską a włoską mafią istnieje jakiś bardziej bezpośredni związek, niż nam się wydaje? Bo to rosyjska mafia dyktuje warunki w krajach bałtyckich. I nie wiercie, że jest inaczej.

– Ona nie jest silniejsza niż 'Ndrangheta – zauważył Fabio Tebaldi.

– Razem mają mięśnie jak po sterydach – stwierdziła Hershey. – Stanowią rodzaj ram Europy. Widzę po minie naszego szanownego szefa, że zaczynamy się gubić w spekulacjach. Z drugiej strony, to właśnie mieliśmy robić, szukając łotewskich powiązań.

– Uwzględnię wszystkie poglądy i propozycje – zapewnił cierpko Hjelm. – Ale w tej chwili nie poruszamy się naprzód. Kowalewski?

– Nie mam nic do powiedzenia – odparł spokojnie Marek Kowalewski. – Stwierdzam tylko, że na Łotwie liczba przestępstw z udziałem przemocy spada, a liczba przestępstw gospodarczych rośnie. Jest dużo fałszerstw banknotów i kart kredytowych, prania pieniędzy, oszustw, kradzieży dzieł sztuki, którymi nikt się nie przejmuje, łamanie praw autorskich i przestępstw internetowych. Łotwa po prostu integruje się z Europą.

– Czy to nie cudownie? – rzuciła Balodis.

– Tylko do czego to wszystko zmierza? – spytał Hjelm. – Co powiedzą nasi eksperci od włoskiej mafii?

– Mamy tylko jednego – odparła Lavinia Potorac. – My jesteśmy jedynie backupem.

– No to zacznijmy od backupu – powiedział Hjelm. – Proszę bardzo.

– Przyjrzałam się dokładnie brutalnym przestępstwom ‘Ndranghety – odparła Potorac. – Niewiele jest słów, które mogłyby to opisać. W ogóle niewiele ode mnie usłyszycie. Jeśli o mnie chodzi, wystarczy tyle: trzeba to powstrzymać. *Over and out.*

Hjelm pokiwał głową. Kiwał tak, jakby kształtowała się w nim jakaś decyzja. Odwrócił się lekko i powiedział:

– Angelos?

Angelos Sifakis uśmiechnął się łagodnie.

– Jeśli przyrzeć się faktycznym procesom sądowym z południowych Włoch w ostatnich pięciu, dziesięciu latach, nie uwzględniając przy tym Sycylii ani Neapolu, można sobie stworzyć całkiem niezły obraz przeciętnych kontaktów między politykiem, przedsiębiorcą a mafiosem. Trzeba tylko wszystko pomnożyć razy sto albo coś koło tego. To jest po prostu wszędzie. Jak najbardziej jest u Berlusconi, w tym obozie nie ma ani krzty uczciwości, ale jest też wszędzie, na lewicy i na prawicy, na górze i na dole, w policji i w sądownictwie. Ci nieliczni sędziowie śledczy, którzy decydują się postawić i usiłują coś z tym zrobić, zawsze wiedzą, że ich dni są policzone. Bez względu na to, jakiej są orientacji politycznej. Choć coś sprawia, że jednak to robią. Wtedy mówią jednym głosem, głosem człowieka, którego czeka śmierć. Mówią coś, czego nikt nie chce słyszeć: „Za dziesięć lat Europa będzie w rękach mafii”. Potorac i ja jesteśmy chyba najbardziej różniącymi się osobami w całym tym pieprzonym biurze, ale mówimy to samo i dążymy do tego samego. I żadne z nas się nie podda. Aż do śmierci. No to masz backup, szefie.

Paul Hjelm się roześmiał. To był powoli narastający śmiech przypominający śmiech szaleńca. Wraz ze śmiechem narastało w nim pewne przeświadczenie. Przeświadczenie, że musi powiedzieć wszystko. Że nie może być między nimi żadnych tajemnic. Żadnej podwójnej gry. O ile ta grupa ma mieć jakąkolwiek przyszłość.

W sumie był z niego żaden śledczy wydziału wewnętrznego.

A już na pewno nie polityk.

Nagle przestał się śmiać. Powiedział:

– Ktoś z was wygadał się o istnieniu Opcopu mimo rygorystycznego obowiązku milczenia. Kto z was to zrobił?

Wszystko umilkło. Zamarło. Znieruchomiało. Nie poruszało się nic prócz ust Paula Hjelma.

– W tej chwili nie będzie żadnych konsekwencji. Ale brak kary i całkowite rozgrzeszenie dotyczy tylko tej chwili. Rozumiecie? W tej chwili uznaję to za grzech młodości, który nigdy nie może się powtórzyć. Natomiast jeśli postanowicie milczeć, ujawni to powolne, kosztowne i uciążliwe wewnętrzne śledztwo. Wtedy naprawdę możecie liczyć na dziesięć lat więzienia. Powiedzcie o tym teraz, żebyśmy mogli to dalej prześledzić. Potrzebujemy tej informacji.

Nikt nie śmiał obrócić głowy, by popatrzeć na pozostałych. Tuzin głów jakby przykręconych do tułowi.

W tym bezruchu dał się słyszeć cienki głos:

– To ma coś wspólnego z Londynem, prawda?

Paul Hjelm odwrócił się w stronę Jutty Beyer.

– Jak to? – spytał.

– Inaczej nigdy byś nie zostawił tej sprawy. Musi chodzić o być albo nie być całej grupy.

– Zgadza się. Ale nie to w tej chwili jest ważne. Najważniejsze jest to, żebyście absolutnie szczerze zadali sobie pytanie, komu mogliście powiedzieć. Od kogo mógł pochodzić przeciek? To wszystko.

Wciąż ten dziwny bezruch, ten strach przed spojrzeniem na kogokolwiek z pozostałych. Paul Hjelm podjął decyzję. Powie to jeszcze raz, a potem nigdy więcej.

– Dajcie spokój, jedno z was wie. Macie ostatnią szansę.

I wtedy to zobaczył. Zobaczył twarz, która coraz bardziej bladła.

– O Jezu – wyszeptał Marek Kowalewski.

Dopiero wtedy głowy się odwróciły. Wszystkie spojrzenia skierowały się na twarz, która nie chciała przestać blednąć.

– To był... przypadkowy związek – powiedział Kowalewski.

– Mów tak, żeby wszyscy słyszeli – rzucił Hjelm. – Od tej chwili członkowie Opcopu nie będą mieli przed sobą żadnych tajemnic zawodowych.

– Nie próbowałem tego ukryć – szepnął Kowalewski. – Zapomniałem o tym. To było na konferencji w Krakowie. Tam się dowiedziałem, że dostałem tę pracę. Byłem taki szczęśliwy. Poznałem dziewczynę w hotelowym barze. Chyba musiała uznać, że jestem strasznie pozytywnym facetem. Potem, w łóżku, zapytała, dlaczego wydaję się taki szczęśliwy. Odparłem oczywiście, że to z jej powodu, bo jest taką fantastyczną kobietą. Drażyla dalej. Wtedy jej powiedziałem. Z tego, co pamiętam, dość niejasno i bez szczegółów.

– Po pierwsze – zapytał Paul Hjelm – czy miałeś jakieś powody, żeby nabrać wobec niej podejrzeń?

A po drugie, co dokładnie powiedziałeś?

Na bladym jak ściana czole Marka Kowalewskiego pojawiły się głębokie zmarszczki. I to czoło wyglądało jak łóżko, w którym można być bardzo szczęśliwym.

– Miała na imię Mara, tyle pamiętam. Właściwie nic prócz tego, że naprawdę była fantastyczną kobietą.

– Fantastyczną z zawodu? – spytał bezwzględnie Hjelm.

Kowalewski milczał. Pogрузzył się w mętnych wodach pamięci.

– Nie wzięła pieniędzy, jeśli o to pytasz. Miałem wrażenie, że to jej naprawdę sprawiało przyjemność.

Nie zadawała żadnych dziwnych pytań. Wydawała się zupełnie zwyczajną dziewczyną.

– Polka?

– Tak. Wyzwolona Polka. Nie znam nazwiska. Nie zaglądałem jej w papiery.

– Co powiedziałaś? Dokładnie.

Wydawało się, że przypominanie sprawia mu fizyczny ból. W końcu wydusił z siebie krótką opowieść.

– Zapytała, dlaczego wydaję się taki szczęśliwy. Powiedziałem, że to z jej powodu, bo jest naprawdę

fantastyczną kobietą. „Spadaj”, powiedziała, „widzę, że to coś więcej. Byłeś szczęśliwy już przed”.

„Dostałem nową pracę”, ja na to, „pracę, o której mogłem tylko marzyć”. „Czyli nie będziesz już glina?”.

„Będę, ale nowocześniejszym. W Europolu, w Hadze”. „I co się tam robi?”. „Łapie się

międzynarodowych przestępców”, powiedziałem. „Jak to?”, dopytywała. „Będziemy małą jednostką

operacyjną”, wyjaśniłem. „To będzie cholernie ciekawe”. A potem chyba bzykaliśmy się jeszcze raz.

– Żadnych dalszych pytań? – drażył Hjelm.

Kowalewski potarł czoło, które wciąż było trupiobiałe.

– Nic takiego nie pamiętam.

– To znaczy, że ona zrozumiała słowa „jednostka operacyjna”? – zapytała nagle Lavinia Potorac swoim

łamanym angielskim. – Przecież ja je ledwie rozumiem. To znaczy, po angielsku.

– Wydawało mi się, że miała to gdzieś – odparł Kowalewski. – Rozmowa o tym ją znudziła. Chciała

robić coś innego.

– Niemniej – odezwał się Paul Hjelm, spoglądając w plik papierów trzymany w ręce – dokładnie tak

było napisane na karteczce, którą wsunęto do rurki i wprowadzono do odbytnicy zamordowanej kobiety

znalezionej na Hampstead Heath w północnym Londynie. „Do jednostki operacyjnej Europolu”. Jak

wyglądała ta Mara?

– Była ciemnowłosa – powiedział Kowalewski. – Dwadzieścia siedem lat, dość wysoka, jakieś metr

osiemdziesiąt, tatuaż z węzłem tuż nad... dziesięć centymetrów pod pępkiem. Nie miała włosów

łonowych. Ale to było cztery miesiące temu.

– Ta kobieta nie miała tatuażu, była w wieku około trzydziestu pięciu lat i miała ciemnoblonde włosy –

powiedział Hjelm. – Mimo to obejrzysz zdjęcia. Wszyscy je obejrzą. Przekażcie je dalej

i powiedzcie, czy coś w tym wydaje się wam znajome. To bardzo dziwne. Przyklejono ją w tej pozycji.

Fotografie zostały puszczone w obieg. Marek Kowalewski dostał je jako pierwszy i powiedział:

– To nie Mara.

– I co powiecie? – zapytał Hjelm. – Ktoś ma jakieś skojarzenia?

– Sztuka – stwierdziła Jutta Beyer z miną wyrażającą niesmak. – Jakieś klasyczne dzieło sztuki.

– Wiadomość – odezwał się Fabio Tebaldi. – Mafia lubi robić takie rzeczy. Przesłanie dotrze tylko do

tego, kto je rozumie.

– Wygląda na to, że nie ma innych związków z mafią – powiedział Hjelm.

– Co jeszcze? – spytał Tebaldi. – Raczej nie roi się tu od tropów.

– Może twarz – odezwała się Miriam Hershey głosem z MI-5. – Bardzo szczególny rodzaj przemocy.

Wygląda na piasek. Skarpety wypełnione piaskiem.

– Coś rzymskiego – oświadczył Arto Söderstedt.

Grupa umilkła na chwilę i wszyscy spojrzeli na Szweda.

– W każdym razie taki punkt wyjścia – wyjaśnił. – To wygląda jak jakaś rzymska rzeźba i prześcieradło też wygląda rzymsko.

– Cała zachodnia sztuka naśladuje rzymską – zauważyła Jutta Beyer.

– Która z kolei naśladowała grecką – dodał Angleos Sifakis.

– To tylko taka refleksja – odparł cicho Söderstedt i przekazał dalej zdjęcia.

– Czyli jedziemy do Anglii, żeby to sprawdzić? – spytała Hershey.

– Zgadza się – potwierdził Hjelm. – Ty, ja i... Bouhaddi.

– Daj spokój! – wybuchnęła Cornie Bouhaddi. – Żydówka i muzułmanka. Kto nas potraktuje poważnie?

– Mam nadzieję, że to była ironia – zauważył Paul Hjelm.

– Uczysz się – powiedziała Bouhaddi i się uśmiechnęła.

Uśmiechała się wyjątkowo rzadko i Hjelm postanowił przyjąć to jako pozytywny znak.

Marek Kowalewski, którego twarz zaczęła odzyskiwać lekko rumiany kolor, spojrzął na krążące zdjęcia i pokręcił głową.

– Czyli Mara komuś powiedziała?

Hjelm przyjrzał mu się i odparł:

– To jedna z wielu możliwości. Nie stać nas jednak na to, żeby jej nie uwzględnić.

– Ale jak...

– Kiedy nas nie będzie, chcę żebyś ty, nawet na sekundę nie zaniehbując pracy nad Łotwą, prześledził cały ten łańcuszek. Zacziesz od Mary i spróbujesz go prześledzić aż do karteczki w Anglii. Powiedzmy, taka praca po godzinach.

Kowalewski się roześmiał.

– *Chinese whispers*...

– Co? – zdziwił się Paul Hjelm.

– *Chinese whispers* – powtórzył Kowalewski. – Głuchy telefon.

Od: Ariadna <ariadne@midasmail.com>

Temat: Ciąg dalszy...

Data: 19 marca 23.41.34 EST

Do: Fedra <fedra873456@hotmail.com>

A więc jednak piszę ciąg dalszy. Nie wiem, czy biorąc to wszystko pod uwagę, mam prawo się cieszyć, ale tu i teraz dla mnie to jest jak boskie objawienie. Nie wiem, jak mam Ci dziękować. Przez kilka dni siedziałam jak na szpilkach.

Dopiero przyszłość pokaże, Kochanie, w jakim stopniu uzasadniony jest Twój niepokój. Na razie nic nie wskazuje na to, by ktoś wpadł na mój trop. Z drugiej strony, nie ośmieliłam się jeszcze zapuścić bardzo głęboko w labirynt. Nie znalazłam też nic szczególnego.

Natrafiłam jednak na parę rzeczy. Wróć jeszcze do tego. W sumie nie wiem, jak są ważne. To najwyżej cele pośrednie.

Czasem myślę o B., który tak strasznie nas podrywał, choć miał już trzecią żonę. Naprawdę się postarzał, ledwie byś go poznała. Kryzys finansowy dał mu się we znaki. Starzał się z każdym mijającym dniem. Ostatni bankier starej daty, z ostatnim staromodnym asystentem... Pamiętasz przecież Waltera. Tak wtedy myślałam. Ostatni, który naprawdę zdaje się przejmować wypłacalnością, odpowiedzialnością, nawet klientami.

Myliłam się. To nie dlatego tak szybko się starzał.

To na komputerze B. zobaczyłam wtedy bestię, znak Minotaura. Upiora.

Ale zaczynam od niewłaściwego końca. Wybacz, jeśli to, co piszę, wydaje Ci się chaotyczne. Po prostu nie wiem, jak mam to opowiedzieć, żeby wydawało się logiczne. Chyba musiałabym kłamać. Bo nie ma w tym logiki. To wszystko prawda, dzieje się tu i teraz, na serio, jest zgodne z faktami, ale logiki w tym nie ma.

Nic w świecie równoległego systemu bankowego nie jest logiczne, sama o tym wiesz. Nie jesteś przecież laikiem.

Wiesz, że bank otrzymał kryzysową pożyczkę na krótko przed tym, jak Federal Reserve miał już dość i odmówił pomocy Lehmann Brothers. Staliśmy na skraju ruiny. Tak się w każdym razie wydawało. Lecz zostaliśmy ocaleni.

Znowu tam zmierzamy. Zaczęła się szerzyć plotka, szybko jak zawsze. Nowe turbulencje. Czarne dziury połykające płynne środki. A tak dobrze się zapowiadało. Podobnie z resztą rynków finansowych, wydawaliśmy się mieć niezłe szanse, by rozplątać te splątane nici. Potem coś się wydarzyło. Nie wiadomo co. Znowu kryzys.

Ta szybkość. Te gwałtowne zmiany. Nie rozumiem, dlaczego w dzisiejszych czasach szybkość musi wykluczać inteligencję. Czy jeszcze całkiem niedawno nie było na odwrót? Najszybsi i najbystrzejsi. Teraz chyba jesteśmy tylko szybcy.

I szybko to poszło. W poprzednim mailu jeszcze niczego nie przeczuwałam. Teraz wszystko wydaje się inne. Coś nam nie wypaliło. Płynność znów się bardzo zmniejszyła. Nie wiadomo, w jaki sposób. Ale przecież zawsze tak jest. A może nie? Albo plotka kłamie. Świat plotek. Niepewności. Negatywna spirala podejrzeń różnych instytucji kredytowych. Mekka dla psychologów tłumu. To gorsze niż jakikolwiek fanatyzm religijny.

Co właściwie sobie wyobrażałam? Zawsze grałam w tę grę. To był mój świat. I nic dziwnego. Trzeba kierować ekonomią. Zarządzać pieniędzmi. Zajmować się majątkami. Obracać oszczędnościami. Ludzie, którzy sami nie mają możliwości lub chęci, by pomnażać pieniądze, powinni mieć taką opcję. To

fundament kapitalistycznej gospodarki. Wszystko trzeba rozwijać, także zasoby pieniężne. Wszystko musi się rozrastać, pomnażać, zwiększać. Ekspandować. Stworzyć przestrzeń na więcej. Która z kolei tworzy przestrzeń na jeszcze więcej. Więcej i więcej. Od dwustu lat – nie, zawsze tak myśleliśmy, jeszcze na długo przed tym, nim pojawił się właściwy kapitalizm. To w ten sposób się rozwijaliśmy, uczyliśmy się więcej niż nasi rodzice. Umieć więcej, wiedzieć więcej, nauczyć się więcej, zarabiać więcej. Chcieć więcej. To wszystko było dla mnie takie naturalne. Harvard, biznes, rynki finansowe jako istota ekonomii, pieniądze jako tlen w krwiobiegu społeczeństwa. Wiesz, co mam na myśli. Tak wielu z nas nigdy nie będzie w stanie myśleć inaczej. Nie wiem nawet, czy robię to w tej chwili. Ale zaczęły mi się zapalać różne światełka alarmowe.

Byliśmy takie naiwne. Może jednak zbyt łagodnie to określam. Wiedzieliśmy. Żyliśmy ze świadomością, że świat, w którym się obracamy, jest mniej czy bardziej przestępczy. Przymykałyśmy na to oczy. Uważałyśmy, że taka jest istota kapitalizmu: najsilniejszy wygrywa. Ekonomia musi być walką. A żeby wyjść z tej walki zwycięsko, trzeba przejść po tym czy innym trupie. Chcemy być po stronie najsilniejszego, zawsze tak było. Jeśli możemy wybierać między moralnością a siłą, wybór jest oczywisty. Do tego nas wychowano. Znajdź sobie miejsce po stronie najsilniejszego. Albo sam stań się najsilniejszy. Nasz światopogląd kształtowała nie moralność, lecz władza. Myślenie inaczej byłoby oszukiwaniem samego siebie.

Żyliśmy przestępstwem. Przestępstwem, które trwa od tak dawna.

Pomnażanie pieniędzy zawsze było związane z jakąś formą oszustwa. Wiedzieliśmy o tym my wszyscy, którzy się tym zajmowaliśmy, taki był nasz punkt wyjścia. Pieniądze nie mogą się pomnażać z niczego, trzeba je skądś brać. Wszyscy o tym wiemy. Świetnie wiemy, że to, co robimy, jest kradzieżą.

Za bardzo filozofuję. Nie o to mi chodziło. To, o czym mówię, jest wyjątkowo konkretne.

Mamy drugą połowę marca, Kochana. Nagle bankowi znów zaczęło źle się wieść. Nie powiedziano nam niczego oficjalnie, ale czuję, że ta plotka nie przyszła z dołu. Wyczuwam w niej oddech zarządu. Chcą podkreślić, jak z nami kiepsko. Chcą, żeby to dotarło do ludzi, ale pośrednią drogą.

Dlaczego ktoś miałby chcieć czegoś takiego? Dlaczego ktoś miałby udawać, że idzie gorzej niż w rzeczywistości?

Bo są z tego pieniądze, oczywiście. Albo raczej: bo wkrótce będą z tego pieniądze. Dlaczego? I kiedy?

Wydaje mi się, że mam w tej sprawie jasność. Dopiero teraz zaczynam to wyraźnie widzieć. Za ponad tydzień dwadzieścia najbogatszych krajów świata spotka się, by dyskutować o kryzysie finansowym i o tym, jak mu zaradzić. Wtedy uwolnione zostanie sporo pieniędzy.

Ech, kogo ja próbuję oszukać? Uwolnione zostaną obłędne sumy. Biliony dolarów. Najbardziej zdumiewające kwoty, o jakich świat dotąd słyszał, zmienią właścicieli i przepłyną z rąk publicznych do prywatnych. I nikt nie zaprotestuje. Gigantyczny przepływ pieniędzy z budżetów krajowych do banków komercyjnych, inwestycyjnych i parabanków na całym świecie. Globalnie. To właśnie będzie oznaczało spotkanie G-20 w Londynie, „London Summit”.

W Stanach Zjednoczonych pomoc odpowiadająca produktowi krajowemu brutto kilku mniejszych państw razem wziętych zostanie przekazana nieprawidłowo zarządzanym bankom i nieodpowiedzialnym bankierom, którym nigdy nie przyszłoby do głowy, by zrezygnować ze swoich bonusów, bez względu na to, jak biedny i źle zarządzany jest ich bank.

Nie to jednak zobaczyłam na komputerze B. Nie zobaczyłam tam biednego banku. To był bogaty bank, prowadzący kreatywną współpracę z... Minotaurem.

Zmartwychwstałym.

Ale uprzedzam wydarzenia, Kochanie. Naprawdę skorzystałam z naszych ćwiczeń rozwijania pamięci na Harvardzie. Nauczyłyśmy się naprawdę świetnie zapamiętywać cyfry. Dało to nam, kobietom w świecie mężczyzn, przewagę, której tak potrzebowałyśmy. W banku to się naprawdę przydało. Ile to numerów kont znałyśmy na pamięć? Jak bardzo niezastąpione się stałyśmy?

Tym, co zobaczyłam, był numer konta z tamtych czasów. Natychmiast je rozpoznałam na monitorze B. Nie powinno go tam być. Powinno zostać zamknięte. Powinno być zamknięte od 11 września 2001 roku.

The number of the beast.

Było skojarzone z innym kontem, którego nigdy dotąd nie widziałam. Na samym tym konczie było dość środków, by uratować bank – tyle mogę powiedzieć. I nigdzie indziej nie umiem znaleźć tych pieniędzy. W żadnym sprawozdaniu, nigdzie. A jednak chodzi, ponad wszelką wątpliwość, o konta w naszym banku.

Choć widziałam to tylko przez ułamek sekundy, cały świat się potem zmienił.

Gdy zaczęłam szukać tych dwóch numerów kont, okazało się, że ich nie ma. Ani konta Minotaura, ani tego nieznanego – żadnego z nich. Po prostu nie istnieją.

Ja wiem, że je widziałam.

Nieznany numer konta nie istniał nigdy. Konto Minotaura faktycznie zostało zamknięte we wrześniu 2001.

Widziałam je.

Z wyciągnięciem wniosków poczekam do następnego maila. Chciałabym, żebyś pomogła mi to zrozumieć. Jedyne, czego mi potrzeba, to nie musieć myśleć o tym samotnie. Pewnie bym od tego oszalała.

Tylko muszę zapaść się głębiej. Głębiej w labirynt.

Sama świadomość, że stoisz tam na zewnątrz i trzymasz kłębek, sprawia, że mam odwagę iść dalej.

Kochanie, myśl o mnie czasami.

Ściskam Cię

Ariadna

Kontakt

Haga, 7 kwietnia

CHOĆ WCIAŻ BYŁO ICH WIELU, otwarte pomieszczenie biurowe wydawało się dziwnie opustoszałe. Jutta Beyer po prostu tęskniła za swoim szefem, choć zrozumienie tego faktu przekraczało jej możliwości samopoznania. Ale nie jej nowego partnera. No cóż, on miał na karku znacznie więcej lat niż ona.

Arto Söderstedt nie potrafił stłumić uśmiechu, gdy zobaczył, że jej spojrzenie po raz czwarty w ciągu kwadransa wędruje ku ciemnym szybom gabinetu szefa. Przeciągnął się, odłożył swoje nowe holenderskie okulary, oparł się wygodnie, splatając ręce na karku, i pozwolił sobie na to, by trochę podumać nad swoim życiem.

Miał pięcioro dzieci, z których czworo wyfrunęło z gniazda, oraz żoną Anję, która na szczęście była ptakiem osiadłym. Mimo to całkiem mobilnym. Dzięki rozwojowi elektroniki mogła siedzieć w Hadze i zajmować się deklaracjami oraz kwestiami podatkowymi tak, jak to robiła przez całe życie. I jakoś się tym nie znudziła. Będzie się dobrze czuła w nowym gniazdku uwitym w spokojnym centrum Hagi. Potrafiła się wszędzie dobrze czuć, byle tylko mogła w spokoju uprawiać swoją bazylię. Niedawno wyhodowała zupełnie nową odmianę, którą właśnie oceniało jakieś oficjalne stowarzyszenie hodowców bazylii w Rzymie. I dobrze poczuje się pewnie mała Lina mimo swoich piętnastu lat i dzikich protestów, że musi opuszczać swoją klasę. Nie czuła się jednak szczególnie dobrze w tej klasie. Na szczęście jej humory były zmienne jak kwietniowa pogoda. Teraz w międzynarodowej szkole nie tylko pozna nowych, mniej destrukcyjnych przyjaciół, lecz również zyska szansę poprawienia miernych ocen i dostania się dzięki temu do gimnazjum designu, o którym skrycie marzy. Söderstedt wiedział o tym, miał bowiem w zwyczaju systematycznie przeszukiwać jej sekretne notatki. Być może fakt, że tylko w taki sposób mógł poznać najmłodszą córkę, powinien być dla niego dzwonkiem alarmowym. Ale dzwonki alarmowe nie robiły wrażenia na Arto Söderstedcie. Nawet ten wściekle dzwoniący, który wrzeszczał, że jego próby przekonania samego siebie, iż rodzina w Hadze dobrze się poczuje, mają w sobie coś panicznego. Pozwolił sobie po prostu na to, by poczuć się dobrze z tym, jak żył. W ten bezapelacyjnie söderstedtowy sposób.

Istniało pewne zakłócenie. Czasami go dopadało. Coraz częściej, jeśli miał być szczery. Dopadało go bez względu na to, jak szczelnie się otulił swoim fizycznym i mentalnym płaszczem. Był to wiatr, lodowaty zimowy wiatr z Glencoe. Przenikliwy wiatr zdrady. I co za tym idzie, był też zakrwawiony Chińczyk, który szeptał Arto do ucha.

Czuł się tak, jakby na jego błonach bębenkowych wytatuowano ciąg chińskich znaków, a on nie był w stanie ich odczytać.

Bo bardzo trudno zajrzeć do własnego ucha.

Nie istniał nikt, kto mógłby to zrobić za niego. Ten drobny człowieczek postawił wszystko na jedną

kartę i ta karta nazywała się Arto Söderstedt. Niech to szlag! Obowiązkiem Arto Söderstedta jest się dowiedzieć, czego on chciał. Na to nie mógł nic poradzić nawet Paul Hjelm.

Hjelm, którego nieobecność znów przyciągnęła przelotne spojrzenie Jutty Beyer. Nie zdjawszy rąk z karku, Söderstedt powiedział:

– Poradzisz sobie bez niego.

Jutta Beyer oblała się rumieńcem. Wtedy Söderstedt zdał sobie sprawę, że porównuje ją ze zwoją najstarszą córką Mikaelą. Dzieliło je niewiele lat. I całe oceany wiedzy o samej sobie. Mikaela była twardą ekonomistką w firmie finansowej w Sztokholmie. To był jej bunt przeciw mało konkretnym i trochę niezorganizowanym rodzicom o skłonnościach lewicowych. Zastanawiał się, czy Jutta Beyer buntowała się jakoś przeciw rodzicom. Oczami wyobraźni zobaczył starszą parę z północnych Niemiec w topornych butach, praktycznych ubraniach i z włosami obciętymi pod garnek. Potem uświadomił sobie, jaki jest niesprawiedliwy.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie – rzuciła Beyer, gdy doszła do siebie.

– To dlatego, że nie pamiętam, co to było za pytanie – odparł szczerze Söderstedt, zdejmując ręce z karku.

– Jak ci idzie z tym kontem na Kajmanach, z którego przelano pieniądze, żeby uratować Endymion? – zapytała aż nazbyt wyraźnie Beyer.

– Ach tak – westchnął Söderstedt, powracając do bolesnej terażniejszości. – Bank ma podobno do mnie zadzwonić między jedenastą a dwunastą. Teraz mamy dziesięć po jedenastej. Czekam na telefon od nich.

– Navarro mówił przecież, że udało mu się powiązać z tym samym bankiem co najmniej dwie transakcje mafijne.

– To dobry znak – odparł po ojcowsku Söderstedt. – Warunek konieczny, lecz niewystarczający, jak mawiają filozofowie. Powiedz mi, który bank na Kajmanach, Wyspach Normandzkich, Bermudach, Wyspach Dziewiczych, w Liechtensteinie, Luksemburgu, Szwajcarii, Monako, Andorze i Panamie nie obracał kiedyś mafijnymi pieniędzmi. Albo, skoro o tym mowa, który bank w Stanach Zjednoczonych. Pieniądze nie śmierdzą, taka jest prosta dewiza banków. One nie mogą ponosić odpowiedzialności za pochodzenie oszczędności.

– Zajmujesz się ciągle tylko tym Chińczykiem – powiedziała nadąsana Beyer.

– Mogę robić wiele rzeczy naraz – odparł spokojnie Söderstedt. – Klasyczna męska wielozadaniowość, wy, kobiety, powinnyście tego spróbować. Czuję, że jestem coraz bliżej. Aby mieć jakąkolwiek szansę, musiałbym się nauczyć mandaryńskiego, a w każdym razie zrozumieć, jak się konstruuje znaczenia i wymawia słowa. Wytężyłem pamięć do granic możliwości i doszedłem do tego, jak brzmiały te słowa w Londynie.

Odkleił od monitora samoprzylepną karteczkę, wpatrzył się w tekst i mówił dalej:

– Słyszałem coś, co brzmiało mniej więcej tak: „tksangpudyrgymongultjudygnialkridingyljiang”.

Nagrałem to i wysłałem plik dźwiękowy do kilkunastu ekspertów na całym świecie, ale wszyscy połamali sobie na tym zęby. Dostałem mnóstwo sugestii. Były zróżnicowane i niezwykle kreatywne. Eksperci na ogół zgadzali się co do tego, że „jiang” na końcu oznacza „rzekę”, choć równie dobrze może chodzić o imię „Jiang”. Takie jak imię tego pingpongisty.

- Jiang Jialiang – kiwnęła głową Jutta Beyer, ku szczeremu zdumieniu Söderstedta.
- Słyszałaś o nim?
- Tylko tyle, że pokonał Waldnera na mistrzostwach świata w osiemdziesiątym siódmym.
- Musiałaś być wtedy mała.
- Byłam dość duża, żeby się zakochać.
- W Jiang Jialiangu?
- W Janie-Ove Waldnerze – odparła Jutta Beyer, nie rumieniąc się.

Söderstedt, który niemal perwersyjnie uwielbiał, gdy niszczone jego uprzedzenia, spojrzawszy na Beyer jakby innymi oczyma i ugryzł się w język, żeby nie powiedzieć „Więc teraz Paul Hjelm?”. Zamiast tego powiedział:

- A twoje tropy?
- Szwedzka branża projektowania mebli – stwierdziła Jutta Beyer, stukając długopisem w biurko. –

Nie tak charakterystyczna jak duńska, ale w skali międzynarodowej to przecież hasło IKEA otwiera wszystkie drzwi. Endymion Möbelsystem AB jest małą, lecz renomowaną firmą z najekskluzywniejszego segmentu rynku. Specjalizuje się w meblach tapicerowanych: sofach, łóżkach, fotelach i krzesłach. Wszystkie impregnuje się bromowanymi opóźniaczami płomienia i związkami perfluorowanymi. Należą one do najgroźniejszych toksyn ostatniej dekady. Kiedy się je stosuje, powstaje masa odpadów, które trzeba zneutralizować.

– Czy naprawdę cokolwiek świadczy o tym, że miałyby tu chodzić o związki niebezpieczne dla środowiska?

- Nie wprost – odparła z ociąganiem Beyer.
- Pośrednio? – zapytał niecierpliwie Söderstedt.
- Zastanawiam się nad ekomafią – odparła niezbita z tropu. – Pozbywanie się związków niebezpiecznych dla środowiska to nowe ważne zajęcie na boku dla mafii. Niektóre odłamy zajmują się wyłącznie tym.

– Sabotują utylizację odpadów w Neapolu, zatapiają na Morzu Śródziemnym zużyte tankowce z ropą, nieodwracalnie zatruwają wiekowe lasy piniowe odpadami radioaktywnymi. Robią obrzydliwe rzeczy we własnym kraju. Ale chyba z reguły działają w granicach Włoch?

– Czemu mieliby to robić? Zajmujemy się przestępczością międzynarodową. Czemu nie Łotwa? Czemu nie mały kraj na skraju bankructwa, który desperacko potrzebuje płynnych środków finansowych?

Arto Söderstedt naprawdę się nad tym zastanowił. Spojrzawszy na tę energiczną kobietę i po raz pierwszy na serio dostrzegł w Jucie Beyer myślącą policjantkę. Radośnie akceptując fakt, że ma mnóstwo

uprzedzeń, odparł:

– Dokończmy twój tok rozumowania. Dyrektor Endymiona Carl-Henric Stiernmarck miałby zlecić ekomafii pozbycie się bromowanych opóźniaczy płomienia i związków perfluorowanych. Potem zajęłaby się nimi włoska mafia i wywiozłaby je na Łotwę, by tam się ich pozbyć? Czy to nie są niepotrzebne komplikacje? I niepotrzebne koszty?

– Pozbycie się substancji niebezpiecznych dla środowiska tak, by nikt tego nie zauważył, nie jest łatwe – odparła Beyer. – W tej dziedzinie mamy w Unii Europejskiej mimo wszystko całkiem rozbudowane prawodawstwo i niezłą kontrolę. Trzeba by sprawić, żeby bromowane opóźniacze płomienia zniknęły z księgowości.

– Czyżbym przeczuwał ciąg dalszy? – spytał Söderstedt.

– Pociągnijmy jeszcze trochę ten tok rozumowania – podjęła Jutta Beyer.

Mówiła ze skupieniem i entuzjazmem, jakich Söderstedt, król uprzedzeń, nigdy by się po niej nie spodziewał. Czasami zadawał sobie pytanie, co jego stary kompan, który za sprawą niezbadanych wyroków opatrności został wysoko postawionym biurokratą w strukturach Unii Europejskiej, widział w niektórych członkach Opcopu. Dopiero w tej chwili pojął, że Paul Hjelm widział więcej i patrzył znacznie głębiej niż on.

Z drugiej strony, on nie był wysoko postawionym biurokratą w strukturach Unii Europejskiej.

– Proszę, mów dalej – powiedział i rozsiadł się wygodnie.

Jutta pochyliła się nad biurkiem.

– Ekologiczna utylizacja bromowanych opóźniaczy płomienia i związków perfluorowanych jest droga i skomplikowana. Gdy dochodzi do kryzysu gospodarczego, ekologia idzie w kąć jako pierwsza. Gdyby tak było w przypadku Endymiona, to jakaś regularnie pojawiająca się pozycja o nazwie „utylizacja odpadów toksycznych” albo coś w tym stylu musiałaby zniknąć z księgowości. Przyjrzałam się dokładnie ich rocznemu sprawozdaniu finansowemu z ubiegłego roku i jest tam coś, co się nie zgadza. Pozycje są za każdym razem inaczej opisywane i weryfikowane, ale pojawia się taka sama suma około piętnastego każdego miesiąca. Potem znika we wrześniu i nie ma jej przez resztę roku. W październiku zjawia się natomiast nieznaną finansista i ratuje firmę.

– Pozycje mają różne opisy? – zapytał. – Kwoty są takie same, wypłacane co miesiąc tego samego dnia, ale mają różne opisy?

– Wszystko od „literatury fachowej” przez „koszty reprezentacyjne” aż do „kosztów materiałowych”. Najczęściej „koszty materiałowe”. Z dość niejasnymi pokwitowaniami.

Spojrzenie Söderstedta powędrowało za okno na szarą od deszczu Hagę.

– Chcesz powiedzieć, że ktoś manipulował księgowością? Jak wyglądają wcześniejsze lata?

– Podobnie. Prześledziłam dane z trzech lat.

– Sfałszowanie wstecznie sprawozdania rocznego nie jest chyba proste? Czy to nie są dokumenty publiczne? Rejestrowane z dniem wpłynięcia do urzędu skarbowego?

– O ile dobrze rozumiem szwedzki system, to tak.

– Z drugiej strony, wszystko teraz jest elektroniczne. Moja żona pracuje w urzędzie skarbowym. Nie ma już żadnych papierów, żadnych podpisanych oryginałów upchniętych w szufladach i przechowywanych w zakurzonych archiwach. Mimo wszystko to kiedyś było barierą hamującą oszustwa w cyberprzestrzeni.

– Pewnie nie wystarczyłoby być dobrym hakerem – zauważyła Beyer. – Potrzebna jest jakaś wtyczka w urzędzie. Potem sam proces nie jest skomplikowany. Trzeba wymienić na przykład określenie „utyliczacja odpadów” na coś niejasnego jak „literatura fachowa” i „koszty materiałowe”. Według mnie dałoby się to zrobić w parę minut. Problem polega na zamaskowaniu faktu, że się to zrobiło.

– Czyli jakaś wtyka w urzędzie skarbowym? Czy to wszystko nie zaczyna wyglądać, no nie wiem, poważnie?

– To wciąż tylko spekulacje – odparła i uśmiechnęła się pod nosem.

Podniosła wzrok i zauważyła, że biuro nie jest już takie opustoszałe. Swoimi pomysłami nawodniła pustynię. W trakcie ich rozmowy kolejne osoby podjeżdżały trochę bliżej na swoich krzesłach. Fabio Tebaldi, który rzadko miewał zahamowania w kontakcie fizycznym, siedział wręcz absurdalnie blisko, jak kot na poduszce ledwie obudzonej pani, zaś Angelos Sifakis, równie zaciekawiony, ale znacznie subtelniejszy, podjechał do niej z boku. Lavinia Potorac i Felipe Navarro siedzieli trochę dalej, nieco sceptyczni i zdystansowani, zaś Laima Balodis i Marek Kowalewski ostrożnie obserwowali wydarzenia z dystansu. Balodis wydawała się autentycznie wytrącona z równowagi nieobecnością swojego cienia, Hershey. Dawne błazeńskie popisy Kowalewskiego stały się wspomnieniem.

Wygląda jak mokry szczeniak, pomyślała Jutta Beyer i na chwilę się zawstydziła, że tak ją cieszy nieszczęście kolegi. Tylko krajowi przedstawiciele, w tym Jorge Chavez, zostali w swoim kącie pomieszczenia. Ale i oni zerkali w tę stronę.

– Powtórz to jeszcze raz, Jutto – poprosił Tebaldi i naprawdę był *in her face*, jak zaczęła myśleć w swoim żenująco łamanym EUnghish. Mówiła zatem dalej.

– Jak wspominałam, to na razie czyste spekulacje.

– Dotarły do nas twoje zastrzeżenia – powiedziała szczerze Lavinia Potorac.

Szczerza jak zawsze, pomyślała Beyer i przez chwilę czuła zaciskanie się szczęk. Mimo to kontynuowała:

– Oto jak ja to widzę. Szwedzka firma meblowa Endymion podczas kryzysu finansowego we wrześniu ubiegłego roku doświadcza poważnych problemów z płynnością. Mogą zaoszczędzić na utylizacji bromowanych opóźniaczy płomienia i związków per fluorowanych, bo ona kosztuje drogo. W jakiś sposób dyrektor o trudnym do wymówienia imieniu i nazwisku, Carl-Henric Stiernmarck, nawiązuje kontakt z ekomafią, która wyrzuca toksyny bezpośrednio do środowiska. Rezygnując z legalnej utylizacji toksyn i wysyłając cały ładunek w wybrane miejsce na Łotwie, prawdopodobnie gdzieś nad Bałtykiem, można zaoszczędzić naprawdę sporo pieniędzy. Stało się to pod koniec zimy, bo jak wiadomo, w lutym

wysłano mail do Włoch i na Łotwę.

– Pod koniec zimy nie było już kryzysu – odezwała się nagle Laima Balodis, jakby szybkim cięciem udało jej się uwolnić od bliźniaczki syjamskiej.

– Tyle tylko – wtrącił cierpko Fabio Tebaldi – że jeśli raz podpisało się kontrakt z mafią, lepiej dotrzymać warunków.

– Zwłaszcza – dodała Jutta Beyer – jeśli w październiku dostało się od tej mafii pieniądze. Pieniądze, które uratowały firmę przed bankructwem.

– Tu dochodzimy do mojego pytania, które teraz powtórzę – powiedział Tebaldi. – Po co, u diabła, 'Ndrangheta albo jakakolwiek inna nielegalna organizacja miałyby pompować pieniądze w małą szwedzką firmę meblową?

Wszyscy umilkli, a najbardziej umilkła Jutta Beyer. Milczenie trwało nieprzyjemnie długo.

– Czy nie chodzi przypadkiem – odezwał się w końcu Arto Söderstedt – o metodę nogi w drzwiach? O legalny punkt zaczepienia w nowym kraju? O cokolwiek, co by wyglądało choć trochę obiecująco i co mogłoby być punktem wyjścia do ekspansji? Zwłaszcza jeśli ma się haka na dyrektora firmy? Stiernmarck zwrócił się, w mniej czy bardziej niewinny sposób, do ludzi, którzy mieli mu pomóc pozbyć się tanio pewnej ilości śmieci. Oni zaś wbili w niego szpony i teraz nie może się wyrwać. Jest w rękach włoskiej mafii. Jest ich biletem do Szwecji.

Telefon zadzwonił tak przenikliwie, że tylko nieliczni z nich się nie wzdrygnęli. Jednym z tych, którym się to udało, był Arto Söderstedt.

– Czekałem na ten telefon – oświadczył i spojrzał na numer na wyświetlaczu komórki składający się głównie z piątek. – To powinien być jakiś wysoko postawiony bankier z LOL Offshore Asset Management Ltd na Kajmanach.

– Konto, z którego wypłacono pieniądze dla Endymion – wyjaśniła szeptem Jutta Beyer.

– Yes – powiedział Söderstedt do słuchawki.

Po czym powtórzył:

– Yes.

A gdy pół minuty później powtórzył jeszcze raz „Yes”, zebrani zaczęli wymieniać sceptyczne spojrzenia i przewracać oczami. Wtedy Arto Söderstedt powiedział:

– *I am well aware of your Confidential Relationships Law and I fuck it in the ass.*

Członkowie Opcopu przestali przewracać oczami i wydali z siebie wyrażające oburzenie lub rozbawienie pomruki. Söderstedt ciągnął w tym samym, powściągliwym tonie:

– Wciąż żyjecie w czasach, gdy kolumbijskie samoloty z narkotykami przylatywały do Georgetown, pękając w szwach od zakrwawionych banknotów. Były wtedy regularne loty z Miami do przerzucania narkotyków. Ale to się zmieniło. Również Kajmany zostały zmuszone, by wprowadzić do swego prawa pewne zasady przejrzystości. A to oznacza, panie More, że może pan wybrać jedną z dwóch opcji. Albo podacie mi te proste informacje, o które prosiłem, albo zbiorę cały aparat prawny Unii Europejskiej

i dorwę się do LOL Offshore Asset Management Ltd. Pan wie, że istnieją precedensy. Niech pan sobie przypomni Sancheza, Corsiniego... Czekam na wiadomość od was do końca tygodnia, panie More. Ma pan mój numer. *Adiós*.

W pomieszczeniu biurowym zapanowała niezręczna i jednocześnie pełna szacunku cisza.

– Naprawdę nazywa się More? – wybuchnął w końcu Fabio Tebaldi.

– Nie mam pojęcia – odparł Söderstedt, odkładając okulary.

– Co to za jedni, ten Sanchez i Corsini? – chciała wiedzieć Jutta Beyer.

– Król narkotykowy i mafioso – powiedział Angelos Sifakis.

– W sumie dość drobny mafioso – zauważył Tebaldi. – Z dość podrzędnego klanu kamory.

– I nie za wielki król narkotykowy – dodał Felipe Navarro. – Boliwijczyk. Ale jak najbardziej się zgadza, że im obu prześwietlono tajne konta na Kajmanach, odpowiednio dzięki decyzjom Organizacji Narodów Zjednoczonych i Unii Europejskiej.

– Tajemnica bankowa to prawdziwa plaga – mruknął Söderstedt.

– Alternatywą jest inwigilowanie społeczeństwa – rzuciła Lavinia Potorac. – Żyłam w tym. Nie chcę do tego wracać.

– Ale nie chcesz też żyć w społeczeństwie rządzone przez mafię – powiedział Tebaldi.

– Powiedzmy, że to balansowanie na cienkiej linii – podsumowała szorstko Potorac. – Otwarte społeczeństwo to wąska droga rozwoju. Wszystkie inne są szerokie.

– À propos wąskich i szerokich dróg – uśmiechnął się kwaśno Navarro. – Jak ci idzie z Marą, Marek? Kowalewski skrzywił się lekko i odparł:

– Jeszcze nic. Trochę czasu minęło, nim udało mi się zdobyć przyzwoite portrety pamięciowe. Europol ma kiepskie dojścia do policyjnych rysowników. W końcu wysłałem mailem portrety do tego hotelu i nikt jej nie rozpoznał. W weekend jadę do Krakowa.

– Naprawdę poważnie traktujesz to, co Hjelm mówił o nadgodzinach – zauważył Navarro. – Grzeczny chłopiec.

– Im więcej o tym myślę, tym bardziej mi się wydaje, że ona nie mieszkała w hotelu. Mam niejasne wspomnienie, że widziałem, jak wchodziła przez główne drzwi z dwoma koleżankami. W takim razie pewnie mieszka w Krakowie.

– I pewnie jest dziwką – zauważył bezlitośnie Navarro.

Wtedy rozległ się dziwny elektroniczny sygnał. Nie był szczególnie głośny, ale zdawał się tym bardziej przenikliwy. Członkowie Opcopu popatrzyli po sobie, marszcząc czoła.

– Tylko nie mówcie, że to alarm przeciwpożarowy – jęknęła Laima Balodis. – Patrzcie, jak za oknem leje.

– Hej! – zawołał Angelos Sifakis. – To przecież alarm MAC.

Rzucił się do swojego miejsca i zaczął gorączkowo poruszać myszką. Pozostali opornie, ale posłusznie ruszyli za nim.

– To Mascaro – wydyszał tajemniczo Sifakis. – Jest w sieci.

– Mówcie po ludzku! – ryknęła Potorac.

– Komputer z Bazylikaty – ciągnął Grek w podobnym tonie, wskazując sznureczek cyfr na ekranie. –

Ten, na który Stiernmarck wysyłał swoje zaszyfrowane maile. Komputer został powiązany z nieznanym mężczyzną o nazwisku Ottavio Mascaro z miasta Potenza. Jest właśnie w sieci. Ustawiłem alarm na adresie MAC.

– Widzisz, co robi? – zapytał Söderstedt.

Sifakis zaczął wymachiwać rękoma nad głową. Zawołał:

– Chavez! Szybko!

Jorge Chavez zerwał się z krzesła i zręcznie przebiegł przez biuro. Zamienił parę zagadkowych słów z Sifakisem, usiadł i zaczął stukać w klawiaturę. Po kilku sekundach pojawiła się strona, serwis mailowy. Po prostu Hotmail. Kilkoma szybkimi ruchami palców Chavez zamroził stronę i powiedział:

– Odbiera pocztę.

– Właśnie teraz? – syknął Tebaldi.

– Już się wylogował, ale mam stronę. I mam nadawcę. I mail.

– Masz nadawcę? – ryknął Tebaldi.

Chavez, nie zwracając uwagi na ten dobiegający z otchłani ryk, gorączkowo stukał dalej w klawiaturę.

– Adres IP mówi Sztokholm, Szwecja – oświadczył. – Ale to nie ten sam adres co ostatnio.

Przynajmniej na pierwszy rzut oka.

– *Fuck!* – wydarł się Tebaldi i zrobił pełny obrót na krześle. – Pieprzony Sztokholm w Szwecji! Chcę

więcej o ich komunikowaniu się! Chcę więcej pęknięć w murze! Chcę Włochy, Kalabrię, Bazylikatę.

Chcę mafiosów, którzy pokazują, jacy są cholernie durni.

– A nie Stiernmarcka? – wydusiła z siebie Jutta Beyer w samym środku tej burzy.

– To może być to – rzucił Sifakis.

– A monitorujemy chociaż tego pajaca? – jęknął Tebaldi. – Powiedz, że tak. No, powiedz.

– Kto ma to powiedzieć? – zapytał spokojnie Söderstedt.

– Ty. Albo ty przy kompie. Cholerni Szwedzi.

– Nie mamy monitoringu – odparł Chavez, nie przestając stukać. – Natomiast mam fizyczny adres. Dom kultury w Sztokholmie. Publiczny komputer.

– I nie zdziwiłbym się, gdyby w domu kultury było sporo kamer – zauważył Arto Söderstedt. – Jeśli to Stiernmarck, to go mamy.

– A druga strona? – wrzasnął Tebaldi. – Powiedz, że mamy więcej informacji o tym koleśiu z Potenzy. Powiedz, że teraz możemy go znaleźć i przycisnąć.

– Niestety – odparł Chavez tym samym drewnianym głosem. – Żadnych nowości po tej stronie. Ale mam nowy mail, znajome chaotyczne stukanie w klawiaturę.

– Do diabła! – zaryczał Tebaldi.

– Wasz dyrektor naprawdę opanował takie zaawansowane szyfrowanie? – zapytał Sifakis. – Aż tak się wkręcił?

– *Good point* – odparł Chavez. – Kiedy zajmowałem się tymi tekstami, uderzyło mnie, że są dość wyrafinowane. Z wyraźnymi elementami niepokonanej broni każdego szyfranta, przypadku.

– W relacji z mafią Stiernmarck jest raczej ofiarą niż sprawcą – zauważyła Beyer. – Co oznacza, że...

– Ach! – zawołała Potorac. – Że ma urządzenie szyfrujące.

– Które wziął ze sobą do domu kultury – kiwnął głową Söderstedt.

– O Jezu! – huknął Tebaldi. – Natychmiast wyślijcie tam patrol. To przecież nasze wejście! Nasze bezpośrednie połączenie z ‘Ndranghetą jest w kieszeni tego dupka!

– Nie – powiedział stanowczo Chavez, wstając.

Tebaldi zamrugał kilka razy i przysunął swoją twarz na dwa centymetry do twarzy Chaveza. Niemal wszyscy zauważyli nabrzmiałe żyły na jego skroniach. Chavez się nie cofnął, tylko spojrzał Tebaldiemu w oczy.

– Potrzebujemy go – powiedział dokładnie takim samym tonem. – Jeżeli go teraz przestraszysz, zapadnie się pod ziemię.

– A co z tym gadżetem? – zawył Tebaldi. – Jak w ogóle możemy myśleć o tym, żeby wypuszczać z rąk klucz do ‘Ndranghety?

– Nie wypuszczamy go z rąk – odparł Chavez. – Zabezpieczamy go.

– Teraz możemy go wziąć! Właśnie teraz! Po prostu go zgarnąć i wejść do środka. Nigdy nie byłem tak blisko, chociaż skazali mnie na śmierć, do cholery!

– Możemy się zbliżyć jeszcze bardziej. Niech Sztokholm się tym zajmie. Oni wiedzą, co robią.

– Twoja pieprzona żona i pieprzona żona Hjelma! Co to ma być, do diabła? Jakaś kolacja dla par? Przecież polujemy na sukinsyna.

– Ale nie na ślepo. Zaślepiło cię, Tebaldi, nie widzisz tego?

Przerwał im przesywający gwizd. Odwrócili się zdumieni i zobaczyli Angelosa Sifakisa, który właśnie wyjął palce z ust i niezwykle łagodnie powiedział:

– Wolałbym nie musieć o tym przypominać, ale to ja tu jestem szefem.

Chavez i Tebaldi przez chwilę patrzyli po sobie. Tebaldi odwrócił się do Sifakisa i rzucił ostro:

– Naprawdę zamierzasz puścić tego sukinsyna?

– Nie – odparł Sifakis. – Ale zgadzam się z Chavezem. Nie wolno nam działać pochopnie. Stiernmarck wciąż jest przesłuchiwany w Sztokholmie. Wszystko powinno biec normalnym trybem. Urządzenie szyfrujące będzie jedną z wielu rzeczy, do jakich doprowadzi nas to przesłuchanie. I nie możemy zapominać, jak daleko dziś zaszliśmy. Wiemy, że jesteśmy na właściwym tropie. Teraz musimy to właściwie rozegrać. Puszczamy Stiernmarcka tylko po to, by tym solidniej go złapać.

Jorge Chavez krótko kiwnął głową.

Fabio Tebaldi się odwrócił.

I zawił.

Yard

Londyn, 7 kwietnia

PAUL HJELM NIGDY DOTĄD nie widział smogu. Prawdziwego smogu. Nie widział tej londyńskiej mgły, w której spaliny absurdalnej liczby pojazdów łączą się z powietrzem wilgotnym z powodu podłego klimatu i śmierdzącymi oparami porządnie zasranej rzeki. Wyglądał teraz przez okno hotelowe na Tamizę i wiedział, że smogu nie powinno tam być. Dzięki opłatom drogowym i temu, że samochody stawały się technicznie coraz lepsze, w mieście udało się zmniejszyć o połowę ilość emitowanych spalin, no i z Tamizą też było lepiej niż kilka dekad temu. Z drugiej strony klimat był gorszy niż kiedykolwiek dotąd.

Więc i smog tam był. W jakiś dziwny sposób Hjelm czuł, że dobrze jest go zobaczyć. Raz a dobrze.

Z nadzieją, że to ostatni raz.

Londyn wydawał mu się miastem, w którym wszystko dzieje się szybko. Tempo było zawrotne. Ludzie znajdowali się tuż obok siebie, ale się nie widzieli. Wszędzie było ciasno, bardzo ciasno.

Nie odniósł takiego wrażenia, gdy był tu ostatnio. Ponad pół roku temu przywiózł tu Kerstin na długi weekend. Jesień, ładna pogoda. Urządzili sobie prawdziwy weekend kultury i zwiedzili tyle muzeów, ile tylko dali radę. Tam nie było tak ciasno, nawet w Tate Modern.

Teraz właściwie wzięli tylko taksówkę z Heathrow i przejechali do hotelu na Albert Embankment. Nigdy do tej pory nie doświadczył bycia w takim tłoku. Godzina odpoczynku, potem pora ruszać do The Met.

Choć wolał myśleć o nich jako o Scotland Yardzie.

Wyglądając za okno i wycierając się po szybkim prysznicu, myślał, czy jego podwładne dostały równie elegancki pokój. A może siedziały ściśnięte w jednej klitce gdzieś w suterenie?

Po jego twarzy przemknął uśmiech. Wrócił do łazienki. Odłożył ręcznik i spojrzał na niezliczone odbicia swojego nagiego ciała. Za każdym razem, gdy stał w hotelowej łazience – a ostatnio często mu się to zdarzało – zadawał sobie pytanie, jaki mają sens te lustra, w których wszystko odbija się setki razy. Na czym polega przyjemność bycia w zatłoczonej saunie dla mężczyzn z setką identycznych ludzi, którzy robią straszny tłok? Komu to się mogło podobać?

W końcu wybrał jedno z odbić i przyjrzał mu się uważnie. Pozwolił sobie na lekkie zadowolenie z siebie, mimo że brzuch po raz pierwszy w życiu miał nieznacznie zaokrąglony. Cena, jaką płaci się za to, że pracuje się za dużo, a biega za mało. Była wiosna i zaplanował sobie porządną trasę biegu z mieszkanka, w którym nocował, przez obrzeża Hagi i dalej, nad samym morzem. Tylko zaplanował. Na razie.

To, czy chciał biegać w Londynie, było zupełnie inną sprawą. Nie wydawało mu się to szczególnie kuszące. Poza tym pewnie nie będzie miał ani chwili wolnego.

Abstrahując od tego, pomyślał, czas obszedł się ze mną całkiem przyzwoicie. I z zawstydzeniem

przyłapał się na tym, że pozuje przed lustrem.

Nagle znalazł się w zupełnie innym pokoju hotelowym, znacznie bardziej ascetycznie urządzonego, w dzielnicy Bayswater. Ponad pół roku temu. Z Kerstin. Zmęczeni kompulsywną konsumpcją kultury, świeżo spod prysznic, nadzy, w setkach kropli. Podkraść się do niej od tyłu, ona powoli osunęła się na podłogę...

Wszystko zwielokrotnione setki razy. Patrzenie na jej powolny ruch i na to, jak na wszystkich tych odbiciach jej usta przysuwają się do jego członka, było dziwnie podniecające.

Dopiero gdy w pokoju rozległo się głośne pukanie, popatrzył znów w lustro. Zobaczył swój penis w niepełnej erekcji i doznał uczucia déjà vu. Przeżył już kiedyś coś takiego.

Postarał się nadać głosowi jak najbardziej urzędowe brzmienie i zawołał:

– Tak?

Był ciekaw, która z nich przyszła z nim porozmawiać. To by była pewna wskazówka na przyszłość.

– Halo? – krzyknęła Miriam Hershey ze swoim charakterystycznym brytyjskim akcentem.

Interesujące, pomyślał, i odkrzyknął:

– Nie mieliśmy się spotkać w lobby?

– Dzwonili do mnie z Hagi – zawołała Hershey.

Dlaczego dzwoniли właśnie do niej, zastanowił się odruchowo. Równocześnie uderzyło go, że zaczyna myśleć jak biurokrata.

– Coś ważnego? – zawołał, wciąż przeglądając się w lustrze.

Stary człowiek. A jednak wcale nie.

– Nic pilnego – odkrzyknęła. – Sztokholm znów nawiązał kontakt z mafią przez komputer. I najwyraźniej mają teorię.

Dlaczego to nie ja się o tym dowiedziałem? – pomyślał. I zaraz potem: czy naprawdę hierarchia wgryza się w moją świadomość? Czyżbym na poważnie stawał się szefem?

W końcu pomyślał o tym, co trzeba: że nie powinno się wykrzykiwać na głos takich rzeczy przez drzwi hotelowe w Londynie.

– Widzimy się w lobby za dziesięć minut – zawołał. – Tak jak się umawialiśmy.

Za drzwiami żadnego słowa, żadnego ruchu. Nie był w stanie powiedzieć, czy Miriam Hershey była tam sama ani czy sobie poszła. Zgadza się, była... jak to wyraził dyrektor Europolu? „trochę upiorna, jak wszyscy z MI-5”. Po co przyszła? Mieli przecież komórki i telefon hotelowy.

Opuścił pełną ciał łazienkę i podszedł do łóżka, żeby się ubrać. Czy ten nowy kontakt oznaczał, że Carla-Henrica Stiernmarcka obleciał strach i w panice skontaktował się z mafią? A może istniały inne szwedzkie kontakty?

Dwanaście minut później zszedł na dół. Czekają na niego. Corine Bouhaddi siedziała rozwalona na luksusowej skórzanej sofie, Miriam Hershey stała przy oknie i patrzyła na smog. Bouhaddi wysoka, ciemnoskóra, ekspansywna. Hershey wielkometrażowa Żydówka, drobnej budowy, minimalistyczna. Jednak

mimo tych różnic mogły stanowić dobry zespół: Hershey ze swoją mroczną przeszłością agentki i bohaterki, Bouhaddi, której udało się przeżyć i w jakimś stopniu ograniczyć handel narkotykami w jednym z najbardziej chaotycznych miast europejskich, jakim była Marsylia.

Hjelm usiadł obok Bouhaddi i poczekał na Hershey, która podeszła do nich powoli, jakby unosząc się w powietrzu. W końcu i ona usiadła, ale mogło się zdawać, że zawisła milimetr nad sofą.

– To Balodis do ciebie dzwoniła? – zapytał Hjelm.

– Tak – potwierdziła Hershey. – Mówiła, że Sifakis właśnie przygotowuje dla ciebie raport, ale chciała mi szybko przekazać, co się stało.

– Mądrze z jej strony – zauważył wspaniałomyślnie Hjelm. – A ta nowa teoria?

– Najwyraźniej wpadła na to Jutta Beyer. Według niej chodzi o pozbywanie się toksycznych odpadów. Wiele wskazuje na to, że Endymion zlecił ekomafii wyrzucenie niebezpiecznych substancji na Łotwie.

– A nasz dyrektor po przesłuchaniu wpadł w panikę i znów się z nimi skontaktował?

– Było nawet trochę dramatyczniej. Namierzyli go w jakimś domu kultury w Sztokholmie, gdzie czuł się bezpiecznie. Mają go na zdjęciach z co najmniej dwóch kamer monitoringu. Ponieważ nowy mail, jaki wysłał, też był mocno zaszyfrowany, doszli do wniosku, że musiał mieć przy sobie urządzenie szyfrujące. Tebaldi chciał go zgarnąć, Sifakis mu nie pozwolił.

Hjelm zmarszczył nos:

– I Tebaldi się wkurzył?

– Podobno tak.

– Po to go mamy – pokiwał głową Hjelm. – Nie po to, żeby podejmował decyzje na chłodno. Angelos dobrze zrobił.

– Diabli wiedzą – stwierdziła Bouhaddi, której udało się przyjąć jeszcze bardziej zrelaksowaną pozycję. – Miał ten gadżet w kieszeni. Wystarczyło go zgarnąć. Kto to może wiedzieć, czy do tej pory nie zdążył się go pozbyć?

– Mówisz to tylko po to, żeby być na nie – zauważył Hjelm.

– Po to mnie masz – uśmiechnęła się słodko Bouhaddi. – Ale raczej będę się trzymać swojej wersji. Pomyśl, co będzie, jeśli go wyrzucił. Wtedy nasze bezpośrednie dojście do mafii przestało istnieć.

– To bezpośrednie dojście jest jego liną ratunkową – odparł Hjelm. – Nie wyrzuciłby czegoś takiego.

– Jest taksówka – zauważyła Miriam Hershey i płynnym ruchem podniosła się z miejsca.

– Naprawdę musimy jechać taksówką? – spytała Bouhaddi. – To najwyżej kilkaset metrów stąd.

Dokładnie rzecz ujmując, do New Scotland Yard było ponad dwa kilometry. Straszny dwudziestopiętrowy budynek z lat sześćdziesiątych stał na skrzyżowaniu Broadway i Victoria Street w dzielnicy Westminster. Hjelm zwiedzał kiedyś ulicę Great Scotland Yard, na którą w tysiąc osiemset dwudziestym dziewiątym roku, gdy stworzono londyńską policję, wychodziło się tylnymi drzwiami z kwatery głównej w pałacu Whitehall. Zwyczajni ludzie używali właśnie tych tylnych drzwi i dlatego nowo utworzoną policję zaczęto nazywać po prostu Scotland Yard. Na początku nowego tysiąclecia komisariat

przedstawiał sobą smutny widok, teraz były tu stajnie dla konnej policji z Yard. Gdy Hjelm siedział w taksówce przejeżdżającej właśnie nad Tamizą ponurym i mokrym od deszczu mostem Lambeth, zupełnie niespodziewanie przypomniał sobie tę wizję. Wizję komisariatu w Sztokholmie za dwieście lat. Nie będą tam stały cicho rżące konie niczym wspomnienie dawnych czasów – konna policja przestanie istnieć. Opuszczony budynek zajmą po pewnym czasie hordy ćpunów i pijaków – to wydawało się Hjelmowi niemal oczywiste.

Odsunął te nieprzyjemne wizje i stwierdził, że szybciej dotarliby do New Scotland Yard, gdyby poszli pieszo. Dawny podział na godziny szczytu i pozostałe należał do przeszłości, samochody bez chwili przerwy kłębiły się na ulicach. Świadomie unikał spojrzenia Corine Bouhaddi. Usłyszał jej pytanie z tylnego siedzenia:

– Pracowałaś tu w mieście, Miriam?

– MI-5 ma tutaj kwaterę główną – odparła Hershey, wskazując na lewo. – O tam, widzisz ten budynek nad rzeką? To Thames House. Wprowadzili się w grudniu dziewięćdziesiątego czwartego, na osiem lat przed tym, zanim zaczęłam dla nich pracować. Potem niewiele tam bywałam. Miałam... inne miejsca pracy.

– O których wciąż nie chcesz mówić – rzuciła Bouhaddi, nagle przechodząc na francuski.

Zerknęła na taksówkarza, sikha z niedopaloną papierosem wciśniętą w turban. Skupiony na prowadzeniu samochodu wydawał się mieć pasażerów kompletnie gdzieś.

– O których nie powinnam mówić – powiedziała Hershey tak nienagannym francuskim, że Hjelm nie tylko zrozumiał jej słowa, ale domyślił się też, co wcześniej musiała powiedzieć Bouhaddi.

Potem przez chwilę panowała cisza. Przerwał ją Hjelm:

– Gdybyśmy poszli pieszo, strasznie byśmy zmokli.

Żadna z pań na tylnym siedzeniu się nie odezwała i wyczuł, że wymieniły rozbawione spojrzenia. Mógł sobie na to pozwolić.

Taksówka wjechała w ulicę o historycznie brzmiącej nazwie Horseferry Road i skręciła w Strutton Ground, gdzie taksówkarz sprawnie wyminął stragany stojące nieregularnie po obu stronach jezdni. Hjelm nie był do końca pewny, czy wolno tutaj wjeżdżać. Ludzie uskakiwali jak przed jakimś szaleńcem. Nie wydało mu się to godnym sposobem dotarcia do The Metropolitan Police Service.

Byli na miejscu. Strutton Ground przeszła w Broadway i zatrzymali się dokładnie pod klasycznym szyldem, który ponoć codziennie wykonuje czternaście tysięcy obrotów i za każdym razem nieodmiennie obwieszcza: „New Scotland Yard”. Choć Paul Hjelm nigdy dotąd go nie widział, był przekonany, że go zna.

New Scotland Yard był bez dwóch zdań szkaradnym i przerażającym budynkiem. A dokładniej mówiąc, dwoma: niesamowicie długim dziewięciopiętrowym ciągnącym się wzdłuż Victoria Street, przedziwnie połączonym z gigantycznym dwudziestopiętrowym na tyłach. Orgia szkła, betonu i stali nierdzewnej. Zgłosili swoje przybycie w dobrze strzeżonej i jakby ufortyfikowanej recepcji. Po chwili

wyszedł im na spotkanie niepozorny mężczyzna w wieku około trzydziestu pięciu lat. Wyciągnął rękę i bardzo po brytyjsku powiedział:

– *Chief Inspector Ralph Dryden, welcome to the fortress.*

Przywitali się i Dryden wpuścił ich do wspomnianej fortecy. Znaleźli się w zatłoczonej windzie i nie za bardzo mogli rozpocząć rozmowę. Poza tym Dryden nie wydawał się specjalnie zainteresowany pogawędkami. Gdy w końcu winda wypluła ich nieznaną liczbę pięter wyżej, bez słowa poprowadził ich długim korytarzem, w którym nagle zniknął. Hjelm zwrócił uwagę, że tabliczka na drzwiach z napisem „Ralph Dryden, Chief Inspector” wygląda na zupełnie nową. Pokój za tymi drzwiami okazał się po londyńsku ciasny. Bez okien, ale zawalony teczkami, segregatorami, luźnymi kartkami, karteczkami samoprzylepnymi. Na jednej ze ścian wisiały fotografie. Wszystkie przedstawiały tę samą kobietę bez twarzy: artystycznie nakrytą udrapowanym prześcieradłem i w kolejnych fazach obdukcji – niektóre ujęcia były naprawdę drastyczne. Dryden zajął miejsce za biurkiem, nie wpadłszy na pomysł, by zaproponować im, aby usiedli. Nie było po prostu gdzie usiąść. Wskazał na kolaż ze zdjęć. Hjelm mimowolnie odczytał jego gest jako pełen rezygnacji. Czekał, choć nie miał na to najmniejszej ochoty. W końcu Ralph Dryden powiedział:

– Jeszcze nigdy nie trafiłem na coś podobnego.

– Masz na myśli samą sprawę? – spytał Paul Hjelm. – Czy jej następstwa?

– Jedno i drugie – przyznał Dryden – ale przede wszystkim następstwa. Nie pozwolili mi pracować z moimi ludźmi.

– Dostałeś rozkaz, że masz współpracować z dziwnymi glinami z Europolu – stwierdził Hjelm. – I dostałeś też nowe biuro. Wygląda na to, że chcą cię odizolować od twojej zwykłej pracy.

Dryden się wzdrygnął.

– Mówili, że jesteś spostrzegawczy, Hjelm – powiedział z ociąganiem.

– Nigdy nie siedziałeś w tej części komisariatu The Met, prawda? Zupełnie nowa tabliczka na drzwiach. Jesteś jedynym policjantem w tej części budynku, reszta tytułów na drzwiach w tym korytarzu wskazuje, że to wszystko administracja. Świadomie cię odizolowali.

– Mów dalej – zachęcił Dryden, rozkładając ręce.

– Musiałeś otrzymać bardzo specyficzne instrukcje – ciągnął Hjelm. – Najciekawsze jest to, czy to ma związek ze sprawą, czy z jej następstwami. Co takiego chcą odizolować?

– Następstwa – odparł Dryden. – Tak to sobie tłumaczę. Dokładniej mówiąc, fakt istnienia karteczki z napisem „Do jednostki operacyjnej Europolu”. A teraz zjawia się wasza trójka z Europolu z powodu sprawy, o której wciąż mało wiemy i która nie wydaje się szczególnie ważna. Uwagę zwraca jedynie *modus operandi*. Poza tym normalka: jedno z wielu morderstw bez motywu, bez zidentyfikowanej ofiary i bez sprawcy.

– Znalazłeś coś nowego, czego nie było w materiałach wysłanych do Europolu?

– Tylko parę drobnych rzeczy. Ale najpierw musimy omówić, jak zaplanujemy dalszą pracę. Przede

wszystkim jedno.

– Co takiego?

– Krótko mówiąc – powiedział Dryden, pochylając się do przodu – co takiego wiecie, o czym ja nie wiem?

Hjelm patrzył na Bouhaddi i Hershey, które bez najmniejszego problemu zmieniły się w nieme posągi. Obie zostały wdrożone w hierarchię w systemie francuskim i angielskim i będą milczeć jak zakłète, póki nie zostaną ustalone reguły gry. Ich spojrzenia były wręcz absurdalnie pozbawione wyrazu – pomoc z obu miał więc żadną.

Na szczęście Paul Hjelm nie potrzebował pomocy. Dostał wytyczne jasne jak słońce.

– W Europolu stworzono próbną jednostkę operacyjną – poinformował. – Z tej jednostki jesteśmy.

Ralph Dryden nie zbaraniał. Kiwnął tylko głową i odparł:

– Niemal się tego domyślałem. Czy to nie... sprzeczne z prawem?

– Taka możliwość została zapisana w statutach.

– Chyba bardzo drobnym druczkiem – mruknął Dryden, wstając. – No cóż, cieszę się, że ktoś wreszcie mnie oświecił. I co teraz?

– Właściwie dokładnie to co zwykle – wyjaśnił Hjelm. – Będziemy na wszelkie możliwe sposoby pomagać ci w twoim śledztwie.

– Chociaż jako szef jednostki operacyjnej stoisz nieskończenie wyżej niż jakiś biedny Chief Inspector z The Met?

– Będziemy na wszelkie możliwe sposoby pomagać ci w twoim śledztwie – powtórzył Hjelm z uśmiechem.

Dryden się nie uśmiechnął. Natomiast po paru sekundach bycia śmiertelnie poważnym wybuchnął gwałtownym, gromkim śmiechem, który zaraz potem równie nagle umilkł. Wstał i zaczął przesuwać palcami wzdłuż ściany, na której wisiały zdjęcia.

– Pomóście mi z tym – powiedział.

Corine Bouhaddi podeszła bliżej. Razem z Drydenem po prostu poruszyli część ściany. Coś, co można nazwać tajnymi drzwiami, uniosło się do góry. Za nimi ukazał się dość niespodziewanie znacznie większy pokój: trzy biurka z komputerami, sofa, dwa fotele, duży stół, nawet mała wnęka z kuchenką, zlewem i lodówką. I były tam panoramiczne okna wychodzące na Londyn. Smog się uniosł, deszcz przestał padać. Na miasto spowite lekką mgiełką spływało niemal boskie światło.

Ralph Dryden osadził na miejscu skrzydło tajnych drzwi. Zmieniło się ono w tablicę w tym ukrytym jasnym pomieszczeniu, które obejmowało jego ciemną klitkę. Przeszedł od biurka do biurka, wskazując:

– Corine Bouhaddi, Miriam Hershey i Paul Hjelm. Ostatnie biurko z panoramą Londynu za oknem. Mam nadzieję, że będziesz w stanie się skupić.

– To nie powinno stanowić żadnego problemu – zapewnił z uśmiechem Hjelm. – No to jak, zabierzemy się teraz do pracy?

– Jak najbardziej – potwierdził Dryden, podszedł do tablicy ze zdjęciami i odchrząknął. – Wychodzę z założenia, że jesteście wdrożeni, ale i tak wam wszystko streszczę. Niezidentyfikowane zwłoki zostały znalezione o godzinie siódmej czternaście rano w niedzielę piątego kwietnia nad stawem Bird Sanctuary na Hampstead Heath przez stukniętą ornitolog Audrey Watts. Zrobiła to zdjęcie swoją komórką i wysłała je swojemu przyjacielowi, który natychmiast przesłał je do The Met. Nasz patrol był na miejscu już o siódmej trzydzieści jeden. Wtedy Watts pluskała się w stawie, wołając „Goldeneye! Goldeneye!”. Nic jednak nie wskazywało na to, by dotykała zwłok albo w jakikolwiek sposób naruszyła miejsce zbrodni. Nie było też nic, od czego moglibyśmy zacząć. Wiecie przecież, jak leżały zwłoki. Najlepiej widać to na tym zdjęciu. Pozornie zupełnie rozluźniona pozycja, tył głowy przyklejony do pnia drzewa, prześcieradło przyklejone do ud i prawego przedramienia, które z kolei przyklejono do głowy. Podobnie lewą dłoń przyklejono do lewego policzka. Klej poddano analizie, to szybko schnący superklej o nazwie Super Attak Flex Gel produkowany przez międzynarodową sieć Henkel Adhesive Technologies z siedzibą w Düsseldorfie. Jest dostępny w każdym dobrze zaopatrzonym sklepie spożywczym we wszystkich krajach europejskich, więc to żaden trop. Na ciele nie ma żadnych śladów, odcisków palców, DNA, żadnych obcych substancji. Podobnie nasza Jane Doe – jest zupełnie anonimowa. Żadnego trafienia w bazie DNA, starte odciski palców, twarz napuchnięta do tego stopnia, że właściwie pozbawiona rysów, jak widzicie tutaj. Przyczyna śmierci została wyjaśniona; ta kobieta po prostu została uderzona i doznała rozległego krwotoku w mózgu. Przedtem przez długi czas była bita w twarz, najprawdopodobniej skarpetkami wypełnionymi piaskiem albo czymś podobnym. Wiemy o niej jedynie, że w chwili śmierci była całkowicie zdrowa. Pomijam, oczywiście, skutki tortur. Wysportowana kobieta w wieku około trzydziestu pięciu lat, biała, ciemna blondynka, metr siedemdziesiąt dwa wzrostu, pięćdziesiąt osiem kilo, nigdy nie rodziła, miała ogolone włosy pod pachami i zadbane włosy łonowe, poza tym żadnych znaków szczególnych. Była martwa, gdy umieszczono ją w parku, a gdy ją znaleziono, nie żyła od około dziesięciu godzin. Zmarła zapewne w innym miejscu, mniej więcej o dziewiątej w sobotę wieczorem. Przedtem przez wiele godzin była bita i nie jadła od ponad dwunastu godzin. Zapewne wskazuje to, jak długo była torturowana. Jedną z nowych rzeczy, jakich dowiedzieliśmy się po tym, jak wysłaliśmy wam nasze materiały, jest to, że rurkę wprowadzono do jej odbytnicy, zanim nastąpił zgon. Nie została więc wsunięta po śmierci ofiary jako bezpośrednia wiadomość od mordercy dla policji. Nie wyklucza to, co prawda, że mógł to zrobić morderca. Równie prawdopodobne jest, że rurkę wsunęła sobie sama ofiara. Co jeszcze? Prześcieradło poddano analizom. Wiemy, w jakim proszku było ostatnio prane – to marka stosowana przez instytucje publiczne i przez hotele. Tkanina prześcieradła jest zwyczajna w obu wspomnianych kontekstach – zatem prawdopodobnie szpital albo hotel. Standardowe prześcieradło, którego nie sposób zidentyfikować. Natomiast jeśli chodzi o oba kody na karteczce w rurce, nie udało mi się zajść dalej: „e98weriN” i „79sYsd76” to prawdopodobnie nazwa użytkownika lub hasło do czegoś, ale nie mam pojęcia do czego. Papier i tusz poddano analizie. Mamy do czynienia ze zwyczajnym długopisem, ale stosunkowo gruboziarnisty, niebieskozielonkawy papier jest trochę bardziej

charakterystyczny. To druga nowość, która się pojawiła. Na papierze znajdują się odciski, układ linii, który być może uda się zidentyfikować. No i mamy jeszcze samą rurkę. Nie wiemy dokładnie, czym jest. Mały fragment przezroczystego półsztywnego wężyka zamkniętego z obu stron kawałkami podobnego plastiku. Może po prostu plastikowa rurka. Jeśli były na niej jakieś odciski palców, to sposób, w jaki ją potraktowano, sprawił, że zostały starte. A teraz proszę, powiedzcie, co możecie wniesć do tego śledztwa.

Gdyby Ralph Dryden spodziewał się jakichś wyrazów uznania, ogromnie by się zawiódł, ponieważ Miriam Hershey zupełnie neutralnym tonem powiedziała:

- Były jakieś oznaki zatwardzenia?
- Czego? – wykaszał Dryden.
- Zatwardzenia – powtórzyła Hershey tym samym tonem.

Dryden bez słowa zniknął w swoim pokoju. Usłyszeli, jak w nim buszuje i spojrzeli po sobie. Znacząco. Pozostało jednak niejasne, o jakie znaczenie chodzi.

Dryden powrócił, trzymając w rękach kolosalną stertę papierów. Wyciągnął z niej powoli jakąś kartkę. Przebiegł po niej wzrokiem i odparł w końcu:

- Tak.
- Tak? – spytała Hershey.
- Według patolog sądowej Hazel Mallory trudno było zinterpretować procesy trawienne. To połączenie głodu, biegunki i... zatwardzenia.

– Jakby się świadomie powstrzymywała – powiedziała Miriam Hershey.

– Wniosek wyciągnięty chyba dość pochopnie – stwierdził Dryden z nieskrywanym zdumieniem.

– Trudno było zinterpretować, bo były sprzeczne z naturą – oświadczyła Hershey. – Znam to zjawisko. Szok wywołany torturami sprawia, że człowiek dostaje biegunki. A ta kobieta się powstrzymała. Wiedziała, co ma do stracenia. Jej opór polegał na tym, by powstrzymać biegunkę. Ciało zareagowało zatwardzeniem.

Paul Hjelm przyglądał się Miriam Hershey i czuł się dziwnie nieswojo. Domyślał się istnienia doświadczeń, których nie miał najmniejszej ochoty bliżej poznać. Na przykład wcale nie chciał wiedzieć, na czym polegała jej rola w tych doświadczeniach. Dla niego wychodziło na jedno. Równie dobrze mogła być torturującą i torturowaną. Jej twarz nic nie zdradzała. Hershey była doświadczoną infiltratorką.

- Naciągany wniosek – zauważył ostrożnie.
- Wyjaśnia sprzeczne procesy trawienne – oświadczyła spokojnie Hershey.
- Być może można je wyjaśnić w inny sposób – odparł. – Popracuj nad tym. Nawiąż kontakt z dietetykami i specjalistami od trawienia. Niech zinterpretują orzeczenie lekarza sądowego. Jeszcze jakieś refleksje związane z wyczerpującym wywoływaniem biegunki?
- Wydaje mi się, że sama metoda na coś wskazuje – zauważyła Corine Bouhaddi. – Nie potrafię

jeszcze powiedzieć na co, ale jest niezwykle specyficzna. Walenie w twarz tępym narzędziem, żeby nie krwawiła na zewnątrz. Zabił ją krwotok wewnętrzny. Czy to nie wygląda na dopracowaną i bardzo wyrafinowaną metodę? Idę o zakład, że nie po raz pierwszy jej użyli.

– Badaliście to? – zapytał Hjelm.

– Niezbyt dokładnie – przyznał Dryden. – Jak wiecie, pracowałem nad tym sam.

– Teraz nie jesteś sam – powiedział zachęcająco Hjelm. – Corine, zajmiesz się tym tropem?

– Zgadza się, że to pachnie przestępczością zorganizowaną – niespodziewanie powiedział Dryden. –

Raczej z tego powodu, że nie zostawili żadnych śladów. Nigdzie: na ciele, na tkaninie, na ziemi.

– Ale nic im nie powiedziała – rzuciła obojętnie Hershey.

– Jak to? – zawołali chórem Hjelm i Dryden.

– Torturował ją profesjonalista, który najwyraźniej nie musiał się spieszyć – wyjaśniła Hershey. –

A jednak się nie wygadała. Nie zesrała się. Zatrzymała w sobie rurkę. Pokonała ich.

Hjelm zerknął ukradkiem na jej drobną, zupełnie nieruchomą postać.

– Chcesz powiedzieć, że sama była profesjonalistką? – zapytał.

– Albo to – odparła Hershey dokładnie tym samym tonem – albo była w coś bardzo zaangażowana.

Jedno i drugie to potężna siła. Albo przeszła szkolenie, albo coś nią kierowało.

– Tylko co? – zapytała Bouhaddi. – Bo wszystko jakby nie ma sensu, jeśli coś, co po sobie zostawiła, jest kompletnie niezrozumiałe.

– Nie jest – zaprotestowała stanowczo Hershey. – To nie jest niezrozumiałe. Napisała to z premedytacją. Dokładnie to, i tylko to. I skierowała to wyraźnie i umyślnie do nas i tylko do nas: „e98weriN” i „79sYsd76”.

– Przyjrzyj się dokładniej również temu? – spytał Hjelm. – Może znasz jakichś ekspertów od szyfrów, do których mogłabyś się zwrócić?

– W sumie mamy własnych – zauważył Dryden.

– Z których pomocy nie pozwolili ci skorzystać – odparł Hjelm i znów pomyślał o polityce. – Miałem na myśli ekspertów od nas i z zewnątrz. To by było wyważone podejście.

– Mogę się temu przyjrzeć, tak – odparła neutralnie Hershey.

– Doskonale – powiedział Paul Hjelm. – A ty, Dryden, na czym chciałbyś się skupić, skoro nie musisz się już martwić o całość?

Chief Inspector Ralph Dryden przez chwilę wydawał się zupełnie bezradny. Potem wziął się w garść i zapytał:

– Czyli już nie jestem szefem?

– Szef też musi pracować – odparł Hjelm, czując, że robi mu się trochę niedobrze z powodów czysto politycznych.

– To dziwne, ale chyba na samej wiadomości – stwierdził nagle Dryden. – Jestem strasznie ciekaw, skąd pochodzą plastikowa rurka i karteczka. Jeśli to rozwiążemy, dowiemy się pewnie, kim ona jest.

Wzięła te rzeczy ze swojego najbliższego otoczenia, jestem o tym przekonany. Chciałbym też przeprowadzić analizę charakteru pisma.

– Dobrze – oświadczył Hjelm nie bez zdziwienia. – Ja się zajmę pozą.

– No tak, poza – odezwała się Bouhaddi.– Musi chyba naśladować jakieś dzieło sztuki? Jakąś rzeźbę, obraz? Po co robić coś takiego? I to banda gangsterów? To się jakby nie zgadza.

– Właśnie – przyznał Hjelm. – Coś się tutaj nie zgadza. Skontaktuję się ze znawcami sztuki i zobaczę, czy uda mi się zidentyfikować to dzieło. Bo chyba też myślałeś podobnie, Ralph? Mogę ci mówić Ralph?

– Bylebyś tylko nie nazywał mnie Ralphie – powiedział Dryden i po raz pierwszy się uśmiechnął.

Prosto w oczy

Vällingby-Nacka, Sztokholm, 7 kwietnia

KILKA PAR OCZU utkwionych w wyświetlaczu komórki wyrażało całkowicie sprzeczne uczucia. Oto widzieli przepiękną rzeźbę, a jedyny problem polegał na tym, że zrobiono ją z ludzkich jelit.

Kerstin Holm odnosiła wrażenie, że Sara Svenhagen myśli: „W tej chwili mam naprawdę ochotę odejść z policji ze skutkiem natychmiastowym”. Jon Anderson natomiast wydawał się myśleć: „Ile razy jeszcze będę musiał złamać prawo, zanim to się skończy?”. Sama Kerstin myślała po prostu: „Co się z nami porobiło?”.

Wzięła komórkę, obróciła ją w palcach i stwierdziła:

– Dobra robota, Jon.

Komisarz Jon Anderson westchnął, podrapał się po coraz wyższym czole i powiedział:

– Chciałbym wnieść do protokołu, że zrobiłem to tylko dlatego, że w willi nie było żadnej upuszczonej tacy. Oszukała mnie w taki sposób, w jaki bardzo nie lubię być oszukiwany.

– Do jakiego protokołu? – zapytała Kerstin Holm.

Zaraz potem Wang Yunli wypuszczono z aresztu ze spreparowaną komórką w torebce. Podejrzenia, że ją wyrzuci, gdy tylko opuści posterunek, okazały się nieuzasadnione. Przynajmniej aż do Västerhaninge. Tam mrugająca kropka na mapie na przenośnym wyświetlaczu zatrzymała się. I tak została. Oczywiście nie dało się zobaczyć, czy komórka leży na kupie kompostu i brzęczy wraz z nowo wyklutymi wiosennymi muchami, czy też Wang Yunli wciąż ma ją przy sobie.

Jedno w każdym razie było jasne: telefon nie znajdował się w Vällingby.

Kerstin spojrzała na Sarę, Sara spojrzała na Kerstin. Potem obie spojrzały na ponury blok tuż przy Vällingby Centrum. W chwili gdy kwietniowa pogoda postanowiła zmienić bramy niebios w bramy piekieł, rzuciły się do najatrakcyjniejszej bramy, jaka im została. Przez chwilę stały na klatce schodowej, w której śmierdziało trupem, i przyglądały się paskudnemu gradobiciu na zewnątrz. Wyglądało to tak, jakby automat serwujący do ping-ponga oszalał i z bardzo dużej wysokości wyrzucał z siebie wszystkie piłeczki wszechświata.

– Kwiecień – stwierdziła Kerstin Holm, wdrygając się lekko.

– Śmierdzi trupem – zauważyła Sara Svenhagen.

Kerstin węszyła przez chwilę i wzruszyła ramionami.

– To może być zdechły szczur.

– Teoretycznie to może być nawet zdechły słoń morski – odparowała Sara. – W praktyce i tak śmierdzi trupem. Ludzkim trupem.

– Skoro jesteś taka pewna, to może wiesz też, skąd tak śmierdzi?

– W każdym razie na pewno nie z szóstego piętra – oświadczyła Sara Svenhagen, ruszając po

schodach.

Gdy porządnie zdyszana weszła na szóste piętro, Kerstin Holm już tam stała i czekała na nią. Holm pociągnęła nosem i stwierdziła:

– Masz rację. To gdzieś niżej. Pewnie z piwnicy. Pewnie szczur.

– Albo hipopotam – wydyszała Sara. – Dlaczego mi nie powiedziałaś, że jest winda?

– Nie pytałaś – odparła Kerstin i ruszyła od drzwi do drzwi. – Żadnej Wang tu nie ma. Mówiła, jak się nazywają inne sprzątaczkę?

– Nie – wysapała Sara Svenhagen, pochylając się i opierając ręce na kolanach.

– No to zabierajmy się do roboty – oświadczyła Kerstin i zadzwoniła do drzwi najbliższej windy. – Ty zacznij z drugiej strony.

Obeszły wszystkie osiem lokali na piętrze i uzyskały następujące wyniki: trójka emerytów, z których jeden odlewał właśnie świece, jedna zamknęła się w toalecie i nie umiała wyjść, a jeden grał w Guitar Hero; bezrobotny Hindus próbujący nauczyć się jeść kiszony śledzie; poeta surfujący po stronach porno oraz świeżo rozwiedziony przeziębiony sierżant policji, którego Sara skądś знаła, ale nie potrafiła sobie przypomnieć skąd. Do tego dwa lokale, których nie otworzono. Na drzwiach jednego i drugiego wisiały tabliczki pokryte dziecięcym, pełnym błędów pismem świadczące o tym, że mieszkają tam pocziwe rodziny wielodzietne.

Nikt nie widział w bloku imigrantek sprzątających na czarno, a tym bardziej żadnej niskiej Chinki koło czterdziestki.

– Przecież to wiedziałyśmy – stwierdziła Sara. – Niepotrzebnie tu przyjeżdżaliśmy.

– Miałyśmy do zabicia godzinę – odparła Kerstin. – Potwierdzenie nigdy nie jest niepotrzebne.

Wyjęła z kieszeni płaszcz przypominający GPS mały ekranik i zobaczyła, że plamka mruga dokładnie w tym samym miejscu w Västerhaninge.

– Jednak ją wyrzuciła? – zapytała.

– To w jakimś budynku – odparła Sara, pokazując na mapę. – Gdyby miała ją wyrzucić, zrobiłaby to na zewnątrz. I pewnie wrzuciłaby ją do wody. Wtedy w ogóle nie widziałybyśmy żadnej plamki. Nie, siedzi cicho. Dokładnie tak jak chcieliśmy. Nikomu nie przeszkadza, a my wiemy, gdzie jest.

Kerstin kiwnęła głową i otworzyła drzwi windy.

– W każdym razie rozrywkowy blok – stwierdziła, wskazując głową na drzwi mieszkań.

– Tak rozrywkowy, że nikt by się nie przejmował trupem leżącym kilka metrów dalej.

Weszły do odrapanej windy.

– Miło z twojej strony, że pomogłaś tej staruszce, która zamknęła się w kiblu – odezwała się po chwili Kerstin Holm.

– Pewnie to była moja ostatnia prawdziwa policyjna robota – odparła markotnie Sara Svenhagen.

Przystanąły przy wyjściu i wyjrzały przez okno, by sprawdzić pogodę. Piłeczki pingpongowe zmieniły się w ziarna grochu, ale perspektywa wyjścia na zewnątrz wciąż nie była szczególnie kusząca.

Kerstin Holm wybrała numer na komórce. Powiedziała:

– Policja lokalna w Vällingby? Tu Kerstin Holm z Rikskrimu. W mieszkaniu przy Vällingby Centrum leżą rozkładające się zwłoki. Moja koleżanka uważa, że to słoń morski, ale podejrzewam, że to może być martwy człowiek. Sprawdźcie?

Podając lokalnej policji z Vällingby adres, unikała spojrzeń koleżanki. I gdy tylko skończyła rozmowę, rzuciła się przez drzwi w stronę wozu. Sara pobiegła za nią i wskoczyła do samochodu tuż po tym, jak Kerstin uruchomiła silnik. Strzepnęła z ud kilka śnieżnobiałych groszków i powiedziała:

– Z Rikskrimu?

– Tak było najprościej – stwierdziła Kerstin Holm, wyjeżdżając z parkingu.

– Jak łatwo przychodzą teraz kłamstwa – zauważyła Sara Svenhagen.

Potem milczały przez całą drogę przez Sztokholm z zachodu na południe i nie wypowiedziawszy ani jednego słowa, znalazły się w Hästhagen w Nacka. W tym czasie kwietniowa pogoda znów zmieniła oblicze. A może było po prostu tak, że w Vällingby pogoda była paskudna, a w Hästhagen pięknie świeciło słońce? Może życie było po prostu aż tak niesprawiedliwe?

Kerstin Holm zjechała na pobocze jakieś sto metrów przed willą Stiernmarcków. Potem przez chwilę siedziały i spoglądały na siebie.

– Teraz gra toczy się o dużą stawkę – powiedziała Sara Svenhagen i natychmiast tego pożałowała. Zabrzmiało to jak banał.

Ale Kerstin kiwnęła tylko głową i po chwili stwierdziła:

– Chcę, żebyś się sprężyła na cały ten czas, kiedy będziemy w środku.

– Sprężyła się?

– To takie powiedzonko – odparła Kerstin. – Bądź gotowa, uważna, czujna.

– Zwarta i gotowa?

– Coś w tym stylu. Mam wrażenie, że nasz Carl-Henric jest w tej chwili tykającą bombą. Bądź gotowa na to, czego nie da się przewidzieć.

Wyjęła komórkę, wybrała numer i powiedziała bardzo lakonicznie:

– Ekipa na miejscu? Dobrze. Ile czasu od alarmu? Pół minuty w zupełności wystarczy. Powiedziałabym, że to będzie aktualne za jakieś piętnaście, dwadzieścia minut. Dobrze.

Kerstin Holm się rozłączyła, wsunęła komórkę do kieszeni płaszcza i powiedziała:

– Pozostaje nam tylko czekać na Paulę Radcliffe.

Sara Svenhagen nie starała się nawet zrozumieć. Zamiast tego spróbowała ocenić sytuację. „Teraz gra toczy się o dużą stawkę” było w rzeczywistości niedopowiedzeniem. Więcej niż dużo zależało od tego, jak Kerstin Holm i Sara Svenhagen rozegrają partię w ciągu najbliższych piętnastu, dwudziestu minut. Może nawet więcej niż zdawały sobie z tego sprawę.

Albo chciały sobie zdawać sprawę.

Wtedy się zjawiła. Wypadła z drzwi. Blond burza w obcisłych legginsach. Wictoria Stiernmarck. To

był sygnał do startu.

Pani Stiernmarck popędziła w dal. Policjantki wysiadły z wozu i podeszły do willi. Nie musiały nawet dzwonić. Drzwi były uchylone. Jak w jakimś otwartym, gościnnym domu, w którym nie ma niczego do ukrycia, a mieszkańcy nie muszą się absolutnie niczego obawiać. Zupełnie jak kiedyś, w niezbyt odległym, a jednak tak całkowicie różnym świecie.

Carl-Henric Stiernmarck siedział na sofie w salonie. Padało na niego spokojne światło słońca. Przyglądały mu się przez kilka sekund, a on nie zdawał sobie sprawy z ich obecności. Upadły patriarcha. Dobrze zbudowany mężczyzna o opalonej twarzy żeglarza uniósł wielkie dłonie i ukrył w nich twarz. Ukrył w nich swoje życie. Był to obraz z epoki, która przeminęła.

Potem je zauważył, wstał instynktownie i chyba z nawyku błysnął tym swoim olśniewającym uśmiechem. Natychmiast pojął, jak nie na miejscu jest ten uśmiech niczym z przyjęcia koktajlowego. Kąciki jego ust opadły i stał tak, niezręcznie milcząc, przez kilka sekund, po czym wyciągnął ręce i serdecznie je powitał.

– Chociaż nie rozumiem, dlaczego panie znów tu przyjechały – powiedział wymodulowanym barytonem.

– Musimy tylko sprawdzić kilka rzeczy – odparła Kerstin Holm z uroczym uśmiechem. – Najpierw chciałabym skorzystać z toalety, jeśli jest taka możliwość.

– Ależ naturalnie – powiedział szarmancko Stiernmarck i troskliwie wskazał jej drogę.

Sara Svenhagen i Carl-Henric Stiernmarck usiedli w głębi salonu na meblach Endymiona, które, o ile to możliwe, zadawały się jeszcze wygodniejsze niż poprzednio. Pewnie nowsze modele. Jaśniejsze starogreckie fazy księżyca.

– Coś sprawdzić? – spytał Stiernmarck.

Sara, która nie była gotowa na niespodziewaną wizytę Kerstin w toalecie, musiała zanurkować w najbardziej obyte towarzysko głębiny swojej duszy, i oto co z nich wydobyła:

– Muszę przyznać, że to chyba jeden z najbardziej stylowych salonów, jakie kiedykolwiek widziałam.

Stiernmarck naprawdę się rozpromienił, jakby zbyt mało ludzi oglądało to, co stworzył. Jakby z żoną nie mieli zbyt wielu przyjaciół.

– Cały dom został zaprojektowany przez architekta – wyjaśnił – wedle gustu poprzedniego właściciela. Skorzystaliśmy z pomocy projektanta wnętrz, który naprawdę starał się nas poznać i wygląda na to, że zrozumiał, o co chodziło mnie i Wictorii. Światło, powietrze, życie, stonowane ciepło.

– Zachwyca mnie paleta barw – powiedziała Sara, znów czując te lekkie mdłości, na których zawsze mogła polegać. Mdłości, które sygnalizowały, że postępuje niemoralnie.

Na szczęście akurat wtedy wróciła Kerstin. Uśmiechnęła się i kiwnęła głową. Usiadła na fotelu obok Sary.

– Wciąż chodzi o te bezpodstawne oskarżenia? – zapytał Stiernmarck ze zmarszczonym czołem. – Nie rozmawiały panie z zastępcą głównego komendanta policji? Naprawdę na serio uważacie, że

zajmowałbym się pornografią dziecięcą?

– Zdziwiłby się pan, jak różni są pedofile.

– Tak – wybuchnął Stiernmarck. – Tak, byłbym zdziwiony, zszokowany, przerażony. Nie wiem nic o takich ludziach. Są mi całkowicie obcy. Przez całe życie próbowałem żyć uczciwie i honorowo. Zawsze robiłem to, co słuszne.

– I teraz wydaje się panu nieziemsko niesprawiedliwe, że trafił pan w tak złe towarzystwo? – spytała Kerstin Holm tonem pełnym zrozumienia.

– Właśnie. Odrażający pedofile. Co oni mają ze mną wspólnego? Jestem ojcem rodziny, przedsiębiorcą. Zarządzam rodzinną spuścizną i bardzo drogo mnie to kosztuje. Macie panie w ogóle pojęcie, ile musi pracować właściciel przedsiębiorstwa? Jaki ciężar spoczywa na jego barkach? Jak strasznie dużo pieniędzy trzeba zarobić, by w satysfakcjonujący sposób utrzymać rodzinę?

– Nie, nie to towarzystwo miałam na myśli – wtrąciła Kerstin Holm.

Opalona twarz zbladła. Wyraźnie zbladła. Patrzenie, jak Carl-Henric Stiernmarck usiłuje zamaskować oburzeniem swój szok, było niemal bolesne. Wstał i wrzasnął głosem, który w niczym nie przypominał spokojnego barytonu:

– W ciągu roku płacę więcej podatków na to społeczeństwo, niż zapłacą panie razem wzięte przez całe życie! To tacy ludzie jak ja, przywódcy, którzy nie uciekają za granicę, tylko zostają i ponoszą odpowiedzialność, utrzymują cały sektor publiczny, z którego panie dostają pieniądze. Do tego sam utrzymuję rodzinę i wielu pracowników. Łatwo krytykować i ośmieszać ludzi takich jak ja. Ale nie rozumiecie, jak bardzo jesteśmy wam potrzebni. Innowacyjni, stabilni przedsiębiorcy, którzy budują dobrobyt. Skąd bez nich miałyby się wziąć dochody? Policja ich nie generuje.

– Być może czasy samców alfa dobiegają końca – zauważyła Kerstin Holm.

– Świetnie wiecie, że wcale tak nie jest – powiedział Stiernmarck trochę spokojniejszym tonem. – Wystarczy spojrzeć na to, czego pragną kobiety. Teoretycznie możecie twierdzić, że cenicie łagodnych, miłych mężczyzn, ale w praktyce widzimy, jak to wygląda. Przemawia przez was biologia, to proste. Macie w genach to, by pożądać silnych samców, bo chcecie urodzić silne dzieci. Takie, które będą coś tworzyć. Bo my tworzymy, moje panie. Jesteśmy twórcami. Dotknijcie tylko tych foteli, w których siedzicie. One są prawdziwe. Rzeczywiste, stworzone przedmioty, które ludzie pragną mieć i są gotowi zapłacić za nie pieniądze. Tak wygląda rozwój i zawsze tak wyglądał. Dotknijcie tego fotela i spróbujcie naprawdę zrozumieć, czym jest samo jądro społeczeństwa.

Sara Svenhagen dotknęła swego bezsprzecznie bardzo wygodnego fotela i stwierdziła:

– Wydaje się toksyczny.

– Wydaje się, że zawiera bromowane opóźniacze płomienia i związki perfluorowane – oświadczyła Kerstin Holm.

Stiernmarck zamarł. Wydawał się zupełnie bezradny, gdy mówił:

– Po to, żeby się nie zapaliły. To ze względu na was. Na użytkowników. Nie ze względu na mnie.

– A co Endymion robi z odpadami, z tym wszystkim, co zawsze zostaje, kiedy używa się takich toksyn?

– zapytała Kerstin Holm.

– Są utylizowane w sposób bezpieczny dla środowiska – odparł Stiernmarck, jakby recytował wykutą na pamięć lekcję.

– Zawsze tak było, prawda? – rzuciła Sara Svenhagen. – Zawsze pan robił to co słuszne, uczciwe i honorowo, ale potem przyszedł kryzys finansowy i wszystko postawił na głowie. Stracić firmę albo nie stracić. Zbankrutować albo nie.

– Kryzys finansowy był bez dwóch zdań mocnym ciosem, ale to nie ma nic wspólnego z naszą utylizacją odpadów. Zajmują się tym nasi wewnętrzni specjaliści.

– I dlatego nie widać tego w księgowości? – spytała Holm.

– Zgadza się – odparł Stiernmarck, siadając ciężko.

– Księgowość wygląda dziwnie – stwierdziła Svenhagen. – Dokładne comiesięczne wydatki aż do września ubiegłego roku. Potem nagle nic.

– O szczegóły muszą panie zapytać kogoś innego. Ja widzę tylko *the big picture*. I gwarantuję, że nie ma tu żadnych krętactw.

Nagle Kerstin Holm postawiła na stole laptopa i uruchomiła film. Przez kilka sekund widać było fioletowoszare, nieruchome ujęcie. Wejście do budynku użyteczności publicznej. Obrotowe szklane drzwi, plac na zewnątrz, charakterystyczny wzór na bruku, którym wyłożono plac. Stopy ludzi na czarno-białym trójkątnym wzorze. Potem stopy zaczęły się poruszać, znikać z ekranu. Ludzie wchodzili i wychodzili tymi obrotowymi drzwiami. W końcu pojawił się wchodzący – całkowicie rozpoznawalny – Carl-Henric Stiernmarck. Kerstin Holm zatrzymała film.

– Dom kultury wczoraj o piętnastej zero cztery – oświadczyła. – Wchodzi pan.

Stiernmarck siedział nieruchomo. Zapatrzył się gdzieś w przestrzeń. Holm znów uruchomiła film, zatrzymała go po chwili i ciągnęła:

– I wychodzi pan. Godzina piętnasta szesnaście. Dwanaście minut w domu kultury. Co pan tam robił?

Stiernmarck parsknął. Zapewne miał to być pełen dystansu cichy śmiech. Niespecjalnie mu wyszło.

– A co się robi w domu kultury? – spytał. – Odkrywa się, jak tam nudno?

– Inaczej mówiąc, rzadko pan tam bywa?

Stiernmarck rzucił pospieszne spojrzenie w stronę swojego gabinetu i dalej siedział zupełnie bez ruchu. Kerstin obserwowała Sarę. Sara podchwyciła jej spojrzenie. Patrzyła bystro, była skupiona. Dokładnie takiej Sary Svenhagen potrzebuję, pomyślała Kerstin i uśmiechnęła się szybko. Potem podjęła wątek.

– O godzinie piętnastej dwanaście, sześć minut po tym, jak wszedł pan do domu kultury, z jednego z publicznych komputerów wysłano zaszyfrowany mail na dobrze znany policji adres w południowych Włoszech. To są szczegóły. Niech mnie szlag, jeśli to też nie jest *the big picture*. A na pewno krętactwo.

Czekały. Stiernmarck siedział z kamienną twarzą. Powiedzieć, że zapatrzył się w przestrzeń, byłoby

eufemizmem.

Potem zrobił coś zupełnie nieoczekiwanego. Wskazał w stronę okna po drugiej stronie salonu i powiedział:

– Ale spójrzcie panie tylko.

Spojrzenie obu „pań” instynktownie powędrowały we wskazaną stronę.

Wtedy on rzucił się biegiem. W przeciwnym kierunku.

Kerstin Holm trzymała już w ręce komórkę. Nacisnęła przycisk wybierania i uniosła klucz, pokazując go Sarze. Stiernmarck wpadł do swojego gabinetu. Teraz, pomyślała Sara i zdążyła krzywo się uśmiechnąć. Właśnie teraz powinien odkryć, że w drzwiach nie ma klucza. Kerstin wykonała ruch ręką i Sara również puściła się biegiem.

Biegając, usłyszała zbliżający się przez ogród oddział specjalny. Mocno szarpnęła drzwi gabinetu i zobaczyła Stiernmarcka, jak pochyła się za potężnym dębowym biurkiem. Rzuciła się na niego w tej samej chwili, gdy zaczął je przesuwac.

Gdy się zmagali, spojrzała mu w twarz. W jego oczach była śmierć. Czyste, śmiertelne przerażenie. Walczył paznokciami i zębami, zmagając się z samym aniołem śmierci. I gdy się tak szarpali, w ciągu tych kilku sekund nim jednostka specjalna dotarła na miejsce, Sara czuła, że to nie z nią walczy. Wszystkie siły skierował przeciwko czemuś nieskończenie potężniejszemu niż inspektor policji kryminalnej Sara Svenhagen. Uderzał na ślepo, jak popadnie, podrapał jej twarz, wyszczerzył zęby, jakby chciał ją ugryźć... Poczuła nieskończoną wdzięczność dla policjanta z jednostki specjalnej, który szarpnął ją i odepchnął na ścianę dokładnie w chwili, gdy Stiernmarck miał wbić laserowo wybielane zęby w jej nadgarstek. Uderzenie, które policjant z jednostki specjalnej wymierzył w te olśniewająco białe zęby, było niepotrzebnie brutalne, ale akurat w tej chwili Sara była gotowa pogodzić się z nieuzasadnionym użyciem przemocy. Dźwignęła się na kolana i obmacała głowę. Na dłoni zobaczyła krew. Zdążyła jeszcze pomyśleć o tym, jak głęboko wbił jej paznokiec w ciało, i wtedy zobaczyła dokładnie to, czego nie chciała zobaczyć.

Dwóch policjantów z jednostki specjalnej podnosiło nieprzytomnego Carla-Henrica Stiernmarcka, z którego ust kapała krew, i w tym momencie w drzwiach pojawiła się jakaś postać. Błada postać o długich, ufarbowanych na czarno włosach i rozszerzonych oczach.

– Johannes – powiedziała, niezręcznie wyciągając do niego rękę.

Johannes Stiernmarck oderwał wzrok od zakrwawionego ojca i spojrzał na zakrwawioną Sarę Svenhagen. Jego twarz wykrzywiła się spazmatycznie. Po sekundzie odwrócił się i pobiegł w stronę wyjścia. Sara ruszyła za nim, ale nie miała szans, by go złapać. Johannes wypadł z domu. Weszła do jego pokoju i zobaczyła przez okno, że pędzi na oślep ulicą.

Oparła ręce o jego zagracone biurko i przymknęła oczy. Poczuła kroplę spływającą po grzbiecie nosa i złapała ją, nim spadła na klawiaturę komputera. Wpatrywała się w swoją dłoń, na której idealnie symetrycznie rosła gwiazdka z krwi. Potem wyszła do holu.

Zderzyła się tam z Kerstin, która zrobiła zatroskaną minę i wyciągnęła rękę ku twarzy Sary. Sara poczuła, że mimowolnie się cofa.

– Przesuwał biurko – powiedziała Sara, wskazując w głąb gabinetu.

Zauważyły, że Stiernmarck zaczyna dochodzić do siebie. Dziwnie błędził wzrokiem po całym pomieszczeniu. Pilnowali go dwaj napakowani policjanci w mundurach.

Dłoń Kerstin zastygła przed twarzą Sary w niezręcznym opiekuńczym geście. Sarze wydało się, że widzi w jej oczach wyrzuty sumienia. W tym momencie Kerstin opuściła rękę i krzyknęła w głąb gabinetu:

– Pod biurkiem. Na podłodze albo w podstawie biurka. Szukajcie małego elektronicznego gadżetu. I zarekwirujcie komputer.

Potem zwróciła się do Sary:

– Będzie cię musiał obejrzeć lekarz. Idź się najpierw umyć.

– Mógł mieć przecież pod paznokciami bromowane opóźniacze płomienia – zażartowała dzielnie Sara.

Kerstin uśmiechnęła się krzywo i weszła do gabinetu. Sara przebiegła wzrokiem po holu. Z jakiegoś powodu jej spojrzenie zatrzymało się na komputerze Johannaesa, który stał z monitorem i kamerą zwróconymi w stronę drzwi. Potem ruszyła do toalety. Zamknęła dokładnie drzwi i odkręciła do końca kran. Pomieszczenie wypełnił szum płynącej wody. Sara wyprostowała się i spojrzała na swoją twarz w lustrze.

Trzy głębokie czerwone bruzdy biegły od czoła w dół, kolejna widniała tuż pod lewym oczodołem. Ze wszystkich czterech sączyła się krew.

Tak blisko oka...

Wpatrywała się w swoją zakrwawioną twarz. Widziała własne spojrzenie. Wiedziała, że powinna jak najszybciej zdezynfekować rany, ale nie była w stanie oderwać wzroku od własnych oczu. Było w nich coś niewypowiedziane straszne. Zrozumienie bez słów. W jej duszy kryła się czarna otchłań i nagle spojrzała w głąb niej.

Wezbrał w niej niepohamowany płacz. W tej samej chwili usłyszała zdyszany, lecz donośny głos Wictorii Stiernmarck dobiegający z holu:

– O mój Boże, co się tutaj stało?

Słabe punkty

Haga, 8 kwietnia

WYDAWAŁ SIĘ ZUPEŁNIE ŻYWY. Wyglądał tak jak wtedy, gdy biegł przez jezdnię. Bez całego tego lęku, całej tej determinacji, całego straszliwego wysiłku. Jakby odnalazł spokój. Tak by wyglądał, gdyby świat był nieco przyjemniejszym miejscem do życia.

Arto Söderstedt poczuł wzdłuż kręgosłupa tchnienie lodowatego zimowego wiatru. Skupił się na twarzy Chińczyka i uderzyło go, jaki był młody. Zhang Sang. „Jego” Chińczyk.

– Przecież dopiero co był zupełnie anonimowy? – odezwał się głos za jego plecami.

Odwrócił się i spojrzał na Juttę Beyer patrzącą w monitor nad jego ramieniem. Jak szybko się zmieniła. Powinna wciąż być zajęta swoim pomysłem z toksynami niebezpiecznymi dla środowiska. Ta szczególna ostrość, niezwykła przenikliwość umysłu w całej tej niepewności. Teraz ostrość jest o wiele wyraźniejsza, pomyślał, gdy niepewność odpada jak płatki rdzy.

– Zhang Sang to podobno chiński odpowiednik Johna Doego, anonimowej ofiary – odparł, wskazując nazwisko wyświetlające się na monitorze. – Nie mogłem go nazwać John Doe, to by było absurdalne.

– Więc wciąż jest anonimowy? – podjęła Jutta Beyer.

– Niestety – przyznał Söderstedt. – Scotland Yard nie zrobił żadnych postępów. W sumie zamknęli sprawę. Żadnych trafień z DNA ani odciskami palców. I nic z tego, na co mimo wszystko liczyłem, że gdzieś w wielkim Londynie będzie opuszczony pokój hotelowy z paszportem Zhang Sanga. W kieszeniach ani przy sobie też nie miał nic, co pozwoliłoby go zidentyfikować. Tylko parę zgniecionych banknotów. I jedna specyficzna rzecz...

– Mianowicie? – spytała niecierpliwie Jutta Beyer.

– Pocił się – odparł Arto Söderstedt.

– Pocił się?

– Najwyraźniej bardzo obficie. Jego ubranie było całe wilgotne.

– Z nerwów?

– Na pewno. Mam pewną hipotezę na temat tego, co się stało.

Nieco sceptyczne spojrzenie Beyer nie powstrzymało Söderstedta od mówienia.

– Dlaczego Zhang Sang tam był? Co takiego ważnego musiał powiedzieć? I przede wszystkim: komu?

– Najwyraźniej tobie...

– Wcale nie – zaprotestował Söderstedt. – Ja byłem substytutem.

– Ach, dla...

– No właśnie. Był tam, żeby powiedzieć coś Barackowi Obamie, ale Obama przejechał. Wtedy wybrał mnie. Jasne, że się denerwował.

– Naprawdę powinniśmy to uznać za uzasadnioną hipotezę? – spytała Jutta Beyer, marszcząc brwi.

– Ani trochę – przyznał Söderstedt. – Ale niesamowitą determinacją Zhang Sanga wyjaśnia jedynie to, że chciał zrobić coś bardzo ważnego, tak ważnego, że musiał porozmawiać o tym z prezydentem Stanów Zjednoczonych. Poza tym na Twitterze pojawiła się plotka, że Obama ma się zatrzymać właśnie tam.

– Wiesz, czy Zhang Sang w ogóle znał angielski?

– Jeśli zamierzał rozmawiać z Obamą, to powinien znać angielski – odparł Söderstedt, nieszczerze przekonany do logiczności swojego rozumowania.

– Mimo to do ciebie mówił po chińsku? – uśmiechnęła się Beyer. – Do białowłosego policjanta?

Söderstedt się skrzywił.

– Ta teoria jest jeszcze niedopracowana – odparł. – Umierał. W takiej chwili mówi się w ojczystym języku.

– Hm – mruknęła Jutta Beyer i udało jej się sprawić, by zabrzmiała w tym raczej nadzieja niż sceptycyzm. – Czy nie musiał mieć komputera albo chociaż komórki, żeby móc śledzić wpisy na Twitterze? Jest tu coś...

– Nie mogę do niczego dojść z tą wiadomością na Twitterze – powiedział Söderstedt, wpatrując się w sympatyczną, elektronicznie wyretuszowaną twarz Zhang Sanga i wyświetlając zamiast niej stronę Twittera z sieci. Jutta Beyer odczytała na głos:

– „*Rumour from inner circle: BO will stop and greet crowd 100 m from south gate. Spread!*”.

– Zhang Sang wyszedł na ulicę około stu metrów od południowej blokady i zrobił to kilkanaście sekund po tym, jak przejechała limuzyna amerykańskiego prezydenta – odparł Söderstedt. – Nie mógł porozmawiać z prezydentem, ale się nie poddał, wybrał inną osobę, która wyglądała oficjalnie.

– A ty akurat tam stałeś i wyglądałeś jak obserwator z Europolu – uśmiechnęła się Jutta Beyer.

Arto Söderstedt mimowolnie odpowiedział jej uśmiechem.

– Wybrał po prostu jedyne go człowieka, który wyglądał na jeszcze bardziej zagubionego niż on sam – powiedział.

– I nie wiadomo, kto wysłał tę wiadomość na Twitterze?

– Nie. Nie da się zidentyfikować nadawcy. Krótko mówiąc, istnieje sporo usług blokujących tożsamość nadawcy, żeby nie dało się go namierzyć. To przecież jasne, że jeśli ktoś ma zamiar wypuścić bombę z „inner circle”, chce zachować anonimowość. Zwłaszcza jeśli ktoś taki potajemnie sprzyja demonstrantom.

– Mogą istnieć inne przyczyny tej anonimowości, prawda?

– Naprawdę uważasz, że nie wziąłem tego pod uwagę?

– Nie zajmowałam się tym – oświadczyła Jutta Beyer z zadumaną miną. – Myślałam o nadmiernej potliwości.

– No jasne – powiedział Söderstedt z nutką ironii w głosie. – Któż by o tym nie myślał?

– Mówiłeś, że Scotland Yard zamierza zamknąć sprawę...

– Nie wydaje mi się, by zapadła już jakaś oficjalna decyzja, ale mogą to zrobić w każdej chwili.

– W takim razie zwłoki Zhang Sanga wciąż leżą w kostnicy?

– Tak zakładam.

– I nie przeprowadzono obdukcji?

– Nie zostało popełnione żadne przestępstwo – wzruszył ramionami Söderstedt. – Po co wydawać na coś takiego pieniądze policji, których we wszystkich krajach z wyjątkiem państw policyjnych nie ma zbyt wiele?

– Jak dajesz radę tak dziwnie wyrażać myśli w obcym języku?

– Jestem dziwny.

– A samochód, który go przejechał?

– Strasznie się zaangażowałaś – zauważył Arto Söderstedt. Z uznaniem. Zaczynał być naprawdę zachwycony tą rozmową.

– Czyli cywilny wóz policyjny? – drażyła dalej Jutta Beyer. – Czy kierowca miał jakieś skłonności do przekraczania prędkości albo coś takiego?

– Nie – odparł Söderstedt, klikając myszką. – Mam tu jego przesłuchanie. To była eskorta z The Met, nic niezwykłego, wysłali wtedy wiele takich wozów. W środku siedziało dwóch policjantów z drogówki, po cywilnemu. Kierowca nazywa się Mark Payne, ten drugi David Coleman. Payne trafił do szpitala wskutek szoku i słyszałem za plecami, jak przeklinał. Nic nie wskazuje na to, by śmierć Zhang Sanga miała być czymkolwiek innym niż wypadkiem.

– A jednak myślisz, że była? – rzuciła niewinnie Jutta Beyer, przekrzywiając głowę.

– Myślę, że Zhang Sang czegoś ode mnie chciał – odparł Arto Söderstedt, trochę rozkojarzony. – Tylko tyle myślę. Cały instynkt, jaki mi jeszcze został, podpowiada mi, że to, czego chciał, było ważne. Naprawdę ważne. I dlatego tu teraz siedzę i łamię sobie głowę nad tym cholernym szeregiem sylab, choć oboje powinniśmy robić zupełnie inne rzeczy. Ty na przykład powinnaś mi opowiedzieć o nadmiernej potliwości.

Beyer skrzywiła się lekko, ale zaraz doszła do siebie. Przeczytała głośno, trochę się zacinając, z samoprzylepnej karteczki, która znów była przyklejona do monitora Söderstedta:

– „Ksangpudyrgymongultjudygnialkridingyljiang”?

– Tyle zapamiętałem. A teraz nadmierna potliwość.

– To tylko coś, o czym niedawno czytałam – odparła przepaszającym głosem Beyer.

– Do rzeczy – rzucił Söderstedt z zupełnie nieuzasadnioną irytacją w głosie.

– To było w związku z zupełnie innymi rzeczami, jakie powinniśmy robić. Endymion Möbelsystem AB. Było o tym w dokumentacji.

– W jakiej dokumentacji?

– O bromowanych opóźniaczach płomienia.

Söderstedt spojrział zdziwiony na swoją adeptkę.

– I to ma niby coś wspólnego z nadmierną potliwością?

– Istnieje około siedemdziesięciu różnych bromowanych opóźniaczy płomienia o bardzo zróżnicowanych właściwościach chemicznych. Nie wiemy zbyt wiele o ich wpływie na środowisko ani na ludzkie zdrowie. Wspomina się jednak o tym jako o możliwym skutku działania między innymi eteru pentabromodifenylu i eteru oktabromodifenylu.

– O nadmiernej potliwości?

– Zgadza się – potwierdziła Jutta Beyer.

– Trochę naciągane – zauważył Arto Söderstedt – ale interesujące. Pozostaje pytanie, czy to wystarczy, by Scotland Yard wyciągnął Zhang Sanga z lodówki. Jasne, że rzuca to trochę światła na „jiang” pod koniec „ksangpudyrgymongultjudygnialkridingyljiang”. I nie mam tu na myśli pingpongisty Jianga Jialianga.

– Tylko „rzekę” – pokiwała głową Bayer.

– *Famous last word* – kiwnął głową Söderstedt. – Strasznie się zagłębiliśmy w spekulacje, prawda? Co ten przejechany w Londynie Chińczyk może mieć wspólnego z naszym związanym z mafią szwedzkim biznesmenem?

– Jak to ujęła Lavinia Potorac? – rzuciła Beyer. – „Mafia wykupuje świat”.

– Chińczycy mają własną mafię – zauważył Söderstedt. – Triady nie mają nic wspólnego z ‘Ndranghetą.

– Bo organizacje przestępcze nigdy nie działają międzynarodowo? – spytała Jutta Beyer.

Po raz pierwszy Arto Söderstedt wyczuł w jej głosie nutkę ironii. Uśmiechnął się przelotnie i odparł:

– To jasne, że kreatywna współpraca chińskiej i włoskiej mafii stworzyłaby paskudną potęgę. Ale wciąż bardzo nam daleko do wskazania jakiegokolwiek związku.

– Właściwie nie wierzę w żaden związek, raczej w możliwość, że pocenie się wynikało z zatrucia. I że o tym tak bardzo chciał komuś powiedzieć.

– I że to miało związek z jakąś chińską rzeką...

– Możliwe – powiedziała Beyer z niepohamowanym entuzjazmem. – Tylko trudno wyczuć, co to mogło mieć wspólnego z Barackiem Obamą.

– Może tylko tyle, że on reprezentuje nadzieję i przemianę...

– Naprawdę by pomogło, gdybyś do czegoś doszedł z „proppiloppikoppijiang”...

– „Ksangpudyrgymongultjudygnialkridingyljiang”, jeśli można prosić – rzucił Söderstedt, wskazując na samoprzylepną karteczkę.

– A może wcale nie, jak twierdzą twoi eksperci od mandaryńskiego. Jedyne, co z tego wyciągnęli, to ta ewentualna rzeka. O ile dobrze rozumiem, ogromne znaczenie ma to, by wypowiadać każde słowo z właściwą intonacją.

– Wiem – przyznał Söderstedt. – I wiem mniej więcej, jak to działa. Nie tylko znaków jest nieskończenie wiele. Sylab jest ponad tysiąc sześćset. Istnieje czterysta trzysta głosek, każdą można wypowiadać w czterech tonach. Jeden jest wysoki, równy i stały, co oznacza się kreską w tak zwanym

pinyin, czyli mandaryńskim w zachodniej transkrypcji. Jeśli głoską jest a, to mamy wtedy ā. Ton może się też wznosić i równocześnie stawać głośniejszy: á. Albo może opadać i cichnąć, by potem się wznieść i stać głośniejszym: ǎ. Może też szybko opadać i cichnąć: à. I niech mnie diabli, nie ma mowy, żeby niewykształcony człowiek z Zachodu odróżnił od siebie te tony.

– A jednak to słyszałeś – odparła z przekonaniem Beyer. – To jest gdzieś w tobie.

– Nie jestem w stanie tego odtworzyć lepiej, niż to zrobiłem.

– Potrzebujesz pomocy – stwierdziła Beyer.

– Bez przerwy – zgodził się Söderstedt. – Przypuszczam, że mówisz... No właśnie, o czym?

O psychologa?

– Raczej o hipnotyzerze – odparła bez wahania Jutta Beyer.

Söderstedt się roześmiał, być może trochę sztucznie. I powiedział:

– No tak, takie rzeczy są teraz modne.

– Siedzicie tu sobie i pracujecie dokładnie nad tym, nad czym trzeba? – odezwał się jakiś głos.

Oboje bezskutecznie usiłowali dopasować go do kogoś, kogo znali.

Głos mówił dalej:

– Zrobiliście się strasznie spięci.

W głosie Fabia Tebaldiego brzmiały tony, jakich żadne z nich do tej pory nie słyszało. Spoglądali na niego speszeni. Po raz pierwszy, odkąd Opcop zaczął istnieć, wydawał się naprawdę tryskać entuzjazmem.

– Zostawcie to teraz – ciągnął Tebaldi. – Mamy trop.

Oderwali wzrok od monitora. Zobaczyli, że deszcz za oknem przestał padać i zapada zmierzch, malując niebo na wszystkie odcienie różu. Zauważyli również, że cały Opcop jest w ruchu. Zdezorientowani spojrzeli po sobie i Söderstedt oświadczył:

– Zapytam Paula.

– Szefa?

– Jeśli wolisz tak go nazywać, to tak, szefa. Jest przecież na miejscu. Jeśli ktokolwiek jest w stanie wyciągnąć Zhang Sanga z lodówki, to tylko on.

Potem opuścili pokój.

Wielka sala konferencyjna nadal przypominała katedrę. Teraz znajdowało się w niej niewielu ludzi i była niczym ogromna przestrzeń dla Boga – albo raczej dla dwudziestu siedmiu ekranów, które ukryto w kasetonowej dekoracji ścian. Przedstawiciele krajowi z jednym wyjątkiem poszli do domów. Hjelm, Bouhaddi i Hershey byli nieobecni, Kowalewski urwał się kilka godzin wcześniej, by być w Krakowie przed wieczorem. Gdy Beyer i Söderstedt weszli, poczuli na sobie świdrujące spojrzenia Lavinii Potorac, Laimy Balodis, Felipe Navarro, Fabia Tebaldiego i Jorge Chaveza. Ten ostatni siedział nieco z boku, trochę w kręgu, trochę poza nim. Angelos Sifakis spokojnie wszedł na podium. Jeszcze zanim usiadł, powiedział:

– Jak już wiecie, szwedzka policja zdobyła wczoraj urządzenie szyfrujące. Znajdowało się w małym otworze w podłodze pod biurkiem Stiernmarcka w jego gabinecie. Udało się je zlokalizować dzięki heroicznym wysiłkom dwóch z naszej trójki krajowych przedstawicieli w Sztokholmie. Ten trzeci może opowiedzieć wam więcej.

Jorge Chavez kiwnął głową i w jego oczach pojawił się chyba blask dumy, gdy zabierał głos:

– Dla nas, maniaków komputerowych, to cudowny mały gadżet. Wygląda zupełnie jak pendrive i natychmiast w przypadkowy sposób szyfruje każdy tekst. Przyjrzelśmy się mu dokładnie z pomocą wszelkich możliwych ekspertów technicznych i doszliśmy do wniosku, że potrzebne jest po prostu hasło. Najpierw trzeba wprowadzić hasło, potem tekst, który ma zostać zaszyfrowany. To hasło istnieje tylko w głowie Carla-Henrika Stiernmarcka. Na razie. Przesłuchanie trwa.

– I jak idzie? – spytał niecierpliwie Tebaldi.

– Najwyraźniej jest trudne – odparł Chavez. – Ma świetnego adwokata i jest śmiertelnie przerażony. Niech mnie diabli! Zajmują się nim dwie najlepsze specjalistki od przesłuchań w całej Szwecji. Jestem całkowicie pewien, że niedługo rozszyfrujemy komunikację między ‘Ndranghetą, Łotwą a Stiernmarckiem.

– Jednak to nie dlatego się tutaj zebraliśmy – oświadczył Angelos Sifakis z cichą powagą w głosie. – Przed chwilą nawiązano kontakt między Potenzą a Rygą. Z komputera Ottavia Mascaro wysłano dwa maile do Kasparsa Helmanisa, odpowiednio dziesięć i niecałe pięć minut temu.

– Wyglądają podobnie? – spytał Chavez.

– Tak – potwierdził Sifakis. – Prawdopodobnie mają to samo urządzenie szyfrujące.

– Świetnie. Niedługo będziemy ich mieć.

– Nie to jest najważniejsze – wtrącił się energicznie Fabio Tebaldi. – Najważniejsze jest to, że zbliżyliśmy się trochę do tych nieuchwytnych typów.

– A to niby jak? – zachnął się Arto Söderstedt.

– Użyli znanych nam połączeń – powiedział Sifakis. – Bardziej otwartych numerów IP. Mamy dwa stosunkowo wyraźne obszary geograficzne. Bez dokładnych adresów, ale powinniśmy je zdobyć dzięki naszym włoskim i łotewskim przedstawicielom krajowym. To dlatego tu jesteśmy.

Palce Sifakisa przesunęły się po ekranie na pulpicie i dwa monitory na ścianie zaczęły mrugać niebieskim światłem. Felipe Navarro zapytał:

– Obaj?

– Jak to? – spytał Tebaldi.

– Obaj odsłoniли się równocześnie?

– Jest piątek po południu – wzruszył ramionami Tebaldi. – Jeden pewnie napił się wina, drugi wódki. Czasem nawet mafia popełnia drobne błędy. Dlatego ich obserwujemy.

Navarro lekko przekrzywił głowę.

– Czy to nie wygląda na trochę dziwny zbieg okoliczności?

W tym momencie z niebieskiego światła na jednym z ekranów wyłoniła się twarz, surowa kobieta twarz okolona bujnymi czarnymi włosami, nieco poskromionymi dzięki sporej spince. Zdezorientowana kobieta powiedziała:

– *Dannazione, non so se questo è il tasto corretto...*

– To właściwy przycisk, Donatello – powiedział Fabio Tebaldi po włosku. I dodał po angielsku: –

Widzimy cię wyraźnie.

– Nie lubię, jak mnie widać – powiedziała Włoszka po angielsku i niespodziewanie się uśmiechnęła.

– To jest przyszłość – powiedział Tebaldi, również się uśmiechając. – *Take it or leave it.*

Potrzebujemy pomocy Rzymu, Donatello. Czekamy jeszcze tylko na Rygę.

– Czekacie jeszcze tylko na Rygę? – zapytała zgryźliwie Donatella.

– Trzeba się przyzwyczaić do przyszłości – uśmiechnął się Tebaldi.

Wtedy na drugim ekranie zarysowała się twarz mężczyzny w średnim wieku.

– *This is Riga* – stwierdził lakonicznie, ale poprawnie mężczyzna.

– Marek miał rację – szepnął Söderstedt do Beyer. – Niech mnie diabli, to naprawdę *Eurovision Song*

Contest.

Dziewczęcy chichot Jutty Beyer na krótką chwilę sprawił, że wszyscy przestali robić to, czym się dotychczas zajmowali.

– Co wy właściwie wyprawiacie tam na północy? – zapytała w końcu Donatella. – Macie piątkową imprezę?

– Jakieś zakłócenia na łączach – wyjaśnił spokojnie Angelos Sifakis. – Właśnie przesłałem do Rzymu i Rygi informacje o dwóch adresach IP zlokalizowanych w centrum Rygi oraz na wsi na północ od Potenzy, w Bazylikacie. Chcemy, żebyście skorzystali z krajowej policji i jak najszybciej ustalili fizyczne adresy obu tych miejsc. Dostaliście mail?

– Chwileczkę – powiedział Łotysz.

– Który to guzik, do cholery? – zapytała Włoszka i dodała oschle: – Żartowałam. Tak, poczta odebrana.

– Tu to samo – zapewnił Łotysz.

Przez chwilę panowała cisza. Oboje w spokoju czytali. W końcu odezwała się Donatella.

– Dobra, to pagórkowate tereny rolnicze na północ od Potenzy. Trochę lasów rośnie tam, gdzie nie ma żadnych upraw. Nie powinno być większych problemów z namierzeniem, to rejon dość słabo zaludniony jak na południowe Włochy.

– U nas może być pewien problem – poinformował Łotysz.

– Jak to? – zdziwił się Sifakis.

– To dzielnica rządowa – padła odpowiedź.

Równocześnie

10 kwietnia, 19:00:00 GMT

CHOĆ JEST ŚRODEK NOCY, kobieta czuje nieodpartą potrzebę, by zamoczyć stopy. To niezupełnie ta sama potrzeba, którą czuła, kiedy była mała, kiedy wesoło pluskała się w lodowatej wodzie, głośno się przy tym śmiejąc. Później, gdy była nastolatką, pragnęła wejść do rzeki nago razem z nim. Z nim.

Nie, to inna potrzeba, potrzeba, by poczuć silne wiosenne prądy z gór, które pieszczą zimnym dotykiem stopy, pięty, łydki. Potrzeba, by za wszelką cenę poczuć ochłodę. Nawet w tej wodzie. W tym, czym się ta woda stała.

Światło latarki kieszonkowej prowadzi ją do wielkiego kamienia nad brzegiem. Kobieta siada, zanurza stopy w płynącej wodzie i oświetla latarką zegarek. Jest druga, druga w nocy. Kiedyś zawsze o tej porze spała, ale teraz nie może spać. Zwłaszcza kiedy on nie wraca.

Wysoko nad górami powinna panować gęsta ciemność, ale śnieg zawsze wygląda jak rozświetlony wewnętrznym blaskiem. Szczególnie teraz, w kwietniu, można odnieść wrażenie, że góra nie do końca zastygła i wciąż żarzy się w głębi, roztaczając na zboczach migotliwą poświatę. Wciąż wydaje jej się takie niezwykle, że tu siedzi – ze stopami w wodzie, zapatrzona na góry – i wciąga w płuca lodowate przejrzyste powietrze. W tej chwili czuje, że żyje.

O ile faktycznie żyje.

Wie, że zanim woda dotrze w dół, do elektrowni, będzie mniej skażona. I wtedy nie będzie już tak źle. Większość skażeń osiadzie po drodze. Przede wszystkim tutaj. Tak blisko. Tak blisko miejsca, w którym mieszkają ona i jej rodzina.

Nie ma znaczenia, co się wydarzy tu, na górze. Są przecież innym narodem. Gorszym narodem. Kobieta wie, jak oni myślą. Próbuje nie spoglądać w górę rzeki. Jest tam wielki obszar, który stanowi przeciwieństwo gór. Nic tam nie lśni. Jakby ten obszar połykał każde światło. Wielki, prostokątny wycinek ciemności. Kloc, kolos. Stamtąd przychodzi tylko zło. Kolos wypluwa z siebie zło. Przez całą dobę.

Tęskni za nim. Tak strasznie za nim tęskni.

Teraz jest jej przeraźliwie zimno w stopy. Wie, że powinna je wyjąć z wody. Ale nie potrafi się do tego zmusić. Jeszcze nie.

Cokolwiek, byle tylko przestać się pocić.

*

Stary rybak wie, że coś się stało właśnie tutaj. Potrafi odróżnić złapane tu ryby od tych z innych miejsc. Tam dalej, co prawda, połowy bardzo się zmniejszyły, ale przynajmniej ryby wyglądają po staremu.

Wciąga na pokład ostatnią sieć, tę zastawioną najbliżej portu, i widzi, że ryby wyglądają inaczej. Mimo tego, co ludzie mówią. Nie może być jedynym, który widzi różnicę, ale już o tym nie wspomina. Nikt nie chce, żeby o tym mówił.

Nie musi spoglądać na zegar w sterówce, by wiedzieć, że jest ósma. Nad Bałtykiem zapadł wyjątkowo paskudny kwietniowy wieczór, wyje sztorm, bije grad. Pogoda nie przeszkadza staremu rybakowi. Przeszkadzają mu inne rzeczy.

W oddali lśni bursztynowo fragment wybrzeża. To Windawa. Z daleka jest taka piękna. Z bliska wydaje się twarda i zimna. On nie lubi tego miasta. Jednak płynące z niego światło jest piękne. Przypomina mu bursztyny zbierane w dzieciństwie. W średniowieczu bursztyn był droższy niż złoto. Łotewskie bursztyny zbierane wzdłuż pięćsetkilometrowego piaszczystego wybrzeża były znane nawet w antycznej Grecji, nawet w Rzymie. To była najpiękniejsza rzecz, jaką stworzyła ziemia. I nagle stały się zupełnie bezwartościowe.

Tak jak połowy na Bałtyku.

Łódź jest teraz w strefie. Wie o tym, lecz jego syn, który stoi przy sterze, zakazał mu o tym wspominać. „Strefa jest tylko w twojej głowie, stary, mówił syn”. Ale on wie.

Stary rybak nic nie mówi, ale wie.

Wcześniej nic nie było lepsze, teraz mamy gorzej.

Spogląda w oczy najbliższemu z nielicznych śledzi i nagle widzi oczyma zniekształconej ryby martwe morskie dno.

Ale nic nie mówi.

Zupełnie nic.

*

Jest zaskakująco przyjemny wieczór. Wielkowiejska bryza wpadająca przez okno pachnie wsią z dzieciństwa. Przez krótką chwilę oczami wyobraźni widzi skaliste wybrzeże Kornwalii. Kolonie morskiego ptactwa, które go urzekły.

Siedzi na sofie przy francuskim balkonie i nie może się poruszyć. Zwykle jest w stanie trochę się ruszać mimo tej monstrualnej tuszy. Coraz rzadziej się zdarza, by zadawał sobie pytanie, jak mógł dopuścić, żeby to zaszło aż tak daleko. A teraz jest już za późno, by to naprawić. A może? – myśli nagle. Może wcale nie? A jeśli mogę dostać drugą szansę.

Nie może się poruszyć, bo ona leży na jego kolanach. Jakby się w niego wczepiła. Głaszcze ostrożnie jej włosy i zastanawia się, czy kiedykolwiek uda jej się dojść do siebie.

I wtedy dzieje się to. Przez otwarte okno słychać trzepot. Ptak siedzi na balustradzie francuskiego balkonu i obserwuje go.

Od czasu do czasu zgłasza do London Natural History Society's Ornithology Section, że widział

dzierzby, trzciniaki albo perkozy, ale robi to głównie po to, by pokazać im, że wciąż żyje. Teraz to coś zupełnie innego.

Komórka z aparatem fotograficznym leży na stole. Sięga po nią. Widzi swoją rękę zbliżającą się do niej niczym otyły krab, ale nie może jej dosięgnąć. Musiałby wyciągnąć się tak bardzo, że obudziłby śpiącą. Nie chce tego. Z drugiej strony, ona na pewno by chciała, żeby zrobił zdjęcie. Spogląda na ptaka i myśli. Ptak najspokojniej na świecie czyści sobie piórka, balansując na balustradzie francuskiego balkonu.

Wreszcie podjął decyzję. Wyciąga się, najdalej jak potrafi. Przyciska jej głowę wałkami tłuszczu. Z komórką w ręce spogląda na jej twarz. A więc ona nie śpi. Widzi po jej spojrzeniu, że jest kompletnie załamana.

Głaszcze ją po głowie, by się uspokoiła. Przez cały czas szepcze:

– Spokojnie, mała Audrey. Już dobrze, wszystko dobrze.

Gdy unosi komórkę, zegar na wyświetlaczu wskazuje dokładnie godzinę siódmą. Kadruje ptaka, by znalazł się idealnie pośrodku. Wtedy spojrzenia jego i ptaka się spotykają. Przez aparat w komórce Cuthbert spogląda prosto w złociste oczy.

I coś go powstrzymuje. Coś sprawia, że nie robi zdjęcia. Opuszcza telefon. Gągoł przygląda mu się jeszcze przez chwilę, potem odlatuje.

Cuthbert się uśmiecha. Głaszcze Audrey po włosach i uśmiecha się tak szeroko, jak nie robił tego od kilkudziesięciu lat.

*

Wszystko jest dokładnie tak jak zwykle. Żyje w świecie, w którym ciągle mnóstwo się dzieje, ale w którym bardzo niewiele się zmienia. Jest zwykle piątkowe popołudnie, przepiękna kwietniowa pogoda. Za dwie godziny odbierze dzieci. To znaczy odbierze je na ulicy, tam gdzie zatrzymuje się szkolny autobus. Tak jak zwykle w piątki siedzi na balkonie i próbuje nadrobić zaległości w lekturze gazet z całego tygodnia. To taki jej zwyczaj. Na stoliku przed nią leży plik „New York Timesów”. Co piątek ona czuje się tak, jakby była ostatnią na świecie prawdziwą czytelniczką prasy codziennej. Jest godzina druga, daleko w dole wiosenne słońce pieści fasadę The Metropolitan Museum of Art, która lśni niczym topniejąca latarnia ze śniegu na tle całej tej budzącej się zieleni. To taka pora roku, gdy miasto jest najpiękniejsze, a ona czuje się najlepiej. Chociaż teraz wszystko jest bardziej niepewne. Przez ostatnie tygodnie miała mętlik w głowie. Obudziły się upiory przeszłości.

Przymyka oczy i zwraca twarz ku słońcu. Wygrzewa się. Otacza ją obłok smutku. Wszystko to, w co wierzyła. Tak ślepo. Wszystko to, co dało jej i jej dzieciom dobre życie, wyjątkowe życie. To wszystko drży w posadach. Jak zawzięcie będzie tego bronić? Gdzie przebiega granica?

Wszystko to, o czym się dowiedziała. Teraz to ona posiada tę wiedzę. Ona.

Co z nią robi?

Co robi z całą tą wiedzą, której nie chciała posiadać?

Rozkłada jedną z gazet z ubiegłego tygodnia. Przegląda ją. Przyłapuje się na tym, że nie czyta.

W połowie jakiegoś artykułu zdaje sobie sprawę, że nie wie, o co w nim chodzi.

Poniżej zdjęcie. Zupełnie zniecka.

To obrzydliwe uczucie natychmiastowego rozpoznania. Pewność. Bez żadnych wątpliwości.

Słyszy swój krzyk, jakby krzyczał ktoś inny. Krzyk przetacza się jak echo nad Upper East Side, gdy jej już nie ma, gdy wpadła do mieszkania. Wiosenny wiatr zaczyna się bawić gazetami. Unosi dopiero co przeczytaną część strona po stronie, sprawia, że trzepoczą jak skrzydła wzbijającego się do lotu wodnego ptaka. Gazeta unosi się nad balustradą balkonu, rozpościera strony i szybuje w dół, ku The Metropolitan Museum of Art. Ostatnią rzeczą, którą można by rozpoznać, gdyby na balkonie wciąż ktoś był, jest zdjęcie przedstawiające nagą kobietę przykrytą udrapowanym prześcieradłem w półleżącej, z pozoru zupełnie rozluźnionej pozycji.

*

Pająk znów wyszedł. Nie wie, kiedy ostatnio go widziała, teraz w każdym razie biega po przekątnych na suficie, prosto nad jej głową. Lubi przekątne. Być może potrafi intuicyjnie odnajdywać najdłuższy odcinek na powierzchni. Może ma instynktowne zdolności matematyczne, których powinniśmy się od niego nauczyć.

Ale my niczego się nie uczymy. Wynajdujemy coraz nowsze, coraz bardziej zaawansowane rzeczy, ale nie uczymy się niczego, co byłoby naprawdę nowe. Prędzej zapominamy o tym, co istotne. Coraz szybciej o tym zapominamy.

Pająk rozciągnął pewnie nić po przekątnej sufitu. Teraz buduje sieć. Po przekątnej. Coś w niej pragnie wszystko to posprzątać. Wykształciła w sobie wewnętrzny odruch sprzątania.

Jest zmęczona tym bezczynnym leżeniem, ale nie śmie wyjść na zewnątrz. Tak się ucieszyła, kiedy ją wypuścili, nie była w stanie w to uwierzyć. Może jednak praworządne społeczeństwo trochę się sprawdza. Trochę, troszeczkę. Słynne zachodnie praworządne społeczeństwo. To, które połyka własne i cudze dzieci.

Bierze komórkę z nocnego stolika i wpatruje się w nią. Nikt nie dzwoni. Nikt się nie odzywa. Kto miałby zadzwonić? Nikt taki już nie został.

Przed jej oczami pojawiają się twarze. Nie wolno jej do tego dopuścić. Nie teraz. Zwykle udaje jej się je odpędzić. Ale minęło już tyle czasu. Tyle czasu spędzonego w tym samym miejscu przywołuje różne rzeczy. W końcu nie da się przed nimi uciec.

Musi myśleć o czymś innym. Jeśli jej się nie uda, będzie musiała wyjść. Nie chce tego. Boi się wyjść. Instynktownie.

Jest wdzięczna rodzinie Ouyangów, że może mieszkać w ich gościnnym pokoju. Jest wdzięczna za mieszkanie w Västerhaninge zbudowane w ramach Programu Milion. W ogóle jest wdzięczna. Tylko że to nie wystarcza. Wdzięczność nie wystarcza, żeby stłumić to w zarodku. Już nie.

Oddycha ciężko. Pająk zniknął z sufitu. Nie ma niczego, prócz komórki, w czym mogłaby utkwić wzrok. Zegar na wyświetlaczu właśnie wskazuje ósmą. Co miałyby robić na zewnątrz o ósmej wieczorem? Gdzie miałyby się podziać? Wszystkie tropy się przecież skończyły. Lecz jeśli zostanie, pojawią się twarze. Najpiękniejsze twarze na świecie, ale też najbardziej przerażające. Jedyne, których widok jest w stanie ją oczyścić.

Już dawno nie były aż tak blisko. Uśmiechają się, śmieją. Huśtawka na szkolnym podwórku w Bengbu. Raz Cheng w górze, raz Shuang. Głosy bliźniąt splatają się ze sobą, w jej pamięci są tak podobne, a jednak tak wyraźnie różne. Gdy Cheng jest w górze, słyszy głos Chenga, gdy Shuang jest w górze, słyszy głos Shuanga. Wychodzi z tego dziwna, upiorna antyfona.

Zasłania twarz dłońmi. Usiłuje stłumić obrazy i głosy. Wie, że jeśli jej się nie uda, nie zazna spokoju. Zupełnie jakby chodziło o spokój.

Godzinę później

Haga – Kraków – Londyn – Sztokholm, 10 kwietnia

GDY ZWALILI SIĘ do Café Restaurant Rootz na rogu Raamstraat–Grote Marktstraat, a zegar właśnie wskazał ósmą, to było tak, jakby czas przyspieszył. Utworzyli wartki strumień ludzi, który wydawał się nie mieć końca. A jednak było ich tylko dwanaścioro. Powinno ich być trzynaścioro.

Thirteen at Dinner.

Przez te cztery kilometry z Raamweg do Raamstraat zgarnęli trochę nowych osób: zaskakująco pogodnego męża Lavinii Potorac z wózkiem, drobniutką Hiszpankę, żonę Felipe Navarro, i trochę po fino-szwedzku pełną rezerwy Anję Arto Söderstedta. Towarzystwo dopełniali single – Laima Balodis, Angelos Sifakis i Fabio Tebaldi – oraz idący z nimi słomiany wdowiec Jorge Chavez. To ten ostatni zażądał „najlepszego baru we wsi i belgijskiego piwka”. Towarzyszyli im oczywiście dwaj równie niemi, co napakowani włoscy ochroniarze.

Może jednak dało się powiedzieć, że byli *Thirteen at Dinner*, bo gdy tylko weszli do chłodnego baru, zaledwie miesięczna córeczka Potorac nabrała w płuca niesamowitą ilość powietrza. Personel spoglądał z niepokojem na ten nudny tłumek, który niczym występująca z brzegów rzeka zwalił się do baru, uciekając przed ulewą. Mimo wszystko czekał na nich zarezerwowany stolik, a panna Potorac zasnęła, nim zdążyła się potwornie rozedrzeć.

– Piwo trapistów, piwo trapistów – mruczał pod nosem Chavez, intensywnie wertując bogate menu. – Gdzie ono jest?

– Tu – odparł Navarro, wskazując palcem. – Westvleteren, Orval, Achel, Chimay, Westmalle. Tylko przebierać.

– Jak? – spytał Chavez. – Skąd wiadomo, które jest dobre?

– Trzeba je wszystkie wypić – stwierdził leniwie Tebaldi i dodał już bardziej energicznie: – Teraz będziemy mieli okazję sprawdzić, jak wygląda cholerna lojalność w nowych demokracjach.

– Bez gadania o pracy – upomniał Sifakis. – Obiecaliśmy to naszym lepszym połowom.

– A jednak człowiek się zastanawia, co masz na myśli – odezwała się Lavinia Potorac, lekko kołysząc śpiącą na jej ramieniu córeczkę.

– Chyba nie zaprzeczysz, że w państwach byłego bloku wschodniego poziom korupcji jest wysoki – powiedział Tebaldi.

– W odróżnieniu od Włoch. No jasne.

– Westvleteren jest interesujące – wtrącił Navarro, obejmując ramieniem swoją drobniutką żonę. – Warzą je w klasztorze świętego Sykstusa w zachodniej Flandrii i nie można go dostać w sklepach. Rootz należy do nielicznych restauracji w Holandii, które je serwują.

Chavez zapatrzył się w menu i powiedział:

– Można wybrać... Co to ma być? Twaalf, Acht i Zes? Co to takiego?

– Twaalf to mocny sukinsyn. Ciemne, dziesięcioprocentowe. Cholernie dobre.

– Nikt nie zamierza jeść? – zapytała Laima Balodis.

– Powinnaś nabrać trochę ciała – powiedział Söderstedt i napotkał mordercze spojrzenia żony oraz zdumione Balodis.

– To raczej tobie by się przydało – rzucił Chavez. – Ja przez ostatnie pół roku przytyłem pięć kilo i nie mam pojęcia dlaczego. Niczego nie zmieniałem w diecie i nigdy przedtem nie tyłem.

– Jesteś stary – stwierdził Tebaldi. – Tak to już jest, kiedy przekroczy się pięćdziesiątkę i pije za dużo belgijskiego piwa.

– Pięćdziesiątkę?! – wybuchnął Chavez. – Czekaj, czekaj!

– Czy *twaalf* nie znaczy dwanaście? – zapytał Sifakis. – Acht jest ośmioprocentowe, Zes sześcioprocentowe, ale dlaczego Twaalf ma dziesięć procent?

– Nie słuchaj tych gruboskórnych Szwedów – powiedziała Lavinia Potorac, kładąc dłoń na ręce Laimy Balodis. – Jesteś idealna.

– *Een, twee, drie, vier, vijf, zes, zeven, acht, negen, tien, elf, twaalf* – wyrecytował Sifakis.

– Przecież nic innego nie twierdziłem – zaprotestował Chavez, zerkając ostrożnie na Balodis. – Jesteś idealna, Laima.

– I twoja żona też – rzuciła okrutnie Potorac. – Twoja żona, która teraz siedzi w robocie i przesłuchuje w Sztokholmie pewnego przedsiębiorcę. Ona haruje i się zamęcza, a ty się zabawiasz z europejskimi dziewczynami.

– Bez gadania o pracy – powtórzył chłodno Sifakis.

– *Negen*? – zdziwił się Söderstedt. – Jesteś pewny tego *negen*?

– Czyli nikt nie chce jeść? – westchnęła Laima Balodis.

– Jakie są właściwie holenderskie potrawy? – spytała pani Navarro nienagannym angielskim.

– No chyba tak – stwierdził Sifakis. – *Zeven, acht, negen, tien*. Zgadza się.

– *Zeven*? – zdziwił się Arto Söderstedt.

– Daj spokój – poprosiła Anja Söderstedt.

– Według mnie powinnaś spróbować *stamppot* i *rookworst*. To purée ziemniaczane i kiełbaska na gorąco. Tu na północy lepiej nie będzie.

– *Rookworst* to naprawdę pyszna kiełbasa – zapewniła Balodis. – Chyba ją wezmę. Z *wortel stamppot*.

– *Wortel*? – zdziwił się Söderstedt i skrzywił się paskudnie, jakby ktoś go kopnął w goleń.

– To purée ziemniaczane z dodatkiem marchewki – wyjaśniła Balodis. – Zaskakująco dobre. Ale jestem przecież z jednego z państw z dawnego bloku wschodniego.

– Odkąd mój mąż przyjechał do Hagi, jada tylko w hiszpańskich restauracjach – wyjawiała pani Navarro. – On wam za bardzo nie pomoże.

Felipe Navarro poprawił krawat i zmarszczył czoło.

– Wygląda na to, że wciągnął sporo piwa trapistów – zauważył Chavez.

– Zaprzecza swoim łacińskim korzeniom i wyobraża sobie, że jest Gotem – odezwał się Tebaldi. –

Więc nie ma problemów z tym, by łączyć paellę z Chimay. *Cross-kitchen* w najgorszym wydaniu.

– Mówiłem tylko, że mam gockie korzenie – oświadczył z nadąsaną miną Navarro – i gorzko tego

żałuję. Nie mówcie Fabio o niczym. Prędzej czy później to do was wróci i ugryzie was w tyłek.

– W gocki tyłek – powiedział Chavez. – Ja sam uwielbiam *curanto en hoyo* ze szwedzkim sznapssem.

Najlepiej ze Skåne Akvavit.

– Tego naprawdę powinnaś spróbować – ciągnął Tebaldi, spoglądając na panią Navarro. –

Przepraszam, niedosłyszałem. Jak masz na imię?

– Nic mu nie zdradzaj – mruknął Navarro i zerknął szybko na dwóch napakowanych ochroniarzy

stojących na warcie przy stole.

– Felipa – odparła pani Navarro. – Felipa Navarro.

– O jak słodko – zawołała Anja Söderstedt. – Felipe i Felipa.

Tebaldi przyglądał jej się przez chwilę, całkowicie neutralnie, a potem mówił:

– Tak naprawdę, Felipo, powinnaś spróbować *haringa*.

– Nie słuchaj go – burknął Navarro. – On jest chory.

– *Haringa?* – spytała z zainteresowaniem Felipa Navarro.

– Surowa ryba – wyjaśnił Tebaldi. – Łapie się ją za płetwę ogonową, odchyła do tyłu głowę, to znaczy

swoją, nie jej, i powoli wsuwa całą rybę do ust. Podają ją z surową cebulą.

– Uch! – wzdrygnęła się Felipa Navarro.

– Przecież ci mówiłem, że jest chory – rzucił jej mąż. – Sama jesteś sobie winna.

– O wiele smaczniejsze niż *criadillas* – zapewnił nonszalancko Tebaldi.

– Czyli mam rozumieć, że nikt nie chce jeść? – znów spróbowała Laima Balodis.

– Arto i Anja chyba też brzmi słodko – odezwał się Söderstedt.

– Nie za bardzo – odparła szczerze jego żona.

– *Criadillas?* – zainteresował się Sifakis.

– To taka hiszpańska specjalność, przy której *haring* wydaje się całkiem cywilizowany – wyjaśnił

Tebaldi. – Bycze jądra.

– I to mówi obywatel kraju, który wprowadził do jadłospisu *trippa* – odciął się Navarro. – Zwłaszcza

trippa verde to pikantna rzecz. Flaki z oryginalną zawartością. I oryginalnym smrodem.

– Mimo wszystko nic nie pobije kiszzonego śledzia – odezwał się Chavez – więc równie dobrze

możemy przerwać tę stymulującą dyskusję i coś zamówić.

W tej krótkiej chwili niespodziewanej ciszy, jaka zapadła, gdy próbowali nawiązać kontakt z niezbyt

kontaktowym personelem, po raz pierwszy głos zabrał pan Potorac. Trudno chyba pogodzić tego

nieśmiałego, refleksyjnego mężczyznę z jego żoną – kobietą o dość twardym charakterze. A może jednak

wcale nie? – pomyślał Chavez refleksyjnie.

– Przepraszam, że pytam – odezwał się pan Potorac – ale jako obywatel jednej z nowych demokracji zastanawiam się, co właściwie miało znaczyć, że sprawdzicie, jak tam wygląda lojalność. Oczywiście, o ile nie jest to objęte tajemnicą.

– Wszystko, czym się zajmujemy, jest objęte tajemnicą – rzuciła ostro jego żona.

– Powiedzmy tylko, że chodzi o jedną z małych nowych demokracji – powiedział Sifakis. – W takim wypadku możemy o tym mówić.

– Tylko cicho – szepnął Söderstedt.

– Policja w tym kraju otrzymała zadanie namierzenia komputera związanego z mafią, który, jak się wydaje, znajduje się w dzielnicy rządowej – ciągnął Sifakis. – To na pewno będzie dobry test lojalności.

– Krótko mówiąc – rzucił Tebaldi – krajowa policja albo nam pomoże, albo nas wykiwa.

– I zobaczymy, czy będziemy tam musieli wysłać ludzi – dodał Sifakis.

– Jeśli tak, domyślam się, kto to będzie – mruknęła Balodis.

– W sumie to niezły test, czy cała ta europejska współpraca ma jakąś przyszłość – zauważył Navarro. – Niech mnie diabli, nie tak łatwo sprawić, by wszystkie te dziwne kultury zaczęły myśleć w sposób, który wykracza ponad ich własne wąskie granice.

– Wystarczy pomyśleć o *haringu*, kiszonym śledziu i *criadilla*, które pływają w garnku z *trippa verde* – stwierdził Söderstedt. – Wspaniały paneuropejski koktajl.

– Naprawdę chciałam coś zjeść – rzuciła z niesmakiem Balodis i odłożyła menu.

– I teraz masz szansę – powiedział Tebaldi. – Możesz mi wierzyć lub nie. Kelner przyszedł. Ja poproszę Orval i *stampot z rookworst*.

Wtedy zadzwoniła komórka. Upłynęła dłuższa chwila, nim Arto Söderstedt, jak zwykle jako ostatni, pojął, że to jego telefon. Wygrzebał go z najgłębszych zakamarków płaszcza, potem odnalazł nowe okulary do czytania, nasadził je na czubek nosa, przeczytał tekst na wyświetlaczu i stwierdził:

– To Jutta.

– No właśnie, gdzie ona się zgubiła? – spytał Navarro. – Nie miała iść z nami?

– Człowiek jakby nie zauważa, że jej nie ma – stwierdził Tebaldi.

– Miała kilka prywatnych rozmów do załatwienia – odparł Sifakis. – Mówiła, że dojdzie później.

– Prywatnych rozmów z biura? – zdziwiła się Potorac. – Hm...

Söderstedt odebrał. Powiedział tylko jedno, jedyne słowo:

– Coleman. C-o-l-e-m-a-n.

Gdy się rozłączył, jego niemal niewidoczne brwi były bardzo zmarszczone.

Jutta Beyer odłożyła komórkę, zapisała siedem liter na komputerze i mruknęła do siebie na głos:

– Tak to było. Mark Payne i David Coleman.

Przeczytała całą swoją wiadomość na czacie do niejakiego Anthony'ego L. Robbinsa, który miał stanowisko Chief Superintendent. Musiała to zrobić przed wysłaniem. Chciała, by ton był idealnie

wyważony.

„Miło widzieć, że ty też masz nocną zmianę, Tony. Po imprezie zawsze przychodzi zwykły dzień. Nawet po naszej imprezie. :-) Mam nadzieję, że u żony i dzieci wszystko dobrze. Krótkie pytanie. Co możesz mi powiedzieć o Marku Paynie i Davidzie Colemanie? Jechali wozem w eskorcie i przypadkiem zabili niezidentyfikowanego Azjatę – drugiego kwietnia podczas London Summit”.

Jutta Beyer nie była do końca pewna, czy ton jest właściwy. Przeczytała wiadomość jeszcze raz. Jej usta poruszały się lekko w niebieskawej poświacie komputera, jedynym źródle światła w opustoszałym biurze. Przypomniła sobie, jak ruszyła za resztą aż do drzwi, a wtedy nagle przyszło jej to do głowy. Wróciła więc do ciemnego budynku Europolu po kilku szybkich kłamstwach, którymi usprawiedliwiła się przed Angelosem Sifakisem.

To było to. To, co jej przyszło do głowy.

Zajrzeć pod każdy kamień. Albo coś w tym stylu.

No cóż, ton. Właściwy ton. Tony Robbins był stosunkowo młodym funkcjonariuszem policji, którego poznała na konferencji i który wpadł jej w oko. W sposób, który nie jest zbyt trwały i mija po kilku godzinach. Natychmiast zdała sobie z tego sprawę. I natychmiast poznała, że to żonaty mężczyzna. Niestety, ciągnęło ją do żonatych. I nigdy wcześniej tego nie wykorzystwała.

Nigdy.

Nie chciała, żeby to brzmiało jak groźba, mimo to w tekście miało pobrzmiewać niewypowiedziane ostrzeżenie, przypomnienie Robbinsowi, że ma coś do stracenia. Doszła do wniosku, że ton jest taki jak trzeba i, czując się trochę nieswojo, wysłała wiadomość. Odpisał szybko.

„Zakładam, że nie chodzi o formalne pytanie od Europolu, Jutto?”.

No właśnie, à propos tonu. Co to był za ton? Poirytowany? A może był zupełnie normalny? Może on chce tylko delikatnie pokazać, kto tu rządzi? To było niejasne. Odpisała najbardziej pojednawczo, jak umiała:

„Zupełnie nieformalne. Nie musisz odpowiadać. Ale byłabym ci bardzo wdzięczna”.

„Jak widzę, wysyłaliśmy kompletny raport na temat tego incydentu do kogoś z Europolu o nazwisku Sadestatt”.

„To mój kolega, Arto Söderstedt. Chcę tylko wszystko dokładnie sprawdzić. *No worries*”.

„No dobra. Spokojny dziś wieczór. Przyjrzę się bliżej tej sprawie i niedługo się odezwę”.

„Dzięki, Tony. Ta noc w Koblencji zajmuje szczególne miejsce w moim sercu”.

„Na pewno chodzi ci o serce, *darling*? ;-)”.

Potem odszedł od komputera.

Nie, pomyślała Jutta Beyer. Nie w sercu. Właściwie nigdzie. O nocy w Koblencji zapomniała jeszcze szybciej niż o innych swoich *one-night stands*. Robbins był kochankiem gruboskórnym i samolubnym, a ona jeszcze bardziej niż zwykle uciekała w marzenia o prawdziwej, wielkiej, zmieniającej życie miłości, której zawsze niemal świadomie szukała w niewłaściwym miejscu, jakby się bała, że naprawdę

ją spotka. Ale akurat ten *stand* pracował we właściwym miejscu. Uderzyło ją to dokładnie w chwili, gdy zimne krople deszczu nagle dotknęły jej czoła. Zimny prysznic. Zawróciła w drzwiach i teraz siedziała tutaj. Przed nią długa noc, gdy Robbins będzie przeszukiwał setki plików związanych z Operacją Glencoe. Nastawiła się na czekanie.

Jednak gdy Jutta Beyer pograżyła się w autorefleksjach, które dość rzadko ją nachodziły, i próbowała przeanalizować swój lęk przed miłością, która mogłaby się jej naprawdę przytrafić, zadzwonił telefon. Czekać nie będzie. Nie rozpoznała numeru. Założyła po prostu, że to Robbins, tym razem równie szybki jak w hotelowym łóżku w Koblencji.

Ale to nie był on.

To był Marek Kowalewski. Minęła chwila, nim go poznała. Jego głos brzmiał zupełnie inaczej niż zwykle.

– Jutta? – syknął. – Potrzebuję szybko informacji o niejakim Radosławie Trzecińskim ze Swoszowic w południowym Krakowie.

Jutta Beyer zaczęła szukać, zanim spytała:

– Co się dzieje? Znalazłeś Marę?

– To długa historia – szepnął Kowalewski. – Chcę tylko wiedzieć, czy ten gość jest w kartotece.

– Jesteś gliną od papierkowej roboty, Marek. Nie zrób nic głupiego.

– Skończyłaś już?

– Potrzebujesz adresu i danych osobowych? Mam je. Nie ma to jak wyszukiwanie w kartotece.

– Dane osobowe są bez znaczenia. No dalej, zaraz muszę kończyć.

Mózg Juty Beyer analizował skąpe informacje znacznie szybciej niż komputer. Siedzi jak na szpilkach, szepcze, śpieszy się, cel jest poza domem. Czyli Kowalewski zamierza gdzieś wejść i móc zrzucić winę na wpis w kartotece. To na pewno nie jakieś publiczne miejsce, żadna restauracja ani bar. Zakrada się na klatkę schodową. W najlepszym wypadku ten Radosław jest u jakiejś dziewczyny, w najgorszym w jakiejś norze ćpunów uzbrojonych w pistolety maszynowe.

Wtedy wyskoczyło coś nowego.

– Radosław Trzeciński – przeczytała. – Trzy pobicia kobiet, mnóstwo kradzieży, najróżniejsze oszustwa, nawet defraudacja.

– Nie ma tam nic o broni? – syknął Kowalewski.

– Nic nie widzę – odparła Beyer. – Ale to nie znaczy, że on nie...

Urwała, bo zdała sobie sprawę, że nikt jej nie słucha.

Marek Kowalewski wycofał się w głąb pomieszczenia gospodarczego na piętrze pod mieszkaniem, do którego wszedł śledzony przez niego Trzeciński. Trzeciński wyszedł z domu, ruszył prosto do samochodu i jechał przez coraz mniej zabudowaną okolicę, aż w końcu dotarł do tego niemal klasycznego wschodnioeuropejskiego bloku. Kowalewski świetnie znał ten typ budynku. Sam wychował się w podobnym, przesyconym socjalistyczną prawomyślnością oraz czystą, żywą nudą. Ta potworna nuda

rozciągała się na wszystkie jego wspomnienia. Zapraǳnął poprawić sobie humor i stąd wyjść. Tyle że teraz to było trudne.

Drzwi na klatkę się zatrzasnęły i obok pomieszczenia gospodarczego ktoś przeszedł, nie zastanawiając się najwyraźniej nad tym, że drzwi są uchylone. Prędeziej czy później jakiś lokator zechce to sprawdzić. Dlatego on musi działać. Już.

Nie mógł się jednak na to zdobyć. Pomyślał o swojej prostej zasadzie: że przestępca, którego dorwie Marek Kowalewski, nie ma prawa mu się wymknąć. Tyle tylko, że to było przy komputerze, a jego szczególna zdolność polegała na zbieraniu informacji i tworzeniu na ich podstawie szerszego obrazu. Przypomniiał sobie mdłości, które poczuł, gdy zobaczył zdjęcia z dowodami brutalnej przemocy przeglądane przez Lavinie Potorac. Zdał sobie sprawę, jak daleko odszedł od przestępstw tego typu. A jednak był teraz tutaj, na śmierdzącej klatce schodowej, a po drugiej stronie drzwi czekał wielokrotnie skazany przestępca, o którym gównu wiedział. Musiał na chwilę zdać się na swoje szczególne zdolności, by wytworzyć sobie choćby iluzję szerszego obrazu sytuacji.

Odnalazł Marę. Poszło bardzo łatwo. Policyjna robota bez komputera miała mimo wszystko parę zalet. W hotelu sprzątaczką rozpoznała Marę na podstawie portretu pamięciowego. Chodziły kiedyś po prostu do jednej klasy i przez chwilę Marek czuł się bardzo zadowolony ze swojej pamięci. Naprawdę udało mu się porządnie zrekonstruować tak przelotną znajomość. Poza tym wcale nie miała na imię Mara, tylko Wisława, Wisława Zawadzka. Pracowała jako kelnerka i mieszkała u rodziców w centrum Krakowa. Znalazł ją w kawiarni i wydawała się przestraszona. Na jakąś sekundę powróciło jego zainteresowanie: kim właściwie była? Dlaczego, spotykając się z mężczyznami, używała pseudonimu? Co kierowało nią w życiu? Zaraz jednak przypomniał sobie o swoim zadaniu. Ona natomiast miała trudności z tym, by sobie przypomnieć, nie pamiętała nawet, że był policjantem i w ogóle miała bardzo niejasne wspomnienia tamtej nocy z hotelu. Jednak teraz, gdy już ją dorwał, nie poddawał się. W końcu przypomniała sobie, że wspomniiała o tym koleżance, która studiuje na uniwersytecie. W Krakowie było jeszcze widno. Kowalewski skrzętnie zebrał informacje i doszedł do wniosku, że w chwili obecnej ta koleżanka siedzi na uczelni na wykładzie z gender studies. Za pomocą starego zdjęcia, które Mara wcisnęła mu, by się go pozbyć – najwyraźniej nie lubiła powracać do przeszłości – udało mu się w tłumie wychodzących studentek namierzyć tę koleżankę. Zaprosił ją na lunch, bo wydawała się strasznie głodna, a ona z wdzięcznością przyjęła propozycję. Bez problemu przypomniała sobie, komu opowiadała o „jednostce operacyjnej Europolu”. Gdy wyzywającym tonem, z mieszaniną młodzieńczego buntu i dumy z bycia kobietą wyzwoloną, opowiadała mu o swojej „cudownej kochance Anieli”, Kowalewski przyłapał się na tym, że zastanawia się nad siecią. Nad tym, jak kontakty międzyludzkie rozprzestrzeniają się na całą kulę ziemską. Jak nasza potrzeba, by być dostrzeganymi, kochanymi, zaangażowanymi i docenianymi, zmienia wspólnotę ludzką w gigantyczną, zupełnie nieprzejrzystą sieć mniej czy bardziej wypaczonych informacji.

Głuchy telefon.

Najdziwniejsze było jednak to, że w obecnym głuchym telefonie informacja nigdy nie uległa wypaczeniu. Również ta młoda kobieta, która z buntowniczym błyskiem w oku opisywała właśnie różowiotkie sutki Anieli, przekazała swojej kochance słowo w słowo sformułowanie „jednostka operacyjna Europolu”.

– Ale dlaczego? – wyrwało mu się, gdy siedzieli w stołówce uniwersyteckiej.

Miał się potem długo zastanawiać nad tym, skąd mu to pytanie przyszło do głowy. Nie miało przecież nic wspólnego z informacjami, których szukał.

– Bo niedługo będziemy obserwowani ze wszystkich stron – odparła koleżanka Mary, wylizując do czysta talerz. – Bo kobiety podbijają świat, a mężczyźni srają ze strachu.

Aniela nie była ani trochę cudowna i nie była ani trochę lesbijką. Gdy zapadał kwietniowy zmierzch, odnalazł ją w bloku na przedmieściach w towarzystwie czwórki małych dzieci, które prześcigały się w tym, które się bardziej ubrudzi. Jej mąż ponoć wyszedł „chlać”, zaś ona wychodziła z domu tylko na kilka godzin w tygodniu. Wtedy „korzystała z życia na maksa”, koniec cytatu. I choć pamiętała tylko, że chodziło o jakąś „dziwną studentkę, która płaciła za seks”, to akurat informację o Europolu zapamiętała dokładnie. Aniela preferowała mężczyzn, bogatych mężczyzn. Ponieważ nie miała do takowych dostępu, z reguły zadawała się z przestępcami, którzy chętnie sypali gotówką. Strasznie jurny, elegancki drobny złodziej z wąsikami, Radosław Trzciniński, tak długo głądził jej o glinach, że zapragnęła się trochę wykazać, choćby po to, by „wreszcie się zamknął i mnie przerznął”.

Z tego powodu Marek Kowalewski kulił się teraz w pomieszczeniu gospodarczym w Swoszowicach. Niezbadane są ścieżki Pana, pomyślał i ruszył.

Nazwisko na drzwiach było kompletnie nieczytelne. Nie dało się rozszyfrować ani jednej litery. Z drugiej strony, to mu dostarczyło sporo informacji i zanim zebrał siły w wytrenowanej od jazdy na rowerze prawej nodze, odczekał, aż w głowie ułoży mu się wszystko, co wiedział o Radosławie Trzcinińskim. Strasznie jurny, głądzi o glinach, pobicia kobiet, kradzieże, oszustwa, defraudacje, nieczytelna tabliczka z nazwiskiem. Ryzyko do przyjęcia?

No dobra, pomyślał, wyjął niedawno otrzymaną broń, odbezpieczył ją i kopnął w drzwi.

W środku działała fabryka. Trzech mężczyzn stojących przy maszynach spojrzało na niego ze zdumieniem. Jeden z nich miał wąsy jak Lech Wałęsa i bez wątpienia był Radosławem Trzcinińskim.

Na krzesłach przy stole zastawionym butelkami z piwem wisiały aż trzy pasy na broń wraz z zawartością. Wszyscy czterej obecni spoglądali na przemian na kabury i na siebie nawzajem. Mężczyzn dzieliły od stołu najwyżej dwa metry. Kowalewski zmusił się, by wrzasnąć, nim będzie na to za późno.

– Policja! Ręce do góry!

Trzech mężczyzn bez przekonania uniosło ręce. Jedna z maszyn dalej wypluwała fałszywe karty kredytowe, które spadały na podłogę. Marek Kowalewski zadawał sobie pytanie, co, u diabła, ma teraz począć.

– Na ziemię i patrzeć w podłogę! – ryknął.

Gdy leżeli, drżącą ręką wyjął komórkę. Był do tego stopnia nieprzygotowany, że nie miał nawet numeru krakowskiej policji. Prawda była taka, że w ogóle się nie przygotował.

Informacja, pomyślał ponuro, i zadzwonił pod ostatnio wybierany numer.

Wcale nie minęło aż tak dużo czasu, odkąd Jutta Beyer wysłała wiadomość na czacie, i być może Tony Robbins miał inną robotę, ale przeciągające się milczenie wydało jej się tak dziwne, że natychmiast uznała, że to on dzwoni.

– Tak, Tony? – powiedziała.

– Dopilnuj, żeby krakowska policja natychmiast przysłała tu patrol – rzucił Marek Kowalewski i podał jej adres, który Jutta zdążyła zapisać w komputerze, jeszcze zanim dotarło do niej, z kim rozmawia.

W końcu spytała:

– Marek, co się stało?

– Siedzę tutaj z całą pieprzoną szajką fałszerzy – parsknął Kowalewski. – Trzech uzbrojonych mężczyzn.

– Nic ci nie jest?

– Na razie. Dzwoni już. Pośpiesz się.

Rozłączył się. W chwili gdy zaczęła dzwonić, na czacie pojawiła się wiadomość z Londynu. Z całych sił skupiła się na tym, by ją zignorować i spróbowała pogonić krakowską policję. Gdy w końcu była przekonana, że naprawdę się pośpieszą, i równocześnie zadawała sobie pytanie, czy nie powinna zadzwonić do Marka i dodać mu trochę otuchy, zerknęła na czat.

Wiadomość była krótka i dobitna.

„Cywilny wóz policyjny z Markiem Payne’em i Davidem Colemanem wchodził w skład eskorty. Żadnych dodatkowych informacji”.

Jutta Beyer spojrzała na wiadomość, westchnęła i odpisała.

„Nie o to cię pytałam, Tony. Co możesz mi powiedzieć o Marku Paynie i Davidzie Colemanie?”.

„Właśnie wpadła mi robota. Odezwę się później. Tony”.

Koniec, kropka. Beyer pokręciła głową i oparła się wygodnie na krześle. Czy w opustoszałym biurze naprawdę zrobiło się zimniej? A może to zimno pochodziło od wewnątrz? Dokładnie przeczytała wszystkie wiadomości. Potem porównała je z wcześniejszymi. Siedziała tak przez dłuższą chwilę, aż nagle usłyszała dźwięk, coraz głośniejszy i przechodzący w impulsy elektryczne gdzieś w jej głowie. W samym ośrodku wyrzutów sumienia w jej mózgu.

– Marek! – zawołała, tonem zupełnie innym niż ten, którym zwykle z nim rozmawiała. Najwyraźniej jednak był odporny na nagłe przejawy czułości. Rzucił tylko:

– Dzięki.

– Dzięki?

– Policja tu jest, wszystko pod kontrolą. Dzięki, że tak szybko się z tym uwinęłaś.

– Wspaniale – odparła szczerze Jutta Beyer. – Dobrze poszło?

– Tak sobie – odparł Kowalewski. – Krakowska policja bardzo się ucieszyła i równocześnie zakwestionowała moje uprawnienia. Działiałem przecież incognito. W tej chwili jestem kimś w rodzaju wątpliwego bohatera. Muszę się stąd zwijać do Nowego Jorku. Natychmiast. Możesz to załatwić z szefem? Według policji mam samolot za jakąś godzinę. Chcą się mnie pozbyć i sami zgarnąć laury. To mi świetnie pasuje. I nam też.

– Do Nowego Jorku? – spytała Beyer. – O czym ty mówisz, do diabła?

– Radosław Trzeciński z niejasnych powodów przeleciał jakąś amerykańską turystkę i opowiedział jej o „jednostce operacyjnej Europolu”. Ona mieszka podobno w Williamsburgu na Brooklynie. Mam jej nazwisko. Sprawdź ją dla mnie. Hannah Rowlins. Potrzebuję jak najwięcej danych. Muszę gnać na lotnisko. Daj mi znać, kiedy załatwisz zgodę. I pośpiesz się z tym.

A potem się rozłączył. On też. Jutta Beyer poczuła się opuszczona. Ale tylko na krótką chwilę. Zadzwoiła do szefa.

– Hjelm – odebrał burkliwie.

– Tu Beyer. Możesz rozmawiać?

– Jeśli mi wargi nie zamarzną.

– Sprawdzasz Zhang Sanga?

– Bystra z ciebie kobieta. Tyle że uparli się, by nazywać go John Doe.

– Kowalewski chce, żebyś natychmiast dał mu zgodę na lot z Krakowa do Nowego Jorku.

– Nie zamierzam wydawać z siebie żadnych okrzyków będących wyrazem konsternacji politycznej.

Mów dalej.

– Chodzi o ten trop z Marą. Wygląda na to, że sprawa przeskoczyła na drugą stronę Atlantyku. Do niejakiej Hannah Rowlins w Williamsburgu.

– A co ty o tym myślisz?

– Pytasz mnie?

– No, powiedz.

– Przepraszam. Myślę, że Markowi naprawdę może się udać. Pozwól mu pójść tym tropem.

– Dobra – stwierdził Hjelm. – Powiedz mu, że ma zgodę. Słyszę, że chyba coś jeszcze leży ci na sercu...?

– Bystry z ciebie facet – rzuciła Jutta Beyer i natychmiast tego pożałowała.

W ciemności nikt nie widzi jak się rumienisz, pomyślała.

– Mów dalej.

– Mógłbyś sprawdzić niejakiego Anthony’ego L. Robbinsa? Chief Superintendent. Dziś wieczorem siedzi w budynku New Scotland Yard. Ma nocną zmianę.

– Jak to: „sprawdzić”?

– W sumie nie wiem – przyznała Beyer. – To mój... dawny znajomy. Przed chwilą miałam z nim kontakt na czacie i zaczął się dziwnie zachowywać, gdy zapytałam go o ten wóz z eskorty, który

przejechał Zhang Sanga.

– Co to znaczy „dziwnie się zachowywać”?

– Gadaliśmy na czacie. Kiedy wrócił, zaczął pisać zupełnie inaczej. Strasznie lakonicznie.

– Może jakiś przełożony pacnął go po łapach?

– W pierwszej chwili też tak pomyślałam.

– Ale...?

– No nie wiem, miałam wrażenie, jakby potem pisał ktoś inny...

– Hm – mruknął Hjelm. – Oddzwonię.

– Dzięki – odparła Jutta Beyer, oparła się wygodniej, uśmiechnęła słabo w niebieskawej poświacie monitora i pomyślała: bystra ze mnie kobieta.

Bystra z siebie kobieta, pomyślał Paul Hjelm, znów spoglądając w piwne oczy doktor Hazel Mallory.

– Nie Chińczyk? – spytał.

Kobieta w białym fartuchu spojrzała na lodowate zniekształcone zwłoki i powoli pokręciła głową.

– Mogę się całkowicie mylić – stwierdziła.

– Niemniej ta refleksja się na czymś opiera – zauważył Paul Hjelm.

– Widuję wiele ciał, Londyn jest miastem wielokulturowym. Pewnie, że może być Chińczykiem.

Oczywiście, że może nim być. Nawet pewnie nim jest. To znaczy obywatelem Chin.

– Ale?

– Odcień skóry trochę zbyt ciemny. Rysy twarzy, no cóż, trochę niechińskie. Ma trochę gęstsze włosy.

– Czyli co? Mongoł?

– Mongolia to przecież odrębny kraj – uśmiechnęła się doktor Hazel Mallory.

– A więc Tybet? – zapytał Hjelm, doznając nagłego olśnienia.

– Tak, według mnie wygląda na Tybetańczyka. W mojej dzielnicy, w Notting Hill, jest wspaniała tybetańska restauracja, a on bardziej przypomina mi ich niż Chińczyków.

– Ale dlaczego nie wspomniała pani o tym w raporcie?

– Wspomniałam przecież – odparła Mallory, z urażoną miną.

Paul Hjelm poczuł, że dość głupawo marszczy brwi.

– Nie ma pani przypadkiem kopii tego raportu? – spytał.

– Żyje pan przeszłością – uśmiechnęła się Hazel Mallory. – Nie ma kopii. Wszystko jest elektroniczne.

– W takim razie, czy moglibyśmy razem przejrzeć ten raport? O ile to nie za dużo fatygi?

– Nie musi się pan silić na uprzejmość. Rozumiem, że jest pan wysoko postawionym oficerem międzynarodowej policji. Europol, prawda?

Hjelm krótko kiwnął głową.

– Ale to nie dlatego pan tu przyszedł – zauważyła Mallory. – Chce pan więc, żebym przeprowadziła obdukcję? Dlaczego?

– Przede wszystkim interesuje mnie raport toksykologiczny – odparł Hjelm.

Mallory kiwnęła głową i spytała:

– Mam szukać jakichś konkretnych toksyn?

– Proszę sprawdzić, czy są jakieś ślady bromowanych opóźniaczy płomienia i związków perfluorowanych. Innych substancji też.

– Chyba mi się uda wcisnąć to w grafik za jakiś tydzień.

Hjelm uśmiechnął się słabo i powiedział:

– Potrzebuję tego trochę szybciej. Jak pani wspomniała, jestem wysoko postawionym oficerem międzynarodowej policji, z Europolu.

– Może z „jednostki operacyjnej Europolu”? – zapytała Mallory, posyłając mu niemal nieśmiałe spojrzenie.

– Naprawdę jest pani bystrą kobietą – stwierdził Hjelm. – Może nawet trochę za bystrą. Z tego, co rozumiem, Commander Andrew Crowley zobowiązał panią do absolutnego milczenia. Mylę się?

Doktor Hazel Mallory na chwilę przymknęła oczy. Gdy znów je otworzyła, jej spojrzenie było niemal błagalne.

– Czy mogłaby pani umieścić tę obdukcję na pierwszym miejscu w grafiku? – spytał niewinnie Hjelm.

Mallory potulnie kiwnęła głową. Paul Hjelm pomyślał o polityce i dotarło do niego, że zaczyna być zmęczony odczuwaniem wstrętu do samego siebie. Istniało ryzyko, że to pierwszy krok ku temu, by się uodpornić. Naprawdę się uodpornić.

– Mogłaby pani pokazać mi też drugie zwłoki? – zapytał.

Mallory wysunęła kolejną metalową szufladę. Głowy Zhang Sanga i Jane Doe ułożone były w taki sposób, jakby na siebie patrzyli. Jakby ich spojrzenia na chwilę się spotkały, choć powieki mieli zamknięte. Jakby coś rozgrywało się między tymi niezidentyfikowanymi zwłokami. Zupełnie jakby spoglądali sobie w oczy dokładnie w chwili, gdy życie opuszcza ciało.

Hjelm i Mallory spoglądali na Jane Doe. Przyklejone prześcieradło zniknęło. Ręce zostały wyprostowane. Potwornie napuchnięta twarz wyglądała niemal spokojnie. Niemal.

Paul Hjelm dotknął jej twarzy. Ten dziwny chłód. Dotknął również pokiereszowanej twarzy Zhang Sanga. Stał tak, dotykając policzków obojga zmarłych i czuł coś, co wykraczało poza wszelką politykę, poza całą próżność tego świata.

Kim byliście? Co zrobiłaś, Jane Doe, by zasłużyć sobie na tak potworne traktowanie? Dlaczego zmiądzono każdą kość w twoim ciele, Zhang Sang?

Wokół nich wszystko zamarło. Paulowi wydawało się, że wyczuwa dwa przebłąski resztek woli. Woli, która była tak silna i zniosła tak wiele, że rzuciła nawet wyzwanie śmierci i w jakiś sposób wciąż żyła. W tej chwili Paul Hjelm obiecał sobie święcie, że opowie ich historię. Historię obojga. Bez względu na to, ile to będzie kosztować.

Nie wiedział, jak długo tak stał, lecz gdy w końcu napotkał spojrzenie Hazel Mallory, było ono zupełnie inne. Jakby w jakiś sposób zrozumiała jego intencje.

Powoli wsunęła metalowe szuflady i powiedziała, odwrócona do niego plecami:

– Proszę mi obiecać, że się pan nimi zajmie.

– Pani też? – spytał Hjelm, z krzywym uśmiechem.

Gdy Mallory się odwróciła, na jej twarzy widać było taki sam uśmiech.

– No to zajrzemy teraz do komputera? – spytała.

Hjelm kiwnął głową i opuścili chłodnię. Biuro Mallory było niezbyt imponujące, ale komputer wyglądał na bardzo szybki. Kliknęła kilka razy i dotarła do Johna Doe.

– Musimy przestać nazywać go Zhang Sangiem – oświadczył Hjelm.

Nie zwracając na niego uwagi, Mallory powiększyła tekst, tak by rozmiar czcionki był odpowiedni dla słabnącego wzroku wysoko postawionego oficera policji w średnim wieku. Przyglądał jej się, gdy po cichu czytała. Wyjątkowa kobieta.

W pewnej chwili się zatrzymała. Przewinęła tekst trochę w górę i w dół. Przeczytała jeszcze raz. Pokręciła głową.

– *Motherfucker* – mruknęła zaskoczona.

– Co się stało? – spytał Hjelm.

– Nie ma tego. To zdanie zniknęło.

– Zniknęło? I nie ma pani oryginału?

– To jest oryginał. Niełatwo wprowadzić w nim zmiany.

– Nie chciałbym obrazić pani inteligencji, ale czy nie może być tak, że sama pani to wykasowała przed wysłaniem dokumentu?

Mallory pokręciła tylko głową i wskazała na tekst.

– To było tu. Dość banalnie sformułowane: „Wspomniane azjatyckie pochodzenie odnosi się raczej do rejonu Himalajów niż Morza Południowochińskiego i jest prawdopodobnie tybetańskie”.

– Dokładnie tak czy mniej więcej?

– Teraz obraża pan moją inteligencję.

Paul Hjelm roześmiał się głośno i podziękował jej serdecznym uściskiem ręki i głębokim spojrzeniem w jej piwne oczy. Gdy stamtąd wyszedł, wyjął komórkę i wybrał numer. Usłyszał zza pleców:

– Proszę pozdrowić Ralphiego.

Roześmiał się i odwrócił. Już jej tam nie było. Z telefonu dobiegł go oschły głos:

– Dryden.

– Zadbaj o tę kobietę, Ralph – powiedział Hjelm.

– Nie mam zielonego pojęcia, o czym mówisz.

– O doktor Hazel Mallory, oczywiście.

Zapadło dokładnie takie milczenie, jakiego Hjelm się spodziewał. Uśmiechnął się pod nosem i ciągnął:

– Ale nie będziemy teraz gadać o uczuciach, które wypierasz, Ralph. Jak wam idzie?

– Jest piątek wieczorem – odparł Dryden nadąsanym tonem. – Chcę iść do pubu.

– A zamiast tego namierzysz jednego z twoich przełożonych. Chcę żebyś wziął ze sobą jedną z pań i odwiedził niejakiego Antony’ego L. Robbinsa. Sprawdź, czy jest na miejscu. Jak będziecie w drodze, zadzwoń do mnie po dalsze instrukcje.

– No to wreszcie wiemy, kto jest szefem – mruknął Dryden i się rozłączył.

Hjelm przez chwilę spoglądał z rozbawieniem na swoją komórkę, potem wybrał kolejny numer i powiedział:

– Cześć, kochanie.

– O, halo! – w głosie słychać było miłe zaskoczenie. – co tam w Londynie?

– Jedna wielka piątkowa impreza. Właśnie o tobie myślałem.

– No, proszę. Dlaczego?

– Właśnie poznałem kobietę, która przypominała mi ciebie.

– Mam się czuć mile połączona czy zazdrosna? – spytała Kerstin Holm, wieszając na ścianie w swoim pokoju zdjęcie martwego Zhang Sanga. I niniejszym uznała, że teraz ma całkiem niezły przegląd wszystkich aspektów tych spraw. Równocześnie zdała sobie sprawę, jak bardzo oszukuje samą siebie. Siedziała na peryferiach, nie w centrum, i pozostawało pytanie, czy kiedykolwiek się do tego przyzwyczai.

– Właśnie oglądałem nasze zwłoki – powiedział Paul Hjelm. – Cholera, jak strasznie bym chciał to rozwiązać. Jestem policjantem, nie politykiem.

Kerstin Holm spojrzała ze zdziwieniem na twarze obojga zmarłych na zdjęciach wiszących obok siebie na ścianie i odparła:

– Mam nadzieję, że to nie Jane mnie przypominała.

Usłyszała śmiech Paula i wtedy poczuła, jak strasznie za nim tęskni.

– Bałem się, że będziesz w trakcie przesłuchania – powiedział.

– Chwilowa przerwa – wyjaśniła Kerstin Holm. – Zaraz tam wracamy. Sara musiała biec do kibla. Ale myślę, że następna runda będzie naprawdę ciekawa. Prawie go mamy.

– *Too much information* – powiedział Hjelm. – Powodzenia. Tak wiele zależy od tego urządzenia szyfrującego.

– Jak to miło, że jeszcze więcej wrzucasz mi na plecy.

– Takie rzeczy się przydają. Całusy. Kocham cię.

– Ja też cię kocham.

Kerstin Holm rozłączyła się i na chwilę przytuliła policzek do telefonu. Sara Svenhagen wpadła jak burza do jej pokoju. Trzy głębokie zadrapania na jej czole wciąż odcinały się czerwienią od skóry. Dokładnie o to jej chodziło. Carl-Henric Stiernmarck miał widzieć, co zrobił. Przez cały czas. Bez przerwy.

– Kto to jest Paula Radcliffe? – wybuchnęła Sara. – Ciągłe mnie to męczy.

– Miło, że myślisz o takich ważnych rzeczach, kiedy siedzisz na kiblu – zauważyła Kerstin Holm. – To jasnowłosa angielska biegaczka startująca w maratonach. Proste jak drut.

– A o czym ma człowiek myśleć, kiedy robi się o kilo lżejszy? – spytała Sara Svenhagen. – Jestem teraz lżejsza i gotowa na następną rundę.

– *Too much information* – uśmiechnęła się Kerstin Holm. – Naprawdę upierdliwy adwokat ten cały Lagerbrandt.

– Kiedy go widzę, myślę tylko o pożarach w magazynach. Nic na to nie poradzę.

– A obok niego przystojna gwiazdzista ziemia. Musi im być ciężko z takimi pseudoszlacheckimi nazwiskami.

– Tak, tak – mruknęła Sara Svenhagen. – A ja, to co? Pastwisko, po którym lata Sven? ¹

Wyszły na korytarz. Typowa korytarzowa rozmowa. Czysty nonsens. Po chwili dotarły do drzwi pokoju przesłuchań i wszystko, co pachniało nonsensem, się ulotniło.

– Gdy weszły, Stiernmarck i Lagerbrandt nagle umilkli. Mimo całej swojej rutyny panowie wyglądali wręcz tak, jakby przyłapano ich na gorącym uczynku. Zadbany wygląd Stiernmarcka był już tylko wspomnieniem. Na twarzy miał siniaki i brakowało mu dwóch przednich zębów u góry. Mówiąc, mocno seplenił.

– Zaczyna mi się robić niedobrze.

– My cały czas się tak czujemy – uśmiechnęła się słodko Kerstin Holm i usiadła.

– Mój klient ma prawo przerwać przesłuchanie z przyczyn zdrowotnych – wtrącił Anton Lagerbrandt, znany w mediach karnista noszący najdroższe garnitury, jakie Kerstin Holm w życiu widziała.

– Pański klient ma prawo do „podstawowych posiłków” i „koniecznego odpoczynku” – wyjaśniła Sara Svenhagen. – I już to dostał.

– O ile mnie pamięć nie myli, o ostatnią przerwę prosiła pani Svenhagen, która musiała udać się do toalety.

By dodać sobie animuszu, Sara Svenhagen na chwilę pozwoliła sobie na absurdalne myśli. Pomyślała o tym, jak wyglądałby pan Lagerbrandt bez dwóch przednich zębów u góry. Staro, stwierdziła. Wyglądałby na swój wiek. I młodo. Obaj panowie siedzący naprzeciw wyglądaliby jak siedmiolatki, którymi w rzeczywistości byli. Gdzie się podziali wszyscy dojrzały mężczyźni? Sama była żoną ośmiolatka i szczerze go kochała.

– Kontynuujmy – powiedziała Kerstin Holm. – Wróćmy do tego.

Znów położyła na stole plastikowy woreczek z małym urządzeniem szyfrującym. Wyglądało zupełnie jak pendrive.

– Jak wiadomo, to proste – ciągnęła. – Potrzebujemy hasła, które sprawi, że ten gadżet będzie działać. Udowodniliśmy, że ostatnio użyto go w domu kultury o godzinie piętnastej dwanaście, gdy wysłano zaszyfrowany mail z komputera w bibliotece na komputer związany z mafią znajdujący się w okolicach miasteczka Potenza w południowych Włoszech.

– I jak wiadomo, odpowiedź też jest prosta – odparował adwokat Lagerbrandt. – To prawda, we wspomnianym dniu pan Stiernmarck przebywał w domu kultury od piętnastej zero cztery do piętnastej szesnaście. Nie wysyłał jednak żadnych maili. Pora uwolnić mojego klienta. To, o czym pani mówi, do niczego nie prowadzi.

– Niemniej mamy dowody, że to za pomocą tego gadżetu, który znaleźliśmy w skrytce w podłodze pod biurkiem pana Stiernmarcka w jego domu w Hästhagen w Nacka, zaszyfrowano wspomniane maile. Nie należałoby nazwać tego poszlaką?

– Może i tak, lecz z pewnością nie dowodem – odparł Lagerbrandt nieco wymuszonym tonem.

– Wydaje mi się, że wszyscy tu obecni zdają sobie sprawę, jak będzie się na to zapatrywał sąd. Dlaczego go pan tam schował? I teraz proszę, żeby adwokat milczał i pozwolił zatrzymanemu odpowiedzieć na pytanie. Pan „pożar w magazynie” jest tu w charakterze świadka przesłuchania, nie w charakterze zatrzymanego. Przynajmniej tym razem.

– Jak mnie pani nazwała?

– A więc czy mogę, zgodnie z literą prawa, prosić pana Lagerbrandta, by zamilkł?

– Bez komentarza – powiedział Carl-Henric Stiernmarck i tym razem udało mu się przy tym nie seplenić.

– Wobec zarzutu poważnej napaści na urzędnika państwowego leży w interesie zatrzymanego, by odpowiedział na pytanie, zwłaszcza że z pewnością zostanie zamordowany przez włoską mafię, gdy tylko wypuścimy go na wolność. Przed posterunkiem zauważono już kilku podejrzanych mężczyzn, południowców, sądząc z wyglądu. Oczywiście nie mamy podstaw, by w jakikolwiek sposób interweniować. Dzięki naszemu rozwiniętemu praworządному społeczeństwu.

– Wyrażę się prościej – dodała Sara Svenhagen. – Jeśli nie powiesz, umrzesz.

– A jeżeli powiem – wtrącił Stiernmarck, wciąż nie sepleniąc – wtedy pójdę siedzieć.

Lagerbrandt położył prawą rękę na ramieniu Stiernmarcka i szepnął mu coś do ucha, zasłaniając usta lewą. Stiernmarck pokręcił głową. Ale milczał.

Kerstin Holm pochyliła się lekko nad stołem i powiedziała:

– Możemy się poddać i powiedzieć, że sytuacja jest beznadziejna. Na ‘Ndranghetę nikt nic nie poradzi. Wszyscy jesteśmy spaleni. Nie wiem, na przykład, jak ważny jest dla ciebie twój syn Johannes.

– A co Johannes ma z tym wspólnego? – wyseplenił Stiernmarck.

– Czyli łudzisz się, że oszczędzą twoją rodzinę?

– Co bym, u diabła, zyskał, gdybym coś wam powiedział? Co z tego będę miał ja i moja rodzina? Mam liczyć na to, że dwie szwedzkie policjantki uratują mnie przed piekłem na ziemi? Chyba rozumiecie, że milczenie to moja jedyna szansa!

Podczas całej tej tyrady Anton Lagerbrandt właściwie zawisł nad Stiernmarckiem. Mimo to go nie uciszył.

– Wydaje ci się, że uwierzą, że nic nie powiedziałaś? – spytała spokojnie Sara Svenhagen. – Że

puściliśmy cię, bo milczałeś jak grób? Jeśli cię teraz puścimy, a faktycznie się nad tym zastanawiamy, to myślisz, że na przykład mecenas Lagerbrandt podwiezie cię do domu?

Mecenas Lagerbrandt wytrzeszczył oczy i spojrzał dziwnie na obie policjantki.

– Właśnie, Anton, co na to powiesz? – spytała Kerstin Holm. – Chyba podrzucisz do domu Carla-Henrika?

– Jestem przekonany, że uda nam się rozwiązać problem transportu – odparł głucho Lagerbrandt.

– Trzech z czekających południowców mamy pod stałą obserwacją – podjęła Kerstin Holm. – Niewykluczone, że jakiś policjant szepcze im teraz do ucha, że Stiernmarck wszystko wygadał swojemu adwokatowi. Próbuję ich powstrzymać, ale oni aż się do tego palą. A potem wypuścimy was obu na tę waszą upragnioną wolność.

– Nie możecie grozić adwokatowi podczas przesłuchania! – wybuchnął Lagerbrandt.

– Nie mogłeś sobie wynająć mafijnego adwokata? – spytała Sara Svenhagen. – Ten tutaj trzęsie portkami ze strachu.

– Nie ma aż takich kontaktów – stwierdziła Kerstin Holm. – Wbili w niego szpony. Stiernmarck to tylko początek. Im szybciej zniknie, tym lepiej. Wtedy przejmą jego firmę. Już mają pięćdziesiąt trzy procent udziałów. Pieniądze z Kajmanów.

– A właśnie – powiedziała Svenhagen. – Nie pomyślałam o tym. Chciał przecież tylko, żeby pomogli mu pozbyć się toksyn. Bo legalna utylizacja stała się zbyt droga.

– Jak to właściwie było? – spytała Holm. – Skąd miałeś kontakt?

– Bez komentarza – odparł Stiernmarck łamiącym się głosem.

– Oczywiście to oni skontaktowali się z tobą – podjęła Holm. – Zobaczyli, że Endymion zaczyna się budzić. A bogini się ulatnia. Po co, do cholery, była im potrzebna firma meblarska na skraju bankructwa?

– Ja się z nimi skontaktowałem – powiedział cicho Stiernmarck.

– Chwileczkę! – wtrąciła Svenhagen. – Nie powiedział „bez komentarza”. Czy adwokat nie powinien zaprotestować albo powstrzymać swojego klienta?

– Siedzi i kalkuluje – stwierdziła Holm. – Kalkuluje, co ma do stracenia, jeśli będzie bronił swojego klienta; nie przed nami, oczywiście, tylko przed mafią. Chce się wycofać. On też ma dzieci.

– Myśli raczej o tym jachcie w Cannes. Dzięki takiemu cacku łatwiej sobie zrobić nowe dzieci.

Lagerbrandt faktycznie siedział w milczeniu i myślał. Nie próbował nawet powstrzymać Stiernmarcka, gdy ten zapytał:

– No to co proponujecie?

– Na początek podaj nam hasło.

– Nie, chodziło mi o to, jakie proponujecie rozwiązanie. Mają pięćdziesiąt trzy procent mojej firmy. Nie widzę żadnego wyjścia. Oprócz śmierci.

– Jeśli będziemy mogli wykazać, że pieniądze pochodziły z nielegalnych źródeł, możemy doprowadzić do anulowania zakupu. W tej chwili Endymionowi wiedzie się tak dobrze, że poradysz sobie bez ich

pieniędzy. Sprzedasz firmę i z całą rodziną zostaniesz objęty programem ochrony świadków.

– Szwedzkim programem ochrony świadków? – roześmiał się Stiernmarck. – Pani komisarz chyba żartuje.

– Pracujemy nie dla Szwecji, tylko dla Unii Europejskiej. Mówimy o skoordynowanej europejskiej ochronie świadków. Tam środki są znacznie większe. Nie dotyczy to jednak twojego adwokata, więc jeśli teraz zechce zmykać z podkulonym ogonem, całkowicie go zrozumiemy.

– Nie przyśle ci rachunku – powiedziała Svenhagen. – Będzie za bardzo zajęty unikaniem mafiosów na Bergsgatan. Możliwe, że już mu coś podłożyli w samochodzie.

Lagerbrandt wstał. Spojrzał nerwowo na policjantki. Popatrzył przepaszająco na Stiernmarcka i bez słowa wyszedł.

– Powinieneś nasać na niego swoich kumpli z mafii – stwierdziła Sara Svenhagen.

– Świetnie wiecie, że nie mam żadnych kumpli w mafii – odparł Stiernmarck, nie poświęcając nawet spojrzenia zmykającemu adwokatowi.

– Na ulicy też ich nie ma – powiedziała Kerstin Holm. – Okłamałyśmy cię.

Carl-Henric Stiernmarck gapił się na nie przez dłuższą chwilę. Potem się roześmiał. Głośno. W końcu powiedział:

– Naprawdę mi przykro, że podrapałem pani twarz, pani Svenhagen. Najśmieszniejsze jest to, że tego żałuję najbardziej. Cała reszta była w sumie nieunikniona. Bezlitosny los. Ale nigdy dotąd nie podniosłem ręki na kobietę. Proszę spróbować mi wybaczyć.

– Jeśli dostaniemy hasło – odparła Sara Svenhagen.

Stiernmarck pokręcił głową. Jednak nie przecząco, tylko z rezygnacją.

– Bałem się – powiedział – bałem się tak, jak jeszcze nigdy w życiu. Ten mail, który dostałem w domu kultury, odszyfrowałem dopiero w domu. To było najgorsze, co w życiu czytałem.

– Musimy przeczytać waszą korespondencję, żeby móc ocenić, jak bardzo jesteście zagrożeni – odparła Kerstin Holm. – Dopiero wtedy będziemy mogły podjąć ostateczną decyzję. Jeśli istnieje realne zagrożenie, jestem gotowa objąć całą rodzinę europejskim programem ochrony świadków. Wtedy zabierzecie ze sobą pieniądze z Endymiona i zamieszkacie właściwie w dowolnym miejscu na świecie. Moje słowa będą miały duże znaczenie, wierz mi. Najpierw musisz mnie przekonać, że to warte zachodu.

– Miałeś jakieś inne kontakty prócz tych zaszyfrowanych maili? – spytała Svenhagen.

– Pewnego wieczoru przyszło do mnie do domu dwóch mężczyzn – odparł Stiernmarck. – Odniosłem wrażenie, że byli dość wysoko postawieni. Potraktowali mnie jak gówno. Potwornie się bałem. Naprawdę strasznie.

– Żadnych kontaktów przez telefon?

– Nie. Dostarczyłem toksyczne odpady we wskazane miejsce o wyznaczonej porze. Następnego dnia rano ich nie było. Maile zawierały głównie szczegóły praktyczne. Któryś dotyczył inwestycji. Kopia jednego miała zostać wysłana na Łotwę.

– Byłeś sam w domu, kiedy przyszli ci mężczyźni?

– Tak, chyba tak. Wictoria wybrała się na babski wieczór, Johanna nie widziałem.

– Opisz sytuację – poprosiła Svenhagen.

Dostrzegła kątem oka pytające spojrzenie Holm.

– To było gdzieś w lutym, koło dziesiątego. Otworzyłem drzwi, wpuściłem ich, zaprosiłem do gabinetu, ale zatrzymali mnie na progu i zaczęli mi grozić. Parę razy walnęli mną o framugę.

– O co chodziło?

– Tylko o to, że mam trzymać gębę na kłódkę i zachowywać się jak gdyby nigdy nic. Bez względu na to, co się stanie. O ile dobrze pamiętam. Potem zwymiotowałem na podłogę. To, co chcieli mi przekazać, było trochę niejasne, że tak powiem.

– Biorąc pod uwagę, że twoja rodzina wciąż nie ma ochrony, byłoby najlepiej, gdybyś natychmiast podał nam hasło – zauważyła Sara Svenhagen.

Carl-Henric Stiernmarck zapatrzył się w stół. Wyglądał jak naprawdę stary człowiek. Kilkusetletni. Był człowiekiem, któremu uciekł czas. Spojrzał na nią swoimi jasnoblękitnymi oczami i powiedział:

– Jeśli natychmiast przyznacie ochronę mojej rodzinie, dostaniecie hasło. Chcę, żeby najpóźniej za godzinę była tam policja i chcę słyszeć tę rozmowę.

Kerstin i Sara popatrzyły po sobie. Wystarczyło im krótkie skinienie. Były u celu. Udało im się.

Dzięki czczym pogrożkom, obietnicom bez pokrycia i zwykłym kłamstwom.

Holm wybrała najkrótszą drogę i od razu zadzwoniła.

– Jon? – spytała. – Co robisz?

– No cóż... – mruknął w słuchawkę Jon. – Siedzimy z Marcusem, oglądamy telewizję i popijamy sobie koniak.

– Chcesz zamiast tego złamać mafijny szyfr?

– Że jak?

– Musisz tu przyjść. Stiernmarck zamierza podać nam hasło. Za dwie minuty będziesz miał pod drzwiami wóz patrolowy. Zrobisz swoje i możesz sobie dalej oglądać telewizję z Marcusem. Załatw najpierw natychmiastową ochronę w willi Stiernmarcków w Hästhagen. Dwóch ludzi i komplet sprzętu alarmowego. Potem zadzwoń i skoordynuj to z Jorge w Hadze, dobra?

– O, do diabła – jęknął Jon Anderson.

– Tak czy nie? Mamy innych informatyków, łaski bez. Pomyślałam tylko, że może być chciał. W końcu to ty zacząłeś ten cały bajzel.

– Tak. Będę u was za pięć minut.

– Zawsze masz optymistyczne podejście do czasu, co?

– Optymizm i realizm można pogodzić – zapewnił Jon Anderson.

Zdażył się dźwignąć z zabytkowej sofy i zaczął wkładać płaszcz, gdy dobroduszny Marcus spojrział na niego z fotela z tysiąc osiemset siedemdziesiątego szóstego roku, pyknął kilka razy fajkę zacnej marki

Savinelli i sceptycznie unosząc lewą brew, zapytał:

– Zakładam, że chodzi o jakąś robotę policyjną, nie o napalonego kochanka?

Jon Anderson zdążył wybrać numer na komórce i do połowy zapiąć płaszcz. Z rozwiązanymi sznurowadłami przyskoczył do fotela, pocałował partnera na pożegnanie i powiedział:

– Policja to mój napalony kochanek, niedołączny starcze.

– Że co?! – wybuchnął głos w słuchawce.

– Przepraszam, Göran – rzucił Jon, wychodząc z mieszkania i wypadając na klatkę schodową.

Zbiegając po schodach ze sznurowadłami niebezpiecznie powiewającymi niczym zminiaturyzowane bicze, załatwił sprawę ochrony domu w Hästhagen. Wypadł na Roslagsgatan. Tuż obok niego zahamował z piskiem opon wóz patrolowy z migającymi niebieskimi światłami.

Jon Anderson wskoczył do środka.

– O ile dobrze zrozumiałem, śpieszy nam się, komisarzu? – spytał umundurowany sierżant policji z siedzenia pasażera.

Anderson spojrzał na niego i odparł:

– Tak, bardzo nam się śpieszy.

Ta odpowiedź sprawiła, że rozmowa z Hagą miała dość szarpany charakter. Z drugiej strony, ledwie zdążyła się zacząć, gdy wóz patrolowy – znów z piskiem opon – zatrzymał się pod bramą Narodowej Komisji Policji przy Polhemsgatan.

– Jorge? – powiedział Jon, z lewym palcem wciśniętym głęboko w ucho.

– Do diabła, Jon? Jon Anderson, najwyższy szwedzki policjant! A już na pewno najwyższy szwedzki policjant gej. O kurde, zabrzmiało jak jakiś pornos.

– Jesteś bardzo pijany?

– A co, szykuje się jakaś imprezka? Przyjdiesz tu, Jon? Dawno się nie widzieliśmy. No przyjdź, siedzimy w pieprzonym Rootz i przysięgami ci, że w tym cholernym Twaalf było całe dwanaście procent. To przecież znaczy dwanaście, do cholery! Twaalf, dwanaście. Zgadza się, Arto? Oj, coś nie kontaktuje. Arto, obudź się!

– Jestem o wiele trzeźwiejszy niż ty – rozległ się w tle słaby głos Fino-Szweda.

– Sam strzeliłem sobie dwa spore koniaczki – odparł Jon Anderson – a teraz powiem ci coś, od czego wytrzeźwiałem. Chociaż ty chyba jesteś beznadziejnym przypadkiem.

– *Shoot, my man.*

– Jestem już prawie na posterunku. Tam mam dostać hasło od Carla-Henrica Stiernmarcka i rozszyfrować nasze mafijne maile. Wchodzisz w to?

W komórce zaległa cisza. W każdym razie jeśli chodzi o werbalizację. Odgłosy, które rozlegały się w tle, trudno nazwać werbalnymi. I ta niewerbalność odbywała się w wielu językach. Co intrygujące, towarzyszył jej płacz niemowlęcia.

– Przypuszczam, że winna temu jest moja żona – powiedział w końcu Chavez zaskakująco ciepłym

tonem.

– Jak ty trzeźwo brzmisz – zauważył Jon Anderson, który właśnie wchodził po schodach posterunku.

Skręcił w stronę małego zakątka, w którym mieściło się szwedzkie biuro Europolu, i spotkał na korytarzu Kerstin Holm z Sarą Svenhagen. W białych plastikowych kubkach tego rodzaju, jakich używa się, płucząc zęby u dentysty, wznosiły właśnie toast czymś, co przypominało szampana.

– JohannesHundWalle – oświadczyła Holm, wznosząc w jego stronę kubek. – W drugiej ręce trzymała plastikową torebkę z małym urządzeniem szyfrującym.

Jon Anderson nawet nie przystanął. W biegu chwycił torebkę, wcisnął Sarze do rąk komórkę, jakby to był jakiś zastaw, i pognął do swojego pokoju. W mgnieniu oka uruchomił komputer, a gdy Holm i Svenhagen go dogoniły, zdążył wsunąć urządzenie szyfrujące do portu USB. Na monitorze wyświetliło się okienko na hasło.

– Hasło brzmi JohannesHundWalle – powtórzyła Kerstin Holm. – Duże J, duże H, duże W, dwa L. Bez spacji.

– Podobno kiedy syn Stiernmarcka Johannes miał trzy latka, miał psa, który wabił się Walle – wyjaśniła Svenhagen. – Wygląda na to, że wtedy on miał po raz ostatni kontakt z synem.

– Cześć, kochanie – powiedziała komórka w jej ręce. – Kto miał psa?

– To długa historia – odparła Sara Svenhagen. – Imprezujecie?

– Imprezować to chyba trochę za dużo powiedziane. Jak idzie Jonowi?

– Wszedłem! – wrzasnął Anderson. – To działa.

– Rzuć no komórkę Jonowi, kochanie – poprosił Chavez.

Sara Svenhagen postanowiła zamiast tego po prostu podać telefon Andersonowi.

– No i co tam mamy? – zapytał Chavez.

– Wszystkie maile są czytelne – odparł Anderson. – Po angielsku, jak się można było spodziewać. Nie są strasznie długie, ale tak długie, że nie dam rady czytać ci na głos. Możesz odebrać mail?

– No jasne – zapewnił Chavez, rozpierając się wygodnie na sofie w Café Restaurant Rootz, na rogu Raamstraat i Grote Marktstraat.

Natychmiast pochyliło się nad nim mnóstwo mniej czy bardziej rumianych twarzy. Jego iPhone zapiszczał. Chavez stanowczym ruchem wyswobodził telefon z gąszczu chętnych do macania palców.

– Do diabła, dawaj! – wrzasnął Fabio Tebaldi.

– Spokój – rzucił Chavez. – Chyba najpierw zadzwonię, co?

Tebaldi rozłożył swoje wielkie łapska, ale chyba zrozumiał. Chavez wybrał numer, spoglądając na resztki swojego *haringa*. Czuł się bardzo odważny.

– Paul – rzucił w słuchawkę. – Kod złamany.

– A niech mnie! – ucieszył się Hjelm. – To nie tylko my pracujemy o tej porze?

– Żałuję, że nie możemy sobie przypisać zasługi. Ale jest, jak jest.

– Wasze cholerne żony – Hjelm usłyszał w tle ryk Tebaldiego.

– Możesz odebrać mail? – spytał Chavez.

– Aż tak się upiełeś? Siedzę przy kompie, do diabła.

– Wysyłam – zawołał Chavez.

Ostatnią rzeczą, jaką Hjelm usłyszał, nim się rozłączył, była następująca wymiana zdań:

– Teraz, moje dzieci, poczytamy sobie na głos – zawołał radośnie Chavez.

– Możemy tak? – spytał cicho Angelos Sifakis.

Paul Hjelm rozejrzył się po gabinecie. Corine Bouhaddi siedziała przy swoim biurku i gorączkowo stukala w klawiaturę. Widział na jej monitorze wyświetlające się kolejno zdjęcia zmalretowanych twarzy i czuł, jak jej święty gniew wypełnia pokój. Poza nimi nie było tu nikogo. Panoramiczne okno uparcie chłostał wieczorny deszcz, strugi wody niemal zasłaniały widok. Od dwóch dni prawie stąd nie wychodzili. Zadawał sobie pytanie, czy zrobią to dziś wieczorem.

Z komputera Hjelmego dobiegł dźwięk sygnalizujący nadejście maila. Dokładnie w chwili, gdy miał zacząć czytać korespondencję Carla-Henrika Stiernmarcka z włoską mafią, zaczęła dzwonić komórka. Westchnął głośno i odebrał:

– Tak, Ralph...?

– Miałem zadzwonić, kiedy będziemy na miejscu. Idziemy z Hershey korytarzem do pokoju Anthony'ego L. Robbinsa. Co mamy zrobić?

– Przede wszystkim sprawdźcie, czy tam jest. Jeśli go nie będzie, spróbujcie się dowiedzieć, gdzie jest.

– Jeżeli będzie, co mu mamy powiedzieć? To przecież Chief Superintendent. Co prawda, tylko w Safer Neighbourhoods...

– Poproście go, żeby do mnie zadzwonił.

– Czemu do tej chwalebnej misji jesteśmy potrzebni obydwójcie?

– Zaczynamy się troszkę buntować, Dryden?

– Sorry, szefie.

– Potraktuj to jako środek bezpieczeństwa. Istnieje promil ryzyka, że coś się stało w pokoju Robbinsa. Że jest tam ktoś nieuprawniony. Bądźcie na to przygotowani.

– Czego człowiek nie robi dla jakiegoś promila – odparł Ralph Dryden, rozłączył się i powiedział do Miriam Hershey: – Podobno w pokoju Robbinsa może się dziać coś podejrzanego. Zakładam, że jesteś gotowa.

– Zawsze jestem gotowa – odparła Miriam Hershey i poklepała kaburę ukrytą pod obcisłą kurtką. Kurtka sprawiała wrażenie cholernie drogiej.

Co ja wiem o takich rzeczach? Co w ogóle wiem o kobietach? – pomyślał ponuro Dryden i pozwolił myślom na krótką chwilę powędrować do świetlistej postaci rozjaśniającej smutne korytarze zakładu medycyny sądowej.

Dotarli do celu. Drzwi były zamknięte. Dryden westchnął głośno. Zaszara robota. Uniósł rękę, by

zapukać – i nagle coś go powstrzymało. Chwył Hershey na jego nadgarstku był o wiele silniejszy, niż mógłby się tego spodziewać. Przez krótką chwilę bał się o własne życie.

Potem spojrzał jej w oczy. Było w nich absolutne skupienie. Jej druga ręka powędrowała do twarzy. Palec wskazujący musnął pełne usta.

Zamarł. I usłyszał coś w pomieszczeniu, przed którym stali.

Pośpieszne, gorączkowe dźwięki.

Hershey wykonała jakiś gest, jakby chciała, żeby stanął za nią i ją krył. Wyglądała tak, jakby nic innego nie robiła przez całe życie. Oboje powoli wyciągnęli broń.

Miriam Hershey z impetem otworzyła drzwi.

I oberwała pistoletem w twarz. Dryden usłyszał paskudny trzask pękających kości. Potem poczuł uderzenie w pierś. I żadnego bólu. Spojrzał na swoją koszulę. Zobaczył, że o wiele za szybko rozlewa się na niej czerwień. Gdy osuwał się na kolana obok ciała Hershey, dwie postacie w kominiarkach wymknęły się na korytarz.

Dryden nie chciał upaść na Hershey. Przygnięcie własnym ciężarem tego drobnego kobiecego ciała wydawało mu się w jakiś sposób niegodne. Usiłował utrzymać się na kolanach. Bezskutecznie. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył w jakimś dziwnym świetle, była łagodna twarz doktor Hazel Mallory.

Miriam Hershey ocknęła się, gdy Dryden się na nią osunął. Przekręciła się na bok, obmacała twarz i poczuła, że obficie krwawi. Było oczywiste, że niewiele jej twarzy zostało na właściwym miejscu. Potem spojrzała na ciało Drydena. Udało jej się go obrócić. Przycisnęła dłoń do krwawiącej rany jego na piersi. Krople krwi kapiące z jej twarzy mieszały się z krwią Drydena, mimo to udało jej się wyjąć jego komórkę. Zadzwoiła pod ostatni wybrany numer.

– Tak, Ralph...? – usłyszała energiczny głos Paula Hjelma.

– Oberwaliśmy – wybełkotała Miriam Hershey głosem, którego sama nie poznawała.

– Oberwaliście?! – zawołał Hjelm.

– Dryden dostał postrzał w pierś. Karetka, szybko!

– Niech to szlag – wrzasnął Hjelm.

Zerwał się z miejsca. Jego spojrzenie padło na zegar: wskazywał dziewiątą zero zero.

Czasem, pomyślał Hjelm, życie toczy się strasznie szybko.

Potem uruchomił główny alarm w budynku New Scotland Yardu.

Od: Ariadna <ariadne@midasmail.com>

Temat: Ciąg dalszy...

Data: 25 marca 01.12.28 EST

Do: Fedra <fedra873456@hotmail.com>

Upłynęło kilka dni, Kochanie, zaczęła się budzić wiosna. Dziś rano, gdy szłam do banku przez City Hall Park, wydawało mi się, że dwie wiśnie przy fontannie Jacoba Wreya Moulda wypuściły pączki.

W głębi serca wiem, oczywiście, że wiśnie w City Hall Park nie istnieją już w świecie, w którym się znajduję. Jestem gdzie indziej.

Jestem w głębi labiryntu, moja Fedro, i mam gorącą nadzieję, że ciągle trzymasz kłębek nici. To ważniejsze niż kiedykolwiek dotąd.

W banku mieliśmy gorączkowy tydzień. Oficjalnie znów mamy kryzys. B. wyszedł i wygłosił krótkie, dość zagadkowe przemówienie. Toczy się śledztwo, które ma wyjaśnić, dlaczego mamy kryzys. Zarząd puścił przeciek, że doszło do jakichś nieprawidłowości i że polecą głowy. Wszczęli wewnętrzne śledztwo. Pojawiło się kilka nowych twarzy, które podejrzliwie nas obserwują. Teraz jest takich wielu, żyjemy w epoce outsourcingu. Wyczytałam gdzieś, że co najmniej osiemdziesiąt procent wymiaru sprawiedliwości w Stanach Zjednoczonych znajduje się w rękach prywatnych. Wielkie korporacje nie zdają się na policję, wolą wynajmować własnych policjantów, czyli firmy ochroniarskie zatrudniające ludzi często w różny sposób powiązanych z policją. Ale pewnie Ty wiesz o tym lepiej niż ja, bo przecież w każdy piątek czytasz ten gigantyczny stos gazet, by być ze wszystkim na bieżąco.

Nie jestem tylko do końca pewna, co oni tam robią.

Musi chodzić o jakiś manewr maskujący. O odwrócenie ewentualnej uwagi od ukrytych kont, które oficjalnie nie mają prawa istnieć, bo wtedy nie będzie państwowych pieniędzy z Federal Reserve. Przygotowują się na spotkanie G-20, sieją, by móc zebrać plony po London Summit na początku kwietnia. Został jeszcze tydzień. Gra toczy się o wiele miliardów. W takiej sytuacji nie działa się spontanicznie, trzeba mieć dobry plan.

Nie działa się tak jak my, gdy stałyśmy się Ariadną i Fedrą, duchowymi siostrami. Nie tak jak my na ostatnim roku college'u, gdy rzuciłyśmy wszystko i pojechałyśmy do Kalifornii. Nie tak jak my, gdy zakradłyśmy się do The Getty Villa i złapali nas ochroniarze, a potem musiałyśmy przesiedzieć noc w Malibu. Trzymam właśnie w ręce to zdjęcie. To, które wtedy zrobiłyśmy i które mi wysłałaś, gdy nasze drogi się rozeszły. Ten dziwny sarkofag i kółko, którym zakreśliłaś jedną z wielu postaci. Zawsze będę to zdjęcie nosić ze sobą. Odwracam je teraz i czytam: „*Darling Ariadne! Closest forever. Twoja Fedra*”.

„Na zawsze” to dużo czasu, moja Droga Przyjaciółko. Przynajmniej mam nadzieję, że to dość dużo czasu. Bo to wcale nie jest takie pewne.

W najmroczniejszych chwilach wydaje mi się, że coś odkryli. Domyślają się, że ktoś widział tajne konta. Ale nic na to nie wskazuje. Teraz muszę zapuścić się głębiej w labirynt. Nie jestem już taka przekonana, że z Minotaurem wiąże się największe niebezpieczeństwo, które się tam kryje.

Minotaur. Upiór, potwór. Czy to naprawdę on? A jeśli tak, to jak udało mu się przeżyć? Był strasznie pracowity... nie, to eufemizm... Był skończonym pracoholikiem. Zawsze w pracy o ósmej rano, zawsze luksusowy lunch dostarczany do biura przez firmę cateringową. Nie opuszczał budynku przed dziewiątą

wieczorem. A przede wszystkim: zawsze był obecny. Zawsze. Nie opuścił ani jednego dnia przez okrągły rok.

To jego luksusowe biuro tuż przy siedzibie banku. Monumentalne widoki. Wszystko przemawia za tym, że siedział wtedy przy biurku zajęty prowadzeniem interesów, swoim daytrading na gigantyczną skalę, swoimi funduszami hedgingowymi i makrofunduszami. Naprawdę wszystko przemawia za tym, że siedział wtedy za biurkiem i spoglądał prosto na pierwszy zbliżający się samolot. Nie mógł przeżyć.

Krótko mówiąc, Kochanie, jeśli nie było go wtedy w Twin Towers, to musiały ku temu istnieć bardzo konkretne powody.

Poznałam mężczyznę. Wiem, że sytuacja jest dziwna; od czasu do czasu spotykam się z facetami, ale to nie jest tak do końca na poważnie. I żaden z niego Tezeusz. Nie ma mowy, żebym posłała go w głąb labiryntu. Na to jest za późno i siedzę w tym zupełnie sama.

Przedwczoraj wieczorem samotność stała się zbyt wielka, zbyt przytłaczająca. Poczułam, że muszę wyjść. Wędrowałam Broadwayem i w jakimś dziwnym stanie odurzenia dowlokłam się aż na Times Square. Czułam, że muszę tam stać skąpana w świetle i dźwiękach, wśród neonów, reklam, gwaru ludzkich głosów. Stałam pośrodku Times Square i spontanicznie zaczęłam się obracać, wirować z wyciągniętymi ramionami jak jakaś nakręcana balerina.

Przewróciłabym się, gdyby mnie nie złapał. Z początku byłam na niego zła. Gdy Times Square tańczył w mojej głowie dziki taniec, wrzeszczałam na niego: „Puszczaj, zboczeńcu! Przestań mnie obmacywać, zabieraj te obleśne paluchy!”. Coś w tym stylu. Nie zdjął rąk z moich ramion i spojrzał mi głęboko w oczy. „W każdym razie to nie dragi” – stwierdził. Roześmiałam się głośno. „Nawet nie alkohol” – odparłam. – „Ale przydałoby mi się coś mocniejszego”.

Dopiero gdy siedzieliśmy w jakiejś podłej speluncie, chyba przy West 48th Street, i przed każdym z nas stał gin z tonikiem, zapytał mnie: „Co to był za tajemniczy taniec?”. Odparłam: „Taniec śmierci” – i wydawało mi się wtedy, że jestem bardzo elokwentna.

Właściwie to nie było w nim nic szczególnego. Kyle to nie bohater, który byłby w stanie zabić Minotaura, tylko kiepski muzyk grający jakąś niezależną muzykę, ten typ, którego zwykle unikałam jak zarazy. Ale było w nim coś – albo raczej we mnie – co wydawało się szczególne. Jakaś bezbronność, jakieś niesamowite skupienie, jakby był ostatnim człowiekiem, który się do mnie zbliży, moim ostatnim prawdziwym związkiem ze światem, który opuszczam.

Pragnęłam z nim rozmawiać, opowiedzieć mu wszystko o tym piekle, jakie przeżyłam w pracy. Nie mogłam. Jak miałabym mu to wszystko powiedzieć i nie narazić go na śmiertelne niebezpieczeństwo? Jak w ogóle mogłam mu zasugerować skalę tego, przez co przechodzę? Postanowiłam wcisnąć mu historyjkę, która nie powinna mu zaszkodzić.

Chodziło o mojego chłopaka, który zginął w World Trade Center. Nagle zaczęłam dostawać dziwne maile, które mógłby napisać tylko on. Mój chłopak był niesamowicie sumiennym człowiekiem, nigdy nie spóźniał się do pracy. Gdyby tamtego dnia nie zjawił się punktualnie, mogło istnieć tylko jedno

wyjaśnienie: ktoś go ostrzegł. Ale jak mogłoby to być możliwe? Jak to możliwe, by ktoś wiedział, że najgorszy zamach terrorystyczny wszech czasów odbędzie się właśnie tego ranka? Rano, jedenastego września dwa tysiące pierwszego... Czy według Kyle'a to możliwe, by ktoś dowiedział się o tym z wyprzedzeniem?

Po namyśle odpowiedział, że w sieci krąży przecież mnóstwo teorii spiskowych o *nine-eleven*. Główna teoria jest prosta i nie do końca bezsensowna.

Krajem rządził wtedy prawicowy chrześcijański reżim George'a W. Busha, jeden minister był bardziej skrajny od drugiego. Żaden z nich szczególnie nie przepadał za Nowym Jorkiem, miastem pełnym jankesów, Żydów i Europejczyków. Wszyscy szukali pretekstu, by rozpocząć wojnę z wielkim państwem na Bliskim Wschodzie. Skorzystałyby na tym przemysł zbrojeniowy, naftowy i wojsko, z którymi wielu przedstawicieli tego reżimu miało pośrednie i bezpośrednie związki. Tak więc, gdy się dowiedziano, że nastąpi wielki atak terrorystyczny na Nowy Jork, potraktowano to jak dar niebios. Gdy trzy samoloty w różnych miejscach w kraju zostały porwane i wzięły kurs na Nowy Jork i Waszyngton, umyślnie nie wysłano myśliwców. Zamiast tego zadbano, by pewne kluczowe osoby opuściły miejsca narażone na atak. Reszta miała się stać męczennikami. Gra toczyła się o wielką stawkę. Przy jednym ogniu można było upiec mnóstwo pieczeni: zabezpieczyć dostawy ropy do Stanów Zjednoczonych, potrząsnąć armią, mocno uderzyć w legalnych i nielegalnych imigrantów, zwiększyć uprawnienia policji, umocnić wiarę chrześcijańską w narodzie. Wszystko to dzięki jednemu drobnemu zaniedbaniu.

„Zastanawiam się tylko, czy twój chłopak rzeczywiście był kluczową osobą” – spytał Kyle, spoglądając na mnie. „Ani trochę” – odparłam, leżąc nago w jego łóżku. – „Był zwyczajnym nudziarzem”. Kyle uśmiechnął się i odpowiedział: „Albo dalej jest”.

„Właśnie” – powiedziałam. – „Co będzie, jeśli wróci, żeby się zemścić? Do kogo mam się zwrócić? Przecież nie zdobyłam żadnych dowodów. Nie mogę pójść na policję, do prasy ani do polityków”.

„To jasne, że powinnaś zwrócić się do prasy” – powiedział Kyle. – „Co by cię miało powstrzymać?”.

„Myślisz, że naprawdę by mi uwierzyli?” – spytałam. – „Że zdążyliby zbadać sprawę, zanim on się na mnie zemści? Wtedy wszystko byłoby na nic”.

„Możliwe, że masz rację” – stwierdził Kyle, pieszcząc moje piersi. – „Jeśli czujesz, że jest aż tak źle, jest tylko jedno miejsce, do którego możesz pójść. Jedyne miejsce, w którym jest nadzieja”.

„To tutaj?” – zapytałam, rozsuwając nogi.

„O, tak” – roześmiał się Kyle, odwracając się w moją stronę. – „Tyle tylko, że w sumie miałem raczej na myśli Baracka Obamę”.

Wybacz mi niestosowne opisy chwil z mojego życia intymnego. Chodzi mi tylko o to, że zasiał jakieś nasienie w mojej głowie. Pokazał mi ostatnią deskę ratunku. Ostatnią szansę, gdyby to miało zajść za daleko.

Naprawdę potrzebuję rozwiązań. Wiem, że to paradoks. Przecież z własnego wyboru zagłębiam się coraz dalej w labirynt. Czy inaczej miałabym z tym żyć? Zamknąć oczy? Zapomnieć? Pogodzić się

z regułami gry? Na ślepo kupić koncepcję, że wygrywa najsilniejszy?

Nigdy nie płonął we mnie żar. Teraz też nie płonie. Ale nie chcę zamarznąć na lód.

Zamarzamy, Kochana. Wszyscy zamarzamy. Przestępstwa nie znają już żadnych granic. Chciwi ludzie przez cały czas przesuwają te granice. Już tego nie zauważamy. To przeżarło cały sektor finansowy, któremu poświęciłam życie. Stworzyliśmy system, który opiera się na chciwości. Nie chcę więcej.

Po prostu już więcej nie chcę.

A więc brnę dalej. Sunę wzdłuż gładkich, zimnych, ociekających wilgocią ścian labiryntu i słyszę coraz głośniejsze ryki potwora.

Minotaur to nie jakaś osoba, kochanie, to... sama nie wiem. System? Jądro labiryntu, którym jest zachodnie społeczeństwo? Złowrogi pomruk w głębi?

Istnieje szczelina, moja Kochana. Znalazłam ją. Nie chcę cię zanudzać szczegółami, ale znalazłam wejście. To niepilnowany komputer człowieka o bardzo regularnych nawykach. Czasem odchodzi od tego komputera, nie wylogowawszy się. Przez całe dni mam go w zasięgu wzroku.

Ryzyko? Tak, w swoich mailach piszesz o ryzyku. To oczywiste, że istnieje ryzyko. Ale jeśli tego nie zrobię, ryzyko będzie o wiele większe. Że zamarznę przed wejściem do labiryntu.

Minęła właśnie pierwsza w nocy. Zaraz wyślę do Ciebie ten mail. Mam nadzieję, że wciąż trzymasz kłębek nici, moja Fedro. Tak jak mówiłam, potrzebuję Cię teraz bardziej niż kiedykolwiek dotąd.

Jeśli coś pójdzie nie tak, pewnie będę musiała w wielkim pośpiechu wyjechać z kraju.

Ściskam Cię

Twoja Ariadna

Długa noc

Londyn, 11 kwietnia

PAUL HJELM SIEDZIAŁ przy szpitalnym łóżku w St. Thomas Hospital i próbował wymyślić, gdzie postawić ten idiotyczny bukiet, który przyniósł. W łóżku leżała kobieta. Spod przykrycia wystawała tylko szczelnie zabandażowana głowa. A z tej szczelnie zabandażowanej głowy spoglądały na niego niezwykle bystre piwne oczy.

Ich spojrzenie nie było ani trochę łagodne.

– Przecież słyszałam, że są w środku – dobiegł spod bandażu głos Miriam Hershey. – To jakieś szaleństwo, że dałam się zaskoczyć.

– Nie myśl o tym teraz – powiedział Hjelm. – Cała ta sprawa to jakieś szaleństwo. Zwłaszcza to, że nie poszedłem sam, tylko wysłałem was. Przecież przeczuwałem, że coś jest nie tak.

– Co mówi Jutta? – spytała Hershey.

– No cóż, obwinia siebie. Tak jak ty. Obie jesteście niewinne. Nikt nie mógł się spodziewać czegoś takiego.

– Ty się spodziewałeś?

Hjelm się roześmiał. Nagle pomyślał o swojej córce Towie, gdy była bliska śmierci z powodu anoreksji. Zasuszony szkielet. Absurdalne było, że teraz czuł się niemal równie okropnie. Nie powinno tak być. To przecież wysportowana, doświadczona była agentka MI-5, która spodziewała się ataku bardziej niż ktokolwiek inny w całym tym pałacu ze szkła i metalu.

A jednak wyrzuty sumienia. Poczucie winy. Pewnie była to zaledwie kropla w morzu w porównaniu z oceanem rozpaczy Jutty Beyer. Niemal czuł, jak ta rozpacz napływa falami przez kanał La Manche.

– Uratowałaś Drydenowi życie – powiedział Hjelm. – Bez ciebie wykrwawiłby się na śmierć. To jedyne pewnik w całym tym dziwnym bajzlu.

– Nie uratowała go ta lekarz sądowa? Pamiętam, że ją zobaczyłam, zanim urwał mi się film. Na domiar wszystkiego.

– Biorąc pod uwagę, jak poważne jest twoje wstrząśnienie mózgu, należy uznać za cud to, że zachowałaś przytomność dość długo, by uratować Ralpha. Nie wspominając już o przedziwnym fakcie, że jesteś przytomna teraz.

– Jestem wytrenowana – odparła Hershey. – Albo przynajmniej byłam.

– Zanim trafiłaś do Opcopu.

Hershey wydobyła z siebie jakiś koszmarny dźwięk, który zapewne miał być śmiechem. Hjelm skorzystał z okazji, by wyjąć zza pleców bukiet kwiatów i postawić go w nogach jej łóżka. Potem kontynuował:

– Zgadza się. Gdy straciłaś przytomność, doktor Hazel Mallory dalej ratowała Ralpha. Można

powiedzieć, że podzieliłyście się tym zadaniem jak siostry.

– I oczywiście to ty wpadłeś na genialny pomysł, żeby tak szybko przysłać ją tam z sutereny?

Hjelm wzruszył ramionami. Z irytacją przyłapał się na tym, że zerka na zegarek. Sobota rano, tuż po dziewiątej. W New Scotland Yardzie powinien panować weekendowy spokój. Było zupełnie inaczej. Nie spał przez całą noc i biegał ze spotkania na spotkanie z kolejnymi oburzonymi oficjelami. Jak to mogło się stać? Jak mogło dość do tego w tej strzeżonej fortecy? Chief Inspector postrzelony w samym jej sercu. Co za absurd!

Jeden z najbardziej oburzonych i najwyżej postawionych oficjeli wyrzucił z siebie w afekcie oskarżenia pod adresem Europolu. Nieuleczalny wirus wdarł się do najbardziej brytyjskiego z miejsc: Scotland Yardu. Nigdy nie należało wpuszczać tu Europolu. Ci niekompetentni partacze bez doświadczenia operacyjnego wypuścili diabła z klatki. Hjelm przyjmował te ataki, zupełnie nie mając zamiaru się bronić. Chciał po prostu stamtąd wyjść. Było po piątej rano i czuł potworne zmęczenie.

W nocy Drydena operowano. Kula tkwiła w prawym płucu. Prócz utraty krwi nic szczególnie groźnego nie stwierdzono. I to dzięki dwóm dzielnym kobietom.

– Czyli Chief Superintendent Anthony L. Robbins zaginął? – wychrypiąła Hershey spod bandaży.

– Człowiek nie powinien pamiętać inicjału między imieniem i nazwiskiem, kiedy ma poważne wstrząśnienie mózgu – zauważył Hjelm. – Ale zgadza się. Według komputera z pewnością nie opuścił posterunku. Nie przechodził przez bramkę. Tylko nikt nie wie, gdzie jest. Ostatnia oznaka jego życia to kilka wiadomości na czacie, kiedy rozmawiał z Beyer. Potem zaginął bez śladu.

– Przedtem zaczął wyszukiwać Marka Payne’a i Davida Colemana?

– Tak. Ale w twoim stanie o tym też nie powinnaś wiedzieć.

– Naprawdę ci się wydaje, że zamierzam tu zostać i leżeć? Przeżyłam znacznie gorsze rzeczy.

– Jestem o tym przekonany, Miriam, i dobrze zrobiłaś, rozmawiając z Laimą, która jako jedyna miała dość przytomności umysłu, by zająć się załamaną Juttą. Wiem, że nie brałaś żadnych środków znieczulających, co według mnie jest kompletnym wariactwem. Za godzinę masz prześwietlenie, które pokaże, co dalej z twoją twarzą. Chyba możesz choć tyle dla mnie zrobić? Weź jakieś leki przeciwbólowe. Takie, które nie wpływają na przytomność umysłu.

– Hm – burknęła Miriam Hershey.

– Mam ważne spotkanie o wpół do dziesiątej i muszę zaraz lecieć. Wróc, kiedy tylko poczujesz się gotowa. Na pewno będziemy cię potrzebować.

– Jak myślisz, co się stało? – zapytała Hershey, ściszej głoś.

– Coś jest tu bardzo nie tak – odparł Hjelm. – Skasowano fragmenty raportu lekarz sądowej. Według mnie to jasne. Coś tak niepozornego jak fakt, że Robbins zaczął wyszukiwać Payne’a i Colemana, uruchomiło rodzaj alarmu. Niełatwo będzie przekonać policję brytyjską, że ma problem wewnętrzny.

– O ile faktycznie tak jest – zauważyła Hershey. – Nawet gdybym była bardzo niezdarna, dwóch marnych gości z drogówki w rodzaju Payne’a i Colemana nie dałoby mi rady. Taki profesjonalizm nie

pasuje mi do The Met.

– Tylko raczej do MI-5?

– Albo czegoś podobnego.

– A jednak to musi być problem wewnętrzny – stwierdził Hjelm. – Jak inaczej obcy mieliby się dostać do New Scotland Yardu?

– Powtórzę ci: taki profesjonalizm nie pasuje mi do The Met.

– Dotarło – powiedział Paul Hjelm, wstając. – Muszę lecieć. Pod szpitalem czeka na mnie wóz patrolowy i grzeje silnik.

– Sprawdź tylko czy Payne albo Coleman nie siedzą za kierownicą.

Hjelm się roześmiał, ujął jej dłoń i ścisnął. Odwzajemniła jego gest. Wyszedł. Słyszał opowieści o twardych agentkach, ale ta drobna Hershey była nie do pobicia. Im bardziej zagłębiał się w tę dziwną sprawę, tym większe czuł zadowolenie z tego, jakich ludzi wybrał. Włącznie z Juttą Beyer.

Wchodząc do windy, wybrał numer z listy w telefonie.

– Arto? Co z Juttą? – spytał.

– Nie za dobrze – odparł Arto Söderstedt. – Stoję właśnie pod jej mieszkaniem i od pięciu minut dzwonię do drzwi. Obwinia siebie. Uważa, że gdyby wybrała oficjalną drogę, Robbins nie zostałyby uprowadzony, Dryden postrzelony, a Hershey nie miałyby okaleczonej twarzy.

– Tego nie wiemy – odparł Hjelm. – Przekaż jej, że dobrze zrobiła, szukając drogi na skróty. Spróbuj się dostać do środka. Przydałoby się, by ktoś z nią był. Jest bardzo samotna.

– Wezwałem ślusarza – powiedział Söderstedt. – Jak przebiega kryzys po twojej stronie?

– Wytrzymam jeszcze parę godzin, potem będę musiał trochę się zdrzemnąć. Zaczynamy się starzeć, Arto.

– Mów za siebie, czcigodny starcze.

– Święta prawda – odparł Hjelm. – Myślę, że nasza bohaterska lekarz sądowa ma całkowitą rację. Jeśli lepiej się przyjrzeć twojemu Zhang Sangowi, to niespecjalnie wygląda na Chińczyka.

– Co masz na myśli? Według mnie wyglądał cholernie po chińsku. Wyszeptał mi do ucha długą, krwawą chińską frazę.

– Jesteś pewien, że to był chiński? Twoi eksperci przecież nic nie wskórali. Pewnie dlatego, że nigdy nie przyszło im do głowy, że to może być tybetański.

– Ale... – zaczął Söderstedt. – Czyli on niby był Tybetańczykiem?

– To tylko taki pomysł – odparł Hjelm. – Ponoć jak na Chińczyka skóra jest trochę za ciemna, włosy trochę za gęste, a rysy twarzy trochę za mało chińskie. Powiedz to Jutcie, może to jej poprawi humor.

– Mnie w każdym razie poprawiło. A niech to! Idzie ślusarz. Odezwę się niedługo.

– *Tot ziens* – powiedział Hjelm po niderlandzku i wyszedł na Vauxhall Bridge Road.

Do New Scotland Yardu było kilkaset metrów. Drydena przewieziono po prostu do najbliższego szpitala. Blisko oka, które pilnuje wszystkiego.

Czując lekkie wyrzuty sumienia, zajął miejsce w wozie patrolowym i dał się przewieźć tych marnych parę metrów. Praca dla Europolu naprawdę nie wyszła na zdrowie biednemu Chief Inspectorowi Ralphowi Drydenowi. Teraz przyszła pora, by spotkać się z jego przełożonym.

Spotkanie odbyło się w tej części budynku, w której Hjelm jeszcze nie był. Na tabliczce na jednych z drzwi zobaczył nazwisko Drydena i zajrzał tam. Stały pokój Drydena dziwnie przypominał przeznaczoną dla niego klitkę mieszczącą się obok eleganckiego pomieszczenia zajmowanego przez troje członków Opcopu. Hjelm ruszył dalej i dotarł do znacznie większego biura. Zapukał. Usłyszał jakiś pomruk i wszedł do środka.

Commander Andrew Crowley był krzepkim mężczyzną około pięćdziesiątki, z wyglądu trochę uliczny chuligan, trochę Old Etonian, skrzyżowanie Wayne'a Rooneya i Hugh Lauriego, tyle że o gęstych siwych włosach. Jego uścisk dłoni był silny, spojrzenie silniejsze, głos najsilniejszy.

– Sprowadzacie na nas nieszczęście, Hjelm.

– A może sami je na siebie sprowadzacie? – odparował Paul Hjelm.

Crowley wskazał zapraszającym gestem skórzaną sofę w kącie przestronnego biura i obaj usiedli.

– Tak – przyznał Crowley. – Słyszał pan przecież te historyczne reakcje w nocy. Nie jesteśmy z tego dumni, ale gdy się robi gorąco, łatwo jest reagować przesadnie. Nie znam żadnych wcześniejszych przykładów tak poważnego wtargnięcia do tego budynku. Gdyby spotkał się pan ze mną w nocy, też pewnie nie byłoby za miło. Mam nadzieję, że teraz, gdy „rumiany odcień naszej stanowczości blaknie, pokryty bladą barwą myśli”², będzie łatwiej. Jak wyglądają ostatnie raporty w sprawie Ralpa?

– Utrzymują go w stanie śpiączki farmakologicznej – odparł Hjelm. – To była dość skomplikowana operacja i potrzebuje aparatu wspomagającego oddychanie. Zapadło się przecież prawe płuco. Mówią jednak, że niedługo znów stanie na nogi.

– Dojdzie całkowicie do siebie?

– Według lekarza tak.

– Całe szczęście. I uważa pan, że przyczyną tego wszystkiego była rozmowa na czacie z którymś z pańskich ludzi w Hadze?

– Uważam, że wiele na to wskazuje.

Commander Andrew Crowley spojrział na swego rozmówcę dziwnymi złocistymi oczami i po chwili powiedział:

– Przyjrzałem się trochę dokładniej działalności Tony'ego Robbinsa w Safer Neighbourhoods i nie można powiedzieć, że brakuje zagrożeń. Dość poważnie zakłócił działalność gangów. Wielu osobom nie spodobały się jego bezkompromisowe metody.

– I te osoby znalazły sposób, żeby się dostać do New Scotland Yardu?

– Nazwijmy to hipotezą roboczą. W każdym razie takie będzie oficjalne stanowisko The Met, o ile zajdzie taka potrzeba. Na razie prasa nic nie wie o zdarzeniu. Nic się nie pojawiło w policyjnym radiu, więc teraz chodzi tylko o to, czy uda nam się skłonić nielicznych zaangażowanych do milczenia i uniknąć

przecieku.

– W każdym razie z naszej strony nie będzie żadnych przecieków – zapewnił Hjelm.

– Doskonale – skwitował Crowley. – Rozumiemy się?

– Jak najbardziej – potwierdził Hjelm. – Kieruję jednostką Europolu, w której dwadzieścia siedem krajów członkowskich musi zgodnie współdziałać. Zdążyłem się sporo dowiedzieć o polityce, więc powiem to tylko raz, nieoficjalnie. W porządku?

– Rozumiem – powiedział Crowley.

– Obaj wiemy, że to była robota insidera, więc nie zamierzam pana obrażać zadawaniem takiego pytania. Moje pytanie brzmi natomiast: czy wasz wydział wewnętrzny zajmie się tą sprawą?

Croley przyjrzał mu się uważnie i odparł:

– Cały wydział próbuje znaleźć Robbinsa i pociągnąć do odpowiedzialności tych, którzy za tym stoją.

– Czy ten wydział to wydział wewnętrzny?

– Obawiam się, że nie jestem upoważniony, by odpowiedzieć na to pytanie. Dlaczego to pana interesuje?

– Jeśli wasze oficjalne i jedyne stanowisko brzmi, że to przestępstwo popełnili osobiści wrogowie Robbinsa, nie powinniśmy przeszkadzać sobie nawzajem w śledztwie. Natomiast jeśli nieoficjalnie prowadzicie wewnętrzne śledztwo, istnieje większe ryzyko, że będziemy sobie wchodzić w drogę.

– Rozumiem – stwierdził Crowley. – Równocześnie należałoby pamiętać, że jesteście naszymi gośćmi. Oficjalnie nie istnieje nawet coś takiego jak jednostka operacyjna Europolu. Nie byłoby za dobrze, gdyby to dotarło do mediów. Wie pan, jak łatwo dochodzi do przecieków.

– Również do przecieków o strzelaninie w New Scotland Yardzie – odparł Hjelm – w którą zapewne zamieszana była sama policja. Kiepsko by to wyglądało w nagłówku „The Sun”.

Obaj wysocy rangą oficerowie policji spojrzeli sobie w oczy. Ocenili sytuację. Mierzyli siły, oceniali szanse i ryzyko. Podczas całej tej długiej próby sił Paul Hjelm ani na chwilę nie poczuł się źle. Chyba właśnie to zdumiało go najbardziej. W końcu Crowley powoli pokiwał głową i powiedział:

– Wciąganie w to mediów nikomu by nie służyło. Co dokładnie mam przekazać najwyższemu dowództwu?

– Właściwie tylko proste pytanie: czy zamierzacie wszcząć śledztwo w sprawie Marka Payne’a i Davida Colemana?

– Dwóch policjantów z drogówki, no tak... Odezwę się za dwie godziny. W porządku?

– Naturalnie – odparł Hjelm i nagle ogarnęło go uczucie, że jego włosy tak posiwiały, że stał się lustrzanym odbiciem Crowleya.

Gdy mocno uściskał mu dłoń i spojrział w jego dziwne oczy, miał wrażenie, że ściska rękę samemu sobie.

Wędrówka przez komisariat była długa. Miał czas na myślenie. A naprawdę miał o czym myśleć. Jego ciało samo odnajdywało drogę, nie obciążając świadomości. Ta była gdzie indziej.

Gdy wszedł do pokoju z panoramicznym oknem, ujrzał Corine Bouhaddi dziwnie samą przy komputerze. Odwróciła się i spytała:

– Co z nimi?

– W porządku – odparł Hjelm, wysunął swoje krzesło i usiadł tuż obok tej krzepkiej ciemnoskórej kobiety.

Przyglądała mu się trochę sceptycznie, gdy odchrząknął i pochylił się do przodu.

– Mamy dwie godziny – oświadczył.

– Słucham cię – powiedziała Bouhaddi, spoglądając na niego bystro.

– Wtedy dostaniemy wiadomość, czy możemy prowadzić w tej sprawie śledztwo, czy nie. Z tego, co rozumiem, do tego czasu mamy wolne ręce. Znalazłaś coś więcej?

– Możemy przecież korzystać z upoważnień Drydena – odparła Bouhaddi – ale nie znamy do końca systemu, więc punkt wyjścia wygląda kiepsko. O ile, tak jak mówiłeś, nie znajdziemy czegoś więcej. I możliwe, że mi się to udało. Rozmawiałam z szefem Marka Payne’a i Davida Colemana w drogówce. Dość gadatliwy facet, ze słabością do Francuzek. Mam wrażenie, że przez całą naszą rozmowę widział przed sobą drobną paryżankę.

Hjelm uśmiechnął się słabo i kiwnął głową na znak, by mówiła dalej.

– David Coleman od dwóch miesięcy dorabiał sobie w firmie ochroniarskiej. Miał na to zgodę dowództwa i nie było w tym nic niezwykłego. Nie on jeden w wydziale sobie dorabia, policyjne pensje nie wzrosły przecież jakoś drastycznie w ostatnich latach.

– A Payne?

– On nie. Jest natomiast na zwolnieniu lekarskim od czasu tego tak zwanego wypadku. A Coleman ma urlop, co w tej sytuacji może być interesujące.

– Mają rodziny?

– Payne ma, Coleman nie.

– A co wiemy o tej firmie ochroniarskiej?

– Niewiele. Prócz tego, że nazywają się Asterion Security Ltd. Plotka głosi, że lubią rekrutować policjantów. Jeszcze paru gliniarzy z wydziału sobie u nich dorabia.

– Wyśmienicie – powiedział Hjelm. – Dobra robota, Corine. A teraz złapmy trochę dystansu i spróbujmy spojrzeć na wszystko szerzej. Co to takiego? Zupełnie nic nie wiemy o Zhang Sangu z wyjątkiem tego, że być może jest Tybetańczykiem. I w ogóle nie dlatego tu jesteśmy. Jesteśmy tu, ponieważ inna, zupełnie anonimowa ofiara z wielkim poświęceniem przekazała nam wiadomość, której nie jesteśmy w stanie odczytać. Te dwie ofiary nie mają ze sobą zupełnie nic wspólnego, prawda?

– Tak – potwierdziła Bouhaddi. – To Londyn, jedno z największych miast na świecie. Codziennie umiera tu mnóstwo ludzi. Niektórzy nawet zostają zamordowani. Łączenie ich ze sobą byłoby w sumie zawodowym błędem.

– A jednak trudno nie łączyć profesjonalizmu, jakim cechowały się tortury Jane Doe i ułożenie jej

ciała, z profesjonalizmem działania w pokoju Robbinsa.

– To nie musi być przecież ten sam profesjonalizm.

– Nie, i oczywiście w Londynie działa wielu zawodowców, masz całkowitą rację.

– Z drugiej strony, głupio by było to zignorować – zauważyła Bouhaddi. – W takim razie mamy trzy różne sprawy: potrącenie Zhang Sanga dokładnie w chwili, gdy miał opowiedzieć o czymś ważnym, może nawet dla samego Baracka Obamy; torturowaną Jane Doe, która również miała do powiedzenia coś ważnego, tak ważnego, że oparła się profesjonalnym torturom; oraz uprowadzenie i prawdopodobnie zamordowanie Anthony’ego Robbinsa, by nie pozwolić mu dowiedzieć się czegoś o ludziach, którzy potrącili Zhang Sanga. Ogólnie chodzi o to, żeby jakieś informacje nie wydostały się na światło dzienne. I w ten sposób to wszystko się jednak łączy.

– Potrzebujemy więcej informacji o Asterion Security oraz o Paynie i Colemanie – oświadczył Paul Hjelm, i by uczcić to, że jego strategia się powiodła, dodał jeszcze: – Jak myślisz, gdzie twój kobiecy wdzięk najbardziej się przyda?

– Rąbnąć cię między oczy?

– Nie chodziło mi o niestosowne pogróżki pod adresem własnego szefa.

– Chyba na razie nic nie zdziałam w drogówce. Chętnie sprawdzę tę firmę ochroniarską. Wiele takich widziałam w swoim czasie.

– Marsylska specjalność, jak rozumiem? – powiedział Hjelm. – No dobra. Ja pogadam z innymi gliniarzami z drogówki. Pamiętaj: za dwie godziny może nam się zamknąć okno.

– *All work and no play* – zapewniła Corine Bouhaddi i podniosła słuchawkę.

– A co ja mam robić? – spytała Miriam Hershey, wchodząc chwiejnym krokiem do pokoju. Jej piwne oczy lśniły w szczelinie opatrunku.

Long shot

Nacka, Sztokholm, 11 kwietnia

KERSTIN HOLM SPOGLĄDAŁA na swoją podwładną ze sceptycznie uniesioną prawą brwią. Ponieważ to spojrzenie skierowane było na osobę na siedzeniu pasażera, a równocześnie prowadziła samochód przez zamglony kwietniowy Sztokholm, jazda była trochę utrudniona. Na wysokości Sickla Sara Svenhagen krzyknęła przerażona. Jakiś TIR zaczął je wymijać, wściekle trąbiąc. Svenhagen skuliła się na siedzeniu pasażera i poddała się. Gdy TIR już przejechał, mijając je o centymetr, zawołała:

– Wygrałaś, wygrałaś!

– Dobra – stwierdziła Kerstin Holm i wreszcie opuściła brew.

To było miłe uczucie, bo zaczynała jej już drętwieć twarz.

– Przyznaję się – powiedziała Sara Svenhagen. – Mam pewien ukryty zamiar.

– Czyli powodem, że dwie wysokie rangą funkcjonariuszki z Europolu jadą do Hästhagen w Nacka, nie jest, cytuję, „sprawdzenie, czy ochrona jest na miejscu”, koniec cytatu?

– To ty jesteś wysoką rangą funkcjonariuszką. Ja jestem zwyczajnym inspektorem policji kryminalnej.

– Wmawiaj to sobie dalej – powiedziała Kerstin Holm i uśmiechnęła się, choć szczerze mówiąc, głównie po to, by sprawdzić, czy działają jej mięśnie twarzy.

– Mam pewną teorię – odezwała się Sara. – Strasznie naciągana, nawet trochę wstyd się przyznać.

Pomyślałam, że sprawdzę ją tak jakby przy okazji.

– Bez zgody szefowej?

– Właśnie. Szefowa wysłała przeciw o kilka razy za dużo swoją podwładną prosto w paszczę lwa.

– Mądrze – pokiwała głową Kerstin Holm. – Jak tam twoje rany?

– Niech to szlag, jednak musiał mieć bromowane opóźniacze płomienia pod paznokciami. Rany nie chcą się goić. Powinny się już zasklepić, ale patrz... – Wysunęła palec, na którym było trochę krwi. Kerstin Holm zerknęła pośpiesznie w stronę palca, ale doszła do wniosku, że przez resztę drogi powinna być bardziej odpowiedzialnym kierowcą.

– Były głębokie – powiedziała tylko. – Musisz być cierpliwa.

– Poza tym chcę pogadać z Johannesem – powiedziała Sara.

– Dokładnie tak, jak sobie zaplanowałaś. A ja spróbuję wprowadzić trochę w sytuację Wictorię.

Pewnie jest w tej chwili trochę zdezorientowana.

Przez resztę drogi do Hästhagen w samochodzie panowała cisza. Zaparkowały przed domem i Kerstin uniosła rękę w stronę drzwi. Zanim zdążyła nacisnąć dzwonek, otworzył je masywny, ubrany po cywilnemu policjant z ochrony.

– Widzę was od jakichś trzydziestu sekund, pani komisarz – powiedział.

– Dobrze – stwierdziła Kerstin Holm. – Kamery działają jak należy?

– Jak najbardziej – potwierdził policjant. – Nie pierwszy raz robimy coś takiego.

– Świetnie – pochwaliła Holm. – Co z nimi?

– Nie mam pojęcia.

Wtedy z salonu wynurzyła się Wictoria Stiernmarck. Po raz pierwszy zobaczyły ją nie w stroju do joggingu. Była szczupła i elegancka. Jej domowe ubranie wyglądało tak, że Sara mogłaby tylko pomarzyć o takich ciuchach na imprezę. Przywitały się z nią. Była opanowana, ale zdziwiona, jakby zastygła w stanie nieustannego zdumienia.

– Nadal nie rozumiem, o co chodzi – powiedziała.

– Spróbuję pani wyjaśnić najlepiej, jak potrafię – odparła Kerstin Holm i poprowadziła ją z powrotem do salonu.

Sara Svenhagen zerknęła szybko na masywnego policjanta, który znów skupił się całkowicie na obserwacji przy wielkim centralnym komputerze ustawionym w przestronnym holu. Ruszyła w stronę kuchni. Zapukała do drzwi Johannaesa.

Nie dobiegł stamtąd żaden dźwięk, żaden ruch. Na własne ryzyko nacisnęła klamkę i zajrzała do środka.

Na podłodze leżała elektryczna gitara z pociętymi strunami. Umyślnie pociętymi na bardzo małe kawałeczki. Poza tym w pokoju nastolatka panował taki sam bałagan jak wcześniej. Johannaesa Stiernmarcka nie było. Sara usiadła na krześle przy jego biurku i czekała. Czas mijał, chłopak się nie pojawiał. W końcu szybko przesunęła myszką po podkładce i przekonała się, że komputer jest uruchomiony.

Kilkoma szybkimi kliknięciami przejrzała jego twardy dysk i odnalazła katalog, w którym przechowywał pliki wideo. Było ich dużo. I dość łatwo można było odróżnić, które nagrał swoją kamerką internetową. Poza tym były datowane i Sara bez większych problemów odnalazła plik oznaczony jako „Luty”. Z szybkością, która zaskoczyła ją samą, wsunęła do portu USB mały pendrive i zaczęła kopiować plik. Ale na tym zaskakująca szybkość się skończyła. Plik był niespodziewanie wielki i niebieski pasek na ekranie rósł o wiele zbyt wolno. Zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę coraz głośniejsze kroki na korytarzu. Nie było żadnych wątpliwości, że ktoś faktycznie tu idzie. Sara była zmuszona podjąć szybką decyzję. Kiedy myślała o tym później, ta decyzja ją trochę dziwiła. Szybko wyłączyła monitor, by ekran stał się czarny, ale zostawiła podłączony pendrive. Potem odeszła od biurka i stanęła w nienaturalnej pozycji z wzrokiem utkwionym gdzieś za okno.

Johannes wszedł do pokoju. Spojrzał na nią z nieskrywanym zdumieniem. Odwróciła się i próbowała udąć podobne zdumienie.

– Przepraszam – powiedziała. – Nie chciałam ci się narzucać...

– Byłem na górze i oglądałem film – odparł zdezorientowany. – Kurwa, ale ty wyglądasz!

– W pokoju rodziców?

– Tak. Ale...

– Co ja tutaj robię? Chciałyśmy tylko sprawdzić, czy przyzwyczailiście się do obecności policji w domu. Czy udało wam się w tym jakoś odnaleźć.

– *Fuck!* Nie masz pojęcia, jakie to upierdliwe – rzucił Johannes.

– Ale nie to jest najbardziej upierdliwe, co? – spytała Sara i wskazała na gitarę z pociętymi strunami.

Johannes spojrział na nią ze złością, podszedł do łóżka i usiadł na nim.

– Kurwa, nie umiem grać – powiedział. – *Who am I fucking kidding?* Najlepiej zrobię, jak zostanę przy pierdolonym Guitar Hero. Jestem pieprzonym, pretensjonalnym beztalenciem.

– Co słyszałeś o twoim tacie?

Nieśmiałe spojrzenie Johannesesa pochodziło jakby z innej planety. Nie była na to przy gotowana. I dało się to wyczuć.

– Nic – odparł, pozwoliwszy najpierw, by Sara przez dłuższą chwilę pocierpiała. – Nikt mi nic nie mówi. Ale przecież kumam, o co chodzi.

– To nie to, co myślisz, Johannes – zapewniła Sara.

– Widziałem, jak walczyliście – powiedział Johannes z nadąsaną miną. – Widziałem jak mój stary drapie cię pazurami po twarzy. Po tym co ci zrobił, wyglądasz jak z *Piły*.

– Z piły?

– *Piła* – odparł z rezygnacją Johannes. – Taki horror. To była pieprzona krwawa jatka. A potem zniknął. Później zjawili się ci cholerni komputerowi zombi i w ogóle nic nie wyjaśniali. Tylko nie próbuj mi wmawiać, że on jest niewinny.

– W każdym razie nie jest winny tego, co myślisz.

– Nie, nie. Jasne. *Whatever*.

Sara usiadła na krześle przy komputerze i zerknęła ukradkiem na pendrive. Znalazła się w potrzasku. Gdyby po prostu wyciągnęła mały gadżet z nie do końca skopiowanym plikiem wideo, komputer zapewne zacząłby głośno protestować. Z drugiej strony, nie mogła go tu zostawić. I nie mogła bez końca narzucać się Johannesowi.

– W każdym razie wiem, co myślę – powiedział chłopak.

– Nie wymyślaj sobie jakichś dziwnych teorii – odparła Sara. – To prawda, że twój tata jest oskarżony o przestępstwo, ale zupełnie nie o takie, jak myślisz. Chodzi o przestępstwa gospodarcze. Byłoby najlepiej, gdyby sam ci o tym powiedział. Kiedy będziemy już mieli jakiś plan działania.

– Wiem, że musicie mówić takie rzeczy – burknął Johannes.

W tym momencie ktoś zapukał do drzwi i do pokoju zajrzała Kerstin Holm. Krótco kiwnęła głową Johannesowi i pokazała Sarze ekranik. Mrugała na nim jasna plamka.

Sara dostrzegła w tym swoją szansę. Wstała, uderzając udem o biurko. W tej samej chwili wyciągnęła pendrive'a i błyskawicznie wsunęła go do kieszeni kurtki. Komputer nie zaprotestował.

– Muszę iść, Johannes – powiedziała. – Jakby co, masz mój numer.

– A co by to niby miało być? – mruknął naburmuszony Johannes.

Sara patrzyła na niego przez chwilę i nie była w stanie odpowiedzieć. Nie przychodziła jej do głowy żadna odpowiedź. Zostawiły go i wyszły na korytarz.

– Wang Yunli jest w ruchu – szepnęła Kerstin.

Sara kiwnęła tylko głową. Potem kiwnęła jeszcze na pożegnanie Wictorii Stiernmarck stojącej w holu i obgryzającej paznokcie oraz milczącemu policjantowi z ochrony, któremu teraz towarzyszył drugi, wyglądający, jakby był jego bliźniakiem. Żadne z nich ani trochę się nie przejęło parą policjantek opuszczających willę.

– Jak bardzo w ruchu? – spytała Sara, kiedy wyjeżdżały z Hästhagen.

– Nie na tyle, by wyglądało, że zamierza wyjechać z kraju – odparła Kerstin. – Ale opuściła Västerhaninge i pojechała do miasta.

– Da się wyczytać jakiś wzorzec? – spytała Sara, grzebiąc w swojej niesamowicie przepaścistej torebce.

– Za wcześnie, by coś powiedzieć – odparła Kerstin, zerkając na ekranik leżący między nimi.

Sara Svenhagen uruchomiła laptopa.

– Nie pytaj – powiedziała. – Jak poszło z Wictorią?

– Jest okropnie zdezorientowana – wyjaśniła Kerstin. – A my na razie też nie możemy jej za dużo powiedzieć. Szczerze mówiąc, pytała więcej o prywatne finanse niż o męża. A syn?

Sara Svenhagen pokręciła głową, nie spuszczając z oka uruchamiającego się komputera.

– Nie za dobrze – powiedziała. – Johannes widział, jak jego ojciec bije policjantkę. Jest przekonany, że poszedł siedzieć za pornografię dziecięcą. Nie mogę sobie nawet wyobrazić, co się w tej chwili dzieje w jego głowie. A w najgorszym wypadku, albo niestety w najlepszym, widział jeszcze więcej.

Podłączyła pendrive'a do laptopa i w skupieniu obgryzała paznokcie, gdy zera i jedyńki wskakiwały na właściwe miejsca. Po chwili umyślnie odwróciła ekran od Kerstin Holm. Po tym, jak Kerstin znów ściągnęła na siebie wściekle trąbienie jakiegoś faceta, postanowiła tłumaczyć sobie zachowanie Sary jako wyraz troski o ich bezpieczeństwo. Gdy spostrzegła jednak, że Sara blednie, ogarnęły ją pewne wątpliwości.

– Teraz zamierzam już jednak zapytać – odezwała się w końcu Kerstin.

– Zatrzymaj się najpierw – odparła Sara, dziwnie głuchym głosem.

W jakiś sposób Kerstin pojęła, że Sara mówi poważnie. Objechała jeszcze raz rondo, zjechała w stronę marketu budowlanego Fredells i zatrzymała się na poboczu. Sara obróciła laptopa tak, by Kerstin widziała ekran.

Widniało na nim zatrzymane ujęcie. To było zupełnie jasne. Oczywiście było również to, że u dołu wyświetlała się data, środa, jedenastego lutego, godzina dwunasta pięćdziesiąt dwa. Natomiast to, co przedstawiał zatrzymany film, było już dla Kerstin o wiele trudniejsze do pojęcia. Dwóch stosunkowo smagłych mężczyzn przyciskało znacznie wyższego, jasnowłosego i opalonego do framugi. Dopiero wtedy coś zaskoczyło w jej głowie.

– O kurwa – powiedziała.

– Coś w tym stylu – potwierdziła Sara Svenhagen. – *Long shot* to za mało powiedziane. Od jakiegoś czasu miałam wrażenie, że Johannes widzi znacznie więcej, niż powinien. Nie wspominając nawet o tym, co nagrywa.

– Czyli to są...?

– Prawdopodobnie tak. Dwaj dość wysoko postawieni członkowie najbardziej tajnej włoskiej mafii. ‘Ndranghety.

Odszyfrowane

Haga, 11 kwietnia

TELEFON ZADZWONIŁ akurat w chwili, gdy siedział na brzegu jej łóżka i dostrzegł pierwszą oznakę życia. I to wtedy, gdy zauważył, że numer na wyświetlaczu komórki składa się głównie z piątek, poczuł wiatr. Wiatr zdrady z Glencoe, jak nieustanne zagrożenie. Gdy go owionął, poczuł się zupełnie bezbronny.

Arto Söderstedt uznał, że stoi przed czysto egzystencjalnym wyborem. Przed tym doświadczonym, wręcz zaprawionym w bojach człowiekiem zarysowały się nagle dwie drogi w przyszłość. Gdy nie tak dawno temu stał przy pulpicie przed kolejną grupą młodych ludzi, którzy z niezgłębionych przyczyn postanowili zostać policjantami, wydawało mu się, że znajduje się już na bezdyskusyjnie ostatnim odcinku wiodącym ku emeryturze. Stał się wyjątkowo popularny jako dyrektor wyższej szkoły policyjnej, przyszłość wydawała mu się zupełnie oczywista. Przez pierwszy rok nawet raz nie zatęsknił za aktywną służbą. Co prawda, brakowało mu kolegów, ale ci młodzi ludzie – ze swoimi ślepo idealistycznymi albo ślepo nabuzowanymi adrenaliną motywami – stanowili dla niego wystarczającą rekompensatę. Zadowolenie, jakie odczuwał, gdy naprawdę przebijał się przez zastygłe wyobrażenia każdego z nich o samym sobie i gdy docierał do nagiego człowieka kryjącego się w głębi, stało się dla niego niemal narkotykiem. Praca nauczyciela w dziwny sposób sprawiła, że ten najbardziej ekscentryczny z członków świętej pamięci Drużyny A stał się prawdziwym psychologiem. No i wtedy zadzwonił telefon. Pokryty bliznami wojownik o nazwisku Hjelm użył swego bałamutnego głosu i Söderstedt go posłuchał. Ani razu nie żałował swojej decyzji.

Policyjna robota była po prostu jeszcze silniejszym narkotykiem i istniało niewielu policjantów, którzy byli zdolni do tak ślepej determinacji jak Arto Söderstedt. Klapki na oczach nawet na chwilę nie unosiły się na wietrze, gdy galopował ku majaczącemu przed nim celowi.

Teraz się uniosły. Zupełnie nagle.

Spojrzał na wyświetlacz komórki, skupił się na wszystkich tych piątkach – i nie przyjął połączenia.

Odwrócił się w stronę Jutty Beyer, która leżała z twarzą ukrytą w poduszce i po raz pierwszy, odkąd ślusarz sforsował drzwi, wykazywała jakieś oznaki życia. Tym, co być może zakłócało Söderstedtowi obraz jego samopoświęcenia, był fakt, że wspomniane oznaki życia wywołane zostały raczej dzwoniącym telefonem niż faktem, że lekko głaskał ją po włosach.

– Rozłączyłeś się? – zawołała, patrząc na niego zaczerwienionymi od płaczu oczami.

– To tylko praca – odparł i poczuł w głębi ducha, jak bardzo byli do siebie podobni. Ta niepozorna istota bliżej nieokreślonego wschodnioniemieckiego pochodzenia była bardziej jego dzieckiem niż elegancka, pochłonięta biznesem Mikaela, leniwie surfująca przez życie Linda, zakochany w piłce ręcznej wiking Peter, matematyk Stefan, i być może nawet bardziej niż uzależniona od buntu mała Lina. Ale tego nie przyznałby nigdy w życiu nawet przed samym sobą.

– Tylko praca? – krzyknęła Jutta Beyer. – Czy to nie był Mr More z Kajmanów?

– Nie nazywa się Mr More – odparł Arto Söderstedt.

– Zabiłam go – powiedziała.

– Żyje i dobrze się miewa – zapewnił Arto. – Tyle tylko, że nie nazywa się Mr More.

– Zabiłam Tony’ego – zawyła i rzuciła się na poduszkę.

Pogłaskał ją lekko po włosach i odparł:

– Wiesz, że to nieprawda, Jutto. Nie przeceniaj swojego znaczenia. Chief Superintendent Anthony L.

Robbins jest dorosłym człowiekiem. Wie, że praca w policji zawsze jest niebezpieczna.

– Wiedział – załkała Beyer. – Może wiedział. Co nie zmienia faktu, że go zamordowałam.

– Jeśli ktoś zamordował Tony’ego, to ja, Jutto – odparł Arto Söderstedt, wreszcie odrzucając komórkę, która jakby przykleiła mu się do ręki.

Uniosła głowę na poduszce i spojrzała na niego zdziwiona.

– Ty? – spytała.

– To ja się uparłem, żeby pójść dalej tropem potrąconego przez samochód Chińczyka – wyjaśnił Söderstedt. – Gdyby nie to, Robbinsowi nic by się nie stało. I nie zamierzam mieć z tego powodu wyrzutów sumienia. To sprawia tylko, że złapanie mordercy Zhang Sanga jest jeszcze ważniejsze. A tak przy okazji: on nie był Chińczykiem.

– Nie Chińczykiem? – spytała Beyer, siadając na łóżku.

Objęła ramionami kolana, oparła się o ścianę i niemal gapiła na bladego białowłosego człowieka.

– Spójrz na niego – powiedział Söderstedt.

Znów wziął do ręki komórkę i otworzył plik ze zdjęciem.

– Ma trochę za ciemną skórę, trochę za gęste włosy, trochę za mało chińskie rysy twarzy. Pewnie jest Tybetańczykiem.

– Ale co z „jiang”?

– Idę o zakład, że tybetańskie słowo oznaczające „rzekę” kryje się gdzieś w tej frazie. I mnóstwo innych tybetańskich słów. Jego ostatnie słowo było jednak po chińsku. Może zdał sobie sprawę, że mówi językiem, którego nikt nie zna i pomyślał, że w chińskim jestem lepszy. Masz ochotę się tego dowiedzieć?

– Nie wiem, czy dam radę iść dzisiaj do biura – odparła Beyer.

– Jeśli chcesz, możemy to zrobić stąd.

– Nie wiem...

Zadzwoniła komórka i twarz Zhang Sanga zadrgała, jakby budziła się do życia. W następnej chwili zastąpiły ją cyfry. Söderstedt spojrzał na wyświetlacz. To nie był numer z dużą liczbą piątek. Podsunął natarczywie dzwoniący aparat Jucie Beyer. Niechętnie pokiwała głową i mruknęła naburmuszona:

– Tebaldi...

Söderstedt położył telefon na łóżku między sobą a nią, włączył głośnik i odebrał.

– Tak, Fabio?

– Cholera, dużo się dzieje! – wrzasnął Fabio Tebaldi. – Chodź tutaj, zebranie. Natychmiast! Mamy ich. Zobacz, czy uda ci się też przyprowadzić tę księżniczkę na ziarnku grochu. Masz przecież do niej podejście, ty draniu.

– O mnie mówisz? – spytała słodko Jutta Beyer.

– Mówię przecież! – ryknął Tebaldi, nie pozwalając zbić się z tropu. – Spróbujcie opuścić gniazdko, gołąbeczki. Mamy zdjęcia. Pierwszy raz w życiu widziałem film z człowiekiem, który grozi mi śmiercią. Czym byśmy byli bez kobiet, a przede wszystkim bez szwedzkich kobiet?

– Popatrz, popatrz... Jak ty doceniasz nas, Szwedów – zauważył Söderstedt.

– Przestańcie się obijać i chodźcie tutaj.

Na tym rozmowa się skończyła. Söderstedt spojrział na Beyer. A raczej na ścianę, o którą kilka sekund wcześniej się opierała. Usłyszał jej wołanie z łazienki.

– Daj mi minutę!

– I to by było wszystko, jeśli chodzi o wybory egzystencjalne – mruknął Söderstedt, uśmiechnął się i wstał.

Wzięli taksówkę i byli w sali konferencyjnej budynku Europolu kilka minut po rozmowie z Tebaldim. Angelos Sifakis wmaszerował na podwyższenie, uruchomił komputer i włączył film. Obraz padał na opuszczany ekran za plecami Sifakisa. Trwał nie dłużej niż dwadzieścia sekund i był niemy. Zmontowano go tak, że powtarzał się w nieskończoność.

– Osobiste spotkanie Carla-Henrica Stiernmarcka z mafią – przemówił Sifakis. – Przy okazji dostał też małe lanie. Film nagrał ukradkiem kamerką internetową jego syn, który jedenastego lutego zrobił sobie wagary. Bardziej agresywny z tych dwóch facetów, ten po prawej, został zidentyfikowany przez Fabia Tebaldiego jako Il Ricurvo, „pokrzywiony” czy też „garbaty”. Wielokrotny i anonimowy płatny zabójca.

– Który z kolei jest prawą ręką jeszcze bardziej anonimowego Il Sorridente, czyli „uśmiechniętego” – wyjaśnił Tebaldi. – W odróżnieniu od Il Ricurvo, którego mamy na dwóch wcześniejszych zdjęciach, Il Sorridente nigdy dotąd nie sfotografowano, więc młody signor Stiernmarck ze swoją kamerką dokonał czegoś bardzo niezwykłego. Mianowicie, powszechnie wiadomo, że Il Ricurvo nigdy nie odchodzi dalej niż na kilka metrów od Il Sorridente, którego chroni własnym ciałem. I wszystko wskazuje na to, że Il Sorridente jest niedaleko samej góry, choć ostatnio popadł trochę w niełaskę. Zalicza się jednak do najgrubszych ryb w ‘Ndranghecie, o jakich wiemy. Bo to o ‘Ndranghecie mówimy, moi przyjaciele. Oto człowiek, który wydał na mnie wyrok śmierci.

– Przez co to wszystko jest trochę skomplikowane – stwierdził Sifakis, zatrzymując film i powiększając na ekranie twarz mężczyzny po lewej. Faktycznie, kąciki ust miał lekko uniesione jakby w uśmiechu, gdy jego bezsprzecznie przygarbiony pomagier spuszczał lanie Stiernmarckowi. Uśmiech nie wyglądał do końca autentycznie, sprawiał wrażenie grymasu wywołanego przez częściowy paraliż twarzy.

– Jak to: skomplikowane?! – ryknął z oburzeniem Tebaldi.

– Zamieniamy jednego bossa na drugiego – oświadczył Sifakis i kliknął myszką. Na ekranie pojawiła się gigantyczna twarz Paula Hjelma.

– Widzę was – powiedziała gigantyczna twarz.

– Tak, tak – prychnął Tebaldi. – Dlaczego skomplikowane?

– Właśnie dlatego, że wydał na ciebie wyrok śmierci – wyjaśnił Paul Hjelm. Za nim w tle majaczył Londyn. – Trudno byłoby usprawiedliwić wysłanie cię tam.

– No to kogo w takim razie wyślecie? Księżniczkę na ziarnku grochu?

– Przez dwadzieścia cztery godziny na dobę towarzyszą ci ochroniarze, Fabio. Łażą za tobą jak ta podejrzana dwójka z *Zamku Kafki*. Zabierzesz ich ze sobą?

– Musisz mi pozwolić jechać! – krzyknął Tebaldi. – Zmarnowałem na to całe życie. Nigdy nie byliśmy tak blisko Il Sorridente. Zamordował mojego brata.

– Wrócimy do tej kwestii, gdy będziemy dokładniej wiedzieć, gdzie przebywa tak zwany Ottavio Mascaro. Donatella z Rzymu się nie odzywała?

– Przekazała tylko, że „to trudniejsze, niż sądzili” – odparł Angleos Sifakis.

– A Ryga?

– Ani mru-mru. Pewnie zmagają się z tym, co zwykle zwie się polityką.

– *Don't mention the war* – powiedział Paul Hjelm. – Za parę minut mam kolejne spotkanie z dowództwem policji. Możliwe, że potem będziemy mieć kompletnie związane ręce. W każdym razie zdążymy szybko omówić odszyfrowane maile. Co wy na to?

– Twój dawny partner zaskoczył nas wszystkich, wstając wcześniej rano i przychodząc do pracy w sobotę – odparł Sifakis. – Chavez?

– Piwo trapistów to nie przelewki – stwierdził ponuro Jorge Chavez. – Paul, będziesz musiał mi wybaczyć, że na chwilę schowamy twoje wszechmocne oblicze i wyświetlimy odszyfrowane maile. Pierwszy jest z września ubiegłego roku.

Ustał miejsca Sifakisowi, który sprawnie zmienił obraz i zamiast Hjelma pojawiły się olbrzymie litery. Chavez ciągnął:

– Nie chodzi tu jednak o pierwszy kontakt, raczej trzeci albo coś takiego. Dwa pierwsze Stiernmarckowi udało się na dobre skasować. A więc to było na jakieś dwa tygodnie przed tym, nim jakiś „nieznany finansista” wkroczył do akcji i uratował Endymiona pieniędzmi z konta na Kajmanach. A właśnie, pan More się nie odzywał, Arto?

Söderstedt pomasażował kark i odparł.

– Nie, jeszcze nie.

– No dobra – stwierdził Chavez. – To, o czym w zawołany sposób mówi się w mailu, znaczy mniej więcej tyle: „Dzięki za tanie i sprawne rozwiązanie mojego problemu z toksycznymi odpadami. Ale to nie wystarczy. Firma idzie na dno”. Co wy na to? Bo chyba tak to można tłumaczyć.

– „Wasze rozwiązanie pilnego dylematu firmy jest bardzo zadowolające, niemniej pozostaje niestety

przytłaczający kryzys płynności” – przeczytał Sifakis. – I dalszy ciąg: „We wcześniejszym kontakcie sugerowano możliwość rozwiązania również tej sprawy. Czy można by to rozwinąć?”. Tym sformułowaniem Carl-Henric Stiernmarck popełnia największy błąd w swoim życiu. Zaprasza ich. Połykają go w całości. Co zresztą sugerowane jest w kolejnym liście.

Zmienił obraz. Na ekranie pojawiła się inna płatanina liter.

– Listopad – powiedział Chavez. – Pieniądze z Kajmanów zostały przelane. Zrzut odpadów w toku. Mafia posiada teraz pięćdziesiąt trzy procent Endymiona. W tym mailu pojawiają się dwie ciekawe rzeczy. Po pierwsze, mamy tu drobną skargę, że główni właściciele się nie pokazują i nie mówią, co chcą zrobić z firmą. Zupełnie jakby nie rozumiał, że ma do czynienia z mafią. Po drugie, wspomina się o „statku”. Angelos?

Sifakis pojął go w lot. Powiedział:

– Dokładne sformułowanie brzmi: „Przypuszczam, że to jeden z końcowych przystanków na długiej trasie statku”. Chodzi o to, gdzie dokładnie mają zostać umieszczone toksyny z fabryki Endymion pod Nynäshamn. Czyli na konkretnym pomoście, niedaleko fabryki.

– Co wskazuje na to – dodała Laima Balodis – że chodzi o duży statek towarowy z toksycznymi odpadami z całej Europy, które mają zostać zrzucone do Bałtyku. *Big surprise*.

– To sprawia, że wszystkie te powiązania Włoch, Szwecji i Łotwy wydają się bardziej logiczne – zauważył Felipe Navarro. – Nie jest tak, że mafia pozbywa się wyłącznie toksyn z Endymiona. To tylko jeden z wielu przystanków po drodze, prawdopodobnie między jakimś portem w południowych Włoszech a łotewskim wybrzeżem. Musimy znaleźć tę jednostkę. Prawdopodobnie zgarnia odpady, płynąc wzdłuż całego wybrzeża Europy Zachodniej.

Laima Balodis westchnęła.

– Możliwe, że to jest w jakiś sposób usankcjonowane przez łotewski rząd. Tyle że strasznie trudno mi w to uwierzyć. Nie możemy robić czegoś takiego ze swoim własnym wybrzeżem. Bez względu na to, jak bardzo gospodarczo jesteśmy przyciśnięci do muru.

– Biedny Bałtyk – powiedział Arto Söderstedt. – Biedny świat.

Jutta Beyer posłała mu krótkie, zdumione spojrzenie i zapytała:

– Czy to z tym Nynäshamn i umieszczeniem odpadów na dokładnie wskazanym pomoście to jakiś trop? Czy nie można by ustalić, jakie statki towarowe tam cumowały, chociaż nie znamy dokładnej daty odbioru odpadów?

– Nie sądzę, żeby ten statek pozwolił się zarejestrować w jakichkolwiek portowych dziennikach – odparła Lavinia Potorac. – Pływa w tę i z powrotem po morzach, tak by nie rzucić się w oczy. Jest jak statek widmo dotknięty zarazą.

– Latający Holender – rzucił Chavez – z toksycznym ładunkiem.

– Potem mamy mail z lutego – podjął Angelos Sifakis, wyświetlając go na ekranie. – To ten, którego kopia trafiła do dzielnicy rządowej na Łotwie. Wysłano go na trzy dni przed tym, jak u Stiernmarcka

w domu zjawiło się tamtych dwóch banderillerów.

– I należy go zapewne postrzegać jako bezpośrednią przyczynę tej wizyty domowej – dodał Chavez. – Stiernmarck niespodziewanie głośno uskarża się na „brak wytycznych”. Nie można powiedzieć, że grozi, to by było za dużo powiedziane, ale sugeruje, że jeśli „nagła podwyżka ceny się powtórzy”, może będzie „zmuszony głośniej się poskarżyć”. Szkoda, że ten film z Nacka jest niemy.

– Trudno powiedzieć, dlaczego kopię akurat tego maila wysłano do Rygi – powiedział Sifakis. – I mamy jeszcze mail wysłany dwa dni temu wysłany z Domu Kultury w Sztokholmie. Według tego, co powiedział Stiernmarck na przesłuchaniu, po otrzymaniu odpowiedzi na ten mail „bał się tak, jak jeszcze nigdy w życiu”. Píše: „Mam kłopoty. Niebiescy się do mnie dobrali. Nie wiem, ile wiedzą. Co mam robić? Dajcie mi porozmawiać bezpośrednio z Fioletowym”. Otrzymał odpowiedź, która kompletnie go przeraziła, ale się nie zachowała. Według tego, co mówił później na przesłuchaniu, chodziło o to, co spotka całą jego rodzinę i przyjaciół, jeśli się wygada. Szczegółowo i z wymienieniem nazwisk.

– Niebiescy to oczywiście my – stwierdził Chavez. – Fioletowy to może być jakiś szyfr, tak samo jak Niebiescy. Ale może również chodzić o paralelę do Garbatego i Uśmiechniętego. Czyli w przybliżeniu Il Porpore. Fabio twierdzi, że nigdy nie słyszał o żadnym Il Porpore.

– Może się różnie nazywać, jeśli to w ogóle o niego chodzi – burknął Fabio Tebaldi. – Angielskie „purple” odpowiada mniej więcej „amaranto”, „violetto” czy „porpora”. Żadne z tych słów nic mi nie mówi i nie wiem, czy to ma jakiegokolwiek znaczenie.

– Co mówi Stiernmarck o Fioletowym? – spytała Lavinia Potorac. – Czy twoja żona go o to pytała, Jorge?

– Jeszcze nie – odparł chłodno Jorge Chavez. – To będzie następny krok.

– No i na koniec mamy korespondencję mailową między Potenzą a Rygą – powiedział Sifakis, znów zmieniając obraz. – Tę, która czysto fizycznie naprowadziła nas na trop. Jest prosta. To dwa krótkie maile wysłane z pięciominutowym odstępem przez „Ottavia Mascaro” w górach Bazylikaty do „Kasparsa Helmanisa” w dzielnicy rządowej w Rydze. W ogóle nie dotyczą Stiernmarcka, tylko czasu i miejsca spotkania. Pierwszy jest krótki i zwięzły: „Możliwe spóźnienie do X. Nie więcej niż doba. Szczegóły przez komórkę”. I drugi: „Mogą się zrobić dwie doby z powodu cięższego ładunku. Czekaj na telefon. Nie dzwoń sam”. Jakies uwagi?

– Nie ma wątpliwości, kto tym kieruje, co? – spytała Potorac.

– Ciekawe, że mają kontakt przez komórkę – wtrącił Navarro. – Dzwonią komórką ze statku? Może to mogłoby w czymś pomóc...

– X to chyba po prostu miejsce zrzutu? – zastanawiała się na głos Balodis. – Nie mogli wymyślić czegoś lepszego?

– „Cięższy ładunek” nie brzmi za dobrze – westchnął Söderstedt. – Można sobie zadawać pytanie, ile firm przekazuje swoje odpady tej pływającej kloace.

– Najwyraźniej coraz więcej – stwierdził Chavez. – I każda z nich musi za to zapłacić wysoką cenę.

– Jeszcze jakieś uwagi? – spytał Sifakis, zwracając się do niezbyt licznej grupy.

– Tylko jedna – powiedział Tebaldi.

– Posłuchajmy.

– Nic, co się pojawia w tych mailach, nawet się nie umywa do tego filmu z Il Sorridente. To jest najważniejsze. Jesteśmy tak blisko jak jeszcze nigdy. Pozwólcie mi tam pojechać i dobrać się do tego całego Ottavia Mascaro w Potenzie. Wyczuwam pod tą maską Il Sorridente. Dostanę się do kraju nieoficjalną drogą i skorzystam z pomocy zaufanego kolegi, jedynej, na którym mogę polegać w stu procentach, Fusiarza. No dalej! Hjelm!

Ogromna twarz znów pojawiła się na ścianie. Chavez powiedział:

– O wielki wodzu, postanawiam tłumaczyć sobie twoje milczenie nie jako przekonanie o twojej omnipotencji, lecz jako cichą zgodę.

Ogromne czoło trochę się zmarszczyło. Wielka twarz odparła:

– Bo tak jest. Zgadza się ze wszystkim, co powiedziano o tych mailach. Wciąż mam natomiast wątpliwości co do Tebaldiego. Nie mogę cię wysłać na śmierć, Fabio, bez względu na to jak bardzo tego pragniesz.

– Mogę ich zwieść.

– To, że jesteśmy zmuszeni czekać na Rzym i Rygę, nie znaczy, że musimy beczynnie siedzieć – powiedział Hjelm. – Stwórzmy alternatywny plan działania. Jeśli Rzym i Ryga wydobędą adresy, musimy być gotowi do działania. Proponuję, byśmy stworzyli dwie dwuosobowe grupy. Ci, którzy pojedą do Bazylikaty, muszą to zrobić w całkowitej tajemnicy. Ci, którzy pojedą do Rygi, prawdopodobnie również. Niemniej być może trudno wam będzie poradzić sobie bez pomocy miejscowej policji. Dlatego cię potrzebujemy, Fabio. Naprawdę jesteś w stanie niezauważony dostać się do Bazylikaty?

– Jak najbardziej – zapewnił z zapałem Tebaldi. – Chcę zabrać ze sobą Potorac.

Lavinia Potorac naprawdę sprawiała wrażenie zdumionej. Na ułamek sekundy maska twardzielki przekrzywiła się na jej twarzy. Po chwili znów była na miejscu. Potorac krótko, stanowczo kiwnęła głową.

– No dobra – powiedział Hjelm. – Z Rygą będzie trochę trudniej. Nie mamy przecież w głównej grupie żadnego rdzennego Łotysza. Ale o ile dobrze rozumiem, Balodis mówi trochę po łotewsku. Zgadza się, Laima?

– Tak – potwierdziła Laima Balodis. – Ale do rdzennego Łotysza bardzo mi daleko.

– Mimo to jesteś naszą ekspertką od krajów bałtyckich. Kogo chcesz wziąć ze sobą?

Oczy Laimy Balodis się rozszerzyły. Rozejrzała się po sali konferencyjnej. To było tak, jakby ujrzała swoich kolegów w zupełnie nowym świetle.

– Nie mam zielonego pojęcia – odparła.

– Na pewno masz – stwierdził Hjelm z miną wszechmogącego.

– No dobra – powiedziała Balodis. – Chavez.

– Co? – wybuchnęła Potorac. – Przecież on nawet nie należy do grupy!

– Masz jeszcze księżniczkę na ziarnku grochu – wtrącił Tebaldi.

Jutta Beyer spojrzała w podłogę, Söderstedt pogłaskał ją po ramieniu i odezwał się dość ostro:

– Mówisz to po raz ostatni, prawda? Dostyc już tych zagrywek, Tebaldi.

– W porządku – odparł niespodziewanie Włoch. – Przepraszam, to było niepotrzebne.

Zapadła kompletna cisza. Wszyscy obserwowali Tebaldiego, który w końcu wykonał przeproszający gest.

– Przyjmuję przeprosiny – powiedziała po chwili Jutta Beyer. – Poza tym nie sądzę, bym pasowała do działań na Łotwie. Dobry wybór, Laima. Angelos i Felipe to komputerowi gliniarze, Arto jest za stary, ja jestem księżniczką. Wiem, że Jorge Chavez był przez wiele lat twoim partnerem, szefie, i że ciężko pracowaliście w terenie.

– Faktycznie – przyznał Hjelm. – Co powiesz, Jorge?

– Ale ja głównie wiem o Łotwie – jęknął Chavez.

– Ale za to mnóstwo o policyjnej robocie – stwierdził Hjelm. – I nie chcę przez to powiedzieć, że Angelosowi i Felipe brakuje doświadczenia w terenie, ale obaj jesteście potrzebni tu, w Hadze. Arto, jak wspomniano, jest na to za stary.

– Chwila, chwila – zaprotestował leniwie Söderstedt.

Wszyscy czekali na ciąg dalszy, ale ten nigdy nie nastąpił.

– Pojadę na Łotwę, jeśli tak sobie życzyacie – oświadczył po chwili Chavez. – Żaden problem.

– Dobrze – podsumował Hjelm z ekranu. – Chcę podkreślić, że do tego dojdzie, tylko jeśli znajdziemy się w krytycznej sytuacji i dostaniemy konkretne adresy od Rygi i Rzymu. Widzę, że moje spotkanie już się zaczęło. Skontaktujemy się wkrótce. To pewnie głupota spóźnić się na spotkanie z najważniejszymi ludźmi brytyjskiej policji.

– *Go for it* – rzucił Chavez i Hjelm zniknął.

Angelos Sifakis wstukał coś na klawiaturze. Ekran projekcyjny pociemniał i zaczął się zwiijać, podjeżdżając pod wspaniałą kasetonowy sufit. Sifakis powiedział:

– O ile macie możliwość jakoś się przygotować, to znaczy przede wszystkim Tebaldi i Balodis, to chyba pora się teraz do tego zabrać. Poza tym pracujemy normalnie dalej.

Powoli, kropla po kropli, wysączyli się z sali konferencyjnej. W końcu zostali tylko Beyer i Söderstedt.

– Dziękuję – powiedziała Jutta.

– Za co? – spytał Arto.

– Za to, że stanąłeś w mojej obronie.

Söderstedt uśmiechnął się i odparł:

– Stanąłem w obronie dobrze zgranej grupy. Lata pracy nauczyły mnie, jakie to ważne.

Beyer powoli pokiwała głową.

– Nie sądzę, żeby Tebaldi był typem prześladowcy – odezwała się po chwili. – Nie naprawdę.

– Jestem przekonany, że był prześladowany w dzieciństwie – stwierdził Söderstedt. – Może z powodu jakiejś zdrady wobec kodeksu honorowego mafii. Poza tym miał trochę racji.

– Co? Jak to?

– Jesteś trochę księżniczką na ziarnku grochu.

Jutcie Beyer na chwilę opadła szczęka. Zaraz jednak dostrzegła lekki uśmiech na twarzy Söderstedta.

Pacnęła go w ramię i powiedziała:

– No chodź, mamy ważniejsze rzeczy o roboty, niż tu siedzieć i się nad sobą rozczulać.

Arto Söderstedt wstał, zerknął na pomiętą samoprzylepną karteczkę, którą wyjął z kieszeni spodni,

i spytał:

– Masz na myśli „ksangpudyrgymongultjudygnialkridingyljiang”?

– Właśnie – odparła Jutta Beyer. – Tylko że najpierw muszę wysłać trochę informacji za Atlantyk.

Ground Zero

Nowy Jork, 11 kwietnia

TO, CO NADPŁYWA znad Atlantyku, to na pewno lato. Zupełnie jakby ktoś wbijał dłuto w szare poranne niebo i rozchyłał pokrywę chmur. Szczelinami sączy się jasny błękit, jasny błękit, który toruje drogę przypominającemu labirynt układowi ścian ze światła. Spływają one w dół, jedna po drugiej, ze sklepienia niebios. Wydaje się, że słońce podczas swej długiej nieobecności zebrało siły i teraz energicznie posyła w dół promienie podzielone wyraźnie na porcje.

Najdziwniejsze jest to, że to się dzieje właśnie tutaj. Siedzi w barze na którymś piętrze The Millenium Hilton przy Church Street i czeka. Spogląda prosto na Ground Zero. To nadal plac budowy. Wydaje się, jakby niewiele się wydarzyło podczas tych lat. Lat, gdy nikt nie był w stanie zrozumieć.

Marek Kowalewski niewiele w życiu podróżował. Polska policyjna pensja, z której utrzymywał się przez całe dorosłe życie, bynajmniej nie dała mu możliwości, by objechać świat. Nie czuje właściwie żadnego związku z powalonymi bliźniaczymi wieżami. Gdy nad Manhattanem uniósł się dym, miał nie więcej niż dwadzieścia lat, a wtedy ledwie wiedział, gdzie leży Manhattan.

Teraz jednak, gdy spogląda na ten wielki, ale wyraźnie odgraniczony obszar i widzi dziwny labirynt światła powstający nad zaczątkami fundamentów, rozumie, jaki ładunek emocji niesie ta dziura w tej wielkiej metropolii.

– Dziwne, prawda? – odezwał się kobiecy głos tuż przy jego prawym uchu. Odwrócił się i ujrzał elegancką ciemnowłosą kobietę około trzydziestki. Wyciągała do niego rękę. Ujął ją i uścisnął. Dopiero gdy ją wypuścił, pojął, z kim właśnie się przywitał.

– Hannah Rowlins? – spytał, przyglądając się kobiecie, którą bardzo trudno mu było powiązać z drobnym złodziejem z Krakowa Radosławem Trzcieskim.

Przysiadła się do niego i spojrzała w tę samą stronę.

– Wciąż są tacy, którym bardzo trudno jest uwierzyć, że stało się to, co mówią – powiedziała Hannah Rowlins. – Zawaliły się trzy gigantyczne budynki, bo nie zapominaj, że były trzy, i wszystkie trzy upadły prosto w dół, ani trochę nie przechylając się na bok. A przecież upadając, powinny zniszczyć ogromną część Manhattanu.

– Nie rozumiem – powiedział szczerze Kowalewski.

– To długa historia – odparła Rowlins. – Twin Towers zbudowano ze stali. Stal nie topi się tak łatwo. Żadne inne stalowe konstrukcje na świecie nie zawaliły się z tego powodu, że stopiła się stal. Tu zawaliły się trzy, w tym samym dniu. A do tego stal stopiła się w idealnie regularny sposób, tak że wszystkie trzy budynki upadły bardziej elegancko niż przy jakimkolwiek planowanym wyburzeniu.

– Zwykle coś takiego określa się mianem teorii spiskowych, prawda? – rzucił Kowalewski i natychmiast tego pożałował. Ale Hannah Rowlins roześmiała się tylko głośno i odparła.

– Właśnie.

Po raz pierwszy przyjrzał jej się trochę dokładniej. Ciemnowłosa, o karnacji południowej Europejki, jasnopiwnie oczy o przenikliwym, bystrym spojrzeniu kogoś, kogo ukształtowała manhattańska dzielnica biznesu. Surowy biznesowy strój, szczupłe, wytrenowane na siłowni ciało. Być może zaburzenia odżywiania.

– Przypuszczam, że chciałaś spotkać się akurat tutaj z jakiegoś szczególnego powodu – powiedział Kowalewski. – Masz ochotę napić się kawy?

– Chętnie. Latte macchiato – odparła Hannah Rowllins. – I tak, istnieje pewien szczególny powód. Tyle tylko, że zupełnie osobistej natury. Chciałam zobaczyć, jakie zrobili postępy. Mają tu przecież zbudować zupełnie nowy World Trade Center. *One World Trade Center*, tak ma się nazywać. Gigantyczny drapacz chmur tej samej wysokości, co Twin Towers. Plus maszt na samym szczycie, do wysokości tysiąca siedmiuset siedemdziesięciu sześciu stóp. To po to, by uczcić tysiąc siedemset siedemdziesiąty szósty, rok uzyskania niepodległości.

– Wydajesz się bardzo obeznana z tematem – zauważył Kowalewski. Równocześnie udało mu się przywołać kelnerkę i zamówił dwie latte macchiato.

– Wszyscy nowojorczyacy są z nim obeznani – odparła Rowllins, wzruszając ramionami. – To wszystko było straszne. Sama widziałam to z nabrzeża na Brooklynie. Mieszkam w Williamsburgu.

Kowalewski pokiwał głową.

– Co robiłaś w Polsce? – spytał.

Hannah Rowllins znów wybuchnęła śmiechem. To był szczery, zaraźliwy śmiech.

– To znaczy poza tym, że dawałam się bzykać drobnym lokalnym gangsterom, którzy bili kobiety?

Marka Kowalewskiego ogarnęło bardzo niekomfortowe uczucie. I tak miał lekko zarumienioną twarz, co od dzieciństwa go irytowało, ale bardzo rzadko naprawdę się rumienił. To właśnie przytrafiło mu się teraz. Poczuł się jak jakiś wieśniak. Chłop z bloku wschodniego na Manhattanie.

– Tak – odparł, by przestać się rumienić. – Poza tym.

– Pracuję w tej części Manhattanu – odparła spokojnie. – Dzielnica biznesu. Prowadzę sklep z ubraniami dla kobiet, które tu pracują. Na urlop mogłam się wybrać dopiero późną jesienią. Postanowiłyśmy wtedy z koleżanką, że wybierzemy się do Europy. Przejechałyśmy przez kontynent z południa na północ w trochę ponad miesiąc. Z Sycylii do północnej Finlandii. Kraków był po prostu po drodze. Piękne miasto. Wstrętna żubrówka.

– Więc to żubrówka była przyczyną tego, no cóż, dziwnego wyboru?

– Z sokiem jabłkowym jest okropnie zdradliwa – wyjaśniła Rowllins, patrząc mu w oczy.

– Cholera, inaczej nie da się jej przełknąć – roześmiał się z ulgą Kowalewski. – Wychowałem się na tym głównie i o wiele zbyt często rzygałem żubrówką, by mieć ochotę jeszcze kiedyś jej spróbować.

– Teraz jesteś Europejczykiem? – spytała Rowllins z szerokim uśmiechem.

– O tak – odpowiedział Kowalewski i uśmiechnął się szeroko.

– Z „jednostki operacyjnej Europolu”, prawda?

Kowalewski poczuł, że jego uśmiech blednie. W trochę innej sytuacji zafascynowałoby go, jak rozprzestrzeniają się informacje po kuli ziemskiej w epoce postindustrialnej. Jak jedno nieostrożnie wypowiedziane w chwili szczęścia słowo trafiło na inny kontynent, znalazło drogę do tej metropolii. I nic z tego nie można już było odwołać czy cofnąć.

– Nie ma takiej jednostki – odparł. – Ale zgadza się, pracuję dla Europolu.

– I płacą ci za podróż do Nowego Jorku tylko po to, byś powstrzymał rozprzestrzenianie się fałszywej plotki? No jasne. Bardzo prawdopodobne.

– To nie po to tu jestem – powiedział Kowalewski. – Mam prześledzić drogę rozprzestrzeniania się plotki. Nie musisz mówić o Radosławie Trzecińskim z Krakowa, jeśli nie masz ochoty. Ale chciałbym, byś powiedziała mi, dokąd ta plotka jeszcze zawędrowała.

– Czyli jakiej osobie albo osobom o tym powiedziałam?

– Osobom? – wybuchnął Kowalewski.

Hannah Rowllins znów się roześmiała. Śmiech wciąż był zaraźliwy, lecz tym razem brzmiała w nim nuta ironii. Kowalewskiemu w niczym to nie przeszkadzało.

O wiele za łatwo można mnie uwieść, pomyślał Marek Kowalewski, i też wybuchnął śmiechem.

– Nie martw się – powiedziała w końcu Rowllins. – Powiedziałam o tym tylko jednemu człowiekowi, w sumie nawet nie wiem dlaczego. Może to przez to, z jakim przejęciem ten... jak mu tam było, z Krakowa... mi o tym opowiadał. Że ponoć ściga go zupełnie nowa europejska jednostka policji. Próbował mi zaimponować, że jest wielkim przestępcą.

– Masz słabość do przestępców? – spytał Kowalewski.

– To było trochę zbyt osobiste – uśmiechnęła się Rowllins.

– Przepraszam, to było niepotrzebne.

– Wydaje mi się, że jesteś bardzo ciekawskim człowiekiem, Marek.

– Skrzywienie zawodowe – odparł Kowalewski, zmagając się z rumieńcem.

– Nie wydaje mi się – powiedziała Hannah Rowllins. – Myślę, że to zupełnie osobista ciekawość.

Na to Kowalewski nie był w stanie odpowiedzieć. Rumieniec zwyciężył. A Rowllins wybuchnęła śmiechem. Wciąż był zaraźliwy.

– Interesują cię kobiety, prawda, Marek? – spytała.

– Temu nie mogę zaprzeczyć – odparł. – Skąd wiedziałaś, że Trzeciński bije kobiety?

– Aha – ożywiła się Rowllins. I przestała się śmiać. – Może to jednak mimo wszystko policyjna ciekawość.

– Nie jestem pewien, czy zawsze udaje mi się je od siebie rozróżnić.

– A jednak wyciągasz wniosek na podstawie faktu, że poszłam do łóżka z mężczyzną, który próbował udawać wielkiego przestępcę i przyznał, że bije kobiety?

– Trudno tu uniknąć wyciągnięcia jakiegoś wniosku.

– I jaki on jest?

Marek Kowalewski odchylił się na niewygodnym stołku barowym w The Millenium Hilton na Manhattanie, spojrział uważnie na bizneswoman siedzącą obok i powiedział:

– Wolność.

– Wolność?

– Prowadzenie sklepu z ubraniami dla kobiet biznesu jest pewnie dość stresujące – wyjaśnił Kowalewski. – W końcu mogłaś wyjechać na późny upragniony urlop. Pojechałaś w nieplanowaną podróż po Europie z „koleżanką”, wypijałaś duże ilości żubrówki z sokiem jabłkowym i przespałaś się z niezbyt atrakcyjnym przestępcą z Krakowa, którego zresztą dopiero co wsadziłem za kratki. Wniosek: wolność to przekraczanie granic i odwaga, by robić to, czego nigdy dotąd się nie robiło. Im bardziej stresujące życie, tym większa potrzeba, by się wyrwać. Mylę się?

– Wsadziłeś go za kratki?

– Trochę ponad dobę temu. Tak.

Wtedy znów wybuchnęła śmiechem. To był naprawdę ciepły śmiech. Zdumiało go to.

– Dobra robota – pochwaliła. I dodała: – W sumie się nie mylisz. Nie do końca.

– Trochę za łatwo jest przejść tchórzliwie przez życie – Kowalewski przyłapał się na tym, jak wypowiada te słowa.

– Ale ogólnie rzecz biorąc, nie. Nieszczególnie pociągają mnie przestępcy. Ale może Polacy...

Gdy Marek Kowalewski zdał sobie sprawę, że po raz trzeci oblewa się rumieńcem, zmęczył się sam sobą i powiedział:

– Może miałabyś ochotę dziś wieczorem pokazać mi swój Nowy Jork?

To był wóz albo przewóz i sekundę później ten pomysł wydał mu się kompletną głupotą. Przecież nie usłyszał jeszcze odpowiedzi na jedyne istotne pytanie. Teraz mogła ze złością wstać i sprawić, że cały ten głuchy telefon skończy się jednym siarczystym policzkiem. W miejscu z widokiem na Ground Zero. To mogła być ta sekunda, gdy cała kariera zawodowa Marka Kowalewskiego dobiegnie końca.

Niepotrzebnie się przejmował. Odparła z uśmiechem:

– Byle nie Manhattan. Może chciałbyś zobaczyć Brooklyn? Williamsburg?

– Bardzo chętnie – zapewnił z wyjątkowo szerokim uśmiechem.

Przyglądała mu się przez chwilę, a potem powiedziała:

– Muszę wracać do pracy. Ale ty też musisz mieć coś do roboty. Zapuściłam się w dyskusję o policji z różnych krajów z facetem, którego poznałam. Wtedy mimochodem powiedziałam mu, że Europol ma jednostkę operacyjną.

– Ale my wcale jej nie mamy – odparł Kowalewski, czując, że ogarnia go poczucie szczęścia. – Co to był za facet?

– Gitarzysta z zespołu grającego indie – odparła Rowllins. – Poznałam go w tej ponurej okolicy przy Times Square. Ale był miły. Rozmawialiśmy też trochę o jedenastym wrześniu. Nazywał się Kyle.

– Kyle?

– Byliśmy u niego w domu. Nie pamiętam nazwiska, mieszka w Alphabet City. Niedaleko skrzyżowania Avenue B z East 6th Street. Dość obskurny budynek wśród wszystkich tych odnowionych. Wydaje mi się, że to było przy East 6th. Teraz muszę lecieć. Tu masz moją wizytówkę. Kończę o siódmej. Przyjdź po mnie.

A potem sobie poszła.

Marek Kowalewski przyjrzał się wizytówce. I faktycznie chodziło o ekskluzywny sklep z odzieżą gdzieś przy Pearl Street. Prócz nazwy firmy na wizytówce było też nazwisko: Hannah Rowllins, Business Manager.

Odetchnął i rozluźnił się. Uśmiechnął. Wstał i przeciągnął się. Jego spojrzenie powędrowało wzdłuż Church Street ku miejscu budowy, gdzie kiedyś wznosiły się dwa z najwyższych budynków na świecie

Słoneczny labirynt zniknął. Całe Ground Zero znajdowało się teraz w ostrym, jednorodnym, letnim świetle. Szare chmury zniknęły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Marek Kowalewski uśmiechał się absurdalnie szeroko.

Życie wcale nie jest takie głupie, pomyślał. A potem:

Alphabet City.

I ruszył w drogę.

Sarcophagus Maconiana Severiana

Londyn, 11 kwietnia

NIE BYŁO NA TO CZASU, jednak było to konieczne. Napływało do niego niczym z krańców wszechświata i znajdowało drogę prosto do jego duszy, jakby na krótką chwilę stał się centralnym punktem galaktyki. Kilka prostych figur rytmicznych nabierało intensywności przez kwadrans, by potem przejść w dziwne, czyste piękno. Zupełnie jakby jego słuchawki wychwytywały z nieskończoności eteru absolutną prawdę, jakby coraz bardziej skomplikowany świat nagle wydawał się czymś oczywistym. A jednak nie sposób było wyrazić tego inaczej niż za pośrednictwem muzyki.

Czuł na sobie ich spojrzenia, ale nawet raz podczas tych ponad dwudziestu minut nie otworzył oczu. To było prawdziwe ładowanie akumulatora. Zastępowało mu sen.

Słuchał dwóch części *Premonition* z *Leucocyte*, ostatniej płyty Esbjörn Svensson Trio. *Premonition* – ostrzeżenie, zapowiedź, przecucie.

Czy te wszystkie dziwne sprawy, które ich otaczały, nie były zapowiedzią? Czy Paulowi Hjelmowi przez cały czas nie towarzyszyło przecucie? Ostrzeżenie przed przyszłością?

Ta muzyka przypominała o tak wielu rzeczach. Mimo tego, że Esbjörn Svensson zmarł kilka miesięcy po jej nagraniu, była przypomnieniem nie o absurdalnej kruchości życia, lecz raczej o jego sile, jego możliwościach – wbrew wszelkim przeciwnościom. Przypomnieniem o życiu, które spogląda ciemności prosto w oczy i mimo to trwa dalej. O tym, że wbrew wszystkiemu razem możemy dokonywać wielkich rzeczy i być może nawet powstrzymać coraz szybsze rozprzestrzenianie się tego co nieludzkie. O tym, że temu, co ludzkie, w niemal nadprzyrodzony sposób udaje się przetrwać wszelkie zło i stać się jeszcze silniejszym.

Palce Esbjörna pod koniec *Premonition – Contorted* – przepięknej drugiej połowy. Ileż one potrafiły wyczarować z nicości. *Contort* – „wypaczać, zniekształcać”. Jakże niewypaczone było to wszystko...

Paul Hjelm kliknął funkcję iPada w swoim iPhone, przeszedł z trybu offline na łączenie z siecią. Trzy nieodebrane połączenia w ciągu dwudziestu trzech minut. Obraz jego życia. Nie miał jeszcze sił, by się do tego zabrać. Podniósł wzrok, zsunął słuchawki i napotkał spojrzenia Corine Bouhaddi i Miriam Hershey. Siedziały przy swoich komputerach, on leżał na sofie przy oknie. W ich oczach nie dostrzegł oskarżenia, jednak widział je w ich demonstracyjnej obojętności. Miał to gdzieś. Życie powróciło do jego wyjałowionej duszy. A tym samym i do ciała.

– No i? – spytała Bouhaddi.

– No cóż – westchnął Hjelm. – The Met wszczyna wewnętrzne śledztwo. Mark Payne i David Coleman są poza naszym zasięgiem.

Bouhaddi walnęła pięścią w komputer. Hershey pod warstwą bandaży wydawała się mieć raczej zamyśloną minę.

– Przypuszczam, że to zależy od tego, w jakim stopniu zamierzamy być posłuszni.

– Z pewnością – potwierdził Hjelm, wstając. – Ale nawet jeśli zamierzamy być nieposłuszni, zamknęło się przed nami sporo istotnych drzwi. Jak daleko zaszłyście?

Bouhaddi niecierpliwie machnęła ręką i powiedziała:

– Dziś po południu mam się spotkać z kimś z Asterion Security Ltd., tej firmy ochroniarskiej. Masz ochotę się przyłączyć?

– Dobry pomysł – kiwnął głową Hjelm. – Miriam będzie musiała tu siedzieć, dopóki nie przejdzie jej wstrząśnienie mózgu.

– Nic mi nie jest – rzuciła ostro Hershey. – A poza tym nic mi nie jest.

Hjelm i Bouhaddi gapili się na nią aż do chwili, gdy udało im się dostrzec uśmiech pod warstwą bandażu.

– Chciałabym być równo traktowana – powiedziała tylko.

– Przepraszamy cię – powiedział Hjelm. – Prawda, Corine?

– *Whatever* – burknęła kwaśno Bouhaddi. – To jak, zobaczymy, na czym stoimy?

– Jak najbardziej – potwierdził. – Pojawiło się sporo zakłóceń, ale masz całkowitą rację. Najwyższa pora na podsumowanie. Mamy przecież teraz dwa fronty. Pracujemy nie tylko nad estetycznie ułożonym ciałem z Hampstead Heath, lecz również nad śmiercią Azjaty w Docklands. Tym tropem zajmujesz się ty, Corine, a ja zdążyłem trochę pogadać z kolegami Payne’a i Colemana z drogówki, nim straciłem taką możliwość. Wrócę do tego. Ważną rzeczą w tym kontekście, możliwością, która być może teraz też została zamknięta, jest ten raport lekarz sądowej Hazel Mallory, w którym najwyraźniej ktoś grzebał. Nie wiem, czy będziemy mieli możliwość nad tym pracować. Do tego dochodzi nasze pierwotne śledztwo, wciąż nieruszone. Zostaliśmy tylko we troje. Dryden jest po operacji, wciąż leży podłączony do respiratora i ponoć nie ocknie się jeszcze przez wiele godzin, może nawet przez dobę. To znaczy, że jego zadanie, czyli przede wszystkim przyjrzenie się dokładniej materiałom znalezionym w odbyticy ofiary z Hamstead, nie posunęło się naprzód. Przejrzałem jego notatki i znalazłem parę interesujących rzeczy. Do tego też wrócę. Jak pamiętacie, podzieliliśmy się robotą. Corine zajmowała się *modus operandi*, gdy byliśmy zmuszeni przerwać pracę. Dotarłaś do czegoś?

– Nie za bardzo – odparła Bouhaddi. – Nie istnieją żadne organizacje przestępcze, które konsekwentnie biją kobietę po twarzy, dopóki nie umrze. W każdym razie żadnej takiej nie znalazłam. Pojedyncze przypadki, żadnego wzorca.

– W takim razie pozostaje pytanie, czy to nam coś mówi – stwierdził Hjelm. – Może to, że ktoś, kto ma rozpoznać sposób postępowania, nie rozpozna go po metodzie, tylko po wyglądzie ofiary. W takim przypadku znów zbliżamy się do aspektu sztuki. Wtedy rzeczywiście chodzi o to, by wiernie oddać jakieś dzieło sztuki. Miałem możliwość jedynie pośpiesznie skontaktować się mailowo z ekspertami, i przynajmniej do czasu wydarzeń ubiegłej nocy nie dostałem odpowiedzi. Sprawdzę jeszcze raz. Co wy na to?

– Jeśli zamysł jest taki, że ktoś ma rozpoznać sam *modus operandi* – odezwała się Bouhaddi – to mówimy tu raczej o czymś wewnątrz świata przestępczego, prawda? Ten, kto ma rozpoznać przestępstwo i się przestraszyć, musi w takim wypadku wiedzieć, że postępuje tak konkretna grupa. Coś w stylu: następny w kolejce możesz być ty. Jeśli nie ma żadnej grupy, która by tak działała, niekoniecznie musi chodzić o porachunki syndykatów przestępczych. W takim wypadku komunikat skierowano do kogoś spoza świata przestępczego. Myślę, że ktoś naśladował dzieło sztuki, by przestraszyć człowieka, który to dzieło zna. I zapewne ma szczególne znaczenie dla kogoś, do kogo skierowane jest ostrzeżenie.

– Brzmi prawdopodobnie – stwierdziła Hershey. – Zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę, jak pedantycznie zaaranżowano miejsce popełnienia przestępstwa. Posklejane części ciała. Ktoś chciał wiernie oddać jakiś obraz.

– W takim razie co do tego jesteśmy zgodni – stwierdził Hjelm. – Myślałem o tym, co ktoś z nas powiedział w Hadze. Czy to rzymskie dzieło sztuki? Prześcieradło wydaje się strasznie rzymskie.

– Chyba twój rodak to powiedział – zauważyła Hershey.

– Arto?

– Chyba tak. I należałoby to sprawdzić. Nie jestem znawczynią sztuki, ale jeśli to dzieło było rzymskie, mówimy raczej o rzeźbie albo mozaice, nie obrazie, prawda? Gdyby było greckie, pewnie chodziłoby o malowidło na wazie.

– Dobra, dziękuję – powiedział Hjelm. – Sprawdzę maile i zobaczę, czy coś mam. Zrobię to od razu.

Podszedł do biurka i kliknął. Odczytał na głos:

– „Kilkakrotnie próbowałem się do pana dodzwonić, ale bezskutecznie. Jak bardzo jest pan tak właściwie zainteresowany moją pomocą? Pozdrawiam, profesor Graham D. Nodham, Oxford”.

– Coś mi się wydaje, że kiedy profesor dzwonił, szef słuchał sobie muzyki – stwierdziła cierpko Bouhaddi.

– Później do niego oddzwonię – równie cierpko odparł Hjelm. – Mamy jeszcze szyfr: „e98weriN” i „79sYsd76” w osobnych liniijkach. Doszłaś z tym do czegoś, Miriam?

– Niestety nie – odparła Hershey. – To mi wygląda na przypadkowo wygenerowane kombinacje, takie jak te hasła, które przysyłają człowiekowi, kiedy zapomni własnego. Wysłałam je od razu do bliskiego przyjaciela z MI-5, eksperta od szyfrów, ale on twierdzi, że jedyny wzorzec, jaki jest w stanie wykryć, to przypadek.

– Ale dwa? – zdziwił się Hjelm. – Nazwę użytkownika człowiek wybiera przecież zwykle sam. Instynkt mi podpowiada, że to jakieś konta mailowe. Ale w takim wypadku, czy nie jest zwykle tak, że sam adres mailowy jest nazwą użytkownika, a hasło może wyglądać tak jak to?

– Zgadza się, jest tak na przykład na Hotmailu – odparła Hershey. Ale na świecie są też inne serwisy, które nie stosują samego adresu mailowego jako nazwy użytkownika. Zaczęłam właśnie sporządzać listę takich, kiedy... no cóż... stało się to.

Szybko dotknęła ręką twarzy.

– Byłbym wdzięczny, gdybyś dalej się tym zajmowała – powiedział Hjelm. – Potem pozostanie tylko przetestować wszędzie nazwę użytkownika i hasło. A w ogóle, jak poszedł roentgen?

– I teraz jest odpowiednia pora, żeby o to pytać? – prychnęła Bouhaddi.

– Tak mi się skojarzyło, przepraszam – odparł Hjelm.

– Prędzej czy później czeka mnie operacja plastyczna – powiedziała Hershey. – Mówili, że kość jarzmowa jest rozłupana. Kości czołowej też się trochę oberwało.

– Jesteś silną kobietą – powiedział Hjelm.

– Nie zamierzam przegapić rozwiązania tej sprawy – odparła Hershey. – Tak po prostu.

– W takim razie opowiem, czego udało mi się dowiedzieć – zaczął Hjelm. – Po pierwsze, materiały Ralpa. Na początek ta plastikowa rurka: „półsztywne rurki, jakich używa się na przykład przy drążkach do niektórych żaluzji lub draperii”. Według notatek Drydena można je spotkać w wielu londyńskich hotelach. Dość łatwo je przyciąć i zrobić z nich rurkę, w której da się ukryć kawałek papieru. Dość łatwo jest też uformować korki, by móc ją zamknąć. Jeśli uda nam się znaleźć pokój hotelowy ze zbyt krótkim drążkiem do żaluzji albo draperii, będzie to znaczyło, że jesteśmy na właściwym tropie.

– To mi nie wygląda na najtańszy pokój w hotelu – stwierdziła Hershey. – Raczej coś z górnej półki albo jeszcze lepiej. Draperie...

– ...albo żaluzje, co pewnie jest trochę mniej ekskluzywne – stwierdził Hjelm. – Zgadzam się z tobą, Miriam. Nie wygląda mi to na tani pokój w Bayswater. Z drugiej strony, to tam znajdują się prawie wszystkie hotele. Zanim Ralph został postrzelony, zaczął robić listę. Możesz się tym zająć, jeśli zdążysz. Czyli kolejna lista. W najlepszym wypadku można będzie to połączyć z kartką, na której nasza Jane Doe napisała tę zagadkową wiadomość. Może to hotelowa papeteria?

– Dobra – rzuciła Hershey.

– Po drugie – ciągnął Paul Hjelm – rozmawiałem z policjantami z drogówki, zanim nam tego zabronili. Według nich David Coleman jako pierwszy wziął dodatkową pracę, jakieś trzy miesiące temu. Potem dołączyli do niego inni, o nazwiskach Burton i Combes, i dopiero na jakiś tydzień przed London Summit Coleman wciągnął do tej roboty Payne'a. Wszyscy dostawali zlecenia ochroniarskie od Asterion Security Ltd. Według tego, co twierdzili ich koledzy, chodziło o pilnowanie firm w nocy i dodatkową robotę w galeriach handlowych. Nie udało mi się złapać ani Burtona, ani Combesa, więc nikt tego nie potwierdził. Interesujący w tym kontekście jest fakt, że Burton i Combes jechali innym wozem eskorty podczas London Summit. Nie mam pojęcia, gdzie się znajdowali, gdy Payne i Coleman poturczyli naszego Azjatę, który zresztą prawdopodobnie jest Tybetańczykiem, ale zastanawiam się, czy nie byłoby warto dokładniej się temu przyjrzeć.

– O ile dobrze zrozumiałam – odezwała się Bouhaddi – Payne był po tym wypadku w autentycznym szoku. Świadkowie, również Arto Söderstedt, słyszeli, jak głośno kłął, wysiadając z samochodu. Potem poszedł na zwolnienie. A Coleman wyjechał na urlop. Mamy ich adresy?

– Powiedz, co myślisz.

– Payne, ojciec rodziny, pracuje w Asterion od niedawna – zaczęła z namysłem Bouhaddi. – Coleman, kawaler, ma doświadczenie. To będzie fikcyjny scenariusz, dobra? *Long shot*.

– Jasne – uśmiechnął się Hjelm.

– Coleman namawia Payne’a, by zrobił coś, czego ten nie chce. Tak po prostu. Payne jest autentycznie w szoku, głośno klnie, potem idzie na zwolnienie. Coleman zmusił go, żeby to zrobił. Teraz Coleman jest na urlopie. Pewnie nikt nie wie, gdzie przebywa. Powinniśmy się dobrać do Marka Payne’a. Ma rodzinę, dzieci. Nie tak łatwo mu zmienić miejsce pobytu.

– No to jak wygląda ten scenariusz? – spytał Hjelm. – Payne i Coleman siedzą w wozie i nagle Coleman mówi, że muszą przejechać jakiegoś Tybetańczyka?

Corine Bouhaddi wydawała się trochę zaskoczona, jakby nie zaszła w myślach aż tak daleko.

– Tak, do diabła. Tak musiało być – powiedziała w końcu.

– Powtórzę – odezwała się Miriam Hershey. – Ci, na których wpadliśmy z Ralphem, to nie byli gliniarze z drogówki. To byli zawodowcy.

– Wcale nie sądzę, że to Payne i Coleman byli w biurze Tony’ego Robbinsa – odparł Hjelm. – Podejrzewam natomiast, że Asterion Security Ltd. nie specjalizuje się tylko w jednym. I że ma o wiele bardziej profesjonalne struktury. Czyli takie, na jakie się natknęliście, Miriam.

– Dobra – mruknęła Hershey.

I to na razie tyle.

Dla Corine Bouhaddi to nie była kwestia reputacji. Wydawała się autentycznie zaciekawiona, gdy powiedziała:

– W takim razie musimy zakładać, że przynajmniej Coleman wiedział, kogo mają potrafić drugiego kwietnia. Skąd?

– Według Söderstedta na Twitterze pojawiła się wiadomość, że drugiego kwietnia rano Barack Obama ma się zatrzymać i *greet crowd*. Jeżeli nasza teoria się zgadza, bo mam nadzieję, że zaczyna nam się tu pojawiać jakaś teoria, domyślali się, że Tybetańczyk będzie jakieś sto metrów od południowej bramki i będzie za wszelką cenę chciał się spotkać z Barackiem Obamą. Czyli znali czas i miejsce.

– Tylko mniej więcej – dodała z wielkim zapalem Bouhaddi. – Ktoś wiedział, że to prawdopodobne, ale nie wiedzieli dokładnie, gdzie się znajdował. Musieli go wywabić. W tym celu ktoś opublikował tę wiadomość na Twitterze. Ktoś zastawił na niego pułapkę. Ktoś wyżej. Coleman być może wie, że istnieje duże ryzyko, iż coś się wydarzy, Payne najprawdopodobniej nie wie nic, jego stosunki z Asterionem są na razie niewinne, dorabia sobie jako ochroniarz w jakimś centrum handlowym albo coś takiego. Obaj dostają zadanie, by trzymać się blisko limuzyny Obamy, diabli wiedzą jak, i wtedy na drogę wypada ten Chińczyk. Coleman reaguje, wrzeszczy na Payne’a, że jego przyszłość zależy od tego, czy walnie tego gościa. Coleman zmusza Payne’a, żeby potrafił Chińczyka.

– Tybetańczyka – poprawił Hjelm.

– Tybetańczyka – powtórzyła Bouhaddi.

– Jeśli przyjmiemy, że twoje założenia są słuszne – stwierdził Hjelm – to pozostaje pytanie, gdzie jest

teraz Payne. Coleman zapadł się pewnie pod ziemię. Ale Payne? Ma przecież rodzinę...

– Musimy z nim pogadać, zanim dotrze do niego wewnętrzne śledztwo – oświadczyła Bouhaddi.

– Obawiam się, że możesz mieć rację, Corine – stwierdził Paul Hjelm. – Poza tym odpowiedź na twoje pytanie brzmi „tak”.

– Na jakie pytanie?

– Czy mamy ich adresy. Mógłbym zasugerować, że powinniśmy od razu tam pojechać?

– Jadę z wami – powiedziała Miriam Hershey, wstając.

– Nie – stwierdził Hjelm. – Zostań tutaj i pracuj nad tym, co zostało.

– Niby nad czym? Nad uchwytami do żaluzji?

– Mniej więcej. Prawdopodobnie to równie ważne. Wiem równie dobrze jak wszyscy, że jesteś profesjonalistką i pewnie znacznie lepiej radzisz sobie w terenie niż Corine i ja razem wzięci. Ale masz wstrząśnienie mózgu i wyglądasz jak mumia. Potrzebuję cię, żebyś zajęła się tymi szyframi i hotelem. Musisz się pogodzić ze służbą przy biurku przez co najmniej dobę, po tym jak odniosłaś poważne obrażenia. Chyba nie żądam zbyt wiele, prawda?

– Tylko nie rozwiążcie tego beze mnie – poprosiła cicho Hershey.

– Po prostu tu zostań – polecił Hjelm, kierując się już do drzwi. – Bądź pod telefonem. Pewnie będziemy cię potrzebować. Nic bez ciebie nie rozwiążemy.

Po tych słowach wyszli na korytarz. Hjelm w biegu spojrzał na Corine Bouhaddi. Obejrzała się pośpiesznie. W jej spojrzeniu malowała się powaga.

Gdy siedzieli w taksówce, powiedziała tylko:

– Myślisz, że w związku z wewnętrznym śledztwem przeniesiono całą rodzinę?

– O ile dowództwo policji krajowej całkowicie nie ściemniało podczas ostatniego spotkania, to myślę, że nie zdążyli. Ci z wewnętrznego właśnie dostali sprawę. Z drugiej strony, muszą wiedzieć równie dobrze jak my, gdzie jest najślabsze ogniwo.

– Pomóż mi trochę z podstawowymi założeniami – poprosiła Bouhaddi. – Co to za jedni, ci z Asterion Security Ltd.? Czego oni chcą?

– Nie wiem – przyznał Hjelm. – W dzisiejszych czasach firma ochroniarska może oznaczać właściwie wszystko. Ale to jasne, że ktoś im płaci, żeby coś chronili. To podstawa ich działalności. Jeśli założymy, że mamy rację, dostali zlecenie, by zabić Tybetańczyka i pozbyć się Tony’ego Robbinsa, by coś chronić. I mieli unieszkodliwić wszystkich, którzy znajdą się za blisko. Tak jak Ralph Dryden i Miriam Hershey.

– A Jane Doe?

– Ona nie ma z tym nic wspólnego. Przynajmniej jeszcze nie. Nie potrafię jej wprowadzić do tego równania.

– Nie powinniśmy mieć własnego wozu?

– Nie zdążyłem jeszcze żadnego wynająć – odparł Hjelm. – A ty?

– Nie mam takich uprawnień – odparła Bouhaddi.

– Mówisz to tylko po to, żeby wyglądać na potulną – stwierdził Hjelm.

Corine Bouhaddi się roześmiała.

– Po to mnie masz.

Potem byli już w Chislehurst w południowowschodnim Londynie. Sunąca przez zadbaną willową dzielnicę taksówka nagle się zatrzymała, Hjelm i Bouhaddi wysiedli i ujrzeni miłą, bezpretensjonalną willę z garażem. Na skrzynce na listy widniało jasno i wyraźnie: „Payne”.

Zadzwonili do drzwi. Raz, dwa, trzy razy. Żadnej reakcji, żadnego ruchu. Cała dzielnica willowa była jak mauzoleum.

A potem nagle dźwięk. Krótki dziecięcy krzyk gdzieś między willą a garażem. Tak krótki, że zapewne został stłumiony.

Paul Hjelm westchnął i poklepał się po kurtce.

– Ach tak – powiedział. – Scenariusz z koszmaru.

– O czym ty mówisz? – szepnęła Bouhaddi.

– Zmywają się – stwierdził Hjelm, wskazując szybko na miejsce między willą a garażem.

– Jakie mamy uprawnienia?

– No tak – mruknął Hjelm. – O to mi chodziło z tym scenariuszem z koszmaru. Nie wiem. Niech mnie diabli, nie wiem.

Cicho podbiegł do garażu i rozpiął kurtkę. W promieniach słońca, które nagle wyłoniło się zza chmur, załśniła wsunięta w kaburę nowa służbowa broń. Jeszcze jej nie używał. Teraz ją wyciągnął. Corine Bouhaddi uczyniła to samo. Była tuż za jego plecami.

Hjelm wskazał na punkt po drugiej stronie garażu. Bouhaddi stanęła tam, przyciskając broń do piersi. Hjelm został na swoim miejscu. Uniósł do góry lewą rękę, jakby chciał powiedzieć „czekaj”.

I czekał.

To było tak, jakby czas się zatrzymał. Bouhaddi dostrzegła klucz wędrownych ptaków na lekko zachmurzonym niebie. Miała wrażenie, że w ogóle się nie poruszały. Wyglądały, jakby zastygły tam w górze jak na zdjęciu przyrodniczym z jakiejś książki o wędrownych ptakach. Widziała te ptaki na niebie, swojego szefa po drugiej stronie stojącego zupełnie bez ruchu. Wszystko było jak nieruchome ujęcie, trójwymiarowa fotografia. Całkowity bezruch. Nie zaszumiał nawet wietrzyk w żywopłocie otaczającym działkę.

Wszystko zamarło.

Corine Bouhaddi słyszała własny oddech. Był dziwnie świszczący, jakby była strasznie chora. Ta cisza ją zabijała.

Wtedy rozległ się jękliwy dźwięk, którego w pierwszej chwili nie potrafiła z niczym skojarzyć. Jakby głos cierpiącego zwierzęcia. Potem pojęła, co to było.

Brama garażu unosiła się powoli.

Spojrzała na Hjelma. Wciąż unosił lewą rękę, jakby ją powstrzymując. Prawą, trzymającą broń, ukrył za plecami. Zobaczyła, jak jego ciało szykuje się na to, co się może stać, i poczuła, że z jej ciałem dzieje się podobnie.

Spod otwartej w trzech czwartych bramy garażu wytoczył się powoli samochód. Bouhaddi zdążyła dostrzec kobietę na przednim siedzeniu pasażera i dwoje dzieci z tyłu, nim zauważyła, że Hjelm pochyła się w stronę kierowcy.

Hjelm w skupieniu obserwował ręce Marka Payne'a. Obie spoczywały na kierownicy. Dopiero potem zobaczył jego oczy. A w nich strach. Przerażenie. Hjelm dostrzegł, że Payne szuka wzrokiem jego rąk. Widział uniesioną lewą i szukał ukrytej prawej. Nie było żadnych wątpliwości: Mark Payne rozumie, że Hjelm za plecami trzyma broń.

Hjelm wykonał lewą ręką gest, by Payne opuścił szybę. Mężczyzna szepnął:

– Proszę, jestem z rodziną.

Hjelm bezgłośnie ułożył usta w jedno słowo.

– Policja.

Zobaczył, jak ciało Payne'a się rozluźnia. Powoli otworzył drzwi, odwrócił się do żony i sztucznie energicznym tonem powiedział:

– Tylko chwilę, kochanie.

Gdy Bouhaddi obchodziła samochód, trzymając pistolet dobrze ukryty za plecami, dostrzegła, że Hjelm wciska jakieś przyciski na komórce. Payne wysiadł, Hjelm wsunął komórkę do wewnętrznej kieszeni i poprowadził Payne'a za róg garażu. Sama stanęła tak, żeby widzieć samochód i Payne'a. Była gotowa.

– I co, myślałeś, że kim jestem? – spytał Hjelm.

– Nie jesteś Anglikiem – wybuchnął Payne, stojąc przyciśnięty do ściany garażu.

– Zgadza się – odparł Hjelm. – Europol. Nie jestem jednym z tych śledczych z wewnętrznego, przed którymi kazali ci wiać.

– Nie wiem, o czym mówisz – odparł Payne, który znów poczuł wiatr w żaglach.

– W odróżnieniu od tych z wewnętrznego nie interesujesz mnie, Marku Payne – ciągnął Hjelm. – Jestem jedynym, z którym możesz pogadać. W gruncie rzeczy mam cię gdzieś. Jeśli o mnie chodzi, możesz sobie zwiewać. Ale jeśli nie będziesz chciał ze mną gadać, zatrzymam cię tutaj i zadzwonię do wewnętrznego. Jeśli powiesz mi to, co chcę wiedzieć, puszczę cię razem z rodziną.

Payne przyglądał mu się niepewnie. Hjelm widział, jak podejmuje decyzję.

– Mówię poważnie – dodał. – Pogadaj ze mną, a będziesz mógł jechać. Inaczej natychmiast zadzwonię do Crowleya i zrobię z tego bardzo oficjalną sprawę. To mi da sporo plusów.

– Czego chcesz? – szepnął Payne.

– Powiedz mi tylko, jak to było. London Summit, sto metrów od południowej bramki.

Mark Payne głośno przełknął.

– To Dave – powiedział. – Jechaliśmy za amerykańską limuzyną. Był cholernie nabuzowany, rozglądał

się gorączkowo dookoła.

– Wiedziałeś, za czym się rozglądał?

– Nie miałem pojęcia – odparł Payne. – Cholernie dziwnie się zachowywał. Zobaczył tego małego Chińczyka przechodzącego akurat przez barierkę. Przeszedł i puścił się biegiem. Wtedy Dave do mnie wrzasnął.

– Co wrzasnął David Coleman?

– Że muszę przejechać Chińczyka.

– Opisz sytuację.

– Panika, straszny chaos, pośpiech jak cholera. Nie chciałem, nie rozumiałem, co on wrzeszczy. Wtedy mi zagroził, powiedział, że dobiorą się do mojej rodziny, jeśli tego nie zrobię. Że dostanę mnóstwo kasy, jeśli go potracę. Przekręcił mi nawet kierownicę i krzyknął: „Gazu!”.

– Jacy „oni”?

– Wtedy tego nie rozumiałem – odparł słabym głosem Payne. – Wziąłem tylko dodatkową robotę. Ten pieprzony kryzys finansowy mnie wykańczał. Wziąłem za wysoki kredyt na ten cholerny dom. Dostawało się przecież kredyty bez żadnego zabezpieczenia. Dopiero później do mnie dotarło, że oni wcale nie chcą, bym był nocnym stróżem w tym całym magazynie w Docklands. Potrzebowali mnie do innych rzeczy.

– Co za „oni”?

– Nie mogę ci powiedzieć i świetnie o tym wiesz.

– Powiedziałeś przecież, że to Asterion Security, zgadza się?

Twarz Payne’a wyrażała udrękę.

– Jeśli będziesz mnie chciał zacytować, zaprzeczę – powiedział.

– Co się teraz stało? Dlaczego zwiewacie akurat teraz?

– Godzinę temu dzwonił Dave. Mówił, że wszczęli wewnętrzne śledztwo i muszę zniknąć razem z rodziną. W każdym razie na jakiś czas, póki burza nie ucichnie.

– Skąd dzwonił?

– Z komórki.

– Na twoją komórkę?

– Tak.

– Mogę ją zobaczyć?

Payne drżącą ręką wyciągnął telefon z wewnętrznej kieszeni i wyświetlił właściwy numer. Hjelms wysłał go SMS-em do siebie i oddał mu komórkę. W kieszeni jego kurtki zapiszczało.

– Czego się tak cholernie wystraszyłeś, kiedy nas zobaczyłeś? Nie tych z wewnętrznego, co?

– Nie – westchnął Payne. – Kapuję przecież, że dla Asterion byłoby najlepiej, gdybym zniknął na dobre.

– I nie masz pojęcia, dlaczego to było takie ważne, żeby przejechać Chińczyka?

Payne pokręcił głową i spuścił wzrok.

Hjelm cofnął się trochę i rzucił:

– Najlepiej będzie, jeśli porządnie się ukryjesz, Mark. Oni po ciebie przyjdą. Jesteś pewien, że nie chcesz się skontaktować ze śledczymi z wewnętrznego?

– Muszę to spokojnie przemyśleć – odparł Payne. – Może tak zrobię, ale najpierw muszę zadbać o rodzinę.

Hjelm go puścił. Mężczyzna ruszył z powrotem do samochodu i odjechał. Hjelm i Bouhaddi patrzyli, jak wóz znika za żywołotem sąsiedniej działki. Wsunęli broń z powrotem do kabur. Hjelm wyjął z wewnętrznej kieszeni komórkę, spojrzął na wyświetlacz i pokiwał głową.

– Mówią na to „notatki głosowe” – oświadczył i przesunął palcem po wyświetlaczu. – Stłumiony głos powiedział: „Jechaliśmy za amerykańską limuzyną. Był cholernie nabuzowany, rozglądał się gorączkowo dookoła”.

– Nieźle, szefie – powiedziała z uznaniem Corine Bouhaddi.

– W co myśmy się wpakowali? – mruknął Hjelm i wybrał numer.

Usłyszał głos przy uchu:

– Hershey.

– Miriam, dwie rzeczy. Po pierwsze, wysyłam ci dwa numery komórkowe, pierwszy jest Payne’a, drugi Colemana. David Coleman dzwonił do Marka Payne’a o trzynastej dwanaście. Sprawdź, czy da się go namierzyć. Po drugie, chcę, żebyś skorzystała z wszelkiej możliwej pomocy, pociągnęła za wszystkie sznurki, ale najdyskretniej, jak się da i dowiedziała się jak najwięcej o Asterion Security Ltd. Jeśli, tak jak mi się wydaje, w MI-5 są ludzie, którzy mają wobec ciebie dług wdzięczności, to teraz jest właściwy moment, żeby z tego skorzystać.

– Teraz – powiedziała Miriam – zrób to, co powinieneś.

– To znaczy co? – spytał Paul Hjelm.

– Zaczynaj mnie równo traktować – odburknęła Hershey.

– Niech mnie diabli, traktuję cię jak księżniczkę! I przyślij nam tutaj taksówkę.

– *Don't push your luck* – powiedziała Miriam Hershey.

Taksówka była na miejscu po pięciu minutach. Bouhaddi musiała podać adres Asterion Security Ltd. w London Docklands, bo Hjelm wciąż grzebał w swoim iPhone.

– Przyznaj się, że grasz w tetris – powiedziała Bouhaddi.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz – odparł Hjelm. – Sprawdzam nieodebrane połączenia. *All work and no play*, pamiętasz?

– To było, zanim spędziłeś pół godziny na słuchaniu tego e.s.t., czy co to tam było.

– I już mi się to z nawiązką zwróciło – odparł Hjelm i uniósł palec.

Powiedział w słuchawkę:

– Profesor Graham D. Nodham z Oxfordu? Mówi Paul Hjelm z Europolu. Przepraszam, byłem zajęty.

– To raczej ja powinienem przeprosić, że ogarnął mnie taki zapal – odpowiedział mu wyrafinowany

brytyjski głos w słuchawce.

– Zapal pana profesora i mnie napawa zapalem – zapewnił elokwentnie Hjelm.

– Miło mi – odparł profesor Nodham. – W takim razie czujemy to samo.

– Przykro mi z powodu tych potwornych zdjęć, jakie panu wysłałem.

– Dopiero gdy człowiek przezwycięży pierwszy szok, jest w stanie zacząć analizę. W pewnym sensie to sama istota sztuki, panie Hjelm.

– A więc zdążył już pan przeanalizować naszą ofiarę z Hampstead Heath?

– Prześcieradło podsunęło mi rzymski trop, ale to było o wiele zbyt ogólne. Większość przedstawianych w sztuce starożytnych Rzymian, jeśli akurat nie są nadzy i się nie pieprzą, nosi jakąś udrapowaną togę. Do tego ta rozluźniona, spokojna poza, ramię oparte o kamień, plecy spoczywające na pniu drzewa. Trochę konkretniejsze, jakaś postać z idylli pasterskiej, ale to bynajmniej nie wystarczało, by dokonać poważnej identyfikacji. Oczywiście mógł to być motyw rzymski, lecz wykorzystany wiele lat później, a tym samym w grę wchodziły zarówno malowidło, jak i rzeźba.

– Albo mozaika – podsunął Hjelm, chcąc coś wnieść do rozmowy.

– Jak najbardziej – potwierdził Nodham. – Istnieją podobne mozaiki na różnych rzymskich posadzkach, ale nie z taką twarzą.

– Twarzą?

– Tak, ta twarz naprawdę zaczęła mi się z czymś kojarzyć. Ta okropnie napuchnięta twarz, jakby pozbawiona rysów... Pomyślałem o rzeźbie. Albo raczej o reliefie. I tym samym przypomniały mi się rzymskie sarkofagi.

– Sarkofagi? Coś w rodzaju trumien?

– Kamiennych trumien, w których chowano zmarłych. Na początku nazywano je *sarkophagos lithos*, mięsożerny kamień. Kamień, który pożera ciało. Po prostu trumny. Tyle że w rzymskich sarkofagach nic nie jest proste. Wręcz przeciwnie, aż uginają się pod ciężarem istot mitologicznych. Całe są pokryte reliefami, fryzami i freskami, na których postacie się przeplatają, jedna przechodzi w drugą. Przychodzi tu na myśl choćby wstęp do gigantycznej powieści Petera Weissa *Estetyka oporu*, kiedy to główny bohater zostaje skonfrontowany z ogromnym fryzem w Muzeum Pergamońskim w Berlinie: „Wokół nas wznosiły się ciała z kamienia stłoczone w grupy, splecione ze sobą lub częściowo zniszczone, jakimś torse, wspartym ramieniem, spękany biodrem, nierówno odłupanym kikutem, sugerując postacie, zawsze w walecznej pozie, uchylające się, cofające, atakujące, zasłaniające się, sięgające w górę lub pochylające się, miejscami zniszczone, ale wciąż z samotną zapartą stopą, wykręconymi plecami, z konturem łydki, wplecione w jeden wspólny ruch”.

– Mam nadzieję, że pan profesor przeczytał to z książki...

– Gdyby było inaczej, to byłoby imponujące, prawda? – zaśmiał się Nodham. – Tak, przeczytałem z książki.

– I zakładam, że to ma nas dokądś doprowadzić? – spytał Hjelm.

– W rzeczy samej – potwierdził Nodham. – Ma to nas doprowadzić do *Sarcophagus Maconiana Severiana*. Chyba słyszę, że jedzie pan w tej chwili samochodem. Ma pan możliwość odebrania maila, panie komisarzu?

– Nie jestem komisarzem, ale jak najbardziej mam możliwość odebrania maila. *Sarcophagus Maconiana Severiana*?

– Maconiana Severiana była ukochaną córką rzymskiego senatora i żyła około dwusetnego roku naszej ery – odparł Nodham. – Gdy przedwcześnie zmarła, Marcus Sempronius Faustinianus zlecił wykonanie sarkofagu, w którym mógłby ją pochować. Najwyraźniej pragnął, by sarkofag przypominał o radości życia, jaką roztaczała wokół siebie Maconiana. Wybrał najbardziej afirmujący życie motyw, jaki mógł sobie wyobrazić, a mianowicie orszak Bachusa czy, jeśli woli się go tak nazywać, Dionizosa. Na frontowej ścianie sarkofagu widzimy scenę z tańcami, muzyką, świętowaniem i zabawą. Bachanalia. Wszystko jest dokładnie tak przeładowane, jak opisuje to Peter Weiss, tyle tylko że nie ma tu walki, są radość i afirmacja życia... Powinien pan już dostać mail, komisarzu.

– Chwileczkę – powiedział Paul Hjelm i zaczął przesuwac palcem po wyświetlaczu komórki.

W końcu otworzył plik graficzny. Na zdjęciu zobaczył sarkofag ozdobiony płaskorzeźbą przedstawiającą tańczące postacie trudne do odróżnienia na małym ekranie.

– Tak – potwierdził. – Widzę go.

– Jak pan z pewnością zauważył, wszystkie te maleńkie twarze zostały wyrzeźbione z niezwykłą dokładnością – kontynuował profesor Nodham. – Wszystkie, z wyjątkiem jednej. Mam na myśli prawą dolną część sarkofagu. Może pan zbliżyć ten fragment?

– Próbuję – powiedział Hjelm.

– U dołu po prawej, na zdjęciu, widać pólżącą postać. Nie ma wątpliwości, że to kobieta, która na wpół leży w całkowicie rozluźnionej pozycji, leniwie oparta o drzewo, z prawą ręką za głową, zaś lewym łokciem podparta jest o coś... zapewne o kamień. Pień wygina się nad nią w łuk, tworząc po prawej stronie coś w rodzaju ramy. Kobieta jest naga, ale tkanina zasłania jej podbrzusze i ugięte kolana. Róg tkaniny wsunięty jest pod prawą rękę.

– Widzę – powiedział z zapartym tchem Hjelm.

– Proszę też spojrzeć na twarz – dodał Nodham.

– Jaką twarz? – spytał Hjelm.

– No właśnie. Jaką twarz? To jedna postać w całym tym tłumie, która nie ma twarzy. Rysy są jedynie lekko zaznaczone w kamieniu. Zapewne miano tam wyryć twarz małej Maconiany Severiany, ale z jakiegoś powodu nigdy do tego nie doszło. Zamiast tego pozostała twarz bez rysów.

– Tak – powiedział Hjelm, wpatrując się w nią. – Oczywiście. To jest to. Fantastyczna robota, profesorze, muszę to przyznać.

– Prawdziwa praca detektywistyczna, prawda? – spytał profesor Nodham, nie próbując nawet ukryć zadowolenia z siebie.

– Zdecydowanie – przyznał Hjelm. – A więc *Sarcophagus Maconiana Severiana*? Gdzie jest ten sarkofag?

– W muzeum The Getty Villa w Malibu, w Kalifornii.

– Wydaje mi się, że poznaję Bachusa i sporo innych mitologicznych postaci – stwierdził Hjelm. – Jest tutaj Pan, satyry, menady. Samej kobiety nie rozpoznaję. Kim ona jest?

– To znana postać mitologiczna – odparł Nodham. – Właśnie porzucił ją Tezeusz po tym, jak pomogła mu wydostać się z labiryntu, gdzie zabił Minotaura. Orszak Dionizosa budzi ją do życia.

– Aha – mruknął Paul Hjelm. – A więc to jest...

– Właśnie – potwierdził Graham D. Nodham. – To jest Ariadna.

No shit

Haga, 11 kwietnia

DWIE NIEBIESKAWIE BŁYSKAWICE przecięły przypominające katedrę pomieszczenie i objawienie stało się faktem.

– *This is Rome* – powiedział Rzym z jednej ściany.

– *This is Riga* – powiedziała Ryga z drugiej ściany.

– *This is the Hague* – powiedział Angelos Sifakis z miejsca pośrodku. – Jak tam na obrzeżach Europy?

– Tutaj wspaniale – odparła Donatella z Rzymu i uśmiechnęła się promiennie. – W Rzymie środek lata.

– Tu w Rydze nie widać lata – rozmówca z Rygi miał nieprzenikniony wyraz twarzy. – Prędkiej jesień.

Szaro i zimno. Zwłaszcza jeśli uwzględnić wiadomości, które mam wam do przekazania. Jak wiecie, w naszym kraju w tej chwili nie za dobrze się wiedzie. Ciężkie czasy.

– I to ma jakiś związek z tym, co masz nam do przekazania, Bendiks?

Arto Söderstedt przyglądał się nieruchomym rysom twarzy na ekranie i próbował skojarzyć z nią imię Bendiks. Poszło mu lepiej, niż się spodziewał. No pewnie, że to Bendiks.

– Tak – przyznał Bendiks z Rygi. – Zlokalizowaliśmy ten komputer w budynku rządowym, tu w Rydze.

Należy do sekretarza stanu odpowiedzialnego za ochronę środowiska.

– Za ochronę środowiska?! – wybuchnął Söderstedt.

– Zgadza się – potwierdził Bendiks. – Ten, którego nazywacie Kaspars Helmanis, nazywa się

w rzeczywistości Kristaps Bergmanis. Jego komputer ma numer IP, który nam podaliście.

– Możesz powiedzieć o nim coś więcej? – poprosił Sifakis. – Nie ma podejrzanej przeszłości?

Żadnych potencjalnych powiązań z przestępczością zorganizowaną?

– Nic na to nie wskazuje, nie. Natomiast jego departament przeżył ostatnio potężne cięcia budżetowe.

Gdy kraj znajduje się na skraju bankructwa, to nie jest pora, by traktować priorytetowo ochronę środowiska.

– Dość częste zjawisko – stwierdził Söderstedt.

– Wygląda natomiast na to, że Kristaps Bergmanis nadal zмага się z cięciami budżetowymi.

Dowiedzieliśmy się, że ma reputację uciążliwego.

– A teraz wszystko wskazuje na to, że skontaktował się z włoską mafią w związku ze zrzutem toksycznych odpadów – stwierdził Sifakis. – Interesujące. Może się wydawać, że to jakaś skrajna forma gry na dwie strony.

– To całkiem prawdopodobne wytłumaczenie – podsumował Bendiks w Rydze.

– Mam upoważnienie, by wysłać do was dwoje ludzi – powiedział Sifakis. – Przypuszczam, że nie muszę podkreślać, jak ważne jest zachowanie tajemnicy?

– Nasza krajowa grupa, równie dobrze jak wszystkie pozostałe, zdaje sobie sprawę z podstawowych

założeń naszej współpracy – odparł ostro Bendiks.

– Tych dwoje, którzy przyjadą incognito, to Laima Balodis z Litwy i Jorge Chavez ze Szwecji.

– Ze Szwecji? – mruknął Bendiks. – W tej chwili na Łotwie nie przepadamy za Szwecją.

– Tu Chavez – powiedział Chavez. – Słucham cię.

– Nie mam ochoty mówić o polityce – oświadczył Bendiks.

– Złota zasada obowiązuje jak zwykle – odparł Chavez. – Jeśli się powiedziało A, trzeba powiedzieć

B.

Bendiks ani trochę nie zaniemówił. Odpowiedział:

– Szwedzkie banki komercyjne zarobiły gigantyczne sumy na udzielaniu olbrzymich kredytów każdemu nienawykłemu do kapitalizmu Łotyszowi, jaki tylko wyciągnął rękę. Mówi się, że do kieszeni banków wpłynęło dwadzieścia pięć miliardów szwedzkich koron czystego zysku. Potem przyszedł kryzys, właśnie dlatego, i teraz Szwecja żąda od Łotwy gigantycznych cięć budżetowych jako warunku poparcia pożyczki kryzysowej, żeby Łotysze mogli spłacić swoje kredyty w szwedzkich bankach komercyjnych. Spróbuj się trochę wczuć i powiedz, jak się z tym czujesz.

– Trąci to trochę kolonializmem – odparł Chavez.

Było wyraźnie widać, jak Bendiks zaciska zęby.

– Marks pewnie mógłby tak powiedzieć, nie wierząc tak naprawdę w to, co sam mówi: państwo sponsoruje kapitał, żeby ten kapitał mógł porządnie wyssać mały, biedny kraj. I to w dwudziestym pierwszym wieku. Chociaż mogliśmy nauczyć się czegoś z poprzedniego wieku.

– Cholernie rzadko się zdarza, żeby Bałt powoływał się na Marksa – zauważył Fabio Tebaldi. – Sam mam zwyczaj nazywać siebie ostatnim marksistą.

– Czasy są specyficzne – stwierdził Bendiks. – Kapitalizm mógł się chwilę zastanowić i pomyśleć w kategoriach własnego wizerunku. Można było pomyśleć: „Wygraliśmy, naprawdę wygraliśmy na całym świecie. Nikt już nie kwestionuje, że społeczeństwo zbudowane na podaży i popycie jest najlepsze. Jeśli nie będziemy tego naginać do granic możliwości, wszyscy ludzie na całym świecie będą po naszej stronie. Istnieje straszliwa strona kapitalizmu, kompletnie nieludzka, wiemy o tym i chcemy unikać jej okazywania. Wtedy ludzie będą nas popierać”. Zamiast tego zrobili na odwrót. Przejechali się po wszystkim i po wszystkich i teraz nie przetrwają. Świat stanie w płomieniach, a ja jestem pierwszy, który będzie tego żałował.

– I ty nie chciałeś mówić o polityce? – spytał Chavez.

– Przepraszam – powiedział z surową miną Bendiks.

– Ale masz rację – stwierdził Tebaldi. – Widziałem z bliska czysty kapitalizm. To mafia.

– Albo szwedzkie banki – powiedział Bendiks. – Dla nas to na jedno wychodzi.

– I tak zamierzam przyjechać i cię odwiedzić – odparł Chavez. – Wygląda na to, że będziemy mieli sporo wspólnych tematów, jeśli zaprosisz nas na najlepszą wódkę w Rydze.

Nie można powiedzieć, by Bendiks się uśmiechnął, ale wydawało się, że jego kamienne rysy na krótką

chwilę złagodniały.

– Chyba ty będziesz musiał stawiać, Chavez – odparł.

Chavez się roześmiał.

– Obiecuję.

– A jak tam z Roma Amor? – spytał Tebaldi. – Teraz chcę usłyszeć od ciebie bardzo dokładny adres, Donatello.

– To zależy od tego, czy chcesz wywołać marksistowską rewolucję w południowych Włoszech – odparła Donatella z Rzymu.

– Obiecuję – zapewnił Tebaldi.

– Rzeczywiście mam adres – powiedziała Donatella. – To mała góraska wioska na wyżynie Bazylikaty, faktycznie na północ od Potenzy. Chodzi podobno o podupadłą renesansową willę. Prawie zameczek, lecz z zapadniętym dachem. Niemniej jest tam zarejestrowane łącze internetowe z adresem IP, który podaliście i na podane przez was nazwisko Ottavio Mascaro. Wysyłam mailem koordynaty GPS.

Tebaldi skulił się na krześle. Pozostali zebrani w sali konferencyjnej usłyszeli, jak wydycha powietrze, co wydawało się trwać w nieskończoność.

– Szkoda, że cię tutaj nie widzę, Fabio – powiedziała Donatella. – Z tego, co zrozumiałam, masz się dostać do kraju na własną rękę.

Ponieważ Tebaldi sprawiał wrażenie, jakby nie był w stanie odpowiedzieć, Sifakis zrobił to za niego.

– Zgadza się, Donatello. Chociaż mogę cię potrzebować. A nawiasem mówiąc, przypuszczam, że nie muszę podkreślać, jak ważne jest zachowanie tego w tajemnicy?

– Słyszałam to za pierwszym razem – odparła Donatella. – A odpowiedź brzmi: nie. Nie musisz.

– Doskonale – stwierdził Sifakis. Rzym i Ryga, prześlijcie mi wszystkie potrzebne informacje i spodziewajcie się niedługo wizyty.

– Oczywiście – powiedziała Donatella.

– Oczywiście – potwierdził Bendiks.

Koniec wideokonferencji zapowiadał też zakończenie zebrania na miejscu. Sifakis zdążył jednak dodać na koniec:

– Fabio i Lavinia, wiecie, co macie robić. Laima i Jorge tak samo. Pozostali wracają na miejsca i pracują dalej. W Anglii sporo się wydarzyło. Chiński trop jest teraz na poważnie częścią naszej roboty. Dzięki Jucie Beyer.

– Tybetański – poprawił Arto Söderstedt. – Jeśli mogę prosić.

– O tym się dopiero przekonamy – stwierdził Angelos Sifakis. – Ruszajcie już.

Jutta Beyer uśmiechnęła się słabo. Söderstedt powiedział:

– Co się tak głupawo uśmiechasz? Pora zabrać się do roboty.

– Mogę pracować i uśmiechać się równocześnie – odparła Jutta Beyer, gdy wracali na swoje miejsca.

– I jeszcze chodzić! – uzupełnił Söderstedt. – Co za fantastyczna wielozadaniowość.

– W odróżnieniu od ciebie – stwierdziła Beyer. – Twoja pamięć naprawdę szwankuje. Niewiele udało nam się wydobyć z tego twojego szeregu sylab. Pewnie będziemy musieli skorzystać z hipnozy, choć pewnie wydaje ci się to trochę śmieszne. Rozmawiałam z hipnotyzerem z Amsterdamu, który polecił mi innego, z Bredy. Specjalnie dopasowanego do twoich potrzeb.

– Daj spokój – burknął Söderstedt, budząc komputer szybkim ruchem myszki. – Znaleźliśmy rzekę. Przecież to mówiłem.

– Ale niewiele więcej – odparła Beyer i zacinając się kilka razy, odczytała z coraz bardziej pogniecionej samoprzylepnej karteczki przy monitorze: – „ksangpudygrgymongultjudygnialkridingyljiang”. To na początku to bez wątpienia „gtsang po”, które ty wypowiadasz „ksangpu”. To tybetańskie słowo oznaczające rzekę. Potem robi się trudniej. Odejmiemy tybetańską rzekę na początku i chińską rzekę na końcu. Pozostaje nam „dygrgymongultjudygnialkridingyl”, a to niewiele daje.

– Nagrałem to najlepiej, jak potrafiłem, i wysłałem do różnych ekspertów – odparł Söderstedt. – W każdym razie to dowód, że chodzi o tybetański. Przynajmniej częściowo.

– Zastanawiałam się nad tym „mogul” mniej więcej w środku – powiedziała Beyer. – I jeszcze nad „dyg”, które pojawia się chyba dwa razy. Jesteś pewien, że to brzmiało dwa razy tak samo, na początku i pod koniec?

– Niczego nie jestem pewien – odparł Arto Söderstedt. – Ale jeśli jako podstawowe założenie przyjmiemy, że z rzeką na początku i na końcu trafiłem dość blisko, to może porównanie między „ksangpu”, które usłyszałem, i tym „gtsang po”, które jest poprawne, wskazuje mniej więcej, jak dokładnie to słyszałem.

– Ani słowo „mogul”, ani słowo „dyg” nie istnieje – stwierdziła Beyer – włączając komputer. – Znalazłam naprawdę dobry słownik tybetańskiego w sieci. Z wymową. Posłuchaj teraz „gtsang po”.

Komputer powiedział maszynowym głosem:

– *Gtsang po.*

– Tak, tak – mruknął Söderstedt. – To się wydaje całkiem prawdopodobne. Ale jeśli „mogul” jest słowem, to wtedy poprzednie słowo brzmi „rgy”. O ile „dyg” jest słowem.

– A najwyraźniej nie jest – powiedziała Beyer. – „No hit”, jak dobitnie twierdzi komputer.

– Nie możesz zrobić tak, żeby to też powiedział?

– Z drugiej strony „rgy” to zdecydowanie nie słowo.

– To musi być jakoś inaczej – stwierdził Söderstedt i zaczął rozsuwać litery na monitorze.

– Mam tu stronę internetową z rzekami Tybetu – powiedziała Jutta Beyer. – Spróbuję wyszukać tyle nazw tybetańskich rzek, ile tylko się da. Skoro pierwsze, co on ci powiedział, to rzeka, a potem na chwilę przed śmiercią zakończył tym samym słowem, tyle że po chińsku, to na pewno to musi być samym sednem. Musiał też wypowiedzieć nazwę rzeki. To jest gdzieś tu.

– Czyli uważamy, że chciał mi powiedzieć, że coś się dzieje z jakąś tybetańską rzeką? – spytał

Söderstedt, dalej rozdzielając litery.

– Bardzo prawdopodobne – stwierdziła Beyer. – I że sam mieszka i może pracuje nad tą rzeką. Jest osobiście dotknięty przez to wydarzenie, które zapewne polega na jakiejś emisji toksyn. Obficie się poci. Może być i tak, że podał trochę więcej istotnych informacji. Pewnie chodzi o jakąś kopalnię, fabrykę albo miejsce, w którym wojsko przeprowadza jakieś testy i wypuszcza gówno do rzeki.

– Co mogłoby to mieć wspólnego z Barackiem Obama? – spytał Söderstedt. – Po co zwracać się do Zachodu?

– To musi mieć jakiś związek z Zachodem. W ten czy inny sposób. Pewnie ekonomiczny.

Arto Söderstedt przestał grzebać w literach. Oparł się na krześle, splótł ręce na karku i spytał:

– Mamy na myśli Stany Zjednoczone, tak?

Jutta Beyer też przestała stukać w klawiaturę, odwróciła się i rzuciła:

– Niekoniecznie, a co?

– Wyjaśnij mi, jak myślisz.

– Czytałam o nadmiernej potliwości w związku z produkcją mebli. Naszym jedynym powiązaniem z przemysłem meblarskim jest szwedzka fabryka używająca chemikaliów, które w zbyt wysokim stężeniu wywołują u ludzi nadmierną potliwość. Fabryka mająca problemy z podróbkami.

– Z Chin – pokiwał głową Söderstedt. – Poza tym nie ma żadnego innego związku.

Jutta Beyer z rezygnacją machnęła ręką.

– No dobra, to tylko taki pomysł – powiedziała.

– Zapamiętaj go – rzucił Söderstedt. – Nauczyłem się doceniać twoje pomysły.

Wrócił do monitora, by nie patrzeć, jak Beyer ukradkiem się uśmiecha, zadowolona z siebie.

– Słuchaj – odezwał się po chwili. – Nie moglibyśmy przeprowadzić porządnej analizy komputerowej tego, co nam zostało z tych sylab?

– Nie wiem jak – odparła Beyer. – To w końcu opiera się na twoich wspomnieniach. Nie zgadza się co do litery, a wtedy komputer tylko zgłupieje. Jedyna symetria, jaką widać, to dwa „dyg”. Jesteś pewien tego „dyg”?

– Przestań marudzić – burknął Söderstedt. – Niczego nie jestem pewien, mówiłem przecież. W mojej głowie te dwa „dyg” brzmią tak samo. Ale to nie znaczy, że to musi być „dyg”. Równie dobrze to może być *fucking* „dog”.

– Dobra – powiedziała Jutta Beyer i wpisała „dog” do słownika internetowego. Komputer odpowiedział: „No hit”. W tym momencie Beyer walnęła w komputer z forehandu godnego Jianga Jialiang.

– „Ksangpudyg” – sapnął Söderstedt i pokręcił głową. – Lepiej sobie nie przypomnę. Faktycznie, mam takie wrażenie, jakby to „dyg” na początku było osobnym słowem. Była tam mikroskopijna pauza. Do diabła! W sumie nie wiem...

Teraz Jutta Beyer pokręciła głową.

– Wcześniej to była tylko zabawa, Arto. I... nie przerywaj mi teraz... może nie zabawa, ale tylko twoja prywatna obietnica złożona Zhang Sangowi. Teraz to ma zupełnie inny wymiar. Teraz wiemy, że potrącenie Zhang Sanga to przestępstwo, morderstwo z premedytacją. Wszystko wygląda zupełnie inaczej. Po prostu musisz dojść do ładu z tą plątaniną sylab.

Rysy Söderstedta się zmieniły. Jego twarz zmarszczyła się z wysiłku. Oczyma wyobraźni znów widział to wszystko. Jego spojrzenie spotkało się ze spojrzeniem Zhang Sanga w chwili, gdy zobaczył go wybiegającego na jezdnię. Zobaczył, jak ze straszliwym, jakby spóźnionym dźwiękiem potrąca go samochód. Jak Zhang Sang upada, a on sam przeskakuje przez barierkę, choć nie robił tego od co najmniej trzydziestu pięciu lat. Jak pochyla się nad zakrwawionym mężczyzną i przysuwa ucho do jego ust. Jak słucha.

Słucha.

Usłyszał. Krew obryzgała mu ucho, dostała się głębiej, do środka. I znów to usłyszał. Cały szereg sylab. Teraz szło to jeszcze szybciej. Jakby Zhang Sang pluł mu do ucha dźwiękami. Po raz kolejny usłyszał dokładnie to samo. Nic się nie zmieniło.

Nic się nie zmieniło.

Gdy otworzył oczy, zobaczył, że Jutta Beyer trzyma komórkę. Zasłoniła mikrofon dłonią i przekazała mu ją bez słów, tylko przesadnie poruszając ustami:

– Hipnotyzer.

Söderstedt sceptycznie pokręcił głową i powiedział:

– A czemu nie astrolog? Albo ktoś, kto wróży ze szcurzych wnętrzności? Albo irydolog?

– Słyszałam – powiedziała po angielsku komórka z wyraźnym niderlandzkim akcentem i kobiecym głosem.

– Przepraszam – rzuciła Beyer do słuchawki. – Mój kolega nie jest dziś sobą.

– Proszę mi pozwolić z nim porozmawiać – powiedziała komórka.

Beyer wyciągnęła rękę. Söderstedt spojrział na komórkę, jakby to był kawałek łąjna. Beyer znacząco nią potrząsnęła i Söderstedt uległ.

– Wiem, że to się może panu wydawać parapsychologią – powiedział głos – ale pozostaje faktem, że dość często wykonuję zlecenia dla policji holenderskiej.

– Może mają inne kryteria obiektywności niż ja – mruknął Söderstedt.

– Albo inne kryteria empiryczne – odparł spokojnie głos. – I po prostu mogli stwierdzić, że to czasem działa. Nie zawsze, ale czasem. W każdym razie rzadko się zdarza, by można było na tym coś stracić.

– Z wyjątkiem godności – burknął Söderstedt.

– A ta jest często zbyt ciężkim ciężarem – odparła mu kobieta. – Nazywam się Daatje Ganesvoort i jestem dyplomowanym lekarzem i psychoanalitykiem. Do tego hipnotyzerką.

– Gdzie, do cholery, jest ta Breda? – spytał Söderstedt.

– I tak trzymać – roześmiała się Daatje Ganesvoort.

Söderstedt oddał komórkę Jucie Beyer, która dokończyła rozmowę.

– Niedaleko granicy belgijskiej – wyjaśniła, gdy zakończyła rozmowę. – Umówiłam nas na poniedziałek.

– Hm – mruknął Söderstedt i wpisał słowo do komputera Beyer. To było słowo „dug”.

– Może raczej tak to brzmiało – stwierdził.

– Jesteś pewien?

– Im więcej razy zadajesz mi to pytanie, tym mniej cię szanuję, Jutto Beyer.

– Spróbujemy – rzuciła i wprowadziła do słownika „dug”.

Komputer maszynowym głosem powiedział:

– *Dug.*

A potem nie powiedział „*No hit*”. Zamiast tego wypluł z siebie:

– *Poison.*

– *No shit* – westchnął Arto Söderstedt.

Twitter

Londyn, 11 kwietnia

LONDYŃSKI PORT był niegdyś, wcale nie tak dawno temu, największy na świecie. Kiedy jednak powiał wiatr przemian, skutki tego były natychmiastowe. Nad wschodni Londyn nadciągnął orkan i wytyczył nieprzekraczalną granicę między „przedtem” a „potem”. Miało to związek z kontenerami.

Wszystkie ładunki na długich trasach zaczęto przewozić w kontenerach. Oznaczało to, że statki stały się większe. A to z kolei sprawiło, że nie mieściły się już na Tamizie. Londyński port umarł nagłą śmiercią. Między rokiem tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym a tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym zamknięto wszystkie części portu i we wschodnim Londynie powstało niemal coś takiego jak berlińska ziemia niczyja. W ślad za tym błyskawicznie pojawiły się wysokie bezrobocie i ogromne problemy społeczne.

Coś takiego było nie do pomyślenia w światowej metropolii. W każdym razie nie tak blisko centrum. Zwłaszcza w erze Thatcher, erze, która była ukoronowaniem neokolonializmu i początkiem naszych czasów. Michael Heseltine, baron, biznesmen i minister ochrony środowiska, stworzył na początku lat osiemdziesiątych The London Docklands Development Corporation (LDDC), która zaczęła eksploatować podupadły rejon portowy. Zbudowano tam luksusowe mieszkania, a dotychczasowych mieszkańców usunięto z hukiem, utworzono „*enterprise zone*”, w której wielkie firmy nie musiały płacić podatku od nieruchomości i dostały pakiet ulg podatkowych. Powstała gigantyczna dzielnica finansowa Canary Wharf, doprowadzono tam linię kolejową, ukończono śmiały projekt London City Airport. Gdy LDDC wycofała się po dramatycznych pięciu latach działalności, istnienie London Docklands było faktem.

Jechali taksówką z południa miasta. Paul Hjelm nagle poprosił kierowcę, by zwolnił. Corine Bouhaddi spojrzała na szefa pytająco, nie po raz pierwszy od Chislehurst. Nie udało mu się do końca wyjaśnić jej sprawy Ariadny. W końcu się poddał. Nadąsała się i ukradkiem wyglądała przez okno. A teraz to.

– To było tutaj – wyjaśnił Hjelm i wskazał na niczym niewyróżniający się odcinek jezdni. – Dokładnie tutaj potracono naszego Tybetańczyka. Tu stał Arto Söderstedt. Tu Zhang Sang przeskoczył przez barierkę, tu zginął. A tam – kontynuował, wskazując na betonowego kolosa w dole nad Tamizą – tam jest ExCeL Exhibition Centre i tam ponad tydzień temu przywódcy dwudziestu najbogatszych krajów świata dyskutowali o kryzysie finansowym.

– Kraje G-20 – kiwnęła głową Bouhaddi. – Teraz publiczne pieniądze są tylko po to, by ratować prywatne instytucje finansowe, które dopuściły się zaniedbań.

Nagle kilka fortepianowych tonów przeszło ciało Paula Hjelma z góry na dół. *Premonition* – ostrzeżenie, zapowiedź, przeczucie. Wzdrygnął się.

Wtedy komórka Corine Bouhaddi zawibrowała, co oznaczało nadejście SMS-a. Bouhaddi odczytała go po cichu i podała telefon Hjelmowi, który odczytał na głos:

– „Niestety, muszę odwołać nasze spotkanie. Pilne sprawy wymagają mojej obecności gdzie indziej.

Cóż, takie jest życie w branży ochroniarskiej. Możemy spróbować umówić się innego dnia. Przepraszam. Liczę na państwa wyrozumiałość. Ray Hammett, szef bezpieczeństwa Asterion Security Ltd.”.

– No, no – mruknęła Bouhaddi. – Nie spodziewaliśmy się tego?

– Trochę tak, prawda? – stwierdził Paul Hjelm, gdy taksówka wjechała na teren Docklands.

– Nie zastanawiało cię jedno? – spytała Bouhaddi z wzrokiem utkwionym w Tamizę.

– Co?

– W tych sprawach nie ma żadnych drani.

Hjelm zamrugał, pozwalając, by dotarł do niego sens jej słów.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Jest wiele przestępstw, ale nie ma żadnych przestępców.

– Myślałem podobnie. Widzimy tylko ofiary. Zaliczam do nich również Marka Payne’a.

– David Coleman jest przestępcą, ale zniknął. Tych dwóch zidentyfikowanych w Hadze też. Jak im było? Il Ricurvo, Il Sorridente? To tylko cienie. Do tego mamy nieznaną przestępców w Hampstead Heath i w New Scotland Yardzie, nieznaną statek, który pływa wzdłuż wybrzeży Europy, nieznanego szefa bezpieczeństwa o podejrzanym nazwisku Hammett i dwa rozmyte cienie Ottavia Mascaro i Kasparsa Helmanisa. Wszędzie widma.

– Według najnowszych informacji z Hagi Helmanis wydaje się kimś rzeczywistym. Sekretarzem stanu z Rygi.

– Cudownie, gdyby to była prawda – stwierdziła gorzko Bouhaddi. – Ważny polityk z departamentu ochrony środowiska toruje drogę dla zrzutu toksycznych odpadów wzdłuż wybrzeża własnego kraju. Oby spłonął w piekle. Mimo wszystko nie jesteśmy choćby blisko samej góry. Brakuje mi konkretnych przestępców.

– Obawiam się, że tak wygląda przestępczość w naszych czasach – odparł Paul Hjelm. – Decydentów nigdy nie widać. Walczymy z duchami, z cieniami. Z czymś równie niekonkretnym jak nasza epoka.

Taksówka nagle się zatrzymała. Hjelm spojrzął za okno i zobaczył bezpretensjonalny budynek stojący w cieniu drapacza chmur. Wysiedli. Hjelm poprosił taksówkarza, żeby na nich zaczekał.

Wokół nich rozciągały się tereny London Docklands. Istny groch z kapustą: drapacze chmur wielkich firm i domy mieszkalne, które nie wyglądały przesadnie luksusowo. Miejsce bez duszy i bez historii. Albo raczej z dokładnie pogrzebaną historią.

Pod niezbyt wymyślnym logo firmy na ścianie niskiego budynku przypominającego barak widniał napis „Asterion Security Ltd.”. Logo składało się z grubego złotego A, którego pozioma kreska wykonana była z czarnego drutu kolczastego wystającego po obu stronach. Hjelm usiłował nie zastanawiać się nad tym, jakie było rozumowanie agencji reklamowej, która stworzyła to wizerunkowe cudo. Musiał się skupić na czymś innym. Na przykład na niemal warownej bramie z mnóstwem zamków i alarmów, która była wejściem do Asterion Security Ltd. Spojrzął najpierw na nią, potem na Bouhaddi. Rozłożyła ręce i pokręciła głową. Wyglądała na wkurzoną. Bojowo nastawioną. Problem polegał na tym, że nie było

z kim się bić.

– Pan szef bezpieczeństwa Ray Hammett nigdy nie zamierzał się z nami spotkać – stwierdziła.

– Zamknięte na cztery spusty – powiedział Hjelm. – Ciekawe, czy w ogóle ktoś tu wróci.

– Znowu duchy – westchnęła Bouhaddi. – Kurwa, jak ja ich mam dość. Aż nadto się ich naoglądałam w dzieciństwie.

Hjelm wyjął komórkę i przesunął palcem po wyświetlaczu.

– Ciekawe, czy Miriam zdążyła coś wyczytać o Asterionie – powiedział i natychmiast usłyszał odpowiedź.

– Dziwne – stwierdziła Hershey na drugim końcu Londynu. – Właśnie zamierałam wybrać twój numer.

– Asterion wybył – powiedział Hjelm. – Przyjrzałaś im się dokładniej?

– Nie za bardzo – odparła Hershey. – Za to mam parę innych rzeczy. Po pierwsze, udało mi się zdobyć niesamowicie obszerną listę serwerów mailowych na całym świecie. A przynajmniej w Europie i w Stanach Zjednoczonych.

– Jak się zdobywa taką listę? – spytał Paul Hjelm.

– Nie chcesz wiedzieć.

– No tak. I przypuszczam, że się nie dowiem. Chociaż jestem twoim szefem.

– W każdym razie nie przez telefon. Uruchomiłam automatyczne wyszukiwanie „e98weriN” i „79sYsd76”. Teraz komputer się nad tym biedzi. Oczywiście nie wiadomo, czy lista jest kompletna i jak duże są na niej luki, ale istnieją spore szanse, że gdzieś będziemy mieli trafienie. Oczywiście, o ile w ogóle chodzi tu o adresy mailowe.

– Doskonale – pochwalił Hjelm. – Ile może trwać takie wyszukiwanie?

– Od kilku godzin do tygodnia – odparła Hershey. – Niestety, trudno to przyspieszyć.

– A inne rzeczy? – spytał trochę niewdzięcznie Hjelm.

– Przeszukałam zgłoszenia przyjęte przez policję londyńską w ciągu ostatniego tygodnia. Użyłam do wyszukiwania słów „draperie” i „żaluzje”. Wśród tych wszystkich idiotycznych włamań i nieudanych podpaleń znalazłam zgłoszenie z hotelu w Bayswater. Gość hotelowy uciekł, nie tylko nie zapłaciwszy rachunku, lecz także, cytuję: „Dokonał poważnej dewastacji żaluzji w pokoju i zniszczył przy tym rączkę do ich regulowania”. Typowe zgłoszenie na policję, żeby dostać pieniądze z ubezpieczenia. Nic więcej.

– Tym lepiej dla nas – powiedział Paul Hjelm. – Świetna robota, Hershey. Adres?

Dostał ten adres i zakończył słowami:

– Przyłóż się teraz do sprawy Asteriona.

Nie odpowiedziało mu nic prócz wymownej ciszy.

Taksówka ruszyła. Hejlm odwrócił się do Bouhaddi i spytał:

– Naoglądałaś się duchów w dzieciństwie?

Spojrzała na niego zaskoczona. Zrozumiała, że nie doceniała tego mężczyzny. Odparła:

– Tak. Pewien duch siał spustoszenie wśród Berberów w Safi. W Maroku, gdzie się wychowałam.

– I ten duch był przy tobie cały czas?

– Póki rodzina nie przeprowadziła się do Marsylii, tak. Nazywała się Aisza Kandisza. Jeszcze dziś ciarki mnie przechodzą, kiedy o niej myślę.

– Trochę jak nasi przestępcy, nieuchwytni jak duchy – stwierdził Hjelm.

Sobotni ruch nie był duży, lecz samochody poruszały się znacznie wolniej niż w dzień roboczy. Taksówka wyminęła slalomem wlokących się niedzielnych kierowców i okrążyła Hyde Park w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Zaskakująco szybko dojechali na Queensborough Terrace w Bayswater.

Z zewnątrz hotel wydawał się jednym z lepszych w tej najgęściej zabudowanej dzielnicy hotelowej na świecie, w której jeden zapchlony hotelik niemal stał na drugim. Recepcja faktycznie wyglądała jak recepcja, lobby przynajmniej z grubsza przypominało lobby hotelowe. Hjelm bardzo skrupulatnie przedstawił, z jaką sprawą przyszli, i spotkał się z niezbyt entuzjastyczną reakcją portiera ze Sri Lanki. Pokój wynajęto kolejnemu gościowi, londyński przemysł turystyczny kwitł dzięki sztucznie nakręcanej koniunkturze. Tak więc nie dostali klucza i ruszyli po schodach prowadzeni przez pełną niechęci birmańską sprzątaczkę. Na schodach leżała czerwona wykładzina – im wyżej, tym bardziej zakurzona. Zapewne tak wysoko w budynku nikt nie kontrolował jakości pracy personelu. Albo raczej tak głęboko w labiryncie, bo im dalej prowadziła ich birmańska sprzątaczką, tym bardziej budynek przypominał labirynt. Schody biegingy we wszelkie możliwe strony i po chwili nie potrafili powiedzieć, jakie jest ich położenie względem Queensborough Terrace.

W końcu dotarli do celu. Birmańska sprzątaczką ze złością przekręciła w zamku staromodny hotelowy klucz i weszła do pokoju.

Ani Hjelm, ani Bouhaddi nie podążyli za nią. Powód był prozaiczny: nie było tam dość miejsca dla drugiej osoby. To musiał być jeden z najmniejszych pokoi hotelowych na świecie, raczej kłitka albo schowek niż prawdziwy pokój. Miał jednak małe okno. A w nim żaluzje.

Hjelm delikatnie, lecz stanowczo wyciągnął sprzątaczkę z pokoju i sam do niego wszedł. Wepchnął się w szczelinę za łóżkiem i w ten sposób zrobił miejsce dla Bouhaddi.

Rączka do regulowania kąta nachylenia listewek żaluzji miała postać półsztywnej, przezroczystej plastikowej rurki. Bez wątpienia była zbyt krótka, miała zaledwie kilkanaście centymetrów, a jej koniec najwyraźniej obcięto.

Hjelm pochylił się nad mikroskopijnym nocnym stolikiem. Leżały tam mały notatnik, ołówek i długopis. Na wszystkim widniały nazwa oraz logo hotelu. Papier był stosunkowo gruboziarnisty, niebieskozielonkawy. Pokrywały go jakieś niewyraźne linie.

Niczym prawdziwy staromodny detektyw Paul Hjelm zaczął przesuwac po powierzchni papieru boczną powierzchnią grafitu dobrze zatemperowanego ołówka. Z plątaniny znaków wyłoniły się wyraźne litery tworzące zdanie: „Do jednostki operacyjnej Europolu”.

I nagle poczuł się tak, jakby przy tym był. Dopiero teraz zauważył w charakterze pisma desperację, rozpaczliwą desperację. Na chwilę stał się kobietą, zdrową, wysportowaną kobietą w wieku około trzydziestu pięciu lat, białą, ciemną blondynką, metr siedemdziesiąt dwa wzrostu, pięćdziesiąt osiem kilogramów. Stał się Ariadną.

Wie, co ją czeka. Jest ścigana, polują na nią. Wie, że jej prześladowcy są niebezpieczni, że nie cofną się przed niczym. Rozgląda się po klaustrofobicznej hotelowej klitce. Oddycha ciężko, wstaje, obchodzi pokój, którego ściany wydają się zacieśniać wokół niej. Coś do niej dociera: istnieje realne ryzyko, że będzie torturowana i zostanie zabita. Więc musi zostawić wskazówkę, coś, co przeżyje ją samą. Przypomina sobie, że słyszała o nowej jednostce policji, która zajmuje się przestępczością międzynarodową. Europejską przestępczością. Ma jedną albo więcej wiadomości dla „jednostki operacyjnej Europolu”. Są ukryte w sieci. I są ważne. Jej wzrok pada na plastikową rurkę do regulowania żaluzji i dociera do niej, co powinna zrobić. Tępy scyzorykiem odcina spory kawałek tej rurki, a z tego kawałka fragment, który ma niecałe dziesięć centymetrów. Odwraca się w stronę nocnego stolika i w pośpiechu zapisuje w notatniku dwie zaszyfrowane informacje „e98weriN” oraz „79sYsd76”, każdą w osobnej linii. Odrywa zapisany fragment karteczki bez hotelowego logo. Odwraca ją na drugą stronę, zapisuje tam adresata. Potem zwija karteczkę w rulonik, wsuwa ją do rurki, przygląda jej się. Teraz musi ją jakoś zabezpieczyć. Drżącymi rękoma odcina z wężyka jeszcze dwa kawałeczki plastiku, żeby zrobić z nich zatyczki. Wciska każdy kawałek we właściwe miejsce i spogląda na swoje dzieło. Sprawdza, czy krawędzie nie są ostre. Na koniec wsuwa rurkę do ust, zwilża ją śliną. Zsuwa majtki i powoli wprowadza rurkę do odbytu. Wreszcie opuszcza pokój.

Skąd pochodzi ta kobieta? Dokąd zmierza?

Dokąd się wybiera w ten czwartek czy piątek na początku kwietnia?

W jeden z dni, kiedy trwa London Summit?

Paul Hjelm otwiera oczy. Dociera do niego, że wcześniej musiał je zamknąć. Widzi, że Corine Bouhaddi też otwiera oczy. Również ona jeszcze chwilę temu była Ariadną. W innej sytuacji by się uśmiechnął i zrobiliby mu się ciepło na sercu. W innej sytuacji... Teraz tylko spojrział w ciemnobrązowe oczy swojej podwładnej. Była w nich absolutna powaga.

– London Summit – powiedziała Bouhaddi.

Paul Hjelm kiwnął głową i odparł.

– Twitter.

Bouhaddi wybuchnęła śmiechem.

– Naprawdę myślisz, że mogło tak być?

Hjelm rozprostował kark tak, aż zatrzeszczało.

– Ariadnę znaleziono w niedzielę rano. Zmarła w sobotę wieczorem, około dziewiątej. Przedtem przez wiele godzin była bita. Nie jadła od ponad dwunastu godzin. Jasne, że mogła wyjść w czwartek przed południem. Poprzedniego wieczoru zobaczyła na Twitterze wiadomość, że Barack Obama ma wysiąść

z limuzyny i spotkać się z ludźmi przy południowej bramce. Dokładnie tak jak Zhang Sang wszystkie swoje nadzieje związała z Obamą. W każdym razie to prawdopodobny przebieg wydarzeń. Desperacja Ariadny wskazuje na coś naprawdę poważnego.

Corine Bouhaddi badawczo spojrzała na szefa i stwierdziła:

– Ktoś, kto wysłał tę wiadomość na Twitterze, wywabił z ukrycia nie jedną, lecz dwie osoby. Osoby, których w inny sposób nie dało się namierzyć.

– Dwie pieczenie przy jednym ogniu – podsumował Paul Hjelm.

– Gdzie, do cholery, jest więc ten ktoś? Gdzie są nasi przestępcy? – rzuciła Corine Bouhaddi.

Alphabet City

Nowy Jork, 11 kwietnia

ALPHABET CITY powinno wyglądać inaczej. Po drodze wyobrażał sobie wszelkie możliwe wersje. Widział słowa sunące po ulicach jak małe pociągi, widział budynki zbudowane z tekstów i wielkie, zagmatwane labirynty liter. Okazało się jednak, że to małe miasto. Prowincjonalne miasteczko. Drzemało w cieniu Manhattanu, a jednak było Manhattanem.

Przystanął przy jednej z witryn. Spojrzał na obszerną kolekcję broni palnej. Powoli rozważył „za” i „przeciw”. Wszedł do środka. Musiał przecież zostawić broń służbową na policji w Krakowie. Wwiezienie broni do Stanów Zjednoczonych wymagałoby zbyt wielu skomplikowanych i rzucających się w oczy procedur biurokratycznych. Na miejscu kupno broni trwało chwilę. Uderzyło go, jak łatwo to poszło. Wyszedł na ulicę z nowym pistoletem w kaburze i małą latarką w kieszeni. Teraz przynajmniej nie czuł się już tak nagi.

Wędrował na wschód East 6th Street od Pierwszej Alei. Wkroczył do Alphabet City, przeszedłszy na drugą stronę Alei A, i ruszył spacerem w stronę Alei B. Było piękne wiosenne popołudnie. Puls zwolnił, oddech się uspokoił. Marek Kowalewski zaczął iść wolniej. Wszystko wyraźnie stało się bardziej senne. Odszedł najdalej, jak mógł, od Ground Zero i Wall Street. Alphabet City. Litery jako siedziba refleksji. Słowa niczym ukojenie dla duszy.

Wysublimowane myśli Marka Kowalewskiego uniosły się ku niebu, a on sam tym momencie został przejechany.

Na szczęście tylko przez rowerek na trzech kółkach. I na szwank zostały narażone tylko palce jego stóp. Niemniej mama zagapionego trzylatka przepraszała go bez końca. W końcu Kowalewski dał się namówić na cappuccino w pobliskiej kawiarence. Palce dawno przestały go boleć. Skorzystał z okazji i zapytał mamę, czy mieszka w okolicy. I faktycznie, mieszkała przy Alei B, niedaleko kwadratowego Tompkins Square Park.

– Nie wie pani może, czy w pobliżu nie mieszka gitarzysta o imieniu Kyle?

Usłyszał wypowiedziane słowa i pomyślał, że brzmią żałośnie. Zaplanował swoje następne posunięcia: spróbować się dowiedzieć, w jakim Kyle gra zespole, wyszukać i odwiedzić lokalne kluby z muzyką indie, usiąść w jakiejś kafejce internetowej i wygooglować porządnie tyłu nowojorskich gitarzystów, ilu się da... Wtem siedząca naprzeciw niego kobieta wyjęła sobie z ust palec wciąż zagapionego trzylatka i najspokojniej w świecie odparła:

– Kyle? Tak, nasze dzieci chodzą do tego samego przedszkola. O ile to o niego ci chodzi. Młody, z brodą, gitarzysta. Miły facet.

Kowalewski poczuł, że gapi się na nią zdumiony.

Widząc jego reakcję, uśmiechnęła się i dodała:

– Tu w Alphabet City mamy dobre relacje z sąsiadami.

– Czyli Kyle ma dzieci? Jest żonaty?

– Chyba rozwiedziony – odparła młoda mama.

Znów wyjęła z ust palec dziecka. Spróbowała napić się cappuccino, ale zamiast tego do jej ust trafił drugi palec.

Rowerek jakimś tajemniczym sposobem jeździł pod stołem, objając Kowalewskiemu kolana i golenie. Warto było zapłacić tę cenę, by niespodziewanie znaleźć trop.

– Jest świetnym gitarzystą – powiedział z przekonaniem.

– No nie wiem – roześmiała się kobieta. – Widziałam Dead Letter, gdy grali w zeszłym roku w Hunkies. Jak na mój gust, trochę za wrzaskliwe.

– Tak – przyznał Kowalewski. – Może wrzaskliwe, ale naprawdę niezłe. Nie wiedziałem, że Kyle ma dzieci.

I pomyślał: Alphabet City, Dead Letter. Na pewno jakaś miejscowa kapela. Grali w Hunkies, więc to pewnie też gdzieś tu w okolicy. Nie wypytuj za dużo. Zadawaj właściwe pytania. Nie policyjne.

– Opiekują się dziećmi na zmianę – wyjaśniła młoda mama.

Trochę cappuccino chlapnęło z filiżanki na ubranko dziecka. Nawet nie próbowała wytrzeć plamy.

– Odbiera dzieci co drugi tydzień. On tydzień i jego eks tydzień. Jakoś tak.

– Wiesz, gdzie mieszka? – rzucił jakby mimochodem.

W tym momencie dziecko ściągnęło obrus ze stołu i zapanował potworny chaos. Kowalewskiemu udało się uniknąć zalania kawą. Zdał sobie sprawę, że chwila na zadawanie pytań minęła i szybko się pożegnał.

Parę przecznic dalej znalazł obskurną kafejkę internetową. Usiadł przy komputerze, który, jak wszystko wskazywało, wiele przeszedł. Ciasny boks wydał się Kowalewskiemu brudny, gdy zagłębił się w klinicznie czystą cyberprzestrzeń. Dość szybko znalazł Hunkies. Faktycznie był to miejscowy pub. Witryna wyglądała, jakby zaprojektowano ją przed rokiem dwutysięcznym, ale na prymitywnych stronach odszukał grafik koncertów sięgający kilka lat wstecz. Odnalazł datę koncertu Dead Letter w listopadzie ubiegłego roku. I całkiem sporo o samym zespole.

Według artykułu w jednym z fanzinów internetowych Dead Letter był grającym indie zespołem z dolnego Manhattanu. Ich nazwa wywodziła się od starej płyty, na której R.E.M. zebrało trochę kawałków ze stron B swoich singli. Płyta nosiła tytuł *Dead Letter Office*. „Dead Letter” oznaczało dwie różne rzeczy. Mogło chodzić o listy, które nie docierają do adresata, i o prawa, które nie są już przestrzegane, martwe prawa – czyli martwe litery. Dobra nazwa dla kapeli z Alphabet City.

Zespół miał dwóch gitarzystów, z których jeden – według strony zespołu na MySpace – nazywał się Kyle Ritchie. Było tam parę zdjęć grupowych. Kowalewski wyrzył sobie w pamięci twarz Kyle’a, młodego, brodatego gitarzysty bez dwóch zdań wyglądającego na miłego gościa.

Potem wertował internetową książkę telefoniczną Nowego Jorku. Na Manhattanie nie było żadnego

Kyle'a Ritchiego. Zero trafień. Zespół był za mały, by mieć wytwórnę płytową. Jeśli chodzi o ich muzykę, w sieci nie było nic więcej prócz kilku plików mp3. Kowalewski ściągnął je i przesłuchał. Faktycznie były wrzaskliwe. I tak kiepskie, że Kyle Ritchie potrzebował też innej pracy. Kowalewski nabrał jednak nadziei, gdy przypomniał sobie, że jest sobota.

Ogólne wyszukiwanie w Google. Czas mijał.

Kilka trafień, w tym również na Facebooku. Problem polegał na tym, że było wielu Kyle'ów Ritchie. Kowalewski miał profil na Facebooku. Nie był do końca pewny, czy da się to pogodzić z jego życiem zawodowym, więc nie afiszował się z tym w Hadze. Teraz jednak profil mógł mu się przydać. Czterech facetów nazywających się Kyle Ritchie miało profile i zdjęcia, które przynajmniej z grubsza przypominały gitarzystę Kyle'a z Dead Letter. Kowalewski sprawdził grono znajomych, by się dowiedzieć, czy jakiś inny członek zespołu też ma profil na Facebooku. Niczego nie znalazł. W profilach czterech Kyle'ów Ritchie też nie doszukał się żadnych wskazówek.

Wysłał im zaproszenia do grona znajomych od wesołego Polaka, który uwielbia indiepop – a zwłaszcza nowojorski zespół o nazwie Dead Letter. Zapytał wszystkich czterech, czy nie są przypadkiem jednym z gitarzystów zespołu.

Jeden z nich był w tej chwili zalogowany i miał otwarty czat. Przyjął „wesołego Polaka” do grona znajomych, ale rozpoczął rozmowę od pytania, co to takiego indiepop. Gdy Kowalewski dostał dostęp do jego albumu, natrafił na fotografię, na której Ritchie wymachiwał flagą Konfederacji ubrany w sięgającą do kostek białą szatę. Kowalewski dzielnie mu odpowiedział, co myśli o muzułmańskich żydopedalach, i wymigał się od dalszej rozmowy. Pozostali trzej Kyle'owie Ritchie się nie odezwali.

Kowalewski dalej gorączkowo szukał. Czas mijał. Po jakiejś godzinie kolejny z zaproszonych Kyle'ów Ritchie pojawił się na Facebooku. Odpisał krótko i zwięźle: „*Sorry man*, nie ten Kyle Ritchie”. I odrzucił zaproszenie.

Two down, two to go, pomyślał Marek Kowalewski.

W Dead Letter grało pięciu facetów. Gdy uznał, że dowiedział się o Kyle'u wszystkiego, czego tylko mógł, i że nic mu to nie dało, zaczął sprawdzać pozostałych. W pewnej chwili zdawało mu się, że jest blisko. Greg Paysley, wokalista i pierwszy gitarzysta grupy, wygenerował najwięcej wyników. Kowalewski nie posunął się jednak naprzód – oczywiście istniała możliwość, że muzycy z Dead Letter używali pseudonimów – póki nie znalazł wywiadu w jakimś czasopiśmie internetowym. Greg opowiadał tam o swoim dzieciństwie w Queens. Stwierdził: „Szczerze mówiąc, jesteśmy z Queens, cała piątka. Ale tylko ja się z tym nie kryję (śmiech pozostałych)”. I oświadczył prowadzącemu wywiad: „Nie słuchaj śmiechu tych hien. *Fucking* Kyle ma przecież rodziców profesorów. Oboje rodziców! Profesorska rodzina z Queens. Naprawdę podejrzane, słowo daję (śmiech pozostałych z wyjątkiem Kyle'a)”.

Kowalewski poczuł świeży przypływ energii. Wyszukał w Google „*ritchie professor queens*” i faktycznie znalazł dwoje profesorów o nazwisku Ritchie. Mężczyznę i kobietę. Oboje byli zatrudnieni na Saint John's University w Queens. Zadzwoił do profesor Marthy Ritchie. W słuchawce odezwała się

jakaś kobieta. Kowalewski rozmawiał z nią z dziesięć sekund, nim pojął, że ten nieco nonszalancki głos należy do automatycznej sekretarki. Znowu – była przecież sobota. Państwo Ritchie figurowali jednak w książce telefonicznej. Faktycznie mieszkali w Queens. Pod jednym adresem. Numer ich telefonu był jednak zastrzeżony. Oczywiście istniała możliwość, że Kyle w weekend odwiedzał rodziców. Kowalewski zapisał sobie adres. No dobra, przecież Kyle mógł być równie dobrze na Bermudach.

Równocześnie na facebookowym czacie odezwał się trzeci Kyle Ritchie: „Chcesz autograf, Marek?”.

Kowalewski – jako stary wyjadacz – z dużą dozą sceptycyzmu odpisał: „Chętnie, Kyle. Skąd się wzięła nazwa waszego zespołu?”.

„Załatwię ci autograf. Możemy się przecież spotkać? Co powiesz na Chi Chiz, Marek?”.

Kowalewski błyskawicznie wyszukał w sieci Chi Chiz. Knajpka była całkiem niedaleko. I ewidentnie była lokalem dla gejów.

Marek Kowalewski w odróżnieniu od wielu swych rodaków nie był negatywnie nastawiony do homoseksualistów. Tylko nie miał wątpliwości, że gitarzysta grający indiepop i ojciec małych dzieci nie chciałby zaciągnąć nieznanego z Polski od razu do gejowskiego lokalu.

„Brzmi fantastycznie, Kyle” – odpisał – „ale wciąż mnie ciekawi, skąd wzięliście nazwę zespołu”.

Kyle Ritchie miał co najmniej minutę, by dokładnie tak jak jego rozmówca znaleźć odpowiedź w Google. Figurowała w sieci, dość łatwa do znalezienia. Ale ten Kyle Ritchie nie zamierzał jej szukać. Gdy Kowalewski uzyskał dostęp do jego zdjęć na Facebooku, mógł stwierdzić, że jest całkiem podobny do drugiego gitarzysty Dead Letters. Tyle że wyraźnie lubił ubierać się w wyzywające kobiece ciuchy.

Kowalewski westchnął i oderwał wzrok od monitora po raz pierwszy od wielu godzin. Na zewnątrz było zupełnie ciemno.

Znów przeszukiwał Facebook i nagle dotarło do niego, że miał się spotkać z Hannah Rowlins! Była za dziesięć siódma. Podjął szybką decyzję. To nie był Kyle Ritchie, którego szukał. Może powinien sprawdzić dokładniej, ale uznał, że jego decyzja jest mimo wszystko racjonalna. Zapłacił za korzystanie z komputera i wypadł na ulicę.

W Alei B wskoczył do autobusu M9, który wydawał się jechać na południe. Mignęło mu, że końcowy przystanek to Battery Park. Wyjął portfel i po gorączkowych poszukiwaniach odnalazł wizytówkę Hanny Rowlins.

Pearl Street? Gdzie to, u diabła, było?

Nieubłaganie minęła siódma. Autobus włókł się dalej, jakby wyszywał ściegiem krzyżykowym trasę na południowym Manhattanie. Przez Chinatown przejeżdżał wyjątkowo wolno. Ludzie łązili po jezdni, nie zwracając specjalnej uwagi na samochody. Kowalewski zatopił się w mającej jakieś dwa metry kwadratowe mapie Nowego Jorku. Żałował z całego serca, że nie ma lepszej komórki z różnymi aplikacjami i tymi wszystkimi bajerami. Utknął w opornej rzeczywistości. Intensywnie tęsknił za klinicznie czystą cyberprzestrzenią. Wystarczyłyby dwa szybkie kliknięcia i wiedziałby dokładnie, gdzie jest Pearl Street.

W końcu ze złością wyżył się na nieporęcznej mapie. Po tym akcie przemocy przypominała kulkę i była bardzo pognieciona. Pokazywała w każdym razie rejon Wall Street, bo to była jedyna wskazówka, jaką dysponował. Rowlins sprzedawała przecież odzież biznesmenkom w dzielnicy finansowej. Szukał, szukał i w końcu znalazł tę ulicę. Zaczynała się kawałek na północ od Wallabout Bay i faktycznie przecinała Wall Street. Wyskoczył na przystanku, który wydał mu się właściwy.

Dotarł do ekskluzywnego butików tuż przed wpół do ósmej. W środku było pusto, światła pogaszone. Chodnikiem pojedynczo i w grupach szli jacyś biznesmeni. Od czasu do czasu któryś z nich ze zdziwieniem spoglądał na drzwi butików.

Kowalewski zgiął się wpół, oparł ręce na kolanach i próbował złapać oddech. Od dawna tyle nie biegał. Gdy podniósł wzrok, zrozumiał, czemu przechodnie tak się dziwili. Na solidnych szklanych drzwiach przyklejono od środka kartkę.

Była napisana odręcznie i przyklejona tak, by tekst był widoczny od strony ulicy. Brzmiał: „Naprawdę jesteś obowiązkowym gliną, Marek. Słuchaj, Nowy Jorku: EUROPOL MA JEDNOSTKĘ OPERACYJNĄ”.

Chciało mu się śmiać. Prawdziwa wesołość ogarnęła go dopiero wtedy, gdy uporządkował myśli i zastanowił się, co może zrobić. Wchodził już wtedy do sąsiedniego sklepiku. Właściciel przyglądał się z wyniosłym sceptycyzmem rosłemu, rumianemu Polakowi. Przyjął zapłatę i sztywnymi ruchami zapakował towar w brązową papierową torebkę.

Marek Kowalewski wrócił do szklanych drzwi. Sięgnął do papierowej torebki, wyciągnął kupiony przed chwilą spray, zdjął zakrętkę, postrząsnął opakowaniem.

I zaczął spryskiwać szybę czarną farbą. Wkrótce nieprzezroczysta plama zasłoniła całą kartkę.

Skończył i obrócił się na pięcie. Ujrzał jakąś starszą panią z jamnikiem, która najwyraźniej obserwowała całą akcję. Przyglądała mu się, jakby właśnie była świadkiem napadu na niezwykle wartościowy transport. Wyrzucił spray i papierową torebkę do kosza na śmieci, wyminął panią z jamnikiem i szepnął do siebie:

– *I hate Chinese whispers.*

Potem wsiadł w taksówkę i pojechał do Queens.

Diaspora

Amsterdam – południowe Włochy – Ryga, 12 kwietnia

NIEDZIELNE POPOŁUDNIE, godzina trzynasta trzydzieści. Znajdowali się na Schiphol, trzecim międzynarodowym lotnisku na świecie, jeśli chodzi o intensywność ruchu pasażerskiego. Oczywiście nie powinni być w dwóch grupach – właściwie nie powinni tworzyć żadnych grup. Ale podróżowali z fałszywymi paszportami i każde z nich dobrze sobie przyswoiło przybraną tożsamość. Poza tym trzymali się na obrzeżach terminalu i na zmianę wypatrywali, czy nie są śledzeni. Ich samoloty odlatywały mniej więcej równocześnie.

Fabio Tebaldi i Lavinia Potorac siedzieli naprzeciw Laimy Balodis i Jorge Chavez. Niewiele mówili. Grali w karty.

Tak prosta gra jak w tysiąca mogła mieć bardzo różne zasady w zależności od kraju, to było dla nich jasne. Ledwie zdążyli się dogadać co do zasad i przy tym nie pokłócić, gdy wywołano pierwszy lot. Do Rzymu.

EasyJet, czternasta zero pięć na Aeroporto Leonardo da Vinci di Fiumicino, Roma.

Byłoby bliżej, gdyby polecieeli do Neapolu. Neapol oznaczał jednak większe ryzyko. Tebaldi chciał je podjąć, ale nie byli na to gotowi Hjelm ani Sifakis, Opcop ani Europol. Samo nakłonienie napakowanych ochroniarzy, by wzięli sobie kilka dni wolnego, okazało się wyzwaniem. W końcu wszystkie strony zgodziły się co do tego, że Rzym będzie lepszy od Neapolu. Znacznie więcej podróżnych, dalej od centrum wydarzeń, międzynarodowy chaos na lotnisku. Poza tym Donatella mogła im wyjść na spotkanie.

Tebaldi wstał i spojrzał w oczy Chavezowi. Wcześniej kilka razy mierzyli się wzrokiem w ten latynoski, typowy dla macho sposób. Chavez miał z tym problem, choć w pewnym sensie takie zachowanie odziedziczył po przodkach. W końcu zremisowali i Tebaldiemu najwyraźniej to wystarczało. Rozpostarł ramiona i objął szwedzkiego kolegę. Pierwsza reakcja Chaveza była bardzo szwedzka – uczucie zakłopotania i doświadczenie przekroczonych granic – ale bez chwili wahania objął Tebaldiego. Wynikało to chyba głównie z przekonania, że widzą się po raz ostatni.

Jego rozumowanie było proste. Niewielu ludziom udawało się uniknąć śmierci, jeżeli włoska mafia wydała na nich wyrok. Ci nieliczni, którzy wciąż żyli, musieli się ukrywać i wiedli trudne do zniesienia życie, przenosząc się nieustannie z miejsca na miejsce. Żaden z nich nie powrócił do miejsca, gdzie skazano ich na śmierć. Żaden, prócz Fabia Tebaldiego. Chavez uścisnął go trochę mocniej i wypuścił z objęć.

Uścisk Laimy Balodis i Lavinii Potorac był wyrazem równie sprzecznych uczuć i trochę bardziej skomplikowany. Po kobiecemu skomplikowany. Były dwójką kobiet w męskim świecie, ale nie tylko o to chodziło. Potorac, świeżo upieczona matka, bynajmniej nie unikała pokazywania światu, jaką jest twardzielką. Zdawała sobie jednak sprawę, że znacznie bardziej powściągliwa Balodis przeżyła rzeczy,

przy których jej własne doświadczenia z Bukaresztu musiały się wydawać dziecinną zabawą. Choć Laima Balodis nigdy o tym nie wspominała, ci, którzy wiedzieli coś na ten temat, zawsze przybierali szczególny ton, gdy rozmawiali z nią albo o niej. Ton po prostu pełen szacunku. Przeżyła piekło jako infiltratorka rosyjsko-litewskiej mafii i Lavinia Potorac była po prostu zazdrosna. Z drugiej strony, Balodis zachowywała się tak, jakby nie była nikim szczególnym. Zawarła jakiś pakt z Miriam Hershey i Potorac nie mogła zrozumieć, na czym to polegało. Czuła się wykluczona. Poza tym nie była w stanie zająrzeć w bałtyjską duszę Balodis. Nie miała pojęcia, co w niej grało.

Potem Potorac pożegnała się z Chavezem, a Balodis z Tebaldim, trochę chłodniej, bez takich emocji. Rozdzielili się. Tebaldi i Potorac poszli do wyjścia. Balodis i Chavez dalej grali w karty. Skandynawskie reguły. Żadnych niepotrzebnych słów.

Aż do chwili, gdy z głośnika w Schiphol zapowiedziano: „Baltic Air, czternasta piętnaście do Starptautiskā lidosta Rīga” .

Balodis i Chavez wstali. Bez słowa.

*

W południowych Włoszech naprawdę był środek lata. Wyjście z samolotu spowodowało niemal szok, choć oboje pochodzili z południa Europy. Szybko się zapomina o swoich korzeniach, pomyślała Lavinia Potorac. W ogóle podczas lotu myślała dużo, bardzo dużo. Zupełnie jakby uścisk Balodis rozbudził w niej wiele rzeczy. Rzadko kogokolwiek przytulała, a naprawdę sporadycznie kogoś innego niż swojego męża Dumitru i córeczkę Nadię.

Od czasu do czasu spoglądała na muskularne ciało Tebaldiego na sąsiednim siedzeniu i uderzyło ją, jak mało pociągają ją tego typu mężczyźni. Łączył ją z nim umysł, fizyczność się nie liczyła. Oboje pragnęli za wszelką cenę załatwić mafię. Bezbłędnie rozpoznawała w nim swoją determinację – on najwyraźniej czuł podobnie, bo w przeciwnym razie by jej nie wybrał. To, że ona nie została skazana na śmierć przez trudniącą się przemytem narkotyków mafię nad Morzem Czarnym, nie stanowiło powodu rozczarowania. Idiotyzmem byłoby myśleć inaczej, jeżeli ma się maleńkie dziecko i męża, który wykłada filozofię na uniwersytecie. Jasne, że mafia rumuńska nie dorównuje włoskiej. Choć potrafi być równie niebezpieczna.

Podczas lotu zamienili niewiele słów. Teraz, gdy znaleźli się w wąskiej plamie słońca między trapem samolotu a czekającym autobusem, zewnętrzna komunikacja pomiędzy nimi w ogóle się urwała. Ale rozumieli się bez słów.

Donatella nosiła nazwisko Bruno i wiozła ich na południe. Przyjechała sama.

– Jesteś całkowicie pewien, że nie chcesz w to włączyć kilku dawnych kolegów z San Luca? – spytała Donatella Bruno, gdy znaleźli się na autostradzie wiodącej na południe.

Wcześniej, z powodu nasilenia ruchu na drodze, nie dało się rozmawiać.

– Jeden z nich mnie zdradził – odparł krótko Tebaldi. – Nie mogę im ufać.

Lavinia Potorac wchłonęła tę podstawową informację w skupieniu. Musiała poznać Tebaldiego na wylot. Przeczynała, że od tej wiedzy zależeć będzie jej życie. Nie chciała jednak pytać. Miała wrażenie, że to by zupełnie nic nie dało.

Aż do niewielkiej wsi, około trzydziestu kilometrów na południe od Rzymu, w samochodzie panowało milczenie. Nagle Donatella Bruno skręciła w leśną dróżkę i podjechała pod potrójny garaż na kompletnym odludziu. Stały w nim dwa samochody.

– Oba są odzyskane po kradzieży w Rzymie – wyjaśniła Donatella. – Nie ma kompletnie żadnego związku między nimi a policją. Jeśli założyli nadajnik albo jakąś bombę w tym, którym przyjechaliśmy, zostanie to tutaj. Wy bierzecie swój samochód, ja swój. Powodzenia.

Pożegnali się z Donatellą. Jeden samochód pojechał na północ, drugi na południe.

W wozie jadącym na południe panowało pełne skupienia milczenie. Potorac nie była do końca pewna, czy Tebaldi w ogóle zauważa jej obecność. Patrzyła na jego oczy. Widziała w nich tylko stuprocentową koncentrację.

Promienie wiosennego słońca oświetlały krajobraz południowych Włoch przemykający za szybami samochodu. Słońce było dziwnie blade, choć świeciło mocno. Bezlitosne światło. Te obrazy były niczym przesuwający się szereg nieruchomych ujęć, stylizowane wycinki to wiejskiego, to miejskiego, lecz zawsze nieurodzajnego i surowego krajobrazu.

Milczeli. Czas płynął.

Neapol przemknął w oddali. W światłach miasta można było wyczuć zbliżający się zmierzch. Nad magiczną kopułę świąteł nadciągał mrok. Choć na razie był jedynie przecuciem, wydawał się równie bezlitosny jak wcześniej słońce. Fabio Tebaldi jechał autostradą A30 i gdy droga dowiodła ich na Wybrzeże Amalfitańskie, przed ich oczami na krótkie chwile eksplodowało piękno. Zobaczyli Morze Tyrreńskie w wieczornej mgiele, która kryła w sobie tęczę. Potem autostrada gwałtownie odbiła w głąb lądu. Eboli, gdzie nigdy nie zatrzymał się Chrystus, Contursi Terme, gdzie rozwiązano zagadkę choroby Parkinsona, Buccino ze starożytnym rzymskim mostem na rzece Tanagro. Nagle autostrada zniknęła i zastąpiły ją coraz węższe pnące się w górę drogi. Potenza w oddali, widziana z góry, rozsmarowana w dolinie niczym masło. Wąskie dróżki, coraz głębszy mrok. Czasami podwójne światła, rosnące i zmieniające się w ryk mijającego ich samochodu. Serpentyne dróg w ciemnościach, coraz rzadziej przerywanych perełkami światła jakiegoś gospodarstwa. Badawcze spojrzenie Potorac, ostro zarysowana sylwetka Tebaldiego. Powoli narastające zrozumienie, że złożyła swoje życie w jego ręce. I że nie ma pojęcia, czym się wcześniej zajmował. A jednak ufała mu.

Jednak ufała.

Jeszcze węższa leśna droga. Żadnej możliwości wyminięcia innego samochodu. I nagle chata, ledwie widoczna. Tebaldi się zatrzymał i oświetlił fasadę światłami przeciwmgielnymi. Żadnego ruchu. Tebaldi wysiadający z wozu z wyciągniętą bronią. Potorac za nim, też z wyciągniętą bronią. Odurzający zapach śródziemnomorskiego lasu. Nocna wilgoć. Światła wozów wciąż skierowane na chatkę. Jakiś ruch

w ciemności, tuż na granicy stożka światła. Jakieś drobne zwierzęta, ptaki. Tebaldi przy drzwiach. Odliczył czternastą deskę od dołu, wcisnął ją w ścianę, wsunęła się, przekreśliła na niewidocznych zawiasach. W środku klucz. Tebaldi wyciągnął się. Sięgnął. Potorac znów zaczęła oddychać. Tebaldi wziął klucz i opuścił broń. Uniósł ją znowu, otwierając drzwi. Potorac go kryła. Było tak, jakby od dawna przeprowadzali takie akcje.

W chatce nie było prądu. Światła wozu oświetlały prymitywną izbę. Nie było innych pokoi, tylko właśnie ta izba. Tebaldi wyjął z szafki lampę naftową, drugą, trzecią. Zapalił je od równego płomienia zapalniczki. Trzy lampy naftowe rzuciły światło na starą, podniszczoną teczkę. Widniało na niej kółko, jakby ślad po filizance z kawą. Tebaldi krótko kiwnął głową.

Wyszli na zewnątrz, wyjęli bagaż, wyłączyli silnik i wrócili do środka. Tebaldi otworzył inną szafkę, wyjął butelkę czerwonego wina. Napełnił dwa kieliszki i wziął jeden z nich. Potorac uniosła do ust drugi.

– Kółko to znak – odezwał się Fabio, przepłukawszy najpierw usta winem.

– Ten jedyny, któremu ufasz? – spytała Potorac.

– Tak – potwierdził Tebaldi i spojrzał na nią po raz pierwszy od... no cóż... od Schiphol. – Teraz ufam też tobie, Potorac.

– Spróbowałbyś inaczej – rzuciła Potorac z krzywym uśmiechem.

– No tak – odparł Tebaldi, też uśmiechnął się krzywo, po czym wstał i podszedł do twardej sofystojącej pod ścianą.

Uniósł drewniane siedzenie, zawiasy zaskrzypiały. Znów zapalił zapalniczkę. Światło zamigotało, odbijając się w lufach złożonej tam broni.

Tebaldi opuścił siedzenie sofystojącej pod ścianą, wrócił do stołu, otworzył teczkę i rozłożył na blacie kilka planów, jakieś dokumenty i zdjęcia. Wskazał na fotografię przedstawiającą zarośnięty budynek przypominający wyglądem zamek.

– Tu jest – stwierdził.

– Ten adres IP? – spytała Potorac. – Budynek nie wygląda na zamieszkały.

– Ani trochę – przyznał Tebaldi.

– Ile wiemy?

– Stoi na wzgórzu, pochodzi z piętnastego wieku. Z grubsza od tego czasu jest opuszczony. Ma dociągnięty internet. Od prawie stu lat nie miał żadnych zarejestrowanych właścicieli. W oficjalnych dokumentach figuruje jako „ruiny”. Ruiny na terenie gospodarstwa rolnego.

– Nie ma więcej planów – stwierdziła Potorac, przerzucając kartki.

– A te są do niczego – potwierdził Tebaldi. – *Bullshit*. Musimy pracować z tym, co mamy.

Potorac upiła łyk wina.

– Jeśli ten zameczek faktycznie należy do ‘Ndranghety, będzie tam monitoring, będą czujniki ruchu, wszędzie kamery, psy, ogrodzenie pod prądem. Jedynym sposobem, żeby się zbliżyć, będzie atak z całym oddziałem *carabinieri*.

Tebaldi kiwnął głową.

– Też z początku tak myślałem. Błąd. Nie mają zupełnie żadnych powodów, by obwarowywać stary zamek na odludziu, daleko od Kalabrii. Znam ich. Opierają władzę na bliskości, na moralności wyniesionej z położonych na uboczu górskich wsi w Kalabrii. To naprawdę są rodziny, ‘*ndrine*. Nie będę ci opowiadać całej historii, ale w skrócie: ‘Ndrangheta składa się z około stu rodzin, z których każda zdominowała własne miasto albo wieś. Człowiek rodzi się do życia w mafii i nie ma przed tym ucieczki.

– A wniosek brzmi...?

– Że ten zameczek nie jest ich. To najwyżej *safe house*. Pewnie nawet nie.

– W takim razie co możemy tam znaleźć?

– Długo zamęczałem się myśleniem o tym. Przez całą drogę tutaj robiłem tylko to.

– Byłeś trochę nieobecny...

– Zasięg jest tu kiepski – stwierdził Tebaldi, spoglądając na swój telefon. – Może sama to zauważyłaś.

Jeśli chce się mieć tutaj pewny dostęp do internetu, potrzebne jest stałe łącze. W tej ruinie nie ma telefonu. Jest za to prawdziwe łącze szerokopasmowe, światłowody. Naprawdę chcieli zapewnić sobie tutaj stały dostęp do sieci. Tylko po co, do diabła?

– Jeśli ma się prawdziwe łącze szerokopasmowe, ma się dostęp do komunikacji na całym świecie. Nic więcej nie trzeba.

– Ale czy ten *safe house* nie jest trochę dziwny? – spytał Tebaldi – Za wielki, niewygodny, niezbyt *safe*... Jeśli spojrzymy na plan, o tutaj, widać, że w dobrym stanie jest tylko jedna wielka sala. Reszta się zapadła i wchodzenie tam jest niebezpieczne. Ale ta wielka sala jest inna.

– Więc twoje pytanie brzmi: po co im, u diabła, ta wielka sala?

– Zobaczmy co wiemy. Nie ma tego dużo, ale więcej, niż myśleliśmy. Cztery razy odebrano tu na górze maile od waszego Stiernmarcka.

– Naszego? – wybuchnęła Potorac.

– *Whatever*. Teraz słuchaj uważnie. W trzech pierwszych przypadkach, we wrześniu, listopadzie i lutym, nie wiemy dokładnie, kiedy odebrano pocztę. Ale za czwartym razem, wtedy, gdy przy tym byliśmy, kiedy wasz Stiernmarck wysłał mail z domu kultury, odpowiedzieli mu natychmiast. Straszными groźbami, które przeraziły waszego biednego dyrektora. Natychmiast. To najważniejsze. Pierwszej możliwości nawet dokładnie nie przemyśleliśmy: że Stiernmarck świetnie wiedział, kiedy ma wysłać mail, kiedy ktoś będzie na miejscu, a więc wie znacznie więcej, niż mówi. Ciekawsza jest druga możliwość. I bardziej prawdopodobna. A mianowicie, że zawsze ktoś tam jest. Nie mam tu na myśli prawdziwej kwatery głównej, którą musieliby szturmować *carabinieri*. Tylko to, że jest tam strażnik, ale mający taką władzę, że sam może negocjować z tak mało znaczącym klientem jak Stiernmarck.

– Strażnik czego?

– Wielkiej sali, dość dużej, by mogło się w niej odbyć duże zebranie. Zawsze obecny gospodarz odbywających się regularnie spotkań bossów.

– Czyli jeden samotny gospodarz?

– Który na pewno ma też inne zadania, na przykład zarządzanie regularnymi transportami toksycznych odpadów wzdłuż wybrzeża Europy Zachodniej.

Potorac pokiwała głową powoli, ale z coraz większą stanowczością.

– Nie jeden gospodarz, tylko dwóch?

– Istnieją niepotwierdzone informacje, że Il Sorridente popadł w niełaskę, że za bardzo się odsłonił. ‘Ndrangheta to bardzo tajna organizacja. Samo to, że udało się sfotografować jego prawą rękę, czyli Il Ricurvo, było wpadką. Może nie wtopili tak, by ich zlikwidować, ale dostali inne zadania, odsunięto ich od centrum, od handlu kokainą, i wysłano daleko od Kalabrii. Poza tym to ważna pozycja. Na uboczu, ale niezwykle ważna.

– Być gospodarzem, ale... czego?

– Cała ‘Ndrangheta to, jak mówiłem, bardzo tajna organizacja. W tej tajnej organizacji jest inna, jeszcze bardziej tajna. *La Santa*.

– Że co? Święty Mikołaj?

– Niezupełnie – odparł Tebaldi. – To prawdopodobnie skrót od *mamma santissima*, najświętsza matka. W mafijnym slangu oznacza to bossów. *La Santa* stworzono najprawdopodobniej w latach siedemdziesiątych, gdy trzeba było zmodernizować prastarą strukturę ich władzy. *La Santa* jest tak tajna, że tylko sami jej członkowie wiedzą, kim są inni członkowie, *santisti*. Nie wiemy, ilu ich jest w tej chwili, prawdopodobnie około pięćdziesięciu. Ich tajne wielkie spotkania muszą się odbywać na neutralnym gruncie, niekontrolowanym przez żadnego z bossów.

– I chcesz powiedzieć, że ten zamek to miejsce, gdzie spotyka się *La Santa*? I koordynuje to Il Sorridente?

Fabio Tebaldi pochylił się nad stołem. Płomienie lamp naftowych rzuciły na jego twarz tańczące cienie. Dopił wino i odparł:

– Jedno z wielu takich miejsc. Jeśli mamy szczęście. A jeśli będziemy mieć jeszcze więcej szczęścia, znajdziemy tam sporo DNA.

– DNA wszystkich supertajnych bossów ‘Ndranghety – powiedziała z zapartym tchem Potorac.

– Przy odrobinie szczęścia – stwierdził Tebaldi i wysilił się na uśmiech.

– I dlatego mały oddział będzie najlepszy – pokiwała głową Potorac. – Minimalne zniszczenia materiału genetycznego.

– Przede wszystkim dlatego, że ty i ja możemy to zrobić sprawnie. A jeśli nam się nie uda, to cóż, *total deniability*. Włoska policja nie wie, że tu jesteśmy. Będziemy wyglądać na dwójkę szalonych oryginałów z niejasnymi powiązaniem z Europolem. Zaślepiiony mściciel i jego tajemnicza Rumunka. Nawet Europol nie będzie miał problemów.

– Absolutnie nie planuję, żeby nam się miało nie udać – stwierdziła Lavinia Potorac.

– To dobrze – mruknął Fabio Tebaldi. – Co powiesz na to, żebyśmy sporządzili jakiś planik?

Na Łotwie nie było śladu lata. Gdy Jorge Chavez i Laima Balodis wysiedli z samolotu na międzynarodowym lotnisku w Rydze, padał śnieg. Nikt nie wyszedł im na spotkanie.

Wyjaśniono im jednak przez komórkę, jak trafić na parking do szarego wozu, który szybko zamrugał do nich światłami. Popatrzyli na kamienną twarz kierowcy i szybko, zwięźle mu się przedstawili.

– Bendiks Vanags – powiedziała kamienna twarz. Zdążył już przekręcić kluczyk w stacyjce, gdy goście podawali mu swoje nazwiska. Był dokładnie taki sam jak na ekranie w sali konferencyjnej w Hadze. Pewnie po prostu odlano go w jednym kawałku, pomyślał Chavez.

Bez słowa szef krajowej jednostki Opcopu w Rydze wjechał do miasta. Jakby na dany znak, dokładnie w chwili, gdy zza zasłony tańczących płatków śniegu ukazało się przepiękne stare miasto, Bendiks Vanags zaczął monotonnym głosem opowiadać o Rydze:

– Wszystkie wojny w tym rejonie zawsze toczyły się o to samo. O Rygę. Ten, kto kontroluje Rygę, kontroluje szlaki handlowe z Rosji i Azji. Dzięki Dźwinie, rzece, przez którą zaraz będziemy przejeżdżać. W dzisiejszych czasach wojny wyglądają inaczej.

– Jeśli zamierzasz głądzić o szwedzkim imperializmie, wyskoczę podczas jazdy – zagroził Chavez.

– On mówi za siebie – stwierdził neutralnie Vanags. – A tutaj mamy Zatokę Ryską, między innymi z estońską wyspą Ruhnu, której mieszkańcy mówili po szwedzku aż do sierpnia czterdziestego czwartego roku, gdy większość z nich zbiegła do Szwecji przed wojskiem sowieckim. Poza tym współczesne badania wykazały, że Zatoka Ryska jest znacznie czystsza, niż sądzono, a rolnictwo w krajach bałtyckich odpowiada za znacznie mniejszą część zanieczyszczeń, niż się obawiano. Jasne, że to by była katastrofa, gdyby wasza hipoteza o zrzucaniu toksycznych odpadów wzdłuż naszego wybrzeża okazała się słuszna.

Laima Balodis i Jorge Chavez wymienili spojrzenia.

– Wiesz, czy pobierano jakieś próbki wody od września ubiegłego roku? – spytała Balodis.

– W każdym razie nie było żadnych raportów alarmowych – odparł Vanags. – Z drugiej strony...

– Z drugiej strony, takie raporty trafiają do ministerstwa ochrony środowiska, prawda? – spytał Chavez. – A tam pilnie korespondują z włoską mafią.

Bendiks Vanags umilkł. Samochód przejechał nad Dźwiną i zbliżał się do centrum Rygi. W końcu Vanags zaparkował i mruknął:

– Mogę tylko mieć nadzieję, że się mylicie. W każdym razie to tutaj. *Paldu iela*. „Iela” znaczy „ulica”.

Dwójce gości wyjrzało przez szybę i zobaczyło neutralną fasadę biegnącą wzdłuż wąskiej uliczki. Pod budynkiem stały dwa wozy policyjne. Bendiks Vanags się odwrócił, zobaczył pytające spojrzenia pasażerów i wyjaśnił:

– Ministerstwo środowiska.

– Ach – westchnęła Laima Balodis.

– Stoją tu zwykle wozy policyjne? – dociekał Chavez.

Bendiks Vanags wzruszył ramionami.

– To ministerstwo. Jest dobrze strzeżone.

– Również w niedzielę – skostatował Chavez. – Wiemy, gdzie przebywa w ten weekend sekretarz stanu Kristaps Bergmanis?

– Podobno na wsi z rodziną – odparł Vanags.

– Lepiej niech tam zostanie – stwierdził Chavez. – Niech się nacieszy ostatnimi chwilami wolności.

Laima Balodis zaczęła grzebać w swoim podręcznym bagażu i oświadczyła:

– Chcę, żebyś sprowadził go do pokoju przesłuchań na posterunku jutro o dziewiątej rano, nie zwracając niczyjej uwagi.

Bendiks Vanags siedział nieruchomo, zapatrzony przed siebie.

– Czyli chcecie, żebym aresztował sekretarza stanu? – spytał.

Balodis podała mu kilka zszytych dokumentów.

– Tutaj masz potrzebne papiery podpisane przez Paula Hjelma w Londynie i przez dyrektora Europolu.

Ale, jak mówiłam, zrób to po cichu.

Vanags zignorował dokumenty, które zawisły nad jego prawym ramieniem. Wciąż patrzył przed siebie.

– Chyba nie do końca zdajecie sobie sprawę, o co toczy się ta gra – powiedział w końcu.

– No to nam powiedz – rzucił Chavez.

Bendiks Vanags pokręcił głową i odwrócił się do nich. Wziął papiery z ręki Balodis i nie poświęciwszy im nawet jednego spojrzenia, odłożył je na siedzenie pasażera. Przyglądał się dwójce siedzącej na tylnym siedzeniu, jego wzrok wędrował od jednego do drugiego.

– Jak mamy razem pracować? – powiedział. – Jak Europa ma się stać jednym? Siedzicie tu, Litwinka i Skandynaw, i udajecie, że mówicie tym samym językiem, lecz wasze cele są całkowicie różne.

– Nie, Bendiks – odparła Laima Balodis. – Nasze cele są takie same jak twoje. Ty też należysz do Opcopu. Oznacza to, że czasem musimy działać wbrew interesom własnego państwa. Sama to robiłam. Pracowałam wtedy dla policji litewskiej, nie dla europejskiej. Rozbiliśmy dużą organizację handlującą żywym towarem, której macki owinęły najważniejszych polityków. To było złe dla gospodarki kraju, ale dobre dla ludzkiej godności. I w pewnym sensie właśnie o to walczymy. Żeby silni nie mogli deptać słabych. Popraw mnie, jeśli się mylę.

– Nie mylisz się – odparł Vanags. – Nie to miałem na myśli.

– Tylko...?

Bendiks lekko przechylił głowę, zanim odparł:

– Po ujawnieniu sprawy Łotwa pójdzie na dno. Szwedzkie banki stracą mnóstwo pieniędzy. Kraje bałtyckie, świetnie o tym wiesz, Laimo, nie doznają strat, porażki. One upadną. Rozumiesz? Wiarygodność Łotwy na arenie międzynarodowej już w tej chwili jest niemal zerowa. Od tak dawna znajdujemy się na skraju bankructwa, że taki skandal polityczny będzie kroplą, która przepełni czarę.

Bankructwa, potężna dewaluacja, skrajne bezrobocie, powszechna bieda. Kraj trafi w ręce tego z wielkich kapitalistów, który najwięcej zapłaci. To będzie pierwszy przypadek w historii świata, gdy cały kraj znajdzie się w prywatnych rękach. Rozumiecie, co mówię?

Przez chwilę panowała cisza. W końcu odezwał się Chavez.

– Są przecież pożyczki kryzysowe.

Bendiks Vanags przyglądał mu się chwilę z kamienną twarzą. A potem wybuchnął gromkim śmiechem.

– Zdecydowanie uważam, że powinienem zaprosić was na najlepszą wódkę w Rydze – oświadczył i odjechał.

Od: Ariadna <ariadne@midasmail.com>

Temat: Wygnanie

Data: 30 marca 04.31.45 EST

Do: Fedra <fedra873456@hotmail.com>

Stało się, kochana, zrobiłam to. Weszłam na ten niechroniony komputer. I znów to widziałam. Znalazłam potwierdzenie. I o wiele więcej. Widziałam wszystko.

Widziałam wszystko, moja Fedro.

Opowiedziałam o tym Kyle'owi. Nigdy nie widziałam, żeby człowiek tak pobałdł.

Wiesz, że czaiłam się przy tym komputerze. Podkrađłam się do niego, gdy jego użytkownik wreszcie sobie poszedł. Nie wiem, czy to dlatego, że podjęłam większe ryzyko, czy po prostu moje wysiłki zostały nagrodzone, ale nagle miejsce było wolne. Zobaczyłam i nic się nie stało. Oczywiście to mogła być pułapka, ale w takim wypadku dlaczego mnie nie złapali?

No i jeszcze jest to wewnętrzne śledztwo... Ci ludzie bynajmniej się nie przedstawiają, ale są wszędzie. Nie jest ich wielu, ale są skuteczni. Teraz ich rozpoznaję.

Akurat wtedy nie było ich na miejscu. W każdym razie nie zauważyłam niczego, co by na to wskazywało. Potem jeszcze przez cztery godziny byłam w biurze. Nikt nie zwrócił na mnie uwagi.

W normalnej sytuacji powiedziałabym, że te godziny wlekły się w nieskończoność, ale przysięgam, Kochanie, nic się wtedy nie wlekło. Dalej siedziałam i pracowałam, żeby nie zwrócić na siebie uwagi. Zachowywałam się dokładnie tak jak zwykle. Wiedziałam przy tym, że nieuprawniona zajrzałam do cudzego komputera i że całe biuro jest monitorowane przez ludzi, którzy są zdolni do wszystkiego. To były godziny spędzone w piekle.

A jednak to nic w porównaniu z tym, co czeka mnie teraz. Siedem godzin bezlitosnego bezruchu. Zupełnie jakby ktoś próbował przetestować moje siły.

Jakbym miała się na coś przygotować.

Zacząłem się od tych czterech godzin po lunchu. W tym czasie ukształtowała się w mojej głowie decyzja. Wszystko wskoczyło na właściwe miejsca. Obrzydliwe olśnienia, jedno po drugim, jak fragmenty odrażającej układanki.

Kiedy wszystko stało się dla mnie jasne, byłam przekonana, że mnie złapią. Gdy to nie nastąpiło, pojęłam, że mam szansę. Szansę, by komuś powiedzieć.

Spróbowałam. Zrobiłam tak, jak mówił Kyle, zwróciłam się do prasy, do mediów. Wszystko było anonimowe, nowo kupiony telefon na kartę, maile wysyłane z różnych publicznych miejsc. Czekali, mówili, że się odezwą. Czas znów się włókł. W dzień musiałam być w biurze, żeby nikt nie zaczął czegoś podejrzewać. Pozostawało mi o wiele za mało czasu. W końcu przysły odpowiedzi. Były zdumiewająco podobne. „New York Times” i CNN powtarzały to samo: „Masz dowody? Jeśli możesz nam przedstawić dowody, chętnie opublikujemy twoją historię”.

Próbowałam wyjaśniać, że nie udało mi się zdobyć dowodów. Że aby je zdobyć, potrzebne jest bezpośrednie śledztwo. „W takim razie idź na policję”, mówili. „Jeśli to zgłosisz, chętnie zajmiemy się tą sprawą. Ale nie możemy narażać się na zarzuty o zniesławienie. W takich sprawach nie można liczyć na szczęście”.

Dlaczego nie zgłosiłam tego policji? Z tym było tak samo. Paragraf 22. Nie miałam żadnych dowodów prócz tego, co zapamiętałam. Aby wskazać te dowody, trzeba było uzasadnić podejrzenia, a ja nie byłam w stanie tego zrobić. Wynikłoby z tego tylko tyle, że skazałabym samą siebie na śmierć. Chodziło o ludzi, którzy utrzymywali to konto w tajemnicy przez prawie dziesięć lat, trzymali je poza zasięgiem urzędu skarbowego i kontroli finansowych.

Minęły dwa dni. Zaczynałam być naprawdę zrozpaczona. Od Minotaura dzielił mnie tylko jeden zakręt, słyszałam jego ryki za ścianą, a jednak byłam bliska tego, by się wycofać. Opuścić labirynt i wrócić po prostu do dawnego życia. Jakby to było jeszcze możliwe. Jakbym nie straciła mojej ekonomicznej niewinności.

Zostawało mi jedno. Twitter. Rozmawiałam o tym z Kyle’em. Czy na Twitterze można być całkowicie niewidzialnym? Czy mogę wykorzystać te sto czterdzieści znaków, czy ile tam, by ogłosić to zupełnie anonimowo? Czy to by się mogło udać? Kyle nie wiedział, miał to sprawdzić. Nie zyskał pewności. Zabrakło mi odwagi. Gdyby udało im się to przechwycić i mnie zidentyfikować, byłoby po mnie. Nawet to okazało się niewykonalne.

W końcu nie było odwrotu. Kyle miał rację: istnieje tylko jeden człowiek, do którego mogę się z tym zwrócić. Najpotężniejszy człowiek na świecie. O ile faktycznie nim jest. Zaczyna mi brakować czasu. Wkrótce odbędzie się spotkanie G-20 w Londynie.

Dziś zadzwoniłam do Kyle’a z pracy. Usiłowałam być sprytna i użyłam zupełnie nowej komórki na kartę. Dzwoniłam z damskiej toalety. Poprosiłam go tylko, żeby załatwił mi bilet na lot i spotkał się ze mną na właściwym lotnisku. Dopiero gdy byliśmy na miejscu, w nierzucającym się w oczy zakątku JFK, powiedziałam mu, co planuję.

Zbladł jak ściana.

Wkrótce będziecie dwojgiem ludzi, którzy wiedzą, kochanie, i teraz dochodzimy do naszego dylematu. Jeśli zginę, muszę cię prosić, żebyś przekazała dalej te informacje. Wiesz, do kogo masz pójść. Jeśli nie uda mi się nawiązać kontaktu, będziesz musiała spróbować ponownie. Naprawdę mi przykro, że tak wyszło. Nie zamierzałam wplątywać cię w to w taki sposób. Niczego takiego od ciebie nie wymagałam. Z drugiej strony, nigdy nie przyszłoby mi do głowy, dokąd mnie to wszystko doprowadzi.

London Summit odbędzie się za trzy dni. To tam się wybieram. Spróbuję dotrzeć do Baracka Obamy przed spotkaniem. Wtedy pojmie, że nasz bank, Antebellum Invest Inc., nie zasługuje na żadną kryzysową pożyczkę i że nie powinien dostać ani centa z państwowych pieniędzy, a wręcz przeciwnie, powinien zostać pociągnięty do odpowiedzialności.

Nigdy nie byliśmy *on top of the world*, jak Cantor Fitzgerald na samym szczycie naszej wieży, ale byliśmy dużym bankiem. Zajmowaliśmy dwa piętra w północnej wieży, Minotaur nie miał swojego piętra, ale jego biuro – z jedną tylko zatrudnioną osobą, pamiętasz na pewno sekretarkę Bellę – sąsiadowało z naszym.

Z najważniejszych ludzi z dyrekcji Antebellum Invest przeżył tylko B., bo pojechał na urlop na Bahamy ze swoją trzecią żoną. Według jego asystenta Waltera od dawna miał rezerwację, nie padał na niego cień podejrzeń.

Jednak jeśli teraz założymy, że Minotaur przeżył, a potem udawał zmarłego, tym cięższe podejrzania padają na B. Był osobą kontaktową Minotaura w banku, wszystkie jego transakcje odbywały się za pośrednictwem B. Czy to możliwe, że to B. go ostrzegł? O tym nie wiem właściwie nic. Poniżej streszczę, co wiem.

Od tych niecałych dwóch tygodni, które dziś zdają mi się wiecznością, gdy zobaczyłam te konta na komputerze, przez cały czas usiłowałam dotrzeć do prawdy. Wspominałam, że zapuszczam się w głąb labiryntu. Moje niezwykle ostrożne posunięcia doprowadziły do tego, że B. i zarząd Antebellum wynajęły firmę ochroniarską z zewnątrz. Dowiedziałam się teraz, że nazywają się Asterion Security Ltd. Nie ma żadnych wątpliwości, że polują właśnie na mnie. Nie wiedzą jeszcze, kim jestem, ale to moje poczynania przywołały ich z otchłani.

Minotaur, od ośmiu lat uważany za zmarłego, żyje. Jego konto w banku wciąż istnieje. Oczywiście konto mogło zostać przejęte przez jego spadkobierców, ale to była pierwsza rzecz, którą sprawdziłam. Nie było żadnych spadkobierców ani testamentu. Jego majątek przepadł na rzecz państwa. Majątek ten jednak był bardzo niewielki i nie obejmował wspomnianego konta, które najwyraźniej przez cały czas było utajnione. Teraz, gdy je odkryłam, było na nim dużo środków, coś około miliarda, ale to nic w porównaniu z drugim kontem, tym, które było skojarzone z kontem Minotaura. To o tym drugim koncie dowiedziałam się trochę więcej, gdy z zapartym tchem przeglądałam zawartość niechronionego komputera.

Choć teraz uwolniłaś się od tego świata, kochanie, nie możesz się odciąć od swojego wykształcenia

ani od tego, jak cię wychowano. Wiesz równie dobrze jak ja, jak wygląda rola Chin w tym wielkim kryzysie finansowym. Deficyt budżetowy Stanów Zjednoczonych z nawiązką przekracza nadwyżkę budżetową Chin. Wraz z ogromną kapitalistyczną przemianą Chiny uzyskały mnóstwo płynnych środków. Te płynne środki chętnie inwestują w USA. W pewnym stopniu to Chiny finansują nadmierną konsumpcję w Stanach, kupując amerykańskie obligacje rządowe, co prowadzi do niskiego oprocentowania u nas w kraju. Żyjąc poniżej swojego stanu, Chiny pozwoliły Stanom Zjednoczonym żyć ponad stan.

Ale czy chińskie firmy, mające mnóstwo pieniędzy na inwestycje, nie powinny wybrać czegoś innego zamiast obligacji? Czegoś, co dawałoby znacznie większe zyski, zwłaszcza w cieniu kryzysu? Tak, o ile udałoby się je przekonać, że istnieje coś lepszego. Na przykład gigantyczne makrofundusze, które można łatwo przenosić – specjalność Minotaura.

Nie udało mi się prześledzić tropu aż do końca, ale nie mam żadnych wątpliwości, że to drugie, wielkie konto jest chińskie. Nie należy do państwa, tylko do jednej lub kilku chińskich korporacji. Te pieniądze, które będą bezpośrednio dostępne dla Minotaura, gdy zacznie ich potrzebować do przeprowadzenia jakiejś ogromnej transakcji. A my siedzimy jak pająk w tej sieci, kochanie. To my, Antebellum Invest Inc., za pośrednictwem B. kierujemy tym interesem. Jakikolwiek to interes.

Ostatnią rzeczą, jaką odważyłam się zrobić na niechronionym komputerze, była próba prześledzenia konta Minotaura. Udało mi się trochę o nim dowiedzieć. Siedzi gdzieś w Europie, tyle udało mi się sprawdzić, ale to oznacza, że byłby w obszarze działania tej nowej policji europejskiej, o której opowiadał mi Kyle. Z tego, co mówił, wynikało, że są bardzo silni i kompetentni, coś w stylu europejskiego FBI, tyle że tajnego. Boję się zaufać naszemu FBI. Dzięki tej podróży do Londynu upiekę dwie pieczenie przy jednym ogniu, Kochanie. Porozmawiam z Obamą – i odnajdę Minotaura. Mam pewien trop.

Przed chwilą rozstałam się z Kyle'em. Wie tyle, ile ty wiesz. Ale ty wiesz jeszcze jedno. Znasz numer konta Minotaura. Wiem, że go pamiętasz. Nasze ćwiczenia z liczbami pozostawiły ślady, których nie sposób zatrzeć bez względu na to, jak byś tego pragnęła. Teraz zamierzam ci też podać numer drugiego konta, tego chińskiego, na którym jest tak dużo środków. Miałam czas, by wymyślić sposób, jak wyjaśnić to tobie i tylko tobie, nie zapisując tego wprost. To znaczy, cyframi.

Piszę to na pokładzie samolotu. Wiem, że tak nie wolno, ale mamy opóźnienie. Jakaś część mnie boi się, odkąd pół godziny temu ogłosili, że muszą naprawić „oświetlenie awaryjne w kabinie”. Według mnie brzmi to jak pretekst, by wstrzymać odlot, póki mnie nie złapią. Niemal widzę ludzi z ochrony biegających po labiryncie JFK.

Ponieważ nikt obok mnie nie siedzi, mogłam się trochę uspokoić, pisząc do ciebie ten list, mój ostatni na amerykańskiej ziemi. I mój ostatni na długo, powinnam chyba dodać.

Znów zaczął się ruch na pokładzie samolotu, wyszły stewardessy. Zostało mi chyba tylko kilka sekund, żeby ci to wysłać. A więc na szybko: drugi numer konta uzyskasz, biorąc pierwsze cztery cyfry z pierwszego i mnożąc je przez trzy. Potem bierzesz cztery ostatnie cyfry i mnożysz je przez cztery,

a potem odejmujesz czterysta siedemdziesiąt trzy. Następnie bierzesz trzy ostatnie cyfry i mnożysz je przez szesnaście. Zapisz wszystko w jednej linijce i dopisz pierwszą cyfrę z pierwszego konta, a otrzymasz numer drugiego.

Teraz muszę wysłać ten mail. Stewardessy zwracają mi uwagę.

Do usłyszenia niedługo, Kochanie.

Odlatuję.

Uściski

Twoja Ariadna

Zaginiony

Queens, Nowy Jork, 11 kwietnia

ZMIERZCH ZAPADŁ DAWNO TEMU, ale dopiero gdy taksówka opuściła Manhattan, Marek Kowalewski naprawdę to zauważył. Taksówkarz wybrał Queensboro Bridge, most wiodący przez Roosevelt Island, i to tam, nad dziwnie odludną podłużną wyspą, Kowalewski zdał sobie sprawę z panującej ciemności. To było tak, jakby go w nią wwożono. Coraz głębiej i głębiej. Wkrótce światła Manhattanu były widoczne jedynie jako słaba, lśniąca aureola pod czarnym niebem. Upadła aureola.

Odległość od światła rosła coraz bardziej. Queens zmieniło się w miasteczko z niewielkimi domkami stojącymi w długich szeregach. Minęli Utopia Parkway, nie zauważywszy uniwersytetu. Wyglądało to jak sznur słabo lśniących paciorków ciągnących się przez wymarłe miasto, jak nocne oświetlenie pasa na lotnisku, jak mrugające oświetlenie awaryjne w kabinie samolotu. W miarę jak fasady domów stawały się coraz większe, Kowalewski zaczął słyszeć muzykę. Słabe, ciche dźwięki. Smutne tony fortepianu, uparte basy, precyzyjne cymbały. Zapytał kierowcę co to takiego. Taksówkarz odparł zagadkowo:

– *Premonition with e.s.t.*

Premonition? – pomyślał Marek. Zapowiedź? Przeczucie?

Wtedy taksówka się zatrzymała. Nagle.

Wielka działka z wielkim domem położona raczej na odludziu. Dom otoczony spokojnym światłem płynącym z nieznanego źródła. Żadnego ogrodzenia, żadnego monitoringu. Ale skrzynka na listy. Na skrzynce bezpretensjonalnie napisano: Ritchie.

Gdy taksówka odjechała, zabrała ze sobą światło. To było tak, jakby wszystko zgasło.

Fortepianowe tony przepełnione smutkiem. Wyrzysty bas. Precyzyjne uderzenia cymbałów.

Przeczucie.

Marek Kowalewski usłyszał dźwięk przełykania śliny. Spojrzał w stronę ścieżki z kamiennych płyt wijącej się przez zaniedbany po zimie trawnik i ginącej w mroku za niskim żywopłotem. Przy ścieżce stały dwie ogrodowe latarnie. Żadna się nie świeciła.

Spojrzał w niebo, wziął głęboki oddech. Po raz pierwszy od dawna zobaczył gwiazdy. A przynajmniej zdawało mu się, że minęło dużo czasu, odkąd je widział. Przez krótką chwilę zdawało mu się, że czegoś od niego chcą.

Potem opuścił wzrok i spojrzał w stronę wielkiej fasady willi mającej w oddali. Przesunął dłonią po niskim żywopłocie, a gdy wchodził przez ogrodową furtkę, myślał: to nie są ludzie, którzy boją się swoich sąsiadów.

Myślał: to otwarty dom.

To tu wychował się Kyle Ritchie, odnoszący niezbyt imponujące sukcesy gitarzysta grający indie. W cieniu dwójki rodziców profesorów, którzy nie chcieli podzielać amerykańskiego strachu przed

sąsiadami. Żadnych wysokich żywoplotów, typowo amerykańskich wysokich drewnianych ogrodzeń, ani jednej kamery. Powiedziało mu to co nieco. Ale niestety o wiele więcej powiedziały mu ciemne latarnie w ogrodzie.

Jeszcze raz szybko spojrział na rozgwieżdżone niebo. Zniknęło. Zupełnie jakby ze zdumiewającą szybkością nadciągnęły gęste chmury i zasłoniły gwiazdy. Szybko obmacał kurtkę. Wyczuł znajome kontury. Cicho stąpał po kolejnych kamiennych płytach, zbliżając się do budynku. Trawnik był bardziej nachylony, niż mu się z początku zdawało.

Z drugiej strony, nie ocenił dobrze sytuacji.

Tej ciemności.

Tego złowieszczego mroku.

Drzwi wejściowe wychodziły na drewnianą werandę. Kowalewski ostrożnie zrobił pierwszy krok po wiodących ku nim schodach. Skrzypienie wydawało się głęboko wrzynać w dziwnie cichą noc. Natychmiast zdał sobie sprawę, że jego przybycie nikogo nie zaskoczy. Jeśli wbrew temu, czego się spodziewał, ktoś się ukrywał w tej ciemnej willi, teraz czaił się z bronią.

Z coraz głośniejszym skrzypieniem wchodził po schodach. Wyciągnął z kabury pistolet. Może nikogo nie zaskoczy, ale przynajmniej będzie miał szansę się bronić. Tylko właściwie przeciwko czemu? Skąd to przecucie? Z powodu dwóch zgaszonych latarni?

Sprawdził drzwi. Były otwarte. Dom otwarty, pomyślał, i uśmiechnął się krzywo.

Wszedł do środka. Wyjął z kieszeni latarkę. Przesunął stożkiem światła po zupełnie neutralnym beżowym przedpokoju. Po prawej w górę prowadziły schody, tuż obok, za uchylonymi drzwiami, drugie schody wiodły do piwnicy, salon na wprost, kuchnia po lewej. Wszędzie ciemność, cisza, bezruch. Kowalewski zrobił kilka kroków. Wyczuwał nową broń w ręce, znalazł punkt ciężkości i usłyszał w głowie cichy głos Jutty Beyer: „Jesteś gliną od papierkowej roboty, Marek. Nie zrób nic głupiego”.

Żadnych dźwięków. Żadnego szmeru. Świat opustoszał.

Skreślił w lewo, do kuchni. Pusto. Pozmywane, posprzątane. Żadnych zapachów. Jakby nikt tu nie mieszkał.

Dalej z kuchni, przez inne drzwi. Długi korytarz, różne drzwi. Słaby zapach. Latarka zataczała kręgi po ścianach, drżące kręgi światła.

Pierwsza sypialnia, uchylone drzwi. Plakaty zespołów na ścianach, muzyka indie z lat dziewięćdziesiątych The Smiths, Belle and Sebastian, Björk, Blonde Redhead. Pokój Kyle'a. Pusto. Tyle że łóżko nieposłane. Przy łóżku gazeta otwarta na dziale rozrywki. Światło latarki padło na „New York Timesa” z soboty, 11 kwietnia.

Dzisiejsza.

Dzisiejsza, pomyślał Marek Kowalewski, odbezpieczając broń. Ciche kliknięcie przebrzmiało w pustym domu.

Znów wyszedł na korytarz. Kręgi światła na ścianach drżały jeszcze bardziej.

Kolejne drzwi. Lśniaca biała zasuwka. Bezgłośnie nacisnął klamkę. Dlaczego bezgłośnie? – pomyślał i zajrzał do środka.

Nic tam nie było. Pustka. Ciemna otchłań wanny.

Podobne drzwi obok. Kolejne drzwi, zasuwka też biała. Pierwsze pomieszczenie było łazienką, to zapewne była ubikacja.

I tak było. Ubikacja. Kobieta siedziała w pełni ubrana na muszli klozetowej. Wokół szyi miała mocno zaciśnięty drut. Twarz czerwona i napuchnięta, oczy niemal wyszły z orbit.

Kowalewski oświetlił tę twarz. Usłyszał własny jęk.

Potem zamknął powieki. Na dwie sekundy. Skoncentrował się. Znow je otworzył. Zobaczył krew, która spłynęła z drutu na białą bluzkę. Nawet jej dotknął. Wciąż była mokra, jedynie lekko zakrzepła.

Spojrzał na krew na swojej dłoni. Trzęsącej się dłoni. Gęsta kropla na czubku palca drżała.

Wziął się w garść. Cały czas obserwując korytarz, spojrzał na kobietę. Zadbana pięćdziesięcioletka, możliwe, że wykładała na uniwersytecie.

Z pewnością matka Kyle'a Ritchiego. Martwa od niedawna. Od jakiejś godziny.

Znow wyszedł na korytarz. Broń uniesiona, gotowa do strzału. Drżąca razem z latarką.

Z powrotem do przedpokoju, w lewo do salonu.

Ojciec Kyle'a Ritchiego siedział na sofie, jakby oglądał telewizję. Oczy szeroko otwarte. Twarz nabrzmiała. Mocno zaciśnięty stalowy drut na szyi.

Kowalewski podszedł bliżej. Zupełnie jakby zdążył się zahartować. Obmacał drut, lekko pociągnął. Z szyi wysunął się kolec, potem drugi.

To nie był zwykły drut. To był drut kolczasty.

Znow ten zapach. Nie krew, nie zwłoki. Coś chemicznego. Kowalewski wyszedł z salonu. Zostawił profesora Ritchiego patrzącego martwym wzrokiem w martwy telewizor. Przez chwilę mignęło mu na ekranie odbicie jego własnej sylwetki. Pojął, że długo będą mu się śnić koszmary.

Dotarł do schodów. Jedne w górę, jedno w dół. Do piwnicy.

Było jasne, że musi tam zejść.

Otworzył drzwi i oświetlił schody. Nie widział za wiele, schody skręcały i znikwały. Po zrobieniu pierwszego kroku poczuł, że temperatura spada. Natychmiast zrobiło się zimno.

Skręcił za róg. Chemiczna woń stała się silniejsza. Latarka i pistolet skierowane dokładnie w tę samą stronę, dokładnie w ten sam punkt. Każde odchylenie mogło mieć tragiczne skutki.

Był na dole. Przez chwilę stał bez ruchu, próbował się zorientować.

Małe pomieszczenie z pralką i zamrażarką. Troje drzwi. Zamkniętych. Nacisnął pierwszą klamkę. Kotłownia. Nagła fala gorąca. I pusto.

Nacisnął drugą klamkę. Oświetlił wnętrze. Wszystko drżało.

Jeszcze silniejsza woń. Wciąż niezidentyfikowana. W pomieszczeniu stół do ping ponga. Na nim zniszczone rakiетки. Zgnieciona żółta piłeczka. Warstwa kurzu. Na podłodze za stołem pingpongowym

para nóg.

Kowalewski obszedł stół. Ciało leżało na betonowej podłodze. Gdy je obracał, pokój zaczął tańczyć. Spojrzał w oczy Kyle'owi Ritchiemu, którego twarz była pozbawiona rysów. Wszystko napuchnięte. Oczy niemal całkiem wyszły z orbit.

Przy dłoni Ritchiego leżała karteczka. Dłoń trzymała długopis. Kowalewski go dotknął. Tkwił jak w imadle.

Podniósł karteczkę, przysunął do niej latarkę. Widział papier kołyszący się jak okręt na wzburzonych falach. Nie był w stanie powiedzieć, co tam jest napisane.

Wszystko się kołysało. Zapach stał się jeszcze intensywniejszy.

Obok ciała Kyle'a Ritchiego dostrzegł jakiś mały przedmiot przypominający krążek do hokeja. Przedmiot syczał. Kowalewski przyglądał mu się trochę zbyt długo. Od tak dawna wszystko się kołysało, że od razu tego nie pojął.

To kurewstwo wydzielało gaz.

Potykając się, minął stół, rzucił się po schodach, które nie drżały, nie kołysały się, tylko potężnie zarzucały na boki, jakby okręt nie płynął w sztormie, lecz w orkanie, unoszony w powietrze tajfunem i obracający się wokół własnej osi.

Wreszcie Kowalewski znalazł się na górze. Oddychał z trudem. Próbował zastąpić tlenem gaz zgromadzony w płucach. Świadomie się hiperwentylował. Rzucił się do drzwi wejściowych. Przystanął na tarasie. Dygotał. Spojrzał w niebo. Gwiazdy znów się pojawiły, wirowały, pozostawiały mu w oczach świetlne smugi. Wepchnął pistolet z powrotem do kabury, zgasił latarkę. Czuł, że gaz wżera się mu w płuca i przenika do krwi. Słabł z każdą sekundą.

Nie utknąć tutaj, pomyślał. Nie utknąć tutaj z bronią i latarką. Nie zostać o to oskarżonym. Nie w Stanach.

Zmobilizowawszy wszystkie siły, powlókł się przez zaniedbany trawnik i dalej, na ulicę. Zataczał się mocno. Wszystko sprowadzało się do tego, by znaleźć się jak najdalej od tego piekielnego domu. Odejść jak najdalej, zanim upadnie.

Przed nim zamajaczyła większa ulica. Oświetlenie niczym drżąca, wirująca mgła świateł. Oaza. Kilka razy upadł na kolana. Ostatnim razem obok studzienki kanalizacyjnej, której pokrywa była lekko uchylona. Te części jego mózgu, których nie wypalił gaz, zareagowały. Zareagowały racjonalnie. Zaczęły myśleć.

Świat dokoła wirował. Kowalewski ściągnął kurtkę. Udało mu się odpiąć kaburę i wrzucić ją do studzienki. Patrzył na swoją rękę. Trzęsa się do tego stopnia, że słowa na kartce, która jakby przykleiła się do jego palców, zdawały się zupełnie nieczytelne.

Znów zapalił latarkę, włożył ją do ust, mocno chwycił papier w obie ręce, skupił się z całych sił na odręcznym piśmie Kyle'a Ritchiego. Odczytał:

„Rianna Tinsley”.

Wrzucił kartkę i latarkę do otwartej studzienki, wstał, naciągnął kurtkę i spojrzał niemal z rozbawieniem na swoje krwawiące kolano. Udało mu się zasunąć butem pokrywę studzienki. Uniósł wzrok ku majaczącym przed nim światłom, ku oazie w oddali. Powlókł się przed siebie.

Przez cały czas myślał: Rianna Tinsley, Rianna Tinsley, Rianna Tinsley.

Jak mantra.

Mantra w drodze do oazy.

Niewiele widział, a to, co jeszcze był w stanie zobaczyć, wirowało wściekle, intensywnie, niemal w szalonym tempie.

Dotarł do większej ulicy.

I upadł. Do przodu, prosto na drogę.

Ostatnim dźwiękiem, który usłyszał Marek Kowalewski, było uderzenie jego kości policzkowej o asfalt.

Proces

Ryga, 12 kwietnia

W PONIEDZIAŁEK RANO, punktualnie o dziewiątej, niemal całkowicie zdezorientowany sekretarz stanu z łotewskiego ministerstwa ochrony środowiska siedział w pokoju przesłuchań obserwowany przez lustro weneckie. Bez przerwy się wiercił, obmacywał pusty stół, na wszelkie możliwe sposoby zakładał nogę na nogę, drapał się po twarzy. Te wszystkie rzeczy były normą. Tak zachowywali się wszyscy nienawykli do przesłuchań bez względu na to, czy byli winni, czy nie. Ciekawsze było jego spojrzenie.

– Nie wiem – stwierdziła Laima Balodis i spojrzała na Jorge Chaveza.

Podchwycił jej spojrzenie i co dziwne, wydało mu się, że patrzy na nią po raz pierwszy. Zupełnie jakby wczorajszy wieczór zburzył wiele barier. Co prawda, powstrzymali się od takich ilości, jakie wlał w siebie Bendiks Vanags, ale ta cholerna łotewska wódka musiała też zawierać sporo procentów, nie tylko bromowane opóźniacze płomienia i związki perfluorowane. Po pikantnym chemicznym smaku czuło się potężne odurzenie. Vanags głądził dalej o sytuacji na Łotwie, jakby płyn sprawiający, że do jego słuchaczy docierało coraz mniej, nie wywierał na niego żadnego wpływu. Jednak również to, co wciąż przebijało się przez gęstniejącą mgłę, było niepokojące. Kraj faktycznie znajdował się na skraju upadku i Vanags gorączkowo szukał winnych. To nie było łatwe. Istniało tak wiele czynników, tak niesamowicie dużo parametrów i nagle wszystko wydawało się do siebie pasować, ale im więcej wódki wlewali w gardła, tym trudniej było dostrzec powiązania. Zależności. Przy akompaniamencie dość powściągliwych przekleństw Vanagsa Chavez i Balodis wytoczyli się na mroźne nocne powietrze. Obejmowali się, ale dla Chaveza najdziwniejsze było to, że ani przez chwilę nie pojawiło się między nimi napięcie erotyczne. Miał swoją Sarę i lepszej nie było na świecie, ale takie napięcie mimo to mogło się pojawić. Tak się jednak nie stało i raczej go to ucieszyło, niż zdziwiło. Mogli iść tak, objęci, a między nimi pojawiała się jedynie uczucie bliskości.

W oczach Chaveza Laima Balodis była najbardziej anonimowym członkiem Opcopu, co wynikało głównie z tego, że była małomówna. Dawno nauczył się cenić północnoeuropejskie milczenie. Wiedział, przez co Balodis przeszła. Chciał zapytać o wiele rzeczy. W sumie nie zapytał o nic i jedynym, co był w stanie stwierdzić, zanim zasnął w wirującym hotelowym pokoju, było to, że nieskończenie tęskni za Sarą Svenhagen i za swoimi dziećmi.

Teraz podchwycił nieprzeniknione spojrzenie Laimy Balodis i powiedział:

– Ja też nie wiem. Nerwowość nic nie znaczy. Ani to, że ma rozbiegane spojrzenie.

– W każdym razie widać – stwierdziła Laima Balodis – że nie jest doświadczonym przestępcą.

– O tym wiedzieliśmy wcześniej – wtrącił Bendiks Vanags stojący pod ścianą. – W każdym razie miło, że przyszlście, moi państwo. Bałem się, że będziecie zalegać do lunchu.

– Ja bym raczej powiedział, że nie wiedzieliśmy – odparł spokojnie Chavez. – Nie był zbyt długo

w szponach mafii, to jasne. Jest nowoczesnym Europejczykiem, ma niecałe trzydzieści pięć lat, z pasją działa na rzecz ochrony środowiska. Dla skończonego drania to by był idealny kamuflaż, ale on nie jest skończonym draniem.

– Wchodzimy – oświadczyła Balodis. – Ty, Vanags, zostajesz tutaj.

Bendiks Vanags wytrzeszczył oczy i gapił się na nich. Nawet na niego nie spojrziała, tylko otworzyła po prostu drzwi pokoju przesłuchań i weszła. Jorge Chavez ruszył za nią z krzywym uśmiechem.

Sekretarz stanu Kristaps Bergmanis wstał i wyrzucił z siebie z oburzeniem kilka słów po łotewsku. Laima Balodis odparła krótko:

– *Speak English, please. I know that you can, sir.*

Kristaps Bergmanis zaniemówił. W końcu wydusił z siebie w poprawnym angielskim:

– Kim jesteście?

– Proszę usiąść – powiedziała spokojnie Balodis.

Ona i Chavez usiedli i odczekali, aż Bergmanis również zajmie miejsce. Usiadł, ciężko i głęboko wzdychając.

– W każdym razie cieszę się, że jesteśmy na posterunku – stwierdził Bergmanis. Wyglądało na to, że wziął się w garść. – Przecież moglibyście być jakimiś międzynarodowymi przestępcami. Teraz jednak domyślam się, że jesteście z jakiejś policji.

– Domyśla się pan również, czego chcemy? – spytała Balodis.

Bergmanis pokręcił głową, trochę mocniej niż wymagał tego zwykły przeczący gest.

– Zakładam, że nie ma sensu prosić was, byście się przedstawili? – powiedział w końcu.

– Nie za bardzo – odparła Balodis.

– Dlaczego czuję się, jakbym znalazł się w powieści Kafki? „Ktoś musiał zrobić doniesienie na Kristapsa D., bo mimo że nic złego nie zrobił, został pewnego ranka po prostu aresztowany”.

– A więc nic złego pan nie zrobił? – spytała Balodis.

– Pewnie całkiem sporo – przyznał Bergmanis, ale na pewno nic, co by było przestępstwem. Zasiadam przecież w rządzie.

– A rząd i jego członkowie nigdy nie popełniają przestępstw – odezwał się Chavez.

Bergmanis przyjrzał mu się badawczo.

– Można niemal powiedzieć, że moja praca polega na pilnowaniu, by rząd nie popełnił żadnego przestępstwa. W każdym razie wobec środowiska.

– Tym bardziej osobliwy wydaje się fakt, że z pańskiego komputera kilkakrotnie kontaktowano się z włoską mafią w sprawie zrzutu wielkich ilości toksycznych odpadów na łotewskich wodach – odparł Chavez.

Dziwnie było patrzeć, jak Kristaps Bergmanis blednie, choć wyraz jego twarzy się nie zmienił. Choć nie pojawiła się na niej żadna oznaka szoku ani nawet oburzenia, cała krew odpłynęła i stał się blady jak ściana. Powoli pokiwał głową.

- Rozumiem – powiedział cicho.
- Co pan rozumie? – spytała równie cicho Balodis.
- Pewne... rozbieżności...
- Proszę to rozwinąć.
- Raporty ostatnio przychodziły z opóźnieniem.
- Próbkę wody?

Kristaps Bergmanis spojrział Laimie Balodis prosto w oczy.

- Jest pani Litwiną, prawda? – spytał.
- Co to ma do rzeczy?

– Pani akcent brzmi trochę inaczej niż u Łotyszy mówiących po angielsku. I owszem, ma to sporo do rzeczy. Wszystkie kraje bałtyckie od dawna oskarżano, że są odpowiedzialne za większość zanieczyszczeń Bałtyku. Okazało się, że wcale tak nie jest. Znacznie większą winę ponosi rolnictwo szwedzkie. Nie wspominając o zanieczyszczeniach z Petersburga w Zatoce Fińskiej. I pani, i ja, byliśmy fałszywie oskarżani. Oboje wiemy, jak bardzo wrażliwe są nasze stosunkowo krótkie linie brzegowe. Oboje wiemy, że robimy wszystko, co w naszej mocy, również podczas kryzysu, by nasze wybrzeże pozostało czyste. Regularnie pobieramy próbki wody. Trafiają one prosto do ministerstwa środowiska. Jeśli trzeba wszcząć alarm, to my go wszczynamy,

- W ostatnim czasie próbki wody docierały z opóźnieniem? Jak długim?

– Niedługim, najwyżej jednodniowym. I od kilku miesięcy. Nie zastanawiałem się nad tym głębiej, bo opóźnienia nie były duże. Teraz się domyślam, że to był ten czas, gdy manipulowano danymi.

- My też się tego domyślamy – odparła Balodis – ale domyślamy się też, że to pan nimi manipulował.

- Rozumiem – powiedział Bergmanis, którego wciąż zamysłona twarz stała się mniej błada.

– Jak pan wyjaśni, że z pańskiego komputera kontaktowano się bezpośrednio z włoską mafią? – spytała Balodis.

- Teraz rozumiem, kim jesteście – pokiwał głową Bergmanis.

- No i kim jesteśmy?

- Jesteście z Europolu. Nie jesteście przypadkiem z tej nowo utworzonej jednostki eksperymentalnej?

Balodis i Chavez wymienili szybkie spojrzenia. Balodis spytała:

- Czy to możliwe, żeby ktoś miał dostęp do pańskiego komputera?

– Więc już działacie? – drążył dalej Bergmanis. – Myślałem, że stworzenie jednostki operacyjnej to dalsza przyszłość.

- Mamy to traktować jak groźbę? – spytała Balodis.

– Nie – rozpromienił się Bergmanis. – Ale to świetny pomysł. Porozmawiam o tym ze swoim adwokatem. Dziękuję. Jeśli mnie zatrzymacie, powiem mediom, kto mnie zatrzymał. A skoro o tym mowa, kiedy dostanę adwokata?

- Kiedy Bóg zakaszle – odparła Laima Balodis.

Bergmanis i Chavez spojrzeli na nią ze zdziwieniem.

Wzruszyła ramionami i wyjaśniła:

– To takie stare litewskie powiedzenie.

– Nie, nikt nie ma dostępu do mojego komputera – oświadczył Bergmanis. – Jest stuprocentowo chroniony hasłem. I nie potrafię wyjaśnić, że kontaktowano się z niego bezpośrednio z włoską mafią. Nie wiem nawet, czy w to wierzę.

– To proszę uwierzyć – powiedziała Balodis. – I proszę też uwierzyć, że media będą zajęte innymi rzeczami niż zastanawianie się nad tym, kto zatrzymał mafijnego szpiega w siedzibie rządu. Sam szpieg będzie uważany za o wiele ważniejszą nowinę...

Chavez do tej pory milczał i obserwował Kristapsa Bergmanisa. Teraz odchrząknął i zapytał:

– Czy to policja zajmuje się ochroną ministerstwa?

Bergmanis przyjrzał mu się uważnie i odparł:

– Nie, zajmuje się tym firma ochroniarska.

– Wczoraj wieczorem pod ministerstwem środowiska widzieliśmy kilka wozów policyjnych...

– W piątek po południu mieliśmy włamanie. Większość pracowników poszła już do domu. Może policja nadal zajmuje się śledztwem. Albo zapewnia dodatkową ochronę.

– Włamanie?

– Małe, śmieszne włamanie do piwnicy. Nic godnego uwagi. Wyglądało to na robotę jakiegoś ćpuna...

Zupełnie bez planu. Oczywiście policja podchodzi do tego z należytą powagą. Włamanie do ministerstwa to nie przelewki.

Spojrzenia Chaveza i Bergmanisa znów się spotkały. Chavez poczuł, że wyraz jego twarzy musi wyrażać podobne zamyślenie jak twarz Bergmanisa.

– Serwerownia nie mieści się w piwnicy? – spytał.

– Zgadza się – powiedział Kristaps Bergmanis. Na jego czole pojawiła się nowa zmarszczka. – Jest na strychu

– Jak się nazywa ta firma ochroniarska? – dopytywał Chavez.

– Nie pamiętam – odparł Bergmanis – ale...

– Ale?

– Ale chyba mam gdzieś ich wizytówkę. Niestety, przed wejściem do tego zamku Kafki odebrano mi moje rzeczy.

Chavez wykonał drobny gest w stronę lustra weneckiego.

– Miał pan na myśli coś konkretnego? – podjął Bergmanis.

– Tak. Myślałem o tym, w jakim celu aranżowano by włamanie w innej części budynku...

– Czyli mam rozumieć, że mi wierzycie?

– Niezupełnie – wtrąciła Balodis. – Nadal uważamy, że to pan utrzymywał bezpośrednio kontakty z mafią. To pan utorował drogę prawdopodobnie straszemu w skutkach zrzutowi toksycznych odpadów

wzdłuż łotewskiego wybrzeża. A to z pewnością będzie miało katastrofalny wpływ również na litewskie wybrzeże.

– Wiem, jak brzmią zarzuty – mruknął Bergmanis. – Upłyną całe lata, nim uda się coś z tym zrobić...

Drzwi się otworzyły. Wszedł Bendiks Vanags z bardzo ponurą miną i rzucił na stół dość gruby portfel.

W tej samej chwili, gdy rozległ się głuchy odgłos, Laima Balodis zawołała:

– Navarro!

Chavez, który zawsze, gdy wspomniano o Felipe Navarro, czuł się trochę nieswojo ze względu na swój mierny hiszpański, zdrygnął się na dźwięk tego nazwiska. Balodis złapała go za ramię i wyciągnęła z pokoju przesłuchań. Wyszli zaraz za Vanagsem. Zamknęła drzwi, zostawiając w środku zdumionego Bergmanisa, i podekscytowana powiedziała:

– Felipe Navarro przecież to mówił.

– On dużo mówi – burknął Chavez.

– To było w ten piątek po południu, gdy Ryga i Potenza nagle obie się odsłoniły – ciągnęła Balodis. –

To wtedy udało się dotrzeć do tych adresów IP. Navarro uważał, że to podejrzane, by obaj równocześnie się odsłoniли. Powiedział: „Czy to nie wygląda na trochę dziwny zbieg okoliczności?”. Mniej więcej w tym samym czasie włamano się do ministerstwa. Zastawili pułapkę na Bergmanisa. Potem wysłali dwa nieszkodliwe maile, żeby pograć go jeszcze bardziej.

– *O shit!* – zaklął Chavez. – W takim razie wiedzą, że jesteśmy na ich tropie? Wiedzą o Opcopie? Ale skąd, do cholery?

– Wiedzą, że ktoś jest na ich tropie – ciągnęła Laima Balodis, podekscytowana – ale niekoniecznie kto. Cholera, myślę, że wybrali Bergmanisa, bo stanowi największe zagrożenie dla tych transportów z toksycznymi odpadami.

– No nie – jęknął Chavez. – Ale czekaj...

– Co?

– Równie dobrze to może być ktoś, kto majstrował przy próbkach wody. Może nawet ktoś z ministerstwa.

Balodis skrzywiła się ponuro.

– No dobra – stwierdziła. – Musimy sprawdzić, kto odbierał próbki wody. I czy ten człowiek jest teraz w ministerstwie.

– Zajmę się tym – zaproponował Bendiks Vanags, zmieniając się w prawdziwego mistrza skuteczności. Zaczął dzwonić z dwoma telefonami przy uszach. Słyszeli, jak coś krzyczy, widzieli, jak macha rękoma.

Spojrzeli na Kristapsa Bergmanisa, który dotykał portfela. Obracał go powoli na blacie z miną wyrażającą bardzo głębokie zamyślenie.

– Z drugiej strony – zauważył Chavez – on wygląda na dość bystrego, by prowadzić podwójną grę. Nie możemy go jeszcze wypuścić.

– Zgadza się – przyznała Balodis. – Najpierw musimy się upewnić, że chodzi o kogoś innego

z ministerstwa. Musimy mieć bardziej prawdopodobnego kandydata. Teraz tam wróćmy, zanim otworzy portfel i zacznie zżerać kompromitujące go papiery. To był głupi pomysł, żeby go tam zostawiać.

Otworzyła drzwi do pokoju przesłuchań. Natychmiast zamknęły się z głośnym trzaskiem. Odwróciła się zdumiona do Jorge Chavez, który mocno opierał się o nie ręką, zapatrzony w pustkę.

– Z trzeciej strony – powiedział głucho – jeśli zastawili pułapkę w Rydze, to, kurwa, musieli też zastawić ją w Potenzie.

– No nie – powtórzyła jak echo Balodis i pobladła. – Oczywiście.

Chavez zdążył już wyciągnąć komórkę. Wskazał w stronę lustra weneckiego i powiedział:

– Zabierz mu portfel.

Balodis na chwilę zniknęła. Przez ten czas przebrzmiało pięć sygnałów, sześć, siedem. Chavez przestępował z nogi na nogę. W końcu odezwał się znajomy głos.

– Tebaldi.

– Fabio, do diabła! – zawołał Chavez. – Zastawili na nas pułapkę. Spadajcie stamtąd jak najszybciej.

– Tak tylko żartuję – mówił dalej Tebaldi. – To poczta głosowa. Zostaw wiadomość po sygnale, dobra?

– Kurwa! – wrzasnął Chavez i walnął telefonem o ścianę. – Fabio, musicie stamtąd uciekać, zastawili na was pułapkę. Zadzwoń do mnie natychmiast, jak to odsłuchasz. To bardzo ważne.

Chavez się rozłączył i odwrócił do Balodis, która pokręciła głową. Jej twarz wykrzywił ponury grymas.

– Słyszałam – powiedziała. – Spróbuj jeszcze do Potorac.

Chavez tak zrobił. Ale tam nie odezwała się nawet poczta głosowa. Zamachnął się, jakby chciał cisnąć telefonem za okno. Balodis położyła mu rękę na ramieniu i cofnęła ją dopiero, gdy się rozluźnił.

– W tej chwili nie możemy więcej zrobić – powiedziała. – Zaciśnijmy zęby i wracajmy do naszego sekretarza stanu.

Weszli. Kristaps Bergmanis spojrział na nich jak z równoległego wszechświata i powiedział:

– Dostawałem czasem pogróżki, niemal wszyscy politycy je dostają. Teraz mogłem się nad tym dokładniej zastanowić i przypomniałem sobie jeden konkretny przypadek. To musiała być... no cóż... mafia. Walczyłem przecież o częstsze patrolowanie linii brzegowej, o stworzenie specjalnego ekopatrolu, żeby zminimalizować ryzyko zrzucania odpadów na wodach Łotwy. Wygłosiłem płomienne przemówienie w parlamencie jakiś miesiąc temu. Zaraz potem ktoś zadzwonił do mnie z okropnymi groźbami. Mówił, żebym nie wtrącał się w sprawy, które mnie nie dotyczą. Wyjaśnił mi, co zrobią wszystkim moim krewnym i przyjaciółom, jeśli nie przestanę. Szczegółowo i z wymienianiem nazwisk.

– To chyba brzmi znajomo... – stwierdził Chavez.

– Mam wrażenie, że chodzi o coś większego – ciągnął Bergmanis. – Nie zadaliby sobie całego tego trudu tylko po to, by mnie uciszyć. Nie jestem aż tak ważny. Upiekli dwie pieczenie przy jednym ogniu, a ja byłem tą znacznie mniejszą pieczenią. Byłem dla nich trochę irytujący, ale niezbyt istotny.

– Co w takim razie miało być tą większą pieczęcią? – spytał Chavez.

– Łotwa – odparł Bergmanis, odchylając się na krześle. – Nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

Gdy wyjdzie na jaw, że ważny polityk zatruwał własny kraj, to będzie koniec. Nie zaufają nam żadni zagraniczni inwestorzy. Cała gospodarka po prostu stanie. Chcą doprowadzić nasz kraj do bankructwa.

– Po co? – zdziwiła się Balodis. – Co włoska mafia może na tym zyskać?

– No cóż – westchnął Bergmanis – jeśli wyeliminuje się całą działalność publiczną, to na przykład wybrzeże będzie zupełnie niestrzeżone.

– W takim razie gra musi się toczyć o znacznie więcej niż pozbywanie się toksycznych odpadów – stwierdziła Balodis.

– Też tak sądzę – przyznał Bergmanis. – Ale nie potrafię do końca powiedzieć o co. Jaka była z historycznego punktu widzenia najważniejsza rola Rygi i Łotwy na arenie międzynarodowej? No tak, szlaki handlowe na wschód.

– Ach! – jęknął Chavez. – Jak powiedział pewien mądry człowiek: „Ten, kto kontroluje Rygę, kontroluje szlaki handlowe z Rosji i Azji”.

Poczuł przewiercający się przez lustro weneckie stalowoszary uśmiech Bendiksa Vanagsa.

– Pozostała nam jeszcze jedna sprawa – powiedziała Laima Balodis, otwierając wypchany portfel Kristapsa Bergmanisa.

– Mam tu gdzieś numer alarmowy do tej firmy ochroniarskiej – powiedział Bergmanis. – Ich wizytówkę. Wszyscy je dostaliśmy. Tak na wypadek, gdybyśmy na przykład niechcący uruchomili alarm.

– Tu jest – oświadczyła Balodis, wyjmując wizytówkę.

I faktycznie widniał na niej numer telefonu. Ale ich uwagę przykuło logo.

Miało postać grubego złotego „A”, którego pozioma kreska wyglądała jak czarny drut kolczasty wystający po obu stronach.

– Asterion Security Ltd. – odczytała Laima Balodis.

Zamek

Bazylikata, 12 kwietnia

ZAMECZEK STAŁ NA SZCZYCIE wzgórza niczym nadszarpnięty zębem czasu, lecz niezdobyty fort. Wczesnym rankiem przyczaili się na skraju lasu, spoglądając w górę zbocza. Słońce nie zdążyło się jeszcze wspiąć nad skalisty grzbiet wzgórza. Las bardzo pachniał lasem, wilgotną, żyzną ziemią. Słyszeli głośne gruchanie gołębia leśnego, kilka myszy przemknęło obok nich i zniknęło w niewidocznych norkach.

Lavinia Potorac powtarzała w głowie plan. Nie po raz pierwszy. Przez całą noc nie zmrużyła oka. Chciała wierzyć, że to ta uparta sowa nie dała jej spać albo chłód, który w miarę upływu czasu stawał się w leśnej chatce coraz bardziej bezlitosny. W głębi ducha wiedziała lepiej. Usiłowała nie formułować tej myśli, bo może wtedy wszystko pójdzie lepiej. Mimo to przeleżała całą noc, właśnie ją formułując: Zamierzali we dwoje zaatakować mafię.

Nie dało się nazwać tego inaczej.

By odsunąć od siebie tę myśl, zastanawiała się nad planem. Przez całą noc, bez przerwy. Analizowała go. Raz za razem. Dopiero o świcie myśli przestały być spójne.

Niemal cały parter zamku zajmowała wielka sala, prawdopodobnie miejsce spotkań La Santy. Od głównego wejścia prowadził do niej korytarz, tu kiedyś goście zostawiali broń przed audiencją u księcia. Po obu stronach korytarza znajdowały się schody na dwie galerie z metrowymi kamiennymi balustradami. Galerie te biegły wzdłuż korytarza i potem aż do końca sali. Z nich liczne wejścia wiodły do pomieszczeń na zniszczonym piętrze. Według planu wszystko to było w ruinie, również cała prawa galeria. Pozostała jedynie lewa galeria na wysokości siedmiu, ośmiu metrów.

Wszystko sprowadzało się właściwie do tego, by cicho i sprawnie wejść do pomieszczenia za salą. Wszystkie znaki wskazywały, że tam znajdowała się centrala, serce zamku. Najprawdopodobniej tam stał komputer, z którego kontaktowano się z Carlem-Henrikiem Stiernmarckiem w Sztokholmie oraz z dzielnicą rządową w Rydze. Jeżeli w zamku byli jacyś ludzie, to właśnie w tym pomieszczeniu. Do środka można się było dostać tylko przez główne wejście. Jedyne otwór okienny w tylnej ścianie budynku znajdował się według planu nad niedostępnym urwiskiem.

Dopiero gdy Lavinia Potorac, odrobinę zdziwiona, odebrała z rąk Fabia Tebaldiego komórkę, zauważyła, że przed walką pomalował sobie twarz. Nie miała pojęcia, kiedy udało mu się namalować te brązowe i zielone szerokie na palec kreski na twarzy. A tym bardziej nie rozumiała, kiedy zdążył sfilmować to, co widziała teraz na wielkim wyświetlaczu komórki. Spojrzała na niego ze zdumieniem. Wzruszył ramionami i odparł:

– O świcie tak smacznie spałaś.

Zamek został sfilmowany ze wszystkich stron. Krótkie sekwencje pod każdym kątem. Mniej więcej

z takiej odległości, w jakiej znajdowali się teraz. Tebaldi musiał przewędrować kilka kilometrów skrajem lasu, zatoczyć krąg. A ona naprawdę musiała zasnąć, co niezmiernie ją zirykowało. Gdy na wyświetlaczu ukazał się tył zamku, Tebaldi zatrzymał film.

Tyłna ściana budowli przypominała wyglądem litą skałę, dokładnie tak, jak zaznaczono na planie. U dołu widniało jedno okno, również całkowicie zgodnie z planem. Tebaldi wskazał na nie i stwierdził:

– Z tyłu jest nie przepaść, jak zaznaczono na planie, tylko strome urwisko z obluzowanymi kamieniami, ze sto metrów, z bardzo dużym nachyleniem. Mnóstwo głazów i kolczastych krzaków. Nie daje się tamtędy dostać do środka, ale to może być nasze wyjście awaryjne.

– Odkryłeś coś jeszcze? – spytała Potorac, wciąż rozdrażniona samowolnym wypadem Tebaldiego.

– Tylko tyle, że z zewnątrz wszystko zgadza się z planem – odparł spokojnie Tebaldi. – Nie zauważyłem jakichkolwiek oznak czyjejś obecności. Żadnego samochodu, żadnych kamer, zero monitoringu. Naprawdę wygląda to jak ruina.

– I pewnie o to właśnie chodzi – stwierdziła Potorac.

– W każdym razie nie ma niczego, co by nam przeszkadzało w zrealizowaniu naszych zamiarów – zapewnił Tebaldi.

Z wyjątkiem mózgu, pomyślała Lavinia Potorac. Z wyjątkiem inteligencji, zdrowego rozsądku, instynktu samozachowawczego, każdego instynktu rozwiniętego podczas pracy w policji.

Tebaldi zabrał jej telefon i przysunął do oczu lornetkę. Skierował ją prosto na główne wejście do zamku. Następnie podał lornetkę Potorac, która popatrzyła w tę samą stronę. Stare dębowe wrota były wypaczone bardziej niż na planie i pozostawiały szczelinę, przez którą – również z bronią – mogli się łatwo przecisnąć.

Lavinia Potorac nie była do końca pewna, czy są uzbrojeni w najlepszy sposób. Zadowoliliby się całkowicie małym pistoletem maszynowym i czuła, że wielki pistolet z tłumikiem tylko jej przeszkadza, zwisając z paska od spodni poniżej tej pieprzonej kamizelki kuloodpornej.

I jeszcze ten przeklęty noktowizor, tkwiący na czole jak oko cyklopa. Tebaldi błyskawicznie pojął znaczenie jej wyrażającego irytację gestu i powiedział:

– W środku jest niewiele okien...

Potorac nie mogła temu zaprzeczyć. Wydawało się, że ten doświadczony w walce z mafią Włoch naprawdę pomyślał o wszystkim. Po raz pierwszy spojrzała na niego innymi oczyma. To jego absolutne skupienie wydawało się wynikać z jakiejś osobistej tragedii. Sytuacja nie sprzyjała zadawaniu pytań na takie tematy. Przez cały ten czas, jaki ze sobą spędzili, ich relacje były dziwnie bezosobowe. Zwykle jej to pasowało, lecz nie tym razem. Zupełnie jakby potrzebowali osobistej więzi, żeby byli w stanie wykonać to, co zamierzali.

– Już pora – rzucił Tebaldi.

Potorac kiwnęła głową. Pomyślała o swoim mężu Dumitru, spokojnym wykładowcy filozofii, i o swojej córce Nadii, noszącej imię dawnej rumuńskiej gwiazdy gimnastyki Nadii Comăneci. Potem

skupiła się na planie.

Właściwie nie był wyrafinowany. Wszystko opierało się na efekcie zaskoczenia. Ona skręca na lewo i wchodzi na jedyną zachowaną galerię, żeby kryć Tebaldiego. On kieruje się prosto do wielkiej sali, wchodzi do pomieszczenia znajdującego się za nią. Ona widzi jego i wszystko, co się dzieje na dole. Oboje gotowi, by w ułamku sekundy oddać strzał.

I nic poza tym.

Ruszyli. Bezgłośnie po zboczu. Słońce jeszcze nie wzeszło. Nad wzgórzem unosił się upiorny, jakby opóźniony blask świtu, spowijając wierzchołki drzew. Nie czuli zapachu lasu, zmysł węchu odcięty bardziej wyostrzone zmysły – wzrok i słuch.

Wszystko było skupieniem.

Dotarli do zewnętrznych schodów, zakradli się po nich bezgłośnie, przystanęli przy prastarych dębowych wrotach. Zsunęli na oczy noktowizory, klik, klik, wkroczyli w ciemność.

Korytarz, niespodziewanie wąski. Na prawo i na lewo schody. Potorac skręciła w lewo i zniknęła w mroku. Tebaldi został sam.

Muszę teraz wyłączyć emocje, myślał Fabio Tebaldi, lustrując korytarz. I nie myśleć o niczym innym prócz tego, jak dotrzeć do wielkiej sali i dalej. Nie myśleć o tym, jak blisko celu jesteście. Nie myśleć o bracie. Nie myśleć o tym, że Il Sorridente jest tuż za rogiem.

Wyłączyć emocje. Myśleć o tym, co tu i teraz.

Skradał się korytarzem. Wszystko było zielonkawe. Kontury wyraźne, rzeczy mało istotne zamazane. Tak jak życie w najlepszych chwilach.

Do sali wszedł przez mały portal. Pospieszne spojrzenie w bok. W środku pusto. Wrażenie przestrzeni jak w katedrze. Pośrodku ogromny stary drewniany stół, wokół niego około pięćdziesięciu krzeseł. Około pięćdziesięciu, pomyślał Tebaldi, tyłu prawdopodobnie jest członków – *santisti*. Instynkt go nie zawiódł.

Szybkie spojrzenie w górę, na lewą galerię. Widok zasłaniała wysoka balustrada. Żadnych oznak działania Potorac. Wszystko było tak, jak powinno być.

Skradał się wzdłuż prawej ściany. Uniesiony pistolet maszynowy. Całkowita gotowość. Strach podobny do lawy w trzewiach, habańero w żyłach. Potorac mnie widzi, myślał. I tylko tyle.

Lavinia mnie widzi.

Widziała go. Zerkała znad balustrady galerii po lewej stronie i widziała go stojącego tuż przy wejściu. Ruszył. Śledziła wzrokiem każdy jego najdrobniejszy ruch. Bezgłośnie sunął ku prawej ścianie sali. A jednak miała wrażenie, że słyszy jego strach. Wgryzł się w nią, gdy skulono ruszyła z pistoletem gotowym do strzału. Nawet na sekundę nie spuszczała Tebaldiego z oka.

Szedł przez salę. Do pokoju na tyłach nie prowadziły żadne drzwi. Wszystko zgadzało się z planem. Niczego tu nie zmienili. W każdym razie niczego, co byłoby widoczne. Zamiast drzwi sala miała dość ciasne, zwieńczone łukiem przejście w ścianie działowej, za którą dalej biegła galeria. Potorac spodziewała się, że będzie mieć dobry widok na pomieszczenie na tyłach.

Czuwała nad Tebaldim jak matka nad synem.

Tak jak matka powinna była czuwać nad synem.

Ta myśl dodała mu sił i pchnęła go naprzód. Adrenalina. Zapanował nad drżeniem pistoletu maszynowego i zmusił się, by iść dalej wzdłuż prawej ściany. Cały czas rozglądał się na wszystkie strony i bacznie patrzył na podłogę. Najmniejszy przydeptany odłamek, najdrobniejszy żwir mógł wydać tragiczny w skutkach dźwięk.

Dotarł do połowy sali. Nagły dźwięk, trzask. Potem świst. Sylwetka mknąca przez pomieszczenie.

Gruchanie.

Spłoszony gołąb przeleciał z pomieszczenia na tyłach przez salę w stronę korytarza. Tebaldi przełknął ślinę. Przystanął. Nasłuchiwał.

Żadnego dźwięku. Żadnych śladów czyjejś obecności.

Druga połowa sali. Coraz bliżej zwieńczonego łukiem przejścia. Coraz bliżej pomieszczenia na tyłach. Kroki nadal bezgłośnie. Wyraźniej niż kiedykolwiek czuł swoje nogi, krew tętniącą w każdej żyłę. Podniósł stopę i postawił kilka centymetrów przed sobą. Nagle ten ruch wydał mu się strasznie nienaturalny.

Wciąż żadnego dźwięku.

Dotarł do ściany działowej, omiótł ją spojrzeniem. Światło płynące z pozostawionego w tyle portalu prowadzącego na korytarz było oślepiająco jasnozielone. Z łukowatego przejścia, które było coraz bliżej po prawej stronie, ani śladu światła. Zupełnie jakby coś je tam zasysało.

Stał już przy tym przejściu. Miał ochotę przycisnąć się do ściany, by znaleźć jakieś fizyczne oparcie. Ale nie mógł tego zrobić. Mógłby narobić przy tym hałasu. Na dwie długie sekundy Fabio Tebaldi zamknął oczy.

Wiele obrazów zdążyło przemknąć mu pod powiekami. Mała wioska. Płonący ojciec. Matka zmuszona wybierać między dwoma synami. Zerwane rodzinne więzi. Czas złamania prastarej świętej przysięgi.

Gdy znów otworzył oczy, otworzył je naprawdę szeroko. Widziały każdy szczegół. Długi oddech. Szybkie spojrzenie w głąb, za łukowate przejście. Pospieszne wycofanie się.

Błyskawiczna analiza wrażeń wzrokowych. Żadnych ludzi. Stół. Na nim komputer.

Jezu, pomyślał. Komputer? Naprawdę to widzę? Wszystko to, co może w nim być...

Pistolet maszynowy uniesiony, gotowy do strzału. Jednym ruchem za łukowate przejście.

Lavinia Potorac już tam była. Koniec drogi. Galeria kończyła się nad pomieszczeniem na tyłach sali. Widziała stół, komputer, ale tylko kątem oka. Była skupiona na Fabiu Tebaldim i tylko na nim. Właśnie przeszedł przez łukowate przejście i znalazł się w pomieszczeniu.

Skanował je spojrzeniem. Wszystko w zielonkawych kolorach. Żadnych zakamarków, w których ktoś mógłby się cziąć. Jego spojrzenie zatrzymało się na stole. Na komputerze.

Spojrzenie, które powinno być uważniejsze.

Uniosła pistolet maszynowy nad balustradą. Zobaczyła komputer na stole inaczej niż do tej pory.

Dotarło do niej, że to przynęta. Śledziła kroki Tebaldiego, które nagle stały się inne. Mniej ostrożne. Chciała krzyknąć, ostrzec go, ale nie wydobyła z siebie żadnego dźwięku.

Żaden dźwięk nie wydobył się z jej gardła.

Za późno usłyszał kliknięcie. Spojrzał w dół i zobaczył, że nastąpił na jakąś płytkę.

Potorac zauważyła płytkę po tym, jak Tebaldi na nią nadepnął. Pomyślała o śmierci. To była jej ostatnia świadoma myśl. Za jej plecami rozległo się inne kliknięcie i wtedy pozostało miejsce tylko na jeden obraz, nic poza tym. Obraz malutkiej dziewczynki o imieniu Nadia.

Na cześć Nadii Comăneci.

Huk rozległ się dwa razy. Pierwszy budził obrzydzenie. Dźwięk dobiegł z góry, z galerii. Głuchy huk. Przemknęło mu przez głowę, że ten dźwięk jest mięsisty, zanim z galerii spadły kawałki ciała, organy wewnętrzne, odrażające serpentyny jelit. Z paskudnym odgłosem uderzyły o podłogę tuż obok niego. Widok czegoś, co wyglądało jak wątroba, sprawił, że całkiem przegapił drugi wybuch.

Ale nie jego skutki.

Usłyszał głośny grzechot, jakby opuszczano kotwicę, i nagle stanął twarzą w twarz z Il Ricurvo. Choć z tej twarzy niewiele zostało. Jego garbate ciało mocno owinięto łańcuchem. Dopiero gdy Tebaldi podniósł głowę, pojął, że ciało zostało opuszczone na łańcuchu spod sufitu. Odwrócił się i stanął twarzą w twarz z Il Sorridente. Temu z twarzy pozostało jeszcze mniej. Chociaż gałki oczne zwisały na wysokości policzków, charakterystyczny uśmiezek wciąż unosił kąciki jego ust.

Tebaldi był wciśnięty między nich. Spróbował zrobić krok w bok, ale nie mógł oderwać stóp od podłogi. Upłynęło pół sekundy, nim pojął, że jego buty są przyklejone.

Usłyszał tykanie. Czerwone światełko zapaliło się w dłoniach Il Sorridente. To były diody, cyfry na wyświetlaczu. Odliczały wstecz. 00:10.

00:09, 00:08.

Szarpnął mechanizm, ale ten nadal tkwił w martwych dłoniach Il Sorridente. Przyklejony. A ramiona były przyklejone do ciała.

Rozwiąż sznurowadła, pomyślał. Ta myśl pojawiła się późno.

Bardzo, bardzo późno.

Pochylił się. Rwał i szarpał sznurowadła.

00:07, 00:06.

W głowie usłyszał dobrodusznie drwiący rechotliwy śmiech ‘Ndranghety i La Santy. Odsznurował pierwszy but. Wyszarpnął stopę.

Że też tak trudno było cię zwabić tu z powrotem, Fabio Tebaldi, ty synu zdrajcy. Podziękowałeś nam za darowanie ci życia w taki sposób, że zostałeś policjantem.

Drugi but. Paniczne drżenie rąk.

00:05, 00:04.

Nie mogliśmy ci pozwolić żyć, Tebaldi. Sam chyba rozumiesz.

I wtedy się poddał. Ręce się rozluźniły, przestały drżeć. Spojrzał na poszarpane zwłoki Il Sorridente.

Wygraliście, pomyślał.

00:03, 00:02.

Kurwa, pomyślał jeszcze.

00:01, 00:00.

I nie było już nic.

Tablica interaktywna

Haga, 12 kwietnia

FELIPE NAVARRO i Angelos Sifakis po raz pierwszy od kilku godzin podnieśli wzrok i stwierdzili, że pomieszczenie biurowe w budynku Europolu w Hadze opustoszało. Co prawda, opustoszało dwie godziny wcześniej, ale oni byli wtedy zajęci czymś innym.

Zainstalowali nową tablicę cyfrową. Absolutnie fantastyczny wynalazek. Na kolosalnym ekranie wzdłuż ściany można było swobodnie przemieszczać teksty i grafiki, rysować linie palcami, nagrywać wiadomości głosowe i przekształcać je na tekst, pisać palcami bezpośrednio na ekranie... I bez względu na to, jak niedbały był charakter pisma, tekst końcowy wyglądał jak należy. Z automatycznym tłumaczeniem na EUnghish, oczywiście.

Gdy po dwóch godzinach intensywnej pracy po raz pierwszy podnieśli wzrok, na ekranie rysował się dziwny wzorzec.

– Jak myślisz? – spytał Navarro. – Co przeoczyliśmy?

– Przestępców – odparł Sifakis. – Gdzie są przestępcy?

– Są tutaj – zapewnił Navarro. – Tylko musimy ich znaleźć.

– Właściwie są dwie grupy – powiedział Sifakis, wskazując dwa miejsca na ekranie. – Jedna wiąże się z Carlem-Henrikiem Stiernmarckiem w Sztokholmie, druga z Ariadną w Londynie. Nazwijmy je prowizorycznie tropem mafii i tropem z Hampstead. Do tego doszła sprawa Zhang Sanga w Londynie. Chiński trop. Trzeci. W tropie mafijnym chodzi o ‘Ndranghetę. W tropie z Hampstead o nieznanego mordercę. Chiński trop dotyczy firmy ochroniarskiej o nazwie Asterion Security Ltd. Jak na razie jesteśmy zgodni, prawda?

– Jak najbardziej – pokiwał głową Navarro.

Teraz on zaczął wskazywać punkty na tablicy.

– Istnieje możliwość, że trop z Hampstead i chiński są związane z London Summit. W takim wypadku oba byłyby jakoś związane z Asterion. Natomiast nie znaleźliśmy zupełnie nic, co łączyłoby trop mafijny i trop z Hampstead. Tak było przynajmniej do czasu, gdy przed chwilą w naszej rozmowie z Rygą Chavez nagle powiązał Asteriona z tropem mafijnym. W tej chwili wygląda to tak, że ta tajemnicza firma ochroniarska jest związana ze wszystkim, czym się obecnie zajmujemy.

Felipe Navarro wprowadził na środek ekranu pozbawioną grafik ramkę oznaczoną słowem Asterion.

– W takim razie czy to ‘Ndrangheta wynajęła Asteriona? – podjął Sifakis. – I co ma wspólnego ‘Ndrangheta z tropem z Hampstead i chińskim? Jeżeli ta nieco chwiejna hipoteza jest prawdziwa, Asterion zamordował zarówno Ariadnę, jak i Zhang Sanga, by nie pozwolić im nawiązać kontaktu z Barackiem Obamą, na co zresztą nigdy nie mieli szans, bo zostali zwabieni w niewłaściwe miejsce. Ale dlaczego ‘Ndrangheta miałaby chcieć, żeby te dwie nieistotne osoby nie porozmawiały z prezydentem

Stanów Zjednoczonych? To się wydaje zupełnie bez sensu. Chyba że Asterion ma jeszcze jednego zleceniodawcę.

– Albo nawet dwóch – podchwycił Navarro i narysował nową linię prowadzącą od Asteriona do nowej, pustej ramki, w której widniał znak zapytania. – Wygląda przecież na to, że Zhang Sang został zamordowany, by nie ujawnił informacji o zrzucie toksycznych odpadów w Chinach, prawdopodobnie w Tybecie. Natomiast poza, w jakiej ułożono ciało Ariadny, stanowi ostrzeżenie dla kogoś, kto ma jakiś związek z tą mityczną postacią. Prócz Asteriona nie ma żadnego sensownego punktu, który łączyłby te dwie sprawy. Może być tak, że Asterion ma trzech zupełnie różnych zleceniodawców.

– Outsourcing... – stwierdził Sifakis, po czym cofnął się o krok i przyjrzał dziwnemu kolażowi. Zdjęcia Ariadny z napuchniętą twarzą, Carla-Henrika Stiermarcka z podbitym okiem, cyfrowo oczyszczonej z krwi twarzy Zhang Sanga, Wang Yunli o smutnym spojrzeniu, neutralne zdjęcia paszportowe Marka Payne'a i Davida Colemana, ujęcia z kamery przedstawiające Il Sorridente i Il Ricurvo, oficjalne zdjęcie portretowe Kristapsa Bergmanisa oraz pusty kontur postaci podpisany „Ray Hammett, szef bezpieczeństwa Asterion Security”.

Angelos Sifakis kliknął logo Asteriona, grube złote A, którego pozioma kreska wyglądała jak czarny drut kolczasty wystający po obu stronach, i przysunął je do konturu. Przez chwilę stał pogrążony w myślach. Był przyzwyczajony do tworzenia schematów, ścieżek korupcji w Atenach – sama procedura była podobna – ale to tutaj należało do innej ligi. Na krawędzi ekranu otworzył nową ramkę. Narysował palcem przerywaną linię wiodącą do niej od tropu mafijnego oraz znak zapytania w ramce. Nieco wyżej napisał: „Mr More”.

– Albo raczej LOL Offshore Asset Management Ltd. – powiedział. – Konto na Kajmanach, z którego wypłacono mafijne pieniądze dla Endymion Möbelsystem.

– Jeszcze się nie skontaktowali? – spytał Navarro.

– To działka Söderstedta – odparł Sifakis. – Musimy go zapytać.

– Zrób to od razu – rzucił Navarro. – Byłoby kiepsko, gdyby staruszek zgubił taki ważny trop.

Angelos Sifakis sięgnął po telefon. Jego ręka drgnęła, bo komórka zadzwoniła dokładnie w chwili, gdy jej dotknął. Dla Felipe Navarro wyglądało to tak, jakby Sifakisa poraził prąd. Bezceremonialnie odebrał mu słuchawkę i powiedział:

– Felipe Navarro, Europol.

W słuchawce odezwał się męski głos z eleganckim, amerykańskim akcentem.

– *This is doctor Michael K. Barnes from New York Hospital Medical Center of Queens.*

– *Yes?* – powiedział Navarro, machając ręką na Sifakisa, który wciąż wydawał się trochę poirytowany jego wyskokiem.

– Czy jest pan kolegą policjanta o nazwisku Marek Kowalewski? – spytał dr Michael K. Barnes.

Wtedy Navarro coś zaświtało w głowie.

– Jest ranny? – zapytał.

W słuchawce przez dłuższą chwilę panowała cisza. Felipe Navarro i Angelos Sifakis byli zbyt doświadczonymi policjantami, by nie odczuwać niepokoju, który narastał wykładniczo z każdym upływającym ułamkiem sekundy.

– Marek Kowalewski... – zaczął lekarz, ale umilkł.

Jeśli w takiej sytuacji ktoś zaczynał zdanie, ale go nie kończył, mogło to oznaczać tylko jedno. Coś poważnego.

– Yes? – ponaglił go w końcu Navarro.

Doctor Michael K. Barnes z New York Hospital Medical Center of Queens wreszcie zebrał się w sobie i odparł:

– Praktycznie był martwy, gdy go tu przywieziono wczoraj wieczorem. Wciąż nie czuje się dobrze, ale właśnie się ocknął. Jego płuca zostały uszkodzone przez gaz. Długotrwałych skutków tego faktu jeszcze nie znamy. Oddycha za pomocą respiratora.

– Gaz?

– Wiemy nie więcej niż państwo o samym gazie – wyjaśnił Barnes. – Wiemy, że bardzo poważnie zmniejszył on pojemność płuc pacjenta, ale nie wiemy, czy nieodwracalnie. Nie ulega natomiast wątpliwości, że całą resztę sił i nawet jeszcze trochę poświęca temu, by porozmawiać z kimś dostępnym pod tym numerem telefonu. Stoję właśnie przy jego łóżku. Mam wrażenie, że to ważne, by mógł porozmawiać z właściwą osobą.

Felipe Navarro spojrział na swego kolegę i przełożonego, formalnie rzecz biorąc. Podał mu telefon. Sifakis włączył głośnik i powiedział:

– Tu komisarz Angelos Sifakis. Jestem szefem Marka Kowalewskiego. Proszę mi pozwolić z nim porozmawiać. Bez świadków.

– Jak to? – zdziwił się lekarz.

– Chodzi o śledztwo policyjne – wyjaśnił Sifakis. – Na pewno pan to rozumie, doktorze Barnes.

Barnes zniknął bez dalszych protestów. Zamiast tego dał się słyszeć rzęzący kaszel i coś, co brzmiało bardziej jak erupcja wulkanu niż jak ludzki głos.

– Angelos? – wykrztusił Kowalewski między strumieniami lawy.

– Jezu! – westchnął Sifakis. – Naprawdę kiepsko brzmiysz, Marek.

– Wczoraj znalazłem trzy ciała – zabrzmiało to tak, jakby właśnie wykrztuszał ostatnie słowa w życiu.

– Trzy ciała? – spytał Sifakis, starając się zapanować nad głosem. – Trzy ciała w Nowym Jorku?

– W Queens. Rodzina Ritchiech: ojciec, matka i syn. Uduszeni drutem kolczastym. Syn Kyle był torturowany tym drutem, potem na wszelki wypadek zagazowano go na śmierć. Ale zdążył napisać nazwisko na kartce. Nazwisko kobiety. Jestem pewien, że to ona. Te sukinsyny też się bawią w głuchy telefon. Tyle że w drugą stronę.

Sifakis i Navarro wymienili szybkie spojrzenia. Navarro wykonał klasyczny gest, przesuwając ręką po szyi. Sifakis lekko kiwnął głową, że zrozumiał.

– Cokolwiek zrobisz, nic nie mów policji amerykańskiej. Działasz tam bez pozwolenia.

– Chyba udało mi się zatrzeć wszystkie ślady – odparł Kowalewski. – Nie wiem, czy znaleźli ciała.

Mamy tu teraz noc.

– A tu jest rano – odparł Sifakis. – Zaraz tam kogoś wyślemy. Jakie nazwisko było na tej kartce, Marek?

– Rianna Tinsley – powiedział niespodziewanie wyraźnie Kowalewski i jeszcze wyraźniej przeliterował.

Sifakis podszedł do tablicy, szybko wymazał słowo „Ariadna” i zastąpił je, litera po literze, słowami „Rianna Tinsley”.

– Dzięki – mruknął. – Natychmiast skontaktujemy się z Hjelmem i to sprawdzimy. Kuruj się, Marek.

Kowalewski rozkaszał się tak, jakby miał wypluć płuća. A potem powiedział:

– Zamordowałem Ritchiech, Angelos. Szepnąłem komuś coś do ucha, a po drugiej stronie szept przekształcił się w piekielny ryk. Głuchy telefon jest nieprzewidywalny. Nigdy więcej nie chcę w to grać.

Rozmowa została zakończona. Sifakis pogrążył się w myślach. Wymienił spojrzenia z Navarro, który natychmiast zaczął czegoś szukać w komputerze.

– Rianna Tinsley, Nowy Jork – stwierdził Navarro. – Mam tu tylko jedną. Urzędniczka bankowa z dzielnicy finansowej, pracuje w firmie o nazwie Antebellum Invest Inc. Niekarana.

– Zdjęcie, zdjęcie – ponaglił go Sifakis, pochylając się nad monitorem.

W końcu zdjęcie się pojawiło. Szeroki uśmiech, ładna kobieta około trzydziestu pięciu lat, o dość długich ciemnoblonde włosach. Jednym szybkim ruchem ręki Navarro przesłał zdjęcie na tablicę. Następnie podszedł do niej i przysunął zdjęcie do fotografii przedstawiającej twarz martwej Ariadny. Obaj przekrzywili głowy: Navarro na prawo, Sifakis na lewo, jakby to miało im pomóc w ocenie podobieństwa. Gdy oba zdjęcia zawisły obok siebie, kontrast między nimi był naprawdę upiorny. Przy groteskowo nabrzmiałej twarzy Jane Doe delikatne rysy Rianny Tinsley wydawały się jeszcze delikatniejsze. Ale kształt głowy, włosy, nawet uszy były te same. Nie było większych wątpliwości co do tego, że ta niezidentyfikowana kobieta, którą zakryto prześcieradłem i przyklejono do drzewa na Hampstead Heath w Londynie, nazywała się Rianna Tinsley i pochodziła z Nowego Jorku.

– Analityk finansowa – odczytał Sifakis z zaimportowanego tekstu na tablicy. – Urodzona w siedemdziesiątym trzecim. Studiowała ekonomię na Harvardzie, po studiach natychmiast została zatrudniona w Antebellum Invest i wciąż tam pracuje.

– Pracowała – poprawił Navarro.

– Wyszukaj o niej, co tylko się da, i wyślij do Londynu – polecił Sifakis i znów sięgnął po telefon. –

Dzwonię do Paula Hjelma.

Wtem zamarł w pół ruchu i spytał:

– Miałem chyba zrobić coś innego?

– Zadzwoń do Söderstedta – przypomniał mu Navarro, nie odrywając wzroku od monitora. –

I zapytać o Mr More'a.

– O, właśnie – zgodził się Sifakis i wybrał numer.

Arto Söderstedt zgłosił się po pięciu sygnałach.

– No? Co znowu? – głos miał naburmuszony.

– Jesteście w Bredzie?

– Właśnie idziemy uliczką, która nazywa się Oude Vest – odparł wciąż naburmuszony Söderstedt. –

Mijamy właśnie coś, co wygląda jak małe wydawnictwo; bardzo piękny stary dom. Pan komisarz życzy sobie wiedzieć coś jeszcze?

– Owszem. Czy odezwali się z LOL Offshore Asset Management Ltd. na Kajmanach? – dobitnie wyartykułował Sifakis.

W słuchawce zapadła cisza. Znow cisza, która wydawała się znacząca. Chociaż nie tak dawno Angelos Sifakis błędnie zinterpretował takie milczenie. Dlatego czekał.

– No cóż – odezwał się w końcu Arto Söderstedt. – Jeszcze nie rozmawiałem z panem More'em. W tej chwili jestem zajęty czymś innym.

– To trop, który był zawieszony – stwierdził Sifakis, przyglądając się coraz trudniejszemu do przeniknięcia, wręcz hipnotyzującemu wzorcowi na tablicy.

– Niech sobie jeszcze trochę powisi – burknął Söderstedt. – Za chwilę mam złożyć wizytę w równoległym wszechświecie. Odezwę się wkrótce.

– Dobra – zgodził się Sifakis i zakończył połączenie.

Felipe Navarro kilka chwil bacznie mu się przyglądał. W końcu mruknął:

– Nie powiedziałaś mu nic o Marku...

Angelos Sifakis nie odrywał wzroku od coraz bardziej hipnotyzującego wzorca. Coś się w niego wgryzło i nie chciało puścić. Zastanawiał się, co to takiego.

– Lepiej, żeby spokojnie mógł się poddać hipnozie – odparł Sifakis trochę nieobecny tonem i wybrał kolejny numer.

– Jakiś ty troskliwy – mruknął Navarro i znow pogрузzył się w cyberprzestrzeni.

Ktoś odezwał się w telefonie, który Sifakis trzymał w dłoni. Odezwał się raz, drugi i dopiero gdy za trzecim razem wrzasnął:

– Tak, do diabła, tu Hjelm!

Sifakis, wciąż trochę nieobecny, przysunął telefon do ucha.

– Co się dzieje, szefie?

– Zawsze się odzywam, gdy wydarzy się coś nowego – powiedział Hjelm. – Ponieważ to ty dzwonisz, pewnie u ciebie pojawiło się coś nowego.

– Zgadza się, szefie. Kowalewski doznał poważnych obrażeń w Nowym Jorku.

Zapadła cisza. Tym razem znaczące milczenie nie zrobiło wrażenia na Sifakisie. Spojrzenie nadal miał utkwione w tablicy. Wreszcie Paul Hjelm spytał:

– O cholera, jak poważnych?

– W tej chwili trudno powiedzieć. Nawdychał się trującego gazu i leży pod respiratorem. Jest w stanie przejrzycie myśleć i mógł z nami porozmawiać.

– Czy zważywszy na okoliczności, to naprawdę takie ważne?

– Tak – zapewnił Sifakis. – Markowi udało się zidentyfikować Ariadnę. Była analitykiem finansowym z Nowego Jorku. Nazywała się Rianna Rinsley. Navarro właśnie zbiera materiały, które jej dotyczą, i zaraz wszystko wyśle do Londynu.

– Jezu – westchnął Paul Hjelm. – Marek odwalił kawał dobrej roboty.

– Zamordowano troje ludzi – rzucił Sifakis dokładnie w chwili, gdy jego wzrok padł wreszcie na to, czego tak długo szukał.

– I Marek ich znalazł?

– Tak – potwierdził Sifakis. – Cała rodzina Ritchiech z Queens. Wszyscy uduszeni drutem kolczastym. Patrzę akurat na logo Asterion Security...

– Ach – westchnął Paul Hjelm – z kreską z drutu kolczastego w „A”.

Przez chwilę znów panowała cisza. Potem Hjelm spytał:

– Potorac i Tebaldi wciąż się nie odezwali?

– Nie – odparł Angelos Sifakis. – Żadnego kontaktu.

Hypnoticon

Breda, 12 kwietnia

MROŹNY LUTOWY WIATR wieje w odludnej dolinie. Gdy dociera do obserwatora, wyraźnie czuć, że to wiatr zdrady. Wiatr podstępny. Wiatr nadużytej gościnności. Choć obserwator zdążył zauważyć, że tak naprawdę nie istnieje, że nie ma ciała, że jest tylko jednym wielkim patrzącym okiem, czuje, że w duszę wdiera mu się dreszcz. Jest zupełnie tak, jakby ten wiatr nie był czymś fizycznym. Wdiera się znacznie głębiej. I wyostrza spojrzenie obserwatora. Wszędzie wokół niego są ludzie. Widzi ich wszystkich, widzi ich twarze, każdy najdrobniejszy szczegół. Z jego wzrokiem dzieje się coś dziwnego. To, na co nie patrzy, jest szarą zamazaną masą, lecz to, na czym skupia spojrzenie, staje się nieskończenie wyraźne. Dziwne uczucie: być tylko wzrokiem, samym patrzeniem. Ale nie do końca jest tak. On obserwuje i z tym łączy się słyszenie. Jego słuch, podobnie jak wzrok, jest zmieniony. W tle nie rozlegają się żadne dźwięki. On słyszy wyłącznie to, na czym skupia wzrok. Nie ma żadnego wspólnego kontekstu. Są tylko poszarpane fragmenty. Jest policjant. Policjant nie ma twarzy. Zamiast niej ma czarną lustrzaną powierzchnię. Twarz obserwatora powinna się w niej odbijać, ale tak nie jest. Nie odbija się, nie ma go. Spod lustrzanej powierzchni dobiegają dwa bardzo wyraźne słowa: „Mister Sadestatt?”. Wtedy przejeżdża wielka czarna limuzyna. Obserwator zagląda do środka przez przyciemnioną boczną szybę i widzi rysującą się za nią sylwetkę. To jakby stop-klatka. W limuzynie siedzi Barack Obama. Wszystko jest bardzo dziwne. Potem obserwator widzi coś innego. Jakiś niski mężczyzna, z wyglądu Azjata, nurkuje pod barierką po drugiej stronie jezdni. Rysy tego Zhang Sanga są bardzo wyraźne, twarz spocona, spojrzenie skupione. Na obserwatorze. Którego nie ma. Nagły odgłos silnika, zdumiewająco głośny. Znów jakby zatrzymane ujęcie. Grafítowoszarý samochód podcina Zhang Sanga. Czas staje w miejscu. A potem Zhang Sang wylatuje w powietrze. Ma w oczach zdumienie, gdy czuje, że jego nogi się uginają. Naprawdę się uginają. Wszystko nieruchomieje. Potem nic aż do chwili, gdy zakrwawiona twarz Zhang Sanga jest naprawdę blisko. Spojrzenie obserwatora nagle pada na drugą stronę ulicy, po prawej stronie. Zatrzymuje się tam inny grafítowoszarý wóz. Wysiada z niego dwóch mężczyzn. Wszystko dzieje się wolno. Mężczyźni wyciągają z tłumu jakąś kobietę. Ta scena nagle staje się wyraźna. Długie ciemnoblonde włosy kobiety opadają jej powoli na twarz. Obserwator widzi tę twarz tylko w momencie, gdy kobieta jest wpychana do samochodu – przez krótką, niezwykle krótką chwilę. Nikt tego nie zauważa, wszystkie spojrzenia są skierowane na Zhang Sanga i na obserwatora, którego nie ma.

Potem obserwator widzi w oczach Zhang Sanga śmierć. Spogląda mu w oczy w momencie, gdy życie opuszcza jego ciało. I ta bliskość. Żadnych wrażeń wzrokowych. Tylko słuch. Całkowite skupienie na słuchu. Rzęzący oddech Zhang Sanga posyła w górę gorący gejzer krwi, który trafia w ucho obserwatora. Zupełnie jakby miał ucho. Słyszy szereg dziwnych sylab, odnosi wrażenie, że łączą się

one z tryskającą krwią. Słyszy słowa tak wyraźnie, jakby były wypowiedane w zwolnionym tempie, dokładnie oddzielone od siebie: Gtsang po – dug – rgyl mo rngul chu – dug – nyal khri – dngul – jiang. Patrzy umierającemu w oczy. Nagle aż do szpiku kości przeszywa go dreszcz. Czuje lodowaty zimowy wiatr, zimny wiatr zdrady wiejący z opuszczonej doliny.

– Pięć, cztery, trzy, dwa, jeden, budzisz się.

Kobięcy głos zabrzmiał z nicości. Podniósł wzrok i napotkał spojrzenia dwóch kobiet. Nie miał pojęcia, gdzie się znajduje. Czas mijał. Wciąż nie miał pojęcia. Potem powoli, bardzo powoli, jedna para oczu zaczęła u siebie wydawać trochę znajoma. Mrużyły się, mrugały, przyglądały mu się trochę zbyt uważnie.

– Jutto – szepnął. – To ty?

– To ja, Arto – odparła Jutta Beyer. – Naprawdę świetnie ci poszło. Jestem z ciebie dumna.

– Co się właściwie stało?

– Jeszcze raz odwiedziłeś Londyn. Dzięki Daatje Ganesvoort, lekarce, psychoanalityczce i hipnotyzerce.

– Muszę przyznać, że pan komisarz okazał się niezwykle podatny na hipnozę – stwierdziła ciemnowłosa kobieta siedząca obok Jutty Beyer.

– Nie było mnie – mruknął ochryple Arto Söderstedt.

– To znane zjawisko – odparła trochę nonszalancko Daatje Ganesvoort.

– Zjawisko? – zdziwił się Söderstedt. – Jakie znowu cholerne zjawisko?

– Takie, że się znika. Człowiek widzi i słyszy wyraźniej, choć jego samego nie ma. Nie tak naprawdę.

Jutta Beyer przyglądała im się, gdy rozmawiali. Wyglądała, jakby zaraz miała wybuchnąć. W końcu nie mogła dłużej wytrzymać. Spojrzała w swój notes i spytała:

– Teraz się zgadza? Gtsang po dug rgyl mo rngul chu dug nyal khri dngul jiang. Zamiast: ksangpudygrgymongultjudygnialkridingyljiang?

– Tak – potwierdził Arto Söderstedt, nagle z absolutną pewnością. – Tak, tak właśnie powiedział. Gtsang po dug rgyl mo rngul chu dug nyal khri dngul jiang. Ale widziałem też coś nowego. Kobietę, którą wciągnięto do innego wozu policyjnego.

– Słyszałyśmy – potwierdziła Jutta Beyer. – Wyglądała może tak?

I podsunęła mu swoją komórkę. Na wyświetlaczu widniało zdjęcie: ładna kobieta około trzydziestu pięciu lat, szeroki uśmiech, dość długie ciemnoblonde włosy.

– Tak – przyznał Söderstedt, zdezorientowany. – Skąd wiedziałaś? Kto to jest? Chyba nigdy nie pojawiła się w śledztwie?

– Lepiej znasz ją taką – odparła Beyer i pokazała zdjęcie upozowanej kobiety bez twarzy. Albo raczej z tak napuchniętą twarzą, że jej rysy znikły.

– Ariadna? – wybuchnął Söderstedt. – Zgarnęli ją policjanci po cywilnemu w tej samej chwili, gdy inny wóz potrącił Zhang Sanga?

– O ile to właśnie widziałeś, Arto. Poza tym nie tylko Mark Payne i David Coleman dorabiali sobie w Asterionie. Robili to też ich koledzy Barton i Combes. Prawdopodobnie to oni jechali tym drugim samochodem.

– I złapali... No właśnie, kim ona jest?

– Analitykiem finansowym z Nowego Jorku. Rianna Tinsley. Kowalewski właśnie ją zidentyfikował. Nic więcej nie wiem. Dopiero co dostałam informację od Sifakisa z Hagi.

– Nie chciałabym być nieuprzejma – odezwała się Daatje Ganesvoort, wstając, ale państwa czas dobiegła końca. Za pięć minut mam kolejnego pacjenta.

Podziękowali hipnotyzerce i wyszli. Gdy powolnym krokiem przemierzali piękne centrum niewielkiej Bredy, Söderstedt czuł, że Beyer uważnie go obserwuje.

– Nie musisz nade mną czuwać jak jakiś wierny pies – burknął. – Nic mi nie jest.

– Masz jakieś dziwne spojrzenie – stwierdziła Jutta Beyer.

– Złożyłem wizytę w równoległym wszechświecie. Pewnie będę miał dziwne spojrzenie jeszcze przez kilka godzin. To było bardzo, ale to bardzo specyficzne.

– Myślisz, że w ogródku którejś z kawiarenek może być Wi-Fi? – spytała nagle Beyer.

Znajdowali się na placu przed imponującym piętnastowiecznym gotyckim Grote Kerk. Kwietniowe słońce świeciło przyjaźnie. Właściciele kawiarenek z zapalem wystawiali kolejne stoliki, które zapełniały się spragnionymi spacerowiczami. Söderstedt nie wahał się ani chwili i zamówił dwa duże piwa. Rzadko miewał wrażenie, że tak bardzo sobie na to zasłużył. Beyer nawet tego nie skomentowała, kompletnie pochłonęło ją wypakowywanie laptopa i łączenie się z siecią.

Söderstedt sączył spokojnie piwo. Jego spojrzenie powędrowało w górę niezwykle bogato zdobionej wieży Grote Kerk. Słaby podmuch wiatru owionął plac, ale nie było w nim niczego złowrogiego. Ani odrobinę nie przypominał mroźnego zimowego wichru wdzierającego się w odludną szkocką dolinę Glencoe. Piwo smakowało wyśmienicie. Söderstedt bardzo się cieszył, że ma ciało. Pasowało mu takie, jakie było.

Nagle zatęsknił za dziećmi. Za całą czwórką, która wyfrunęła z gniazda.

– A jakże – oświadczyła Beyer. – Mają tu internet. Zaczniemy jeszcze raz od początku. Tybetański. Gtsang po dug rgył mo rngul chu dug nyal khri dngul jiang. Dogrzebaliśmy się już do „gtsang po”, co znaczy „rzeka”, i do „dug”, co znaczy „trucizna”. Popraw mnie, jeśli się mylę.

– Rzadko się mylisz, Jutto Beyer – odparł Söderstedt, chciwie wdychając wiosenne powietrze.

– Do tego jeszcze jedno „dug” pod koniec. To najważniejsze słowo. Jedyne, które powtarza. Trucizna.

– I jeszcze „rzeka” – dodał Söderstedt. – Pierwszy raz po tybetańsku, „gtsang po, drugi raz po chińsku, „jiang”. Tuż przed „jiang” zdecydowanie osobne słowo: „dngul”.

– Wrzucę to do słownika – stwierdziła Beyer, i tak zrobiła.

Na ekranie nie wyświetliło się *no hit*. Wyświetliło się *money*.

– *Yes!* – zawołała Jutta Beyer i zacisnęła pięść. – Pieniądze.

– No dobra – powiedział Söderstedt. – Trucizna, rzeka, pieniądze. Pasuje. A to przed „rngul”? Jestem prawie pewien, że „nyal khri” to całość.

– Dwa słowa? – spytała Beyer, stukając w klawiaturę.

Sprawdziła różną pisownię i po kilku *no hit* trafiła. Wyświetliło się *bed*.

– Łóżko? – spytał sceptycznie Söderstedt.

Niedobrana para przez chwilę siedziała, milcząc, w wiosennym słońcu. W końcu odezwała się Jutta Beyer:

– Czy byłoby zbyt optymistyczne tłumaczenie tego jako „produkcja mebli tapicerowanych”? Łóżek?

– Trochę zbyt optymistyczne. Trucizna, rzeka, pieniądze, łóżko?

– No to bądźmy przez chwilę optymistami – uparła się Jutta Beyer. – Produkcja łóżek zatruwa rzekę z powodu pieniędzy?

– Należałoby raczej powiedzieć: z powodu zysku. Dobra, kupujemy to na razie. Zostały nam jeszcze cztery słowa. Jestem pewien, że były między nimi pauzy, ale były też ze sobą związane. W takim razie mamy: „rgyl mo rngul chu”.

– „No hit” dla „rgyl” i „mo” – stwierdziła Beyer, stukając w klawiaturę. – ale powinieneś spojrzeć na „rngul”. To znaczy „pot”.

– Obfite pocenie się, no tak – stwierdził Söderstedt. – Ta twoja cudowna nadmierna potliwość.

– „Chu” znaczy „woda” – dodała Beyer, wskazując na ekran zupełnie nieczytelny dla Söderstedta, bo oświetlony promieniami kwietniowego słońca.

– No dobra – mruknął. – Trucizna, rzeka, pieniądze, łóżko, pot, woda. Żadnej wskazówki gdzie. Tylko dlaczego? To przecież musiało być dla niego bardzo ważne, powiedzieć, gdzie znajdują się rzeka.

– Tyle tylko, że cała ta jego wyliczanka jest dość prymitywna.

– A może „rgyl” i „mo”, nasze *no hit wonders*, to geograficzne punkty orientacyjne? – podsunął Söderstedt, który wbrew swojej woli zaczął opuszczać równoległy wszechświat i pogrążyć się w tybetańskim.

– Sprawdzę w Google – oświadczyła Beyer, i tak zrobiła.

Pojawiło się jedno trafienie. Nie dla „rgyl” i „mo”, ale dla całej frazy. „Rgyl mo rngul chu” było nie odniesieniem do potu i wody, lecz nazwą rzeki.

– Rzeka Saluin – powiedziała Jutta Beyer z zapartym tchem. – *Rgyl mo rngul chu*. Pot i woda to po prostu części nazwy rzeki Saluin.

– A niech mnie – powiedział Söderstedt. – Zagadka rozwiązana. To co Zhang Sang wyszeptał mi do ucha, brzmi: „Rzeka / trucizna / rzeka Saluin / trucizna / łóżko / pieniądze / rzeka.

– Rzeka Saluin uchodzi do Morza Andamańskiego znajdującego się w części północno-wschodniej Oceanu Indyjskiego – odczytała Jutta Beyer z osłoniętego ręką ekranu. – A dokładniej na terenie Birmy. Przedtem biegnie wzdłuż niej granica pomiędzy Tajlandią a Birmą. Płynie głównie przez Chiny. Na początku przez Tybet.

– Mam przeczucie, że naszym kolejnym zadaniem będzie wyszukanie fabryk mebli na tybetańskim odcinku rzeki Saluin – stwierdził Arto.

– Fabryk mebli, które używają bromowanych opóźniaczy płomienia i związków perfluorowanych – dodała.

– O których przecież cały czas głądziłaś.

– Masz całkowitą rację – odparła Beyer i uśmiechnęła się szerzej, niż jej się to dotąd zdarzało.

– Przetestujmy jeszcze inny pomysł – zaproponował Söderstedt. – Wiemy przecież, że szwedzki

Endymion Möbelsystem AB przeżywa ciężkie czasy z powodu chińskich podróbek. Pirackich kopii. Czy ta firma, która prawdopodobnie bezwzględnie zatruwa Tybet toksycznymi odpadami, to jedna z tych pirackich fabryk, które podkopały egzystencję Endymiona?

– Dlaczego tak uważasz? – zdziwiła się Jutta Beyer.

– Co wiesz o chińskich designerskich łóżkach? – spytał Söderstedt. – Na razie niewiele, prawda?

Chiny czekają na właściwy moment. Do tej pory były bezwzględnie wykorzystywane przez zachodnie firmy, za grosze produkowano w nich wszystko, co tylko możliwe. Dużo się dzięki temu nauczyły. Tak było na przykład z Nike, która to firma wszystko produkuje w Chinach. Chińczycy się podszkolili i stali konkurencją. Dawny złoty medalista olimpijski w gimnastyce założył własną markę Li Ning, która niedługo będzie większa niż Nike. Dokładnie tak było z Al-Kaidą, że pozwolę sobie na takie trochę niesprawiedliwe porównanie. Amerykanie sami stworzyli swoich wrogów.

– W tym przypadku nie do końca tak jest – sprzeciwiła się Beyer. – Jeśli masz rację, to nielegalnie kopiowane są szwedzkie meble.

– W Chinach produkuje się więcej szwedzkich mebli, niż ci się wydaje.

– Endymion tego nie robi. Mają przecież własną fabrykę w tym... jak mu tam... Nynäshamn.

– To skomplikowane – pokiwał głową Söderstedt. – Endymiona przejęła mafia. Czy zrobili to, żeby zastąpić wysokiej jakości meble produkowane w Szwecji tanimi chińskimi podróbkami?

– W jakim celu? Żeby wyprzeć z rynku Ikeę?

Söderstedt przyjrzał się drobnej Beyer i ogarnęła go czułość. Jednocześnie nieco się zdziwił.

– Ikea obraca miliardami – stwierdził. – To jasne, że jeśli się uda przejąć część rynku meblarskiego, można na tym zarobić dużo pieniędzy.

– Nie – zaprotestowała. – Nie kupuję tego. Ikea to nie firma, którą można wyprzeć z rynku. Są siecią o zasięgu światowym. To by trwało lata. A jeśli jest coś, czego 'Ndranghecie brakuje, to cierpliwość. Absolutnie nie chodzi im o przemysł meblarski. Oni chcą czegoś innego.

– Masz rację. Ale według ostatnich informacji z Rygi mafia próbowała przecież świadomie pogrążyć całą Łotwę. Nie mają takich zdolności finansowych, jakich potrzeba, by wykupić cały kraj.

– Może w tym chodzić o zablokowanie wszelkich patroli wybrzeża. I tak jak mówiliśmy, z powodu czegoś, co jest o wiele ważniejsze niż pozbywanie się toksycznych odpadów. Bez względu na to, jak bardzo zniszczone zostanie wybrzeże Bałtyku.

– W takim razie mówimy przecież o przemyśle. A wtedy chodzi pewnie o przemysł broni albo narkotyków. To jedyna rzecz, która może być wystarczająco ważna.

– Cholera, trochę za daleko odchodzimy od Zhang Sanga. On mówił o zatrutej rzece Salui i o łózkach, czyli pewnie o produkcji łóżek. Nie wspomniał o „narkotykach” ani czymś takim.

– Nie – pokiwał głową Söderstedt, zerkając na swoje prawie nietknięte piwo. – Nie. Zhang Sang mówi „dngul”, „pieniądze”. Jeśli chodziłoby o pieniądze z przemysłu narkotyków albo broni, wspomniałby o tym. Mówił po prostu „pieniądze”. Czy naprawdę tylko po to, by podkreślić, jak chciwi są właściciele fabryki? Czy to nie wynika samo z siebie? Dlaczego mówił „pieniądze”?

– I do tego – dodała Jutta Beyer, podekscytowana podrywając się z miejsca – Zhang Sang zamierzał powiedzieć o „pieniądzach” Barackowi Obamie, prezydentowi Stanów Zjednoczonych. Nie przyjechał do Londynu, by porozmawiać o szlakach przemysłu narkotyków z Rygi do Europy Zachodniej. Był tam po to, by opowiedzieć Barackowi Obamie, bez względu na to, jak naiwny się ten pomysł wydaje, o tym, że jego rodzinne strony zatrutowane są przez coś, co wiąże się z amerykańskimi interesami. Coś, co ma związek z amerykańskimi pieniędzmi.

– A amerykańska analityk finansowa pojawia się w tym samym miejscu i w tym samym celu. Potrzeba naprawdę poważnego powodu, by bogata, wykształcona Amerykanka, która powinna mieć dostęp do mediów i do policji, próbowała nawiązać bezpośredni kontakt z prezydentem. Ona również zostaje wyeliminowana przez firmę ochroniarską Asterion Security Ltd. To, co ich łączy, to amerykańskie pieniądze. Ale jakie? I w jaki sposób?

– Powiązanie Chin – Stany Zjednoczone – powiedziała Beyer, znów siadając, ale na samej krawędzi krzesła. – Jak to wyglądało w ostatnich latach?

– Chiny pompowały pieniądze w Stany Zjednoczone – odparł Söderstedt. – Bardzo dużo inwestowały w USA. To kompletnie zaburzyło równowagę gospodarki światowej. Amerykanie pożyczają chińskie pieniądze.

– Kim jest Zhang Sang? – spytała nagle Beyer. – Jakimś zatrutym zachodnimi toksynami tybetańskim chłopem z nadmierną potliwością? Wątpliwe, co? Miał środki, by przyjechać do Londynu, śledził Twittera w internecie na komórce, której nie odnaleziono. Wszystko wskazuje na to, że mówił po angielsku, bo inaczej nie próbowałby przecież rozmawiać z Obamą. Musiał być wykształcony. Pracował w tej fabryce? Zobaczył coś? Coś, co ma związek z pieniędzmi? I co mogło być tak drastyczne, by zainteresowało Obamę?

– I to akurat wtedy – zauważył Söderstedt z przejęciem, które nawet jego samego zaskoczyło. – Akurat wtedy, gdy przywódcy dwudziestu najbogatszych krajów świata mieli dyskutować o kryzysie finansowym. London Summit. Czas, gdy państwowe biliony miały zostać rozdzielone między źle zarządzane instytucje finansowe na całym świecie.

– Ale nie chińskie – wtrąciła Beyer i przez nieuwagę upiła łyk piwa z kufła Söderstedta. – Chińskie firmy nie były źle zarządzane. Ani nawet chińskie banki. Natomiast amerykańskie owszem. Tak jak

Lehman Brothers. Udzielili o wiele za dużo kredytów bez zabezpieczeń. Działają zupełnie bez płynności. Prowadzą interesy, których wartość dziesięcio-, dwudziesto-, trzydziestokrotnie przekracza wartość ich własnych środków. To samo sedno kryzysu finansowego. Sekurytyzacja. Fikcyjne pieniądze.

– Wtedy pojawiają się pieniądze, prawdziwe pieniądze, z odnoszącej sukcesy chińskiej firmy z branży meblarskiej. To, że ta firma pozbywa się toksycznych odpadów w Tybecie i produkuje podróbki mebli europejskich, nie ma nic wspólnego ze sprawą. Mają pieniądze. Prawdziwą gotówkę. Pieniądze nie śmierdzą. Zostają przelane do Stanów Zjednoczonych. Tym razem nie po to, by zainwestować je w bezpieczne obligacje rządowe, jak to zwykle robią Chińczycy. Tym razem chodzi o znacznie bardziej agresywną inwestycję.

– O kurwa – stęknęła Jutta Beyer.

Arto Söderstedt po raz pierwszy usłyszał z jej ust przekleństwo.

– Ariadna musiała to w jakiś sposób odkryć. Analityk finansowa Rianna Tinsley z Nowego Jorku natrafiła na ten trop. Sprawa jest tak poważna, że również ona, osoba o ustalonej pozycji w świecie finansjery, która powinna sobie poradzić z nagłośnieniem sprawy w mediach, czuje, że jedynym sposobem jest bezpośrednia rozmowa z Barackiem Obamą.

– I to akurat wtedy – dodał Söderstedt. – Tuż przed tym, nim miał zasiąść do negocjacji i przyznać gigantyczne sumy instytucjom finansowym, które znalazły się w potrzebie.

– Rianna Tinsley musiała się na to natknąć w pracy – stwierdziła Beyer. – Na pewno jej własny bank ubiegał się o pomoc finansową u Obamy.

– Choć równocześnie mieli ukryte środki, czyli pieniądze z Chin – pokiwał głową Söderstedt. – I Tinsley to odkryła.

– Może Zhang Sang odkrył coś podobnego u siebie – podsunęła Beyer. – Może to była dla niego jedyna szansa, by Stany Zjednoczone interweniowały w sprawie zatrucia jego rodzinnych stron. To dlatego mówi „pieniądze”. To jest hasło. *Szybolet*. Jeśli powiesz „pieniądze”, możesz wejść.

– Na co miałyby być te pieniądze? – westchnął Söderstedt. – W co takiego mają zostać ukradkiem zainwestowane?

– No tak – mruknęła Beyer i też westchnęła. – To tę informację udało się zablokować Asterion Security. Za pomocą... Twittera...

Umilkli. Znów zaczęli dostrzegać otaczający ich świat. Słońce wciąż pieściło promieniami plac przed Grote Kerk w Bredzie. Zero wiatru. Arto wziął do ręki kufel i uniósł go w stronę Jutty. Sięgnęła po swój. Stuknęli się.

– *Zum Wohl* – wzniósł toast po niemiecku.

– *Skål* – odpowiedziała po szwedzku.

Słońce odbijało się w piwie. Pili. Smakowało bosko.

Wtedy nad placem przemknął lodowaty wiatr. Arto Söderstedt się wzdrygnął.

– Czyli nie ma żadnego związku z mafią? – spytał. – To były tylko urojenia?

Jutta Beyer położyła dłoń na rękę Söderstedta i odparła:

– Jestem przekonana, że taki związek istnieje. To jest właśnie najgorsze. Ale nie mam pojęcia, na czym miałyby polegać.

Potem piękny kwietniowy dzień znów wydawał się taki jak wcześniej.

Do Europy wreszcie przyszła wiosna.

Wiosenne uczucia

Sztokholm – Nacka – Arlanda, 12 kwietnia

MOŻE I WIOSNA PRZYSZŁA do Europy, ale na pewno nie przyszła do Szwecji.

Kerstin Holm nie potrafiła do końca wyjaśnić, skąd jej się wziął ten pomysł, ale gdy zobaczyła, jak w Danvikstull podnosi się most, skręciła gwałtownie w prawo. Pewnie nie dałaby rady po raz kolejny czekać na otwarcie mostu. Czy to możliwe, że wymyśliła sobie ten pretekst dopiero po fakcie?

– Musimy złapać trochę dystansu do tego wszystkiego.

Teraz, gdy stały na Fåfången, na wzgórzu przy Danvikstull, i spoglądały na brunatnoszare miasto, które spowijała gęstniejąca kwietniowa mgła, Kerstin Holm i Sara Svenhagen gorączkowo próbowały... no cóż... złapać trochę dystansu do tego wszystkiego.

Sztokholm wyglądał, jakby miał ochotę głośno krzyknąć. Miasto przypominało zarzyganą królową piękności, poczwarę, która wygląda jak psie gówno, ale kryje w sobie przepięknego motyla, pazia królowej. Gdzieś pod tą szarością kryło się piękno, które pragnęło wydostać się na zewnątrz. Ale nic z tego. Rzadko się zdarza, by Sztokholm był piękny. Jego piękno ukazuje się na trzy, najwyżej cztery miesiące w roku, nie więcej.

– No tak – westchnęła Sara Svenhagen, jej wzrok powędrował nad Södermalm, od kościoła Zofii do kościoła Katarzyny.

– Właśnie – zgodziła się Kerstin Holm i zapatrzyła się w stronę Djurgården.

– Nie tak dawno temu byłam w Hadze – stwierdziła Sara. – Tam przynajmniej na drzewach widziałam spore pączki.

– Zwykle to dobre miejsce, żeby się zastanowić i nabrać trochę dystansu – powiedziała Kerstin. – Ale teraz diabli wiedzą.

– Sporo przysłali tych informacji – stwierdziła Sara. – Paskudne, znaczące milczenie z Włoch. Paul odnalazł swoją Ariadnę. Jorge obraża ważnych polityków w Rydze. Kowalewski niemal zginął w Nowym Jorku. Arto i... jak jej... ta bezbarwna Niemka... Jutta Beyer, byli u hipnotyzerki. Zastanawiam się, co ona robi z Arto.

– Arto ma tam żonę – odparła Kerstin. – Nie powinno być żadnych problemów. Całkiem sporo odkryli. To niesamowite, jak w dzisiejszych czasach wszystko się ze sobą łączy. Globalizacja. Jak mamy stawić czoła przestępczości, której żaden istotny czynnik nie zamyka się w granicach jednego państwa, jeśli sami nie staniemy się międzynarodowi?

– Czyli skoro on ma tam na miejscu żonę, to wszystko w porządku? – spytała Sara. – I tym się to różni od sytuacji Jorge i Laimy Balonik w romantycznej Rydze?

– Balodis – poprawiła Kerstin. – Powiedziałabym, że to kwestia twojego zaufania do niego. Ostatnio to ty wyjechałaś. I dobrze pamiętam, że całkowicie ci ufał.

– Nie w głębi serca. Już wtedy wydawało mi się, że ta Laima Baleron jest podejrzana.

– A może ty wolałaś Angelosa Sifakisa? – uśmiechnęła się Kerstin. – Miłego kawalera z Aten o naprawdę nieprzeciętnym mózgu? To przecież twój typ. Przystojny południowiec, w którym nie ma ani śladu macho.

– Chcesz powiedzieć, że Fabio Tebaldi z ramionami jak uda nie jest w moim typie? Tatuaze, Kerstin, tatuaze na żyłastych bicepsach.

– Aha – mruknęła Kerstin, wciąż się uśmiechając. – Czyli spodobał ci się Sifakis?

– Daj spokój!

– Na a Paul? – powiedziała Kerstin. – Sam w Londynie z dwoma pięknosciami. Może mu się teraz wydaje, że jest wielkim światowcem, ale zawsze brakowało mu siły charakteru.

– Niepokoi cię to?

Kerstin Holm spojrzała w jednolicie szare niebo i przez moment się zastanawiała. W końcu odparła:

– Nie. Oboje wiemy, że należymy do siebie, tak myślę. Chcemy się razem zestarzeć. Będziemy się świetnie bawić, gdy zostaniemy bogatymi emerytami.

– Bogatymi? Chyba wciąż jesteśmy policjantkami?

Roześmiały się. A raczej zachichotały.

– A ty? – spytała w końcu Kerstin. – Ufasz Jorge?

– Tak jak mówiłaś: należymy do siebie. Tacy jesteśmy.

– Ale...?

– Ale poczucie bezpieczeństwa to nuda, a nuda to śmierć dla związku. Musi pozostać trochę niepewności. Byłoby nudno, gdyby inne kobiety uważały go za zupełnie nieatrakcyjnego.

– Bo wtedy nie byłby atrakcyjny również dla ciebie?

– Coś w tym stylu. My, kobiety, mamy trochę kolektywne spojrzenie.

– Jesteśmy uniwersalne – roześmiała się Kerstin. – Bo pogląd każdego mężczyzny na temat tego, co atrakcyjne, jest oczywiście całkowicie indywidualny.

Zachichotały. Zaraz potem znów stały się poważne.

– Kiedy Stiernmarck wyszedł do domu? – spytała Sara Svenhagen.

– Dopiero co – odparła Kerstin Holm. – Wzmocniłmy ochronę o dwóch ludzi. Kolejnych dwóch pilnuje syna w szkole. Teraz w willi siedzi ich czterech, każdy z kamienną twarzą.

– Dasz radę sama się nimi zająć?

Kerstin Holm naprawdę wydawała się lekko zdumiona. Nieczęsto jej się to zdarzało.

– A ty co zamierzasz?

– Możesz mnie wysadzić przy gimnazjum Saltsjö-Järta?

– Syn?

– Tak. Nie potrafię tego sprecyzować, ale on nie czuje się chyba dobrze. Muszę mu wyjaśnić to i owo.

Wygląda na to, że nikt inny tego nie robi.

– W porządku – zgodziła się Kerstin. – Później cię odbiorę.

– Zastanawiałaś się nad tym, jak to przekazać Carlowi-Henrikowi?

Kerstin Holm pokręciła głową.

– To nie takie proste. Gra toczy się o wielką stawkę. Carl-Henric Stiernmarck miał kontakt z kimś, kto stoi w hierarchii wyżej niż Il Sorridente.

Sara pokiwała głową i zacytowała:

– „Mam kłopoty. Niebiescy się do mnie dobrali. Nie wiem, ile wiedzą. Co mam robić? Dajcie mi porozmawiać bezpośrednio z Fioletowym”.

– „The purple” – stwierdziła Kerstin. – Kto to taki? Jak się z nim skontaktował? Gdy Stiernmarck wymienia go w mailu, natychmiast dostaje odpowiedź, pewnie od Il Sorridente z tego zamku w górach, na północ od Potenzy. Odpisują mu, co zrobią ze wszystkimi jego krewnymi i przyjaciółmi, jeśli się wygada. Szczegółowo i z wymienieniem nazwisk.

– Czyli Il Porpore jest szefem Il Sorridente i Il Ricurvo?

– I ty chcesz to przegapić po to, żeby pogadać z Johannesem?

– Bez chwili wahania – zapewniła Sara Svenhagen stanowczo i wyraźnie.

Kerstin Holm zaśmiała się głośno prosto w szare niebo.

– Chyba sobie przypominam, dlaczego komisarz Jan-Olov Hultin zrekrutował cię kiedyś do Drużyny A.

– Chcesz mi naprawdę wmówić, że o tym zapomniałaś?

– Teraz mogę zdecydowanie przyznać, że nabrałyśmy do tego wszystkiego trochę dystansu – oświadczyła Kerstin Holm i zaczęła szybko schodzić z Fåfången w stronę samochodu.

*

Sara Svenhagen śledziła wzrokiem samochód, póki nie zniknął jej z oczu. Wraz z odjazdem Kerstin ulotniła się spora część jej poczucia bezpieczeństwa. Wyraźnie przypominała sobie ten pierwszy raz, gdy naprawdę została partnerką Kerstin Holm. Siedziały razem w samochodzie i jechały do obozu dla uchodźców w Slagsta, na południe od Sztokholmu. Z obozu zniknęło osiem kobiet z państw bloku wschodniego. Sara pamiętała, jak wtedy w wozie przyglądała się Kerstin. Jak nie potrafiła do końca pozbyć się uczucia, że Kerstin Holm to najbardziej dumny człowiek, jakiego kiedykolwiek spotkała. Profil, ciemne, elegancko zmierzwiłone włosy, ostro zarysowane zmarszczki... Wszystko promieniowało dumą, którą Sara... no cóż... którą podziwiała.

To było kiedyś. Teraz sama miała więcej lat niż Kerstin wówczas. Zastanawiała się, jak to właściwie jest z jej własnymi zmarszczkami. W każdym razie była pewna, że rany się goiły. Chyba jednak Carl-Henric Stiernmarck nie miał pod paznokciami bromowanych opóźniaczy płomienia ani związków perfluorowanych. Podczas weekendu, który od początku do końca spędziła z dwójką swoich dzieci – czasami czuła, że niemal kurczowo do nich łgnie – rany zaskakująco szybko się zasklepiły. Dziś rano

strupy odpadły niczym jesienne liście, gdy jechała autobusem ze swojego domu w Birkastan. Blizny, które pozostały na czole, przypominały zmarszczki.

Zdarzało się, że bardzo tęskniła za swoją dawną partnerką Leną Lindberg. Ale Lena niedawno została matką. Ojciec dziecka był pastorem w kościele Engelbrekta. Sara odwiedziła ich w szeregowcu w Stocksund. W domu pastora panował dziwny spokój, który sprawiał, że czuła się niemal nieswojo. Lena wydawała się naprawdę szczęśliwa. Kim była Sara, żeby zakłócać spokój tego domu? Mimo to przeczuwała, że Lena nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa...

Gimnazjum Saltsjö-Järla znajdowało się po drugiej stronie terenów sportowych. By dotrzeć do budynku, musiała przewędrować przez dwa pełnowymiarowe boiska piłkarskie. Z budynku z lat siedemdziesiątych wypadł akurat tłum uczniów wybierających się na lunch. Najdziwniejsze było to, że Sara natychmiast dostrzegła w tej hordzie czarną sylwetkę Johanna Stiernmarcka. Instynktownie pomachała do niego, ale oczywiście była za daleko, żeby mógł ją dostrzec. Wokół Johanna zebrała się tymczasem spora grupa, chłopacy i dziewczyny. Sara podeszła bliżej. Nagle Johannes upadł na ziemię.

Upłynęło kilka sekund, nim do Sary dotarło, co się dzieje. Nim zrozumiała, że Johannes został popchnięty. Nim zobaczyła, jak ktoś kopie go w brzuch. Nim zbliżyła się na taką odległość, by usłyszeć urywane słowa tnące powietrze.

- Tatuś pedofil...
- Stary cię dyma...
- No to już wiadomo, dlaczego z niego taki pieprzony pedał....
- Na pewno są zdjęcia w internecie...
- Johannes pedzio z chujem tatusia w buzi...

Sara rzuciła się biegiem, ale grupa zebrana wokół Johanna odwróciła się jak na komendę i zniknęła w budynku szkoły. Johannes został sam. Leżał na ziemi. Opierał się na łokciu i obmacywał palcami twarz. Wciąż była o wiele za daleko, by widzieć jego rysy.

Dotarła do małego czerwonego budynku, pewnie szatni piłkarskiej, tuż przy płocie otaczającym szkolne podwórko. Johannes właśnie się podźwignął i powoli otrząpywał czarne skórzane ubranie. Obeszła ten czerwony budynek, złapała za sztachety ogrodzenia i chciała do niego krzyknąć. Nie udało jej się wydobyć żadnego dźwięku. Wtedy ją zauważył. Popatrzył jej głęboko w oczy. Wykonała wyrażający rezygnację gest. Uniósł rękę w jej stronę. I strzelił do niej.

Wyciągniętym palcem.

*

Carl-Henric Stiernmarck w swoim salonie w Hästhagen siedział na sofie wyprodukowanej przez Endymiona. Bardzo niewiele pozostało w nim z dawnego Stiernmarcka. Cały blichtr, cała imponująca fasada zniknęły. Trzymał dłonie na kolanach, zaciskał je i znów prostował. Napinały się i rozluźniały

w przedziwnym rytmie.

– Wciąż nie rozumiem, dlaczego Johannes musiał iść do szkoły – powiedział głucho.

– Chodzi o rutynę – wyjaśniła Kerstin Holm. – Dopóki nie zorganizujemy wam nowych tożsamości, wszystko musi wyglądać jak zwykle. Jest dobrze strzeżony, nic mu nie będzie.

– Wiktoria zamknęła się w sypialni – rzucił jeszcze bardziej głucho Stiernmarck. – Zastanawiam się, czy w ogóle kiedykolwiek mi wybaczy.

– Musisz mi dokładnie opowiedzieć, co się wydarzyło, kiedy nawiązałeś z nimi kontakt. To ważne.

– Próbowałem.

– Właściwie powiedziałaś tylko, że to ty skontaktowałeś się z nimi, nie na odwrót. To niezbyt wyczerpujące informacje.

– Podczas targów meblowych we Frankfurcie spotkałem kolegę, nie pamiętam, jak się nazywa. Wydaje mi się, że jest Holendrem, ale wieczór był późny i sporo wypiliśmy, więc nawet tego nie jestem pewny. Kiedy się poskarżyłem na podróbki, na kryzys i diabli wiedzą, co jeszcze, dał mi numer telefonu i powiedział, że tam znajdę pomoc. Zadzwoiłem jakiś tydzień później. Rozmawiałem z człowiekiem, którego nazywano The Purple.

– Fioletowy – kiwnęła głową Kerstin Holm. – I kiedy niebiescy się do ciebie dobrali, znowu chcesz rozmawiać z Fioletowym. A oni zaczęli ci grozić.

– Po raz drugi – powiedział Stiernmarck. – Po pierwszym razie kupiłem broń. Śrutówkę i pistolet. Zupełnie jakby to mogło coś pomóc.

– Ile razy rozmawiałeś z Fioletowym?

– Dwa razy – odparł Stiernmarck. – Za drugim razem używał innego nazwiska. Mr Bagley.

– Nie był Włochem?

– Zdawało mi się, że mówił z amerykańskim akcentem. Nie było nic, co by go łączyło z włoską mafią. Naprawdę nie miałem pojęcia, że to oni za tym stoją. Gdybym miał, nigdy w życiu bym tego nie zrobił.

– The Purple czy też Mr Bagley zaoferował, że odbierze od ciebie toksyczne odpady i się ich pozbędzie?

– Pośredniczył w kontaktach. Potem ten adres mailowy stał się moim jedynym kontaktem z nimi.

Dopóki te dwa potwory nie przyszły do mojego domu.

– Masz jeszcze te numery telefonów?

Stiernmarck pokręcił głową.

– Kazali mi je zniszczyć.

– Pamiętasz coś jeszcze z rozmowy z Mr Bagleyem?

– Były bardzo krótkie. Nic więcej nie jestem w stanie powiedzieć.

– A ten niby-Holender na targach meblowych we Frankfurcie? Trochę więcej informacji?

– Pojawił się przy mnie, kiedy byłem już pijany. Nie przypominam sobie, że bym widział go wcześniej tego dnia. Dużo wtedy gadałem z kolegami, którzy jechali na tym samym wózku co ja. Projektanci

i producenci mebli z takim samym problemem. Podróbki z Chin.

– Wiesz, czy składał propozycje komuś jeszcze?

– Nie wiem. Było nas tam z dziesięciu. Najpierw siedzieliśmy w Café Hauptwache, potem w barze hotelu Frankfurter Hof. Możliwe, że rozmawiał z kimś jeszcze, ale nic o tym nie wiem.

W tym momencie w kieszeni Kerstin Holm coś głośno zapiszczało.

*

Sara Svenhagen nie potrafiła znaleźć właściwych słów. Bez względu na to, jakie przychodziły jej do głowy, żadne nie wydawały się wystarczająco cięte. A takich właśnie potrzebowała.

– No cóż, naprawdę musimy wejść do środka – stwierdziła ubrana po cywilnemu kobieta ze służby bezpieczeństwa stojąca po drugiej stronie płotu.

– Musimy robić, co do nas należy – dodał mężczyzna.

Sara jeszcze raz przyjrzała się ich ubraniom. Więc to tak wyobrażali sobie w Säpo sposób ubierania się gimnazjalistów oraz ich nauczycieli. Wszystko było na opak, wszystko nie tak jak powinno. Wyglądali jak dwoje ubranych po cywilnemu funkcjonariuszy służby bezpieczeństwa, którzy znaleźli się w niewłaściwym miejscu.

– Najwyższa pora – stwierdziła Sara, ale to wciąż nie było wystarczająco cięte.

– Jesteśmy tu, by chronić Johanna Stiernmarcka przed zagrożeniami z zewnątrz – oświadczył mężczyzna. – Jeśli zaczniemy się wtrącać w wewnętrzne sprawy, natychmiast się zdemaskujemy.

– Czyli mobbing należy do „wewnętrznych spraw”? – spytała Sara.

Również i tym razem komentarz nie był tak zabójczy, jak ta dwójka sobie zasłużyła.

– Musimy iść – powtórzyła kobieta.

Zniknęli. Pojawiła się natomiast Kerstin Holm. Sara Svenhagen po raz pierwszy usłyszała, jak koła samochodu hybrydowego wpadają w poślizg.

Kerstin do szyby od strony kierowcy przyciskała mały, przypominający GPS ekranik z szybko mrugającą plamką. Sara obeszła wóz i wskoczyła do środka.

– Wang Yunli jest w Sollentunie – poinformowała Kerstin, ruszając w takim tempie, że aż sypnęło zwirem spod kół.

– I to jest niepokojące? – spytała Sara Svenhagen.

– Wyraźnie przemieszcza się na północ – odparła Kerstin.

– Ach – mruknęła Sara. – W stronę Arlanda?

– Wiele na to wskazuje. Możemy wybrać południową trasę i od razu zjechać na E4. Plamka nie porusza się tak szybko, by Yunli mogła siedzieć w Arlanda Express. Najprawdopodobniej jedzie pociągiem podmiejskim. Jeśli tak, kolejka wyjeżdża w tej chwili z Norrviken. Nie chcę jej zgubić.

– W takim razie będzie musiała wsiąść w autobus na stacji kolejki w Märsta – stwierdziła Sara. – Jeśli

tak, mamy szansę ją dogonić. Jak ci poszło u Stiernmarcka?

– No właśnie – westchnęła Kerstin.

Wybrała numer komórkowy, używając ekranu dotykowego w samochodzie. Po kilku sygnałach usłyszały:

– Sifakis.

– Angelos, tu Kerstin Holm ze Sztokholmu. Poczekaj chwilę, włączę do rozmowy Paula.

– Gdy tylko nauczymy się korzystać z możliwości, jakie daje nam technologia, międzynarodowa przestępczość będzie bez szans – oświadczył elegancko Sifakis.

– *Sure* – przytaknęła Sara Svenhagen.

– To ty, Saro? Miło słyszeć twój głos.

– I wzajemnie – odparła Sara. – Załatwiłeś sprawę mieszkania?

– *All work and no play* – odparł Sifakis. – Idzie powoli, ale do przodu.

– No i proszę – mruknęła Kerstin, zerkając znacząco na Sarę.

W samochodzie rozległ się kolejny sygnał. W końcu odebrał Paul Hjelm:

– Hjelm.

– Halo, tu Kerstin. Dzwonię służbowo. Sifakis i Svenhagen też są na linii.

Sztokholm, Haga i Londyn wymieniły pozdrowienia.

– Rozmawiałam z Carlem-Henrikiem Stiernmarckiem – poinformowała Kerstin Holm. – Podczas targów meblowych we Frankfurcie skontaktował się z nim nieznajomy Holender i dał mu numer telefonu. To był telefon do Fioletowego. Prawdopodobnie jest Amerykaninem i posługuje się też nazwiskiem Bagley.

– Wprowadzam to na tablicę interaktywną – powiedział Sifakis. – Dzięki.

– A ja przekazuję to Miriam Hershey, która właśnie męczy się nad wydobywaniem informacji o Asterion Security – oświadczył Paul Hjelm. – Poza tym wszystko w porządku, Kerstin?

– Wang Yunli prawdopodobnie teraz zamierza opuścić Szwecję – wyjaśniła Kerstin Holm. – Próbujemy ją przechwycić na Arlanda. A jak sytuacja w Londynie?

– Ralph Dryden się ocknął – odparł Hjelm. – Poza tym nic nowego. Bouhaddi i ja pracujemy pełną parą nad nowymi informacjami o Ariadnie, czyli Riannie Tinsley.

– Macie coś?

– Za wcześnie, żeby coś powiedzieć – odparł Hjelm.

– Tebaldi i Potorac wciąż się nie odzywają?

– Kontaktowałem się z Donatellą Bruno w Rzymie, ale ona nie wie nic więcej. Ich milczenie może mieć mnóstwo różnych powodów.

Na tym rozmowa się skończyła.

Kerstin Holm wcisnęła przycisk przy ekranie dotykowym. Sara Svenhagen odczytała: „*Power mode*”.

Samochód zaczął jechać szybciej niż kiedykolwiek dotąd.

– Mamy przeciek – stwierdziła Sara.

– Co? – zdziwiła się Kerstin. – Co masz na myśli?

– Chodzi o kolegów Johannesesa z klasy, czy jak ich tam nazwać. Wiedzieli, że ojciec Johannesesa został oskarżony o posiadanie pornografii dziecięcej. Skąd, u diabła, mogli o tym wiedzieć?

Kerstin Holm westchnęła. Sara uznała, że to westchnienie ulgi. Rzecz naprawdę nie na miejscu.

– To chyba przecież nic dobrego! – wybuchnęła.

– Nie, oczywiście, że nie – przyznała ze skrucą Kerstin. – Nie o to mi chodziło. Ale cała ta sprawa z pornografią dziecięcą toczyła się, zanim wkroczył Opcop. Reszta posterunku jest przecież jak sito. Tę informację znali tam wszyscy. Ale o reszcie nie wiedzieli. Nie o mafii.

Sara Svenhagen oparła się na siedzeniu i musiała przyznać, że Kerstin Holm wybiegła w myślach o krok dalej niż ona sama.

I że nie zdarzyło się to pierwszy raz.

*

Gdy przechodziła przez wielkie obrotowe drzwi, nie była sama. Było z nią dwoje dzieci. Trzymała je za ręce i przepełniała ją radość. Lewą ręką trzymała Chenga, prawą Shuanga. Znowu byli razem.

Jakby przez chwilę znalazła się gdzieś poza czasem

Bo gdy stanęła w hali wylotów na Arlanda International, znowu była zupełnie sama.

Przystanęła obok drzwi. O wiele za blisko. Ludzie przeklinali, następowali jej na pięty, a ona nie była w stanie się poruszyć.

Widziała huśtawkę na szkolnym podwórku w Bengbu. Raz Cheng był w górze, raz Shuang. Głosy bliźniaków splatały się ze sobą. Gdy Cheng był w górze, słyszała jego głos, gdy Shuang był w górze, słyszała głos Shuanga. Wypełniła ją ta upiorna antyfona.

Pojęła, że właśnie tę pieśń będzie słyszeć w chwili śmierci.

Podeszła do wielkiej tablicy informacyjnej. Zaczęła szukać w rubryce „Odloty”. W końcu znalazła. Że też wciąż mają tupet nazywać to miasto Pekinem, pomyślała.

Znalazła właściwą kolejkę. Air China. Kolejka była długa. Ustawiła się na końcu.

Przed nią stały dwie kobiety. Widziała tylko ich karki. Niższa z nich mogła być Chinką. Miała ciemne włosy jak Azjatki. Wyższa zdecydowanie była Europejką. I z pewnością Szwedką. Krótkie blond włosy.

Lampka alarmowa zapaliła się o wiele za późno.

Odwróciły się.

– Poznajesz nas? – spytała niższa.

– Sara Svenhagen – powiedziała wyższa. I dodała, wskazując na tę niższą: – I Kerstin Holm.

Wang Yunli naprawdę wybuchnęła śmiechem. Śmiała się długo i głośno. Potem powiedziała po szwedzku:

– Tak, poznaję was.

*

Rozmawiały w wozie. Wang Yunli zaczęła mówić i nic nie mogło jej powstrzymać. I teraz, co było zaskakujące, posługiwała się doskonałym angielskim. Sara Svenhagen siedząca z nią na tylnym siedzeniu wyjęła komórkę i nagrywała większość rozmowy.

– Należę do organizacji walczącej o prawa człowieka – powiedziała Wang Yunli. – W dzisiejszych czasach Chiny to trudny kraj, na pewno o tym wiecie. Jesteśmy kapitalistycznym wyuzdanym snem.

– Nieskończenie wielka liczba konsumentów, dużo przestrzeni dla kapitału, żadnych demokratycznych zakłóceń – odezwała się Kerstin Holm z siedzenia kierowcy.

– Jest coraz więcej ludzi, którzy, tak jak my, próbują doprowadzić do przemiany – kontynuowała Wang Yunli. – Chcemy tylko przestrzegania praw człowieka i tego, by państwo, zamiast kontrolować obywateli, zaczęło kontrolować kapitał. I co za tym idzie, chcemy również demokracji.

– Dlatego udawałaś sprzątaczkę i pracowałaś na czarno u Carla-Henrika Stiernmarcka? Dlatego szukałaś pornografii dziecięcej na jego komputerze? – spytała Sara Svenhagen i udało jej się sprawić, by powietrze w samochodzie aż wibrowało sceptycyzmem.

– Raczej z powodów osobistych – odparła Wang Yunli.

– To znaczy?

– Pamiętacie lato dwa tysiące piątego roku w Szwecji?

– Oczywiście, że pamiętamy. Masz na myśli coś konkretnego?

– Ach! – pojęła Kerstin Holm – Chińskie dzieci. Wiedziałam, że z czymś to kojarzę.

– Nagle do Szwecji zaczęło przyjeżdżać mnóstwo samotnych chińskich dzieci – powiedziała Wang Yunli. – Szwecję wykorzystywano jako wrota do obszaru Schengen, bo uważano, że granice są tutaj gorzej strzeżone. Historie były dziwnie podobne do siebie. Dzieci opowiadały dokładnie tę samą historyjkę o śmierci rodziców, a ich bardzo niewielki bagaż składał się z dokładnie takich samych rzeczy. Taka sama walizka, takie same ubrania, takie same zabawki, taka sama komórka. Wszystko wskazywało na jakąś formę zorganizowanego przemytu ludzi. Nie było jednak nikogo, kogo by można było przesłuchać. Te dzieci znikaly bez śladu. Chyba musicie to pamiętać?

– Jak najbardziej – potwierdziła Kerstin Holm. – To była zagadka. I nigdy nie udało się jej rozwiązać.

– To ta organizacja dowiedziała się tego dla mnie – wyjaśniła Wang Yunli.

– Czego się dowiedziała? – spytała Sara.

– Że moi synowie bliźniacy dotarli tutaj i zaginęli.

Po raz pierwszy od długiego czasu w samochodzie zapanowała całkowita cisza. W końcu milczenie przerwała Wang Yunli.

– Mieszkałam wtedy w Bengbu. Dopiero co zmarł mój mąż i zostałam sama z bliźniętami. Jakoś

dawaliśmy sobie radę. Byłam nauczycielką angielskiego, zarabiałam dość pieniędzy, by wiązać koniec z końcem. Udało mi się przetrwać śmierć męża dzięki moim kochanym synkom, Chengowi i Shuangowi. Byli dla mnie wszystkim. Naprawdę wszystkim.

W samochodzie znów zaległo milczenie. Wang Yunli nie musiała się śpieszyć. Po niecałej minucie zaczęła mówić dalej. Teraz z jej oczu płynęły łzy. Wszystkie bariery puściły. Ból wydostał się na zewnątrz.

– I pewnego dnia po prostu zniknęli. Nie wrócili ze szkoły. Władze wzruszyły tylko ramionami, to zjawisko było na porządku dziennym, nie mogli nic na to poradzić. Wtedy skontaktowałam się z tą organizacją obrony praw człowieka. Oni również zdawali sobie sprawę z problemu. Porywanie dzieci było o wiele częstsze, niż kiedykolwiek mogłabym przypuszczać. Prawdopodobnie miały zostać sprzedane pedofilom z Zachodu, z Europy. Organizacja zaczęła badać tę sprawę. Dołączyłam do jej działań.

– Tej organizacji? – uściśliła Sara Svenhagen.

– Tak – potwierdziła Wang Yunli. – Oczywiście, kierowała mną osobista motywacja, ale coraz bardziej zdawałam sobie sprawę, że chodzi też o to, jakie jest nasze społeczeństwo. Pojęłam absolutną potrzebę respektowania praw człowieka. Pojęłam, że dzięki temu ulegnie poprawie ludzkie życie, że porywanie i sprzedawanie dzieci przestaną być możliwe.

– Tej organizacji udało się dowiedzieć, że twoich synów przewieziono do Szwecji? – dociekała Sara.

– Należeli do tych samotnie podróżujących dzieci, które przybyły do Szwecji jesienią dwa tysiące piątego roku. Choć nie mieli żadnych dokumentów, wiem dokładnie, którego dnia tutaj przybyli. Dwunastego października dwa tysiące piątego roku. Cheng i Shuang przez dwa tygodnie siedzieli w obozie dla uchodźców w Åkersberga. Potem znów zaginęli bez śladu.

– Ty i ta organizacja wpadliście na jakiś trop?

– Tak, pół roku później zdemaskowano siatkę pedofilów z Europy Północnej: Szwedzi, Norwegowie, Duńczycy, Niemcy, Holendrzy. Wyjątkowo lubili chińskich chłopców. Część dzieci rozpoznano na zdjęciach, ale Chenga i Shuanga tam nie było. Połowa pedofilów poszła siedzieć, drugą połowę prawie udało się złapać. Wiemy, że w tej pedofilskiej siatce był pewien Szwed. I wiemy, że mieszka w Hästhagen, w Nacka. Nic poza tym.

– Więc musiałaś to sprawdzić?

– Organizacja miała dość środków, żeby wysłać mnie do Szwecji. Zaczęłam sprzątać na czarno i wyspecjalizowałam się w bogatym Hästhagen. Udało mi się zajrzeć do trzech komputerów, ale niczego nie znalazłam. U Stiernmarcka też nie. Gdy się upewniłam, że nie chcecie mnie zatrzymać, postanowiłam wracać do domu.

– Poddałaś się?

Wang Yunli spojrzała w sufit samochodu. Po jej policzkach płynęły łzy. Sara objęła ją ramieniem. Chinka nie strząsnęła jej ręki i spojrzała jej w oczy.

– Masz dzieci? – spytała.

– Dwoje – odparła Sara. – Tak jak ty.

– Co ty byś zrobiła?

Sara Svenhagen nie była w stanie odpowiedzieć. Zalała ją fala wszystkich tych fantastycznych i strasznych uczuć związanych z wychowywaniem dzieci w dzisiejszym świecie. Isabel i Miguel. Ciemnowłosa Isabel i mały blondynek Miguel.

Co by było, gdyby zniknęli?

Nie potrafiłaby być tak silna jak Wang Yunli. Po prostu rozpadłaby się na kawałki. Umarłaby.

Wang Yunli ciężko oparła głowę o jej ramię. Sara czuła, że to miejsce robi się coraz bardziej wilgotne. I nie była w stanie powstrzymać własnych łez. Po prostu się nie dało.

– Mój syn został porwany – odezwała się nagle Kerstin Holm z siedzenia kierowcy. – Porwał go własny ojciec. Dopiero wtedy zaakceptowałam to, że mój syn w ogóle istniał. Jesteś o wiele lepszą matką niż ja, Yungli. I zadbam o to, by w śledztwo w Hästhagen zaangażowano wszelkie możliwe siły. Tyle mogę ci obiecać.

Wang Yunli podniosła głowę z ramienia Sary i odparła:

– Oni żyją. Czuję to.

*

Szły korytarzami posterunku w Kungsholmen. Zmierzały do wydziału Rikskrimu do zwalczania pornografii dziecięcej. Po drodze Kerstin Holm nagle się zatrzymała i oświadczyła:

– Potrzebujemy materiałów do śledztwa.

Skręciły w boczny korytarz. Minęły drzwi z tabliczką „Sara Svenhagen / Jorge Chavez, Europol” i dotarły do drzwi, na których widniały słowa „Kerstin Holm, Europol”.

Kerstin otworzyła drzwi i weszła do środka. Zupełnie nie przejmowała się faktem, że wygląd jej biurka pozostawiał wiele do życzenia. Gra toczyła się o coś znacznie ważniejszego. Zaczęła przekopywać ogromne sterty papierów.

Sara Svenhagen i Wang Yunli przystanąły w progu. Wzrok Wang Yunli padł na ścianę, na której rozplanowano całą wielką sprawę, którą się zajmowali. Sara zastanawiała się, jak właściwie wygląda tablica interaktywna w Hadze. Patrzyła na przypięte fotografie, na odklejające się różowe, żółte i niebieskie karteczki samoprzylepne i na długie, niedbale narysowane strzałki na przyklejonych kartkach formatu A4, które to wszystko ze sobą łączyły. W porządku, może tablica nie była do końca aktualna, ale prawdopodobnie pozwalała stworzyć całkiem adekwatny obraz tej skomplikowanej sprawy. Albo raczej spraw.

– Ale... – odezwała się Wang Yunli, wskazując na ścianę.

– Co? – spytała Sara Svenhagen.

Wang Yunli podeszła bliżej. Kerstin podniosła wzrok znad papierów. Sara ruszyła w stronę Wang Yunli, Kerstin ją powstrzymała.

Chinka przystanęła przed zdjęciami ofiar z Londynu. Całkowicie zignorowała zdjęcie napuchniętej twarzy Ariadny. Skupiła się natomiast na komputerowo odtworzonej po śmierci twarzy Zhang Sanga.

Wskazała na fotografię i stwierdziła:

– To jest przecież Sonam.

– Co? – dziwiła się Kerstin Holm. – Co za Sonam?

– Sonam Phuntsok – wyjaśniła Wang Yunli. – I nie wygląda, jakby się dobrze czuł.

Pęknięcia

Londyn – Porthowan, Kornwalia, 12 kwietnia

BYĆ MOŻE WYNIKAŁO TO z faktu, że otaczały go głębokie ciemności, ale po uchyleniu drzwi zobaczył coś, dzięki czemu zrobiło mu się ciepło na sercu. Nie było to nic szczególnego. Zwyczajna sytuacja – jeśli pominąć fakt, że znajdował się w szpitalu i że było to wynikiem strzału oddanego w świetnie strzeżonej kwaterze głównej policji. Naprawdę bardzo zwyczajna. Biło od niej światło, którym na co dzień wszyscy promieniujemy bez względu na to, jak wygląda świat, który nas otacza.

Uśmiech doktor Hazel Mallory, gdy Ralph Dryden otworzył oczy.

Siedziała na skraju łóżka w białym fartuchu, on leżał owinięty białymi bandażami, które zakrywały cały jego tułów.

Obok łóżka stał respirator. Został odłączony. Chief Inspector Ralph Dryden z The Metropolitan Police Service, lepiej znanej jako Scotland Yard, oddychał samodzielnie.

Paul Hjelm podglądał. I nie czuł z tego powodu żadnego wstydu. Widział dłoń Hazel Mallory powoli głaszczącą policzek Ralpha Drydena. I widział, że wbrew woli tego ostatniego na jego surowej twarzy pojawia się uśmiech.

– Ralphie – powiedziała czule Mallory.

– Hazel – odparł ochryple Dryden. – Śniłaś mi się.

Wtedy nadeszła pora, by się ujawnić.

Paul Hjelm wszedł do pokoju. Hazel Mallory wstała i skromnie przyglądała fartuch. Ralph Dryden głośno prychnął.

– A już mi się wydawało, że obudziłem się w niebie – wysyczał.

– Ralph – powiedział Hjelm. – I Hazel. Jak miło. Dobrze widzieć, że dochodzisz do siebie, Ralph.

– Trochę za dużo powiedziane – wykaszał Dryden. – Ale dzięki.

– Sprawa dziwnie się rozwija – poinformował Hjelm. – O tym możemy pogadać później.

– Co to byli za jedni? – wycharczał Dryden. – Kto mnie postrzelił?

– Prywatna firma ochroniarska, której macki sięgają naprawdę głęboko.

– Czyli ta od Payne’a i Colemana?

– Miło słyszeć, że pamięć cię nie zawodzi. Tylko w tym sensie, że Payne i Coleman, podobnie jak ich koledzy, Burton i Combes, zostali zatrudnieni przez tę samą firmę ochroniarską. I liczę, że doktor Mallory zachowa to w tajemnicy.

– Hm – mruknęła Hazel Mallory. – Mam parę nowości dla Europolu. Sporządziłam raport toksykologiczny, zgodnie z zamówieniem. Wysłałam ci mailem.

– Dotyczący Sonama Phuntsoka, jak zakładam – powiedział Hjelm. – Który faktycznie okazał się Tybetańczykiem. Bez tego tropu nie udałoby się nam zejść tak daleko. Jestem pani ogromnie wdzięczny,

pani doktor.

– No to przekonajmy się, czy kolejne informacje również wzbudzą pańską wdzięczność – rzuciła Mallory, uśmiechając się czarująco. – Prosił mnie pan, bym zbadala zwłoki przede wszystkim pod kątem bromowanych opóźniaczy płomienia i związków perfluorowanych. Związek, który wykryliśmy, jest blisko spokrewniony przede wszystkim ze związkami perfluorowanymi. Każda standardowa analiza wykaze, że o nie właśnie chodzi. Związki, które mają nie dopuszczać do zapalenia się tapicerowanych mebli. Ta substancja działa tak samo. Robi trochę więcej. Między innymi wywołuje nadmierną potliwość.

– Potliwość?

– Właśnie. Poza tym neutralizuje wszystkie zapachy. Naprawdę genialne posunięcie. Nigdy dotąd nie widzieliśmy czegoś takiego. Ten związek wymagał analiz, które pochłonęły połowę miesięcznego budżetu. Przypuszczam, że Europol chętnie pokryje te koszty.

– Neutralizuje wszystkie zapachy? – powtórzył Hjelm.

– *Yes indeed* – uśmiechnęła się Hazel Mallory.

Normalnie powinno upłynąć co najmniej dwadzieścia minut, nim Paul Hjelm wróciłby do swojego biura z panoramicznym widokiem na Londyn. Tym razem miał wrażenie, że nie trwało to ani sekundy. Że się teleportował i pojawił między Miriam Hershey a Corine Bouhaddi.

– Jak wam idzie? – spytał.

– Próbuję uzupełnić dane od Navarro o Riannie Tinsley – powiedziała Corine Bouhaddi, podnosząc wzrok znad komputera. – Naprawdę jest tego niewiele. Była wzorową studentką na Harvardzie. Żadnej działalności politycznej, w sumie żadnej innej. Pracowała w instytucji finansowej o nazwie Antebellum Invest Inc. To bank z tradycjami, który rozwinął się w bardziej wszechstronną instytucję finansową i mieścił się w północnej wieży Twin Towers w chwili zamachu jedenastego września. Tinsley nie przebywała na miejscu, gdy samolot uderzył dokładnie w piętro zajmowane przez Antebellum, zabijając niemal wszystkich pracowników firmy. Ponieważ szczęśliwym trafem jeden z dyrektorów banku, niejaki Colin B. Barnworth, według swego asystenta Waltera (nazwiska brak) przebywał na Bahamach w tamtych dniach września, Antebellum dość szybko powróciło do gry. Tinsley, jako jedna z nielicznych, którzy przeżyli, otrzymała wyższe stanowisko. Później już nie awansowała, aż do śmierci. Była analitykiem finansowym. Intensywnie sprawdzam jej życie prywatne. Rozmawiałam z paroma przyjaciółmi i bliskimi. Wygląda na to, że była przede wszystkim imprezowniczką i nie miała żadnych poglądów politycznych, które wyróżniałyby się na Wall Street.

– Coś jeszcze?

– David Coleman... Był z Markiem Payne'em w wozie, który przejechał Zhang Sanga...

– Sonama Phuntsoka. Został zidentyfikowany. Mów dalej.

– No, no! świetnie! Cóż, telefon Colemana nie odpowiada. A Barton i Combes zniknęli bez śladu. Ich komórki też milczą. Podobno Brytyjczycy prowadzący śledztwo natrafili na pewien trop. Ponoć Barton

miał w zwyczaju jeździć do Kornwalii. Mówi się, że ma tam dom. Tyle tylko, że nie da się go znaleźć. Najprawdopodobniej ukrywa to przed urzędem skarbowym. Trwają poszukiwania. Felipe Navarro właśnie też się tym zajął.

– Kontaktowałaś się ze śledczymi z wewnętrznego?

Corine Bouhaddi się uśmiechnęła.

– Zgadza się. Anglicy mają przedziwną słabość do Francuzek. W każdym razie przez telefon.

– A co to znaczy, że Navarro też się tym zajął?

– To był jego pomysł – wyjaśniła Bouhaddi. – Twierdził, że potrafi to zrobić szybciej niż Brytyjczycy.

Mówił, że ma kontakty. Chyba chce po prostu pokazać, na co go stać.

– Pewnie tak – pokiwał głową Hjelm. – A co u ciebie, Miriam?

Miriam Hershey wciąż miała obandażowaną głowę. Bandaż zaczynał przybierać brązowy odcień.

Hjelm uznał to za dowód, że interesująca się modą Brytyjka nie rezygnuje ze swoich priorytetów.

– Skorzystałam ze wszystkich środków, jakie miałam do dyspozycji, by zbliżyć się do Asterion Security Ltd. – odparła Hershey. – I naprawdę nie było to łatwe. MI-5 i MI-6 twierdzą, że nie mają do nich żadnego dojścia. Wydaje się, że to coś w rodzaju firmy kameleona. Firma ochroniarska, która zmienia nazwę i całą swoją historię, gdy tylko otrzyma nowe, duże zlecenie. Choć nikt nie mówi tego wprost, bardzo wiele wskazuje na to, że jest to tak zwana elastyczna organizacja, w której ważną rolę odgrywają najemnicy i byli funkcjonariusze służb bezpieczeństwa. Używają najnowszych technologii i są bardzo profesjonalni we wszystkich aspektach działania.

– Zajmują się na przykład ochroną lotewskich budynków rządowych – stwierdził Paul Hjelm.

– Tyle tylko, że ten kontrakt dostali bardzo niedawno – odparła Hershey. – Jeśli cofnąć się trochę dalej, nie istnieją żadne ślady jakiegoś Asterion Security Ltd. Są supernowoczesną organizacją, która posiadała zdolność modyfikowania swojej historii. Interweniują wszędzie, załatwiają wszystko, zawsze mają przewagę nad policją i najczęściej też nad wojskiem. Prawdziwy koszmar dla praworządnego społeczeństwa. Pewnie fajnie się dla nich pracuje.

– Zamierzam zignorować ostatnie wypowiedziane zdanie – oświadczył Hjelm, zaglądając do komputera. – Mamy właściwie tylko jedno nazwisko, Ray Hammett. Corine udało się nawiązać z nim kontakt i umówić nas, tylko że później przesłał nam SMS: „Niestety, muszę odwołać nasze spotkanie. Pilne sprawy wymagają mojej obecności gdzie indziej. Cóż, takie jest życie w branży ochroniarskiej. Możemy spróbować umówić się na inny termin. Przepraszam i liczę na Państwa wyrozumiałość. Ray Hammett, szef bezpieczeństwa, Asterion Security Ltd”. Zgrabnie sformułowane, eleganckie. Nie masz nic o tym Hammetcie, Miriam?

– Nie – przyznała Hershey. – Kiedy zakłada się firmę i podpisuje kontrakty z instytucjami państwowymi, wielu ludzi musi oczywiście pokazać twarz i ujawnić swoją tożsamość. Ale w tym przypadku wcale tak nie jest. Przypuszczam, że mają dotychczas niespotykaną zdolność zacierania przeszłości. Na pewno wciąż podpisują różne dokumenty w fizycznej rzeczywistości i istnieje pewna

liczba kontraktów podpisanych przez Raya Hammetta, ale ten człowiek nie ma historii. Nie ma żadnych jego zdjęć. Nie ma tożsamości. Krótko mówiąc, Ray Hammett nie istnieje.

– Przecież mnóstwo ludzi musiało go spotkać?

– Jakich? – spytała Miriam Hershey. – Właśnie rozmawiałam z Laimą Balodis. Razem z Chavezem próbowali odnaleźć w Rydze jakichś przedstawicieli Asteriona. Ta firma odpowiada przecież za ochronę ministerstwa środowiska na Łotwie. W siedzibie firmy nie było nikogo. Na miejscu nie spotkali żadnych pracowników.

– A tu, w Londynie? – nie ustępował Paul Hjelm. – Ray Hammett tu przecież był. Corine i ja jechaliśmy na spotkanie z nim.

– Albo i nie – stwierdziła Hershey. – Mógł po prostu grać na zwłokę, żeby zniknąć. I zabrać ze sobą wszystko, co choćby przypominało o Asterionie. Bo przecież zrealizowali zlecenie. Zabili Rianne Tinsley i Sonama Phuntsoka, unieszkodliwili Kristapsa Bergmanisa w Rydze. To jasne. Teraz zapadli się pod ziemię i odtworzą się pod jakąś inną nazwą, gdy znów pojawi się popyt na ich usługi.

– Wciąż mnie to nie zadowala – stwierdził Hjelm. – Rianna Tinsley przez wiele godzin znosi tortury, żebyśmy my, właśnie my, coś ujawnili. A Sonam Phuntsok też zwrócił się bezpośrednio do Arto Söderstedta. Jesteśmy tak niesamowicie blisko... Ale nie u celu. Jeszcze nie. Co wiemy o tym banku na Manhattanie, o tym całym Antebellum Invest Inc.? Corine?

– Zajmowałam się głównie Rianną Tinsley – odparła Bouhaddi, pochylając się nad monitorem. – Ale mam też dossier o Antebellum. Rok temu, gdy w Stanach Zjednoczonych panował najgorszy kryzys finansowy, dostali pożyczkę od Federal Reserve. Ich sytuacja wciąż jest słaba, należą do tych banków, którym obiecano pieniądze podczas London Summit.

– Podczas London Summit – powtórzył Hjelm. – Rianna Tinsley była tam, by rozpaczliwie próbować nawiązać kontakt z Barackiem Obamą. Dokładnie tak, jak Sonam Phuntsok. Byli tam niezależnie od siebie, ale czy pośrednio nie chodziło o to samo?

– To właśnie napisała mi przed chwilą w mailu Jutta Beyer – wtrąciła Miriam Hershey, wskazując na swój monitor. – Wobec tego musi chodzić o to, że istnieje powiązanie między chińskim przemysłem meblowym w rodzinnych stronach Sonama Phuntsoka a dotkniętą kryzysem instytucją finansową Antebellum Invest Inc. z Nowego Jorku. I, tak jak pisze Beyer, musi chodzić o pieniądze.

– Jaki jest cel? – spytał Hjelm. – W porządku. Chińska firma meblarska pompuje niewidzialne pieniądze w Antebellum Invest Inc., które, jak wszystko wskazuje, znalazło się na skraju bankructwa. W sprawie chińskich pieniędzy nie mogą działać sami, bo wtedy przesłaby im koło nosa pomoc amerykańskiego rządu, na której tak bardzo im zależy. Dlatego w ich imieniu musi działać ktoś trzeci. Może nawet ten ktoś trzeci wszystkim kieruje, a Antebellum jest tylko... no tak... bankiem pośrednikiem między chińskimi pieniędzmi a tym kimś. Coś zostanie zrobione z pomocą tych pieniędzy i musi chodzić o gigantyczne kwoty. Tylko co?

Corine Bouhaddi zbladła. Bardzo dziwnie było patrzeć, jak skóra tej energicznej Francuzki

o algiersko-berberyjskich korzeniach traci kolor. Jej twarz naprawdę zbielała.

– Cholera – mruknęła. – Od początku miałam to przecież przed nosem. Wszyscy mieliśmy.

– O czym ty mówisz? – spytał Paul Hjelm.

– Ach – westchnęła Miriam Hershey i jej ciemne oczy widoczne w szczelinie bandażu się rozszerzyły.

– No jasne. Oczywiście.

– U diabła, kobiety! – wybuchnął Hjelm. – Co?

– Łotwa – stwierdziła Corine Bouhaddi. – Mówimy o spekulacji walutowej, przy której atak George’a Sorosa na brytyjskiego funta i szwedzką koronę w latach dziewięćdziesiątych wygląda jak niewinne igraszki. Tutaj chodzi o to, żeby wykupić cały kraj. To przecież bomba zegarowa. Gdy tylko wyjdzie na jaw, że łotewski rząd na domiar wszystkiego przyczynił się do zrzutu wielkich ilości toksycznych odpadów do Bałtyku, międzynarodowy handel z tym krajem zostanie wstrzymany. Gospodarka stanie w miejscu. Łotwa będzie zmuszona do drastycznej dewaluacji. Kraj potanieje z dnia na dzień. Ale jeśli wpompuje się w niego tyle pieniędzy, gospodarka w cudowny sposób dojdzie do siebie, wszystko odzyska wcześniejszą wartość, zacznie się kręcić, Łotwa znów będzie bogata. Tyle że znajdzie się w prywatnych rękach. To monumentalna inwestycja. Kimkolwiek jest ta twoja trzecia strona, ci ludzie staną się bogaczami. Podobnie jak chińscy inwestorzy, oczywiście. I jak Antebellum, które dostanie państwowe wsparcie od Obamy i swoją część Łotwy.

– Wszystko się kręci wokół pieniędzy – stwierdziła Miriam Hershey. – Katastrofa ekologiczna na Bałtyku i w Tybecie nie są ważne. Pieniądze rządzą. Pieniądze są wszystkim w naszym świecie.

Paul Hjelm rozłożył ręce i spytał:

– Co ma z tym wspólnego ‘Ndrangheta? To przecież oni zastawili pułapkę na Kristapsa Bergmanisa w Rydze. To oni przygotowali dewaluację na Łotwie. To oni trzymają palec na spuście. Właściwy dziennikarz w odpowiednim momencie i wszystko załatwione.

– Asterion! – zawołała Hershey. – To oni są pająkiem w tej sieci. Mają kontrakty z Antebellum w Nowym Jorku i z ‘Ndranghetą w Kalabrii. W gruncie rzeczy wszyscy chcą tego samego.

– Do diabła! – zaklął Hjelm i podbiegł do komputera. – Raport toksykologiczny Hazel Mallory. O tutaj. Sonam Phuntsok był zatruty substancją o takim samym zastosowaniu jak bromowane opóźniacze płomienia i związki perfluorowane. Substancja ta prócz tego, że jest bardziej toksyczna, ma jeszcze jedną ważną cechę. Neutralizuje wszystkie zapachy. Również narkotyków. Mafia wyświadcza Antebellum przysługę i na pewno nie za darmo, jeżeli Asterion i Ray Hammett nie robią tego na własną rękę. Ale przede wszystkim otwiera szlaki handlowe na Wschód. Ryga zostanie nowym ważnym portem wysyłki narkotyków, które będą pakowane w sposób uniemożliwiający ich wykrycie. W meble niewydzielające zapachu. Żaden pies nie znajdzie w takich meblach narkotyków.

– Każda przestępczość jest związana z inną przestępczością – powiedziała Miriam Hershey. – Mówiłam to wcześniej i teraz powtarzam.

W tym momencie zadzwoniła komórka Corine Bouhaddi. Odebrała ją z imponującą szybkością.

– Corine.

Przez dłuższą chwilę milczała. Zapisała coś na karteczce i powiedziała:

– Dziękuję.

Rozłączyła się.

– Navarro? – spytał Hjelm.

– Tak, i to bardzo zadowolony z siebie – odparła Bouhaddi. – Wygląda na to, że znalazł tajemniczą kryjówkę Francisa Bartona. Jest w miejscu, które nazywa się Porthtowan, na północno-zachodnim wybrzeżu Kornwalii. Podał mi nawet koordynaty GPS.

– Jak on to, u diabła, zrobił? – zdziwił się trochę nieprofesjonalnie Hjelm.

– Nie możemy zaprzeczyć, że Navarro, jak mało kto, potrafi przeszukiwać różnego rodzaju rejestry danych – stwierdziła Hershey. – Chyba dlatego go zatrudniłeś?

– Zgadza się – mruknął w zamyśleniu Paul Hjelm. – Kiedy mamy następny lot do jakiegoś najbliższego miejsca?

Miriam Hershey zdążyła to sprawdzić.

– Jeśli natychmiast wyruszyście, zdążyście na lot krajowy do Newquay Cornwall Airport. Wylot o dwunastej osiemnastej z London City Airport w Docklands.

– Czyli nie chcesz lecieć z nami? – spytał Hjelm z krzywym uśmiechem.

– Pogodziłam się ze swoimi ograniczeniami – odparła Hershey, uśmiechając się jeszcze bardziej krzywo.

Ruch w porze lunchu na szczęście nie był zbyt intensywny. Taksówkarz potraktował poważnie słowa Hjelma i śpieszył się. Ten mężczyzna o dwóch zębach i wyjątkowo szerokich wąsach bez wątpienia zasłużył na hojny napiwek. Hjelm i Bouhaddi zdążyli ze sporym zapasem na lot do Newquay. Na lotnisku wypożyczyli samochód. Z GPS-em. Bouhaddi wprowadziła koordynaty i ruszyli przez angielską wieś. Prowadził Hjelm. W każdej innej sytuacji lewostronny ruch byłby dla niego koszmarem. Teraz nie zwracał na to uwagi.

Zostało im niecałe piętnaście kilometrów do Porthtowan, które wydawało się nieco nadszarpniętym zębem czasu urlopowym rajem. Sama esencja *off season*. Kwietniowy wiatr znad Atlantyku pędził gromady grzywiastych fal po matowo czarnej powierzchni morza. Hjelm przejechał wypożyczonym wozem przez małą miejscowość i znaleźli się na wsi. Oddalali się od morza. Lewostronny ruch był mimo wszystko uciążliwy i zazwyczaj tak opanowana Bouhaddi już trzy razy aż sapnęła ze strachu. Za trzecim razem wydawała się naprawdę zażenowana.

– Powinieneś być pozwolić mi prowadzić – mruknęła.

– Zupełnie jakbyś ty lepiej sobie radziła z ruchem lewostronnym – odciął się.

Potem przez chwilę milczeli. GPS informował, że pozostał im jeszcze ponad kilometr wąską drogą, która zwężała się jeszcze bardziej, po czym połykał ją surowy, krzaczasty krajobraz. Jechali nią do chwili, gdy odezwała się Bouhaddi.

– Zatrzymaj się tutaj. Dwieście metrów za tymi wzgórzami droga dochodzi pod sam dom. Stamtąd powinniśmy mieć dobry widok.

Hjelm zatrzymał się na skraju rowu, złapał lornetkę, którą w chwili olśnienia zabrał ze sobą, i ruszyli dalej pieszo.

Przykucnęli za krzakiem na szczycie wzgórza. Widać stąd było jeden budynek na skraju zagajnika, który przy odrobinie dobrej woli można by nazwać lasem. Nie był to bynajmniej dom, na jaki byłoby stać gliniarza z londyńskiej drogówki. Hjelm uniósł lornetkę do oczu i wyostrzył obraz.

Przed budynkiem stały trzy samochody. Z londyńskimi rejestracjami.

– Samochody z wypożyczalni – stwierdził Hjelm. – Co ci to mówi?

– To może mówić wiele różnych rzeczy – stwierdziła Bouhaddi. – Ale istnieje możliwość, że trzech brudni gliniarze Coleman, Barton i Combes zjechali się do tajnej kryjówki Bartona.

Paul Hjelm i Corine Bouhaddi popatrzyli po sobie. W jej spojrzeniu pojawiło się coś, czego do tej pory nie widział. To nie była wojowniczość muzułmanki z drugiego pokolenia imigrantów, to nie był święty polityczny gniew policjantki z Marsylii. I nie było to pragnienie, by walczyć o sprawiedliwość. Miał przed sobą po prostu wojowniczkę. Bouhaddi chciała wejść do tego domu. Chciała walczyć.

– No dobra – stwierdził Hjelm i wyciągnął broń.

Bouhaddi skinęła głową tak mocno, aż strzeliło jej w karku, i wyjęła pistolet. Ruszyła. Hjelm poszedł za nią.

Pierwszy samochód stał jakieś dwadzieścia metrów przed niewielkim budynkiem. Przykucnęli za jego maską. Hjelm wyrzwał i przysunął lornetkę do oczu. W polu widzenia drżały dwa wielkie panoramiczne okna. Udało mu się ustabilizować obraz. Zobaczył, co jest za oknem. Zarysy sofy, telewizor, stół. Okno po drugiej stronie domu, mały, zadbane ogródek widziany przez dwie szyby. Żadnych oznak życia.

Opuszczony dom?

A potem ruch. Hjelm zerknął szybko na Bouhaddi, ale ona akurat patrzyła na swój pistolet. Znow uniósł lornetkę. Co takiego zobaczył? Próbował przywołać to wrażenie. Co to był za ruch?

Sofa. Wystające oparcie. Nagle... poruszyło się... choć ledwie zauważalnie.

A może się mylił? Nie odkładał lornetki, patrzył dalej, nie mrugając. Ale żadnego ruchu już nie było. Wyobraził to sobie?

Kiwnął głową do Bouhaddi i dopadli do drugiego samochodu. Byli już blisko, może jakieś siedem metrów od domu. Lornetka wisząca na szyi. Wyciągnięta broń. Spojrzenie utkwione w drzwiach wejściowych. Szybkie zerknięcie w stronę wielkiego okna. Żadnych oznak życia.

Czym był ten ruch, który zobaczył?

Spojrzenie Bouhaddi. Absolutne skupienie. Cieszył się, że to ona jest tu razem z nim.

Wstali, pobiegli skuleni do drzwi.

Byli trzy metry od nich, gdy nagle się otworzyły. Oboje zdumiewająco szybko wycelowali.

Bouhaddi strzeliła. Strzał odbił się echem w odludnym krajobrazie.

Strzeliła. Ale mężczyzna zdążył się uchylić. Albo raczej pochyłał się, stojąc na ganku. I wymiotował.

Stał zgięty wpół, gdy Hjelm i Bouhaddi do niego dopadli. Powalili go. Wciąż wymiotował. A gdy Paul Hjelm usiadł na jego piersi, przyciskając mu kolanami ręce, wymiotował dalej.

To był Mark Payne.

Wydyszał zduszonym głosem:

– *Jesus, sweet Jesus.*

Hjelm spoliczkował go i ryknął:

– Mark, jesteście z policji. Spójrz na mnie! Pamiętasz mnie?

Spojrzenie Marka Payne'a było rozbiegane. W końcu skupił wzrok na siedzącym na nim mężczyźnie.

To nie były oczy, które widzą.

Corine Bouhaddi stała przy otwartych drzwiach. Hjelm nie zdążył zaprotestować. Zobaczył, jak wciąga głęboko powietrze, trzymając pistolet oburącz tuż pod podbródkiem. A potem wpadła do domu.

– Wszyscy nie żyją – powiedział Mark Payne. Jego twarz pokrywały wymiociny.

Bouhaddi wyszła. Paul Hjelm po raz drugi zobaczył to przedziwne zjawisko. Ujrzał, jak z jej ciemnej twarzy znikają wszystkie kolory. Była blada jak ściana. Usiadła na schodkach prowadzących na ganek. Odłożyła pistolet. Spojrzała w zachmurzone niebo. Zasłoniła dłońmi upiornie bladą twarz i powiedziała:

– Nie wchodź.

Paul Hjelm puścił Payne'a, podźwignął go na nogi, obszukał, posadził na schodach obok Bouhaddi. Przyglądał im się. Oboje widzieli to samo. Żadne z nich nie miało na twarzy ani śladu kolorów. Oboje byli kompletnie załamani.

– Kto nie żyje? – spytał Hjelm.

– Czterech – odparła Bouhaddi słabym głosem. – Rozpoznałam Colemana, Bartona i Combesa. Myślę, że ten czwarty to Chief Superintendent Anthony L. Robbins. Uwierz mi, nie chcesz tego widzieć. Nie musisz.

– Druć kolczasty? – spytał Paul Hjelm.

– Między innymi – odparła Bouhaddi, tłumiąc odruch wymiotny. – Między innymi.

– A tu siedzi czwarty z policjantów morderców z London Summit, drugiego kwietnia – stwierdził Hjelm, chowając w końcu broń. – Co tu robisz, Mark? I od jak dawna tu jesteś?

Mark Payne pokręcił głową i spuścił wzrok.

– Dave dzwonił – powiedział. – Mówił, że są w kryjówce Francisa. Że mają niedługo dostać pieniądze. Mówił, żebym przyjechał, że pora podzielić kasę.

– Czyli ktoś miał tu przyjechać? Z kasą?

– Najwyraźniej.

– Ktoś przyjechał – stwierdził Hjelm. – Ale nie z kasą.

– Ukryłem rodzinę – powiedział Payne. – Naprawdę potrzebowałem kasy. Ostatniej dużej działki. Przyjechałem do Porthowan, zostawiłem samochód kawałek stąd przy bocznej drodze i zakradłem się

tutaj. Wszedłem tylnymi drzwiami. To było parę minut temu.

Hjelm odwrócił się do Bouhaddi, na której twarz zaczęły powracać kolory. Wzięła swój pistolet i wsunęła z powrotem do kabury.

– Od jak dawna nie żyją? – spytał Hjelm.

– Zwłoki są bardzo świeże – odparła Bouhaddi. – Smród świeżej krwi. Sam go czujesz.

Hjelm kiwnął głową. Czuł tę woń, odkąd otworzyły się drzwi. To było tak, jakby dopiero teraz dotarła do jego mózgu.

Podźwignął się i podszedł do drzwi. Szybko zerknął w głąb domu. Na ścianie na wprost dojrzał okrągły otwór. Spojrzał na Bouhaddi. Podchwyciła jego spojrzenie. Słowa były niepotrzebne. Gdyby Mark Payne nie pochylił się, by zwymiotować, Corine Bouhaddi by go zastrzeliła. Nie było co do tego żadnych wątpliwości. Zamknęła oczy.

Wydawało się jednak, że Payne niczego nie zauważył. Zaprzętały go inne myśli. Podźwignął się na drżących nogach i oparł obiema rękoma o ścianę domu. Potem powiedział:

– Mam coś dla was. W samochodzie.

Hjelm zajrzał w półmrok.

Nie wchodź. Nie musisz.

Zamknął drzwi. Od zewnątrz.

Rozejrzał się. Ganek z wymiocinami Payne'a. W nich ślady rąk i butów.

– Dotykaliście czegoś tam w środku? – spytał.

Oboje pokręcili głowami.

– Pomóżcie mi to usunąć – poprosił.

Pomogli. W końcu nie pozostały żadne widoczne ślady.

Ruszyli. Poszli w przeciwną stronę, przez wzgórza. Samochód Payne'a stał w krzakach. Hjelm i Bouhaddi znów wyciągnęli broń. Payne ruszył przodem w stronę wozu. Wskazał na niego.

– W bagażniku – wyjaśnił.

Pistolety skierowane w samochód. W bagażnik, którego pokrywa powoli unosiła się do góry. Był pusty. Prawie. Leżała w nim mała, szczelnie zamknięta plastikowa torebka. Payne ją podniósł i podał Hjelmowi. Hjelm wziął torebkę do ręki i popatrzył na jej zawartość. Uniósł przezroczysty plastik ku szaremu niebu. Dojrzał krótki ciemny włos z wyraźną cebulką włosową.

– Raya Hammetta – powiedział Mark Payne. – Pomyślałem, że was zainteresuje.

*

Było późne popołudnie, gdy znów wkroczyli do budynku New Scotland Yardu. Miriam Hershey spojrzała na nich przez szparę w wyraźnie już zabrudzonych bandażach.

– Coś nowego z Włoch? – spytał Hjelm.

Hershey pokręciła głową. Hjelm rąbnął dłonią o framugę drzwi i poczuł ból rozchodzący się po całym ciele. I jeszcze bardziej po duszy. Hershey spytała:

– Payne na miejscu?

– Przypięty do łóżka – odparła Bouhaddi. – Tak w ogóle, co to był za *safe house*?

– Nieoficjalne mieszkanie, które mam od czasów w MI-5 – wyjaśniła Hershey. – Nikt o nim nie wie.

Tam jest bezpiecznie.

– Możemy tylko mieć nadzieję, że jego rodzina też jest bezpieczna – westchnął Hjelm, opadając ciężko na krzesło przy biurku.

– Czyli Asterion Security popełniło błąd? – powiedziała Hershey. – Interesujące. Pozwolili Payne’owi żyć.

– Chyba udało mu się przed nimi ukryć – odparł Hjelm. – Jak szybko twoi koledzy z MI-5 wyodrębnią DNA Raya Hammetta?

– Szybciej niż można by przypuszczać – zapewniła Hershey. – Przekazaliście to do rąk własnych Jonathanowi Clamowi, tak jak wam mówiłam?

– Tak – zapewnił Hjelm. – Dwie godziny temu.

– Czyli analiza trwa od godziny i pięćdziesięciu pięciu minut. Niedługo powinna przyjść odpowiedź. Rozmawiałam też z twoją żoną.

– Kerstin Holm nie jest moją żoną – powiedział Paul Hjelm. – Jeszcze nie.

– Opowiadała w każdym razie o Sonamie Phuntsoku. Wasza pracująca na czarno sprzątaczką Wang Yunli, od której zaczęła się cała ta dziwna sprawa, należy w rzeczywistości do najważniejszej organizacji na rzecz obrony praw człowieka w Chinach. Przyjechała do Szwecji, bo jej dziesięcioletni bliźniacy zostali porwani i przewiezieni do tego kraju. Z organizacją kontaktował się też tybetański ekonomista o nazwisku Sonam Phuntsok. Opowiadał o drastycznym zanieczyszczeniu środowiska w Tybecie. Pracował w firmie meblarskiej, która wypuszczała toksyczne substancje prosto do rzeki Saluin. Ale organizacja była zaangażowana w mnóstwo spraw ściślej związanych z prawami człowieka i nie mogła się zająć skażeniem środowiska. Skierowali go do organizacji ekologicznych. I wtedy widzieli go po raz ostatni.

– Jak to wszystko się ze sobą łączy... – westchnął Paul Hjelm. – Naprawdę żyjemy w dziwnym świecie. Nikt nie ucieknie przed zglobalizowaną gospodarką. Nawet jeśli mieszka w małej wiosce w Tybecie. Wiemy coś więcej o tej firmie meblarskiej?

– Niewiele – odparła Hershey. – Kontaktowałam się z różnymi organizacjami na rzecz ochrony środowiska w Chinach i poza ich granicami. Jak wiadomo, chińskie władze prowadzą w Tybecie bezwzględna politykę. Trudno pobierać próbki wody i tak dalej. W każdym razie te organizacje były zgodne co do tego, że musi chodzić o firmę Hānshuì w prefekturze Nagqu na Wyżynie Tybetańskiej. Leży ona na wysokości czterech tysięcy metrów nad poziomem morza. Ma tu źródła kilka ważnych rzek: Jangcy, Huang He, Mekong. A także Saluin. Do tej pory nie było żadnych bezpośrednich raportów

o zanieczyszczeniach spowodowanych przez fabrykę. W ogóle żadnych skarg. Można natomiast odnotować, że firma Hānshuì prowadzi ożywioną wymianę handlową z Koreą Północną.

– Z Koreą Północną... – powtórzył Hjelm.

– Właśnie – potwierdziła Hershey. – Kilka lat temu po raz pierwszy usłyszeliśmy o północnokoreańskiej heroinie. Potem raporty zaczęły spływać jeden po drugim. Korea Północna produkuje heroinę pod kontrolą państwa. To fantastyczne źródło dochodów dla tego kraju, jednego z najbiedniejszych i najbardziej odizolowanych od reszty świata. Narkotyki produkuje się na przykład w ogromnym kompleksie farmaceutycznym o nazwie Nanam, który utworzono w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim roku na bezpośredni rozkaz nieżyjącego już przywódcy Kim Ir Sena. Można sobie wyobrazić, że nowa ważna trasa przerzutu północnokoreańskiej heroiny pobiegnie przez Tybet i Himalaje do Rygi, a potem na cały Zachód. Zwłaszcza jeśli Łotwa pójdzie na dno.

– ‘Ndrangheta kontroluje już europejski handel kokainą – stwierdził Paul Hjelm. – Jak ma poszerzyć działalność? Znajduje nową trasę przerzutu drugiego ważnego narkotyku, heroiny. Początek tej dziwnej trasy wiedzie z odizolowanej Korei Północnej do niedostępnego Tybetu. Tam heroina jest pakowana w meble nasączone substancjami toksycznymi, dzięki czemu nie da się jej wykryć. ‘Ndrangheta wykupuje dużą liczbę firm meblarskich w Europie, w tym Endymion Möbelsystem AB spod Sztokholmu. Myślicie, że wykupili więcej firm meblarskich?

– Tym, kto może odpowiedzieć na to pytanie, jest chyba... no cóż... mister More? – mruknęła Corine Bouhaddi.

– Skontaktuję się z Söderstedtem – oświadczył Hjelm i zadzwonił.

– Paul? – odezwał się Söderstedt.

– Mister More? – powiedział po prostu Hjelm.

– Dochodzę do siebie po hipnozie – wyjaśnił Söderstedt. – Potrzebowałem do tego trzech piw. Chcesz, żebym od razu do niego zadzwonił?

– Poproszę – odparł uprzejmie Hjelm. – Najważniejsze pytanie: czy ‘Ndrangheta w ostatnim czasie wykupiła też inne firmy meblarskie z Europy?

– Nasze rozmowy stają się coraz krótsze – westchnął Söderstedt i rozłączył się w tej samej chwili, gdy zadzwoniła komórka Miriam Hershey.

Miriam zerknęła na numer na wyświetlaczu i powiedziała:

– Ach, to Jonathan.

Odebrała. Czas mijał. Nie odzywała się ani słowem. Potem pochyliła się nad komputerem i zaczęła stukać w klawiaturę.

– Tak, mam to – powiedziała. – Wielkie dzięki, Jonathanie, naprawdę. Zadzwonię, gdy tylko będę miała trochę czasu.

Wtedy Hjelm i Bouhaddi po raz pierwszy usłyszeli głos Jonathana Clama.

– Nasze rozmowy stają się coraz krótsze, Miriam – westchnął.

– Musimy trochę lepiej zadbać o nasze kontakty towarzyskie – westchnął z kolei Paul Hjelm.

– Ray Hammett – stwierdziła Hershey i zaczęła dobitnie czytać tekst z monitora. – Mamy jego DNA.

Teraz również tożsamość. Urodził się jako Christopher James Huntington w Wirginii, w Stanach Zjednoczonych, czterdzieści dwa lata temu. Z wykształcenia policjant kryminalny. Później żołnierz piechoty morskiej, zrekrutowany przez CIA, służył w Iraku podczas wojny w Zatoce. Odszedł z CIA i został prywatnym przedsiębiorcą. Po prostu najemnikiem. Pojawiał się tu i tam w różnych rejonach konfliktów na świecie. Chętnie posługuje się pseudonimami, nasuwającymi na myśl autorów kryminałów. „Ray Hammett” to połączenie Raymonda Chandlera i Dashiella Hammetta. Do tego dochodzą pseudonimy, takie jak „Ellroy Christie”, „Mr Sayers”, „Patric Highsmith”, „Crumley Bingham”.

Wtedy Paul Hjelm wybuchnął śmiechem. Śmiał się tak, że do oczu napłynęły mu łzy. Nie był w stanie ich powstrzymać, więc kilka spłynęło mu po policzkach. W końcu powiedział:

– Albo, jak zakładam, Mr Bagley. Od kiepskiego brytyjskiego autora thrillerów Desmonda Bagleya.

– Gdzieś na to natrafiliśmy? – spytała Bouhaddi.

– Pierwszy kontakt Carla-Henrika Stiernmarcka – wyjaśnił Hjelm, ocierając łzy. – The Purple, Fioletowy. Asterion Security Ltd. zajmowało się najwyraźniej kontaktami między firmami meblarskimi a mafią. Możesz to nazywać outsourcingiem.

– W każdym razie nie ma żadnych wskazówek, gdzie moglibyśmy znaleźć Christophera Jamesa Huntingtona – podsumowała Miriam Hershey. – Przemieszcza się z miejsca na miejsce. Jest ciągle w ruchu. To bardzo bystre ze strony Marka Payne’a, że wziął jego włos. Jak mu się to udało?

– Najwyraźniej podczas pierwszego spotkania w siedzibie Asterion w Docklands. Przeczynał, że Ray Hammett jest niebezpieczny. Intuicja go nie zawiodła.

Zadzwoiła komórka Hjelma. Uśmiechnął się lekko, gdy spojrzał na wyświetlacz.

– Mr More? – odebrał.

– Prawie – odparł Arto Söderstedt. – LOL Offshore Asset Management Ltd. z Kajmanów zaprzecza, jakoby miało jakiegokolwiek powiązania ze światem przestępczym. Potwierdza jednak, że z konta, z którego wypłacono pieniądze dla Endymion Möbelsystem AB, przelano również podobne sumy dla dwunastu innych europejskich firm meblarskich. Tajemnica bankowa nie pozwalała mu powiedzieć, dla których.

– Dzięki, Arto – powiedział Hjelm i poczuł, że robi mu się ciepło na sercu.

– Proszę bardzo – odparł Söderstedt. – Mogę spytać, o co chodzi? Nie mam siły samodzielnie myśleć.

– Trzy piwa i już wypadasz z gry? – zdziwił się Hjelm. – Zaczynasz się starzeć.

– Na tę dyskusję też w tej chwili nie mam siły. Ale chciałbym trochę skorygować to stwierdzenie. Trzy piwa i wizyta w równoległym wszechświecie. Powinieneś widzieć Juttę.

– Pewnie nie masz – zgodził się Hjelm – ale pamiętam, że rano o coś pytałeś: „Nie ma żadnego związku z mafią? To były tylko urojenia?”. Odpowiedź brzmi: nie. To nie były żadne urojenia. Chodzi o heroinę z Korei Północnej. Nową trasę przerzutu narkotyków przez Tybet.

– O cholera. Przez tę firmę meblarską?

– Twój Zhang Sang nazywał się Sonam Phuntsok. Był ekonomistą z firmy meblarskiej Hānshuī w prefekturze Nagqu na Wyżynie Tybetańskiej. Toksyczne substancje wywołujące nadmierną potliwość są spokrewnione z bromowanymi opóźniaczami płomienia i związkami perfluorowanymi. Poza tym bardzo dobrze się sprawdzają w neutralizowaniu nawet najśłabszych zapachów. Idealne do przemytu heroiny.

– Jezu – westchnął Arto Söderstedt. – Czyli jednak się nie myliliśmy.

– W każdym razie nie do końca – odparł Paul Hjelm. – To, że nie łapiemy żadnych drani, to inna sprawa.

Hjelm zakończył rozmowę i spojrzął na Hershey i Bouhaddi. Obie wyglądały na trochę przejęte. Jakby nagle dostrzegły wszystkie tajemnicze, ale logiczne związki na tym świecie.

– Do czego zmierza ludzkość? – zapytała Corine Bouhaddi, po raz pierwszy sprawiając wrażenie trochę bezradnej.

W tym momencie dał się słyszeć dziwny dźwięk przypominający bardzo mały kościelny dzwon. Nie pochodził z Londynu, który prezentował się ze swej najlepszej strony za wielkim panoramicznym oknem w ten cudownie spokojny angielski wieczór. Nie, dźwięk dobiegał z zagraconego kąta zajmowanego przez Ralpa Drydena.

– O cholera – rzuciła Miriam Hershey i pognęła w tamtą stronę.

Hjelm i Bouhaddi ruszyli za nią. Przystanęli w drzwiach i patrzyli, jak Hershey grzebie w papierach Drydena i wyciąga spod nich bardzo mały notebook.

– Wyszukiwanie – powiedziała. – Trwało dzień po dniu.

– Wyszukiwanie hasła? – spytał Hjelm.

– Być może przypominasz sobie, szefie, że uruchomiłam automatyczne przeszukiwanie wszystkich znanych serwerów mailowych na świecie, używając „e98weriN” i „79sYsd76” jako nazwy użytkownika i hasła. To znaczy tych serwerów mailowych, które nie wykorzystują adresu mailowego jako nazwy użytkownika. I niech mnie diabli, wygląda na to, że mamy trafienie.

– Czekaj, czekaj – powiedziała Corine Bouhaddi z lekką paniką w głosie. – To były te szyfry, które Rianna Tinsley wprowadziła sobie do odbyticy i zaadresowała do nas? „Do jednostki operacyjnej Europolu”?

– Zgadza się – potwierdziła Miriam Hershey i zaczęła stukać w klawisze. – Prawdopodobnie chodzi o niewielki amerykański serwer mailowy o nazwie Midasmail. Właśnie do niego weszłam. Ma adres mailowy „ariadne@midasmail.com” i pisze na adres „fedra873456@hotmail.com”.

– Ariadna i Fedra – powiedział Paul Hjelm z zapartym tchem. – Siostry z greckiej mitologii.

– Ariadna miała rację – dodała Corine Bouhaddi z podobnym przejęciem w głosie. – A osobą, która miała rozpoznać dzieło sztuki przedstawiające Ariadnę, musiała być Fedra...

– Odpowiedzi Fedry zostały skasowane – poinformowała Hershey ze wzrokiem utkwionym

w monitorze. – Ale Ariadna wysłała pięć maili. Wszystkie tu są. Pierwszy z piętnastego marca, godzina dziesiąta trzydzieści jeden trzydzieści osiem EST, czyli Eastern Standard Time Zone, czasu nowojorskiego, ostatni z drugiego kwietnia, godzina ósma dwadzieścia cztery dwadzieścia jeden GMT, czyli Greenwich Mean Time, czasu londyńskiego.

– Drugi kwietnia – odezwał się Paul Hjelm. – Dzień London Summit. O ile dobrze pamiętam, limuzyna Baracka Obamy mijiała południową bramkę o godzinie dziewiętej zero pięć.

– Ariadna wysłała ostatni mail czterdzieści minut przed tym, jak Barton i Combes ją zgarnęli i przekazali w ręce Asteriona – stwierdziła Bouhaddi. – Doborowym ekspertem od tortur Raya Hammetta.

– Czytaj na głos – poprosił Paul Hjelm.

Od: Ariadna <ariadne@midasmail.com>

Temat: Barack Obama

Data: 2 kwietnia 08.24.21 GMT

Do: Fedra <fedra873456@hotmail.com>

To strasznie ciasny pokoik hotelowy, Kochanie. Ledwie się tutaj mieszczę. Wyglądam przez okno na Queensborough Terrace. Ulica jest dziwnie pusta. A więc dotarłam tu. To tu przeprowadzę ostateczną próbę dotarcia do celu.

London Summit. Spotkanie G-20. Dwadzieścia najbogatszych państw świata. Jest tu cała władza, całe pieniądze tego świata. A jednak nie opuszcza mnie natrętna myśl, że to wszystko to tylko kulisy.

Odchylam żaluzje w taki sposób, żeby słońce dotarło do mojej klitki. Dzięki temu mam przynajmniej złudzenie rzeczywistości.

Wiem, że mnie śledzą. To nie paranoja, nie teoria spiskowa. Właśnie wygooglowałam hasło „Asterion”. Przeczytałam: „Asterion to inne imię Minotaura”. I nagle wszystko wydało mi się niezwykle logiczne. Jakby naprawdę wszystko do siebie pasowało.

Żałuję, że choć raz w życiu do czegoś nie płonęłam. Do czegokolwiek. Że nigdy w życiu nie doświadczyłam uczucia niezmiernej ważności czegoś.

Może, mimo wszystko, właśnie tego teraz doświadczam.

Płonę.

Doszłam do następujących wniosków. Minotaur zamierza na dany znak w wielkim pośpiechu przenieść cały chiński kapitał do makrofunduszu. To jego dawna specjalność. Makrofundusz z ogromną prędkością pojawia się w różnych miejscach globu. Istnieje jednak pewna przeszkoda. Tak wielkich sum nie przeleje z jakiegokolwiek prywatnego komputera. To się musi odbyć fizycznie, w banku. On musi pójść osobiście

do placówki bankowej Antebellum. Antebellum ma placówki w ośmiu krajach europejskich. Dzięki temu w końcu udało mi się go odnaleźć. Wiem, dokąd musi pójść, kiedy przyjdzie pora. Wiem dokładnie, gdzie się znajduje ten centralny komputer.

Zamierzam upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu. Znalazłam Minotaura. A za kilka minut wyjdę, by się spotkać z Obamą.

Właśnie zobaczyłam wiadomość na Twitterze. Brzmi: „*Rumour from inner circle: BO will stop and greet crowd 100 m from south gate. Spread!*”. To tam muszę iść.

Teraz składam swój los w Twoje ręce, moja duchowa Siostrze. Ale nie mogę złożyć na Twoje barki całego ciężaru. Muszę spróbować przekazać wiadomość temu europejskiemu FBI, o którym opowiadał mi Kyle, jednostce operacyjnej Europolu. Jeszcze trochę odchyłam żaluzje. Ostatnie promienie słońca wpadają do pokoju. Za chwilę słońce zniknie, powędruje dalej ścieżką po dachach domów. Precyzyjnie przekręcęm drążek żaluzji, by uchwycić ostatnie najdrobniejsze promienie. I widzę, że muszę go użyć. Drążka od żaluzji.

Dość o tym, Kochanie. Mój czas dobiega końca. Dowiedziałaś się tego, co potrzeba. Z wyjątkiem jednej rzeczy. Tego, gdzie on jest. Gdzie w tej chwili przebywa Minotaur. Teraz Ci to powiem. Tobie, Fedro, i mam nadzieję, że również Tobie, nieznanemu europejskiemu policjancie, który czytasz moje starannie dobrane słowa.

Musimy zmienić losy świata.

Pomyśleć tylko, że naprawdę do tego płonę.

Minotaur siedzi w Berlinie, to takie proste. Minęło trochę czasu, nim to pojęłam. Przejrzałam wszystkie jego dawne kontakty biznesowe w Europie i zrozumiałam. Istnieje pewna placówka bankowa w Berlin-Mitte, niedaleko Hackescher Höfe. To w placówce Kanalbank przy Oranienburger StraÙe Minotaur dokona swojego wielkiego przelewu. O cokolwiek w tym chodzi. Tak daleko nigdy nie udało mi się dotrzeć. Szalenie trudno mi uwierzyć, że chodzi o coś dobrego.

Opowiem Barackowi Obamie, że przekazuje ogromne sumy nieuczciwemu bankowi, skorumpowanej instytucji finansowej, której poświęciłam całe swoje życie. Opowiem, że Minotaurowi, i być może również B., udało się uniknąć zamachu jedenastego września, jakby wiedzieli, co się wydarzy. Opowiem, że ekspert od makrofunduszy, Minotaur, upozorował swoją śmierć i działa pełną parą w Berlinie. Opowiem o przekrętach Antebellum z chińskimi pieniędzmi i o wewnętrznych śledczych z Asterion Security, którzy idą za mną krok w krok. Obama dowie się o wszystkim. Te informacje zmienią London Summit. I świat, jaki znamy.

A Ty, Kochanie, wiesz, o jakie konta chodzi. Jesteś jedyną osobą na świecie, która to wie. To, co zrobisz z informacjami, które ci przekazałam, to Twoja sprawa. Potrzebuję Cię tylko na wypadek, gdybym nie dotarła do Obamy. Ale wtedy najprawdopodobniej będę martwa.

Wobec zmarłych nie ma się żadnych zobowiązań.

A może jednak?

Może przeczytasz o mnie w gazecie, może jutro rozpromieniona będę stać w Londynie na schodach obok Baracka Obamy? Może niedługo przeczytasz, że okrzyknięto mnie bohaterką? Albo nic nie usłyszysz. Jeśli nie usłyszysz, Kochana Fedro, to znaczy, że nie żyję. Proste.

Cokolwiek zrobisz, pamiętaj, że oni są niebezpieczni.

Są naprawdę niebezpieczni.

Nie mogę powiedzieć, że w tej chwili jest mi wygodnie. Muszę się wydostać.

W ten czy inny sposób znów nawiążemy kontakt, Kochanie – to jedyna rzecz na tym zepsutym świecie, której jestem całkowicie pewna. Czuję ciepło na wspomnienie o tym, co razem robiłyśmy, jak nierozłączne kiedyś byłyśmy.

Pamiętam tę brawurową wycieczkę do Kalifornii. Te wspomnienia otacza złocista aura. Nasze ostatnie lata college’u...

Znów patrzę na zdjęcie z The Getty Villa zrobione na moment przed tym, jak złapali nas ochroniarze. Przesłałaś mi je, gdy odsunęłyśmy się od siebie. Ten dziwny sarkofag, kółko, którym zakreśliłaś dziwną, pozbawioną twarzy Ariadnę w tłumie postaci z mitologii. Gdy wrzucę komórkę do Tamizy, ta fotografia będzie jedyną rzeczą, jaką zachowam przy sobie, gdy wyjdę na kwietniowy londyński chłód. Muszę mieć przy sobie coś własnego.

Odwracam zdjęcie i czytam: „*Darling Ariadne! Closest forever. Twoja Fedra*”.

Forever.

Closest forever.

Zaopiekuj się swoją rodziną, Kochana Fedro. Spróbuj dobrze żyć.

Już pora.

Uściski

Twoja Ariadna

Fedra

Londyn, 12 kwietnia

SPOJRZENIA TRZECH OSÓB omiały gorączkowo pokój w New Scotland Yardzie. Nikt nie potrafił się na niczym skupić. Myśli pędziły chaotycznie we wszystkie możliwe strony.

Paul Hjelm się opamiętał. Przystopował swój mózg. Gdzieś z głębi zwojów mimo wszystko zaczęła się wyłaniać lista priorytetów. Co było najważniejsze? Co miało absolutnie najwyższy priorytet?

- Berlin – powiedział. – Kto jest najbliżej?
- Z Londynu szybko tam dotrzemy – odparła Corine Bouhaddi.
- Ale Haga i Ryga są bliżej – wtrąciła Miriam Hershey.
- Ryga – zdecydował Hjelm i wybrał numer.
- Tak? – odezwał się głos w słuchawce.
- Jorge – powiedział Paul – to ważne. Ty i Laima musicie natychmiast ruszać do Berlina. Odezwij się, gdy tylko znajdziecie się na miejscu.
- O co chodzi?
- O uratowanie Łotwy i gospodarki europejskiej.
- Ruszamy – powiedział Jorge Chavez i natychmiast się rozłączył.
- Pozostałe tropy? – pytanie Hjelma zawisło w powietrzu.
- Minotaur – powiedziała Miriam Hershey, stukając już w klawiaturę. – Wskazówki: ekspert od makrofunduszy, to samo piętro w północnej wieży, które zajmowało Antebellum, sekretarka Bella.
- B. – dodała Corine Bouhaddi i też zaczęła stukać w klawiaturę. – Chyba natknęliśmy się na to nazwisko na wcześniejszym etapie. Dyrektor banku Colin B. Barnworth. Sprawdzam go. Był na Bahamach, kiedy runęły Twin Towers.

– Dobrze – powiedział Hjelm. – Ale ważniejsza jest chyba Fedra. Kim ona jest, do diabła? Czy była na tym zdjęciu sarkofagu z The Getty Villa, które Rianna Tinsley miała ze sobą w Londynie i które najwyraźniej zainspirowało ludzi z Asteriona, kiedy ją torturowali? Jeśli tak, to Asterion ma nad nami wielką przewagę. Fedra wie, o jakie numery kont chodzi. W przedostatnim mailu dostała od Rianny Tinsley jakąś zagadkę matematyczną. Kim ona jest? Wskazówki!

Bouhaddi ścisnęła palcem wskazującym i kciukiem nasadę nosa.

– Nie wydaje mi się, żeby Fedra była na zdjęciu – powiedziała. – Brzmiało to tak, jakby był na nim sam sarkofag z kółkiem zakreślonym wokół Ariadny. Ta fotografia była jedyną osobistą rzeczą, jaką wzięła ze sobą Tinsley: „Muszę mieć przy sobie coś własnego”. To była dla Asteriona jedyna rzecz, z którą mogli pracować. Z tego zdjęcia dowiedzieli się, że istniała jakaś Fedra, związana blisko z Tinsley-Ariadną. To zostało jasno zapisane na odwrocie: „*Darling Ariadne! Closest forever. Twoja Fedra*”. Musieli najpierw przesłuchać, a potem unieszkodliwić Tinsley. Na tym polegało ich główne

zadanie. Ponieważ nic im nie powiedziała, jedyną możliwością było ostrzeżenie ewentualnego źródła drugiego przecieku, czyli Fedry. Poinformowanie jej, że powinna milczeć. Istniała przecież możliwość, że Tinsley rozmawiała z Fedrą o przekrętach Antebellum. Najwyraźniej Fedra była zaufaną osobą tak jej bliską, że Ariadna zabrała ze sobą to zdjęcie na samobójczą misję w Londynie. Jedyńm sposobem, jaki przyszedł im do głowy, było ułożenia zwłok Tinsley w pozie, którą Fedra z pewnością by rozpoznała. Pamiętała przecież zdjęcie z obietnicą wiecznej przyjaźni, przedstawiające rzymski sarkofag w The Getty Villa w Malibu w Kalifornii. Tak więc tortury upodobniły twarz Tinsley do twarzy Ariadny z *Sarcophagus Maconiana Severiana*. Liczyli na to, że Fedra rozpozna przyjaciółkę i zastraszona z nikim nie podzieli się tym, co wie.

Hjelm i Hershey przyglądali się Bouhaddi tak długo, że zaczęła się wiercić. W końcu przemówiła Hershey:

– Cholera, ale ty jesteś bystra, Corine.

– Tyle tylko – podsumował Hjelm mentorskim tonem – że ani o centymetr nie zbliżyliśmy się do Fedry. Mów dalej.

Bouhaddi wciągnęła powietrze i podjęła wątek:

– Mąż Scott, dwóch synów uczących się w szkole o nazwie Riverdale, mieszkanie z widokiem na The Metropolitan Museum of Art w Nowym Jorku, czyli pewnie Upper East Side. Zatrudniona w Antebellum do jedenastego września dwa tysiące pierwszego roku. Tego dnia zamierzała poddać się aborcji i wzięła ze sobą najlepszą przyjaciółkę Rianę, by była przy niej. Do aborcji nie doszło. Natomiast nadleciały samoloty. Dobra. Listy zatrudnionych w Antebellum przed jedenastym wrześniem.

– Porównaj z rejestrami z Harvardu – podsunął Hjelm. – Studiowały razem. Musi się dać to jakoś wykombinować. Przyjaciółka Rianny Tinsley ze studiów, potem jej koleżanka z Antebellum do września dwa tysiące pierwszego. Jazda!

Corine Bouhaddi zabrała się do roboty. Pochyliła się wojowniczo nad komputerem.

– Mam tu coś – odezwała się Miriam Hershey. – Na tym samym piętrze co Antebellum Invest Inc. miała biuro mała firma finansowa. Sekretarka Isabella Grant. Możliwe, że to Bella, prawda? Zginęła jedenastego września. Podobnie jak właściciel.

– A niech mnie – powiedział Hjelm. – Jak się nazywał właściciel?

Hershey wzięła głęboki oddech i odparła:

– Nathaniel D. Winthrop.

– Sprawdź go – polecił Hjelm i uczynił to samo na swoim komputerze. – Bo pewnie to ten Nathaniel D. Winthrop jest Minotaurem.

– Mam tu jego zdjęcie – odezwała się Hershey. – Ale stare. Chyba z lat osiemdziesiątych.

Hjelm w kilku szybkich krokach podszedł do komputera Hershey. Z monitora spoglądał na nich idealnie odziany dżentelmen starej daty, we fraku i muszce. Wiek jakieś trzydzieści pięć lat, śnieżnobiałe zęby, nienaganny przedziałek w jasnych włosach. Uosobienie absolutnej rzetelności z minionej ery.

– Potrzebujemy nowszych zdjęć – stwierdził Hjelm. – Winthrop „zginął” w dwa tysiące pierwszym. Znajdź zdjęcia zrobione po tym, które mamy, aż do chwili rzekomej śmierci. I poproś MI-5, żeby postarzyli go w Photoshopie. Na jakieś pięćdziesiąt cztery, pięćdziesiąt pięć lat. Corine?

– Na razie żadnych trafień w zestawieniu Antebellum – Harvard – poinformowała Bouhaddi. – Ale mam parę przemyśleń. Fedra wie, że Ariadna miała spróbować skontaktować się z nami, z „wielkim europejskim FBI”, ale nie wie, czy jej się to udało. Wie, że próba kontaktu z Barackiem Obamą spaliła na panewce i że Ariadna nie żyje. Fedra od ośmiu lat zajmuje się domem, atrakcyjny mąż Scott pracuje na Wall Street. Z maili wynika, że zareagowała pozytywnie. Znowu mają bliską relację, ale Fedra się boi, ostrzega Ariadnę przed ryzykiem. „Dopiero przyszłość pokaże, Kochanie, w jakim stopniu uzasadniony jest twój niepokój”. Co robi, gdy zostaje skonfrontowana z Rianną w potwornej roli Ariadny z sarkofagu z The Getty Villa? To zdjęcie publikowało sporo gazet, również w Nowym Jorku. Co robi, gdy tuż po tym, jak odebrała ostatni mail od Rianny z Londynu, widzi swoją przyjaciółkę martwą, leżącą w wymownej pozie na Hampstead Heath? Czy Riannie udało się ją przekonać, jak groteskowa jest ta sytuacja? Czy Fedra, żyjąca w luksusie pani domu z Upper East Side, postanowi działać? Czy też powiedzie się zamysł Asteriona i zastraszona Fedra zamilknie na zawsze? Tu masz kluczowe pytanie.

– Dobra – rzucił Hjelm. – Czy Fedra będzie działać? Co ci podpowiada kobieca intuicja? Wojownicza możesz być później, Corine.

– Intuicja, męska, kobieca czy w ogóle ludzka, podpowiada, że będzie działać. Znowu się do siebie zbliżyły, tak jak w młodości. Zaszła między nimi wymiana, której Fedra nie zignoruje. Choć jest uprzywilejowana i żyje w luksusie. Nie wydaje mi się, żeby Fedra po prostu olała wysiłki Ariadny. Myślę, że jej więź z Ariadną jest silniejsza niż taktyka zastraszania przyjęta przez Asteriona. Spróbuje pomścić najlepszą przyjaciółkę.

– Jak to zrobi? Skontaktuje się z Barackiem Obamą?

Corine Bouhaddi jakby lekko się wzdrygnęła.

– Tak, do diabła. Czemu nie? To właśnie próbowała zrobić Ariadna. Może to logiczne, że Fedra też spróbuje?

– Wiemy, gdzie w tej chwili przebywa ten dyrektor banku, Colin B. Barnworth? Tak zwany B.?

– Mamy poniedziałek wieczór, zwykły dzień roboczy. Może wciąż siedzi w siedzibie Antebellum. Chcesz, żebym spróbowała się z nim skontaktować?

Hjelm zastanawiał się przez chwilę, próbując poskładać wszystkie kawałki tej układanki.

– Nie – zdecydował. – Jeszcze nie. Nie mają świadomości, że wpadliśmy na ich trop. A w każdym razie, że jesteśmy tak blisko. To może poczekać. Być może przydałaby się nam inna osoba z Nowego Jorku.

Paul Hjelm wybrał numer. Odebrał kobiecy głos.

– Halo? Tu telefon Marka Kubbilubbskiego.

– Kowalewskiego – poprawił Hjelm. – Jestem jego szefem. Jest przytomny?

– Chwileczkę – powiedział kobiecy głos.

Chwilę później usłyszał wyraźnie zduszony głos Kowalewskiego:

– Halo? To ty, szefie?

– Tak, tu Hjelm. Świetna robota w Nowym Jorku, Marek. Bardzo z tobą kiepsko?

– To pewnie zależy od tego, co się tak naprawdę stało – odparł Kowalewski. – Czy ta Rianna Tinsley okazała się naszą Jane Doe?

– Tak – potwierdził Hjelm. – Wychwyciłeś cały łańcuszek, od Krakowa przez Londyn do Nowego Jorku. Amerykańska policja cię nie nachodziła?

– Nie – odparł Kowalewski.

Hjelmowi wydało się, że jego podwładny usiadł na łóżku.

– A respirator? – spytał Hjelm.

– W razie pilnej potrzeby mogę oddychać bez niego – zapewnił Kowalewski. – Przeszedłem testy. Dałem radę.

– Rianna Tinsley miała pewien kontakt, zaufaną przyjaciółkę. Na razie znamy ją tylko jako Fedrę, ale wiemy, że mieszka w Nowym Jorku. Możliwe, że będziemy musieli się z nią skontaktować.

– Mogę się tym zająć – zapewnił stanowczo Marek Kowalewski.

– Pewnie ciężko ci było w tej willi – stwierdził Hjelm.

– To był koszmar – westchnął Kowalewski. – Byłem tam co najmniej z dziesięć razy. W głowie. Ale to mnie nie powstrzyma.

– Świetnie. Będziemy w kontakcie.

Rozmowa dobiegła końca. Hjelm utkwił wzrok w obu stukających w klawiatury kobietach. Hershey pokręciła głową.

– Ten nasz Minotaur stroni od bycia fotografowanym. Na razie nie mam żadnych zdjęć. Ani żadnych dalszych informacji.

– Ale ja coś mam – odezwała się Bouhaddi. – Koleżanka z Harvardu młodej Rianny Tinsley nazywała się Jane Holloway. Wyszukiwanie trwało tak długo, bo teraz nazywa się inaczej. W dwa tysiące drugim, tuż przed urodzeniem pierwszego syna Ridleya, poślubiła niejakiego Scotta Benningsa. Jane Holloway i Rianna Tinsley są rówieśniczkami, w tym samym czasie studiowały na Harvardzie i równocześnie dostały posady w Antebellum Invest Inc. Potem, we wrześniu dwa tysiące pierwszego, Holloway odeszła z pracy, i wkrótce została panią Jane Bennings. Obecnie mieszka przy Osiemdziesiątej Czwartej Wschodniej, z widokiem na The Metropolitan Museum of Art. Ma dwóch synów, Ridleya i Anthony’ego. Chodzą do bardzo ekskluzywnej prywatnej szkoły Riverdale Country School na północ od Manhattanu.

– Świetnie – oświadczył Hjelm. – Oczywiście istnieje ryzyko, że Asterion dopadnie jej synów w Riverdale.

– Właściwie wcale nie wiemy, jak daleko zaszli – zauważyła Bouhaddi. – Istnieje prawdopodobieństwo, że torturowana Rianna Tinsley wydała Fedrę. W takim wypadku Fedra może już

nie żyć.

– Tyle tylko, że Christopher James Huntington vel Ray Hammett na dość długo zatrzymał się w Londynie – zauważył Hjelm. – Czy skoro były sobie tak bliskie, nie dopilnowałby sprawy z Fedrą osobiście?

– Asterion to wielka organizacja – wtrąciła Hershey. – Huntington nie musi być przy wszystkim osobiście obecny.

– Mam wrażenie, że by tego chciał – powiedział Hjelm. – Myślę, że to on kierował torturowaniem Rianny Tinsley. Ale to tylko hipoteza.

– Poza tym i tak musimy zakładać, że uda nam się odnaleźć Fedrę przed Asterionem – dodała Bouhaddi. – Tinsley dzięki temu, że nie złamano jej torturami, dała nam wielką przewagę, zwłaszcza że mamy wszystkie jej maile, których nie ma Asterion. Poza tym uratowała życie swojej duchowej siostrze. Naprawdę była bohaterką. I niech mnie diabli, płonął w niej żar.

– Teraz liczymy na to, że wznieciła ten płomień również w swojej żyjącej w luksusie przyjaciółce – powiedział Hjelm. – A tak w ogóle, mamy jakieś zdjęcie tej Jane Bennings?

– Właśnie do jednego dotarłam – odparła Bouhaddi. – Macie je na komputerach... Już!

W tej samej chwili na monitorze Paula Hjelma pojawiła się podejrzanie młoda twarz szeroko uśmiechniętej kobiety. Skojarzyła mu się z Jackie Kennedy z czasów, gdy zastrzelono jej męża. Brakowało tylko typowego dla lat sześćdziesiątych toczka na głowie.

– Nie wygląda trochę jak po liftingu? – spytała Bouhaddi.

Hjelm postanowił nie przyznawać jej głośno racji. Zamiast tego powiedział:

– Zastanawiam się, czy nie powinniśmy szukać jej w Waszyngtonie. Może próbować porozmawiać z Obamą?

– Jak my, Europol, mielibyśmy szukać jej w Waszyngtonie, nie wciągając w to na przykład FBI? – chciała wiedzieć Hershey.

– Zawsze możemy posłać chorego na płuca Polaka do jej męża – odparł Hjelm.

– Przede wszystkim powinniśmy chyba sprawdzić, czy jakaś bliska osoba wie, gdzie jest Jane Bennings – podsunęła Bouhaddi.

– W Londynie zbliża się wieczór – stwierdziła Miriam Hershey. – W Nowym Jorku jest środek dnia. Co powiecie na to, bym po prostu zadzwoniła do Scotta Benningsa do pracy?

– Może i tak – zgodził się po chwili namysłu Hjelm.

– Zadzwonię do Wall Street Financial Corporation i podam się za Brytyjkę, która studiowała z Jane na Harvardzie. Powiem, że pomyliłam numery – oświadczyła Hershey, sięgnęła po słuchawkę i włączyła głośnik.

Po pięciu sygnałach odezwał się charakterystyczny baryton:

– Yes? Scott Bennings.

– Tu Mary Jones – powiedziała Hershey. – Mogłabym mówić z Jane Bennings?

– To moja żona – odparł mężczyzna. – Ale nie chodzi ze mną do pracy.

– O rany! – zaszcebiotała Miriam Hershey.

Hjelm jeszcze nigdy jej takiej nie słyszał.

– Ale gafa! Naprawdę, strasznie cię przepraszam. Musiałam pomieszać numery, które dała mi Jane.

– Nie rozumiem, kim pani jest – burknął Bennings.

– Nazywam się Mary Jones i chciałam porozmawiać z Jane. Kiedyś, wieki temu, studiowałyśmy razem na Harvardzie. Akurat jestem w mieście i... Cóż, w zeszłym tygodniu rozmawiałyśmy o tym, że wybieram się na Manhattan. Miałyśmy wyskoczyć na kawę. Dostałam od niej kilka numerów telefonów.

– Jane wyjechała.

– Nic mi o tym nie mówiła. Przepraszam, nie będę ci już zawracać głowy. Naprawdę strasznie przepraszam.

– To nie było planowane – odparł Scott trochę bardziej pojednawczym tonem. – Ale od dawna o tym rozmawialiśmy. Chciała po prostu się na trochę wyrwać.

– Z tego, co mówiła, wynikało, że ona naprawdę bardzo lubi prowadzić dom. Ja też zajmowałam się domem, ale teraz znów poszłam do pracy. Canary Wharf, Morgan Stanley. No, nie chcę cię tym zanudzać, Scott. Jane jest szalenie dumna z twojej kariery w Wall Street Financial Corporation.

– Jane też ma fantastyczną pracę – zapewnił Scott. – I zasłużyła sobie na trochę wolnego. Pojechała na tydzień do spa na Florydzie. The Spa at The Breakers w Palm Beach.

– Super!

– Ona też tak uważa. Całe szczęście, że mamy Gasparę i ktoś się mną zajmuje.

– Nie wspominała ci o mnie, kiedy ostatnio rozmawialiście? A w ogóle kiedy to było?

– Wczoraj wieczorem. Nie, mówiła tylko, jak tam jest wspaniale. Słońce, palmy, masaże.

– Ach, po prostu zapomniała, że miałyśmy się spotkać. Nic się nie stało. Naprawdę przepraszam, że zawracałam ci głowę.

– Nie ma sprawy – zapewnił Scott. – Miło mi się z tobą rozmawiało, Mary Jones. Wpadnij, jeśli masz ochotę.

Pożegnali się. Paul Hjelm przyglądał się owiniętej bandażem Hershey. Wzruszyła ramionami.

– Żaden facet się nie oprze nerwowej babskiej paplaninie.

– Fedra dzwoniła do niego wczoraj, w niedzielę – stwierdził Hjelm. – Wtedy w każdym razie żyła, choć pewnie nie przebywała w Palm Beach na Florydzie. Dwie rzeczy, moje panie. Corine, zadzwoń do The Spa at The Breakers i sprawdź, czy Jane tam jest. Miriam, sprawdź, czy nie wyjeżdżała z kraju. W razie potrzeby wykorzystaj kontakty z MI-5.

Zadzwoiła komórka Hjelma. To był Chavez.

– Jesteśmy już na Starptautiskā lidosta Rīga.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz – odparł Hjelm.

– Na lotnisku w Rydze – wyjaśnił Chavez, nie dając zbić się z tropu. – Za półtorej godziny mamy lot

do Berlina. Mów, o co chodzi.

– Amerykański finansista, który rzekomo zginął jedenastego września, siedzi w Berlinie i czeka na odpowiedni moment, by za pomocą centralnego komputera w placówce Kanalbanku przy Oranienburger StraÙe przelać na Łotwę gigantyczny makrofundusz. Nazywa się Nathaniel D. Winthrop, ale oczywiście używa innego nazwiska. Przesyłam ci jego stare zdjęcie. Musicie pilnować placówki. Według mnie będzie tak: gdy tylko dojdzie do przecieku, że sekretarz stanu z Rygi manipulował liczbami i utorował drogę włoskiej mafii, by dokonała zrzutu toksycznych odpadów na wielką skalę, łotewski budżet będzie dziurawy jak sito. Dojdzie do potężnej dewaluacji. Wtedy Winthrop pojawi się jak anioł ze swoim makrofunduszem. Musimy fizycznie do tego nie dopuścić.

– Więc tak to się ze sobą wiąże...

– „My” w tym przypadku znaczy „wy”. Poradzicie sobie sami? Obawiam się, że nie będą chcieli zbyt długo zwlekać.

– Czyli mamy pilnować banku? – spytał Chavez.

– Zadbać, żeby ten Winthrop pod żadnym pozorem nie zbliżył się do centralnego komputera.

– Wiemy chociaż, czy wejdzie głównym wejściem? Taki przelew musi mieć przecież specjalny priorytet.

– On nie może uprzedzić o tym banku – stwierdził Hjelm. – Musi trzymać to w tajemnicy do ostatniej chwili. To jest wasz atut.

– Opcop ma przecież ludzi w Berlinie, prawda? – spytał po chwili namysłu Chavez.

– Jasne. Dobra. Wyjdą po was na lotnisko. Lecicie na Tegel?

– Tak. Ile mamy im powiedzieć?

– Wszystko – odparł bez wahania Hjelm. – Mimo wszystko Opcop opiera się na zaufaniu. Wszyscy zaangażowani zdają sobie sprawę, jak delikatna jest nasza sytuacja. Macie noc na planowanie. Nic się nie wydarzy przed otwarciem Kanalbanku jutro rano.

– No to chyba wszystko jasne – stwierdził Chavez.

Hjelm zakończył rozmowę, odchylił głowę i zapytał:

– Macie coś?

– Jane Bennings nie opuszczała Stanów – poinformowała Miriam Hershey. – W każdym razie nie pod własnym nazwiskiem.

– A Corine?

Dopiero wtedy Hjelm dostrzegł, że Bouhaddi rozmawia przez telefon. Uniosła rękę i coś mówiła do słuchawki.

– Jedno pytanie – zwrócił się Hjelm do Hershey. – Mamy jakieś zdjęcie Raya Hammetta? To znaczy Christophera Jamesa Huntingtona?

Miriam Hershey pokręciła głową.

– Nic. Asterion wie, jak zacierać ślady.

– Mark Payne wie, jak on wygląda – stwierdził Hjelm. – A ty potrafisz obsługiwać program Europolu do sporządzania portretów pamięciowych. Co powiesz na to, by zabrać laptopa i spędzić noc z panem Payne’em?

Hershey wzruszyła ramionami.

– Skoro uważasz, że tu się na nic nie przydam...

– No więc – zaczęła Corine Bouhaddi, odkładając komórkę – Jane Bennings faktycznie jest zameldowana w The Spa at The Breakers w Palm Beach na Florydzie. Szef spa stanowczo twierdzi, że ona tam jest i właśnie ma zabieg. Nie dali mi z nią porozmawiać. Nie wolno jej przeszkadzać.

Paul Hjelm pokręcił głową.

– Czyżbyśmy źle ocenili więź między Ariadną a Fedrą?

– Do diabła – zakląła Bouhaddi, stukając dziko w klawiaturę. – Szef spa Roger Venice jeszcze dwa lata temu mieszkał w Nowym Jorku. Sprawdzę go dokładniej. Myślę, że w przeszłości coś go łączyło z Jane Bennings. Poprosiła go, żeby ściemniał. Cholera, to przecież jasne, że nie ma jej w Palm Beach.

– Chyba że... – zaczął Hjelm i urwał.

Obie kobiety przestały stukać w klawiaturę i spojrzały na szefa. Sprawiał wrażenie, jakby zaświtała mu jakaś myśl.

– Chyba że... – ponagliła w końcu Hershey.

– Chyba że Barack Obama ma zaplanowaną wizytę na Florydzie.

Miriam Hershey znów zaczęła stukać w klawiaturę. Na jej ekranie pojawiło się charakterystyczne logo Białego Domu. Nagle jej palce zawisły w powietrzu. Paul Hjelm odniósł wrażenie, że pod zabrudzonym bandażem dostrzega zamyśloną minę.

– No – aż sapnęła.

– No? – ponaglił Paul Hjelm.

– Tak, prezydent Barack Obama przyjeżdża do Palm Beach we wtorek rano.

Konsekwencje

Haga – Sztokholm – Nacka, 12 kwietnia

O SZÓSTEJ CZTERDZIEŚCI OSIEM w Hadze wstał świt i w chwili, gdy słońce rozrzuciło pierwsze promienie w pomieszczeniu biurowym, Felipe Navarro cofnął się o krok, poprawił przekrzywiony po długiej nocy krawat i stwierdził:

– O tak.

Angleos Sifakis podszedł do niego i stanął obok. Przyjrzeni się dziwnej kompozycji na tablicy interaktywnej. Było tu wszystko. Zajął im to całą noc. Zdjęć znacznie przybyło, strzałki i linie były tak pogmatwane, że całość zaczynała przypominać dzieło sztuki z najdłuższego okresu modernizmu.

Teraz na tablicy widniał napis: Kyle, Bernard i Martha Ritchie, Queens, obok niego umieszczono trzy zdjęcia z trzema krzyżykami. Przy nazwie miejscowości Porthtowan, Kornwalia widniało pięć zdjęć: Chief Superintendent Anthony L. Robbins, David Coleman, Francis Barton, Kevin Combes, Mark Payne. Cztery z nich oznaczono krzyżykiem. Był też napis Antebellum Invest Inc., przy nim zdjęcie z podpisem: dyrektor banku Colin B. Barnworth. Była tu również cała korespondencja mailowa między Ariadną a Fedrą. Były zdjęcia Rianny Tinsley (Ariadna) i Jane Halloway/Bennings (Fedra). Ta ostatnia przypominała Jackie Kennedy. Od jej fotografii biegła gruba strzałka w dół do napisu The Spa at The Breakers, obok którego widniały dwa portrety, jeden przedstawiający szczupłego mężczyznę opisanego jako Roger Venice, szef spa, zaś drugi samego Baracka Obamę. Powyżej napisu Nathaniel D. Winthrop (Minotaur) znajdowało się zdjęcie nienagannie odzianego dżentelmena starej daty, we fraku i w muszce. Obok niego widniało wyraźnie wyretuszowane zdjęcie mężczyzny około pięćdziesiątego piątego roku życia. Napisano pod nim: Winthrop postarzony w Photoshopie (MI-5). Od tego miejsca odchodziły dwie strzałki, jedna do znaku zapytania z lakonicznym podpisem Nine-Eleven, a druga, gruba, do napisu Kanalbank, Oranienburger Straße, Berlin Mitte. Było tu również zdjęcie uśmiechniętej Chinki z dwoma identycznymi chłopcami na kolanach opisane Wang Yunli z Chengiem i Shuangiem, Bengbu. Odchodziła stąd strzałka do ramki Szajka pedofilski, Hästhagen, Nacka ze znakiem zapytania w środku. Przy innym znaku zapytania napisano Nieznany Holender, targi meblowe, Frankfurt. Od napisu LOL Offshore Asset Management Ltd., Kajmany rozchodziło się aż trzynaście strzałek, dwanaście do znaków zapytania, trzynasta do Endymion Möbelsystem AB. Przy martwej twarzy Zhang Sanga znajdowało się teraz zdjęcie paszportowe uśmiechniętego Sonama Phuntsoka. Obok zdjęcia widniał napis Firma meblarska Hānshuì, Nagqu, Tybet, do którego dochodziła strzałka biegnąca od Korei Północnej, zaś odchodziła strzałka do Rygi i druga do 'Ndranghety. Na tablicy widniał nawet napis Gtsang po, dug, rgył mo rngul chu, dug, nyal khri, dngul, jiang razem z tłumaczeniem: rzeka / trucizna / rzeka Saluin / trucizna / łóżko / pieniądze / rzeka. W końcu Sifakis przeciągnął na tablicę grafikę, która wyglądała jak zdjęcie, ale nim nie była. Umieścił ją pod napisami Asterion Security Ltd., Ray Hammett, The Purple, Mr Bagley, Ellroy Christie,

Mr Sayers, Patric Highsmith, Crumley Bingham oraz, grubszą czcionką, Christopher James Huntington.

– Nie – powiedział Sifakis. – O, tak.

– Niech będzie – stwierdził Navarro. – Kiedy to przyszło?

– Chwilę temu – odparł Sifakis. – Miriam przesiedziała całą noc w *safe house* w Londynie razem z Markiem Payne'em i programem Europolu do sporządzania portretów pamięciowych. Skończyli dopiero przed chwilą.

Obaj przyjrzeni się wygenerowanemu portretowi Christophera Jamesa Huntingtona. Twarz raczej bez wyrazu, z wydatną szczęką i żarliwym spojrzeniem brązowych oczu.

– Nazwiemy go pajakiem w sieci? – spytał Sifakis.

– I to w jakiej sieci – mruknął Navarro.

– Co powiesz na kawę? – zaproponował Angelos.

– Jeśli mi obiecasz, że nie będzie grecka – odparł Felipe Navarro.

*

Niecałe sto pięćdziesiąt mil na północny wschód dwie godziny później dwie kobiety stały przed ścianą i wpatrywały się w nią intensywnie. Widniała na niej próba odtworzenia interaktywnej tablicy z Hagi, choć zamiast precyzyjnych LED-owych strzałek i łatwo przesuwalnych wielofunkcyjnych elementów elektronicznych były na niej kiepskie wydruki komputerowe, odpadające samoprzylepne karteczki i grube, namalowane mazakiem kreski na przyklejonych kartkach formatu A4. Mimo wszystko przypominało to pierwowzór.

– No dobra – stwierdziła Kerstin Holm. – To jeszcze nie koniec, ale chyba na razie mamy tu wszystko.

– Tak myślisz? – spytała Sara Svenhagen. – Wydaje mi się, że brakuje czegoś bardzo ważnego.

– Po prostu łapiesz fazę depresyjną – odparła Kerstin. – Idę po Jona.

– Jona Andersona?

– Tak. Muszę zobaczyć, do czego się dogrzebał.

Kerstin zniknęła. Sara Svenhagen przyjrzała się schematowi na ścianie. Oczywiście był naprawdę przerażający. Obraz coraz bardziej chorego świata. Złowróźbna wizja przyszłości. Tylko że coś innego nie dawało jej spokoju. Nie bezpośrednio. Pośrednio.

Naprawdę czegoś tu brakowało.

Wzrok Sary przesunął się po zdjęciach *Il Sorridente* i *Il Ricurvo*, Carla-Henrika Stiernmarcka i Wang Yunli. Wang Yunli z bliźniakami Chengiem i Shuangiem na kolanach. Znowu Stiernmarck, z podbitym okiem. *Il Sorridente* ze sztucznym uśmiechem. Przygarbiona postać *Il Ricurvo*.

Wtedy wszystkie elementy wskoczyły na właściwe miejsca.

Była w tym jakaś straszliwa, ponura logika.

Jakie konsekwencje miał taki świat? Jaki był logiczny rezultat zderzenia niewinnej duszy z globalnymi

wzorcami, które roztaczały się przed oczyma Sary Svenhagen?

Jakich ludzi kształtował ten świat?

Wyszła. Wbiegła do swojego pokoju. Uruchomiła komputer. Ze zdumiewającą prędkością odnalazła właściwy katalog, jeszcze szybciej dotarła do pliku wideo oznaczonego „Luty”. Uruchomiła go.

Film miał nie więcej niż dwadzieścia sekund. I był zupełnie bez dźwięku. U dołu wyświetlała się data: środa, jedenastego lutego, godzina dwunasta pięćdziesiąt dwie. Dwóch stosunkowo smagłych mężczyzn przyciskało do framugi trzeciego, znacznie wyższego, jasnowłosego i opalonego. Gdy film się skończył, monitor zaczął migotać. Jednak u dołu, w panelu kontrolnym programu, wyświetlało się wyraźnie, że cały film trwa minutę i że zostało jeszcze trzydzieści sekund.

Znów pojawił się obraz. Johannes Stiernmarck przed internetową kamerką. Sama twarz. Przygnębione, zgaszone spojrzenie. Poważne. Skierowane prosto w kamerę. Powoli się cofnął. Gdy pojawiła się większa część jego ciała, Sara zobaczyła, że trzymał coś w rękach. Uniósł je i skrzyżował na piersi. W prawej trzymał śrutówkę, w lewej pistolet. Skierował ich lufy w kamerę. Obraz zniknął. Film się skończył.

Sara Svenhagen kliknęła plik audio. Ostatnia rozmowa Kerstin Holm z Carlem-Henrikiem Stiernmarckiem. Przewinęła trochę do przodu i znalazła właściwe miejsce. Kerstin powiedziała: „Fioletowy. I kiedy niebiescy się do ciebie dobrali, znowu chcesz rozmawiać z Fioletowym. A wtedy oni ci grożą”. Stiernmarck odparł: „Po raz drugi. Po pierwszym razie kupiłem broń. Śrutówkę i pistolet. Zupełnie jakby to mogło coś pomóc”.

Sara zatrzymała nagranie i przywołała w pamięci wczorajszy dzień. Szkolne podwórze w oddali za czerwonym budynkiem i płotem. Johannes pchnięty na ziemię. Ostre, nieprzyjemne głosy. „Tatus pedofil. Pieprzony pedał. Chuj tatusia w buzi”. Johannes, który dostrzega Sarę po drugiej stronie płotu. Patrzy jej prosto w oczy. Unosi rękę w jej stronę i strzela do niej.

Wyciągniętym palcem.

Poczuła, że mruga. Upłynęło kilka sekund. Myśli przetaczały jej się przez głowę. Co takiego widziała, gdy po raz pierwszy spotkała Johannesesa? I wtedy to do niej dotarło. Oglądał filmy na YouTube. Weszła do sieci i wybrała stronę YouTube. Drżącymi rękoma wpisała „Gimnazjum Saltsjö-Järla”.

Było sporo takich filmów. Udało jej się posortować je chronologicznie, tak by najnowszy był pierwszy. Został zamieszczony niecałą godzinę temu. Widziała liczbę wyświetleń. „1”. Była pierwsza.

Tym razem film miał dźwięk. Otoczenie pozostało takie samo. Pokój Johannesesa Stiernmarcka. Johannes w pełnym bojowym rynsztunku. Wojskowe ciuchy. Broń skierowana prosto w kamerę. Spojrzenie pełne nienawiści. Wysyczał przez zęby:

– Giń, ty śmieciu.

Ruszyła. Biegła tak, jak nie zdarzyło jej się to od bardzo dawna. Zanim dotarła do garażu policyjnego i wyciągnęła kluczyki do cywilnego wozu, czuła, że za chwilę eksploduje. Wciskając pedał gazu, wyjechała na Bergsgatan i ignorując zakaz, wjechała w Scheelegatan. Samochód ciężko sunął po

chodniku. Potem Kungsholmsgatan aż do wiaduktu Klaraberg na pełnym gazie przez Centralbron. I ciągle to lodowate uczucie, że na wszystko może być za późno. Że w pewnym sensie zawsze na wszystko jest za późno. Że zawsze człowiekowi przychodzi coś do głowy, kiedy jest za późno. Zjazd na Riddarfjärden, Söder Mälarstrand, Slussen, Stadsgårdsleden. Do diabła, jak to powoli szło! Choć wciskała pedał gazu z całej siły. Przy Danvikstull nie podnoszono mostu, tego by nie przeżyła. Värmdövägen, Värmdöleden, zjazd na Saltsjöbaden, Fisksätra. Saltsjöbadsleden, a potem wszystkie te cholerne uliczki.

Czas, straszliwy czas.

Budynek gimnazjum Saltsjö-Järta stał zupełnie pusty po drugiej stronie terenów sportowych. Wyskoczyła z samochodu i pobiegła pomiędzy dwoma boiskami piłkarskimi. Dostrzegła uchylone drzwi do małego czerwonego budynku przy płocie otaczającym szkolne podwórze. I to wszystko.

Uchylone drzwi i to wszystko.

Faktycznie to była szatnia piłkarska. Gdy Sara Svenhagen weszła do środka, nie słyszała nic prócz odgłosów wydawanych przez jej ciało. Ciało, które dyszało, sapało, świszczało. Szczerze mówiąc, widziała głównie gwiazdy. W końcu udało jej się dojrzeć zarysy pomieszczenia. Stała w niewielkim korytarzu. Jedne drzwi prowadziły na prawo, drugie na lewo. Szatnie dla dziewczyn i dla chłopaków. Wybrała tę dla dziewczyn.

W środku ciemność. Smród starego potu. Wspomnienie ciągłego niepokoju, ale mimo wszystko bezpieczniejszego życia, gdy była nastolatką.

Niemожność dojrzenia czegokolwiek. Posuwała się po omacku wzdłuż szorstkiej drewnianej ściany. To było tak, jakby być w sercu nastolatka. Naprawdę tak tu ciemno? I coś dalej w kącie. Sylwetka.

Siedział w kącie na podłodze. Śrutówka leżała obok, lufę pistoletu miał w ustach. Drżący palec na spuście. Spojrzenie pełne rezygnacji.

Osunęła się na podłogę jakieś dwa metry od niego. Wciąż widziała błyskawice przed oczami. Ciężko dyszała.

– Giń, ty śmieciu – powiedziała, podciągając kolana pod brodę.

Jego spojrzenie się zmieniło i skierowało na nią. Ale pistolet wciąż tkwił w jego ustach.

– Źle cię zrozumiałam – powiedziała Sara. – Przepraszam.

Brwi na chwilę zmarszczyły się ze zdziwienia. Sara ciągnęła dalej:

– Prawie przez pół godziny myślałam, że chodzi o coś zupełnie innego. O coś, czego nigdy byś nie zrobił, Johannes.

Wysunął lufę z ust i przystawił ją do skroni. Stwierdził cicho, z irytacją w głosie:

– Myślałaś, że ich powystrzelam.

– To było głupie – przyznała Sara. – Im więcej o tym myślę, tym głupsze mi się to wydaje.

– Bo jestem na to za wielkim tchórzem, co? Bo jestem za słaby, żeby przeprowadzić pierwszą masakrę w szwedzkiej szkole?

– Bo jesteś na to za dobrym człowiekiem. Ty śmieciu.

Popatrzył na nią i znów wsunął pistolet do ust. Wkurzało ją, że zadyszka nie chce ustąpić.

– Jeszcze nie jest za późno, Johannes. Wszystko wciąż da się cofnąć. Dostaniecie drugą szansę, cała rodzina. Nowe tożsamości, każde miejsce na świecie, jakie tylko zechcecie. Wyobraź sobie Australię. Słońce, fale. Można zacząć od nowa.

– Wydaje ci się, że wiesz, kim jestem – prychnął Johannes, znów przyciskając pistolet do skroni. – Ale jesteś tylko zwykłą babą, pieprzoną suką.

– Tak, jestem tylko zwykłą babą. I to z naprawdę fatalną kondycją. Wiem, co widziałeś, Johannes. Spoglądałeś głębiej i dalej, niż ktokolwiek w twoim wieku powinien. Żyjemy w świecie, w którym władza i siła są ważniejsze niż kiedykolwiek dotąd. Świat stał się paskudnym miejscem. Nie graj w ich gierki, Johannes.

Chłopak się roześmiał. To był straszny śmiech.

– Coś jeszcze? – spytał.

– Twój tata jest niewinny – rzuciła Sara. – Nie miał nic wspólnego z pornografią dziecięcą. Nigdy cię nie molestował. Znalazł sobie niewłaściwych partnerów w interesach, to wszystko. Są niebezpieczni. Widziałeś ich.

– Wyglądał na takiego pieprzonego tchórza.

– Bał się. I słusznie, że się bał. Gdyby próbował się bronić, już by nie żył.

Lufa znów powędrowała do ust.

– Całe życie przed tobą – ciągnęła Sara. – Tak naprawdę wcale nie chcesz się zabić. Wiem to.

– Nie powinnaś tu przychodzić, Sara – powiedział Johannes, znów wysuwając pistolet z ust.

Sara się zastanawiała. Patrzyła na Johanna. Spoglądała na lufę pistoletu, z której teraz ściekała ślina.

Wpatrywała się w jej stróżkę powoli spływającą po skroni.

– Dziś nagle zobaczyłam świat na nowo – powiedziała. – Patrzyłam na pewną ścianę i doznałam olśnienia. Spojrzałam światu prosto w oczy i wyraźnie to zobaczyłam. Kryminalny sposób myślenia zaczyna obejmować cały świat. Ludzie, którzy jeszcze dwadzieścia lat temu byli uczciwi, teraz w tych samych sytuacjach okazują się przestępcami. Przestępczość stała się czymś powszednim, oszustwa i przekręty stały się normą. To nie jest siła. Pieniądze naprawdę zaczynają zastępować moralność, samodzielne myślenie. Tchórzostwo i niedojrzałość ogarniają cały Zachód. Wszystko staje się coraz bardziej powierzchowne i płaskie. Nie ma miejsca na ten ból, który czujesz, Johannes. On się nie mieści w fałszywej, krętackiej rzeczywistości rozrywkowego życia. Zamiast tego gotuje się w tobie. Coraz częściej.

– I niby co byś mogła na to poradzić?

Sara się zastanowiła. Zebrała w sobie. Spróbowała znaleźć właściwe słowa. W końcu powiedziała:

– Jeśli odbierzesz sobie życie, ten ból będzie odbijał się w tobie echem przez całą wieczność. Naprawdę w to wierzę. Wyjdźmy stąd. Olej tych idiotów, którzy nawet nie rozumieją, że robią ci krzywdę. Olej wszystko prócz tego, by uzdrowić swoją duszę. Dusza człowieka w twoim wieku ma

prawo być złamana. Dzięki temu reszta życia staje się wartościowa.

Zamrugął. Naprawdę zamrugął. Zobaczyła, że ogarniają go wątpliwości. Ale sprawy wciąż mogły przyjąć każdy obrót.

– Daj mi broń – powiedziała. – Człowiek zawsze jest silniejszy bez niej.

– Wiesz, że to nieprawda – odparł głucho. – Wygrywa najsilniejszy. Wygrywa ten, kto ma więcej broni. Widziałem, jak te skurwysyny spuszczają łomot Carlowi-Henrikowi. Wygrali.

– To nie jest siła, to tchórzostwo. Nie możemy żyć w świecie, w którym wygrywa największy tchórz. W którym zawsze wygrywają krętactwo, głupota, droga na skróty i stadna mentalność. Nie ma w tobie żadnej z tych rzeczy. Czujesz się trochę silniejszy, to wszystko. Wykorzystaj to właściwie.

Sara oparła głowę o drewnianą ścianę. Przymknęła oczy. Mówiła dalej:

– Dziesięć lat temu zajmowałam się pornografią dziecięcą. To mnie zabijało. To, jaki nieskończenie chory jest ten świat. Wierz mi, wiem, jaki się czujesz brudny.

Nie otwierała oczu. Wiedziała, że w każdej chwili może nadejść koniec. Uśmiechnęła się słabo. Wszystko mogło się zdarzyć. O dziwo, wydawało jej się to naprawdę piękne.

Czas mijał. Wtem usłyszała głos Johanna:

– Kurwa. Masz.

Podał jej broń. Wzięła ją i odłożyła po drugiej stronie swojego ciała. Rozchyliła ramiona. Wtulił się w nią. I płakał. Głaskała go powoli po długich, rozczochranych, ufarbowanych na czarno włosach. I też płakała.

Siedzieli tak przez chwilę. Potem od strony szkoły dobiegły krzyki i wrzaski.

– Pójdziemy, zanim przyjdą grać w piłkę? – spytała.

Bank

Berlin, 13 kwietnia

JORGE CHAVEZ PRZYMKNĄŁ OCZY i przypominał sobie partie basowe, które miały w jego życiu największe znaczenie. Dwie godziny z rzędu niemal histeryczne skupienie na Minotaurze, później krótka przerwa na odpoczynek. Wypełnił ją muzyką. Kiedy zaczynał myśleć, również przerwa stawała się trochę histeryczna. Mistrzowie jazzu, od Raya Browna i Oscara Pettiforda aż po Charliego Hadena, Paula Chambersa, Nielsa-Henninga, Ørsteda Pedersena. Albo, skoro już o tym mowa, Dana Berglunda i Esbjörna Svenssona. Mistrzowie fusion, Jaco Pastorius, zwłaszcza w *Donnie Lee*, Stanley Clarke, Marcus Miller, nie wspominając o Jonassie Hellborgu i Billu Laswellu. Partie basowe szalały w głowie Jorge. Robbie Shakespeare dający głębię Bobowi Marleyowi. Herbie Flowers, człowiek odpowiedzialny za dziwnie podwójnie brzmiący bas w *Take a walk on the wild side*. Tony Levin w *Thela Hun Ginjeet* King Crimson albo *I go swimming* Petera Gabriela. Klasyczne *Money* Rogera Watersa albo pieśczośliwa gra na basie Mike'a Rutheforda w *Fountain of Salmacis*. Nieodwracalna przemiana gitary basowej jako instrumentu dokonana przez Chrisa Squire'a. Minimalistyczna precyzja Johna Deacona z Queen w *Under Pressure*. No i oczywiście Sting, subtelna złożoność w *Message in a Bottle* albo w *Driven To Tears*, zawrotna głębia Flea w *Give It Away* Red Hot Chili Peppers i nigdy do końca niedocenione mistrzostwo basów w *Come Together* albo *I Want You (She's So Heavy)* ojca popu Paula McCartneya. W końcu wszystko utonęło w hipnotycznej partii basowej z *The National Anthem* Radiohead. I wtedy Jorge Chavez wreszcie odnalazł spokój.

Spokój oznaczał wspomnienia. Spoczywanie we wspomnieniach. Dzień przemknął przed jego oczami. Wcześniej rano spotkanie z miejscowymi Niemcami z Opcopu, Dieterem Hamannem i Larą Drescher. Spokojne skupienie Laimy Balodis. Na długo przed świtem w pokoju hotelu Savoy przy Fasanenstraße rozłożyli na stole szczegółowe plany placówki Kanalbanku przy Oranienburger Straße. Rozdzielili między siebie broń. Zaplanowali rotację tak, żeby nikt – przede wszystkim personel banku – nie zaczął podejrzewać, że placówka jest obserwowana. Rozmieszczenie w banku i poza nim. Sztuka maksymalnego unikania kamer monitoringu. Nie więcej niż kwadrans na głowę w samej placówce. Szereg wymyślonych spraw do załatwienia. Nowe ubranie i kamuflaż po powrocie. Umieszczenie w uszach i pod ubraniem niewidocznych urządzeń komunikacyjnych. Namierzenie samego centralnego komputera. Intensywne studiowanie twarzy Minotaura, to znaczy Nathaniela D. Winthropa, jako trzydziestopięcioletniego dżentelmena starej daty oraz postarzonego w Photoshopie pięćdziesięciopięciolatka. Plan działania na każdą ewentualność. Potem nagle cisza w pokoju hotelowym. Jakby wszystko było gotowe.

Nic nie było gotowe. Nic nie mogło się zacząć.

Zanim nie zostanie zrzucona wielka bomba. Zanim wiadomość o poważnych przestępstwach w łotewskich kręgach rządowych trafi do mediów.

Hamann i Drescher załatwili mieszkanie po drugiej stronie Oranienburger Straße. Miejsce zbiórki i punkt wyjścia. Oraz miejsce z odpowiednim widokiem. Jedno z nich miało tam siedzieć z lornetką, drugie przy stoliku w pobliskiej kawiarni albo na ławce w parku przy banku, dwoje miało być w placówce, ale grafik uwzględniał rotację, by jak najrzadziej w środku równocześnie przebywała ta sama dwójka. Potem na górę do mieszkania, żeby się przebrać.

Na dwie godziny przed otwarciem Kanalbunku byli w tym mieszkaniu. Dopracowali ostatnie szczegóły. Dopięli wszystko na ostatni guzik. Przygotowali się, by dać z siebie wszystko. Czekali na znak.

Na dole do placówki przy Oranienburger Straße zaczęli się schodzić pracownicy. Członków Opcopu w mieszkaniu ogarnęła frustracja. Trzy laptopy wyrzucały z siebie najnowsze wiadomości z głównych światowych agencji informacyjnych. Wciąż cisza. Informacje spływały. Troje członków Opcopu nie odchodziło od komputerów, czwarty obserwował ulicę z lornetką przy oczach.

Krótko ostrzyżona Lara Drescher pochyliła się z lornetką i oświadczyła głębokim altem:

– Wchodzi jakaś babcia. Pierwsza klientka.

– To musi stać się dzisiaj – powiedział Chavez. – Nie mogą sobie pozwolić na czekanie.

A jednak nic się nie stało. Nie w ciągu kolejnej godziny.

Cała czwórka wchodziła i wychodziła z banku, przestrzegając harmonogramu. W końcu odnaleźli w tym jakąś rutynę.

Wreszcie bomba spadła. Pojawiła się równocześnie w amerykańskiej AP, brytyjskim Reutersie i francuskiej AFP. Gigantyczny skandal polityczny na Łotwie. Sekretarz stanu z ministerstwa środowiska odpowiedzialny za zrzut toksycznych odpadów do Bałtyku. Natychmiastowe słowa potępienia ze strony przywódców politycznych z całego świata.

Skutki gospodarcze nie dały na siebie długo czekać. Łotewska waluta, łat, runęła w dół jak kamień. Wstrzymano płatności. Kryzys gospodarczy nasilał się w zawrotnym tempie. W ciągu kwadransa rząd zebrał się na spotkanie kryzysowe. Świat kręcił się oraz szybciej i szybciej, napędzany globalizacją. Decyzje o wstrzymaniu płatności spływały jedna po drugiej. Zapadła decyzja o dewaluacji i okazała się drastyczniejsza, niż ktokolwiek – być może z wyjątkiem Nathaniela D. Winthropa – byłby w stanie przewidzieć. Drzwi stały otworem.

Opcop działał. Drescher została z lornetką przy oknie, Hamann zajął miejsce na ławce pod bankiem, Chavez i Balodis weszli do placówki, by załatwić wymyślone sprawy. Znaleźli właściwe miejsca i zajęli pozycje. Teraz kolejki były trochę dłuższe. Więcej klientów. Maksymalnie wyostrzona czujność.

Centralny komputer znajdował się w pomieszczeniu na tyłach, oddzielony szybą od dość przestronnego lokalu. Do tej pory nikt tam nie wchodził. Pomieszczenie było całkowicie dostępne z placówki, nie trzeba było przechodzić przez jakieś wewnętrzne drzwi bezpieczeństwa. To było dobre na wypadek, gdyby konieczna okazała się szybka interwencja.

Chavez stał przy pulpicie i wypełniał starannie dyspozycję wpłaty. Na krótką chwilę pozwolił sobie na zdziwienie, jak wiele rzeczy w Niemczech wciąż robi się ręcznie. Lubili tutaj papierki i odręczne pismo.

Jego spojrzenie powędrowało do Laimy Balodis, która zdążyła ustawić się w kolejce. Najprawdziwszej kolejce, bez żadnych kwitków z numerkami. Świetnie udawała wulgarną turystkę z Europy Wschodniej, która nie wie, co robić z pieniędzmi. Ochroniarz obszedł lokal i powrócił na swoje miejsce w jednym z pomieszczeń na tyłach, gdzie również była duża szyba. Siedziało tam dwóch innych ochroniarzy obserwujących obrazy z kamer monitoringu. Jeden z nich czasami robił obchód.

Balodis dotarła do okienka, załatwiła swoją sprawę. Chavez bardzo uważnie przyjrzał się pozostałym klientom. Jakiś starszy pan z laską, para ewidentnie amerykańskich turystów, dwóch biznesmenów i dwóch Turków pobrzękujących drobnymi monetami, pewnie właściciele sklepików. Zdecydowanie nie było tu Minotaura. Balodis wyszła, wszedł Hamann ucharakteryzowany na podstarzałego nieudacznika. Chavez ustawił się w kolejce, Hamann zajął jego miejsce przy pulpicie, poza zasięgiem kamery. W placówce pojawiły się dwie kolejne osoby, kobiety. Pracownica banku weszła do pomieszczenia z centralnym komputerem, Chavez zobaczył, jak pochyła się nad klawiaturą. Być może były to przygotowania do jakiejś wielkiej transakcji. Stał się jeszcze czujniejszy. Kolejka przesuwiała się powoli. Przy okienku stał właśnie starszy pan z laską i usiłował przeprowadzić międzynarodowy przelew, ale nie znał jakichś wymaganych kodów międzynarodowych. To dało Chavezowi czas na ocenę sytuacji. Pracownica opuściła pomieszczenie z centralnym komputerem. Znowu było tam pusto.

Po załatwieniu sprawy zmienił Larę Drescher na parkowej ławce. Uniósł książkę, nie mając pojęcia, o czym jest. Skupił się na wejściu do banku. Zbliżała się pora lunchu. Teraz ludzi było jeszcze więcej. Wciąż nikogo, kto byłby choć trochę podobny do Nathaniela D. Winthropa. Wkrótce miały upłynąć dwie godziny, odkąd pojawiły się informacje o skandalu na Łotwie.

Ruszył do mieszkania. Laima Balodis siedziała z lornetką ubrana w surowy biznesowy kostium i dała mu znak ręką, by chwilę zaczekał. Dzięki temu miał trochę przerwy. Usiadł przy jednym z trzech laptopów i sprawdził w mediach rozwój wydarzeń. Pogłębiający się kryzys na Łotwie. Kraj na skraju bankructwa. Chavez przymknął oczy i zaczął przypominać sobie partie basowe, które najwięcej dla niego znaczyły. Wypełniła go muzyka. Życie. Poczul przyływ energii i gdy usłyszał, że Laima znacząco chrząka – sądząc po intensywności co najmniej po raz trzeci – otworzył oczy jako nowo narodzony człowiek.

– Jesteś strasznie seksowna jako bizneswoman – powiedział.

Roześmiała się i odparła:

– A ty jesteś świetny w roli południowoamerykańskiego nieudacznika.

Tym razem to on się roześmiał.

– Czemu chciałaś, żebym zaczekał?

– Wydawało mi się, że widziałam go przez lornetkę – odparła Balodis. – Możliwe, że tak było. Ale minął bank. Może sprawdza teren.

– Dobra – powiedział Chavez. – Coś jeszcze?

– Nic poza tym, że nikogo nie ma przy lornetce.

Wyszła.

Przez najbliższe pół godziny wciąż odbijała się w nim echem hipnotyczna partia basowa z *The National Anthem* Radiohead. W tym czasie przez imponującą bramę placówki Kanalbanku przy Oranienburger StraÙe przeszło co najmniej dwadzieÙcia osób. Wyregulował lornetkê i udało mu się dokładnie przyjrzeć kaÙdej twarzy. Minotaura nie zauwaÙył. Źaden z tych ludzi z pewnością nie był Minotaurem. Ale wciąż nie naleÙało z tego powodu panikować.

Skoro tak dokładnie mógł widzieć twarze przez lornetkê, Laima Balodis niemal na pewno rozpoznała Winthropa. Z drugiej strony, w ciagu ostatnich dwudziestu lat mógł on zrobić ze swoim wygladem właÙciwie wszystko.

Do mieszkania weszła Drescher. Chavez szybko przebrał się w garnitur. Nie podobało mu się, że musi przykleić sztuczne wasy – to w ÷enujący sposób przypominało mu czasy młodoÙci w Rågsved – ale się przemógł. Szybko zerknął w lustro. Uznał, że wyglada dobrze. Wszedł.

Wszedł do placówki. Stał przy pulpicie i starannie wypełnił formularz. Omiótł lokal spojrzeniem. OÙmiu klientów. Zatrzymał na chwilê wzrok na eleganckim mê¿czyÙnie, który siedział i czytał broszurkê o kredytach hipotecznych. CoÙ z nim było nie tak. Ani trochê nie przypominał Winthropa i był co najmniej o dwadzieÙcia lat za młody, ale wygladał jak policjant. Nie przestając go czujnie obserwować, Chavez ustawił się w kolejce trzy kroki za bizneswoman Balodis, która właÙnie nasunêła na czoło markowe okulary. Kolejka przesuwala się doÙć szybko, działały dwie kasy, klienci ustawiali się do obu. Obserwował kobietê w pierwszym okienku; to ona była wczêniej w pomieszczeniu z centralnym komputerem. Uderzyło go, jak zdumiewajaco była piękna, jasnowłosa, spokojna, wszystko to, co lubił. W porównaniu z nią jej koleÙanka w drugiej kasie wygladała doÙć zwyczajnie, choÙ trochê przypominała jakas celebrytkê. Chavez próbował sobie przypomnieć jakà i znów zerknął w stronê mê¿czyzny z broszurkà o kredytach hipotecznych. Ten siedział bez ruchu pogrąÙony w studiowaniu stałych i zmiennych stóp procentowych. Na razie ÷adnego zagroÙenia. Mógł powróciç do przyglądania się pięknej pracownicy banku. Za kaÙdym razem, gdy mrugała, jej rzęsy lekko drżały. Obdarzyła promiennym uÙmiechem drobnego tureckiego przedsiêbiorcê, który właÙnie wymienił wiaderko drobnych na banknoty. Chavez był kompletnie urzeczony. W tym momencie przy okienku z ciemnowłosà kasjerkà przyszła kolej na Balodis, która bez słowa podała jej wypełniony kwitek i jednocześnie dotknêła rękà ucha.

Dokładnie w tej samej chwili Chavezowi zatrzeszczało w uchu. Po raz pierwszy, odkąd rozpoczęła się akcja. Potem usłyszał głêboki alt Drescher:

– Chyba właÙnie wchodzi.

W nastêpnej chwili z parkowej ławki odezwał się Hamann.

– Potwierdzam. Wyglada jak on.

Chavez, próbując nie rzucać się w oczy, opuÙcił kolejkê i powrócił do pulpitu poza zasiêgiem kamery. Sięgnął po długopis, poprawił kwitek. W tej samej chwili drzwi otworzyły się przy wtórze melodyjnego gongu i do placówki weszła odziana w futro postać.

Nathaniel D. Winthrop nie wygladał do końca tak jak na postarzonym w Photoshopie portrecie z MI-5,

ale eksperci z wywiadu nie pomylili się aż tak bardzo. Zapewne to szpakowata broda, która tak idealnie pasowała do dziwnego futra, zakłócała obraz. Winthrop rozejrzał się szybko po pomieszczeniu i udało mu się przykuć uwagę mężczyzny za szybą siedzącego w jednym z pomieszczeń na tyłach, niedaleko pomieszczenia z centralnym komputerem. Mężczyzna szybko pochylił się nad klawiaturą i wskazał w stronę wejścia obok kolejki. Winthrop ruszył w tamtą stronę. Miał ze sobą małą, elegancką aktówkę. Chavez najpierw spojrział na faceta, który czytał broszurkę o kredytach hipotecznych. Wciąż całkowicie go to pochłaniało. Potem zerknął w stronę Laimy Balodis. Właśnie skończyła załatwiać swoją sprawę i odchodziła od okienka. Rzuciła mu szybkie spojrzenie. Znajdowała się jakieś dziesięć kroków za Winthropem, którego pracownik banku właśnie wpuszczał do biura z centralnym komputerem. Chavez ruszył w jego stronę. Zdążył dostrzec dwie rzeczy. Po pierwsze, że Dieter Hamann wchodzi do banku. Po drugie, że ciemnowłosa kasjerka wstaje ze swojego miejsca i szepcze coś pięknej blondynce, ta zaś w odpowiedzi kiwa głową. Wciąż mu się wydawało, że brunetka przypomina jakąś celebrytkę.

Kilka metrów przed nim Laima Balodis dopadła do drzwi pomieszczenia z centralnym komputerem. Przez szybę dostrzegł pracownika banku pochylonego nad klawiaturą, pewnie przygotowywał komputer do przeprowadzenia transakcji. Potem wskazał na komputer i stanął w rogu pomieszczenia. Winthrop zajął miejsce na krześle przy komputerze. Wszystko rozgrywało się jak na ekranie panoramicznego telewizora.

Chavez zrównał się z Balodis. Zero reakcji ze strony ochroniarzy. Usłyszał cichy stukot obcasów. Chavez i Balodis wymienili szybkie spojrzenia. Laima zdjęła okulary. Weszli do środka.

Chavez ruszył prosto do okna. Rolety działały tak jak na planach i po opuszczeniu utrudniały zajrzenie do pomieszczenia z głównej sali. Balodis od razu podeszła do Winthropa. Gdy tylko Chavez zamknął drzwi, przycisnęła Winthropowi do karku lufę pistoletu i powiedziała:

– Ręce do góry, Nathanielu D. Winthropie.

Winthrop bez słowa zrobił, jak mu kazała. Na monitorze widniała zupełnie nieprawdopodobna kwota. Cursor migał. Czekał na „tak” albo „nie”.

– O mój Boże – jęknął pracownik banku stojący w kącie i pobladł. – To doktor Johann Wrostok, jeden z naszych najlepszych klientów.

– Pewnie dlatego wyłączyłeś kamerę w tym pomieszczeniu – powiedział po angielsku Chavez.

– Nie trzymamy tu gotówki – zapewnił pracownik łamanym angielskim, blednąc.

– Jesteśmy z policji – powiedział Chavez. – To nie żaden napad. Jesteśmy tu, by uratować kraj.

Nathaniel D. Winthrop siedział nieruchomo z uniesionymi rękoma.

– Jak daleko zaszedłeś? – spytała Balodis, zerkając na monitor.

– Nie mam pojęcia, o czym pani mówi – odparł Winthrop opanowanym głosem z bardzo nowojorskim akcentem.

W chwili gdy otworzyły się drzwi, do Chaveza dotarło, jaka to była celebrytka. Ciemnowłosa kasjerka rzuciła się na Winthropa. Chavez chwycił jej rękę w chwili, gdy miała zatopić nóż w plecach mężczyzny,

i pomyślał zdezorientowany: Jackie Kennedy.

Brakowało jej tylko typowego dla lat sześćdziesiątych toczka na głowie.

Chavez pchnął Jane Bennings vel Fedrę pod biurko i odrzucił jej nóż do kąta, w którym stał coraz bledszy pracownik banku. Balodis, pchnięta krzesłem, twardo zderzyła się ze ścianą. Winthrop błyskawicznie wcisnął „enter” na klawiaturze.

Że też w pewnym sensie zawsze na wszystko jest za późno, pomyślał Chavez. Że też człowiekowi zawsze przychodzi coś do głowy, kiedy jest za późno.

O dziwo, na monitorze nic się nie zmieniło. Cursor dalej mrugał. Wciąż czekał na „tak” lub „nie”. Winthrop coraz rozpaczliwiej wciskał „enter”, wreszcie runął na podłogę, ponieważ Chavezowi udało się kopniakiem przewrócić krzesło, na którym siedział.

Chavez podniósł klawiaturę. Nie była podłączona. Zwisał z niej metrowy kawałek kabla. Poczuł, jak niemądrze wytrzeszcza oczy, patrząc na Laimę Balodis, która odsuwała się od ściany. W prawej ręce wciąż trzymała pistolet. Unosiła lewą. Zobaczył w niej nożyczki.

– Zaczęłam od odcięcia komunikacji – powiedziała.

Jorge Chavez miał ochotę się roześmiać. Miał ochotę głośno się śmiać. Ale nie było na to czasu. Postawił Winthropa na nogi. Z głowy Balodis ściekała krew. Zajęła się Jane Bennings. Fedrę i Minotaura – Bennings i Winthropa – zakuto w kajdanki. Chavez pchnął go lekko w stronę otwartych drzwi. W tym momencie głowa Nathaniela D. Winthropa eksplodowała.

Za drzwiami Chavezowi mignął mężczyzna, który wcześniej siedział i czytał broszurkę o kredytach hipotecznych. Dostrzegł pistolet z tłumikiem w jego ręce. Przez chwilę widział twarz mężczyzny, raczej bez wyrazu, z wydatną szczęką i żarliwym spojrzeniem brązowych oczu. Po chwili już go nie było.

Chavez i Balodis pochylili się nad Winthropem. Brakowało mu połowy głowy. Bankier wrzeszczał, Jane Bennings wyła.

Chavez wytoczył się przez drzwi. Jego garnitur był krwiście czerwony, tylko gdzieniegdzie widać było fragmenty szarozielonej tkaniny. Ochroniarze rzucili się w jego stronę. Odepchnął ich. Zapewne tylko jego spojrzenie sprawiło, że go nie zastrzelili. Przy drzwiach na ulicę siedziała Lara Drescher w samym biustonoszu. Zwiniętą kurtkę i koszulę przyciskała z całych sił do piersi Dietera Hamanna.

– Kurwa, kto to był? – zabrzmiał jej mroczny, łamiący się alt.

Jorge Chavez westchnął ciężko i wsunął pistolet do kabury pod ociekającym krwią garniturem.

– Niejaki Christopher James Huntington – odparł. – Za późno to skojarzyłem.

Otworzył drzwi banku i chciwie wciągnął do płuc kwietniowe berlińskie powietrze. Wydawało się, że przyszła już wiosna. Oranienburger StraÙe jak zwykle szli ludzie. I oczywiście nie było ani śladu Christophera Jamesa Huntington, bardziej znanego jako Ray Hammett.

W oddali rozległy się dźwięki policyjnych syren. Jorge Chavez odkleił sztuczne wąsy. Przystanął na schodach banku i zamknął oczy. W jego głowie odbijała się echem hipnotyczna partia basowa z *The National Anthem* Radiohead.

Katedra

Haga, 14 kwietnia

PO RAZ PIERWSZY czuł się naprawdę jak w katedrze. Może wynikało to z tego, że był sam, a może z wczesnej pory. Może z tego, że przenikało go coś wielkiego, lecz nie wiedział co.

Paul Hjelm był sam w sali konferencyjnej Europolu w Hadze. Gdy obudził się w środku nocy w swoim holenderskim mieszkaniu, cała ta sprawa jakby na niego spadła. Nie nabrał do niej dystansu, nie przeprowadził żadnej krytycznej analizy, nie miał planu działania na najbliższą przyszłość. Było tylko to uczucie, które go obudziło. Które nim wstrząsnęło. Wydawało się niepokojące w sposób, jakiego nigdy dotąd nie doświadczył. To ono go tutaj sprowadziło. Do katedry.

Teraz siedział przy swoim stole na podwyższeniu i słuchał muzyki odbijającej się echem w wielkiej sali. Akustyka była naprawdę fantastyczna. Jeszcze nigdy nie słyszał, by fortepian Esbjörna Svenssona brzmiał tak czysto.

Premonition.

Ostrzeżenie, zapowiedź, przecucie.

Magiczna chwila w katedrze. Przymknął oczy i miał nadzieję, że nie nadbiegną ochroniarze i po prostu go nie zastrzelą. Choć gdyby zrobili to akurat w tej chwili, w jakiś dziwny sposób nie miałby nic przeciwko temu.

Siedział tak przez jakiś czas, pozwalając, by zalewała go fala dźwięków. Z każdą minutą czuł się coraz czystszy. Taka była przedziwna moc muzyki.

Migoczące niebieskie światełko powoli przeniknęło przez jego zamknięte powieki. Minęła dłuższa chwila, nim pojął, że naprawdę pochodzi ono z zewnątrz. Otworzył oczy i zobaczył, że jeden z ekranów na ścianie migocze na niebiesko. Był przekonany, że widzi na nim swoją Kerstin.

To nie była ona. Upłynęło wiele sekund, nim otrząsnął się wystarczająco, by po pierwsze wyłączyć muzykę, a po drugie rozpoznać tę twarz. Podobnie jak u Kerstin otaczała ją grzywa ciemnych włosów. Poza tym była bardzo włoska.

Nigdy dotąd nie widział Donatelli Bruno w takim stanie.

Premonition, pomyślał Paul Hjelm i wzdrygnął się.

– Donatella? – spytał ostrożnie, niemal szeptem, bo głos odmawiał mu posłuszeństwa.

– Tak – odparła głucho Donatella Bruno. – Tu Rzym. Jesteś tam sam?

– Jest jeszcze wcześniej.

– Owszem – przyznała Bruno. – Dobrze, że cię zastałam. Ciebie, i tylko ciebie.

– Chyba nie ma sensu tego przeciągać – powiedział Hjelm. – Po prostu mi powiedz.

Donatella Bruno odchrząknęła, bezgłośnie wciągnęła powietrze i powiedziała:

– Dzisiaj w zameczku w Bazylikacie znaleziono zwłoki Fabia Tebaldiego i Lavinii Potorac. Zostali ze

stuprocentową pewnością zidentyfikowani.

Hjelm zamknął oczy. Jeszcze nigdy tak bardzo nie tęsknił za muzyką.

– Jak zginęli? – zapytał i w tej samej chwili pytanie wydało mu się zupełnie nieistotne.

– Wylecieli w powietrze. Według techników najpierw wysadzono Potorac mniejszym ładunkiem, potem Tebaldiego. Wnętrze zamku zniszczył pożar, bo cały parter nasączono bezwoną łatwopalną substancją. Większy ładunek, ten, który zabił Tebaldiego, był podobno przyklejony do zwłok Il Sorridente. Il Sorridente oraz Il Ricurvo też wylecieli w powietrze, ale ponoć byli wtedy martwi. W spalonym zamku znaleziono DNA należące wyłącznie do tej czwórki.

– Skorzystali z okazji, żeby zatrzeć ślady – stwierdził Hjelm.

– Pewnie tak należy na to spojrzeć – zgodziła się Bruno i uniosła jakąś teczkę. – To nasz jedyny trop.

Hjelm przyjrzał się teczce. Wydawało mu się, że dostrzega na niej ciemniejsze kółko.

– Ślad po filiżance kawy? – spytał

– Sądzę, że to znak jedynego z dawnych kolegów Tebaldiego, któremu ufał. Najwyraźniej pomylił się w swojej ocenie.

– Nie wspominałyśmy o tym, co ja zrobiłem – powiedział Paul Hjelm.

– Ty?

– Nigdy nie powinienem był pozwolić Tebaldiemu, żeby tam pojechał. A już na pewno nie powinienem był dopuścić do tego, by zabrał ze sobą Potorac.

– To prawda, że niedawno urodziła dziecko?

– Tak – potwierdził Hjelm. – Córeczkę Nadię. Popełniłem potworny błąd.

– Jeśli to dla ciebie jakieś pocieszenie, wszyscy popełniliśmy błąd.

Hjelm spojrział na katedrę, której dalsza część pogrążona była w mroku. Wydało mu się, że coś się tam porusza.

– Chcesz jeszcze coś dodać? – spytał.

– Nie wiem, czy w ogóle można tu coś dodać – odparła Donatella Bruno.

I zniknęła w niebieskawej błyskawicy.

Paul Hjelm siedział zupełnie sam, zapatrzony w ciemność. Miał wrażenie, że tam, w mroku, coś się kotłuje.

A potem zaczął płakać.

Powrót do domu

Pekin, 15 kwietnia

W MIARĘ JAK SAMOLOT schodził coraz niżej, coś w niej narastało. Nie było to łagodne, piękne uczucie, że wreszcie jest w domu. I nie było to też jego przeciwieństwo: niepokój, że zamykają się wokół niej mury więzienia. To było inne uczucie, bardzo trudne do określenia. Uczucie, że ląduje nie w tym kraju, który opuściła. Uczucie, że może się wydarzyć właściwie wszystko, w każdej chwili. Uczucie, że znajduje się w największym kraju świata i że w tym kraju dzieje się niesamowicie dużo rzeczy, które trudno zrozumieć albo których konsekwencje trudno przewidzieć.

Wstała i ruszyła do wyjścia. Zeszła po schodach i zajęła ostatnie wolne miejsce w autobusie czekającym na płycie lotniska. Później stała przy taśmie z bagażami i czekała na swoją walizkę. Dziwnie było widzieć te twarze. Twarze z jej świata. Twarze z dzieciństwa. A jednak takie obce.

Jakby wdarła się tutaj jakaś nieznaną siłą.

Wreszcie nadjechała jej walizka. Duża, czerwona. Wszystkie te miejsca, w których była. Wieki temu kupili ją w Bengbu. W innym życiu.

Wtedy było ich czworo. Byli prawdziwą rodziną.

Pewnego dnia jej mąż wrócił do domu z tą walizką i powiedział, że teraz stać ich na wyjazd za granicę całą czwórką. Jego nowa praca w fabryce. Jej stała posada nauczycielki. Teraz to będzie możliwe. Chłopcy niedługo będą duzi. Gospodarka poprawia się z dnia na dzień. Standard życia nieustannie rośnie. Trwała poprawa jakości życia. Wszystko na właściwej drodze, zmierzające we właściwym kierunku.

Czasem zdarzało się, że zatrzymywała się przy niej w mieszkaniu w Bengbu. Stała i patrzyła jak urzeczona na tę wielką czerwoną walizkę. Wszystko to, co się z nią wiązało. Wszystkie te obietnice.

Wnuki rewolucji kulturalnej.

Kto myślał o demokracji? Kto myślał o tym wszystkim, co powinno się rozwijać, w miarę jak rósł poziom wykształcenia i zarobków? Kto myślał o nienaruszalnej ludzkiej godności?

Kto miał czas na takie rzeczy?

Wszystko pędziło naprzód. Rozwój, szybkie przewijanie do przodu. Pragnienie, by dogonić resztę świata. By mieć. Tak jak wszyscy inni.

Przetaszczyła wielką czerwoną walizkę przez punkt odprawy celnej, pokazała paszport w okienku i znalazła się na zewnątrz.

Była w Pekinie.

Wang Yunli przystanąła pod szarym od spalin kwietniowym niebem przy wejściu na lotnisko. Nagle nie była w stanie się poruszyć. Pod wejście zajechały właśnie trzy duże autobusy. Ich drzwi otworzyły się jak na dany sygnał. Wypadła z nich pstrokata, rozpedzona gromada. Tak jest wtedy, gdy jednocześnie wykluwają się setki kijanek, takie mnóstwo naraz, że woda aż gęstnieje.

Wang Yunli otoczył ocean chińskich dzieci, na oko dziesięcioletnich. Biegały, skakały, śmiały się. Wyciągnęła do nich rękę, obie ręce. Żadne nie podeszło. Żadne nie rzuciło się w jej ramiona. Żadne nie dotknęło jej dłoni.

Była zupełnie, ale to zupełnie sama.

Jej spojrzenie pochłonęła wieczność.

Wyjazd

Haga, 19 kwietnia

MARK PAYNE SPOGLĄDAŁ na swoją rodzinę i czuł się dziwnie. Wszystko było takie niejednoznaczne. Z jednej strony, naraził ich na śmiertelne niebezpieczeństwo. Z drugiej, właściwie uratował im życie. A z trzeciej, zmusił ich, żeby zmienili tożsamość i wyjechali z kraju.

Pochwycił spojrzenie swojej żony. Było trudne do zniesienia. Ale bez niej już by nie żył. Bez niej, bez Ethana i Olivii. Dla nich to zrobił. Tylko jak miałyby im to wyjaśnić? Wyjaśnić, nie czyniąc ich przy tym po części winnymi? Bo przecież chyba nie byli temu winni?

Wziął na ręce Oliwię i pocałował ją w policzek. Ujął dłoń żony. Ethan wcisnął się między nich. Czekali.

Czekali w czymś, co przypominało służbę. Drzwi się rozsunęły, przeszli dalej, drzwi zasunęły się za nimi. W pomieszczeniu było zupełnie pusto. Żadnych rzeczy. A teraz stali przed kolejnymi drzwiami i czekali. Tylko oni. Zupełnie sami.

Pewnie to dobry znak. Bardzo niewiele zaangażowanych osób. Bardzo niewiele potencjalnych przecieków.

Przyjechali do Holandii czarnym minibusem. Tunelem pod kanałem La Manche. Od szofera dzieliła ich przyciemniona szyba. Oni nie widzieli jego, on nie widział ich. Mark Payne czuł, że spogląda prosto w przyszłość. To było jak scena z filmu science fiction.

Drzwi się otworzyły. Wszyscy czworo zbili się w gromadkę, instynktownie stanęli blisko siebie.

W pomieszczeniu było troje ludzi nieco starszych od Payne'ów. Spoglądali na nich zdziwieni. Oni również byli rodziną. Podeszli bliżej. Przywitali się.

– Mark Payne – powiedział Mark Payne, ściskając dłoń jasnowłosego mężczyzny. – Mówili, że tu możemy podawać dawne nazwisko. Nigdy więcej nie będziemy go używać.

Blondyn pokiwał głową. Wyglądał jak żeglarz, jego przednie zęby wydawały się zupełnie nowe.

– Carl-Henric Stiernmarck – powiedział. – A to moja żona Victoria i syn Johannes.

Syn siedział z gitarą akustyczną w ręce i wydawał się naburmuszony jak każdy nastolatek. Miał jednak w oczach blask, promieniującą się życiową. Żona dreptała w miejscu. Wyglądało to trochę dziwnie.

– Niewiele zobaczyliśmy w Hadze – stwierdził Mark Payne.

– No tak – przyznał Carl-Henric Stiernmarck. – Chyba właśnie o to chodziło. Zobaczyć jak najmniej, być jak najmniej widzianym.

– Chyba zebrano nas tutaj, żeby nam wspólnie udzielić instrukcji – powiedział Payne.

– Tak zakładam – zgodził się z nim Stiernmarck.

Obaj mężczyźni usiedli trochę z boku. Z dala od rodzin. Spoglądali po sobie. W końcu Stiernmarck się uśmiechnął.

– Być ojcem rodziny teraz to nie to samo, co być nim w czasach naszych ojców.

– Tak – przyznał Payne. – Dzisiaj to nie to samo.

– Mój ojciec założył firmę, która była całym moim życiem – podjął Stiernmarck. – Jeszcze za patriarchy.

– Mój ojciec był policjantem tak jak ja – odparł Payne. – I nigdy nie dał się namówić na żadne przekręty. To były inne czasy.

– Z drugiej strony – zauważył Stiernmarck – nie wiem, czy chciałbym, żeby te czasy wróciły. To, co się nie rozwija, ginie.

– Prawda – przyznał Payne. – Szczerze mówiąc, teraz też zginęło dużo ludzi.

Przez chwilę się śmiali. Nie, rechotali.

Mark Payne patrzył na Johanna Stiernmarcka grającego na gitarze Ethanowi i Olivii, którzy przyglądali mu się wielkimi oczami. I zaśpiewał jakąś dziecięcą piosenkę. Wyglądali, jakby dobrze się ze sobą czuli.

Za kilka minut się rozstaną i nigdy więcej nie spotkają.

– A więc tak wygląda przyszłość? – spytał Payne. – Popelniamy przestępstwo, sypimy i dostajemy drugą szansę, jeśli okażemy się wystarczająco cenni? W przeciwnym razie zostawiliby nas na lodzie. Dostajemy drugą szansę, jeśli chcą nas zamordować wystarczająco potężni przestępcy. Czy społeczeństwo zawsze będzie słabsze niż międzynarodowe organizacje przestępcze?

Carl-Henric Stiernmarck spoglądał na niego.

– Nie rozumiałem, jacy są potężni – powiedział w końcu.

– Ja też nie – odparł Payne. – Chciałem tylko dorobić trochę na boku. Żeby spłacić kredyt za dom.

Stiernmarck przez chwilę kiwał głową. Potem spojrzał na Payne'a i powiedział:

– Jeśli jeszcze kiedykolwiek w życiu będę miał szansę założyć firmę, teraz przynajmniej wiem, jak to się powinno robić.

Zebranie

Haga, 20 kwietnia

MOŻE NIE BYŁO TO do końca prawdą, ale gdy Jutta Beyer jechała na rowerze do budynku Europolu ulicą Raamweg w Hadze, naprawdę miała wrażenie, że nadeszło lato. Powietrze się zmieniło, stało jakby bardziej treściwe, gęściejsze. Dzika zieleń porastająca budynek Europolu piętrzyła się niczym w oazie napotkanej po długiej wędrówce przez pustynię. Jutta skręciła na parking i wpadła na posiniaczonego Marka Kowalewskiego, który nie uśmiechał się już tak szeroko jak kiedyś. Zaparkowali rowery obok siebie.

– Zepniemy je razem? – zapytał Marek i zagrzechotał łańcuchem jak jakiś kiepski duch.

– Dobrze – odparła Jutta i pozwoliła mu zrobić to, co zaproponował.

Weszli do budynku. W tym momencie Kowalewski dostał potężnego ataku kaszlu.

– Jeszcze ci nie przeszło? – zapytała, odczekawszy, aż atak minie.

– Z każdym dniem jest coraz lepiej – odparł Kowalewski – ale pewnie nigdy nie odzyskam pełnej wydolności płuc. Było tak jak mówiłaś. Powinienem być pamiętać, że jestem gliną od papierkowej roboty.

Jutta Beyer się uśmiechnęła. Potem przypomniała sobie Tony’ego Robbinsa. Jej pomysł, by pogadać z nim na czacie, doprowadził do jego śmierci. Z niemal masochistyczną starannością czytała materiały ze śledztwa brytyjskiej policji w sprawie morderstwa w Porthtowan. Tony’ego najpierw torturowano, również drutem kolczastym, potem ścięto mu głowę. I to wszystko jej wina.

Dość przygnębieni dotarli do drzwi sali konferencyjnej, którą teraz wszyscy nazywali katedrą. Przy drzwiach stał Felipe Navarro i poprawiał sobie krawat, wysunawszy koniuszek języka. Otworzył drzwi i przytrzymał je pełnym galanterii gestem.

– Dziękuję – powiedziała uprzejmie Jutta Beyer.

– Nie ma za co – odparł szarmancko Felipe Navarro.

Reszta tego barwnego towarzystwa była na miejscu, chyba w dość dobrej formie. Miriam Hershey wciąż miała na nosie ogromny opatrunek z czegoś, co wyglądało jak gips. Wokół niego na jej twarzy rozlewały się siniaki niczym na ścianie, przez którą biegnie pęknięta rura. Była jednak wesoła. Znów siedziała z Laimą Balodis. Przeszły tak wiele, lecz mimo to chichotały jak dwie uczennice. Jutta pomyślała, że to na swój sposób zdrowe, choć szalenie irytujące. Usiadła obok Arto Söderstedta. To było całkowicie oczywiste.

Podniósł wzrok i kiwnął głową. Potraktowała to jako zapowiedź, że pozostaną partnerami na zawsze.

Angelos Sifakis siedział i rozmawiał z Corine Bouhaddi. Kowalewski poczuł się tak, jakby wrócił do domu. Uśmiechnął się. Naprawdę szeroko. Miał wrażenie, że od dawna tego nie robił.

Wydarzenia w Nowym Jorku wpłynęły na niego silniej, niż mógł przypuszczać. Raczej na umysł niż na

ciało. Nie mógł oddychać pełną piersią, co oczywiście nie było przyjemne, lecz o wiele gorsze było to, że często budził się w środku nocy, mocując się z trupami, które miały szyje owinięte drutem kolczastym.

Felipe Navarro podszedł do komputera stojącego na pustym blacie. Wcisnął kilka przycisków i z sufitu zsunął się wielki ekran. Kolejnych kilka przycisków przywołało na białym tle dokładne odwzorowanie tablicy interaktywnej z pomieszczenia biurowego. Pojawiło się tu kilka nowych elementów. Mały krzyżyk przy zdjęciu Minotaura. I krzyżyki przy fotografiach Lavinii Potorac i Fabia Tebaldiego. Navarro nie chciał ich tam umieszczać, uważał, że to makabryczny pomysł, ale Paul Hjelm się uparł.

Jorge Chavez siedział trochę z boku i wpatrywał się w krzyżyk przy zdjęciu Minotaura. Myślał o swoim garniturze. Chociaż właściwie wcale nie. Szczerze powiedziawszy, nie myślał nawet o Potorac ani o Tebaldim. W tej chwili pochłaniało go głównie to, że niedługo przyjedzie Sara. Co prawda po to, by go zmienić, ale spędzą razem kilka dni. Potem miał pojechać do domu, do dzieci, za którymi coraz bardziej tęsknił. Isabel i Miguel.

Przeciwieństwo całego tego gówna.

W tym momencie na salę wszedł Paul Hjelm. Odwrócił głowę i spojrzał na odwzorowanie tablicy interaktywnej. Po chwili spytał:

– O co właściwie chodziło w całej tej sprawie?

Członkowie Opcopu spoglądali po sobie. Bardzo niewielu z nich miewało trudności z mówieniem prosto z mostu o tym, co myślą. Teraz słowa więzły im w gardle. Zaległa cisza.

Potem Arto Söderstedt poczuł wstrząsający nim centymetr po centymetrze dreszcz, od szpiku kości w palcach nóg aż po najgłębsze zakamarki mózdzku. Najbardziej przenikliwy chłód, jakiego kiedykolwiek doświadczył. Mroźny zimowy wiatr, wiatr zdrady wiejący z odludnej doliny.

– O przyszłość – powiedział.

I w tej chwili złożył świętą przysięgę.

Paul Hjelm przez chwilę kiwał głową. Potem odparł:

– Może i tak. Przyszłość naszą i świata. Jeśli zaś chodzi o Opcop, to mogę was poinformować, że przyszłość wygląda niespodziewanie dobrze. Nie dostaliśmy żadnej oficjalnej reprimendy z powodu wydarzeń we Włoszech, ale wiecie, co o tym myślę. Nie powinienem był pozwolić im jechać.

– Jak niby miałbyś ich powstrzymać? – spytał Angelos Sifakis. – Tebaldi i tak by uciekł, nawet gdybyś go skuł.

– A Potorac pojechałaby z nim – dodała Corine Bouhaddi. – Nawet gdybyś odesłał ją do domu.

– Najważniejsze jest to, że jesteśmy z tobą – oświadczyła Jutta Beyer. – Nikt z nas nie uważa, że popełniłeś jakiś błąd.

Hjelm nie był w stanie powstrzymać uśmiechu.

– Natomiast, jak wiecie, mieliśmy trochę kłopotów po wydarzeniach w Berlinie – podjął. – Trudno było wyjaśnić to, co się stało w placówce Kanalbank, nie wspominając przy tym o współpracy europejskiej. W końcu sprawa się rozwiązała. Szef berlińskiego biura Dieter Hamann...

– Nie wiedziałem, że był szefem – wybuchnął Chavez.

– Tak, był. I dalej jest. Dochodzi do siebie po postrzale w pierś. Udało mu się też przenieść odpowiedzialność na Bundeskriminalamt, do którego on i Lara Drescher należą, odkąd zaczęli pracować w policji. Tym samym uznano oficjalnie ich zasługi. Prawdziwych bohaterów tej akcji Laimę Balodis i Jorge Chaveza przedstawiono jako międzynarodowych pomocników. Przykrywka zadziałała zgodnie z naszym planem.

– Tylko mnie nie zaliczaj do bohaterów – powiedział Chavez. – Laima okazała się o wiele bystrzejsza ode mnie. Od razu zabrała się do tego, co najistotniejsze. Uniemożliwiła Minotaurowi komunikację ze światem zewnętrznym.

– Masz całkowitą rację – przyznał Hjelm, wskazując szerokim gestem w stronę Laimy Balodis. – Nie wiem, skąd się właściwie wzięły te nożyczki, ale to było genialne.

– To było wtedy, kiedy stałam pod drzwiami i czekałam na Jorge – powiedziała cicho Balodis. – Zawsze noszę ze sobą małą kosmetyczkę. W niej miałam nożyczki.

– Wyjaśnij dlaczego – poprosił Chavez. – Co takiego widziałaś, czego ja nie widziałem?

– Tylko tyle, że stał tam komputer. Komputery mają kable. Trzeba było odciąć komunikację. Właściwie wybrałam dość prymitywny sposób. Ty powstrzymałeś Fedrę z nożem.

– Jakby to miało jakieś znaczenie... – mruknął Chavez. – Winthrop i tak zginął. Tylko że gdybym jej nie powstrzymał, nie obryzgałby nas jego mózg.

– To miało znaczenie dla Jane Bennings – wyjaśnił Hjelm. – Nie stała się morderczynią. Mogliśmy ją wypuścić i pozwolić, by wróciła do rodziny na Manhattanie. W przeciwnym razie musiałyby spędzić dwadzieścia lat w niemieckim więzieniu.

– Nasuwa się pytanie, czy nie byłoby lepiej, gdyby zamiast tego skontaktowała się z Barackiem Obamą w Palm Beach – zauważyła Corine Bouhaddi.

– No tak – odezwał się Marek Kowalewski. – Dla mnie to jedna z wielu nierozwiązanych zagadek. Jak, u diabła, Amerykanka Jane Bennings tak szybko została kasjerką w niemieckim banku, i to na dodatek w tym właściwym?

– Tak, Corine – powiedział Hjelm, spoglądając na Bouhaddi. – Tu naprawdę miałaś rację.

– To sprawa Rogera Venice’a z The Spa at The Breakers w Palm Beach – odparła Bouhaddi. – Jakiś czas pracował w recepcji na parterze budynku przy Osiedzi Czwartej Wschodniej, gdzie mieszkali Benningsowie. W przeszłości był fałszerzem. Jane i Roger mieli ze sobą dobry kontakt. Gdy Jane zobaczyła zwłoki Rianny Tinsley ułożone w pozie Ariadny, nie zastraszyło jej to i nie skłoniło do milczenia, na co liczył Asterion. Wtedy skontaktowała się z Venice’em. Wyrobił dla niej fałszywy paszport i dał jej tożsamość amerykańskiej pracownicy bankowej z międzynarodowym doświadczeniem. Skontaktował ją też z międzynarodowym biurem pośrednictwa pracy. Oni z kolei załatwili jej posadę w Kanalbank, który najwyraźniej zawsze szuka wykwalifikowanego międzynarodowego personelu. Rianna powiedziała jej przecież, gdzie to się ma wydarzyć. Przypuszczam, że jej amerykański upór i tupet

załatwiły resztę. Wiedziała, że rozpozna Minotaura. Poza tym dobrze mówi po niemiecku.

– I faktycznie chciała pomścić swoją dawną przyjaciółkę Rianę Tinsley – dodał Hjelm.

– Co tam, u diabła, robił Ray Hammett? – spytał Kowalewski.

– Jest niezwykle zajęтым człowiekiem – stwierdził Hjelm. – Oczywiście nie znamy jednoznacznej odpowiedzi, ale najsensowniejsza hipoteza brzmi tak, że Asterion miał trzech zleceniodawców, a nie dwóch, jak sądziliśmy. Wydaje mi się, że wcześniej ktoś to sugerował.

– No dobra – stwierdził Kowalewski. – Antebellum Invest, ‘Ndrangheta i... kto?

– Ludzie, którym było na rękę, by Nathaniel D. Winthrop przeprowadził zamach wymierzony w Łotwę, bo to byłoby korzystne również dla nich. Tylko musieli mieć pewność, że jeśli mu się nie uda, nie wyjdzie stamtąd żywy.

– Żeby nie powiedział... No właśnie... o czym? – drążył Kowalewski.

– Tu możemy tylko spekulować – odparł Hjelm. – Według najbardziej brawurowej hipotezy mogło chodzić o jedenastego września i World Trade Center. Może wiedział o rzeczach, które nie powinny wyjść na jaw?

– Albo o których nie powinien się dowiedzieć Opcop – dodał Angelos Sifakis.

– Nazwijmy to outsourcingiem – stwierdził Arto Söderstedt. – Trzej zleceniodawcy naraz. Niezła wydajność.

– Chyba to ja sugerowałem, że Asterion miał trzech zleceniodawców – odezwał się Felipe Navarro. – *Just for the record.*

– Powinienem był go rozpoznać – powiedział samokrytycznie Jorge Chavez. – Długo go obserwowałem. Siedział w banku i przeglądał tę cholerną broszurę o kredytach hipotecznych. Widziałem, że tam nie pasuje. Myślałem, że jest z policji.

– I nie do końca się pomyliłeś – stwierdził Paul Hjelm. – Z CV Christophera Jamesa Huntingtona można się dowiedzieć, że dawno temu przez krótki czas służył w policji kryminalnej w Wirginii. Później również w żandarmerii wojskowej.

– Powinienem był go zgarnąć – pokręcił głową Chavez.

– Daj spokój – westchnął Hjelm. – Przeprowadziliście w Kanalbank świetną akcję. Nie wolno ci myśleć inaczej. A skoro mowa o ludziach, którzy mogli wiedzieć, że z jedenastym wrześniem wiąże się coś podejrzanego, to mógł się do nich zaliczać również spędzający urlop na Bahamach dyrektor banku Colin B. Barnworth, kontakt Minotaura i Chińczyków, którego Rianna Tinsley nazywała „B”. Niestety, zapadł się pod ziemię. Najprawdopodobniej perfekcyjnie zaplanował swoją ucieczkę z kraju.

– No tak, Chińczycy – powiedział Kowalewski. – Tego też za bardzo nie ogarniam.

– Arto? – poprosił Hjelm.

– Jutta może to wyjaśnić – stwierdził Söderstedt, wspinałomyślnie zwracając się do swojej sąsiadki.

– Jasne – zgodziła się Jutta Beyer, wertując leżące przed nią papiery. – No więc chyba było tak: dzięki pirackiemu kopiowaniu wysokiej jakości skandynawskich mebli firmie meblarskiej Hånshui z prefektury

Naggu na Wyżynie Tybetańskiej od dłuższego czasu wiodło się tak dobrze, że miała do zainwestowania sporą nadwyżkę kapitału. Hānshuì zwróciła się do banku Antebellum Invest z Nowego Jorku, który obiecał wielokrotnie pomnożyć jej pieniądze. Antebellum z kolei zwróciło się do Minotaura, króla makrofunduszy, którym najwyraźniej pozostał jeszcze długo po swojej rzekomej śmierci. Działał wtedy w Niemczech pod nazwiskiem doktor Johann Wrostok.

– Bardzo trudno odtworzyć następstwo wydarzeń – zauważył Paul Hjelm. – Najdziwniejsze jest to, że organizacje przestępcze łączą się tak płynnie i bez widocznych śladów. Zupełnie jakby nie było żadnego początku. To opowieść bez początku, opowieść, w której wszystko trwa i nic nie może się zacząć bez wszystkich już istniejących elementów. To świat staczający się ruchem spiralnym w dół.

– Malstrom – stwierdził Arto Söderstedt.

– To naprawdę dzieje się równolegle – powiedziała Jutta Beyer. – ‘Ndrangheta szuka nowych tras przerzutu narkotyków i odkrywa możliwości stworzenia szlaku przerzutu heroiny z Korei Północnej przez Hānshuì i Rygę. Niewykluczone, że dzieje się to za sprawą kontaktów w mafii rosyjskiej albo chińskiej. Albo jednej i drugiej. Jednak ‘Ndrangheta potrzebuje pomocy w znalezieniu dużej liczby firm meblarskich z Europy Zachodniej stojących na skraju bankructwa i przejęciu kontroli nad nimi. Firmy te mogłyby sprzedawać pozbawione zapachu meble tapicerowane przywożone z Azji. Mafia działa już na Łotwie, a ta z powodu kryzysu finansowego jest idealnym miejscem na pozbywanie się toksycznych odpadów z firm meblarskich, nad którymi chce przejąć kontrolę. Szwedzki Endymion jest tylko jedną z wielu takich firm zwabionych przez mafie w pułapkę. Bank inwestycyjny Antebellum odpowiada za przelewanie brudnych pieniędzy z Chin do Stanów Zjednoczonych, a równocześnie udaje, że znajduje się na skraju bankructwa. Kiedy ich sekret może się wydać, wynajmują firmę ochroniarską Asterion Security, która na zlecenie ‘Ndranghety zastawia pułapkę na Łotwie, aby pogrążyć kraj w chaosie i ograniczyć kontrolę granic. Asterion odpowiada za ochronę ministerstwa środowiska i manipuluje wynikami analiz próbek wody z Bałtyku. Potem jego ludzie włamują się do piwnicy, żeby móc swobodnie zmanipulować numer IP w serwerowni na ostatnim piętrze budynku i skierować podejrzenia na niewygodnego polityka Kristapsa Bergmanisa. Minotaur od dawna szukał inwestorów do zamachu finansowego, przy którym atak na szwedzką koronę w latach dziewięćdziesiątych wydaje się dziecinną igraszką. Za sprawą kontaktów Antebellum Łotwa staje się oczywistym celem. Ale Hānshuì i Antebellum muszą się uporać z zagrożeniem wewnętrznym. W tych organizacjach są ludzie, którzy pojęli, co się dzieje, jakie bezprawne i niemoralne jest to wszystko. A jednak ani Rianna Tinsley z Antebellum, ani Sonam Phuntsok z Hānshuì nie widzą wielkiej, niemal niemożliwej do ogarnięcia całości. W każdym razie Antebellum wynajmuje Asterion, by unieszkodliwić ich oboje.

– Ich genialnym posunięciem było coś tak prostego jak wiadomość na Twitterze – wtrącił Arto Söderstedt. – Wiedzieli, że zarówno Tinsley, jak i Phuntsok byli aktywnymi twitterowcami. Zwabili oboje dokładnie we właściwym czasie. Asterion zdążył uaktywnić swoich zatrudnionych na miejscu policjantów i dorwał Tinsley i Phuntsoka na oczach bezradnego obserwatora z Europolu.

– Chyba w tym kontekście możemy stwierdzić, że chińskie władze wzięły pod lupę Hānshuì – powiedziała Jutta Beyer. – Obiecały, że zostaną pobrane próbki wody z rzeki Saluin w prefekturze Nagqu. Zaproszono do udziału międzynarodowe organizacje na rzecz ochrony środowiska. Paradoksalnie istnieje możliwość, że przyczyni się to do zacieśnienia współpracy Chin z innymi państwami. I do demokratyzacji.

– Spore próbki wody zostaną również pobrane wzdłuż całego łotewskiego wybrzeża – odezwała się Laima Balodis. – I litewskiego. Musimy odnaleźć te toksyczne odpady zrzucone przez statek widmo. Ze względu na Bałtyk.

– No właśnie, Łotwa – wtrącił Hjelm. – Jak wiecie, kraj otrzymał pożyczkę kryzysową od Unii Europejskiej. Dewaluację powstrzymano, międzynarodowi inwestorzy nie wycofali się po tym, jak Kristaps Bergmanis okazał się niewinny. Wciąż panuje tam kryzys gospodarczy, lecz na szczęście się nie pogłębił. Właściwie jest trochę lepiej. Bergmanis usiłuje przeforsować utrzymanie stałych patroli ekologicznych wzdłuż wybrzeży Bałtyku. Wzbudził nawet niepokój władz Szwecji. Jak wiadomo, szwedzka linia brzegowa jest dość długa.

– Pora posmakować własnego lekarstwa, jakby to powiedział Bendiks Vanags z Rygi – rzucił Chavez.

– Co poza tym? – podjął Paul Hjelm. – Chief Inspector Ralph Dryden z The Metropolitan Police Service stanął na nogi i ponoć ma się ożenić z Hazel Mallory, lekarzem medycyny sądowej. Uprzejmie, lecz stanowczo odrzucili propozycję Commandera Andrew Crowleya, by to on udzielił im ślubu.

– Jane Bennings wróciła do domu w Nowym Jorku – dodała Corine Bouhaddi. – Nasza Fedra dołączyła do Amnesty International, ostro działa na rzecz zniesienia tortur we wszelkiej postaci w Stanach Zjednoczonych. I aktywnie działa przeciw Antebellum. Próbuje ich pogrążyć. Oni całą odpowiedzialność zrzucają na zaginionego Colina B. Barnwortha. Twierdzą, że to wszystko jego wina.

– Wang Yunli wróciła do Chin – powiedział Jorge Chavez. – Zamierza kontynuować pracę w coraz mocniejszej organizacji na rzecz praw człowieka, do której należy. Pewnie nigdy nie odzyska swoich dzieci.

– U nas zbliża się lato – powiedział Hjelm. – Rodziny Stiernmarcka i Payne’a otrzymały nową tożsamość i zostały wywiezione w świat. A jakich drani właściwie złapaliśmy?

– Chyba łatwiej będzie powiedzieć, komu się upiekło – odezwał się Arto Söderstedt. – Nie ukarano nikogo z zarządu Hānshuì. Antebellum Invest właściwie odparło zarzuty. Colin B. Barnworth jest co prawda poszukiwany międzynarodowym listem gończym, a Kongres amerykański ma zrewidować decyzję o pomocy kryzysowej dla Antebellum, ale więź mają chińskie pieniądze, które zainwestują pewnie w papiery trochę bezpieczniejsze niż makrofundusze Nathaniela B. Winthropa. Nie dorwaliśmy nikogo z ‘Ndranghety, z wyjątkiem Il Sorridente i Il Ricurvo. Może w przyszłości będziemy trochę bardziej czujni, jeśli chodzi o eksport tapicerowanych mebli. Statku z toksycznymi odpadami oczywiście nie znaleźliśmy.

– Brytyjskie śledztwo wewnętrzne też nic nie dało – powiedziała Miriam Hershey. – Nie znaleziono

żadnych winnych prócz Colemana, Payne'a, Bartona i Combesa. Zabicie ich wszystkich z wyjątkiem Payne'a pozostaje niewyjaśnione.

– Policjanci z Włoch nie znaleźli żadnych innych śladów w zamku pod Potenzą – dodał Hjelm. – Są natomiast coraz bardziej przekonani, że chodziło o miejsce spotkań La Santy, jeszcze tajniejszej organizacji w ramach tajnej 'Ndranghety. Mimo wszystko może istnieć sporo śladów papierkowych. Przypuszczam, że Tebaldi się tego domyślał. Nigdy nie potwierdzimy tych przypuszczeń...

Przez chwilę panowała cisza. Potem Söderstedt podjął:

– Asterion Security Ltd. wyszło z tego bez szwanku. Oni i Christopher James Huntington zniknęli bez śladu. Pozwolili się zniszczyć. Wkrótce pojawią się ponownie w takiej formie, jaka będzie najbardziej odpowiadała danym czasom.

– Czasom outsourcingu – rzuciła Jutta Beyer i zauważyła uszczęśliwiona, że Söderstedt się do niej uśmiechnął.

– No to jakich drani złapaliśmy? – spytała Corine Bouhaddi.

Wszyscy zaczęli się rozglądać, szukając kogoś, kto znałby odpowiedź. Na próżno.

– Zgadza się – powiedział Paul Hjelm. – Nie złapaliśmy ani jednego drania. Zginęło dwóch mafiosów, paru skorumpowanych policjantów, zwykłe płotki, zginął wielki i nieuchwytny przestępca gospodarczy, wypuściliśmy kilku drobniejszych przestępców, Payne'a, Stiernmarcka, Bennings. Chciałbym wierzyć, że to wszystko coś znaczy. Zobaczyliśmy masę nowych rzeczy. Uchyliliśmy wiele drzwi, które wcześniej były nieznane albo nietykalne. Uratowaliśmy mały, ale ważny europejski kraj. Przynajmniej pokazaliśmy, że Europejczycy potrafią ze sobą współpracować bez jakichś wielkich zgrzytów. To jest w tym wszystkim najważniejsze dla przyszłości. Wskazaliśmy na istnienie przestępczości, której nie widać na co dzień. Albo widać tylko fragmenty. Z całą mocą podkreślam, jaką niesamowitą robotę wykonaliście wszyscy. Pora skorzystać z nadchodzącego lata. Opcop jest teraz stałą jednostką. Jeszcze przez jakiś czas będziemy musieli działać tajnie, ale według dowództwa Europolu i przywódców całej Unii Europejskiej wskazaliśmy drogę ku przyszłości. Przekonamy się, jak to z tym będzie.

– Mam jeszcze pytanie – odezwał się Marek Kowalewski. – Od dłuższego czasu nie daje mi ono spokoju. Po co, u diabła, Asterion wymordował całą rodzinę Ritchiech w Queens?

– Też się nad tym zastanawiałem – powiedział Paul Hjelm. – Asterion nie wiedział, że Rianna Tinsley zaadresowała swoją wiadomość do nas, przynajmniej tak rozumiem. W ogóle nie wiedzieli o tej wiadomości. I miejmy nadzieję, że o nas też nie. Naprawdę udało jej się zatrzymać tę wiadomość dla siebie. Przychodzi mi do głowy, że Rianna podczas długich tortur wydała Kyle'a Ritchiego. I Christopher James Huntington doszedł do wniosku, że Kyle może być źródłem przecieku. Co zresztą było prawdą. Kyle wiedział niemal wszystko to, co wiedziała Rianna. Gdyby się dowiedział, że została zamordowana, pewnie zwróciłby się do prasy z całą złością i frustracją muzyka grającego indie.

– A może Rianna nie miała z tym nic wspólnego? – zastanowiła się Miriam Hershey. – Asterion i bez tego mógł się dogrzebać do związku Rianny z Kyle'em. To był przecież jej ostatni romans i ryzyko, że

powiedziała akurat jemu, wydawało się największe. W każdym razie nie sądzę, żeby Rianna Tinsley coś im powiedziała. Nie sądzę, żeby wydała Kyle'a. Myślę, że wytrzymała do końca. Jak każdy człowiek, w którym naprawdę coś płonie.

– Głuchego telefonu nigdy nie ogarnęli – powiedział Marek Kowalewski.

– Albo też grają w niego przez cały czas – odparł Hjelm.

Przez chwilę na sali panowała cisza. Paul Hjelm powoli potarł twarz i powiedział:

– Cały materiał macie w komputerach i na ścianie interaktywnej. Proponuję dwa tygodnie intensywnej pracy, żeby posklejać tę sprawę do kupy. A potem będziemy musieli pójść dalej. Na dziś wam dziękuję. Mam nadzieję, że w głębi serca czujecie, czego udało się wam dokonać. Dziękuję, moi przyjaciele.

Później wyszli. Jeden po drugim. Powoli, gęsiego. Wyszli Felipe Navarro i Angelos Sifakis. Wyszła Miriam Hershey z Laimą Balodis. Wyszli Corine Bouhaddi i Jorge Chavez. I wyszedł Arto Söderstedt.

Jutta Beyer została. Nie czuła się na siłach, by wstać. Jej spojrzenie przyłgnęło do ekranu. W końcu została sama z Hjelmem.

Paul Hjelm spojrzał na nią z pewną czułością. To było tak, jakby spoglądał na własną odległą historię.

– Wszystko w porządku, Jutto? – spytał.

– Nie wiem. Czy jeszcze kiedyś może być w porządku?

– Większość rzeczy da się zostawić za sobą – stwierdził Hjelm. – Potrzebujesz pomocy?

– Mam przecież Arta – uśmiechnęła się Beyer.

– Tak, on to prawdziwy psycholog. – Hjelm odpowiedział jej uśmiechem.

Spojrzał na odwzorowanie tablicy elektronicznej.

– Może powinnaś zapamiętać ten schemat i zastąpić nim mapę Europy w swoim atlasie?

Spoglądali na nieprzenikniony chaos strzałek, ramek, liter. Było tutaj wszystko. Kompletnie szalona i całkowicie logiczna mapa kontynentu, którego ideały legły w gruzach. Nieprawdopodobna konstelacja połączeń między drgającymi w agonii częściami ciała. Odurzony pieniędzmi układ nerwowy. Potworny diagram duchowego zepsucia pod fasadą kultury.

Tak, tak, pomyślał Paul Hjelm. To też da się przeżyć.

Tęsknił za Kerstin Holm.

Mocniej niż kiedykolwiek dotąd.

Kolacja dla par

Haga, 24 kwietnia

POSZLI DO CAFÉ RESTAURANT ROOTZ na rogu Raamstraat i Grote Marktstraat. Zegar właśnie wskazał ósmą. Dostali stół dla czterech osób, nieco na uboczu, usiedli i spojrzeli po sobie.

– No tak – powiedział Paul Hjelm. – Takie będzie nasze życie po Drużynie A.

– Dobrze, że takie, nie gorsze – stwierdził Jorge Chavez.

– Ale moglibyśmy się trochę częściej widywać – zauważyła Kerstin Holm.

– W każdym razie niedługo urlop – oświadczyła Sara Svenhagen. – Patrzmy na jasne strony życia.

– Mogę wam zaproponować westvleterena? – spytał Chavez. – Westvleteren twaalf. Chociaż *twaalf* znaczy dwanaście, jest dziesięcioprocentowe. Ciemne i strasznie pyszne.

– Doskonały pomysł – odparła Kerstin Holm i rozejrzała się po ciemnym lokalu. – Pomyśleć tylko, że pierwszy raz jestem w Hadze.

– Przyjeżdżaj częściej – powiedział Paul Hjelm.

– A może ty mógłbyś częściej przyjeżdżać do domu?

Na stole pojawiły się cztery butelki westvleteren twaalf i szklanki. Wznieśli szybko toast, skosztowali i westchnęli z zachwytu.

– Tak, dobre cholerstwo – pochwaliła Sara, oblizawszy usta.

– Dzięki za świetną robotę w Hästhagen – powiedział Paul. – Mamy jakieś powody do optymizmu, jeśli chodzi o tę szajkę pedofilską?

– Nie rozmawiajmy o pracy – zaproponował Jorge. – Po prostu cieszymy się wieczorem i wspaniałym piwem trapistów.

– Niestety, łatwiej to powiedzieć, niż zrobić – westchnęła Kerstin. – W tej chwili nie wygląda to za różowo. Sprawę przejęła grupa do walki z pedofilią. Próbuje wznowić dochodzenie. Możemy tylko trzymać kciuki.

– Albo siedzieć i kręcić nimi młynka – stwierdził Jorge. – Często wychodzi na to samo.

– A co z tobą? – spytała Kerstin. – Na pewno wszystko w porządku? Trudna historia w tym banku w Berlinie.

– Jeśli człowieka raz obryzgała krew, drugi raz nie jest taki straszny – odparł Jorge. – Najgorsze jest to, że mówię poważnie i nie zgrywam się na macho.

– Miałam na myśli głównie to, czy nie potrzebujesz jakiegoś wsparcia – wyjaśniła Kerstin.

– Mam najlepsze wsparcie na świecie – zapewnił Jorge, pochylił się nad stolikiem i uścisnął Sarę.

Naprawdę wydawała się po tym trochę wzruszona.

– Ale ty wydajesz się trochę przygnębiona, Saro – powiedział Paul. – U ciebie w porządku?

– Strasznie dużo tego gładzenia o w porządku – roześmiała się Sara. – Tak, w porządku. Chyba jestem

trochę przygnębiona, fakt. Ta sprawa była ciężka.

– Mogę się tylko z tobą zgodzić – odparł Paul.– Wgryzła się w człowieka. I to nie tylko dlatego, że wysłałem na śmierć dwoje swoich ludzi. Świat wygląda potem trochę inaczej.

– Albo po prostu wyraźniej go widzisz – zauważyła Kerstin. – W każdym razie świetna robota z Johannesem Stiernmarckiem, Jorge. Ile lekcji gry na gitarze zdążyłeś mu dać?

– Osiem – odparł Jorge. – I nie dziękuj mnie. Podziękuj Sarze. Strasznie się uparła.

– Chłopak ma talent? – spytał Paul.

– Jak najbardziej – zapewnił Jorge. – Dobre wycucie, zero techniki. Mam nadzieję, że teraz jest trochę lepiej. Sam przy okazji trochę się zainspirowałem.

– W pewnym sensie to dobrze, że się zamieniamy – stwierdziła Sara z krzywym uśmiechem.

– To z Johannesem było dziwne – zauważyła Kerstin. – Zupełnie jakby wessał w siebie całą tę sprawę, choć sam jej nie rozumiał. Przez jakiś czas czułam, że eksploduje. Albo raczej imploduje.

– O nie – westchnęła Sara, zapatrzona w ciemny haski wieczór. – Nic w tym stylu.

– Teraz w każdym razie ma możliwość grać – powiedział Paul. – Cieszy mnie to. Gdziekolwiek na świecie wylądował.

– Lepiej tego nie wiedzieć – stwierdziła Sara, unosząc szklanke.

Znów wzniesli toast. Ogarnął ich błogi spokój.

– Może powinniśmy zagrać w jakąś grę towarzyską – odezwał się w końcu Paul. – W zgadywanke?

– Co to takiego? – spytała Kerstin.

– Stara gra z lat siedemdziesiątych – odparł Paul. – Pozornie prosta gra literowa.

– Niech to diabli – burknął Jorge. – W gry towarzyskie człowiek gra, kiedy wszystko się kończy. Dla nas się dopiero zaczęło.

– Tu masz rację – powiedział Paul. – Ale to wynika głównie z tego, że przemoc nie ma kresu. Czy w ogóle można sobie wyobrazić społeczeństwo bez przemocy i okrucieństwa? Przedtem to potrafiłem. Teraz już nie wiem.

Przez chwilę milczeli. W końcu odezwała się Kerstin:

– Dopóki jest to, oni nie wygrają.

– To? – spytał Jorge.

Kerstin wskazała ręką na stół i powiedziała:

– To.

Każde z nich uśmiechało się coraz szerzej. I oboje uśmiechali się tak samo.

Po chwili Sara spytała:

– Czy Arto i Anja nie powinni być dziś z nami?

– Łobuz od razu wyjechał na urlop – odparł Paul. – Ponoć musiał coś zrobić. Złożył jakąś świętą przysięgę.

– Świętą przysięgę? – zdziwiła się Kerstin.

– To przecież Arto – stwierdził Paul. – Nie ma nawet sensu pytać.

Jorge Chavez wziął do ręki menu i wręczył po jednym także pozostałej trójce.

– Koniec rozmów o pracy i basta! I zdecydowanie uważam, że powinniście zamówić haring.

Operation Glencoe

Glencoe, Szkocja, 25 kwietnia

DOPÓKI CZUŁA NA JĘZYKU smak dwudziestojednoletniej highland park, a trwało to zaskakująco długo, dała mu spokój. Siedziała na omszonym kamieniu i rozkoszowała się słońcem nad szkocką wyżyną. Od czasu do czasu spoglądała w jego stronę. Stał na dnie wąwozu zupełnie bez ruchu. I nic nie poruszało się wokół nich.

To się zdarzyło tak nagle. Ni stąd, ni zowąd po prostu miał urlop. Cudownie się to zbiegło z uznaniem przez tę oficjalną organizację w Rzymie nowej wyhodowanej przez nią odmiany bazylii. Teraz istniała zatem odmiana, która nazywała się po prostu bazylia Anja, *Ocimum basilicum Anja*. Ona zaś mogła odłożyć na bok świeżo przysłane deklaracje, zgodzić się na jego pomysł i wyjechać na kilka dni. Trzy, najwyżej cztery. Poza tym nie miała absolutnie nic przeciwko celowi ich podróży. Tak bardzo uwielbiała single malt whisky, że prawie było jej wstyd.

Mimo to byli dość ostrożni dziś rano w Clachaig Inn; bądź co bądź wybierali się w góry. A przynajmniej na długą wędrówkę. Musiała im wystarczyć odrobina dwudziestojednoletniej whisky, której smak bardzo długo pozostawał w ustach.

Czuła go coraz słabiej.

Przylecieli do Glasgow, wypożyczyli samochód i dwie godziny jechali prosto na północ. Zatrzymali się w Clachaig Inn i zjedli cudowną kolację zakropioną wyborem najlepszych gatunków whisky z tego roku. Trochę oszołomieni rzucili się na zbyt luksusowe hotelowe łóżko. Obudzili się wypoczęci i naprawdę szczęśliwi w dziwnym, klarownym chłodzie bijącym od okna, które w tych okolicznościach zapomnieli zamknąć wieczorem. Założyli buty trekkingowe, zjedli porządne szkockie śniadanie, skosztowali dwudziestojednoletniej highland park i wyruszyli. Zeszli do Loch Leven potem dalej na wrzosowiska i skierowali się w stronę gór.

Zbliżyli się do pierwszych szczytów – na prawo wznosił się potężny Meall Mòr, na lewo jeszcze potężniejszy Sgorr Nam Fiannaidh – i znaleźli się właśnie u wejścia do doliny. Wydawało im się, że daleko w rześkim, krystalicznie czystym powietrzu widzą zarysy Buachaille Etive Mòr. Właśnie wtedy on się zatrzymał. Przystanął u wejścia do doliny.

Anja Söderstedt obserwowała swojego tajemniczego męża. Rozumiała, że na coś czekał. Smak słodowej whisky trwał na języku, ale pozostało mu niewiele minut.

Glencoe pokazywała się od najlepszej strony. Wiosenne słońce świeciło olśniewająco, otaczając zielone szczyty wzgórz subtelną aurą. I było całkowicie bezwietrznie.

Arto Söderstedt stał i czekał. To była ta niezłomna, święta przysięga.

Stał w wejściu do Glencoe i czekał na wiatr.

Musiał go poczuć.

Naprawdę poczuć.

Usłyszał go na długo przed tym, nim go poczuł. Wiatr zaświszczał w głębi doliny, zaszeleściły gałęzie krzewów, które dopiero zdążyły się zazielenić. Gdy podmuch wypadł z Glencoe, był zupełnie lodowaty.

Arto Söderstedt stał w miejscu, w którym wiosna panowała w najlepsze, i pozwolił, by lodowaty zimowy wiatr z odludnej doliny przeniknął go do szpiku kości. W jakiś dziwny sposób dobrze mu to zrobiło. Wstrząsnął nim dreszcz, pojawiający się z najgłębszej głębi.

Wtedy Arto uśmiechnął się szeroko, odwrócił do siedzącej na kamieniu żony i powiedział:

– Już idziemy, kochanie.

Anja Söderstedt westchnęła, wstała i stwierdziła, że smak whisky zniknął. Ruszyła za mężem.

A dolina leżała całkowicie cicha w swoim oślepiającym pięknie, szczyt za szczytem lśniący wiosenną zielenią. Od Meall Mòr aż po Buachaille Etive Mòr imię tego przepędnionego bólem piękna brzmiało Glencoe.

Przypisy

1. Gra słów. Niezgodności w zapisie wynikają z reformy ortograficznej, która nie objęła nazwisk. Lagerbrandt: *lager* – magazyn, *brand* – pożar; Stiernmarck: *stjärna* – gwiazda, *mark* – ziemia; Svenhagen: Sven – popularne imię męskie, *hage* – pastwisko. [\[wróć\]](#)
2. William Szekspir, *Hamlet*, tłum. Maciej Słomczyński, Zielona Sowa, Kraków 1999; akt 3, scena 1, w. 97–98. [\[wróć\]](#)

Spis treści

[JEDNOSTKA OPCOP, EUROPOL](#)

[Centrala – Haga, Holandia](#)

[Biuro lokalne – Sztokholm, Szwecja](#)

[1 Szepty](#)

[Londyn, 2 kwietnia](#)

[Sztokholm, Nacka, 2 kwietnia](#)

[Jasno i wyraźnie](#)

[Haga, 6 kwietnia](#)

[Sztokholm, 6 kwietnia](#)

[Obcy ptak](#)

[Londyn, 5 kwietnia](#)

[2 Syki](#)

[Endymion](#)

[Nacka, Sztokholm, 6 kwietnia](#)

[Polityka](#)

[Haga, 6 kwietnia](#)

[Kontakt](#)

[Haga, 7 kwietnia](#)

[Yard](#)

[Londyn, 7 kwietnia](#)

[Prosto w oczy](#)

[Vällingby-Nacka, Sztokholm, 7 kwietnia](#)

[Haga, 8 kwietnia](#)

[3 Mowa](#)

[Równocześnie](#)

[10 kwietnia, 19:00:00 GMT](#)

[Godzinę później](#)

[Haga – Kraków – Londyn – Sztokholm, 10 kwietnia](#)

[Długa noc](#)

[Londyn, 11 kwietnia](#)

[Long shot](#)

[Nacka, Sztokholm, 11 kwietnia](#)

[Odszyfrowane](#)

[Haga, 11 kwietnia](#)

[Nowy Jork, 11 kwietnia](#)

[4 Wołanie](#)

[Sarcophagus Maconiana Severiana](#)

[Londyn, 11 kwietnia](#)

[No shit](#)

[Haga, 11 kwietnia](#)

[Twitter](#)

[Londyn, 11 kwietnia](#)

[Alphabet City](#)

[Nowy Jork, 11 kwietnia](#)

[Diaspora](#)

[Amsterdam – południowe Włochy – Ryga, 12 kwietnia](#)

[Zaginiony](#)

[Queens, Nowy Jork, 11 kwietnia](#)

[Proces](#)

[Ryga, 12 kwietnia](#)

[Zamek](#)

[Bazylikata, 12 kwietnia](#)

[5 Wrzaski](#)

[Tablica interaktywna](#)

[Haga, 12 kwietnia](#)

[Hypnoticon](#)

[Breda, 12 kwietnia](#)

[Wiosenne uczucia](#)

[Sztokholm – Nacka – Arlanda, 12 kwietnia](#)

[Pęknięcia](#)

[Londyn – Porthowan, Kornwalia, 12 kwietnia](#)

[Fedra](#)

[Londyn, 12 kwietnia](#)

[Konsekwencje](#)

[Haga – Sztokholm – Nacka, 12 kwietnia](#)

[Bank](#)

[Berlin, 13 kwietnia](#)

[Katedra](#)

[Haga, 14 kwietnia](#)

[Powrót do domu](#)

[Pekin, 15 kwietnia](#)

[Wyjazd](#)

[Haga, 19 kwietnia](#)

[Zebranie](#)

[Haga, 20 kwietnia](#)

[Kolacja dla par](#)

[Haga, 24 kwietnia](#)

[Operation Glencoe](#)

[Glencoe, Szkocja, 25 kwietnia](#)

[Przypisy](#)